

Z DZIEJÓW REGIONU LUBUSKIEGO

AUS DER GESCHICHTE DES LEBUSER LANDES

GORZÓW
W MOJEJ PAMIĘCI

GORZOW
IN MEINER ERINNERUNG



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
w Gorzowie Wielkopolskim

Gorzów Wielkopolski 2008

Copyright:

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gorzowie Wlkp.

Redakcja / Redaktion:

Edward Jaworski, Grażyna Kostkiewicz-Górska, Błażej Skaziński

Przekład / Übersetzung:

Grzegorz Kowalski

Korekta tekstu / Korrekturlesen:

Maria Błahuta, Beata Patrycja Klary, Renata Ochwat, Anna Sokółka, Danuta Zielińska

Projekt okładki / Umschlaggestaltung:

Zbigniew Olchowik

Skład komputerowy / Satz und Layout:

Sebastian Wróblewski

ISBN:

978-83-907249-7-3

Adres redakcji / Adresse der Redaktion:

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gorzowie Wlkp.

ul. Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów Wlkp.,

tel. 095 727 70 71, fax 095 727 80 40

e.mail: region@wimbp.gorzow.pl

www.wimbp.gorzow.pl

Wydawca / Herausgeber:

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gorzowie Wlkp.

ul. Sikorskiego 107,

66-400 Gorzów Wlkp.

Druk i oprawa / Druck und Verarbeitung:

Rivia – A. Duda

Nakład / Auflage: 350 egz.

Książka finansowana jest z budżetu Gorzowa Wlkp.
w ramach obchodów jubileuszu miasta.

Spis treści

Edward Jaworski

Wprowadzenie 7

Zdzisław Morawski

Zapiski codzienne 9

Klemens Neumann

Jugenderinnerungen aus Landsberg a. W. 1928-1945 21

Młodzieńcze lata w Landsbergu a. W. 1928-1945 63

Barbara Kaczmarek

(.....) 83

Roman Horbaty

Moje podwórko – lata 60. XX w. w Gorzowie Wlkp. 89

Hartmut Meyer-Ohrt

Gorzow/Landsberg in meinem Gedächtnis 1926 – August 1945 99

Gorzów/Landsberg w mojej pamięci 1926 – sierpień 1945 (fragmenty) .. 231

Barbara Latoszek

Gorzów w mojej pamięci 279

Werner Gabloffsky

Gorzow in meiner Erinnerung 283

Gorzów w moich wspomnieniach 301

Maria Karbowska

Gorzów w mojej pamięci 315

Janina Marciniak

Gorzów w mojej pamięci 317

Hans-Jürgen Sindemann

Gorzow/Landsberg in meiner Erinnerung 323

Gorzów/Landsberg w mojej pamięci 329

Paweł Staszak

Gorzów w mojej pamięci 335

Polsko – niemiecki słownik toponomastyczny Gorzowa 338

Polsko – niemiecki słownik nazw miejscowości 339

Niemiecko – polski słownik toponomastyczny Gorzowa 340

Niemiecko – polski słownik nazw miejscowości 341

Niniejsza publikacja jest pokłosiem ogłoszonego w ramach obchodów „750-lecia Gorzowa” konkursu „Gorzów w mojej pamięci”.

Celem konkursu było ocalenie od zapomnienia wspomnień ludzi działających i żyjących w okresie przed i po II wojnie światowej; ukazanie miasta oczami bezpośrednich świadków i uczestników jego historii.

Na konkurs wpłynęło 8 prac autorów polskich i 5 autorów niemieckich. Po ich wnikliwej analizie komitet organizacyjny pod przewodnictwem p. Zofii Bednarz, Zastępcy Prezydenta Miasta Gorzowa, przyznał, dwie równorzędne nagrody główne oraz 4 wyróżnienia.

Nagrody główne otrzymali:

- opracowane i zgłoszone przez Marię Morawską „Zapiski codzienne” Zdzisława Morawskiego
- Klemens Neumann za pracę „Jugenderinnerungen aus Landsberg a.W. 1928-1945”

Wyróżnienia otrzymali:

- Barbara Kaczmarek za pracę bez tytułu
- Roman Horbaty za pracę „Moje podwórko”
- Hartmut Meyer-Ohrst za pracę „Gorzow/Landsberg in meinem Gedächtnis 1926 – August 1945”
- Barbara Latoszek za pracę „Gorzów w mojej pamięci”

Organizatorzy konkursu oraz jury pragną podkreślić wysoki poziom nadesłanych prac ukazujących miasto poprzez osobiste przeżycia autorów oraz ich znaczenie jako źródła do badań nad wspólną przeszłością.

W niniejszej publikacji prezentujemy prace, zachowując ich autonomiczny charakter, będący wyrazem świadomości, wrażliwości oraz indywidualnego stosunku autorów do Landsbergu / Gorzowa – ich Małej Ojczyzny.

Ze względów merytorycznych zdecydowaliśmy się zachować oryginalną pisownię, w polskich tłumaczeniach niemieckich tekstów, nazw własnych: ulic, placów, miejscowości i innych. Utrzymaliśmy także w polskich tekstach oryginalną pisownię i składnię, nawet jeśli wymyka się ona ustalonym regułom czy zasadom poprawności językowej. Dzięki temu zaprezentowane prace zachowały swój indywidualny charakter świadczący o ich autorach, a nierzadko o bolesnych przeżyciach, których piszący doświadczyli.

Każda z tych prac, niezależnie czy odnosi się do niemieckiego Landsbergu, czy do polskiego Gorzowa, stanowi zarazem jedyne w swoim rodzaju świadectwo miłości do nadwarciańskiego miasta, szacunku dla drugiego człowieka, chęci pojednania i protestu przeciwko totalitaryzmom.

Szanowni Państwo, oddajemy niniejszą publikację w ręce czytelników, licząc na szeroki odzew Czytających. Oczekujemy refleksji, przelania swoich wspomnień na papier. Będzie to wyjątkowa pamiątka dla potomnych.

Edward Jaworski
Dyrektor WiMBP w Gorzowie Wlkp.

PIERWSZA NAGRODA

Zdzisław Morawski

Zapiski codzienne

23 lipca 91

Znów odezwał się Nauschütz (pisarz z Frankfurtu nad Odrą¹). Jeszcze mego listu nie dostał, a już drugi wysłał. Musi mu na kontaktach bardzo zależeć. Mówi zresztą, że sprawę tę uzgodniono z ministrem kultury Brandenburgii. Chcą temu nadać rangę działań państwowo-przychylnych.

3 września 91

Byli Niemcy – Nauschütz i Gönsche. Chcą współpracy, może wspólnych wydawnictw. Rozmowa odbyła się w bibliotece wojewódzkiej, a z naszej strony udział wzięli: Niedźwiecki, Zaborowski, Jach, ja i pani Maria Wojdyło jako tłumaczka. Omawialiśmy program współpracy i spotkania we Frankfurcie – dnia 21 bm. Spotkanie było sympatyczne i konstruktywne. Gdyby nam się udało zrobić 50 procent tego, co założyliśmy, to będzie bardzo dużo. Zaproszony Słomka nie przyszedł, chociaż obiecał. Nie wezmę go do Frankfurtu.

Podczas obiadu Nauschütz opowiadał, że kiedyś pracował w gazecie jako sprawozdawca sądowy i była akurat rozprawa o morderstwo. Morderca, kiedy się dowiedział, że na sali siedzi dziennikarz – powiedział: Ty będziesz następny. Oskarżony był nieletni i dostał tylko cztery i pół roku więzienia.

We Frankfurcie mają być dwa referaty po pół godziny, dyskusja oraz czytanie utworów własnych. Przy tym kryzysie, jaki jest, każdy kontakt jest dobry. Powiedzieli przy tym, że za wystąpienia nam zapłacą, bo dostali pieniądze i chcą je wydać. Bóg zapłać. Wezmę ze sobą Niedźwieckiego, Zaborowskiego i może Beatę A. (Ananiewicz). Niech parę groszy zarobią.

Muszę jednak zanotować to, co mnie zaniepokoiło. Oczywiście oni plany niemieckie wobec naszych ziem znają, a wyszło to głównie przy obiedzie: – Tu przecież przyjdzie kapitał niemiecki z markami i będzie rządził, a naszą rzeczą jest, by coś z tego uszczknąć dla pisarskiego stanu po obu stronach granicy. Może razem będziemy sprawować rząd dusz. Zatem chcą tu przyjść, tu rządzić, a my mamy im torować drogę za małe grosze. (...).

¹ Wszystkie dopiski w nawiasach Maria Morawska.

Ja nie mam gdzie wracać. Aleksandrów nie zbuduje mi bram tryumfalnych, w Warszawie lub Poznaniu będę petenckim konkurentem. Muszę zostać tutaj i tutaj się z podłym światem tak układać, bym mógł godziwie na śmierć zasłużyć.

7 września 91

Wysłałem wiersze do Nauschütza.

17 września 91

Trzy rozmowy o wyjeździe do Niemiec i spodziewanej akcji wydawniczej.

19 września 91

Powoli przygotowuję się do wyjazdu na spotkanie z Niemcami. Myślę o tym, co im powiedzieć, jakie wysunąć propozycje. Mam je dwie: a) wspólną grupę literacką, powiedzmy „Wspólnota”, b) wspólne pismo dwujęzyczne dla promocji myśli wyrażonych w naszej literaturze. Wydaje się, że jest to duży program. Poza tym poczyniłem przygotowanie towarzyskie – kupiłem koszyk wiklinowy dla żony Nauschütza. Dziś Kamińska napisała, że do Frankfurtu jadą Morawski, Niedźwiecki, Słomka. Nie napisała o Beacie i o Zaborowskim, ale uwzględniła Słomkę, który nie jedzie.

20 września 91

Byłem u wojewody, by omówić sprawę jutrzejszego wyjazdu do Niemiec i w trakcie rozmowy sekretarka wniosła mu fax z kancelarii prezydenta. Niewiarowski przeczytał, roześmiał się i powiedział: No to będę miał informację z pierwszej ręki. Po czym przeczytał mi otrzymany tekst, w którym kancelaria prezydenta prosi o wszelkie informacje na temat kontaktów kulturalnych z Niemcami, literackich, dziennikarskich, itp. Przypadkowa zbieżność? Niewiarowski przyjął mnie bardzo mile, zaprosił na śniadanie, które spożywał z rosyjskimi lekarzami, posłużyłem trochę za tłumacza.

21 września 91

Zgodnie z planem byliśmy we Frankfurcie, by tam założyć grupę literacką polsko-niemiecką. Ze spotkania byliśmy zadowoleni, bo rafy i bagna przeszliśmy suchą nogą. Powiedziałem to zresztą Niemcom: przeszliśmy Odrę suchą nogą.

Z Frankfurtu wróciłem zmęczony. Podróż nie jest zbyt długa, ale tam byłem cały czas z napiętą uwagą. Przede wszystkim ta sprawa, że ja, by rozumieć, co mówią Niemcy, muszę mocno się koncentrować i to wywołuje zmęczenie. Prawda, że p. Thomas dobrze tłumaczyła, ale ja chciałem sam rozumieć obok tłumaczki. Z powodu zmęczenia zadzwoniłem do Wojtka S. i wypiliśmy flaszcencję, dyskutując o wierze i Biblii. Rozluźniło mnie to i ożywiło. Dobry miałem dzień.

28 września 91

Wyskok do Zielonej Góry i Szprotawy. Oddział i jego prezes postanowili zrobić

spotkanie z okazji 30-lecia powołania Związku Literatów Polskich (oddziału w Zielonej Górze).

Duże zainteresowanie miała moja informacja o współpracy z Niemcami: zaprosiłem do tego Koniusza, Trziszkę, Siateckiego i Sobkowiaka. Ale informacji tej nie udzieliłem ogółowi, tylko zainteresowanym. Nie chcę robić z tego nowych struktur ZLP. Tymczasem przez dwa dni mojej nieobecności w Gorzowie zahuczało, bo N. rzecz rozklepał i okropnie pododawał. Patrzą więc na mnie ludzie jak na zakonspirowanego potentata. A przecież umawiałem się z N., że na razie, do czasu zarejestrowania grupy w sądzie niemieckim, o niczym nie mówimy. Cóż jednak poradzić na pijaka – plotucha: postawił mu setkę jeden, postawił drugi, a on mu z wdzięczności opowiadał, bajdurząc, co wlezie. Dziś u nas ludzie są w amoku DM i wystarcza powiedzieć sto, by usłyszeli tysiąc. Będzie tak robił, to go pozegnam.

1 października 91

Konferencja z dyrektorem B.W. (biblioteki wojewódzkiej). Chodziło o sprawy współdziałania z Niemcami. Wszystko dobrze, tylko brak pieniędzy. Pani sekretarka wydała swoich 400 tys. i nie mają z czego oddać. Przecież nie możemy parzyć tylko na Niemców i sprzedawać się im za marne grosze.

Mam w sobie chęć działania, a równocześnie ogarnia mnie czasem zniechęcenie. Co wyniosłem z rozmów z Wilmińskim i Jachem? To, że pierwszego kultura interesuje jako jego posada, a drugiego jako działania biblioteki. Żadnego spojrzenia do horyzontu. Cały czas na czubki palców u nóg.

14 października 91

Dziś odbyłem konferencję z prez. Wolskim (prezydentem miasta) i uzyskałem obietnicę pokrycia (kosztów) spotkania pisarzy Frankfurtu i naszych województw w wysokości 4 mln zł. Słowik to potwierdził. Obiecał też, (...) dla nas z Urzędu Miejskiego 10 mln na cele wydawnicze. Uważam, że załatwiłem dużo. Dzwoniłem też do Niewiarowskiego z prośbą o spotkanie w tym celu, ale był b. zajęty i obiecał, że gdy wygospodaruje trochę czasu, przyśle po mnie samochód. Wziąłem na siebie obowiązki, to muszę je wykonać. Prawda, że te prośby kosztują mnie dużo, ale ważne, iż są wysłuchane: żebrak, żebrze skutecznie!

15 października 91

Częściowo udaje mi się żebranina, prezydent Gorzowa dał, a nawet przyjąć obiecał na spotkanie z pisarzami, ale od wojewody umówionego telefonu nie było. Dlaczego? Pewno zajęty ważniejszymi sprawami. Po Gorzowie zaś krąży plotka o zyskach, jakie mamy osiągać na niemieckich kontaktach. Już przychodzą zainteresowani przybytkami. Ale ja ich odsyłam do diabła. Pazerność u nas jest jednak duża. Żebrać nie idą, ale po wyżebrane łapy wyciągają. Wszystko zaś sprawił ten pleciuga N., który za 100 gram sprzedaje wyolbrzymione informacje o pobycie we Frankfurcie.

Wracając do wojewody, to powiem sobie, że jeśli on nie wykaże żywszego zainteresowania sprawą, to ja go delikatnie ominę. Trudno, coś za coś, jak mawiali starzy ludzie. Ominę go, ale nadal będę udawał, że robię to z powodu wielkiego szacunku. Dalej czytam po niemiecku.

17 października 91

Dostałem list z Frankfurtu. Pani Jola Thomas pisze mi o życzliwości Niemców do sprawy naszej grupy współdziałania literackiego, przysłała mi też wycinki z gazet: artykuł poety Klempta z moją fotografią, wywiad ze mną, informację o powołaniu biura literackiego we Frankfurcie.

18 października 91

(...) napisałem list do Kuncewicza, w którym poinformowałem prezesa Piotra o naszych pracach w grupie polsko-niemieckiej. Zasugerowałem mu również, że pożyteczne byłoby powołanie w Gorzowie ośrodka działań na tę rzecz. Zobaczymy, co powiedzą? Sądzę, że odniosą się do tego obojętnie, dlatego że nie dotyczy to Warszawy. My i tak będziemy robić swoje. Wolałbym jednak, by ZLP w tę sprawę się włączyła. Chodzi po prostu o to, że siłami gorzowskimi tego zrobić nie będziemy mogli – za słabi jesteśmy. Imprimatur Z. G. dla rozszerzenia działań na trzy województwa trochę by nas wzmocniło, sięgnięcie do Warszawy jeszcze bardziej. Oczywiście ja mogę robić to sam, ale wtedy jestem tylko osobą prywatną. Zaś Niemcy, chyba nie tylko Niemcy, lubią mieć do czynienia z silnymi (...). A cóż my w Gorzowie: Łazuka, Morawski, Niedźwiecki i Słomka. Cztery osoby wobec ich 85 w Brandenburgii. Jeśli by weszły w układ trzy województwa, to byłoby coś, chociaż też ilościowo nie stanowilibyśmy przewagi. Zatem potrzebny mi specjalny placet Warszawy. Wtedy jestem przedstawicielem ZLP dla tego dzieła. Że też człowiek musi bawić się w takie zawile intrygi, żeby coś zrobić.

20 października 91

Niedziela, dzień pisania listów do trzech wojewodów o wsparcie materialne dla grupy literackich współdziałań, jaka powstała we Frankfurcie. Czy to coś da? Nie jestem pewny, ale robić coś trzeba. Chcę także dać informację, ogłoszenie do prasy, że zakładamy pismo i szukamy sponsorów. Malina mówi, żeby tego nie robić, by nowobogacki sponsor wywierał na nas naciski i stawiał nam wymogi. Ja zaś sądzę, że jeśli sponsor zgłosi się, można będzie z nim rozmawiać, układać się, a warunków nie przyjąć. Sądzę, że dam ogłoszenie. Będzie to test – sprawdzenie, co warci są nasi sponsorzy.

20 października 91

Ruszyłem z suplikami do wojewodów z terenów graniczących z Brandenburgią. Chodzi o pieniądze na pismo. Proszę o mało, zaledwie 100 mln zł.

22 października 91

Dziś udzieliłem wywiadu Woźnemu (ówczesny red. naczelny „Ziemi Gorzowskiej”). Chodziło o sprawy niemieckie i perspektywy „przekroczenia Odry suchą nogą”. Poza tym trochę lektur niemieckich czytane.

3 listopada 91

Za dwa dni przyjadą Niemcy na konferencję współdziałania. Zaprosiłem na nią trochę ludzi: Koniusza, Siateckiego, Sobkowiaka z Zielonej Góry, Szmidta, Słomkę, Krzemińskiego ze Szczecina; z Poznania Chadzinikolau; z W-wy Kuncewicza. Kto przyjedzie? Zrobiłem trochę przygotowań do tego: program, listy do wojewodów pogranicza, pieniądze od prez. Wolskiego na ten cel. Porządek obrad. Program pisma. Przy tym „odrabiam” lekcje niemieckiego, ale idzie mi z tym źle: im więcej pracuję, tym mniej potrafię.

Co mi wyjdzie z tej może ostatniej działalności organizacyjnej? Nie wiem. Ale wiem, że mam już wielu przeciwników, a za nimi, jak prawie zawsze – dziennikarze i działacze kultury. Jeden np. ma mi za złe, że partnerem ze strony niemieckiej jest Nauschütz, bo był członkiem partii. I mówi to bez zająknięcia, chociaż sam był funkcjonariuszem KW, a kiedy zgłaszałem propozycję o wprowadzenie abolicji (1983 r.) i czekałem choćby kropli poparcia, nikt mi jej nie udzielił, łącznie z nim (siedział na sali i drżał, że ktoś może taką propozycję zgłaszać). Czekam więc trochę walki. Kto mnie poprze? Siatecki, Nikos ..., Kuncewicz, jeśli przyjedzie, to dość dużo. Ostatecznie ja nie muszę być liderem. Mogę nawet zrobić taki manewr, by zaproponować wybór lidera, a sam jako osoba włączyć się do działań, ja będę tylko pisał. Mam przygotowane dla pisma dwa materiały: wywiad z Małeckim oraz „Ziemie dla żywych” z decyzją o jej konfiskacie i z własnym komentarzem do tekstu. Komentarz ten dla niemieckiego czytelnika wydaje się być zasadny. Wydaje mi się, że trochę w tej sprawie zrobiłem. A co zrobili inni? N. chyba pieniądze przepił. Beata wyjechała do Belgii. Zaborowski zajęty był wyborem. Niemcy właściwie tylko to nagłośnili, a może grupę zarejestrowali. Zobaczymy 5 listopada 1991.

5 listopada 91

Odbyliśmy posiedzenie polsko-niemieckiej grupy (pisarzy). Tym razem Niemców było czterech, a z naszej strony: Niedźwiecki, Zaborowski, Szmidt, Chadzinikolau, ja, oraz z administracji Jach, Słowik, a także przy obiedzie prez. Wolski. Dyskusja robocza, a ustalenia konkretne: pismo dwujęzyczne, cztery – pięć arkuszy. Współfinansowanie – my papier i druk, oni honoraria po 50 DM za kartkę papieru. Nazwa „Tandem” (pierwotnie proponowany tytuł pisma), polsko-niemiecki, dwujęzyczny magazyn literacki. Teraz dla mnie nadszedł czas ostrego starania o pieniądze na pokrycie naszej części wkładu. Obiecał mi Nieciarowski, ale czy dotrzyma słowa? Nie dostanę pieniędzy, nic z tego nie wyjdzie. Jutro idę w tej sprawie do UW. Przyjeliśmy zasadę, że za prace redakcyjne

nie będziemy brać pieniędzy. Będziemy płacić tylko honoraria autorom(...). Pismo będzie miało mały nakład (1,5 tys. egzemplarzy). Może w przyszłości, gdyby to poszło, moglibyśmy zwiększyć nakład i zyskać trochę pieniędzy. Na razie jest chudo i w ramach biedy trzeba się poruszać. Oczywiście gros pracy koncepcyjnej i redakcyjnej spadnie na mnie, ale wziąłem się za to i muszę oczko założyć. Później zobaczymy.

7 listopada 91

Wizyta w UW w sprawie czasopisma i Listopada Poetyckiego. Owocna. W przyszłym tygodniu rozmowa z Niewiarowskim o pieniądzach. Obiecał. Dziś zaś ukazał się w „Ziemi” wywiad ze mną na temat współpracy pisarzy polskich i niemieckich. Malina mówi, że dobry. W tych sprawach żona mnie nie rozpieszcza. Dałem także wywiad dla Radia Zielona Góra, w którym powiedziałem, że wszyscy przyjechali, poza Zieloną Górą. Może koledzy z Z.G. zdążą na kolację. Uśmiechnąłem się ja, uśmiechnął się krzywo zielonogórski dziennikarz.

10 listopada 91

Przeglądałem dziś swoje stare papierzyska – ileż tam dowodów walki o zdrowy rozsądek, ile interwencji do władz w różnych sprawach, ile spraw udokumentowanych pismami, protestów. Myślę, że niewielu ma takie archiwum. Jeśli ktoś to kiedyś znajdzie i zechce wykorzystać, będzie miał dobry materiał. Ale czy zechce? Pokupniej mu dziś będzie pisać, że zaciekły ze mnie „komuch”, bo w ten sposób nicniewartus pokaże, że od komuchowatości zechce się odcinać. Ja zaś muszę pozostać ze swoją przeszłością jak Kandyd i być optymistą w tym, że zawsze i wszędzie chciałem dany mi do przeżycia czas właściwie zagospodarowywać. (...) zawsze byłem podejrzany. Za co? Za to, że chciałem myśleć i osądzać świat z pozycji myślenia. Podobnie jest i dziś. Nawet fakt, że próbuję teraz wspólnie z Niemcami założyć pismo przeszkadza wielu osobom. Dlaczego? Przecież dziennikarze z mego otoczenia nie mają na to żadnych szans.

14 listopada 91

Czekam na sygnał z UW w sprawie losów pomocy na rzecz powstania pisma. Wiem, że termin spotkania z Niewiarowskim był kilka razy odkładany. Co ja w końcu powiem Niemcom?

16 listopada 91

(...) Po powrocie w skrzynce list od wojewody szczecińskiego, w którym ten miło mi komunikuje, że inicjatywa współpracy z Niemcami jest ważna, ale pomocy udzielić nie może z powodu luki budżetowej. Wysłałem listy do trzech wojewodów, ale z każdym uchodzącym dniem mam mniejszą nadzieję na pomoc. List woj. Tałasiewicza nawet mnie nie pomazał goryczką. Dobrze, że odpowiedział, bo w obecnej dobie chamstwa i arogancji władzy mógł list mój posłać do kosza.

20 listopada 91

Telefonowali z Frankfurtu. Niemcy są aktywni i całą parą organizują biuro. Jolanta Thomas mówi, że na wszystko, co dotyczy pracy z Polską, pieniądze są. Zakupili komputery, maszyny biurowe. Dobrze, ale przykro, bo ja trapię się, z czego sfinansować pierwszy numer „Tandemu”. A wojewoda zwleka ze spotkaniem. Ostatecznie mogę powiedzieć, że to wszystko stało się moją prywatną sprawą i nie interesuje mnie Gorzów z województwem. Ile takie odejście może się równać ze stratą kontroli nad tym, co Niemcy robią i chcą robić. Trochę zirytowany zadzwoniłem do urzędników wojewody i powiedziałem im, co myślę o takim zachowaniu. Po piętnastu minutach dostałem informację, że Niewiarowski czeka na mnie w sobotę, o 8.30. Malina mówi, że czasem trzeba się zirytować.

Dziś zadzwonił do mnie PAP. Byli zainteresowani powstaniem kontaktów polsko-niemieckich. Uważają, że cała sprawa z Brandenburgią kończy się w sferze mgławicowych rozważań i obietnic, a jedyną rzeczą konkretną jest nasza działalność. Dlatego to właśnie ich interesuje. Udzieliłem szerokich informacji, bo i mnie teraz na reklamie zależy.

23 listopada 91

Rozmawiałem z Niewiarowskim i dostałem dwa zapewnienia: 1) Jeśli wojewodowie ościenni nie zechcą partycypować w tym przedsięwzięciu, on wyasygnuje 100 mln w roku na ten cel. 2). Do końca stycznia (1992 r.) otrzymam pierwszą ratę w wysokości 25 mln. Chce żebym ja był naczelnym i żebym rozszerzał działalność. Bardzo dobry rezultat rozmowy.

26 listopada 91

Jutro jadę do Poznania na Listopad Poetycki. Może porozmawiać z pisarzami o sprawach niemieckich? Myślę, że Smarszcz i Irzyk mogliby być dobrymi autorami. Potrzebny mi artykuł o recepcji Kleista w Polsce. Może o inspiracji niemieckiej u Irzykowskiego?

10 grudnia 91

Wysłałem dziś trochę materiałów do Frankfurtu, by przetłumaczyli: wiersze Sobkowiaka, szkic Łukaszewicza, mój wiersz biblijny. Przeczytałem też zbiór wierszy Wojtka Kawińskiego i wybrałem pięć utworów do „Tandemu”.

30 grudnia 91

Dziś dostałem dwa listy: jeden z Polski (Sobkowiak), drugi z Braunchwaigu (Boba-Morawska). Wszyscy są zainteresowani współpracą z Niemcami i budowaniem pomostu przez Odrę. Są oczywiście obawy, czy „pomost” nie będzie zbudowany w jedną stronę, ale poza słusznością tych obaw jest szansa dla nas, bo język polski, niestety! jest peryferyjny i wchodzenie w tę strefę jest trudne. Pani Boba-Morawska pisze mi, że rozmawiała z żoną prof. uniwersytetu, Niemką, która pytała ją, czy Polacy piszą cyrylicą.

22 stycznia 92

Dostałem dziś trzy teksty niemieckie do „Tandemu”: tekst Gröschego, napisany taką prozą leśno-liryczną, ładny; tekst Kocha o przeniesieniu wioski serbołużyckiej do Nadrenii, bo wioska jest położona na pokładach węgla brunatnego; tekst Nauschütza, jakby reportaż z pamięci o pewnej szkole. Wszystkie te teksty są ciekawe, ale nie ma wśród nich tekstu wiodącego, swoistego kapłona numeru. Co tedy robić? Może dyskusję redakcyjną? Może wstępniak? Coś musi być, jakaś wykładnia redakcyjna – bez tego numer ukazać się nie może. Jaka idea tego? Most? Pomost? Może stwarzamy nowy region?

Trochę rozmyślałem o naszym przedsięwzięciu literackim na pograniczu. Zdaje się, że zadaniem podstawowym jest zmiana obrazu Polaka w oczach Niemca i odwrotnie. U nas Niemiec to człowiek dobrze zorganizowany, sprawny, podporządkowany, nawet wykształcony, ale o cechach teutońskich. Warto więc pisać o tym, jak dzieci niemieckie się bawią, jak ludzie cierpią, jak kobiety Kochają – czyli eksponować ludzkie oblicze Niemca. Natomiast obraz Polaka to dzikus, handlarz, pijak, spekulant, a tu i ówdzie dziwią się, że my posługujemy się ludzkim pismem. Warto więc pokazywać nie geszefciarza, a wysublimowanego intelektualistę. Sądzę, że te wysiłki należy czynić. Może już uwypuklić to w dyskusji pierwszego numeru.

30 stycznia 92

Byliśmy w Niemczech. Odbyliśmy konferencję redakcyjną, na której ustaliliśmy: a) Do pracy nad pismem nie możemy przystąpić, bo brak nam dobrych materiałów oraz pieniędzy na ich wydanie. b) Biuro literackie będzie uruchomione, prawdopodobnie będzie miało cztery etaty, w tym jeden dla wydawnictwa. Dopiero 29 lutego 92, na ogólnym spotkaniu ustalimy, jakie prace podejmiemy. Zatem odłożenie sprawy. Jak długo? Do wiosny. Nic nam nie pozostaje, tylko czekać, natomiast w ich gazecie uruchomiona zostanie wkładka literacka, gdzie reflektują na wiersz Furmana i Sobkowiaka, z notkami, z fotografiami. To już jest coś. Ogłoszą też fragment szkicu Łukaszewicza. Będę jednak musiał o zwłoce do nich napisać. Co robić? Początki zawsze są trudne. Niemcy mówią zresztą bez ogródek, że rząd landowy pierwszy numer sfinansuje, ale następne już nie, trzeba szukać sponsora. Gdzie i jak go szukać? Ja tego robić nie potrafię.

31 stycznia 92

Dostałem list podpisany przez dyr. Wydziału (Kultury) w Zielonej Górze, który prosi mnie o coś w rodzaju sprawozdania o tym, co robiliśmy w Niemczech 30 stycznia 92. Bezcelność. Pisałem do nich o całej sprawie i prosiłem o współpartycypację. W odpowiedzi zażądali szczegółów na ten temat (...). Muszę odpowiedzieć im sprytnie, a wymijająco. Okpię ich, ale tak, by czuli się usatisfakcjonowani.

1 lutego 92

Wysłałem (...) list do dyr. Sudera, gdzie podziękowałem mu za zainteresowanie naszymi sprawami, które rozwijają się dobrze dzięki pomocy woj. gorzowskiego, a dla dalszego rozwoju uzyskałem współpracę kolegów z Poznania, Bydgoszczy, Krakowa i W-wy. Napisałem też, że podróż mieliśmy dobrą, a spotkanie było owocne.

Zadzwoiłem też do Sobkowiaka o fotografię, powiadomiłem kogo można, że oczekuję fotografii od Furmana. Skaranie boskie z tymi ludźmi: Furman i Słomka nie mogą jeździć do Niemiec, bo nie mają paszportów (przecież ja im ich nie kupię), N., bo nadużywa alkoholu. Z kolei Z., który jak dotąd spełnia funkcję kierowcy, pcha się do spraw, o jakich nie ma pojęcia (...). I ja muszę z nimi pracować, bo innych nie mam. Może coś z tych młodych się wykluje?

3 lutego 92

Zwróciłem się do Zysnarskiego, by w rewanżu za „Märkische Oderzeitung”, która nam zrobi kolumnę, zrobić tu, w „Ziemi” kolumnę niemiecką. Powiedział, że można to zrobić, ale kosztować to nas będzie 7-10 mln zł. I na cóż nam taki interes? Jeśli trzeba byłoby zapłacić taką sumę, to w piśmie o nakładzie 130 tys., a nie 35 tys. egz., czyli w „Gazecie Lubuskiej”, a nie w „Ziemi”.

Co jednak zrobić z całą współpracą z Niemcami? Prawda, że zebraliśmy materiały na jeden numer „Tandemu”, ale nie są to teksty, które mogłyby zadowolić i mnie i Niemców. Przeciętność! (...). Wydanie czegoś takiego byłoby zdecydowaną porażką, a ponosić klęskę, nim się zaczęło walkę, nie ma sensu.

4 lutego 92

(...) umieszczenie kolumny literackiej Niemców zaproponowałem „Nowej”. Ci zaś odwrotnie suponowali, by może robić u nich kolumnę kwartalną. „To lubię” – powiedzieć mogę po Mickiewiczowsku. To konstruktywne rozwiązanie byłoby jajkiem Kolumba do czasu uruchomienia „Tandemu”. Oczywiście ja bym musiał tę kolumnę przygotować. I przygotuję. Jestem tak rad, że już myślę, jak zrobić tę kolumnę: wiersze Preisslera i Klempta przełożę z Jolą, prozę mam przełożoną, wstęp sam napiszę.

7 lutego 92

Dziś znowu w „Nowej” i tam „kupili” kolumnę współpracy z Niemcami (...). Przecież jeśli chce się tak bardzo iść do Europy, trzeba iść przez Odrę, a najlepiej przejść suchą stopą, po kładce zbudowanych porozumień. Tą kładką, pomostem mają być kontakty ciągłe i uporczywe, utrzymywane nawet wbrew przeciwnościom. Głównie zaś chodzi o to, byśmy przez te kontakty mogli wytwarzać grunt, na którym stworzymy prawdziwy obraz Niemca w oczach Polaka i odwrotnie. Sądzę, że taka kolumna w gazetach ich i naszych może być dwustronnym przy-czołkiem dobra. Jestem wdzięczny „Nowej”, że daje nam łamy.

8 lutego 92

Wymyśliłem dziś, że należałoby po 29 lutego 92 (pobyty we Frankfurcie) zwołać w Gorzowie konferencję prasowo-informacyjną o naszych wspólnych działaniach z Niemcami, na której warto by było poinformować o tym, co robimy, co już zrobiliśmy, co będziemy robić. Bądź co bądź, za Odrą idzie im lżej, gdyż Biuro dostało cztery etaty oraz 14,5 tys. DM na działalność operatywną w tym roku.

29 lutego 92

Byliśmy we Frankfurcie. Braliśmy udział w ogólnym, informacyjnym zebraniu naszego stowarzyszenia (Deutsch-Polnisches Literaturbüro). Niestety, nie mamy koncepcji czasopisma. Niemcy boją się zbyt wysokiego pułapu elitaryzmu. Powiadają, że to mogłoby przewekslować się w stronę zapatrzonego w siebie „chowu wsobnego”. Oczywiście, że niebezpieczeństwo takie istnieje, ale jest ono nie mniejsze niż stoczenie się do kokieterii byle jakiego czytelnika, a co za tym idzie, do płytkiej komercjalizacji. Jeżeli w taką stronę by to poszło, ja odejdę.

1 marca 92

(...) pracowałem nad przekładami Preisslera. To niezły poeta. Ma poetycką wyobraźnię i głębokie widzenie rzeczy. Dotrę do jego dna. Na razie widzę, że jest ono głęboko humanistyczne.

8 marca 92

Dziś od rana pisałem i napisałem utwór poetycki pt. „Odrą piszę”. Jest to coś w rodzaju adresu, wezwania do głosu Helmuta Preisslera, by ten podjął temat Odry, jako rzeki łączącej kraje. Jeśli tak się stanie, zresztą niezależnie od tego, czy Preisslera to wzbudzi do poetyckich działań, moje wystąpienie wprowadza nasze stowarzyszenie pisarzy w nową fazę. Dotąd byliśmy w fazie organizacyjnej, a teraz poszliśmy wyżej, w fazę twórczych dokonań. Nie wiadomo czym się skończy, ale początek jest, moim zdaniem, dobry. Dobrze i to, że inicjatywa jest z naszej strony.

23 marca 92

(...) Odra nie ma w Polsce literatury. Może więc zrobić z tej granicznej rzeki coś w rodzaju Renu na łąkach Niemiec i Francji. Trzeba by było rozpocząć działania po obu brzegach rzeki: może powymyślać legendy? Może wiersze? Może dramaty? Może wywołać utwory konkursem? Zainteresować tym czasopisma, związki twórcze, miasta? Stworzyć artystyczny region Odry. Wprowadzić tę rzekę do literatury polskiej, popłynąć nią do morza ludzkich wyobrażeń.

28 marca 92

Byli dziś u mnie goście z Frankfurtu. Przywieźli materiały literackie i wiadomości. Dałem im do tłumaczenia opowiadanie „Zaćmienie” oraz nowy poemat „Odrą pisane”, który jest prowokacją wobec Preisslera, może wyzwaniem do pisania.

W najbliższym tygodniu dowiem się o terminie wywiadu ze Stolpem. „Nowa” czeka.

31 marca 92

Odbyłem konstruktywną rozmowę z Dreczką, obiecał poprzeć nasze starania o fundusze.

2 kwietnia 92

Dreczka zadzwonił do Min. Kultury i Sztuki do „Funduszu Literatury”, którym nadal steruje p. Agnieszka Strzelecka. Znam ją dość dobrze. Dobrze ze strony Dreczki, że zadzwonił i wnioskuje (o środki), dobrze że tam jest Strzelecka. Dobrze, bo są duże szanse na pieniądze na „Tandem” i inne wydawnictwa. Agnieszka zresztą miała powiedzieć, że jeśli przy tym jest p. Zdzisław – dobry poziom jest gwarantowany.

14 kwietnia 92

Wczoraj wizyta Niemców z Eberswalde, dzisiaj rozmowa z p. Agnieszką z MK i Szt. Wczoraj uzgadnianie terminu wyjazdu na spotkanie z młodzieżą licealną razem z Preisslerem. Ten ostatni, jak wynika z listu do Eberswalde, wyraził radość, że będzie tam ze mną. Miłe, jeśli ktoś chce się z człowiekiem spotkać. Nie mniej miła rozmowa z Agnieszką S., która obiecała pomóc w sprawie współpracy polsko-niemieckiej i zaprosiła mnie do W-wy na rozmowy.

14 kwietnia 92

Telefon z Frankfurtu. Dzwoniła Jola Thomas, że chcą, bym był prezesem Deutsch-Polnisches Literaturbüro. Znaczący Herr Präsident. Czy zgodzić się na wybór? Raczej tak, bo jeśli nie ja – to kto? Oczywiście, że jak będę Präsident, odejdę od redagowania gazety i pracy redakcyjnej nad tekstami. Wolę być tym „Starzec – oficjelem”. A jak to będzie przyjęte u nas? Sadzę, że dobrze. Chociaż Z. i N. mogą być trochę krzywi, że ich nie będzie. Trudno. Chcą oni (Niemcy) także, by w skład zarządu wszedł Jach, ewentualnie Dreczka jako młody poeta.

21 kwietnia 92

Rozmowa z Dreczką. Pieniądze na niemiecką sprawę są zawarowane, ale nic więcej. Np. zwrotu kosztów podróży dla ludzi spoza Urzędu nie będzie. To znaczy dla mnie. Cóż, będę musiał korzystać z diet niemieckich. Przecież nie mogę rabować domu z małych przychodów rentowych.

9 maja 92

Wczoraj byliśmy we Frankfurcie. Biuro pisarzy urządzone. Zarząd Miasta płaci im czynsz i wyposażył biuro: maszyny, biurka, krzesła, telefon. Odbyliśmy posiedzenie, a w porządku dziennym było: 1) Wzajemna informacja o pracach.

2) Wybory zarządu. 3) Czytanie wierszy młodych autorów – wystąpili Klempt i Sobkowiak. Ciekawe, że atmosfera spotkania utrzymana była w tonie skupionego zainteresowania. Sobkowiak był zadowolony.

Wybory odbyły się w głosowaniu jawnym, a w skład zarządu weszli: Zdzisław Morawski – prezes; Gerhard Grösche – v-ce prezes; dwaj sekretarze – Słomka i Klempt. Skarbnika jeszcze nie wybrano. Jestem więc prezesem. Niemcy zaproponowali, by nazywać tę funkcję po ichniemu Präsident, ale ja prosiłem, by posługiwano się w tym wypadku Vorsitzende. U nas to brzmi po prostu mniej pretensjonalnie. Słomka będzie przy tym, wespół z Peltzem zajmował się piśmem „Prom” (Nazwa „Tandem”, jak się okazało, była u Niemców zastrzeżona). Obok niego, ze strony polskiej w redakcji będą: Zaborowski i Sobkowiak. Z tym ostatnim umówiłem się na wyjazd do Frankfurtu, a także na spotkanie w Zielonej Górze, by tam rozszerzyć wpływy organizacji. Teraz czekają mnie działania organizacyjne i reprezentacyjne: a) Wizyta zarządu u wojewody; b) Wizyta u ministra kultury Brandenburgii. Wizyta u prezydentów miast Frankfurtu i Gorzowa.

Najważniejsze jednak to, że na moje poetyckie posłanie w postaci poematu „Odrą pisane” odpowiedział Preissler wzruszającym lirykiem, w którym aż kipi od szczerego wyznania, że od dłuższego czasu umilkł, a mój wiersz otworzył w nim na nowo pokład poetyckiej eksploatacji. Jeśli czyn taki wprowadziłem w życie, to rzecz ważna, dla człowieka najważniejsza...

Klemens Neumann

**Jugenderinnerungen aus Landsberg a. W.
1928-1945**

VORWORT

Mit diesem Bericht möchte ich versuchen, aus dem Gedächtnis heraus meine Erlebnisse aus dieser Zeit zu schildern. Ich wurde am 7. April 1928 in Landsberg/Warthe geboren, wo ich auch aufwuchs. 1945 musste ich als 16-Jähriger und als Angehöriger des Volkssturms meine Stadt Landsberg verlassen. Über 60 Jahre sind seitdem vergangen. Daher ist mein Bericht selbstverständlich ein ganz anderer, als wenn ich in den letzten Jahren des „deutschen“ Landsbergs schon 20 oder 30 Jahre alt gewesen wäre. So war ich in den letzten Jahren des von Deutschen bewohnten Landsbergs noch sehr jung. Trotzdem hoffe ich, dass ich mit folgenden Zeilen einen kleinen Beitrag für meine Nachwelt vor allem für die Geschichtsforschung des heutigen Gorzów leisten kann.

MEINE ELTERN

Johanna Neumann, geb. Röning; geb. am 02.12.1903 in Landsberg, gest. am 23.07.1982 in Georgsmarienhütte. Hausfrau. Sie war das 6. Kind von Helene Röning, geb. Wolff aus Landsberg und Emil Röning. Sie führten ein gehobenes Leben. Ihr Vater, Emil Röning, geb. 1870 – gest. 1930, war Fabrikdirektor der Pauckschen Maschinenfabrik in Landsberg (seine Berufslaufbahn begann auch dort mit einer Lehre zum Maschinenbauer). Diese Fabrik besaß zu Anfang des 20. Jahrhunderts gut 3000 Mitarbeiter und stellte Dampfmaschinen her. Viele dieser Maschinen gingen damals nach Russland. Soviel ich weiß, sollte Emil Röning vor dem Ersten Weltkrieg eine Niederlassung in Moskau/Russland aufbauen. Der Krieg verhinderte dieses jedoch. Mit der Inflation Anfang der 20er Jahre verlor Emil Röning ein Großteil seines Vermögens.

Clemens Neumann, geb. am 05.11.1902 in Habelschwerdt/Schlesien, gest. am 30.08.1984 in Goslar. Gelernter Beruf Drogist. Clemens Neumann kam in den 20er Jahren nach Landsberg und fand eine Anstellung bei der Likörfabrik/Wein-großhandlung R. S. Ehrenberg (gegründet 1780 – beliebte Spirituose war der *Alt Ehrenberg Benediktiner*). In Landsberg lernte er auch meine Mutter kennen. Im Laufe der 30er/40er Jahre wurde er Geschäftsführer der Firma Ehrenberg. Das Stammhaus befand sich unmittelbar an der Marienkirche, Ecke Brückenstr./ Marktplatz – heute ul. Mostowa/Stary Rynek). Einen exemplarischen Briefbogen der Firma zeigt die Anhang. Ein großes Werbeplakat prangt auf einigen alten Postkarten über dem Verkaufshaus. Bis 1935/36 besaß die Firma zu Auslieferung der Ware Pferdefuhrwerke. Erst dann stellte man sich komplett auf den Transport mit Lastkraftwagen um.

Vor oder während des Krieges bekam mein Vater das Angebot, eine Spirituosenfabrik auf der Krim/Russland übernehmen zu können. Meine Mutter sagte daraufhin: „Wenn du das übernimmst, lass ich mich scheiden. Ich will mit einem Nazi-Schwein nicht verheiratet sein“.

Nach dem Krieg kaufte er die Namensrechte der Firma von Frau Ehrenberg ab und eröffnete Anfang der 50er Jahre in Langeslheim/Harz die „neue“ Spirituosenfabrik Ehrenberg. In den 70er Jahren verkaufte er die Rechte an einen Apotheker. Noch heute werden von einem Apotheker in Bad Harzburg/Harz Spirituosen unter dem Namen Ehrenberg in kleiner Anzahl verkauft.

MEINE JUGENDERINNERUNGEN

1928-1933

Geboren wurde ich in Landsberg. Ich wohnte mit meinen Eltern zuerst in der Meydam Str. 48 (heute ul. Mieszka), bevor sie in die Zechower Str. 55 (gegenüber vom Städtischen Krankenhaus) in das Haus meiner Großeltern mütterlicherseits zogen. Den Großeltern gehörte das Haus. Sie wohnten im Erdgeschoss, den Rest der Wohnungen haben sie vermietet. Wir wohnten im 1. Stock über dem Haupteingang. Auf der Reise nach Gorzów im Frühjahr 2005 haben wir festgestellt, dass das Haus und der Hinterhof noch heute fast unverändert geblieben sind. Hier im Hause meiner Großeltern erlebte ich meine ersten Jugendjahre. Im Erdgeschoss wohnte unter anderem eine Familie Wolf. Die Tochter Christel Wolf war so in meinem Alter und damit meine erste Spielgefährtin. Herr Wolf war damals arbeitslos und Mitglied in der kommunistischen Partei. Er trug auch eine Uniform und war dort in der Musikkapelle Trommler. Mein Vater war SA-Mann (SA Sturmabteilung) und Mitglied der NSDAP (Nationalsozialistische Deutsche Arbeiter Partei). Als ich später einmal meinen Vater fragte, warum warst du damals schön in der SA und NSDAP, dann bekam ich folgende Antwort: „Junge, Deutschland hatte damals 6 Millionen Arbeitslose, laufend wechselten die Regierungen, das Rheinland war von den Franzosen besetzt und die damaligen Siegermächte aus dem 1. Weltkrieg stellten uneinlösbare Forderungen. So fanden die Worte von Adolf Hitler offene Worte, als er dem deutschen Volk versprach wieder ordentliche Verhältnisse zu schaffen und den Arbeitslosen wieder Arbeit versprach, so dass viele Menschen sich damals sagten, versuchen wir es doch einmal mit Adolf Hitler. Schafft er es, dann erkennen wir ihn an, schafft er es nicht, dann muss wieder ein anderer gesucht werden“.

Ich meine, dass diese Antwort einleuchtend ist und man keinen Menschen Vorwürfe machen kann, wenn sie sich damals der NSDAP anschloss. Jeder wollte doch nur das Beste für sein deutsches Vaterland. Mein Vater erkannte aber mit Beginn seines Wehrdienstes im Jahre 1939, dass das, was ihm von der NSDAP und von Hitler versprochen wurde (u.a. „Es gibt keinen Krieg“), nicht mehr stimmte – er fühlte sich betrogen. Als Konsequenz trat er aus der SA und aus der Partei aus (1940/41). Meiner Meinung hatte dieser Austritt aber auch etwas mit Herrn Pinkert zu tun, ein Jude der in Landsberg seine Identität verbarg (siehe unten).

Häufiger verließen abends Herr Wolf und mein Vater gleichzeitig das Haus um zu ihren Parteidiensten zu gehen. Häufig gingen beide noch eine ganze Strecke gemeinsam, bevor sich ihre Wege trennten. Ich kann mich nicht entsinnen, dass zwischen beiden jemals ein lautes Wort fiel. Politisch müssen die Januartage 1933 sehr aufregend gewesen sein; man merkte es an den Diskussionen der Erwachsenen, und wir Kinder hatten ja noch keine Ahnung von der Politik. Für uns waren immer nur die Aufmärsche etwas Besonderes, die Musikzüge, die Fahnen und die Menschen. So kann ich mich noch gut entsinnen, als es hieß, Herr Hitler ist zum

deutschen Reichskanzler gewählt worden. Der 30. Januar war ein aufregender Tag, denn abends fand ein großer Fackelumzug der SA statt. Auch Herr Wolf trug auf einmal eine SA-Uniform und war jetzt Trommler in der SA. Auch ich bekam als kleiner Steppke ein braunes Hemd, und mit einer kleinen Hakenkreuzfahne aus Papier marschierten wir kleinen Kinder hinter den großen SA-Männern. Wir waren ja damals noch dumm, aber ob uns die gewaltigen Kolonnen der SA mit ihren Musikzügen und Fahnen faszinierten? – ich weiß es heute nicht mehr. Man spürte nur ein großes Aufatmen in der großen Volksmasse, als ob man sagen wollte, jetzt kann es besser werden, jetzt bekommen wir wieder Arbeit, jetzt werden wir wieder ein Volk, eine große Gemeinschaft. Wie aber war so etwas nur möglich? Hatten vorher unsere demokratischen Parteien versagt?

Es dauerte nicht lange, dann bekam auch Herr Wolf einen Arbeitsplatz und alles ging seinen normalen Gang. Wir Kinder spielten sorglos in den Tag hinein. Nur wenn einmal eine Abteilung SA, HJ (Hitler Jugend, ab 14 Jahren), BDM (Bund Deutscher Mädel, ab 14 Jahren), Jungvolk oder Jungmädel (beide ab 10 Jahren Pflicht) durch die Straßen marschierten, waren wir neugierig und liefen hin und auch manches Mal mit hinterher. Menschen in braunen Uniformen gehörten immer mehr zum Straßenbild. Am 20. April, an Hitlers Geburtstag, gab es große Umzüge. Die Häuser wurden mit Hakenkreuzfahnen geschmückt, es wurde auch nicht mehr mit „Guten Tag“ oder „Guten Abend“ begrüßt, sondern man erhob den rechten Arm und grüßte mit „Heil Hitler“; dabei nahm man auch nicht mehr den Hut ab. In unseren Kindergehirnen spukte der Name Hitler: was muss dies nur für ein großartiger Mensch sein, ob er gleich hinter dem lieben Gott kam? Wir hörten vom Autobahnbau, von der Besetzung des Rheinlandes durch deutsche Soldaten, vom Bau des Westwalles, damit die bösen Franzosen niemals mehr nach Deutschland kommen sollten. Die Zeitungen waren voller Lob für unseren Führer, wie jetzt Adolf Hitler genannt wurde. Auch im Radio wurden laufend seine Taten für Deutschland gewürdigt. Wir Kinder wussten doch damals noch nicht, dass es keine Pressefreiheit gab. Für uns war es selbstverständlich, dass man keinen Auslandssender hören durfte, warum auch, außerhalb Deutschlands wohnten doch nur unsere alten Feinde, die uns den Wohlstand und unseren Führer nicht gönnten. So einfach ist es, so einfach ist es in einer Diktatur.

1934-37

Ob es 1934 oder 1935 war, weiß ich nicht mehr, aber eines Tages standen vor einigen Geschäften SA-Männer, einige Schaufenster waren eingeschlagen und es gab Wandbeschriftungen, wie „Ein Deutscher kauft nicht bei Juden!“. Was war denn nun los? Was sind Juden, warum darf man nicht bei Juden kaufen? Wir verstanden es noch nicht, warum auch, wir waren ja noch so jung. Aber wissen wollten wir es auch, denn man darf doch nicht einfach eine Schaufensterscheibe entzwei schlagen. Wir fanden einen Hitlerjungen, der uns aufklärte oder es versuchte, verstanden hatten wir es trotzdem noch nicht. Nach ein paar Tagen war der Spuk wieder vorbei.

In meinem Elternhaus wurde nicht über Politik gesprochen. Meine Mutter war deutschnational erzogen und gefühlsmäßig merkte ich nur, dass sie kein Hitleranhänger ist. Es passte ihr nicht, dass mein Vater zur SA gehörte und sah es nicht gerne, wenn er zum SA-Dienst ging. Um so stolzer war ich als kleiner Junge, dass mein Vater auch zu der großen Bewegung gehörte, denn für uns Kinder waren damals Uniformträger unsere Vorbilder. Ich war stolz auf meinen Vater. Er war ja nach dem 1. Weltkrieg als Freiwilliger im schlesischen Freikorps und hat gegen die Polen gekämpft, die damals nicht genug vom Deutschen Reich bekommen konnten, so mein Vater. Ich glaube, „Schlesischer Adlerorden“ hieß damals die Tapferkeitsauszeichnung, die er auch erhalten hatte. Wie war es eigentlich mit dem Freikorps Schlesien nach dem 1. Weltkrieg im Jahre 1921? Von meinem Vater weiß ich nur soviel, dass er den 1. Weltkrieg als Soldat nicht miterlebte, weil er damals noch zu jung war; er war Jahrgang 1902. Zur Zeit der deutsch-polnischen Auseinandersetzungen in Oberschlesien im Jahre 1921 war mein Vater als Drogist in Brieg/Schlesien tätig. Dort, wie auch in anderen Orten unseres deutschen Vaterlandes sammelten sich Männer, die bereit waren, schlesisches Gebiet gegen polnische Ansprüche zu verteidigen. Nach Dienstschluss traf man sich zur militärischen Ausbildung, denn offiziell war das Freikorps von der damaligen deutschen Regierung nicht anerkannt, es erfolgte alles auf freiwilliger Basis. Auf den Bahnhöfen überwachten französische Soldaten, heute würde man dafür UN-Truppen verwenden, die deutsche Neutralität.

Als der Tag des Einsatzes kam, begaben sich die Freiwilligen in zivil zum Bahnhof, wo 2 französische Soldaten als Posten standen. Mit dem Einlauf des fahrplanmäßigen Personenzuges nach Oberschlesien rollten auch 2 mit Waffen und Uniformen beladene Lastwagen auf dem Bahnsteig neben den Zug ein. Blitzschnell holte ein jeder sich seine Waffe und Uniform vom Lastwagen und nahm im Zug seinen Platz ein, so dass dieser fahrplanmäßig seine Fahrt fortsetzen konnte. Die französischen Posten waren so überrumpelt, dass diese nur zuschauen konnten ohne einzugreifen. Ab ging es an die Front, wo die schwersten Kämpfe am Annaberg waren, der am 21. Mai 1921 zurückerobert wurde. Ab und zu traf man beim Vormarsch auf frische Gräber, wo man von Polen bestialisch ermordete deutsche Landsleute fand. Der Hass der Polen gegenüber den Deutschen muss doch sehr groß gewesen sein.

Ein anderes Erlebnis meines Vaters spielte sich eines Vormittags in einem Dorf ab, wo gerade der Gottesdienst angehalten wurde. Vor der Kirche waren die Waffen der polnischen Soldaten akkurat aufgebaut, während diese in der Kirche waren, ohne einen Posten draußen zu lassen. Jetzt brauchte man nur noch das Ende des Gottesdienstes abwarten, um die Gefangennahme der Soldaten ohne Blutvergießen vorzunehmen.

Schließlich wurde auch das Freikorps von der deutschen Regierung anerkannt und deutsches Gebiet wurde vor polnischen Machtansprüchen teilweise erfolgreich verteidigt. Ich glaube, es war 1935, als zum Andenken an die Schlacht am Annaberg das dortige Denkmal eingeweiht wurde. Ich durfte damals als Schuljungen meinen Vater begleiten und war von der Festlichkeit sehr beeindruckt.

Mein Vater stammte ans Habelschwerdt, der Perle Schlesiens, wo wir häufig unsere Verwandtschaft besuchten. Als wir 1933 und 1934 dorthin kamen, grüßte man mit „Grüß Gott“, was für mich als Kind ganz neu war. Aber schon 1935 hörte man nur noch „Heil Hitler“. So schnell wurde ein uralter Gruß abgeschafft, ob freiwillig oder unfreiwillig kann ich nicht beurteilen. Ich vermute aber, dass es vor allem bei den jüngeren Menschen bestimmt freiwillig der Fall war, denn Hitler und seine Umgebung verstanden es ja, eine Begeisterung aufzubauen, wie man sie wohl niemals mehr wieder erleben wird.

Im April 1934 wurde ich in der Volksschule für Knaben eingeschult, die Schule lag in der Nähe der restlichen Stadtmauer. Am ersten Schultag gingen wir mit unseren Eltern und Lehrern zum Gottesdienst in die Marienkirche. Auch noch im ersten Schuljahr wurde vor Beginn der ersten Unterrichtsstunde gemeinsam gebetet. Religionsunterricht war ein Lehrfach bis zu meiner Einberufung am 1. Mai 1944, also auch noch auf dem Gymnasium der „Hermann-Göring-Schule“. Mir ist nicht bekannt, dass man bei uns der Kirche Schwierigkeiten machte. Wir lebten ja in der Neumark, waren also Preußen und wurden auch preußisch erzogen, dazu gehörte auch der christliche Glaube. Die ersten beiden Schuljahre auf der Knabenvolksschule waren für mich hart. Es gab Ohrfeigen und für jeden Fehler einen Schlag auf die bessere Hälfte mit dem Rohrstock. Was packten wir nicht alles unter die Hose, damit es nicht so weh tun sollte, wir versteckten den Rohrstock, aber es half nichts, die Lehrer hatten dafür schon Reservestöcke. Schreien oder weinen wollten und durften wir ja auch nicht, denn wir wurden ja für Deutschlands große Zukunft erzogen.

Es hieß doch so schön: „Ein deutscher Junge ist hart wie Krupp-Stahl, flink wie ein Wiesel und zäh wie Leder“.

In der großen Schulpause, so gegen 10 Uhr, bekam jeder Schüler eine Flasche Milch oder Kakao, wir sollten eben kräftige Knaben werden. Auch zu unseren jüdischen Mitschülern gab es keinen Unterschied, allerdings erfuhren wir erst viel später, wer ein Jude war.

In den dreißiger Jahren war es noch üblich, dass am Sonntag Nachmittag die ganze Familie spazieren ging, man wollte sich zeigen und man wollte gesehen werden. Beliebte Ziele waren die Ausflugslokale am Stadtrand, wo teilweise Kappellen zum Tanzen einluden, während für Kinder Spielplätze mit Schaukeln und Rutschbahnen Anziehungspunkte waren. Diese Ausflugslokale waren wirkliche Familiengaststätten. Man sah es den Menschen an, dass sie zufrieden waren, ja sogar fröhlich. Jeder hatte wieder Arbeit und es herrschte Ordnung, man konnte nachts durch die Anlagen gehen ohne zu befürchten ausgeraubt zu werden. Die Wirtschaft lief auf vollen Touren und dadurch war auch das Vertrauen zu Adolf Hitler groß. Parteienzwistigkeiten gab es nicht, denn es gab ja nur noch eine politische Partei, die NSDAP. Vor allem die UFA drehte wunderbare Filme, die beim Volk gut ankamen, davor gab es die Wochenschauen, diese zeigten positive Bilder aus der Schaffenswelt deutscher Frauen und Männer, zum Beispiel vom Bau der Reichsautobahn oder des Westwalls oder auch der Ostbefestigungen. Die beginnende Wiederaufrüstung und die Grenzbefestigungsanlagen sollten dem Frieden

dienen, so wurde es vom Führer gesagt. Bei besonderen Anlässen musste geflaggt werden. Jeder Wohnungsinhaber musste eine Hakenkreuzfahne besitzen und diese zum Fenster hinaushängen, so dass an diesen Tagen ganz Deutschland in einem Fahnenmeer versank. Wir waren auf einmal wieder ein stolzes Volk auf dieser Welt. Die Schmach von Versailles, so sprach man damals über den Friedensvertrag nach dem 1. Weltkrieg von Versailles, war vergessen oder sollte dazu benutzt werden, das Volk für Hitlers Pläne gefügig zu machen. Aber wer machte sich schon große Gedanken, es lief ja alles zur Zufriedenheit der großen Masse. Die Arbeitszeiten, die Löhne, die Preise, alles war festgelegt. Es gab keine Lohnkämpfe und die deutsche Arbeitsfront, eine Art Gewerkschaft, sorgte dafür, dass z.B. die Unterkünfte der Bauarbeiter menschenwürdig waren, dass die Arbeitszeiten eingehalten wurden usw. Ab und zu sammelten uniformierte Frauen und Männer, Knaben und Mädchen mit Sammelbüchsen auf den Straßen für die NSV (Nationalsozialistische Volkswohlfahrt), dem Deutschen Roten Kreuz oder für unsere Auslandsdeutschen. Dieses war zwar manchmal lästig, aber es wurde geduldet. Mein Onkel Fritz, der jüngste Bruder meiner Mutter, machte sich einen Spaß daraus, Falschgeld in die Büchsen zu stecken; er ist niemals dabei aufgefallen, sonst wäre es ihm sehr dreckig ergangen, denn in diesen Sachen verstanden die Nationalsozialisten wirklich keinen Spaß. Auch die Gerichtsbarkeit war für das ganze Reich einheitlich, so bekam ein Fahrraddieb 5 Jahre Gefängnis, ganz gleich, ob er es in Königsberg, Berlin oder Köln getan hatte. Bei diesen Strafen wagte es aber auch niemand mehr ein Rad zu stehlen. Nach dem Vertrag von Versailles durfte Deutschland nur ein hunderttausend Mann Heer unterhalten; eine Luftwaffe war uns untersagt und die Kriegsmarine durfte nur eine bestimmte Zahl von Kriegsschiffen unterhalten. Diesen Vertrag brach 1935 Adolf Hitler und führte wieder die allgemeine Wehrpflicht ein. Dieser Vertragsbruch wurde von den Siegermächten ohne Gegenmaßnahmen hingenommen, und die Bewunderung zum Führer wuchs im Volk. Obwohl wir noch aus der Kaiserzeit Kasernenblöcke in Landsberg hatten, wurden jetzt zwei neue Kasernenblöcke, die Strantz- und die Walter-Flex-Kaserne, für 2 Bataillone des 50. Infanterie-Regiments neu erbaut. Landsberg wurde damit wieder Garnisonsstadt und der Großteil der Bürger begrüßten diesen Schritt ebenfalls. Landsberg/Warthe lag nur 30 bis 40 Kilometer von der polnischen Grenze entfernt und man hegte ein gewisses Misstrauen zu den Polen, so dass man sich jetzt geschützter fühlte. Man sah es bei uns noch nicht als Aufrüstung zum Krieg, sondern als Schutz unserer Grenzen.

Wir zogen 1936 von der Zechower Str. 55 in die Küstriner Str. 110 (heute ul. Sikorskiego) in den dortigen 3. Stock. Wir wohnten jetzt fast im Stadtzentrum an der Reichsstraße 1, die von Köln über Berlin nach Königsberg/Ostpreußen führte. Hinter dem Hinterhaus floss die Cladow, ein kleiner Fluss, an dem sich der wunderschöne Stadtpark anschloss. Neben dem Haus befand sich das Café Voley, welches heute aber nicht mehr existiert. Da die Rückseite des Cafés direkt an unseren Hinterhof grenzte, schlich ich ab und zu dort hin und auch hinein und naschte vom Eis. Für uns Kinder war Speiseeis damals etwas ganz Besonderes.

Die Folge war, dass wir unseren Vater baten, uns eine eigene Eismaschine zu kaufen, welches er natürlich nicht tat. Der Besitzer des Cafés war ein gewisser Herr Pinkert, ein Geschäftsfreund meines Vaters. Wie mein Vater mir 1945 erzählte, war Herr Pinkert ein Jude und ursprünglich ein Diamantenhändler aus Berlin. Als die Nationalsozialisten an die Macht kamen, ging Herr Pinkert nach Landsberg und tauchte dort unter, indem er Geschäftsführer des Cafés Voley wurde und seine Identität dadurch zu verschleiern versuchte, was ihm auch gelang. Mein Vater, der SA-Führer und Parteimitglied war, wollte eines abends nach einem SA-Treffen in seiner Uniform noch etwas trinken und ging daraufhin in das Café. Er wusste zu dem Zeitpunkt noch nicht, dass Herr Pinkert ein Jude war.

Herr Pinkert kam auf meinen Vater zu und sagte sinngemäß: „Clemens, ich freue mich, wenn du kommst, aber ziehe bitte das nächste Mal die Uniform aus. Ich habe sonst nichts dagegen, wenn du kommst“.

Ich muss Herrn Pinkert heute für seinen Mut bewundern, da mein Vater ja in der SA tätig war und er sich somit in gewisser Weise gegen die Nationalsozialisten ausgesprochen hat. Erst später bekam mein Vater heraus, dass Herr Pinkert ein Jude war. Mein Vater schwärzte ihn aber nicht bei der Parteileitung an. Im Gegenteil, er bot Herrn Pinkert sogar Schutz, so dass er nicht entdeckt wurde und den Krieg gut überstand.

Ich wurde in die Pestalozzi-Schule, auch eine Knabenvolksschule, umgeschult, die ich noch bis 1938 besuchte. Hier fand ich neue Spielgefährten, wie Rudi Bohm, der bereits 2 Jahre älter war als ich und schon im Jungvolk war, sowie Eberhard Müller, der nur 1 Jahr älter war und mit mir in die gleiche Schulklasse ging. Mit Rudi Bohm, dessen Vater im Haus ein Frisörgeschäft hatte, habe ich viel Zeit verbracht. So haben wir auch gemeinsam Geburtstage gefeiert. Wenn Rudi Geburtstag hatte, gingen wir immer in den Frisörladen hinein und bekamen von seinem Vater umsonst die Haare geschnitten. Hier verbrachte ich noch eine wunderschöne Jugendzeit. Ich bekam mein eigenes Zimmer, während meine beiden Schwestern, Christa, geb. am 08.12.1929, und Erna, geb. am 24.02.1932, sich ein Zimmer teilen mussten. Ich hatte noch eine dritte Schwester, Hannelore, die am 19.06.1935 geboren wurde, aber schon 6 Monate später, am 11.01.1936, an einer Darmverschlingung verstarb. Hier sah ich meinen Vater in meinem Leben das einzige Mal weinen.

Eberhard Müller wohnte im Nachbarhaus, welches seinem Großvater gehörte. Hier wohnte auch ein alleinstehender älterer Herr, den wir Jungs öfters besuchten, denn für uns war er ein Held, da er nämlich im 1. Weltkrieg das eiserne Kreuz als Tapferkeitsauszeichnung erhalten hatte. Adolf Hitler war nämlich auch Träger des Eisernen Kreuzes 1. Klasse; so waren diese Männer für uns Jungs große Vorbilder, die wir bewunderten. Doch eines Tages sprang der alleinstehende Herr aus dem 3. Stock auf die Straße und nahm sich so das Leben. Erst da erfuhren wir, dass er Jude war. Ob er schon Schwierigkeiten mit Nationalsozialisten hatte, weiß ich nicht. Die Erwachsenen schwiegen und wollten keine Auskunft geben. Wir Jungs waren traurig, denn für uns war er ein Held und kein Jude. Meine Schwester

bekam von ihrem Patenonkel aus Katscher in Oberschlesien häufiger Zeitschriften, und zwar „Der Stürmer“. Diese waren reine Hetzschriften gegen die Juden, wie zum Beispiel: „Trau keinem Fuchs auf grüner Heid und keinen Jud bei seinem Eid!“.

Der ältere Herr hatte auch gar keine Hakennase, wie immer im Stürmer beschrieben wurde, denn daran sollte man ja auch einen Juden erkennen können. Ebenfalls waren die Juden im Stürmer als Feiglinge dargestellt. Das war doch der ältere Herr auch nicht gewesen. Also wurden wir zum ersten Mal nachdenklich, aber begriffen noch nicht die ganzen Zusammenhänge.

Da wir keinen eigenen Garten besaßen, pachtete mein Vater 1937 einen Schrebergarten. Diese Schrebergartenkolonie lag an der Heinersdorfer Str., später Adolf-Hitler-Str. Die Pazelle war 400 qm groß. Ca. 100 qm haben meine Eltern für den Anbau von Gemüse und Obst genutzt. Gedüngt wurde mit Pferdemit, welchen mein Vater organisierte. Meiner Schwester Christa war es immer peinlich den Mist mit einem Handkarren durch die Straßen zu ziehen. Auf den restlichen 300 qm durfte ich mehrere Tiere halten. Ich besaß Enten, Hühner, Tauben und Kaninchen, die mit der Zeit richtig zahm wurden. Die einzige Bedingung meiner Eltern war, dass ich die Tiere selbst versorgen musste und zwar noch vor der Schule. Dieses tat ich aber auch gerne. Als ich später eingezogen wurde, musste meine Mutter jeden Morgen die Tiere versorgen.

1938

1938 war für mich ein bedeutendes Jahr. Ich wurde ein Jungvolkjunge. Jeden Mittwoch und Samstag von 15 bis 17 Uhr hatten wir Jungvolkdienst. Im Sommer trugen wir ein Braunhemd mit schwarzer Hose, die Hosenbeine durften nur zwei handbreit über das Knie reichen. Die Haare durften nur die Länge eines Streichholzes haben und so blieb es bis zum Kriegsende, denn auch als Soldat wurde auf kurzen Haarschnitt geachtet. Unser Fähnlein, ca. 180 Jungen, trat immer an der Mädchen-Volksschule in der Adolf-Hitler-Straße, vorher Heinersdorfer Straße, an. In den zwei Stunden wurden wir wie Soldaten, nur ohne Waffen, ausgebildet. Wir lernten neben dem Marschieren und Kämpfen auch herrliche Lieder, wie „Wir lagen vor Madagaskar...“, „Früh morgens, wenn die Amsel singt...“, „Kehr ich einst zur Heimat wieder...“, „Es steht eine Muhle im Schwarzwälder Tal...“, aber auch „Ein junges Volk steht auf...“. Wenn wir marschierten wurde kräftig gesungen und es machte uns Spaß. So sangen wir auch viel, wenn wir keinen Dienst hatten. Unsere Führer kamen aus den eigenen Reihen und als man ein halbes Jahr dabei war, musste man eine Pimpfenprobe ablegen. Wenn man diese bestand, durfte man den Lederknoten am schwarzen Halstuch tragen und das Fahrtenmesser am Koppel. Die Pimpfenprobe bestand aus einer 24-stündigen Fahrt. Wir fuhren ca. 20 km mit dem Fahrrad in die Jugendherberge nach Altensorge, ein kleines Dorf im Kreise Landsberg mit einem großen See und umgeben von Kiefernwäldern. Hier wurden wir einquartiert, mussten nachts stehen, immer mit

zwei Mann, und sollten dabei in gewissen Abständen um das Haus gehen. Diese Rundgänge machte ich wohl 2 oder 3 Mal, dann wurde es mir doch zu unheimlich. Dauernd knackten Äste im angrenzenden Wald, Gestalten sah man ab und zu zwischen den Bäumen verschwinden. Ich bekam dabei doch ein komisches Gefühl. Wir machten Meldung bei unseren Führern, doch diese reagierten überhaupt nicht, so dass ich anschließend nur noch so tat, als ob ich als Wache um das Haus ging. Später erfuhren wir, dass unsere Führer Jungvolkungen aus Altensorge bestellt hatten, um uns Angst zu machen.

Verpflegung hatten wir mitgenommen, so dass wir uns morgens lediglich „Muckefuck“, ein dünner Kaffee, zubereiteten und mittags kochten wir uns Suppe aus Maggie-Würfeln. Militärisch ging es morgens vor, wir lernten Betten bauen, Stubendienst, mussten gemeinschaftlich Schuhe putzen und einen Waldlauf ausführen. In der mündlichen Prüfung mussten wir den Lebenslauf von Adolf Hitler aufsagen, der damit begann:

Am 20. April 1889 wurde Adolf Hitler als Sohn eines Zöllners in Braunau am Inn geboren. Nach dem Schulbesuch wurde er Maler und bei Ausbruch des 1. Weltkrieges meldete er sich als, Österreicher bei einem bayrischen Regiment als Kriegsfreiwilliger. An der Westfront war er als Melder im Einsatz und bekam für die Gefangennahme von 20 Franzosen das Eisene Kreuz erster Klasse, sein Dienstgrad war Gerreiter, deshalb wurde später immer abfällig „vom Gefreiten“ gesprochen, wenn damit Hitler gemeint war, natürlich durfte dies nicht jeder hören, denn Spitzel gab es überall. Schwer verwundet erlebte Hitler 1918 die deutsche Kapitulation usw.

Ferner wurde in der damaligen Zeit folgende Fangfrage gern gestellt: „Was kommt hinter dem 3. Reich?“ Antwortete man mit 4. Reich, dann war man durchgefallen, denn das 3. Reich sollte ja ewig dauern, 1000 Jahre und noch mehr. Wir Jungs waren aber damals schon pffiffig, so schnell ließen wir uns nicht aufs Glatt-eis führen und wir bekamen ziemlich schnell ein Gespür dafür. Gegen Abend fuhren wir wieder heimwärts, immer 2 Radfahrer nebeneinander, es musste alles seine militärische Ordnung haben. Vorher lernten wir noch den „Affen“ richtig packen. Mit Affen bezeichnete man den Tornister, den auch die Soldaten mit sich führen mussten.

Im Jungvolk war ich 4 Jahre. Die erste Zeit war man mit großer Begeisterung dabei, doch später machte es mir und meinen neuen Freund Wilfried Vogler keinen Spaß mehr. Den ewigen Drill mochten wir nicht, so strengten wir uns auch nicht an Jungvolkführer zu werden. Wir kamen einfach ab und zu spät zum Dienst. Unser Fähnleinführer sagte daraufhin:

„Solche Leute kann ich als Führer nicht gebrauchen!“ So wurden wir von der Liste gestrichen und blieben einfache Pimpfe. Mit Pimpf bezeichnete man einen Jungvolkungen. Auch kam hinzu, dass öfters sonntags Dienst gemacht werden musste und immer wieder wurde das Marschieren geübt. Als wir als Fährdeinführer den Sohn vom General von Hase bekamen wurde es noch militärischer. Aus uns machte man schon richtige kleine Soldaten.

Im Winter trugen wir eine schwarze Skihose und dazu eine passende schwarze Jacke und eine Skimütze. Schön waren die gemeinsamen Stunden während der Weihnachtszeit, wo wir zusammen Weihnachtsheder sangen und bastelten. Unsere Uniformen mussten zu jedem Dienstantritt sauber sein, es durften keine Knöpfe fehlen. War einmal ein, Knopf auf, so konnte es passieren, dass uns unser Führer diesen abtrennte und wir ihn wieder annähen mussten, damit wir uns nicht den Charakter erkälten, so war die Redewendung. In den Brusttaschen mussten wir Verbandspäckchen tragen, damit bei einer Verletzung sofort erste Hilfe geleistet werden konnte. Erste Hilfe Lehrgänge gehörten auch zu unserer Ausbildung. Was wurden wir gescheucht, wenn wir ein schmutziges Taschentuch oder Kamm oder schmutzige Fingernägel hatten, eigentlich ganz selbstverständliche Dinge. So gehörte auch dazu, dass wir gegenüber älteren Menschen höflich und hilfsbereit aufzutreten hatten. War in der Straßenbahn oder Bus kein Platz mehr frei und eine ältere Person stieg dazu, so war es unsere Pflicht Platz zu machen. Oder plagten sich ältere Menschen, so mussten wir unaufgefordert helfen, wenn wir dazu Zeit hatten. Während des Dienstes trugen wir älteren hilfsbedürftigen Menschen Brennholz und Kohlen in die Wohnung, wir verkörperten eine große Volksgemeinschaft. Verrat oder in der Schülersprache Petzen war verpönt, hatte einmal einer etwas ausgefressen, so trugen wir die anschließende Strafe alle gemeinsam, aber verraten wurde keiner. Wir bestrafte höchstens denjenigen, der uns in eine Sache mit hineingezogen hatte, anschließend unter uns.

Meine Heimatstadt Landsberg war durch die Warthe geteilt; die Gerloffbrücke, benannt nach unserem Bürgermeister, verband die Stadt. Jetzt kam es schon einmal vor, dass das Jungvolk des einen Stadtteiles gegen den anderen Stadtteil kämpfen musste. Da wir alle die gleiche Uniform hatten, bekamen die einen gelbe Bänder um das linke Armgelenk und die anderen blaue. Jeder musste versuchen von seinem Gegner das Band zu entreißen, dieser durfte dann nicht mehr weiter kämpfen und war Gefangener. Außerdem besaß jedes Fähnlein eine Fahne, und diese war etwas ganz was heiliges und musste bei diesen Auseinandersetzungen mitgeführt werden. Es war ganz natürlich, dass um die Fahne am schlimmsten gerauft wurde und es war auch eine furchtbare Blamage für ein Fähnlein, wenn man diese verlor, man durfte sich doch nicht zum Feigling abstempeln lassen. Bei einer dieser Auseinandersetzungen sah ich auf einmal, dass unsere Fahne drohte verloren zu gehen. Geistesgegenwärtig riss ich das Fahnentuch vom Fahnenstiel und verschwand mit dem Fahnentuch im nächsten Haus. Über Hinterhöfe und Umwegen schlich ich mich zu unserem Sammelplatz und wurde dort als Held gefeiert, weil ich unsere Fahne gerettet hatte. Mit dieser Reaktion hatte ich nicht gerechnet, weil ja jetzt die Fahne entzwei war und der Stiel fehlte. Irgendjemand beschaffte einen neuen Stiel und der Schaden war bald behoben, so dass wir wieder stolz mit unserer Fahne marschieren konnten. In den Ferien wurden auch Zeltlager durchgeführt. Hier wurde sehr darauf geachtet, dass Jungen strikt von Mädchen getrennt blieben, die dabei gepflegte Kameradschaft war immer wieder die Grundlage für die gemeinsamen Erlebnisse. Es gab keinen Unterschied

zwischen Volks-, Mittel- oder Oberschülern, ob der Vater Offizier, Arzt, Rechtsanwalt, Bauer oder Arbeiter war, wir waren alle eine Gemeinschaft nach der Parole: „Einer für alle, alle für einen“. Im Kino sah ich einmal, wie der Duce, es war der Führer der Italiener und Hitlers Verbündeter, dieses Gemeinschaftsdenken seinem Volke bildlich vorstellte, in dem er einen Stock erhob und diesen zerbrach, danach nahm er ein ganzes Bündel, doch dieses konnte er nicht mehr zerbrechen.

Unsere damalige Führung verstand es schon und man muss es sich einmal vorstellen, dass im ganzen deutschen Reich zur gleichen Uhrzeit das Jungvolk oder die HJ antrat und ihren Dienst ausführte. Vor allem am Geburtstag unseres damaligen Führers am 20. April wurden an allen Orten unseres Vaterlandes große Aufmärsche gemeinsam mit allen Organisationen einschließlich Wehrmacht und Reichsarbeitsdienst veranstaltet. Durch die Vereinheitlichung in der Uniform, in der politischen Gesinnung im täglichen Umgang miteinander wurde die Masse des deutschen Volkes zu einer Einheit geschmiedet, ohne dass es groß auffiel und es gab auch kein ausscheren. Auch eine weitere Grundlage unserer Ausbildung war der Gehorsam und die strikte Ausführung jeden Befehles, auch wenn man diesen für falsch hielt, Debatten darüber wurden nicht geduldet. Anders war es aber auch nicht möglich ein ganzes Volk so zu führen, wie es die nationalsozialistische Führung wollte. Adolf Hitler wurde uns allen tagtäglich als das große Vorbild und Genie emgehämmert, so wie heute, wo man im Fernsehen zum Beispiel Nachrichten aus der ganzen Welt sehen und hören kann gab es noch nicht. Die Presse wurde von der Partei kontrolliert und warum sollte sich jemand dagegen auflehnen. Jeder war zufrieden, dass er Arbeit hatte und wollte auch vorwärts kommen. Hätte in der damaligen Zeit jemand gewagt etwas gegen Hitler zu schreiben, der wäre von der breiten Masse, nicht einmal von der Partei, gesteinigt worden, weil Hitler schon einen derartigen unantastbaren Plate in der Volksseele besaß, dass nur er alles kann, dass nur er alles richtig macht, eigentlich unvorstellbar, aber es war so. Deutsche Arbeiter fuhren auf KdF-Schiffen (KdF = Kraft durch Freude) nach Norwegen, wo gab es so etwas schon einmal? Es wurden Siedlungshäuser für Arbeiter gebaut, da mussten doch diese Leute an Hitler glauben. Wenn man heute Bilder aus dieser Zeit sieht, wo die Volksmasse Hitler zujubeln, so war dieser Jubel echt.

In den letzten Monaten meiner Schulzeit auf der Knabengrundschule, der Pestalozzi-Schule, im Frühjahr 1938 müssen meine schulischen Leistungen so nachgelassen haben, dass eines Tages mein dortiger Klassenlehrer meine Mutter aufsuchte und seine Bedenken gegen einen Wechsel auf das Gymnasium (Hermann-Göring-Schule) anmeldete. Jetzt wurde ich wieder bei den Schularbeiten von meiner Mutter strenger beaufsichtigt, so dass ich die Aufnahmeprüfung doch zum Gymnasium schaffte. Im ersten Schurjahr der Sexta (erste Klasse einer höheren Lehranstalt) waren wir drei Klassen mit je 50 Schülern, ein Jahr später waren wir nur noch 2 Klassen mit ca. 50 Schülern und die Klassen schrumpften in den folgenden Jahren bis zu meiner Einberufung auf 27 Schüler zusammen. An ein Erlebnis aus der Sexta kann ich mich noch erinnern. Eines Tages hatten wir mit

unserer Klasse eine Fahrradtour gemacht. Ein Mitschüler, ein Jude, aus unserer Klasse wurde während der Fahrt mit „Judenbengel, Judenbengel“ beschimpft. Wir alle haben einfach mitgemacht und es geschehen lassen. Selbst der Studienrat hat nichts dagegen unternommen. Einige Tage später kam der Schüler nicht mehr in die Schule. Was aus ihm geworden ist, weiß ich nicht. Im Nachhinein ist es grausam zu erkennen, wie wir jungen Menschen von dem nationalsozialistischen System benutzt wurden. Selbst vor unseren eigenen Mitschülern haben wir keinen Halt gemacht.

Schüler mit überdurchschnittlichen Leistungen, dazu gehörten auch gute sportliche Leistungen wurden für die Adolf-Hitler-Schulen ausgesucht. Auf diesen Eliteschulen wurden junge Menschen im Sinne des nationalsozialistischen Geistes zu künftigen Führungskräften erzogen. Auch ein Schulfreund von mir kam auf so eine Schule und man merkte es ganz deutlich, dass diese ganz anders erzogen wurden als wir. Zum Beispiel wurde 1944 häufiger von den Einmann-U-Boot-Fahrern gesprochen. Als ich nun einmal im Urlaub diesen ehemaligen Schulfreund traf und diesen fragte, ob er den Mut hätte mit so einem U-Boot zu fahren, bekam ich zur Antwort: „Wo der Führer dich hinstellt, dort hast du deine Pflicht zu tun“. An diesem Beispiel kann man deutlich erkennen, wie gewissenlos die damalige Führung Menschen zum unbedingten Gehorsam erzog, anders kann man die späteren Verbrechen nicht erklären, die als Befehle angeordnet wurden.

Dann kam die berühmte Reichskristallnacht und bei uns in Landsberg brannte auch die Synagoge. Bis dahin wusste ich nicht einmal, dass es bei uns eine Synagoge gab und diese die Kirche der Juden war. Auch wir Jungs liefen zur Brandstelle, wo es nur so von SA-Männern wimmelte, aber wir sahen keine Feuerwehrleute. Wir wussten ja gar nicht, dass SA-Leute den Brand gelegt hatten und es eine Aktion gegen die Juden war. Ebenfalls sah man an diesem Tag wieder SA-Männern vor jüdischen Geschäften stehen, während sich die Bevölkerung sehr zurückhaltend verhielt. Es gab keine Schaulustigen und wir verheßen auch bald wieder die Brandstelle. Mein Vater war an diesem Tag unterwegs auf Geschäftsfahrten, während meine Mutter sehr traurig war. Über diese Themen sprachen die Erwachsenen nicht gerne mit uns und abends hörte ich nur ganz zufällig, wie meine Mutter zu unserem Hausarzt von den braunen Bestien sprach. Ich habe meiner Mutter nie gesagt, was ich gehört hatte und habe es auch niemals zu einem anderen gesagt. Vielleicht war ich enttäuscht, dass meine Mutter nicht an Hitler glaubte; erst viel später begriff ich, dass meine Mutter die Vernünftigste von uns allen war. Was muss in einem Menschen vorgehen, wenn er anders denkt und nicht mit seinen Kindern darüber sprechen mochte? Es soll Fälle gegeben haben, wo sich Eltern abfällig über Hitler geäußert hatten und die Kinder es hörten. Diese verstanden so etwas noch nicht und dachten sich auch nichts dabei, als sie darüber mit anderen Kindern sprachen; und plötzlich wurden die Eltern verhaftet. Auch aus diesem Grund schwiegen die Erwachsenen, die anders dachten. So ist es zu erklären, dass eine Jugend im Geiste Adolf Hitlers heranwuchs. Selbst die Lehrer in der Stadt sprachen von dem großen Genie Adolf Hitler, so dass wir es doch glauben mussten.

1939-1943

Im Sommer 1939 merkte man, dass sich politisch irgend etwas zusammenbraute. Immer häufiger kamen Truppentransporte per Eisenbahn in Richtung Osten durch Landsberg. Wir Kinder winkten den Soldaten zu, die auch unsere Grüße erwiderten.

Wenn wir in der Vergangenheit mit den Eltern Urlaub in der Heimat meines Vaters in Habelschwerdt in Schlesien oder im Fischerdorf Heidebrink auf Usedom an der Ostsee machten, so fuhren wir diesmal nur nach Berlinchen, einem kleinen Ort mit wunderbaren See nördlich von Landsberg, es war eines unserer schönsten Ferien im letzten Friedenssommer. Zurückgekehrt merkte man deutlich, dass die Spannungen zwischen Deutschland und Polen ständig größer wurden. Man hoffte aber, dass auch diesmal Hitler das Problem friedlich lösen würde, denn fast jeder fürchtete sich vor einem Krieg. Eine Kriegsbegeisterung, wie man diese, von 1914 her kannte, gab es nicht. Auf einmal kam für das deutsche Volk überraschend die Nachricht vom Nichtangriffspakt mit Russland (Stalin), man schöpfte Hoffnung, dass dadurch ein Krieg vermieden wird. Erst später erkannte man, dass nur durch diesen Pakt, in dem sich Hitler und Stalin Polen aufteilten, der 2. Weltkrieg möglich wurde.

Im August kam die Mobilmachung, die Haustüren mussten nachts aufbleiben; Briefträger trugen Tag und Nacht die Einberufungsbescheide aus; in der Bevölkerung herrschte eine gedrückte Stimmung; Frauen weinten, auch meine Mutter. Mein Vater war nicht zu Hause, als auch sein Einberufungsbescheid kam. Er kam gegen 22 Uhr heim, Mutter war ganz aufgeregt, er aber war die Ruhe selber. Er badete erst einmal und ging schlafen, weil er sich erst morgens stellen wollte und es auch getan hat. Bei einer Nachfrage sollten wir sagen, dass er noch unterwegs wäre. Am nächsten morgen zog auch unser Vater mit hunderten von Männern zum Bahnhof, wo ein langer Eisenbahnzug bereitstand. Der Zug wurde von 2 Lokomotiven gezogen und einer Lokomotive geschoben, so kann man sich ein Bild von den vielen Männern machen. Der Zug fuhr entlang der deutsch-polnischen Grenze und in jedem Dorf wurde eine Kompanie Männer ausgeladen. In jedem Dorf war eine Scheune vollgepackt mit Uniformen und Waffen, so dass in kürzester Zeit die Grenze von Soldaten gesichert werden konnte.

Noch immer hoffte man auf Frieden und um so überraschter war man am 1. September von Hitlers Kriegserklärung an Polen. Stalin folgte mit seiner Kriegserklärung einige Tage später, so dass Polen innerhalb von 16 Tagen besiegt war. Damit war aber auch der Grundstein für den 2. Weltkrieg gelegt. Es folgten für Hitler die erfolgreichen Feldzüge gegen Dänemark, Norwegen, Niederlande, Belgien, Frankreich, Jugoslawien, Griechenland und Nordafrika. Die Studienräte in der Schule sprachen von dem großen Feldherrn, jeden Montag morgen versammelten sich die Schulklassen in der Aula und in der Regel sprach ein ehemaliger Schüler, der auf Fronturlaub war, über seine Kriegserfahrungen und Erlebnisse. Nur meine Mutter ließ sich nicht vom allgemeinen Siegestaumel einwickeln.

1940, als ich einmal mit ihr spazieren ging, sagte sie zu mir: „Den Krieg verliert Deutschland, er wird dort gewonnen, wo das Kapital sitzt, und dies sind die USA“. Für mich waren diese Worte unfassbar, aber vergessen konnte ich diese Worte nie.

Ein ergreifendes Erlebnis hatte ich 1939/1940 mit meinem Schulkameraden Manfred Kötter, einem Arztsohn, aus Döllensradung. So viel ich noch weiß, wurde sein Vater eingezogen. Seine Mutter blieb alleine zurück. Es hieß, dass sie daraufhin mehrere Männerbekanntschaften gemacht hat. Dieses erfuhr der Vater, der sich dafür sehr schämte. Manfred Kötter muss die ganze Situation so zu Herzen gegangen sein, dass er sich daraufhin selbst erschoss. Unsere ganze Schulklasse fuhr in Jungvolkuniform zum Begräbnis nach Döllensradung. Das Begräbnis war für uns Jungen sehr traurig und ergreifend, da wir einen Mitschüler verloren hatten.

1942 wurde ich in der Marienkirche zu Landsberg/Warthe konfirmiert. Im kleinen Familienkreise, Vater war in Urlaub, wurde meine Konfirmation gefeiert. Herr Pinkert, gehörte auch zu den Gratulanten.

Am 1. April 1942 kam ich in die Hitler-Jugend (HJ), ich ging in die Nachrichten-HJ. Obwohl Landsberg ca. 50.000 Einwohner hatte, bestand die Nachrichten-HJ nur aus einer Schar (Zug). Die Mitglieder kamen überwiegend von der Hermann-Göring-Schule. Unsere HJ-Führer waren wieder ältere Schüler. Der Dienst machte uns Spaß, denn wir brauchten nicht marschieren, sondern wurden von Unteroffizieren in der Kaserne an Nachrichten- und Funkgeräten vormilitärisch ausgebildet (Sprechfunk und Morsen). Wir bekamen die Geräte von den Soldaten gestellt und haben auch kleine Einsätze durchgeführt. So durften wir Kabel verlegen und uns bei Aufmärschen und Paraden in der Stadt verteilen, um dann mit Hilfe der Funkgeräte zu melden, wo sich der Aufmarsch gerade befand. Das war für uns sehr interessant.

Der Krieg in der Heimat (Bombenangriffe) und an der Front wurde immer grausamer, Sondermeldungen seltener, die Gefallenenlisten immer länger, unter der Hand wurden heimlich Witze erzählt, zum Beispiel: „Hitlers Fahrer überfährt einen Hund. Hitler schickt Hermann Göring zum Hundebesitzer, ein Bauer. Göring kommt mit Wurst und Schinken beladen zurück. Nanu, fragt Hitler, was war denn los? Göring antwortet ich habe zum Bauer nur gesagt „Heil Hitler, der Hund ist tot“, daraufhin wurde ich so beschenkt“.

Je länger der Krieg dauerte, je mehr Soldaten benötigte das Reich. Ab Mitte 1942 mussten Millionen von Soldaten tausende Kilometer Front unter wachsenden Verlusten verteidigen, so war es nicht verwunderlich, dass auch 15- und 16-Jährige zu den Waffen gerufen wurden. Erst waren es Oberschüler, Gymnasiasten, Realschüler und später auch Berufsschüler, die als Luftwaffenhelfer und bei der Marine als Marinehelfer ausgebildet und eingesetzt wurden.

Als 15-Jähriger wurde ich bereits im Herbst 1943 gemustert und für ein halbes Jahr zurückgestellt, weil ich für den Stabsarzt noch zu jugendlich und unverbraucht aussah. Weil fast alle meine Schulkameraden „KV“ (kriegsverwendungsfähig) waren, wollte auch ich KV geschrieben werden und legte gegen meinen Musterungsbescheid Einspruch ein. So kam es, dass ich noch einmal

zur Musterung vorgeladen wurde. Diesmal brauchte ich dem Stabsarzt nur eine Strophe vom Lied vom „Sanitätsgefreiten Neumann“ vorsingen und schon war ich diesmal „KV“, Ersatzreserve 1. Stolz wie ein Spanier kehrte ich in den Kreis meiner Schulkameraden zurück. Heute würde es niemand mehr verstehen, aber als Preuße geboren und erzogen sahen wir es als Pflicht an unser Vaterland zu verteidigen, wenn es in Not war, so war eben die damalige Erziehung.

Um zu einer gewünschten Waffengattung zu kommen, mussten wir uns schon freiwillig melden, so kam es, dass sich die Jahrgänge 1927/28 fast geschlossen als Kriegsfreiwillige meldeten. Ich meldete mich mit meinem Freund Wilfried Vogler freiwillig als Reserve-Offiziers-Anwärter. Wilfried hatte aber einen besonderen Grund, warum er sich freiwillig meldete. Er wurde nämlich von seiner Tante und seinem Onkel großgezogen. Bei der Konfirmation kam heraus, dass seine Eltern gestorben und Tante und Onkel nicht seine leiblichen Eltern sind. Für ihn brach eine Welt zusammen. In seiner ersten Verzweiflung sagte er zu mir:

„Klemens, ich will fallen. Ich melde mich freiwillig“. Daraufhin sagte ich, dass ich mitkomme. Wir gingen daraufhin hoch zur „General-Strantz-Kaserne“, meldeten uns in einem Büro, wo uns ein fescher, junger Leutnant empfing. Wir sagten, dass wir uns als Kriegsfreiwillige melden wollen. Er fragte uns, zu welcher Waffengattung wir wollen. Wir gaben als erster Panzerjäger und als zweite Waffengattung Infanterie an. Dabei gingen wir damals von folgender Überlegung aus: Zwar gab es bei den Panzerjägern und der Infanterie die meisten Verluste, aber man wurde dort schneller zum Offizier befördert. Dauerte der Krieg noch lange, dann wollten wir Berufsoffizier werden, andernfalls war unsere Absicht ein Ingenieur-Studium zu absolvieren. Wir wurden als Freiwillige angenommen. Wilfried Vogler hat den Krieg leider nicht überlebt.

Die Meldung zur Wehrmacht war allerdings für meine Eltern eine Katastrophe. Ich erinnere mich daran, dass mein Vater zu Hause (er war später nicht mehr frontfähig und arbeitete in einem Versorgungsbetrieb in Landsberg) und ich auf dem Weg in die Wohnung war. Vor lauter Angst vor meinem Vater, traute ich mich nicht in die Wohnung hinein. Zwei Stunden haarte ich vor der Tür aus, bevor ich hineinging. Es hat aber nichts geholfen, ich bekam großen Ärger. Wahrscheinlich reagierte meine Eltern so, insbesondere mein Vater, weil er ja den Kriegsalltag kannte und somit wusste, was auf mich zukommen würde. Dennoch wurde die Verpflichtung nicht rückgängig gemacht.

Die Werbung zur Waffen-SS erfolgte überwiegend durch die Polizei, denn diese und die SS unterstanden damals Heinrich Himmler. Ich bin davon überzeugt, dass die meisten Polizisten diese Werbeaktionen nur notgedrungen ausführten. Auch ich erhielt zweimal Besuch von der Polizei. Der größte Teil meiner Schulkameraden und auch ich wollten aber nicht zur Waffen-SS, so dass meine Ausrede bei den Polizeiibesuchen diese war, ich hätte nicht die geforderte Größe von 1,74 m, denn ich war nur 1,70 m groß. Diese Ausrede wurde auch immer anstandslos respektiert. Aber warum wollte der größte Teil nicht zur Waffen-SS? Es gab Schüler, deren Väter in der NSDAP hohe Posten bekleideten beziehungsweise

selber im Jungvolk oder HJ höhere Führer waren, die wir nicht mochten. Weil nun diese Schüler automatisch freiwillig zur SS gingen und in unseren Augen teilweise kleine Angeber waren, lehnten wir Übrigen diese Waffengattung ab.

1944

Im April 1944 erschien im Klassenzimmer unser Schuldirektor in Begleitung eines Luftwaffenoffiziers und teilte uns mit, dass wir zum 1. Mai 1944 als Luftwaffenhelfer nach Berlin eingezogen werden. Wir waren begeistert, während unserem Schulrektor die Tränen in den Augen standen, als er sich einzeln von uns verabschiedete und uns eine gesunde Heimkehr wünschte. Auch meine Mutter weinte, als ich ihr diese Nachricht überbrachte, denn Vater war ja auch im Einsatz in einem Versorgungsbetrieb, und sie blieb mit meinen zwei Schwestern zurück.

Am 1. Mai 1944 um 6 Uhr morgens mussten wir uns vor unserer Schule einfinden, wo uns ein Leutnant empfing und mit einer Militärkapelle zum Hauptbahnhof führte. Hier war an einem Zug nach Berlin für uns ein Extrawagen angehängt. In Berlin-Lankwitz angekommen empfing uns wieder eine Kapelle und begleitete uns zur dortigen Flakkaserne. Dort war für uns schon alles vorbereitet. Schnell wurde eine Portion Erbseneintopf verzehrt und die Einkleidung begann. Bereits eine Stunde später waren wir keine Zivilisten mehr und die Privatsachen wurden in mitgebrachten Kartons verpackt und nach Hause geschickt. Noch am gleichen Tage ging es weiter nach Struveshof, eine Knabenerziehungsanstalt zwischen Berlin und Potsdam, wo ein Block für uns als Ausbildungskaserne hergerichtet war. Als erstes mussten wir die Pleitegeier, so nannten wir bereits unsere Hoheitsabzeichen, an die Uniformjacke und Mantel annähen, nachdem wir vorher auf die Unterkünfte verteilt waren und sich unsere Ausbilder vorgestellt hatten. Eine vierwöchige Ausbildung mit hartem Drill folgte, für den ich oder wir auch dankbar waren, denn hätten wir sonst die folgenden schweren Strapazen so gut überstehen können? Ich betrachte es heute noch als Training zum Überleben. Ich selber wurde als K 3 (Kanonier 3) als Lampenwart und Scheinwerferführer ausgebildet. Anfang Juni kamen wir zum Einsatz in die Flakstellung Kienitz in der Nähe vom Flugplatz Rangsdorf, südlich von Berlin am Autobahnring. Zwei- bis dreimal in der Woche hatten wir weiterhin Schulunterricht, dazu mussten wir von der Flakstellung eine Tour ca. 7 km zu Fuß zurücklegen. Jeden Mittwoch wurde die ganze Batterie auf dem Hugplatz Rangsdorf zusammengezogen und hart gedrillt. Wir waren jedes Mal zufrieden, wenn wir in unsere Stellungen zurück durften. Wenn wir keine Schularbeiten machen mussten, keine Putz- und Fickstunde hatten und wir nicht auf Posten gehen brauchten, ging der Drill weiter. Zur Ruhe kamen wir nicht. Bei Luftangriffen nachts mussten wir leuchten; bei Tagesangriffen gegen Tiefflieger die Maschinengewehre betätigen. 14 Mal wurde unsere Stellung mit Bombenteppichen direkt angegriffen. Ich hatte aber immer einen guten Schutzengel, lediglich Uniformteile waren von Bombensplittern zerrissen; am Körper (Schulter) hatte ich nur kleine Kratzer. Größere Verluste gab es bei den Abwürfen von Luftminen.

Unsere Unterkunft in der Baracke, wo wir mit 20 Kameraden in einem Raum schliefen und uns in der Freizeit aufhielten nannten wir „Helmut Lent Stube“. Als einmal einer unserer Unteroffiziere nach dem Führer-Bild in unserer Stube fragte bekam er von uns zur Antwort, wir sind eine „Helmut-Lent-Stube“, dort hängt auch das Bild vom Oberstleutnant Lent, ein Führerbild lehnten wir ab, warum damals schon, weiß ich heute nicht. Ich glaube aber als gestandene Preußen betrachteten wir alles nüchterner. Wer war nun Oberstleutnant Helmut Lent? Als ehemaliger Schüler unseres Gymnasiums in Landsberg war er unser Vorbild, er war Pfarrerssohn aus Pyrehne und hat den 2. Weltkrieg von Anfang an mitgemacht und 110 Luftkämpfe siegreich bestanden. Am 7. Oktober 1944 starb er unbesiegt an seinen Verletzungen nach einem Flugzeugabsturz. Er war durch und durch Christ – vor jedem Einsatz hat er im „Neuen Testament“ gelesen, um dann ein Gebet zu sprechen. Er sagte einmal „Der beste Panzer ist der Schutz unseres Herrgottes“. Wir befanden uns damals in den Aufbaujahren und hatten immer Hunger. Zusätzlich wurden Kartoffeln organisiert und im Kochgeschirr gekocht und mit Salz verzehrt, man lernte den Wert einer Scheibe Brot kennen. So hatten wir unter anderem auch kriegsgefangene Russen für schwere Arbeiten in der Stellung, deren Verpflegung noch schlechter war. Um diese Ungerechtigkeit zu vermeiden bestanden wir darauf, dass unsere gesamte Verpflegung für unseren Zug gerecht aufgeteilt wurde und jeder, auch die Russen, die gleichen Portionen erhielten. Wir hatten ein ordentliches Verhältnis zu unseren gefangenen Russen, ein ehemaliger Mathematikstudent aus Moskau half uns sogar bei den Schularbeiten. Uns war wohl bekannt, dass leider eine große Zahl russischer Kriegsgefangener in deutschem Gewahrsam umgekommen sind an den Folgen von Verwundungen, Erfrierungen, Erschöpfungen und Unterernährung, aber auch an Seuchen, wie zum Beispiel an Fleckfieber-Epidemien. Dieses tragische Schicksal erlitten aber auch die deutschen Kriegsgefangenen in Russland, so sollte aller Opfer in Ehrfurcht gedacht werden, denn Leid und Tod kennen keine Nationalität.

Wir wurden stets zu fairen Soldaten erzogen, Grundlage dafür waren stets die 10 Gebote für die Kriegsführung des deutschen Soldaten (Bundesarchiv – Militärarchiv Freiburg, Bestand MSg 2/2215), die mussten wir kennen und befolgen. Hier hieß es in Punkt 3 und 4: „Es darf kein Gegner getötet werden, der sich ergibt, auch nicht der Freischärler und der Spion. Diese erhalten ihre gerechte Strafe durch die Gerichte. Kriegsgefangene dürfen nicht misshandelt oder beleidigt werden. Waffen, Pläne und Aufzeichnungen sind abzunehmen, aber ihr Hab und Gut darf nicht abgenommen werden“. Meine Kameraden und auch ich haben uns stets an die Regeln gehalten.

Im September 1944 musste ich nach Stendal zur Offiziersprüfung, hier wurden wir in Sport, Mathematik, Geschichte und Rechtschreibung eine Woche lang geprüft und ich gehörte zu den Glücklichen, die die Prüfung bestanden und damit Offiziersanwärter waren. Äußerlich erkennbar waren wir als angehende Offiziere durch zwei silberne Streifen auf den Schulterklappen. Im Herbst hieß es

Abschied nehmen von der Stellung Kienitz, einige Tage musste ich Dienst leisten auf dem Flakturm Gesundbrunnen und Zoo, danach ging es in eine Scheinwerferstellung nach Berlin-Siemensstadt. Hier erfolgten fast täglich Luftangriffe und wir suchten Schutz in selbstgebauten Erdbunker. Man bekam immer mehr die Hoffnungslosigkeit des Krieges zu spüren, unter der Hand wurde immer häufiger über den Führer gelästert, allerdings nicht, wenn ein Linientreuer dazu kam, davon gab es auch noch genug, die uns aber bekannt waren.

Als Luftwaffen- beziehungsweise Marinehelfer mussten wir an der Ausgangsuniform eine HJ-Hakenkreuzarmbinde tragen, doch keiner trug diese gern und entfernte sie sofort, sowie er aus der Flakstellung war, obwohl wir immer wieder belehrt wurden diese zu tragen. Als Luftwaffen- beziehungsweise Marinehelfer wollten wir aber als Soldaten anerkannt werden, denn wir erfüllten soldatische Pflichten. General von Axthelm, letzter Kommandeur der Flaktruppe, sagte einmal über die Luftwaffenhelfer: „Sie haben in die Hölle geblickt und es ist ihnen nichts erspart geblieben“.

Ebenfalls lehnten wir die Betreuung durch hohe HJ-Funktionäre ab. Wir spürten bereits gewisse Spannungen zwischen der Partei (NSDAP) und der Wehrmacht.

Als Luftwaffenhelfer erhielten wir pro Tag 1 RM. Davon wurden alle 10 Tage 0,50 RM ausgezahlt, während die andere Hälfte gespart werden musste und nicht zur Auszahlung kam. Es kam auch vor, dass der Batteriechef anordnete das Geld zu sparen, woraufhin auch kein Sold zur Auszahlung kam. Alkohol- und Nikotingenuss waren für uns Jugendliche verboten. Dafür erhielten wir alle Monate 200 Gramm Kuchen, der uns auch lieber war.

Den 20. Juli 1944, den Bombenanschlag auf Hitler in Ostpreußen, erlebten wir auf dem Flugplatz Rangsdorf und in unserer Flakstellung Kienitz. Auf dem Flugplatz fuhr Oberst von Stauffenberg an uns vorbei, als er aus dem Führerhauptquartier aus Ostpreußen zurück kam. Einige Stunden später hörten wir in unserer Flakstellung Kienitz im Radio die Nachricht vom Attentat. Ob der Führer lebte oder tot war, war für uns gar nicht so ausschlaggebend, aber die deutsche Offiziere einen Putsch ausführten, das war für uns etwas Unerklärbares. Deutsche Offiziere brechen ihren Eid, wie sollten wir uns so etwas erklären? Wir haben doch gelernt, dass Treue und Gehorsam den deutschen Menschen auszeichnet wie deutsche Treue, welsche Tücke.

Konnten wir noch Vertrauen zu unseren Offizieren haben? Was ist richtig, was ist falsch? Fragen über Fragen, die wir uns stellten und nicht beantworten konnten. In der damaligen Wehrmacht galt grundsätzlich „Befehl und Gehorsam“, aber auch: „Befehle, die ein Verbrechen fordern, dürfen nicht ausgeführt werden?“ (aus: „Das Wesen der soldatischen Erziehung“ von Generalleutnant Dr. Friedrich Altrichter, veröffentlicht im Stelling-Verlag Oldenburg 1943.) Dass auch General von Hase zu den Attentäter gehörte, denn sein Sohn als HJ-Führer war uns ein Begriff, gab uns weitere Rätsel auf.

Nach dem Dienstende bei der Scheinwerferabteilung in Berlin im Dezember 1944, musste ich mich beim Landsberger Volkssturm melden. Die Ausbildung im Volkssturm fand in einer Kaserne in Landsberg statt. Dort wurden wir auch in die Handhabung von Panzerfäusten eingewiesen. Weihnachten 1944 feierte ich noch zu Hause, zusammen mit meiner Mutter, Christa und Erna. Die meiste Zeit war ich in der Kaserne untergebracht. Ab und zu schaute ich zu Hause vorbei.

1945

Ich selber wurde im Januar 1945 beim Volkssturm als Funker eingesetzt. Mein Onkel Fritz Rönig kam ebenfalls in den Volkssturm und wurde später bei Landsberg verwundet. Er kam in das Lazarett nach Berneburg. Er erzählte mir, dass dort die Verwundetenabzeichen verteilt worden wären, als ob es einfach Brötchen wären. Im Januar wurden wir östlich von Landsberg nach Zechow verlegt. Dort gab es neben Fabriken, die verteidigt werden sollten auch Verteidigungsanlagen. Unsere Einheit bestand aus ca. 300 Mann. Wir besaßen 2 Sturmgeschütze und ca. 4-5 Maschinengewehre. Als der Russe angriff, konnten wir die Stellungen nicht halten. Wir zogen im Gewirr mit Flüchtlingen innerhalb von zwei Tagen von Zechow nach Landsberg. Die beiden Sturmgeschütze wurden immer wieder dazu benutzt, um auf die Russen zu feuern. Das hielt sie einigermaßen fern. Außerdem haben wir auf dem Weg nach Landsberg Maschinengewehrstellungen am Straßenrand aufgebaut. An mehreren Tagen flogen von morgens bis abends drei ME 109 über unsere Stellungen hinweg, die die Russen unter Beschuss nahmen. Ohne ihre Unterstützung hätten wir Landsberg nie erreicht. Zwei von ihnen wurden kurz darauf abgeschossen und stürzten in den Fluss Netze. An einigen Tagen warfen in unregelmäßigen Abständen zweimotorige Flugzeuge Fallschirme mit Munition und Verpflegung für uns ab. Das Unglückliche dabei war, dass die Russen anhand der Fallschirme erkennen konnten, wo wir uns befanden. Eines Tages, bei einem erneuten Überflug der Flugzeuge, bekam ich den Befehl, einen Funkspruch an die Flugzeuge abzugeben, dass sie keine Sachen abwerfen sollen. Der Funkspruch wurde gehört. Wie es der Zufall will, habe ich einen der Piloten, die meinen Funkspruch erhalten haben, nach dem Krieg in Aurich/Ostfriesland wiedergetroffen. Es war Herr Füst vom ehemaligen Gardinengeschäft Christmann, Aurich, der damals Pilot war und meinen Spruch erhalten hat.

Kurz bevor die Russen Ende Januar in die Stadt eindrangen (zur einen Seite der Stadt flohen die Deutschen, zur anderen Seite kamen die Russen hinein), bin ich noch nach Hause, um meine Zeugnisse und Fotos zu holen. Die Hausbewohner saßen schon im Luftschutzkeller. Meine Mutter und meine beiden Schwestern waren aber nicht mehr dort. Wie mir Christa später mitteilte, hatte mein Vater einen kleinen Lieferwagen (die Ladefläche war mit einer Plane überzogen) organisiert. Bereits vorher haben sie schon die wichtigsten Sachen gepackt sowie Handwagen und Schütten in den Hausflur gestellt. Meine Mutter soll noch am selben Tag über einen Schlitten gefallen sein und eine schlimme

Wunde am Kopf gehabt haben. Sie rief wohl noch Dr. Friedländer an, um zu erfahren, was sie machen soll. Der riet ihr ein Tischtuch zu zerreißen, um damit ihren Kopf zu verbinden, denn das Tischtuch müsste sowieso zurückgelassen werden. So tat sie es auch. Gemeinsam mit der Familie Liebsch/Libsch (?) fuhr sie nach Küstrin. Mein Vater setzte sich mit dem Landsberger Volkssturm nach Eberswalde ab. Zu dem Zeitpunkt wusste ich noch nicht, wo sie waren. Später erfuhr ich, dass sie mit einem LKW über Küstrin noch rechtzeitig aus Landsberg nach Berlin flüchten konnten. In Küstrin wurde meine Mutter dann mit ihrer Kopfwunde weiter versorgt.

Am 30. Januar verließ unsere Einheit Landsberg, weil die Russen vor Landsberg standen (rumänische Einheiten liefen zum Russen über). Ich hatte 2 Pferde (ich nannte sie „Max“ und „Moritz“) in Landsberg, die die Funkgeräte trugen, und wurde dann am Schluss der ganzen Tümmerei eingesetzt, um den Leuten, die noch auf der Flucht, waren zu helfen. Ich war auf der Strecke Landsberg – Küstrin im Einsatz. Bei Landsberg in der Nähe von Wepritz kam uns abends eine Einheit entgegen. Plötzlich hörte ich: „Klemens, du alte Pflaume, was machst du denn hier?“ Es war Rudi Bohm (Vater hatte in Landsberg ein Frisörgeschäft), ehemaliger HJ-Führer. Rudi war einer Pioniereinheit unterstellt. Ich rief: „Rudi, komm zurück. Wir sind die letzten. Hinter uns kommt der Russe“. Er antwortete: „Wir müssen noch die Gerloffbrücke sprengen“. (Sie wurde gesprengt).

Ich habe Rudi nie wieder gesehen (Rudolf Bohm hat den Krieg überlebt und wohnte in Halle). Bis heute ist es mir unerklärlich wie Rudi mich überhaupt erkannt hatte. Es war Nacht und unter unseren Stahlhelmen sahen wir doch alle gleich aus. Unsere Einheit hatte sich auf dem Weg nach Küstrin mit den Flüchtlingen gemischt. An der Spitze der Einheit war eines der beiden Sturmgeschütze. Hinter Landsberg hatte ein LKW einen Unfall oder Treibstoffmangel. Ich habe daraufhin einen Funkspruch an den Stab in Küstrin durchgeben müssen, um Hilfe zu holen. Anschließend sollte ich so lange dableiben, bis der LKW wieder fahrtüchtig war. Die Straße wurde unterdessen mit der Zeit leerer und leerer und ich verlor den Anschluss an meine Einheit. Unterwegs, es war in der Nacht und es wurde geschossen an allen Ecken und Enden, fand ich einen einsamen Hof, längs der Straße, und habe dort meine Pferde (zwei Rappen - Max und Moritz) versorgt. Das war an den Tamseler Bergen. Da war ich auf einem einsamen Hof und habe meine Pferde getränkt. Es war auf dem Hof kein Mensch mehr da. Ich habe meinen Karabiner in die Ecke gestellt, die Pferde angebunden und da Wasser gepumpt. Auf einmal höre ich Pferdegetrappel, Taschenlampen blitzten auf. Da wurde ich von den Taschenlampen geblendet. Es waren sechs deutsche, berittene Kavalleristen, die sagten: „Junge, nehmen die Hände runter, wir sind von der gleichen Feldpostnummer wie du“.

Sie machten mich dann auch drauf aufmerksam, wo ich denn hingehörte und ich sollte sehen, dass ich nach Küstrin komme, woraufhin ich dann in der Nacht weiter nach Küstrin durchmarschiert bin. Dort fand ich meine Einheit wieder.

SCHLUSSWORT

Erst 60 Jahre später, im Jahre 2005, sollte ich Landsberg, heute Gorzów, bewusst wiedersehen. Zuvor bin ich einmal auf einer Reise durch Polen Anfang der 1990er kurz durch Gorzów gefahren. Es war meiner Ansicht nicht mehr das Landsberg, welches ich verlassen hatte. Deshalb hatte ich bis 2005 kaum Interesse, diese Stadt wiederzusehen. Erst mit dem Forschungstrieb meiner Kinder zu meiner Vergangenheit wurde ich dazu bewegt, in meine alte Heimat zurückzufahren. Mit Neugierde kam ich also im April 2005 in Gorzów an. Es war wider Erwarten eine bewegende Reise in die Vergangenheit, aber auch in die Gegenwart und Zukunft. Vieles, von dem ich glaubte, dass es nicht mehr existiert bzw. nicht mehr so existiert wie ich es verlassen hatte (Wohnungen, Kulturinstitutionen, Schule), fand ich überraschenderweise nur leicht verändert vor bzw. anders genutzt vor. Es war für mich eine versöhnliche Rückkehr, ohne verbitterte Gedanken. Ein Kreis in meinem Leben wurde damit geschlossen.



1932 – Meine Mutter Johanna Neumann, geb. Röning, mit meiner Schwester Christa (links) und mir

1932 r. – Moja mama Johanna Neumann, z d. Röning, z moją siostrą (z lewej) i mną



Mein Vater, Clemens Neumann, als Angehöriger der Wehrmacht zu Beginn des 2. Weltkrieges


Mój ojciec, Klemens Neumann, jako żołnierz Wehrmachtu na początku drugiej wojny światowej



Evangelischer Friedhof Landsberg – Grabstein von Emil und Helene Röning
Cmentarz ewangelicki Landsberg/Gorzów – nagrobek Emila i Helene Röning

R. S. Ehrenberg
 LIKÖRFABRIK / WEINGROSSHANDLUNG
 HANDEL MIT TABAKWAREN
 POSTSPARBUCHKONTO: EISELEN 21876 / BANKKONTO: KOMMERZ- UND PRIVATBANK LANDSBERG (WARTHE)

Landsberg a. W.

ANNO  1780

AM 31. Dezember 1906
 FERNSPRECHER 201

Zeugnis

Der Herr Max Nieska wohnhaft in Landsberg/W. Petersstr. 34
 geboren am 27. Juli 1906 in Landsberg/W.
 ist am 15. Dezember 1928 als Destillateur-Lehrling bei mir
 eingetreten. Nach seiner Ausbildung hat er in meinem Betriebe
 im Laufe der Zeit den Posten eines selbständigen
Destillateurs und Expedienten
 bekleidet. Mit seinen Leistungen war ich stets zufrieden, er
 war jeder Zeit ehrlich, fleissig und gewissenhaft.
 Wenn ich heute auf die 21 jährige Tätigkeit des Herrn Nieska
 in meinem Hause zurückblicke, dann kann ich wohl sagen, dass
 ich durch seinen Fortgang einen grossen Verlust erleide.
 Nieska hat nicht nur seinen Betrieb vorbildlich geleitet,
 sondern war auch durch seine Geschicklichkeit und technische
 Gewandheit z. B. bei Reparaturen an Apparaten, Motoren, Fahr-
 stahl etc. für mich eine grosse Hilfe. Ebenso war er Leiter
 des Betriebs-Luftschutzes für meine Grundstücke und hat sich
 auch hierbei durchaus bewährt.
 Herr Nieska verlässt seine Stellung an heutigen Tage auf eigen-
 en Wunsch, da er glaubt, den Posten infolge eines Leidens
 nicht sehr ausfüllen zu können.
 Meine besten Wünsche begleiten ihn auf seinen Lebensweg.

R. S. Ehrenberg

Arbeitszeugnis der Spirituosenfirma Ehrenberg, die in Abschlusszeit Klemens Neumann – Vater leitete

Świadectwo pracy wystawione przez wytwórnię alkoholi Ehrenberg, którą w ostatnim okresie kierował Klemens Neumann, ojciec



Rechts im Bild ist deutlich das Werbeplakat der Firma R. S. Ehrenberg zu sehen
Z prawej strony na zdjęciu jest wyraźnie widoczny plakat reklamowy firmy R. S. Ehrenberg (przed 1945 r.)



Preisliste von R. S. Ehrenberg aus der Nachkriegszeit

Druk firmowy firmy R. S. Ehrenberg – cennik z 1951 r.



Heutige Produktetiketten der Marke R. S. Ehrenberg aus Bad Harzburg

Współczesne etykiety produktów marki R. S. Ehrenberg z Bad Harzburg (Niemcy)

Das Haus meiner Großeltern in der Zechower Str. 55 zu Anfang des 20. Jahrhunderts

Dom moich dziadków przy Zechower Str. (ul. Warszawska) 55 na początku XX w.



Dasselbe Haus – rechts im Bild – im Jahre 2005

Ten sam dom – na prawo na zdjęciu – w 2005 r.



Ansicht des Hinterhofes, Zechower Str., von 1915/20 mit den Geschwistern meiner Mutter

Widok podwórza, Zechower Str. (ul. Warszawska), ok. 1915/1920 r. z rodzeństwem mojej mamy



Der Hinterhof 2005. Das Gartenhaus steht noch

Podwórko w 2005 r. Domek ogrodowy jeszcze stoi



1. April 1934 – Mein erster Schultag

1 kwietnia 1934 r. – Mój pierwszy dzień szkoły



Anfang der 30er Jahre. Sonntagsausflug auf die Warthewiesen. Dabei war auch mein Schaf, welches ich zum Geburtstag geschenkt bekommen habe und welches so zahm war wie ein Hund. Das Schaf hielten wir ein Jahr im Hinterhof meiner Großeltern. Nach dem Jahr sollte es zum Bock. Wir brachten es zu einem Geschäftspartner meines Vaters, Herrn Tauchert, nach Gennin. Dieser hatte einen Hof und nahm das Schaf auf. In Gennin war ich ab und zu in den Ferien. Dort entdeckte ich auch meine Liebe zu Pferden, denn Herr Tauchert besaß Panje-Pferde aus Russland, die er aus dem 1. Weltkrieg mitgebracht hatte. Auf diesen bin ich geritten. Zudem durfte ich auch den Fuhrwerken mitfahren

Początek lat 30. tych. Niedzielna wycieczka na łąki nad Wartą. Obok też mój baranek, którego dostałem na urodziny i który był oswojony tak jak pies. Baranka trzymaliśmy rok na podwórzu moich dziadków. Po roku zrobił się z niego baran. Zawieźliśmy go do partnera handlowego mojego ojca, pana Taucherta, do Gennin (Jenina). Ten miał gospodarstwo i przyjął barana. W Gennin bywałem od czasu do czasu w okresie wakacji. Tam odkryłem moją miłość do koni, ponieważ pan Tauchert posiadał chłopskie konie polskie, które przywiózł z Rosji w czasie pierwszej wojny światowej. Na nich jeździłem konno. Do tego też mogłem jeździć furmankami



Die Küstriner Str. früher. Im Bild unser ehemaliges Wohnhaus (rechts)

Küstriner Str. (ul. Sikorskiego) dawniej. Na zdjęciu kamienica z naszym dawnym mieszkaniem (z prawej)



Die ehemalige Küstriner Str. 110. Dort im 3. Stock, über dem heutigen Optikergeschäft, haben wir seit 1935/36 gewohnt

Dawna Küstriner Str. 110 (ul. Sikorskiego 110). Tam na trzecim piętrze, nad dzisiejszym sklepem optycznym, mieszkaliśmy od roku 1935/1936



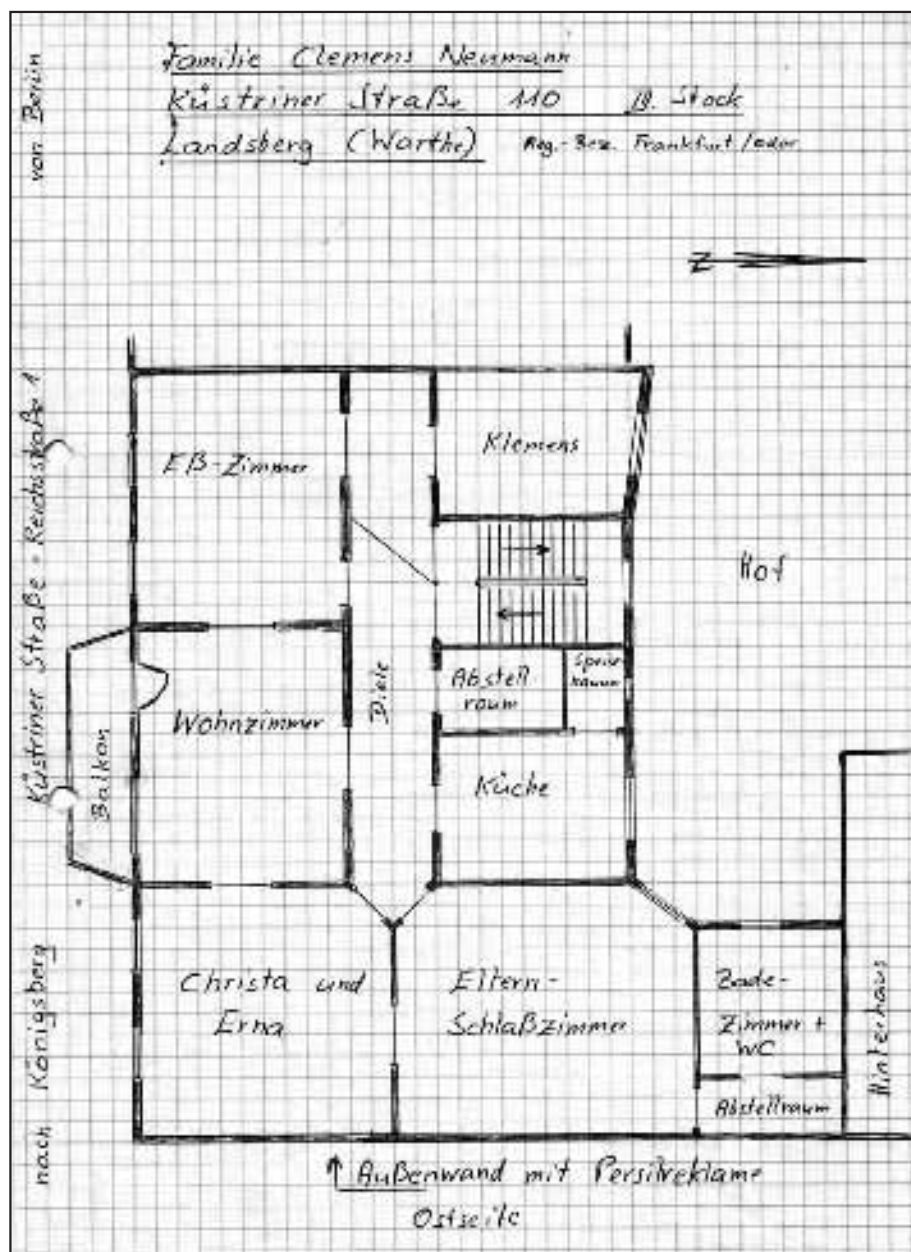
2005 – Blick vom Stadtpark über die Kladow zum Hinterhaus Küstriner Str. 110. Die Gebäude des Cafe Voley existieren nicht mehr

Widok z parku miejskiego przez Kłodawę na tył domu przy Küstriner Str. 110 (ul. Sikorskiego 110). Budynek Café Voley (Kawiarni Wenecja) już nie istnieje



Blick in den Hinterhof. Dort oben im. 3. Stock lag unsere Wohnung (Badezimmer, Elternschlafzimmer, Küche)

Widok na podwórze. Tam u góry na trzecim piętrze było nasze mieszkanie (łazienka, sypialnia rodziców, kuchnia)



Wohnungsplan Küstriner Str. 110

Plan mieszkania przy Küstriner Str. 110 (ul. Sikorskiego 110)



Ich als Luftwaffenhelfer im August 1944 auf unserem Balkon in der Küstriner Str.

Ja jako pomocnik sił lotniczych w sierpniu 1944 r. na naszym balkonie przy Küstriner Str. 110 (ul. Sikorskiego 110)

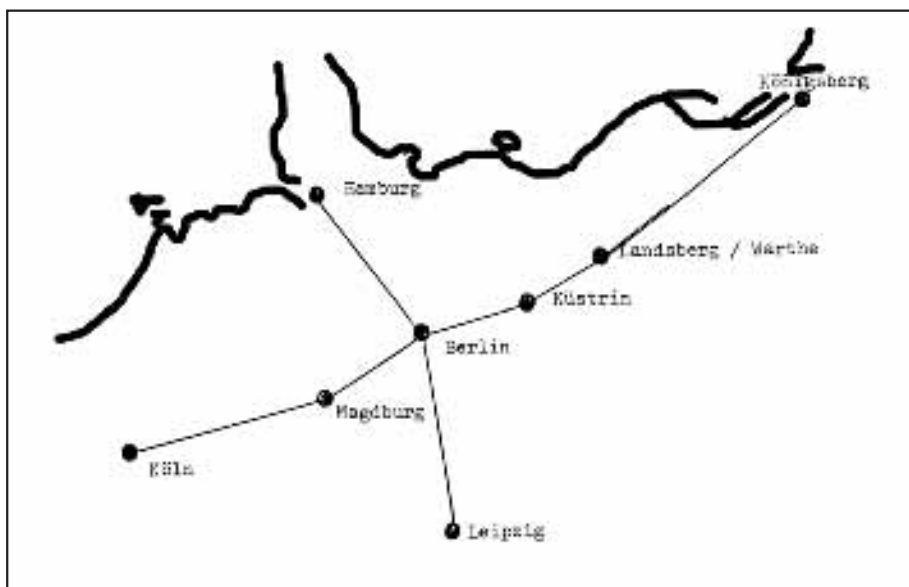


Aufnahme aus unserem Wohnzimmer auf den Balkon. Zu sehen sind meine Mutter, meine beiden Schwestern und ich (rechts)

Ujęcie z naszego pokoju na balkon. Widoczni na zdjęciu: moja mama, moje dwie siostry i ja (z prawej)

Meine jüngste Schwester Erna steht bei einem Besuch der Stadt Gorzów im Jahr 2001 vor unserer ehemaligen Wohnungstür. Nach unseren Erinnerungen befand sich damals dort aber nur eine Eingangstür. Wahrscheinlich wurde unsere Wohnung aufgeteilt

Moja młodsza siostra Erna stoi w czasie odwiedzin Gorzowa w roku 2001 przed naszymi dawnymi drzwiami do mieszkania. Według naszych wspomnień znajdowały się tam wtedy tylko jedne drzwi wejściowe. Prawdopodobnie nasze mieszkanie zostało podzielone



Übersichtsskizze der Rechtsstraße 1 (Köln-Königsberg)

Szkic poglądowy Drogi Krajowej nr 1 (Köln – Königsberg «Kolonja – Kaliningrad»)



Das Café Voley von vorne

Café Voley (Kawiarnia Wenecja) od frontu



Das Café Voley von der Seite – Blick über die Kłodow. Ganz links im Bild ist das Wohnhaus – Küstriner Str. 110 – zu sehen, in dem wir gewohnt haben

Café Voley (Kawiarnia Wenecja) – widok znad Kłodawki. Z lewej strony na zdjęciu jest widoczna kamienica – Küstriner Str. 110 (ul. Sikorskiego 110), w której mieszkaliśmy



Der Stall im Schrebergarten

Obórka w ogrodzie działkowym



In der Freizeit haben wir Schüler öfter Fußball gespielt (hier im Stadion?). Zu sehen bin ich in der hinteren Reihe ganz links

W czasie wolnym jako uczniowie graliśmy często w piłkę nożną (tutaj na stadionie?). Widać mnie w tylnym rzędzie całkiem z lewej

Unser Studienrat Becker/Hermann-Göring-Schule. Bei ihm wurden wir in Latein unterrichtet. Er erzählte uns auch über seine Erlebnisse im 1. Weltkrieg. So geriet er z. B. in russische Gefangenschaft und wurde nach Sibirien gebracht. Dort floh er und schlug sich zu Fuß bis nach Deutschland durch. Für uns war er dadurch zum Vorbild geworden

Nasz profesor gimnazjalny Becker /Hermann-Göring-Schule (Szkoła im. Hermanna Göringa). U niego uczyliśmy się łaciny. On opowiadał też nam o swoich przeżyciach w czasie pierwszej wojny światowej. I tak np. dostał się on do niewoli rosyjskiej i został wywieziony na Syberię. Tam uciekł i przeszedł pieszo do Niemiec. Dla nas stał się przez to wzorem



Staatliches Reformgymnasium mit Oberrealschule
zu Landsberg (Warthe).
Abteilung: Oberrealschule.
Hermann-Osting-Schule
(Staatl. Oberschule für Jungen)
Landsberg (Warthe)

Zeugnis

für Klemens Neumann, Nr. 56
über die Zeit von 1. Juli bis die Dritte 1943/4
Freiwilligen Dienstes sowie seine Leistungen
in der Sprache nicht anwesend frei. Kenntnisse
ausgeübt.

Religion: <u>—</u>	Geschichte: <u>ausreichend</u>	Geologie: <u>befriedigend</u>
Deutsch: <u>ausreichend</u>	Erkunde: <u>befriedigend</u>	Zeichnen: <u>gut</u>
Englisch: <u>ausgeübt</u>	Mathematik: <u>ausreichend</u>	Musik: <u>ausreichend</u>
Französisch: <u>—</u>	Physik: <u>befriedigend</u>	Bearbeitungen: <u>ausgeübt</u>
Lat.: <u>ausgeübt</u>	Chemie: <u>befriedigend</u>	Handschrift: <u>ausreichend</u>

Verstännte: 2 Stunden Verspätung: — mal

Beurtheilung:

Landsberg (Warthe), den 17. Aug. 1943

Der Direktor: Bauer Der Klassenleiter: H. Trautzschke
Oberstudiensekretär Stabslehrer

Unterschrift des Betreffenden (Vormundes):
Klemens Neumann

Schulzeugnis von Klemens Neumann

Świadectwo szkolne Klemensa Neumanna



Mein Konfirmationschein
Świadectwo konfirmacji



1944 Berlin-Kienitz/Flakscheinwerferstellung. Von links: Hans-Joachim Ahrndt, Klemens Neumann, Ernst Weber

1944 r. Berlin-Kienitz / Stanowisko reflektorów obrony przeciwlotniczej. Od lewej: Hans-Joachim Ahrndt, Klemens Neumann, Ernst Weber



1944 – Flakscheinwarfer-Abteilung 128, 3. Batterie in Berlin-Kienitz. Luftwaffenhelfer Klemens Neumann und Richard Spoirs (von links nach rechts) mit einem Blindgänger. 14 direkte Luftangriffe auf unsere Flakstellung werden überstanden

1944 – Oddział reflektorów obrony przeciwlotniczej 128, 3. Bateria w Berlin-Kienitz. Pomocnicy sił lotniczych Klemens Neumann Richard Spoirs (od lewej do prawej) z niewypalem. Nasze stanowisko przeciwlotnicze przetrwało 14 bezpośrednich nalotów

Dienststelle L. 07.02
Luftwaffenamt Berlin

Luftwaffenhelferzeugnis


Der Schüler Klausmann Hermann
geboren am 1. 11. 1923 in Landsberg (Warthe)
hat das Reifezeugnis Reifezeugnis Reifezeugnis
erlangt: Besten der Klasse 1. 1. der Deumann-Görling-Schule
Staatliche Oberschule für Jungen in Landsberg (Warthe).
ist seit 1. 1. 1944 als Luftwaffenhelfer eingestellt und hat
an dem für Luftwaffenhelfer nachschonenden Unterricht mit folgenden
Ergebnis teilgenommen:

Deutsch: <u>sehr gut</u>	Chemie: <u>sehr gut</u>
Geometrie: <u>sehr gut</u>	Physik: <u>sehr gut</u>
Orthographie: <u>sehr gut</u>	Mathematik: <u>sehr gut</u>
Biologie: <u>sehr gut</u>	Latein: <u>sehr gut</u>

Der Grund der Leistungen und des Verhaltens im Unterricht und im
Einsatz und in Anwendung des Erlases des Reichsausschusses für
Hilfsleistung, Erziehung und Volkserziehung vom 22. Januar 1943 - S III
N 3350 - wird der Schüler in die Klasse 1. der Oberschule
versetzt - nicht versetzt -

Landsberg (Warthe), den 6. 1. 1944

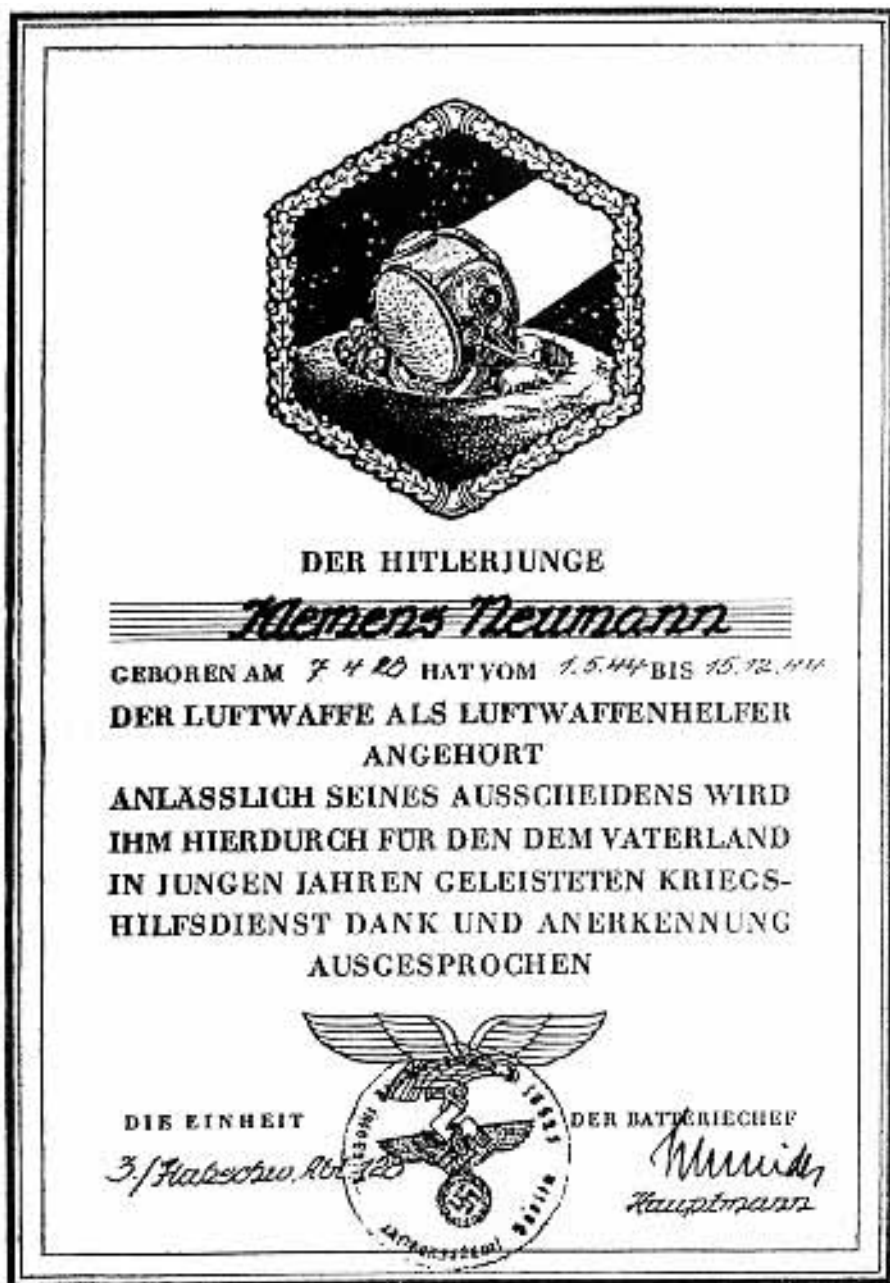
Betreuungslehrer: Herrmann Stabsführer: Wittmann
Stadtmann Oberleutnant v. Redt. Graf
Leiter der Schule: Rasche
Oberstabsdirektor



Unterschrift des Ausleihungsbeauftragten: Hermann Wittmann

Mein Luftwaffenhelferzeugnis von 1944

Moje świadectwo szkolne pomocnika sił lotniczych z 1944 r.



Meine Entlassungsurkunde als Luftwaffenhelfer

Dokument odejścia ze służby pomocnika sił lotniczych

PIERWSZA NAGRODA

Klemens Neumann

Młodzińcze lata w Landsbergu a. W. 1928-1945

WSTĘP

Niniejsza relacja jest próbą wydobycia z pamięci przeżyć tamtych czasów. Urodziłem się 7 kwietnia 1928 r. w Landsbergu nad Wartą, gdzie także dorastałem. W 1945 r. jako 16-letni członek Volkssturmu musiałem opuścić moje miasto. Od tego czasu minęło 60 lat. Dlatego moja relacja różni się z pewnością od tej, którą napisałbym, gdybym w ostatnich dniach „niemieckiego” Landsbergu miał lat 20 czy 30. (...) Mimo to mam nadzieję, że poniższe słowa będą stanowić niewielki wkład w wiedzę historyczną i świadomość współczesnego Gorzowa.

MOI RODZICE

Matka Johanna Neumann, z domu Röning, urodzona 2 grudnia 1903 r. w Landsbergu, zm. 23 lipca 1982 r. w Georgsmarienhütte. Gospodyni domowa. (...) Żyła dostatnim życiem. Jej ojciec, Emil Röning, był dyrektorem fabryki maszyn Pauckscha w Landsbergu (zaczynał tam od stanowiska ucznia). Fabryka ta na początku XX wieku zatrudniała ok. 3000 osób i produkowała maszyny parowe. Wiele z nich eksportowano do Rosji. O ile wiem, Emil Röning miał przed pierwszą wojną otworzyć jej oddział w Moskwie. Wojna zniweczyła jednak te plany. W wyniku inflacji początku lat 20. Emil Röning stracił większość swego majątku.

Ojciec Clemens Neumann urodzony 5 listopada 1902 r. w Habelschwerdt (Bystrzyca Kłodzka), zm. 30 sierpnia 1984 r. w Goslarze. Zawód wyuczony drogista. W latach 20. przybył do Landsbergu i znalazł zatrudnienie w fabryce likierów i hurtowni win RS. Ehrenberg (założonej w 1780 r. – ulubionym produktem była nalewka Alf Ehrenberg Benediktiner). W Landsbergu poznał moją matkę. Na przełomie lat 30. i 40. został szefem w firmie Ehrenberg. Jej siedziba znajdowała się tuż przy kościele Mariackim (katedrze), na rogu Brückenstr./Markt-platz. (dziś ul. Mostowa/Stary Rynek). Do przełomu lat 1935-36 firma posiadała własne furmanki do rozwożenia towaru. Dopiero potem przestawiła się całkowicie na transport samochodami ciężarowymi.

Przed wojną albo w jej trakcie ojciec otrzymał propozycję przejęcia fabryki spirytualiów na Krymie. Moja matka powiedziała wówczas: „Jeśli przyjmiesz tę propozycję, rozwodzę się. Nie chcę być żoną nazistowskiej świni”. Po wojnie wykupił od pani Ehrenberg prawa do nazwy firmy i na początku lat 50. otworzył w Landelsheim „nową” fabrykę wyrobów spirytusowych Ehrenberg. W latach 70. sprzedał prawa do niej pewnemu aptekarzowi. Do dziś aptekarz z Bad Harzburg sprzedaje niewielkie ilości spirytualiów pod nazwą Ehrenberg.

MOJE WSPOMNIENIA Z LAT MŁODOŚCI 1928-1933

Urodziłem się w Landsbergu. Początkowo mieszkaliśmy z rodzicami przy Meydam Str. 48 (ul. Mieszka I), a potem przeprowadziliśmy się na Zechower Str. 55 (ul. Warszawska, naprzeciwko szpitala miejskiego) do domu moich dziadków po kądzieli. Dom należał do nich. Mieszkali na parterze, resztę mieszkań wynajmowali. Mieszkaliśmy na I piętrze nad głównym wejściem. Podczas podróży do Gorzowa wiosną 2005 r. stwierdziliśmy, że dom i podwórze wciąż jeszcze stoją nietknięte. Tu, w domu dziadków, przeżyłem pierwsze lata młodości. Na parterze mieszkała między innymi rodzina Wolf. Ich córka Christel Wolf była mniej więcej w moim wieku, więc stała się moją pierwszą towarzyszką zabaw. Pan Wolf był wówczas bezrobotnym członkiem partii komunistycznej. Nosił mundur i grał na werblach w orkiestrze. Mój ojciec był członkiem Sturmabteilung (SA) i Narodowo-Socjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników (NSDAP). Kiedy później pytałem ojca, dlaczego już wówczas był w SA i NSDAP, odpowiedział: „Chłopcze, w tamtych czasach było w Niemczech 6 milionów bezrobotnych, rządy wciąż się zmieniały, Nadrenię okupowali Francuzi, a zwycięskie mocarstwa z pierwszej wojny światowej stawiały nierealistyczne żądania. Ludzie chętnie słuchali więc Adolfa Hitlera, który obiecywał przywrócenie porządku, a bezrobotnym pracę, więc wielu ludzi mówiło sobie wtedy, dlaczego nie dać szansy Adolfowi Hitlerowi. Jeśli mu się uda, to znajdzie nasze uznanie, jeśli nie, to poszukamy kogoś innego”.

Sądzę, że ta odpowiedź wiele wyjaśnia i nie można nikomu robić zarzutów z faktu, że już wtedy przyłączył się do NSDAP. Każdy pragnął powodzenia naszej niemieckiej ojczyzny. Mój ojciec pojął jednak w momencie rozpoczęcia służby wojskowej w 1939 r., że to, co obiecywali mu NSDAP i Hitler (m.in. „Nie będzie wojny”), całkowicie mijało się z prawdą – poczuł się oszukany. W konsekwencji wystąpił z SA i z Partii (1940-41). Moim zdaniem krok ten miał jednak coś wspólnego z panem Pinkertem, Żydem, który w Landsbergu ukrywał swoją tożsamość (patrz niżej).

Często zdarzało się, że wieczorami pan Wolf i mój ojciec jednocześnie wychodzili z domu na zebrania swoich partii. Często szli razem przez jakiś czas, póki nie rozeszły się ich drogi. Nie pamiętam, aby padło między nimi kiedykolwiek jakieś głośne słowo. Polityka musiała być w styczniu 1933 r. bardzo ekscytująca; było to widać po dyskusjach dorosłych – my, dzieci, nie mieliśmy oczywiście jeszcze o niej pojęcia. Dla nas najciekawsze były marsze z orkiestrami, flagami i grupami ludzi. Pamiętam dobrze, jak słyszałem, że pan Hitler został wybrany na kanclerza Rzeszy. 30 stycznia był ekscytującym dniem, wieczorem odbyła się wielka demonstracja SA z pochodniami. Także pan Wolf założył nagle mundur i był doboszem w SA. Również ja, jako brzdąc, dostałem brunatną koszulę i maszerowałem za SA-manami z małą papierową flagą z hakenkreuzem. Byliśmy wtedy głupiutcy, ale czy fascynowały nas potężne kolumny SA, ich orkiestry i sztandary?, dziś już nie pamiętam. Czuć było jednak potężny oddech ulgi wielkich

mas narodu, jakby wszyscy mówili sobie: teraz będzie lepiej, teraz dostaniemy pracę, będziemy jednym narodem, wielką wspólnotą. Ale czy było to w ogóle możliwe? Czy nasze demokratyczne partie zawiodły?

Krótko potem pan Wolf także dostał pracę i wszystko szło normalnym rytmem. Dzieci bawiły się bez troski. Kiedy jednak ulicą maszerowały oddziały SA, HJ (Hitlerjugend dla chłopców od 14 lat) i BDM (Związek Dziewcząt Niemieckich, dla dziewcząt od 14 lat), Jungvolku albo Jungmädel (obowiązkowe od 10 roku życia), zawsze byliśmy ciekawi i często biegliśmy za nimi. Ludzie w brunatnych mundurach przynależeli do obrazu miasta. 20 kwietnia, w urodziny Hitlera, odbywały się wielkie manifestacje. Domy dekorowano swastykami, ludzie nie witali się słowami „dzień dobry” czy „dobry wieczór”, tylko podnosili prawe ramiona i pozdrawiali się „Heil Hitler”; nie należało przy tym zdejmować kapełusza. Po naszych dziecięcych umysłach nazwisko Hitler krążyło jak widmo: cóż to musiał być za wspaniały człowiek, czy był pierwszym po Bogu? Słyszeliśmy o budowie autostrad, o remilitaryzacji Nadrenii, o linii Zygryda, żeby żaden Francuz nie stanął już na niemieckiej ziemi. Wszystkie gazety pełne były uwielbienia dla naszego Führera, jak go teraz nazywano. Również w radio wciąż pełno było peanów na cześć jego czynów dla Niemiec. Jako dzieci nie wiedzieliśmy wtedy, że nie było wolności prasy. Było dla nas oczywiste, że nie wolno słuchać zagranicznego radia, zresztą po co, tam żyli tylko nasi starzy wrogowie, którzy pragnęli odebrać nam naszego Führera i nasz dobrobyt. Właśnie tak proste, tak proste jest wszystko pod rządami dyktatury.

1934-37

Nie wiem, czy był to rok 1934 czy 1935, w każdym razie pewnego dnia przed kilkoma sklepami stanęli SA-mani, rozbili kilka witryn i pojawiły się napisy w rodzaju „Niemiec nie kupuje u Żyda!” O co tu chodziło? Co to są ci Żydzi, dlaczego nie można u nich kupować? Nie rozumieliśmy tego, niby jak, byliśmy zbyt młodzi. Ale byliśmy ciekawi, bo przecież nie wolno ot tak, po prostu, rozbijać szyb na wystawach. Znaleźliśmy członka Hitlerjugend, który nas objaśnił, a przynajmniej próbował, bo potem i tak nic nie rozumieliśmy. Po kilku dniach wszystko się skończyło.

W domu moich rodziców nie było mowy o polityce. Moja matka była wychowana w duchu narodowym i tylko wyczuwałem, że nie jest zwolenniczką Hitlera. Nie podobało jej się, że ojciec jest członkiem SA i nie lubiła, kiedy wychodził na służbę. Ja natomiast jako mały chłopak byłem tym bardziej dumny, że ojciec należy do wielkiego ruchu, bo kto nosił mundur, był dla nas wtedy wzorem. Byłem dumny z ojca. Po pierwszej wojnie światowej został przecież ochotnikiem w śląskim Freikorps i walczył przeciwko Polakom, którzy, jak twierdził, nie mogli się wtedy nachapać dość Rzeszy Niemieckiej. Wydaje mi się, że odznaczenie, które wtedy dostał za odwagę, nazywało się „Śląski Orzeł”.

(...)

W kwietniu 1934 r. zostałem zapisany do szkoły powszechnej dla chłopców, która znajdowała się w pobliżu resztek muru miejskiego. Pierwszego dnia szkoły poszliśmy w towarzystwie rodziców i nauczycieli na nabożeństwo do kościoła Mariackiego. Jeszcze w pierwszej klasie modliliśmy się wspólnie przed pierwszą lekcją. Lekcje religii mieliśmy aż do mojego powołania 1 maja 1944 r., czyli jeszcze w gimnazjum im. Hermanna Göringa. Nie pamiętam, żeby Kościół miał u nas jakieś trudności. Żyliśmy przecież w Nowej Marchii, byliśmy więc Prusakami i wychowywano nas po prusku – czyli w wierze chrześcijańskiej. Pierwsze dwa lata w szkole powszechnej były dla mnie trudne. Dostawaliśmy po uszach, a za każdy błąd uderzenie różgą w miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę. Czegośmy nie chowali sobie w spodnie, żeby tak nie bolało, ukrywaliśmy różgę, ale nic nie pomagało, nauczyciel miał w zanadrzu rezerwowę. Nie chcieliśmy krzyczeć ani płakać, zresztą nie było wolno, bo wychowywano nas przecież dla wielkich Niemiec.

Było takie hasło: „Niemiecki chłopak jest twardy jak stal Kruppa, zwinny jak łasica i wytrzymały jak skóra”.

W czasie długiej przerwy, około 10.00, każdy uczeń otrzymywał butelkę mleka lub kakao, mieliśmy wyrosnąć na silnych mężczyzn. Nie stosowano różnej miary nawet dla naszych żydowskich kolegów, zresztą dopiero znacznie później dowiedzieliśmy się, kto był Żydem.

W latach 30. było normą, że w niedzielne popołudnie szło się z całą rodziną na spacer – po to, aby widzieć i być widzianym. Ulubionymi celami wycieczek były lokale na peryferiach miasta, gdzie często kapele zapraszały do tańca, a dzieci cieszyły się z placów zabaw z huśtawkami i zjeżdżalniami. Były to prawdziwie rodzinne restauracje.

Po ludziach widać było, że są zadowoleni, ba, nawet radośni. Każdy miał pracę i panował porządek, można było iść przez park bez obaw przed napaścią. Gospodarka pędziła, a zaufanie do Adolfa Hitlera rosło. Nie było kłótni międzypartyjnych, była tylko jednak partia, NSDAP. UFA kręciła wspaniałe filmy, które podobały się ludziom, a przed projekcją pokazywano pozytywne obrazki ze świata pracy niemieckich kobiet i mężczyzn, na przykład z budowy autostrad, linii Zygfyda czy umocnień na wschodzie. Wznowienie zbrojeń i budowa umocnień granicznych miały służyć pokojowi, tak mówił Führer. Przy szczególnych okazjach należało wywieszać flagi. Każdy właściciel domu miał obowiązek posiadania flagi ze swastyką i wywieszania jej przed fasadą, tak że w takie dni całe Niemcy tonęły w morzu flag. Znów byliśmy dumnym narodem, jednym z wielu na tym świecie. Wersalska hańba, tak mówiono wówczas o traktacie pokojowym po pierwszej wojnie światowej, została zapomniana albo miała być wykorzystana do tego, by naród posłusznie wykonywał plany Hitlera. Ale któż się wtedy nad tym zastanawiał, wszystko przecież szło po myśli mas ludzkich. Czas pracy, płace, ceny – wszystko było ustalone z góry. Nie było konfliktów płacowych i niemiecki

Front Pracy, rodzaj związku zawodowego, dbał o to, aby np. kwatery pracowników budowlanych był godziwe, aby stosowano się do wyznaczonego czasu pracy itd. Od czasu do czasu na ulicach pojawiali się umundurowani ludzie, kobiety i mężczyźni, chłopcy i dziewczęta, ze skarbonkami, zbierający pieniądze dla NSV (Narodowosocjalistyczna Opieka Społeczna), Niemieckiego Czerwonego Krzyża czy naszych rodaków za granicą. Było to wprawdzie czasem denerwujące, ale wszyscy to tolerowali. Wujek Fritz, najmłodszy brat mojej mamy, żartował sobie czasem wrzucając do puszek fałszywe banknoty; nikt tego nie zauważył, bo raczej nie uszłoby mu to na sucho, w takich sprawach narodowi socjaliści naprawdę nie znali się na żartach. Również sądownictwo zostało ujednoczone w całej Rzeszy, tak że np. złodziej rowerów dostawał 5 lat więzienia niezależnie od tego, czy popełnił przestępstwo w Królewcu, Berlinie czy Kolonii. Ale przy takich karach nikt nie ważył się już kraść rowerów. Zgodnie z traktatem wersalskim Niemcy mogły utrzymywać armię w maksymalnej liczbie 100 tys ludzi; nie wolno było tworzyć lotnictwa, a marynarka wojenna także była ograniczona do określonej liczby okrętów. Adolf Hitler w 1935 r. złamał ten traktat i wprowadził ponownie powszechny obowiązek obrony. To złamanie traktatu nie spotkało się z żadną reakcją ze strony zwycięskich mocarstw i podziw ludu dla Führera wzrastał się. Pomimo że w Landsbergu były jeszcze koszary z czasów cesarskich, zbudowano dwa nowe kompleksy, koszary im. Strantza i Waltera Flexa, dla dwóch batalionów 50. pułku piechoty. Landsberg stał się tym samym ponownie miastem garnizonowym, co również podobało się większości obywateli. Miasto było oddalone jedynie 30 do 40 kilometrów od polskiej granicy, a do Polaków nikt nie miał zaufania, więc teraz wszyscy czuli się bezpieczniej. Nie postrzegano tych kroków jako przygotowań do wojny, lecz jako ochronę naszych granic.

W 1936 r. przenieśliśmy się z Zechower Str. 55 na Küstriner Str. 110 (ul. Sikorskiego), na trzecie piętro. Mieszkaliśmy teraz prawie w centrum, przy szosie nr 1 prowadzącej z Kolonii przez Berlin do Królewca w Prusach Wschodnich. Za podwórkiem płynęła Kłodawka, niewielka rzeczka, a przy niej znajdował się piękny Park Miejski. Obok niego stała kawiarnia Voley, dziś już nieistniejąca. Ponieważ tylna część kawiarni graniczyła bezpośrednio z naszym podwórzem, zakradałem się tam od czasu do czasu i podjadałem lody. Lody były dla nas wtedy czymś zupełnie wyjątkowym. Poprosiliśmy nawet kiedyś ojca, żeby nam kupił własną maszynę do lodów, ale oczywiście nie spełnił tej prośby. Właścicielem kawiarni był niejaki pan Pinkert, partner w interesach mojego ojca. Ojciec opowiedział mi w 1945 r., że pan Pinkert był Żydem i pierwotnie handlarzem diamentów w Berlinie. Kiedy do władzy doszli narodowi socjaliści, pan Pinkert przeniósł się do Landsbergu i skutecznie ukrywając swoją tożsamość, schronił się tu w roli szefa kawiarni Voley. Ojciec, dowódca oddziału SA i członek Partii, chciał wieczorem po spotkaniu SA napić się czegoś, więc poszedł do kawiarni w mundurze. Nie wiedział wówczas, że pan Pinkert był Żydem.

Pan Pinkert poszedł wtedy do mojego ojca i powiedział: „Clemens, bardzo się cieszę, kiedy przychodzisz, ale następnym razem zdejmij, proszę, mundur. Poza tym nie mam nic przeciwko twoim wizytom”.

Dziś podziwiam pana Pinkerta za odwagę, bo ojciec był przecież członkiem SA, a on w ten sposób opowiedział się niejako przeciwko narodowym socjalistom. Dopiero później ojciec dowiedział się, że pan Pinkert był Żydem. Ojciec nie wyspał go jednak w Partii. Wręcz przeciwnie, wziął go nawet pod ochronę, tak że nikt niczego nie wykrył i Pinkert przeżył wojnę bez szwanku.

Przeniosłem się do szkoły im. Pestalozziego, także szkoły powszechnej, do której chodziłem aż do roku 1938. Znalazłem tu nowych towarzyszy zabaw, takich jak starszy ode mnie o dwa lata Rudi Böhm, już wówczas członek Jungvolku, czy Eberhard Müller, starszy o rok, ale chodzący do tej samej klasy. Z Rudim Böhem, którego ojciec miał zakład fryzjerski, spędzałem dużo czasu. Świętowaliśmy także razem urodziny. Kiedy były urodziny Rudiego, szliśmy zawsze do zakładu fryzjerskiego i jego ojciec strzygł nas za darmo. Przeżyłem tu wspaniałe chwile młodości. Dostałem własny pokój, podczas gdy moje siostry, Christa (ur. 8 grudnia 1929 r.) i Erna (ur. 24 lutego 1932 r.) musiały dzielić swój. Miałem jeszcze trzecią siostrę, Hannelore, urodzoną 19 czerwca 1935 r., jednak już w 6 miesięcy później, 11 stycznia 1936 r., zmarła na skręt jelit. Była to jedyna sytuacja, w której widziałem mojego ojca płaczącego.

Eberhard Müller mieszkał w sąsiednim domu należącym do jego dziadka. Mieszkał tu również pewien samotny starszy człowiek, którego często odwiedzaliśmy, bo był dla nas prawdziwym bohaterem. W pierwszej wojnie światowej otrzymał Żelazny Krzyż za męstwo. Adolf Hitler też przecież nosił Żelazny Krzyż I Klasy, obaj mężczyźni byli więc dla nas, chłopców, wzorami i obiektami podziwu. Jednak pewnego dnia starszy pan wyskoczył z trzeciego piętra i w ten sposób popełnił samobójstwo. Dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, że był Żydem. Nie wiem, czy miał już jakieś problemy z narodowymi socjalistami. Dorośli milczeli, nie chcieli o tym mówić. My zaś żałowaliśmy go, bo dla nas był bohaterem, a nie żadnym Żydem. Od swojego ojca chrzestnego z Kietrza na Górnym Śląsku moja siostra często dostawała gazety, a dokładnie „Der Stürmer”. Były w niej teksty wyłącznie szczujące przeciwko Żydom, np. „Nie wierz lisowi, gdy w lesie harcuje, ani Żydowi, gdy coś obiecuje!”.

Starszy pan nie miał nawet haczykowatego nosa, jak to zawsze pokazywano w Stürmerze, a po tym przecież podobno można było rozpoznać Żyda. Poza tym Żydów przedstawiano tam jako tchórzy. A starszy pan na pewno nie był tchórzem. Wtedy po raz pierwszy zaczęliśmy się nad tym zastanawiać, ale nie udało nam się zrozumieć wszystkich związków.

Ponieważ nie mieliśmy własnego ogrodu, ojciec w 1937 r. wydzierżawił działkę. Zespół ogrodów działkowych znajdował się przy Heindersdorfer Str., potem Adolf-Hitler-Str. Nasza parcela miała 400 m kw. powierzchni. Ok. 100 m rodzice wykorzystywali pod uprawę owoców i warzyw. Nawozili końskim łajnem, które kupował ojciec. Moja siostra Christa wstydziła się zawsze wieźć łajno taczka przez ulice miasta. Na pozostałych 300 metrach mogłem hodować zwierzęta. Miałem kaczkę, kury, gołębie i króliki, które z czasem bardzo się oswoiły.

Jedynym warunkiem rodziców było, żebym sam doglądał zwierząt, i to jeszcze przed szkołą. Robiłem to jednak z ochotą. Kiedy dostałem powołanie, zwierzętami musiała zająć się matka.

1938

Rok 1938 był dla mnie ważny. Zostałem członkiem Jungvolku. W każdą środę i sobotę od 15.00 do 17.00 mieliśmy zbiórkę. Latem nosiliśmy brunatne koszule i czarne spodnie, nogawki mogły sięgać co najwyżej do dwóch szerokości dłoni nad kolana. Włosy mogły mieć długość najwyżej zapałki i tak zostało do końca wojny, bo żołnierze też musieli mieć krótkie włosy. Nasza drużyna, ok. 180 chłopców, spotykała się zawsze w szkole powszechnej dla dziewcząt na Adolf-Hitler-Str. Przez dwie godziny byliśmy szkoleni jak żołnierze, tylko bez broni. Uczyliśmy się maszerować i walczyć, ale także śpiewać wspaniałe piosenki (...). Kiedy maszerowaliśmy śpiewając, odczuwaliśmy prawdziwą radość. Śpiewaliśmy często także poza zbiórkami. Nasi dowódcy pochodzili z naszych własnych szeregów. Po pół roku każdy musiał zdać próbę na członka Jungvolku. Po jej zaliczeniu wolno było zawiązywać sobie skórzany węzeł na chuście, a przy pasie nosić finkę. Próba odbywała się podczas 24-godzinnego wyjazdu. Pojechalśmy ok. 20 km rowerami do schroniska w Altensorge (Glinik), niewielkiej wioski w powiecie landsberskim, nad wielkim jeziorem otoczonym sosnowymi lasami. Tu zostaliśmy zakwaterowani, musieliśmy odbywać nocną wartę, zawsze we dwóch, i musieliśmy obchodzić budynek w pewnych odstępach. Obszedłem go może dwa albo trzy razy, potem zacząłem się trochę bać. W pobliskim lesie wciąż słychać było strzelające gałęzie, między drzewami pojawiały się i znikaly jakieś postacie. Dziwnie się z tym czułem. Zameldowaliśmy o tym naszym przełożonym, ale oni w ogóle nie zareagowali, więc w końcu zacząłem tylko udawać, że pełnię wartę wokół domu. Potem dowiedzieliśmy się, że nasi dowódcy poprosili chłopców z Jungvolku w Altensorge, żeby nam napędzili strachu. Prowiant zabraliśmy ze sobą, tak że rano musieliśmy przygotować sobie tylko „Muckefuck”, rodzaj słabej kawy, a w południe ugotowaliśmy sobie zupę z kostek rosółowych. Rankiem wszystko odbywało się po wojskowemu, nauczyliśmy się ścielić łóżko, sprzątać, musieliśmy razem czyścić buty i biegać po lesie. Na egzaminie ustnym trzeba było wygłosić życiorys Adolfa Hitlera. (...) Poza tym w owych czasach chętnie zadawano następujące pytanie: „Co przyjdzie po Trzeciej Rzeszy?” Kto odpowiedział „Czwarta Rzesza”, nie zdawał, ponieważ Trzecia Rzesza miała przecież trwać wiecznie, 1000 lat i dłużej. Byliśmy jednak już wówczas dość sprytni, tak łatwo nie można było nas zwieść i dość szybko wyczuliśmy, jak należy odpowiadać. Pod wieczór pojechalśmy z powrotem do domu, w dwóch rzędach, wszystko musiało odbywać się w wojskowym porządku. Przedtem nauczyliśmy się jeszcze prawidłowego pakowania „małpy”. „Małpą” nazywaliśmy tornister noszony zwykle przez żołnierzy.

W Jungvolku byłem cztery lata. Na początku byliśmy zachwyceni, jednak później ani mnie, ani mojemu nowemu przyjacielowi, Wilfriedowi Voglerowi,

nie sprawiało to już przyjemności. Nie podobał nam się ciągły dryl, nie staraliśmy się więc zostać „Führerami”. Dość często spóźnialiśmy się na zbiórki. Nasz zastępowy mawiał wówczas: „Takich ludzi mi tu nie trzeba!”. Zostaliśmy więc skreśleni z listy i zostaliśmy zwykłymi zuchami (Pimpf). Tak nazywano członków Jungvolku. Na domiar złego zbiórki często odbywały się w niedziele i wciąż ćwiczyliśmy marsze. Kiedy naszym zastępowym został syn generała von Hase, dryl jeszcze się wzmocnił. Robiono z nas prawdziwych małych żołnierzy. Zimą nosiliśmy czarne narciarskie spodnie i odpowiednią do nich czarną kurtkę oraz narciarską czapkę. Przyjemnie było za to podczas spotkań bożonarodzeniowych, gdzie śpiewaliśmy kolędy i przygotowywaliśmy ozdoby. Mundury zawsze miały lśnić czystością, nie mogło brakować żadnego guzika. Jeśli zdarzyło się, że jakiś guzik zwiślał na nitce, to zastępowy odrywał go i trzeba było przyszywać go od nowa, żebyśmy nie zaziębili sobie charakteru, jak to wyjaśniano. W kieszonce na piersi musieliśmy nosić apteczkę, tak żeby w razie potrzeby można było bezzwłocznie udzielić pierwszej pomocy. To również należało do naszego wykszolenia. Wielką reprymendą kończyło się zawsze, kiedy ktoś stwierdził u nas brudną chusteczkę, grzebień albo paznokcie, rzeczy właściwie zupełnie normalne w tym wieku. Naszym obowiązkiem było też być grzecznym w stosunku do starszych ludzi i pomagać im. Jeśli do tramwaju lub autobusu wszedł starszy człowiek i nie było już miejsc siedzących, to mieliśmy obowiązek mu je ustąpić. Mieliśmy pomagać w każdej sytuacji, w której starszy człowiek wyraźnie się męczył, o ile tylko mieliśmy czas. W czasie zbiórek nosiliśmy drewno na opał albo węgiel do mieszkań, było to ucieleśnieniem wielkiej wspólnoty narodowej. Potępialiśmy zdradę czy, jak to się mówi wśród uczniów, skarżenie, a jeśli ktoś coś zmalował, ponosiliśmy karę wspólnie, nikt nikogo nie wsypał. Co najwyżej sami karaliśmy później tego, kto wciągnął nas w kłopoty.

Przez moje rodzinne miasto Landsberg przepływała rzeka Warta; obydwa jej brzegi łączył most Gerloffa, nazwany tak imieniem burmistrza. Zdarzało się, że chłopaki z Jungvolku z jednej części miasta musieli walczyć z chłopakami z drugiej. Ponieważ wszyscy mieliśmy takie same mundury, jedna drużyna dostawała żółte opaski na ramię, a druga – niebieskie. Walka polegała na zrywaniu sobie wzajem tych opasek – kto ją stracił, nie mógł dalej walczyć, tylko stawał się jeńcem. Poza tym każdy zastępowy dostawał chorągiew, rzecz świętą, którą trzeba było nosić przy takich grach. Rzecz jasna o te chorągwie toczyły się najzaciętsze walki, a zastępowy, który stracił swoją, okrywał się niesławą, świadczyło to bowiem w naszych oczach o tchórzostwie. Podczas jednej z takich walk spostrzegłem, że możemy stracić naszą chorągiew. Przytomnie zerwałem chorągiew z drzewca i zniknąłem z nią w najbliższym budynku. Przez podwórza i okrężnymi drogami wróciłem na miejsce zbiórki, gdzie przyjęto mnie jak bohatera. Nie spodziewałem się takiej reakcji, bo chorągiew się rozerwała i brakowało drzewca. Ktoś jednak znalazł nowy drzewiec i szkody wkrótce naprawiliśmy, tak że mogliśmy z dumą maszerować z naszą chorągwią. W czasie wakacji odbywały się obozy pod namiotami. Dbano tu z wielką starannością, żeby chłopcy byli oddzieleni od

dziewcząt; tworzyło się między nami poczucie koleżeństwa, które było podstawą wspólnych przeżyć. Nie robiliśmy różnic między uczniami szkół powszechnych, gimnazjów czy szkół średnich, nie było ważne, czy czyjś ojciec jest oficerem, lekarzem, adwokatem, budowląncem czy robotnikiem – tworzyliśmy wspólnotę zgodnie z zasadą: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Widziałem kiedyś w kinie, jak duce – przywódca Włoch i sojusznik Hitlera – zaprezentował swoim rodakom, co oznacza takie myślenie w kategoriach wspólnoty: podniósł kij i go złamał, a potem wziął całą wiązkę i tej złamać mu się nie udało.

Nasze kierownictwo doskonale to rozumiało; wystarczy wyobrazić sobie, że w całej Rzeszy niemieckiej zastępy Jungvolku albo Hitlerjugend spotykały się na zbiórkach dokładnie o tej samej godzinie. Szczególnie w urodziny naszego ówczesnego Führera, 20 kwietnia, we wszystkich miejscowościach naszego kraju organizowano wielkie przemarsze wszystkich organizacji, w tym Wehrmachtu i Służby Pracy Rzeszy. Ujednolicenie mundurów i życia politycznego oraz codziennego doprowadziło do tego, że masa narodu niemieckiego została stopiona w jedność, nikt nie zauważył, kiedy, nikt też się specjalnie nie buntował. Ponadto jedną z podstaw naszego wychowania było posłuszeństwo, ściśle wykonywanie każdego rozkazu, nawet jeśli uważało się go za zły, dyskusje na ten temat nie były tolerowane. Jednak był to jedyny sposób kierowania całym narodem, jeśli chciało się nim kierować tak jak przywódcy narodowo-socjalistyczni. Codziennie wbijano nam do głów, że Adolf Hitler to geniusz i wzór do naśladowania, wiadomości takich, jak na przykład dziś w telewizji, wówczas nie było. Prasa była kontrolowana przez Partię i dlatego ktoś miałby się temu sprzeciwiać. Każdy był zadowolony, miał pracę i chciał spokojnie iść przed siebie. Gdyby ktoś w owych czasach odważył się napisać coś przeciwko Hitlerowi, to zostałby ukamienowany, nawet nie przez Partię, tylko przez tłum, ponieważ Hitler miał tak nienaruszalną pozycję w ludzkich umysłach, że cokolwiek robił, uważano za słuszne. Nie do wiary, ale tak właśnie było. Niemieccy robotnicy jeździli statkami *Kraft durch Freude* („Siła przez radość”) do Norwegii, czy ktoś widział kiedyś coś takiego? Budowano osiedla dla robotników, więc oczywiście w niego wierzyli. Kiedy dziś ogląda się zdjęcia z tamtych czasów, jak masy ludzi wiwatują na cześć Hitlera, to wiwaty te były prawdziwe.

W ostatnich miesiącach mojej nauki w szkole powszechniej, wiosną 1938 r., moje wyniki okazały się na tyle słabe, że pewnego dnia mój ówczesny wychowawca odwiedził mamę i wyraził swoje wątpliwości co do mojego przejścia do gimnazjum (im. Hermanna Göringa). Od tej chwili mama dokładnie nadzorowała moją naukę, tak że jednak udało mi się zdać egzaminy wstępne do gimnazjum. W pierwszej klasie w tej szkole było nas 3 klasy po 50 uczniów, w rok później już tylko 2 klasy po 50 uczniów, a w kolejnych latach, aż do mojego powołania, nasze szeregi zmalały do 27 uczniów ogółem. Przypominam sobie dokładnie jedno wydarzenie z gimnazjum. Pewnego dnia nasza klasa uczestniczyła w wycieczce rowerowej. Jeden z naszych kolegów, Żyd, podczas całej jazdy przezywany był przez wszystkich „żydek, żydek”. Robiliśmy to wszyscy i nikt się temu nie sprzeciwiał. Nawet nauczyciel nic nie zrobił w tej sprawie. W kilka dni później uczeń

ten nie pojawił się już w szkole. Nie mam pojęcia, jaki był jego los. Z dzisiejszej perspektywy ze zgrozą dostrzegam, jak narodowo-socjalistyczny system wykorzystywał nas, młodych ludzi. Nie powstrzymywaliśmy się nawet od poniżania własnych kolegów. Uczniowie o szczególnie dobrych wynikach, a dotyczyło to także wyników sportowych, byli wybierani do szkół im. Adolfa Hitlera. W tych elitarnych placówkach wychowywano młodych ludzi w duchu narodowego socjalizmu na przyszłych przywódców. Do szkoły takiej trafił także jeden z moich szkolnych przyjaciół i od razu było widać, że są oni wychowywani zupełnie inaczej niż my. Na przykład od 1944 r. coraz częściej mówiło się o jednoosobowych łodziach podwodnych. Kiedy któregoś razu w czasie wakacji spotkałem tego byłego kolegę i zapytałem, czy odważyłby się poprowadzić taką łódź, usłyszałem odpowiedź: „Tam, gdzie umieści cię Führer, tam masz spełnić swój obowiązek”. Na tym przykładzie widać wyraźnie, jak ówczesna władza bezwzględnie wychowywała ludzi do całkowitego posłuszeństwa; nie można sobie inaczej wyjaśnić późniejszych zbrodni, nakazanych w formie rozkazu.

Potem przyszła osławiona Noc Kryształowa, i także u nas, w Landsbergu, spłonęła synagoga. Do tego momentu nie wiedziałem nawet, że był u nas taki budynek i że służył Żydom jako świątynia. My, chłopcy, też pobiegliśmy na miejsce pożaru, gdzie roіło się od SA-manów, ale nie było widać straży pożarnej. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ogień został przez nich podłożony i że była to akcja przeciwko Żydom. Tego dnia widzieliśmy również wielu SA-manów przed żydowskimi sklepami, podczas gdy ludność zachowywała się bardzo wstrzemięźliwie. Nie było gapiów, a i my także po niedługim czasie opuściliśmy miejsce pożaru. Mój ojciec był tego dnia w delegacji, a moja mama była bardzo smutna. Dorośli bardzo niechętnie rozmawiali z nami na te tematy i tylko przypadkiem słyszałem wieczorem, jak mama powiedziała do naszego lekarza domowego coś o brunatnych bestiach. Nigdy nie przyznałem się mamie, że to słyszałem, nigdy nie powtórzyłem też tego przed innymi. Być może byłem rozczarowany, że mama nie wierzyła w Hitlera; dopiero znacznie później zrozumiałem, że była najrozsądniejsza z nas wszystkich. Co odczuwa człowiek, który myśli inaczej niż wszyscy i nie chce rozmawiać o tym z własnymi dziećmi? Bywały przypadki, że rodzice wyrazili się lekceważąco o Hitlerze, a dzieci to słyszały. One zaś, często zupełnie nie rozumiejąc, co to znaczy, powtarzały te opinie w rozmowach z innymi dziećmi; a potem nagle ich rodzice byli aresztowani. Z tego powodu dorośli, którzy myśleli inaczej, milczeli. Tak oto wyrastała młodzież całkowicie zapatrzona w Adolfa Hitlera. Nawet nauczyciele w mieście mówili o geniuszu Adolfa Hitlera, więc to oczywiste, że w niego wierzyliśmy.

1939-1943

Latem 1939 r. zauważyliśmy, że w polityce coś się szykuje. Coraz częściej pojawiały się kolejowe transporty żołnierzy przejeżdżające przez Landsberg w kierunku wschodnim. Machaliśmy do żołnierzy, którzy odpowiadali nam tym samym.

O ile w przeszłości jeździliśmy z rodzicami na wakacje do rodziny ojca w Bystrzycy Kłodzkiej na Śląsku albo do rybackiej wioski Międzywodzie (Heidebring) na wyspie Uznam nad Bałtykiem, o tyle teraz pojechaliśmy tylko do Barlinka, niewielkiej miejscowości nad cudownym jeziorem na północ od Landsbergu; te ostatnie wakacje w czasach pokoju należały do naszych najpiękniejszych. Po powrocie widzieliśmy wyraźnie, że wzrosło napięcie między Niemcami a Polską. Panowała jednak nadzieja, że również tym razem Hitler doprowadzi do pokojowego rozwiązania problemu, bo prawie każdy bał się wojny. Entuzjazmu wojennego, takiego jak w 1914 r., nie było. Nagle, całkowicie niespodziewanie dla Niemców, pojawiła się wiadomość o pakcie o nieagresji z Rosją (Stalinem), to dawało nadzieję, że wojny jednak uda się uniknąć. Dopiero później zrozumieliśmy, że to właśnie ten pakt, w którym Hitler i Stalin podzielili między siebie Polskę, w ogóle umożliwił II wojnę światową. W sierpniu rozpoczęła się mobilizacja, drzwi domów miały nocą pozostawać otwarte; listonosze dzień i noc doręczali powołania; w społeczeństwie panowało przygnębienie; kobiety płakały, także moja mama. Kiedy przyszło powołanie dla mojego ojca, nie było go akurat w domu. Wrócił około 22, moja mama była bardzo zdenerwowana, ale on promieniował spokojem. Wykąpał się najpierw i poszedł spać, chciał się zgłosić dopiero następnego dnia i tak też zrobił. Gdyby ktoś pytał, mielibyśmy odpowiadać, że jest w drodze. Następnego dnia udał się z setkami innych mężczyzn na dworzec, gdzie stał przygotowany pociąg. Dwie lokomotywy go ciągnęły, trzecia pchała; można więc wyobrazić sobie, jak wielu ludzi musiał przewieźć. Jechał wzdłuż granicy polsko-niemieckiej w każdej wiosce wysiadała jedna kompania. Tam zaś znajdowała się stodoła wypełniona już mundurami i bronią, tak więc w krótkim czasie cała granica mogła zostać obsadzona żołnierzami.

Cały czas mieliśmy jeszcze nadzieję na pokój; tym większe było więc zaskoczenie, kiedy 1 września Hitler wypowiedział Polsce wojnę. W kilka dni później to samo uczynił Stalin, tak że Polska została pokonana w ciągu 16 dni. Był to jednak początek drugiej wojny światowej. Nastąpiły zwycięskie kampanie Hitlera w Danii, Norwegii, Holandii, Belgii, Francji, Jugosławii, Grecji i Afryce Północnej. Nauczyciele w szkole mówili o wielkim wodzu, w każdy poniedziałek rano wszystkie klasy zbierały się w auli i najczęściej jeden z byłych uczniów, będący akurat na urlopie, opowiadał o swoich doświadczeniach i przeżyciach wojennych. Tylko moja mama nie dała się zaślepić ogólnemu upojeniu. W 1940 r., kiedy byłem z nią na spacerze, powiedziała: „Niemcy przegrają wojnę, a wygra ją ten, kto ma kapitał, czyli USA”. Były to dla mnie słowa niepojęte, ale także nigdy ich nie zapomniałem.

Poruszająca sytuacja miała miejsce na przełomie roku 1939 i 40 w związku z moim szkolnym kolegą Manfredem Kötterem, synem lekarza z Döllensradung (Nowiny Wielkie). O ile wiem, jego ojciec został wcielony. Jego matka została sama. Mówiło się, że zapoznała się wówczas z kilkoma mężczyznami. Dowiedział się o tym jej mąż i odczuwał to jako wielki wstyd. Manfred Kötter tak przejął się

całą tą sytuacją, że sam się zastrzelił. Cała nasza klasa w mundurach Jungvolku brała udział w pogrzebie w Nowinach. Był dla nas bardzo smutny i poruszający, bo straciliśmy kolegę ze szkolnej ławy.

W 1942 r. zostałem konfirmowany w kościele Mariackim w Landsbergu. Świątowaliśmy w niewielkim rodzinnym gronie, mój ojciec przyjechał na urlop. Wśród składających mi życzenia był także pan Pinkert.

1 kwietnia 1942 r. zostałem członkiem Hitlerjugend (HJ), drużyny łączności. Pomimo że Landsberg miał ok. 50 tys. mieszkańców, w HJ była tylko jedna taka drużyna. Członkami byli głównie uczniowie szkoły im. Göringa. Naszymi dowódcami byli starsi uczniowie. Służba sprawiała nam przyjemność, ponieważ nie musieliśmy maszerować, tylko odbywaliśmy szkolenia wojskowe. Prowadzili je podoficerowie w koszarach, uczyliśmy się obsługiwać urządzenia łączności (głosowe i z zastosowaniem alfabetu Morse'a). Żołnierze przekazywali nam ten sprzęt i kazali wykonywać mniej ważne zadania. Rozkładaliśmy więc kable, a potem, podczas przemarszów i parad w mieście, rozdzielaliśmy się i meldowaliśmy sobie nawzajem przez radio, gdzie znajduje się kolumna. Było to dla nas bardzo ciekawe.

Wojna w ojczyźnie (ataki bombowe) i na froncie była coraz bardziej okrutna, informacje specjalne coraz rzadsze, listy poległych coraz dłuższe, po cichu opowiadano sobie dowcipy, np.: „Kierowca Hitlera przejechał psa. Hitler wysłał Göringa do właściciela, okazuje się, że to rolnik. Göring wraca obładowany kielbasą i szynką. No i co, pyta Hitler, jak tam sprawa? Göring odpowiada: Powiedziałem do niego tylko „Heil Hitler, ten pies zdechl”, na co tak mnie obdarował”. Im dłużej trwała wojna, tym więcej żołnierzy potrzebowała Rzesza. Od połowy 1942 r. miliony żołnierzy musiało bronić tysięcy kilometrów frontu przy rosnących stratach, nic więc dziwnego, że zaczęto powoływać 15- i 16-latków. Najpierw byli to uczniowie liceów, potem gimnazjów, szkół realnych i wreszcie nawet zawodowych, których szkolono na pomocników dla lotnictwa i marynarki.

Jako 15-latek zostałem zmusztrowany już jesienią 1943 r., jednak na pół roku odesłany do domu, bo dla lekarza wojskowego wyglądałem jeszcze na zbyt młodego i niezdolnego do służby. Ponieważ prawie wszyscy moi koledzy byli „KV” („kriegsverwendungsfähig”, zdolni do służby wojskowej), również i ja chciałem otrzymać taki status, złożyłem więc sprzeciw wobec tej decyzji. Zostałem więc ponownie wezwany na badania. Tym razem wystarczyło, że zaśpiewałem lekarzowi jedną zwrotkę piosenki o „Sanitariuszu Neumannie” i już zostałem „KV”, rezerwa 1. Dumny jak paw wróciłem do kolegów. Dziś nikt by już tego nie zrozumiał, ale my, urodzeni jako Prusacy i wychowani w duchu pruskim, obronę ojczyzny w chwili potrzeby uważaliśmy za nasz obowiązek.

Żeby trafić do wymarzonej jednostki, trzeba było zgłosić się na ochotnika, więc roczniki 1927 i 1928 prawie w całości meldowały się na ochotnika. Wraz z moich przyjacielem Wilfriedem Voglerem zgłosiliśmy się jako kandydaci na oficerów rezerwy. Wilfried miał jednak szczególny powód, żeby zostać ochotnikiem. Był bowiem wychowywany przez ciotkę i wuja. Podczas konfirmacji

dowiedział się, że jego rodzice nie żyją i że ciotka i wuj nie są jego biologicznymi rodzicami. Jego świat się zawalił. W chwili pierwszej rozpacz powiedział do mnie: „Klemensie, chcę zginąć. Zgłoszę się na ochotnika”. Odpowiedziałem na to, że idę z nim. I poszliśmy do koszar im. gen. Strantza, zgłosiliśmy się do biura, a tam przyjął nas szykowny, młody porucznik. Powiedzieliśmy, że chcemy się zgłosić na ochotnika. Zapytał, do jakiej broni. Powiedzieliśmy, że w pierwszej kolejności do pancerniaków, a potem do piechoty. Towarzyszyło nam przy tym następujące przekonanie: wprawdzie wśród pancernych i piechoty są największe straty, ale też najszybciej można zostać oficerem. Gdyby wojna miała potrwać jeszcze długo, chcieliśmy zostać oficerami zawodowymi, a w przeciwnym razie skończyć studia politechniczne. Zostaliśmy przyjęci na ochotników. Wilfried Vogler niestety nie przeżył wojny.

Jednak to, że zgłosiłem się do Wehrmachtu, było dla moich rodziców katastrofą. Pamiętam, że ojciec był w domu (w późniejszym czasie nie był już zdolny do walki i pracował w firmie zaopatrzeniowej w Landsbergu), a ja w drodze do mieszkania. Ze strachu przed ojcem nie chciałem wejść. Dwie godziny stałem przed drzwiami, zanim się zdecydowałem. Ale to nic nie pomogło, ojciec bardzo się zdenerwował. Ojciec zareagował tak prawdopodobnie dlatego, że znał codzienność wojny i wiedział, co mnie czeka. Jednak zaciągu nie można już było cofnąć.

Werbunek do Waffen-SS odbywał się głównie za pośrednictwem policji, ponieważ obydwie te formacje podlegały wówczas Heinrichowi Himmlerowi. Jestem przekonany, że większość policjantów brało udział w tej akcji tylko z przymusu. Również u mnie dwa razy była policja. Podobnie jak większość moich kolegów nie chciałem iść do Waffen-SS, więc zastosowałem wymówkę, że nie mam wymaganego wzrostu 1,74 m – miałem tylko 1,70 m. Wymówka ta okazywała się zawsze wystarczająca. Ale dlaczego większość z nas nie chciała do Waffen-SS? Byli uczniowie, których ojcowie zajmowali wysokie stanowiska w NSDAP albo którzy sami mieli wysoką pozycję w Jungvolku lub w HJ, a których nie lubiliśmy. Ponieważ tylko ci koledzy automatycznie szli na ochotnika do SS, a w naszych oczach byli w pewnym stopniu kabotynami, nie chcieliśmy iść do tych samych jednostek.

1944

W kwietniu 1944 r. w naszej klasie pojawił się dyrektor szkoły w towarzystwie oficera Luftwaffe i poinformował nas, że od 1 maja będziemy pomocnikami Luftwaffe w Berlinie. Byliśmy zachwyceni, a naszemu dyrektorowi lzy płynęły z oczu, kiedy żegnał się z nami po kolei i życzył szczęśliwego powrotu do domu. Również moja mama płakała, kiedy przyniosłem tę wiadomość do domu, ponieważ ojciec był skoszarowany w pracy, więc została sama z moimi dwiema siostrami. 1 maja 1944 r. o 6.00 rano przyszliśmy do szkoły. Tu przywitał nas porucznik, który w towarzystwie orkiestry wojskowej zaprowadził nas na dworzec. Do pociągu do Berlina przyczepiono specjalny wagon dla nas. Kiedy dotarliśmy do Berlina-Lankwitz, znów przywitała nas orkiestra i towarzyszyła

nam do tamtejszych koszar obrony przeciwlotniczej. Wszystko było już przygotowane na nasze przybycie. Szybko zjedliśmy po porcji grochówki i zaczęliśmy zakładać mundury. Już w godzinę później przestaliśmy być cywilami, a nasze prywatne ubrania zostały zapakowane do kartonów i wysłane do domów. Jeszcze tego samego dnia pojechaliśmy dalej, do Struveshof, zakładu wychowawczego dla chłopców między Berlinem i Poczdamem, gdzie tu przygotowano dla nas jeden z bloków jako koszary szkoleniowe. Gdy zajęliśmy swoje miejsca i poznaliśmy naszych instruktorów, musieliśmy naszyć sobie na kurtkę munduru i płaszcz oznaczenia stopni. Nastąpiły cztery tygodnie szkolenia z ostrą dyscypliną, za którą byliśmy wdzięczni, bo jak inaczej moglibyśmy przetrwać to wszystko, co nas czekało? Do dziś traktuję to jako szkołę życia. Jak sam byłem szkolony jako K3 (kanonier 3), obsługiwałem stanowisko reflektora. Na początku czerwca zostaliśmy wysłani do walki na stanowisku obrony przeciwlotniczej Kienitz w pobliżu lotniska Rangsdorf, na południe od obwodnicy berlińskiej. Dwa do trzech razy w tygodniu mieliśmy jeszcze lekcje w szkole, w tym celu musieliśmy od naszego stanowiska przejść piechotą ok. 7 km. Co środę cała bateria była zbierana na lotnisku Rangsdorf i poddawana ostrej musztrze. Zawsze się cieszyliśmy, kiedy mogliśmy wrócić na nasze stanowiska. Kiedy nie było zadań domowych w szkole, czyszczenia i szycia, kiedy nie byliśmy potrzebni na stanowisku, musztra trwała dalej. Nigdy nie było spokoju. W czasie nalotów nocą musieliśmy oświetlać niebo; a w dzień strzelać do samolotów lecących lotem koszącym. Nasze stanowisko zostało 14 razy zaatakowane bezpośrednio nalotami dywanowymi. Czuwał jednak nade mną anioł stróż, poszarpało mi tylko mundur, a na ciele (plecach) miałem tylko zadrapania. (...)

Naszą kwaterę w baraku, gdzie spaliśmy w dwudziestu i gdzie spędzaliśmy czas wolny, nazywaliśmy „Izbą Helmuta Lenta”. Kiedyś jeden z podoficerów zapytał nas, dlaczego w naszej izbie nie ma portretu Führera. Odpowiedzieliśmy mu, że to „Izba Helmuta Lenta” i że jego portret w niej wisi; wizerunku Führera nie chcieliśmy mieć, nie potrafiliśmy dzisiaj powiedzieć, dlaczego. Myślę jednak, że jako zadeklarowani Prusacy patrzyliśmy na wszystko bardziej trzeźwo. Kim był podpułkownik Helmut Lent? Jako były uczeń naszego landsberskiego gimnazjum był dla nas wzorem: syn pastora z Pyrehne (Pyrzany), walczący od samego początku wojny, zwycięzca 110 pojedynków lotniczych. Zginął 7 października 1944 r., niepokonany, na skutek obrażeń po wypadku lotniczym. Był do końca chrześcijaninem – przed każdym lotem czytał Nowy Testament, a potem odmawiał modlitwę. Mówił zawsze: „Najlepszym pancerzem jest opieka Boża”. Osiągnęliśmy już wtedy wiek dojrzenia i byliśmy wciąż głodni. Organizowaliśmy dodatkowe ziemniaki, gotowaliśmy je w menażkach i jedli z solą, nauczyliśmy się wartości chleba. Najcięższą pracą na stanowisku wykonywali rosyjscy jeńcy, ich wyżywienie było jeszcze gorsze. Nie chcieliśmy znosić tej niesprawiedliwości i zażądaliśmy, żeby nasza cała żywność była dzielona po równo, zarówno dla nas, jak i dla Rosjan. Mieliśmy z nimi dobre stosunki, były student matematyki z Moskwy pomagał nam nawet w zadaniach domowych. Dobrze wiedzieliśmy,

że wielu rosyjskich jeńców wojennych zmarło w niemieckiej niewoli na skutek ran, zimna, wycieńczenia i niedożywienia, ale także chorób, jak na przykład tyfusu. Taki sam los spotykał jednak także niemieckich jeńców w Rosji; dlatego trzeba oddawać cześć wszystkim ofiarom, ponieważ cierpienie i śmierć nie znają narodowości.

Wychowywano nas na uczciwych żołnierzy; podstawą było zawsze 10 przykazań wojennych żołnierza (Bundesarchiv – Militärarchiv Freiburg, Bestand MSg 2/2215), musieliśmy je znać i postępować zgodnie z nimi. I tak punkty 3 i 4 brzmiały: „Nie wolno zabijać przeciwnika, który się poddaje, choćby był to partyzant albo szpieg. Spotka ich zasłużona kara przed sądem. Jeńców wojennych nie wolno poniżać ani obrażać. Należy odebrać im broń, plany i rysunki, ale nie wolno zabierać ich własności”. Moi towarzysze broni i ja zawsze stosowaliśmy się do tych reguł.

We wrześniu 1944 r. zostałem wysłany do Stendal na egzamin oficerski; przez tydzień trwały egzaminy ze sprawności fizycznej, matematyki, historii i ortografii. Należałem do tych szczęśliwców, którzy wszystkie je zdali i zostali kandydatami na oficerów. Objawiało się to także w postaci dwóch srebrnych pasów na klapach kołnierza. Jesienią przyszedł czas pożegnać się ze stanowiskiem ogniowym Kienitz. Przez kilka dni odbywałem służbę na wieży Gesundbrunnen i w zoo, potem pojechałem obsługiwać reflektor do Berlina-Siemensstadt. Tu prawie codziennie miały miejsce ataki lotnicze i chroniliśmy się w samodzielnie wykopanych bunkrach. Coraz lepiej zdawałem sobie sprawę z beznadziejności wojny, po cichu coraz częściej obgadywano Hitlera, choć oczywiście nie wtedy, gdy pojawiał się jakiś „wierny”; było ich dość sporo, ale znaliśmy ich wszystkich.

Jako pomocnicy wojsk lotniczych i marynarki musieliśmy na mundurach wyjściowych nosić opaskę ze swastyką, jednak robiliśmy to niechętnie i ściągaliśmy ją, kiedy tylko opuszczaliśmy stanowisko, choć wciąż nas pouczano, że mamy obowiązek ją nosić. Chcieliśmy jednak, aby uważano nas za żołnierzy, ponieważ spełnialiśmy obowiązki żołnierskie. Generał von Axthelm, ostatni komendant obrony przeciwlotniczej, powiedział kiedyś o pomocnikach: „Patrzyli w piekło i nic nie zostało im oszczędzone”.

Nie życzyliśmy sobie również opieki ze strony wysokich funkcjonariuszy HJ. Wyczuwaliśmy już pewne napięcia między NSDAP i Wehrmachtem.

Otrzymywaliśmy 1 markę dziennego żołdu. Z tego co 10 dni wypłacano nam po pół marki, a drugą połowę należało oszczędzić. Zdarzało się też, że dowódca baterii wydawał rozkaz oszczędzania i nie wypłacano nam wtedy żołdu w ogóle. Nie wolno nam było używać alkoholu ani palić papierosów. Za to co miesiąc dostawaliśmy 200 gram ciasta, które bardziej nas cieszyło.

Zamach bombowy na Hitlera 20 lipca 1944 r. w Prusach Wschodnich, przeżyliśmy na lotnisku Rangsdorf i na naszym stanowisku w Kienitz. Na lotnisku pułkownik von Stauffenberg przejeżdżał obok nas po powrocie z kwatery głównej Führera w Prusach Wschodnich. W kilka godzin później usłyszeliśmy w radio wiadomość o zamachu. Nie miało dla nas znaczenia, czy Führer żyje, czy nie, było

dla nas natomiast niepojęte, że niemieccy oficerowie przeprowadzili pucz. Niemieccy oficerowie złamali swoją przysięgę, jak mamy to sobie wytłumaczyć? Uczyliśmy się przecież, że Niemca charakteryzuje wierność i posłuszeństwo.

Czy mogliśmy jeszcze ufać naszym oficerom? Czy to, co zrobili, było słuszne, czy nie? Stawialiśmy sobie dziesiątki pytań, na które nie potrafiliśmy sobie odpowiedzieć. W Wehrmachcie panowała zasada: rozkaz to rozkaz; ale także „Należy odmówić wykonania rozkazu, którego celem jest popełnienie przestępstwa”. (patrz: „Das Wesen der soldatischen Erziehung”, gen. dyw. dr Friedrich Altrichter, wydawnictwo Stelling-Verlag Oldenburg 1943). Kolejną zagadką był dla nas fakt, że do spiskowców należał generał von Hase, którego syn był przywódcą Hitlerjugend, więc znaleźmy jego nazwisko.

Po zakończeniu służby w oddziałach przeciwlotniczych w Berlinie w grudniu 1944 r. zostałem przeniesiony do Volkssturmu w Landsbergu. Szkolenie odbywało się w landsberskich koszarach. Uczono nas tam między innymi używania panzerfaustów. Boże Narodzenie 1944 r. spędziłem jeszcze w domu, razem z mamą i siostrami. Większość czasu byłem zakwaterowany w koszarach. Od czasu do czasu zaglądałem do domu.

1945

W styczniu 1945 r. zostałem przydzielony do Volkssturmu jako radiotelegrafista. Mój wuj Fritz Rönning również się tam znalazł, potem został ranny koło Landsbergu. Znalazł się w lazarecie w Berneburgu. Opowiadał mi, że wydawano tam znaczki dla rannych, jakby to były zwykłe bułki. W styczniu zostaliśmy przeniesieni z Landsbergu do Zechow (Czechów). Mieliśmy tam bronić fabryk, ale także linii obronnych. Nasza jednostka składała się z około 300 ludzi. Posiadaliśmy dwa działka szturmowe i cztery lub pięć karabinów maszynowych. Kiedy zaatakowali nas Rosjanie, nie byliśmy w stanie obronić naszych stanowisk. W chaosie w ciągu dwóch dni wróciliśmy razem z uciekinierami z Zechow do Landsbergu. Działka wciąż zatrzymywano, żeby ostrzelać Rosjan. Utrzymywało ich to w pewnej odległości. Poza tym na drodze do Landsbergu zbudowaliśmy stanowiska ogniowe karabinów maszynowych na poboczu. Przez kilka dni od rana do wieczora latały nad nami trzy messerschmitty 109, które Rosjanie ostrzeliwali. Bez ich wsparcia nigdy nie dotarlibyśmy do Landsbergu; dwa z nich zaraz potem zostały zestrzelone i spadły do Noteci. Kilka razy, w nieregularnych odstępach, dwusilnikowe samoloty zrzucały nam na spadochronach amunicję i prowiant. Niestety polegało na tym, że Rosjanie mogli w ten sposób zorientować się, gdzie jesteśmy. Pewnego dnia, przy kolejnym przelocie, otrzymałem rozkaz przekazania pilotom, że mają niczego nie zrzucać. Usłyszeli. Przypadek zrządził, że jednego z pilotów, którzy usłyszeli moją prośbę, spotkałem po wojnie w Aurich, we wschodniej Fryzji. (...)

Krótko przed wejściem Rosjan do miasta pod koniec stycznia (z jednej strony z miasta uciekali Niemcy – z drugiej wchodzili doń Rosjanie) pojawiłem się jeszcze w domu, żeby zabrać moje świadectwa i zdjęcia. Mieszkańcy siedzieli

już w schronie. Jednak mojej mamy i siostr nie było już między nimi. Jak mi później opowiedziała Christa, mój ojciec zorganizował niewielki samochód dostawczy (skrzynia była pokryta plandeką). Już wcześniej spakowali najważniejsze rzeczy, a wózki i resztę drobiażgów wystawili na korytarz. Moja mama podobno jeszcze tego samego dnia potknęła się o sanki i mocno zraniła w głowę. Zadzwoiła jeszcze do doktora Friedländera, żeby dowiedzieć się, co ma robić. Poradził jej, żeby rozerwała obrus i przewięzała nim głowę, bo obrusu i tak nie będzie w stanie zabrać. Tak też zrobiła. Wraz z inną rodziną pojechali do Küstrin (Kostrzyn). Mój ojciec został ze swoim oddziałem Volkssturmu odkomenderowany do Eberswalde. W tym czasie nie wiedziałem, gdzie się znajdują. (...) W Küstrin zaopiekowano się mamą i jej raną.

30 stycznia nasza jednostka opuściła Landsberg, bo pod miastem stali Rosjanie (jednostki rumuńskie przyłączyły się do nich). Miałem w Landsbergu dwa konie (nazwałem je „Max” i „Moritz”¹), które nosiły sprzęt radiotelegraficzny, zostałem więc ustawiony na końcu kolumny, aby pomagać ludziom, którzy uciekali z nami. Operowałem na odcinku Landsberg-Küstrin. Niedaleko Wepritz (Wieprzyce) nadeszła z naprzeciwka jakaś jednostka. Nagle usłyszałem głos: „Klemens, stary przyjacielu, co tu robisz?”. Był to Rudi Böhm (jego ojciec miał zakład fryzjerski w Landsbergu), dawny przywódca HJ. Rudi był członkiem oddziału saperów. Odkrzyknąłem: „Rudi, wracaj. My jesteśmy ostatni. Za nami są już tylko Rosjanie”. Odpowiedział: „Musimy jeszcze wysadzić most w Landsbergu”. (Tak też się stało). Nigdy więcej nie widziałem Rudiego (przeżył wojnę i mieszkał w Halle). Do tej chwili nie potrafię zrozumieć, jak Rudi mógł mnie w ogóle poznać. Była noc i w naszych stalowych hełmach wyglądaliśmy wszyscy jednakowo. Nasza jednostka w drodze do Küstrin wymieszala się z uciekinierami. Na jej czele znajdowało się jedno z dział szturmowych. Za Landsbergiem jedna z ciężarówek miała wypadek czy może zabrakło jej paliwa. Musiałem wysłać wiadomość do sztabu w Küstrin, żeby przysłali pomoc. Potem miałem zostać tak długo, aż ciężarówka będzie znów zdolna do jazdy. Ulica była coraz bardziej pusta, aż w końcu straciłem kontakt z moim oddziałem. Była już noc, ze wszystkich stron słychać było strzały, znalazłem więc po drodze jakieś gospodarstwo i zająłem się moimi karymi. Było to w pobliżu Dąbroszyna. Było to osamotnione gospodarstwo, poilem konie. W pobliżu nie było nikogo. Postawiłem karabin w rogu, przywiązałem konie i zacząłem pompować wodę. Nagle usłyszałem tętent koni, zobaczyłem światło latarek. Oślepiło mnie. Było to sześciu niemieckich kawalerzystów, którzy powiedzieli: „Opuść ręce, chłopcze, jesteśmy z tej samej brygady”.

Zwrócili mi uwagę, gdzie powinienem teraz być, że muszę zadbać o to, by dotrzeć do Küstrin. Tak też zrobiłem. Tam odnalazłem swoją jednostkę.

¹ Bohaterowie jednego z najpopularniejszych niemieckich wierszy dla dzieci autorstwa Wilhelma Buscha (przyp. tłum.).

ZAKOŃCZENIE

Dopiero 60 lat później, w 2005 r., miałem okazję ponownie zobaczyć Landsberg, dziś Gorzów. Przedtem przejeżdżałem tylko przez to miasto w czasie podróży przez Polskę na początku lat 90. W mojej opinii było to już inne miasto niż to, które opuściłem. Dlatego w 2005 r. wcale nie miałem ochoty go oglądać. Dopiero dzieci, które pragnęły dowiedzieć się czegoś o mojej przeszłości, nakłoniły mnie do powrotu do ziemi rodzinnej. Z ciekawością odbyłem wzruszającą podróż do przeszłości, ale także do teraźniejszości i przyszłości. Wiele z tego, co, jak sądziłem, już nie istnieje albo wygląda zupełnie inaczej (mieszkania, instytucje kultury, szkoły), odnalazłem ku swemu zaskoczeniu w stanie niemal niezmienionym albo tylko w innej funkcji. Był to dla mnie powrót pełen spokoju, bez zgorzknienia. Tym samym zamknął się pewien krąg w moim życiu.

Barbara Kaczmarek

(.....)

Gorzów moim miastem rodzinnym. Do dziś zajmuję mieszkanie, w którym przyszedłem na świat. Był to listopad 1947 r. Rodzice moi przyjechali do Gorzowa jako osoby okaleczone przez wojnę: mama wdowa, a tato inwalida. Gorzów mojego wczesnego dzieciństwa to obecnie śródmieście, zapamiętałam ruiny ul. Sikorskiego, wtedy Wandy Wasilewskiej, wypalone szkielety domów przy ul. Estkowskiego oraz dworca kolejowego. Gmach ten był z czerwonej cegły, w holu przejście na perony zagrodzone łańcuchem oraz budka dyżurnego kolejarza sprawdzającego bilety podróżnych. Na ścianach długo wisiały zdjęcia miejscowości z niemieckimi podpisami. We wnętrzu katedry zapamiętałam wysokie, malowane na biało ławki. Moje dzieciństwo, z racji sąsiedztwa, związane było z Parkiem Róż, bo tak nazywano obecny park Wiosny Ludów. Jeszcze do dzisiaj czuję zapach przepięknych różowych kwiatów, które girlandami zwisały na pergolach w centralnej części. W całym parku na klombach kwitły tylko róże. W alejkach spacerowych i wokół stawu było mnóstwo krzewów, między innymi jaśminy, śnieguliczki. Po między nie wciśnięto romantyczne ławeczki. Wiosną koncertowały żaby. Kwitnące kasztanowce przypominały mi olbrzymie świeczniki z białymi i różowymi świeczkami. Zawsze byłam dumna z miejsca swego zamieszkania i tak jest do dzisiaj. Parkowi dodawała uroku kawiarnia Wenecja na rzece Kłodawce. Jako dziecko usypiałam przy melodiach płynących wieczorami z dancingowych imprez, zapamiętałam „Cichą wodę”. Park Róż miał też inne atrakcje. W zimie na stawie było lodowisko. W muszli koncertowej czasami zagrał jakiś zespół, na plac zawitało wesołe miasteczko.

W Gorzowie osiadło też rodzeństwo mojej mamy: dwóch braci i siostra. Kwitło życie rodzinne, spotykaliśmy się bardzo często, dorastało nowe pokolenie. Z domu rodzinnego wyniosłam miłość do Boga i ojczyzny oraz szacunek dla każdego człowieka. Pamiętam swoją matkę podającą w upalny dzień butelkę z napojem młodemu żołnierzowi radzieckiemu stojącemu z bronią przy ówczesnych koszarach na ulicy Kosynierów Gdyńskich. Rodzice pokazali swoim przykładem, że dom i rodzina to wartości niezbywalne i wymagające poświęceń, ale także dające człowiekowi szczęście. Mieszkańcy miasta nie byli smutni, choć były to trudne czasy. Koniec pożogi wojennej, radość, że spotkali odradzające się życie, matki wychowujące dzieci, bliskość sąsiedztwa na co dzień. Inny model życia niż dziś. Zapamiętałam uliczne potańcówki na deskach. Po nabożeństwach

majowych z mamą i młodszym bratem chodziliśmy popatrzeć, jak nasz starszy brat, modnie po bikiniarsku ubrany, tańczy z panienkami. Miasto dźwigało się z ruin bardzo powoli. Obecne centrum powstawało dopiero w latach 60. Ruch samochodowy był znacznie mniejszy. Komunikację miejską stanowiły dwie linie tramwajowe przecinające się koło katedry, wtedy była nitka przez most na Zawarcie. Atrakcją były dorożki z postojem przy ul. Strzeleckiej. Tam też mieścił się dworzec autobusowy. Pamiętam karawany pogrzebowe i dostojne perszerony ciągnące pojazd z trumną. Konie dość długo istniały w krajobrazie miasta ciągnąc wozy dostawcze z żywnością, czy też wywożąc odpadki i śmieci. Zniknęły chyba w latach 70.

Inne było tu kiedyś oświetlenie miasta. Przypominam sobie pana na rowerze, który o zmierzchu przy pomocy długiego pręta zapalał każdą gazową latarnię z osobna.

Szczególnie ciekawe były przejazdy taborów cygańskich. Mnóstwo kolorowych wozów – domów. Z okien wyglądające dzieci z matkami. Młode dziewczyny obok wozów, chłopcy na koniach. Dla mnie piękne, egzotyczne zjawisko. Ostatni postój taboru pamiętam przy ul. Warszawskiej, koło starej cegielni. W latach 60., na skarpie ukryte z koleżanką, podglądałyśmy życie codzienne Cyganów. Kiedy już zmuszono ich do osiedlania, wielu wybrało Gorzów na swój dom. Na ulicach i w lokalach zaczęła rozbrzmiewać rzewna, cygańska muzyka. W parkach pojawiły się wróżące kobiety. W Gorzowie powstał zespół cygański Terno. Do dzisiaj odbywają się coroczne przeglądy zespołów Romane Dyvesa. Z tamtych lat zapamiętałam drobną postać starszej kobiety o szlachetnych rysach, siadającą często na ławeczce przed domem na ul. Kosynierów Gdyńskich. Była to poetka Papusza, która pozwoliła przetłumaczyć swoje wiersze na język polski, narażając się tym swojej braci cygańskiej.

Kiedy miałam sześć lat, zapisano mnie do przedszkola muzycznego przy Państwowej Szkole Muzycznej. Program zajęć obejmował rytmikę u pani Nowickiej oraz umuzykalnienie u pani Skazińskiej. Ponadto przedszkolacy statystowali w przedstawieniu bajki „Za górami, za lasami”, którą uczniowie tejże szkoły wystawiali w gorzowskim teatrze. Przedszkolacy byli muchomorkami i kuchcikami. Było to przeżycie długo niezapomniane i oświetlona scena, ciemność widowni i oklaski, oklaski... Uczyliśmy się także ludowych tańców śląskich. Cały zespół ubrany w piękne stroje szyte przez rodziców tańczył i śpiewał. Zachowała się w albumie rodzinnym fotografia upamiętniająca nasze występy. Pamiętam gościnne występy w koszarach przy ul. Chopina. Przywieziono nas ciężarówką. Mali bohaterowie oklaskiwani przez żołnierzy. Po takim przedszkolu większość dzieci rozpoczęła edukację w Szkole Podstawowej TPD, Ćwiczeń przy Liceum Pedagogicznym. Był to budynek obecnej Akademii Wychowania Fizycznego. To była szkoła – bajka! Sam gmach okazały, jasny hol z marmurowymi posadzkami, szerokie schody, piękne klasy, aula, dwie sale gimnastyczne, wiele miejsca do zabaw na korytarzach i duże boisko. Każdy uczeń miał swojego anioła stróża

w osobie licealisty. Ten od pierwszych dni obserwował rozwój swojego podopiecznego, kontrolował zeszyty, o czym dowiedziałam się dopiero po latach. Byliśmy ich poligonem doświadczalnym. W zamian za to mieliśmy wykonane przez licealistów wspaniałe pomoce dydaktyczne i kolorowe plansze, prześliczne elementy do zabaw na lekcjach wychowania fizycznego, piłeczki, woreczki, kółka, itp. Był to istny świat zabaw i konkursów. Słynne były na cały Gorzów zabawy choinkowe. Licealiści najpierw organizowali je dla nas, a potem zapraszano dzieci z innych szkół podstawowych. Już po przekroczeniu drzwi budynku zaczynał się świat baśni. Utkwiła mi w pamięci następująca sceneria: wejście na schody to wejście do paszczy smoka. Stąpało się po wyrzuconym jęzorze pomiędzy zębiskami i dalej, do wnętrza gada. Odpowiednie oświetlenie raz przerażało, kiedy indziej fascynowało wszystkich zwiedzających. W auli na górze było apogeum twórczości artystycznej młodych nauczycieli. Taka szkoła rozbudzała wyobraźnię, zachęcała do nauki przez zdrową rywalizację. Jednocześnie liceum doskonale przygotowywało swoich absolwentów zawodowo. Przez pięć lat nauki mieli pięć lat praktyki. Szkoda, że znikły te kuźnie dobrych pedagogów. Należy dodać, iż uczniowie szkoły ćwiczeń byli nauczani przez profesorów liceum z takich przedmiotów jak: chemia, D. Stachura, i fizyka, Z. Petri. Dało to nam dobry start do szkół średnich. Moim liceum była dziewiętnastka, obecnie II LO, przy ul. Przemysłowej. Tutaj także miałam wspaniałych profesorów, m.in. K. Herma, A. Bubię, B. Suchecki, Kłorek, B. Janecka. Szkoła stawiała nam wysoką poprzeczkę, ale dyrektor Herma również wiele wymagał od swego grona pedagogicznego. Dbano o naszą dodatkową edukację. Kilka razy w roku spotykaliśmy się z artystami Filharmonii Poznańskiej. Teatr w Gorzowie repertuar dostosował do programu języka polskiego liceum. W tamtym okresie prowadzony był przez Byrskich. Pamiętam po zdaniu matury w 1956 r. pożegnanie z teatrem i artyści dziękowali nam za obecność na widowni przez cztery lata, my zaś za wspaniałe uczyt duchowe nam ofiarowane.

Przez lata nauki w liceum codziennie, przynajmniej dwa razy, przechodziłam przez most na w Warcie, czasami jeździłam tramwajem. Jeszcze w tamtym okresie rzeka była żeglowną. Pamiętam płynące barki z towarem, czasami bardzo wiele złączonych niczym pociąg. Niegdyś miasta położone nad rzekami bardziej z nimi były związane. W latach 50. mieszkańcy Gorzowa plażowali się na nadwarciańskiej łące, w rejonie ul. Składowej poniżej mostu kolejowego, wtedy zniszczonego. Obok pasły się krowy i kozy. Nikomu to nie przeszkadzało. Woda w Warcie była czysta i żyły w niej raki, można było się kąpać. W latach 60. powstało zorganizowane kąpielisko na lewym brzegu Warty, powyżej mostu drogowego. Przywieziono nawet piasek znad morza. Gdy w 1971 r. tu wróciłam po studiach do Gorzowa, kąpielisko było już nieczynne. Rozwój przemysłu, odprowadzanie nieoczyszczonych ścieków do rzeki, brak oczyszczalni miejskiej i w rezultacie należało kąpielisko zamknąć. Tak się złożyło, iż z racji swego zawodu, biolog, wykonywałam badania kontrolne stanu środowiska, również naszego miasta. W okresie PRL-u obowiązywały normy o dużej tolerancji wobec

zanieczyszczeń wody czy powietrza. I tak np. badanie stężenia dwutlenku siarki SO_2 w smudze rudego, gryzącego dymu z odlewni Z. M. Ursus, nie wykazywało przekroczenia dopuszczalnego stężenia.

Od 1976 r. podjęłam pracę na rzecz ochrony wód i wykonywałam ją do przejścia na emeryturę w 2006 r. Upadek i restrukturyzacja przemysłu, powstanie oczyszczalni miejskiej, a nade wszystko ustawa o ochronie środowiska uratowały polskie rzeki. Warta z lat 70. i 80. i dzisiaj to już chemicznie i biologicznie inna rzeka.

Całe swoje życie związałam z Gorzowem, mimo iż idąc na studia planowałam tu nie wracać. Byłam świadkiem, jak to miasto odradzało się, przeobrażało się także i duchowo, ale również jak cierpiało.

Ugoda sierpnia 1980 r. i wolność słowa, sklepy mięsne z octem i musztardą i euforia i niepewność. Pamiętam, jak budziła się nasza świadomość po rozmowach z komitetem NSZZ „Solidarność” przy Z. M. Ursus. Byłam wtedy młodą matką dwóch córek. W mojej ocenie wydarzeń odzywały się wspomnienia mojej matki, która w 1939 r. straciła męża i z niemowlęciem zaczynała czas wojny. Z jednej strony obserwowałam śmiałą krytykę ustroju i władzy w wydaniu młodych z AWF, a z drugiej strony uzbrojone oddziały ZOMO. Cieszyłam się, że rząd nieco ustąpił, ale trwoga i lęk o rodzinę ścisłały moje serce.

W mroźny, słoneczny, niedzielny poranek 13 grudnia 1981 r. szłam do kościoła na mszę św. Gdy zobaczyłam czołgi na ulicach, pomyślałam ze współczuciem o żołnierzach, którym w taki czas zafundowano ćwiczenia. O stanie wojennym i aresztowaniach w nocy dowiedziałam się na kazaniu. Nie rozumiałam tego nowego pojęcia, i stan wojenny, czy to już wojna? Wkrótce doszły nowe i internowanie, Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego dla obywateli, godzina policyjna, zakaz przemieszczania. A nasza ośmioletnia córeczka była wtedy w sanatorium na południu Polski. Do dziś przechowujemy przepustkę potrzebną na wyjazd po dziecko.

W domu brakowało opału. Ogrzewaliśmy jeden pokój. W nocy słuchaliśmy rozgłośni Radia Wolna Europa i Londyn. Już mój ojciec, żołnierz AK Gryfa Pomorskiego, w latach 50. regularnie dowiadywał się z tych źródeł prawdy o Polsce. Był święcie przekonany, że powstaną kiedyś Stany Zjednoczone Europy. Z czasem zaczęła działać podziemna „Solidarność”, bibuła oraz wejścia rozgłośni na fale radia czy telewizji z blokiem informacyjnym.

Gorzowianie, jak wszyscy Polacy, w trudnych chwilach zaczęli się jednoczyć. Organizowano pomoc dla rodzin internowanych, na znak solidarności z nimi każdego 13 dnia miesiąca zapalano wieczorem w oknach światełka. Pod krzyżem katedry układano kwiaty, choć władza systematycznie je likwidowała. Spotykaliśmy się ze znajomymi i przyjaciółmi, aby się nawzajem podtrzymywać na duchu. Był to ponury czas i łzy, i cierpienie. Okres po stanie wojennym ostudził nieco nasze emocje. Została wiara i nadzieja w modlitwie i mszach za ojczyznę, capstrzyki z apelami poległych. Cieszyły nas uznanie i pomoc zagranicy przez wiele lat. W 1985 r. urodziłam trzecią córeczkę i od tej pory mogłam korzystać z paczek żywnościowych wydawanych przez organizacje przykościelne.

W kolejnych latach dorastały nasze dzieci. Obie starsze córki wybrały studia uniwersyteckie. Anna w Poznaniu matematykę, a Karolina we Wrocławiu filozofię. Dzisiaj mają już swoje rodziny. Żyją w niepodległej ojczyźnie. Anna wróciła do Gorzowa. Najmłodsza córka Katarzyna jeszcze studiuje pedagogikę w Poznaniu. Gdzie ją los rzuci, jeszcze nie wiadomo. Dla młodych dzisiaj świat stoi otworem. My już nie chcemy się przemieszczać. Mąż mój przyjechał tu z Poznania. Od początku Gorzów przypadł mu do serca, gdyż zawsze lepiej czuł się w małych społecznościach.

Jesteśmy dumni, że miasto nasze rozkwita i pięknieje. Po okresie marazmu i szarości, z chwilą wejścia do Unii Europejskiej, nasz Gorzów zaczął dynamicznie się przekształcać. Zmiany widać na każdym kroku, i w budownictwie mieszkaniowym, i drogowym, w nowych miejscach rekreacji i wypoczynku mieszkańców. Sklepy przyciągają bogactwem towarów i pięknymi witrynami. Kawiarnie i puby zachęcają klientów wymyślnymi daniami i miłą obsługą. Oglądając kiedyś albumy Landsbergu z żalem stwierdzałam, iż świetność tego miasta dawno przeminęła. Dzisiaj mogę śmiało powiedzieć, że Gorzów staje się coraz piękniejszy i gościnniejszy.

Miasto to otrzymało wspaniały dar od natury, wzgórze morenowe, cudowną zieleni oraz rzeki, ma też wiele miejsc widokowych, na co już wcześniej zwrócili uwagę landsberczycy. Należałoby je na nowo wyeksponować, może zainstalować lunety?

Kocham Gorzów. Tu spoczywają prochy moich najbliższych i tu dzisiaj żyją moje wnuczki.

To jest moja mała ojczyzna.

Roman Horbaty

Moje podwórko – lata 60. XX w. w Gorzowie Wlkp.

Wczesna wiosna 2007 r. Syn Patryk robi mi zdjęcie, a w zasadzie próbuje objąć panoramę osiedla z pięknym widokiem na wielkie o tej porze roku rozlewiska rzeki Warty. Widok jest przepiękny. Wlażem w kadr trochę dla przekory i psuję kompozycję natury. Posesja przy ul. Chabrowej to niewielki kawałek ziemi, ale za to mój, mój własny, moja mała ojczyzna.

Nie jestem jakimś wielkim patriotą, ale jedno wiem na pewno, jestem bardzo mocno związany z moim miejscem zamieszkania. Jestem gorzowianinem, a może nawet landsberczykiem, bo, hm... cała reszta jest niepewna? Jestem na pewno stąd, a przecież wszyscy jesteśmy przyjezdni...

Moi rodzice, jak i ja sam, pochodzą z kresów wschodnich – z Baranowicz. Jest nas w tym mieście spora grupa. Teściowa jest z Ukrainy, mój teść urodził się we Francji, brat Jerzy w Nowej Soli, a żona Łucja w Świebodzinie. Nie znam nikogo, kto by tu mieszkał z dziada pradziada i mógł się nazwać bez zastanowienia landsberczykiem.

Przyjechaliśmy, w zasadzie wróciliśmy, do Polski ostatnim rzutem, jesienią 1957 r. Trafiliśmy do Kozuchowa. Miałem trzy latka i parę miesięcy, więc niewiele pamiętam, może tylko to, że w całym miasteczku był chyba tylko jeden samochód, który rankiem rozwoził pieczywo i mleko. To było to wydarzenie. No i mama była w ciąży. Wiosną 1958 r. po porodzie mama pojechała w odwiedziny do brata, do Gorzowa. I się narobiło! Bronia, jak mówił ojciec, po prostu zakochała się w mieście. Ochom i achom nie było końca. Most, panorama przy wjeździe do miasta od strony Zawarcia, jak i Nowe Miasto zrobiły na prostej kobiecie ze Wschodu piorunujące wrażenie. Pamiętam jedno sformułowanie: „domy jak cukiereczki”. To akurat trafiło do mojej dziecięcej świadomości. Cukierek to było coś, o co w tamtych czasach było bardzo trudno. W taki oto sposób, nie widząc jeszcze miasta, jako czterolatek już je kochałem. Nie tak dawno gdzieś wyczytałem, a może usłyszałem, że jakaś inna kobieta też użyła podobnego sformułowania w odniesieniu do tego miasta, a mianowicie „domy jak czekoladki w bombonierce”.

Summa summarum jeszcze tego samego roku, jesienią wprowadzaliśmy się do dwupokojowego mieszkania na drugim piętrze przy ul. Armii Polskiej 25. Jak tu było cudownie? Ubakcja i owszem, na klatce schodowej, ale kto taką drobnostką

zawracałby sobie głowę. Najwspanialsze podwórko na najspokojniejszej ulicy, a przecież w centrum najpiękniejszego miasta.

Prawdę mówiąc, to było już ładnych parę lat po wojnie. Ciężka gomułkowska komuna. Stare Miasto straszło szczerbami po wypalonych kamienicach. Nie brakowało gruzowisk. Miasto jednak posiadało coś specyficznego, coś, czego dzisiaj już chyba nie ma, musiałem przeżyć tu 50 lat, żeby znaleźć określenie ... to klimat ze starych kart pocztowych przedwojennego Landsbergu: spokój, zieleń, błogość ducha. Nawet zapach miało swój osobisty.

Życie miasta, jak i całego kraju, można podzielić na dekady. Lata 50. to nie 60., a 70. to już zupełnie coś innego.

Wróćmy jednak do kwartału miasta zamkniętego w kwadracie ulic Armii Polskiej, Krzywoustego, Kosynierów Gdyńskich i dzisiejszej Borowskiego. No ... co tam dzisiaj stoi... hotel Mieszko! Tak zeszpecili moje podwórko, mój świat dziecięcych zabaw. Róg ulic Armii Polskiej i Krzywoustego był nijaki. Podwórka małe z oficynami, pełne komórek i składzików, ciemne i ponure. Owszem, była i perełka, na rogu był sklepik spożywczy, a w nim lizaki i dropsy po 30 gr, kupowane za sprzedane butelki lub złom. Idąc dalej po Krzywoustego też nie było dużo lepiej. Ostatnia kamienica wraz z oficyną, która dziś już nie istnieje, posiadała sad owocowy.

Jabłonie i śliwy rosły w miejscu, gdzie dzisiaj jest kawiarnia w hotelu Mieszko. Tam, gdzie jest podjazd i recepcja, mieściły się poobozowe baraki, a w nich główna siedziba gorzowskiej Przemysłówki (Gorzowskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego). Dzieci nie miały tam wstępu. Można było jednak bez rodziców iść na obiad za 2 zł, dorośli płacili 5 zł, a potem zbroczyć na „stół pingpongowy”, ewentualnie podroczyć się z portierem, bo każdy szukał jakiejś metody zabicia wolnego czasu. Zachodnia część kwartału od ulicy Borowskiego była niezabudowana. Tworzyła wolną, słoneczną przestrzeń.

Siedząc w oknie od strony podwórka, często się zastanawiałem, czy tam kiedyś coś było, czy to skutek wojny? Dziś wiem, iż przed wojną ten kwartał ulicy był niezabudowany, jest pocztówka lub zdjęcie z lat 30., która pokazuje, iż Borowskiego się nie zmieniło. Narożnik południowo-zachodni opisywanego kwartału był podobny do tego ze sklepikiem spożywczym. Tu dla odmiany był „rzeźnik”. Z mojego okna było jeszcze coś widać... baraszujące konie doświadczone na wybiegu Biowetu na górcie między ul. Kosynierów Gdyńskich a ul. Moniuszki. Widok do dziś niezapomniany! Trzy centralnie położone kamienice przy ul. Armii Polskiej, tj. nr 24, 25 i 26, miały bardzo duże podwórka.

Pod 24 stała, niestety, oficyna, do której były przyklejone nasze komórki. Wyznaczała ona od południa granicę mojego raję, pomniejszała powierzchnię zabawową moich kolegów, a co najgorsze, zasłaniała wszystko. Podwórko pod 26 było o tyle mniejsze od mojego, że przynależały do niego ogródki przydomowe, które zabierały parę metrów górci, bo takowa tam była, i ciągnęły się wzdłuż komórek lokatorów spod nr 27 i 28, aż do byłej ul. Krajowej Rady Narodowej.

Od strony zachodniej graniczyły one z ogrodem, a raczej jednym wielkim inspektem zakopanym w ziemi, gdzie tylko uchylne okna wystawały ponad grunt. To zbiorowisko wszelkiej roślinności było wciśnięte lub raczej rozpychało się pomiędzy sadem, barakami i ogródkami, no i przynależało do mojego numeru. Dzisiaj, mniej więcej, to restauracja i kuchnia hotelowa. Właściciel tego warzywnika i kwietnika to postać na osobne opowiadanie. Osobnik pokroju wszystkim znanego Szymona Giętego. Różnica polegała na tym, iż Pana Stasia można było spotkać, nie zawsze trzeźwego, tylko na jego ziemi lub na targu. Pamiętajmy, że w opisywanym okresie własność prywatna w zasadzie nie istniała. Nieopisana reszta terenu była moja i moich dwóch podwórkowych przyjaciół, bo cała reszta była dużo starsza, dużo młodsza lub była tylko przelotem.

Piętrowe komórki przyklejone do wspomnianej już oficyny były połączone z kamienicą murkiem wysokości około 2 m i długości około 5 m. Była to południowa granica moich włości. Za komórkami wzdłuż ściany oficyny sąsiadka z pierwszego piętra miała kurnik z kurami, jajkami i wiecznie krzyczącymi kogutami. W jakimś sensie płaciła trybut pozostałym sąsiadom, chociaż nie wiem, czy kiedykolwiek komukolwiek to przeszkadzało. Ludzie byli inni ... Banał. Od końca oficyny ciągnęło się druciane ogrodzenie sadu, jakieś 6-7 m, następnie brama wjazdowa na ogród Pana Stasia. Północną pierzeję wyznaczało ogrodzenie ogródków przydomowych, komórki i murek nr 26 (identyczne jak nasze). Wzdłuż kamienicy na szerokość murków podwórko wyłożone było cegłą, dalej na samym środku leżał tzw. Kamień. Była to betonowa studnia ściekowa jakieś 3,5 m x 3,5 m, wysokości około 0,5 m, przykryta sześcioma płytami betonowymi. Od strony naszych komórek na Kamień trzeba było wskakiwać, za to od strony północnej poziom był wyrównany przez ziemię nawiezioną z ogrodu Pana Stasia. Ziemia ta ułożyła się w płaskowyż ciągnący się za Kamieniem aż do bramy ogrodu, co też należy zaliczyć do zalet. Mieliśmy stoki zjazdowe dla wózków wszelkiej maści, skocznie do skakania zimą na butach podbitych linoleum i Bóg jeden wie, czego jeszcze? Pomysłowości nam nie brakowało, nie było przecież telewizji, niemożliwe – a jednak! Zimą sąsiedzi z parteru i pierwszego piętra wylewali nam lodowisko na wspomnianych już ceglach. Woda była darmowa, a ludzie bezinteresowni. Powiem nawet więcej. Pojemniki na śmieci stały obok Kamienia. Aby wyrzucić śmieci lokatorzy musieli przejść przez lodowisko. Bywało, że w godzinach porannych kładziono deski celem podniesienia bezpieczeństwa komunikacyjnego między poszczególnymi sektorami podwórka, pozostawały przecież też komórki z opalem, ale pomimo wszelkich niefortunnych zdarzeń nikomu nie przyszło do głowy posypać lodowiska popiołem lub czegoś dzieciom bronić. W narożniku, między murkiem a komórkami, przy pierwszych opadach śniegu cała kamienica stawiała igloo. Potrafiło ono przetrwać całą zimą, a i o wiosnę zahaczyć, ponieważ był to kąt pozbawiony promieni słonecznych.

Kamień, centralny punkt podwórka, służył nam jako miejsce zbiórek, tablica do rysowania, plac do gry w klasy lub skakankę, zabawy w dom, a nawet... do opalania się troszkę młodszych lokatorek, również jako punkt picia piwa

przez głowy rodzin. Mieliśmy jeszcze jedną wyrafinowaną zabawę, tzw. żużel. Wyścigi dookoła Kamienia z obręczami kół rowerowych sterowanych drucianą popychaczką w kształcie litery Y. Drewniane popychaczki były cichsze, ale mniej sprawne. Hałasu było tyle co na prawdziwym torze żużlowym. Kamień był najważniejszy i nikogo nie interesowało, gdzie podziewa się woda, którą w każdej ilości tenże przyjmował, ważne, że na podwórku nigdy nie stały kałuże. Teraz przyszedł czas na to, co najważniejsze. Tuż za Kamieniem, patrząc od strony kamienicy, centralnie na środku podwórka rosła grusza, a za nią, tuż przy bramie Pana Stasia, druga ciut, ciut mniejsza. Grusza?? To był dąb z gruszkami. Wyższa od trzypiętrowej ponemieckiej kamienicy, licząc łącznie z dachem, z ostatniego półpiętra nie można było niczym dorzucić do wierzchołka tego olbrzyma, a pień był tak gruby, że żaden dorosły facet nie posiadał takiego zasięgu ramion, by go objąć. Gruszki strącało się, gdy były nie do ugryzienia, a same spadały jeszcze w grudniu, zostawiając żółtą plamę na puszystej bieli śniegu. Pewnej wrześniowej soboty, po nierzadko zakrapianych negocjacjach, następowało gruszobranie. Wychodzili wszyscy lokatorzy. Każdy wiedział, co ma robić. Ci sprawni łazili po drzewie, reszta odbierała zerwane owoce, podawała kosze, napełniała wanny (co się dziwisz?!) i nosiła do mieszkań. Było tego tyle, że gruszki były wszędzie i we wszystkim, nawet w wannach i wanienkach. Trudno powiedzieć, ile czasu po owocobranu kamienica się nie myła. Miski zajęte, łazienki z prawdziwego zdarzenia przecież nikt nie miał, a chyba i mało kto widział takie pomieszczenie. Każdy brał, ile chciał i ile potrzebował, komuna w czystym wydaniu! Reszta owoców spadała później sama i jeszcze jakieś nierozkwaszone połówki nadawały się do jedzenia, tylko że... już na gruszki patrzeć nie było można. W domu wszystko było z gruszek. Przypuszczam, że kobiety nawet pasztet gruszkowy próbowały zrobić.

Pod 26 była wiśnia i śliwa, pod 27 rajska jabłoń, wiśnia i bez. Nie pamiętam, by rodzice kiedykolwiek kupili jakiś owoc poza truskawkami.

Znane mi, to znaczy chyba wszystkie, pełne kwartały ulic na Nowym Mieście były mniej lub bardziej do siebie podobne, wszędzie było dość przytulnie, ale raj był tylko w jednym miejscu.

Do tego rajy przynależała też sama ulica. W początkach mojego tam zamieszkiwania kocie łby nie odstraszały od grania na środku jezdni w palanta czy kiczkę. Po prostu bazy robiło się na asfaltowanym przejściu dla pieszych. Jako jedna z pierwszych w tej dzielnicy ta ulica została wyasfaltowana. Zrobili nam bez proszenia kawał boiska. Może ktoś zapyta, gdzie była milicja? Ano była. Nawet mieszkała pod 24 na Krzywoustego i bardzo lubiła nam kibicować, a bywało, że i piłeczkę sobie „kopała”. Co się czepiać? Znany mi prywatny samochód był tylko jeden na całej ulicy. Był to moskwicz, cały przesiadłszy majątek moich rodziców, którego kupił od nas piekarz. Rzadko zresztą nim jeździł, bo albo piekł bułeczki po nocach, albo spał. Pani piekarszowa po wyprzedaniu pieczywa, trzeba było stać w kolejce, tak około 10.00 przecierała od czasu do czasu samochód szmatką. Kurzu nie było. Bo niby skąd? Pojazd jadący tą ulicą można było zobaczyć

ze trzy razy dziennie i to przeważnie w godzinach porannych. A na dodatek, wyobraźcie sobie państwo, jeździły polewaczki. Polewaczka dzisiaj to raczej wynalazek zapomniany, bo i co miałyby polewać, przecież wszystko jest zakorkowane przez parkujące samochody. W chwili obecnej ta ulica to jeden wielki parking. Jednak posiada do dzisiaj jeszcze coś, co należy odnotować. Po drugiej stronie Krzywoustego, patrząc od strony nieistniejącej już piekarni, znajduje się biblioteka dla dzieci, a po drugiej stronie Armii Polskiej zakład szewski. Przy dzisiejszym ruchu na rynku nieruchomości wzbudza to podziw i przywołuje wspomnienia. Pamiętam lampy gazowe. Taka jedna, pięknie kuta, stała dokładnie naprzeciwko mojej bramy po drugiej stronie ulicy. Wieczorem, w asyście małoletniej gawiedzi, przychodził śmiesznie ubrany pan i zapalał lampy. Prawdopodobnie uleciałoby to z mojej pamięci, byłem jeszcze bardzo mały, gdyby nie fakt, iż pod wspomnianą latarnią notorycznie parkował olbrzymi traktor, taki co to uruchamiało się kierownicą. Ponieważ odpalenie tej bestii było sztuką, to stał i terkotał, a raczej wył i ryczał. Tego nie dało się przegapić. W kierunku południowym ulica prowadziła wprost do Parku Róż. Dla dzieci wszystko było tam ważne. Ta część parku, przy rzece Kłodawce od strony ul. Sikorskiego, od którego ten skrawek zieleni otrzymał nazwę, był zabany, ogrodzony niewysokim płotkiem, z alejkami służącymi do szaleństw na rowerkach Żabka lub Bobo oraz wielką ilością róż na klombach i rabatach. Po drugiej stronie rzeczki na palach, jedyna w swojej urodzie, stała dumnie kawiarnia Wenecja z lodami i oranżadą.

Centralną część parku zajmował stawek z płaczącymi wierzbami na centralnie umieszczonej wyspie.

Dzisiaj wygląda prawie identycznie. Na przełomie lat 50. i 60. był tylko bardziej zaniedbany i służył zimą jako lodowisko!!! Kto by na to pozwolił w dzisiejszych czasach? Wówczas ślizgali się dorośli i dzieci, każdego dnia do późnych godzin wieczornych przy oświetleniu gazowym. Na łyżwach, takich przykręcanych do butów, nauczyłem się jeździć w wieku pięciu lat. Nie było to wielką sztuką mając pod bokiem olbrzymie, darmowe i oświetlone lodowisko, czynne od pierwszych większych mrozów do czasu, gdy nie udało się już przeskoczyć z brzegu na topniejący lód.

Wiosną przyjeżdżało wesołe miasteczko. Rozstawiało ono swoje karuzele i huśtawki na zaniedbanych i miejscami łysych trawnikach oraz zwirowych alejkach. Największą atrakcją, przynajmniej dla mnie, były huśtawki łódzie, na których można było huśtać się dookoła, jeżeli miałeś tyle siły i odwagi. Gdzieś w połowie lat 60. stawek wyczyścili, potem porobili alejki i schody. Park spowaźniał i... zabawa się skończyła. Pozostałe parki, jakby to określić?, były bardziej dzikie. Park im. Siemiradzkiego służył jako teren wycieczek szkolnych, lekcje zastępcze i lekcje przyrody, oraz miejsce niektórych zbiórek harcerskich. Był też terenem sportów zimowych. Największym wzięciem cieszyła się górka, gdzie dzisiaj stoi amfiteatr, stroma i krótka, ale można było też wyjechać na ul. Drzymały. Główna alejka parku prowadziła z ul. Drzymały przy klubie Chemik na

ul. Walczaka przy Domu Dziecka. Tu na sankach jechało się szybko i długo. Była jeszcze jedna nartostrada, bardziej w północnej części parku, zwana przez nas Trasą WZ, tam amatorzy nie mieli wstępu. Była stroma, długa, szybka i... niebezpieczna. Ogrom adrenaliny!

Biały Domek był jakby bardziej oficjalny. Tu przychodziliśmy bawić się w „szczelanego”. Jeździliśmy na rowerach i na sankach. Ale też tutaj odbywały się festyny z okazji świąt: Pierwszego Maja, 22 Lipca i kiermasze książek w maju. Tutaj swoje namioty rozstawiały, tak jak dzisiaj, cyrki. Choć, o ile dobrze pamiętam, w początkowym okresie do cyrku chodziło się na Plac Grunwaldzki.

Latem najważniejszym obiektem była plaża nad Wartą. Tam siedział w niedzielę cały ówczesny Gorzów. W połowie lat 60. wybudowano duży i nowoczesny obiekt z szatniami, przebieralnią, natryskami, wypożyczalnią leżaków i parasoli oraz bardzo oryginalną estakadą wejściową, dziś nieco zmodernizowane lokum Admiry Gorzów. Wracając po parogodzinnym moczeniu się w wodzie wyprzedzało się rodziców o parę minut, by zająć kolejkę po oranżadę w, dziś bym to nazwał, ogródku piwnym. Był to obiekt gastronomiczny przyklejony do wału nabrzeża Warty przy ul. Grobla. Były też dwa kioski po drugiej stronie ulicy i... tasiemcowe kolejki do każdego z tych przybytków. Potem, szybciotko na galejrkę najpiękniejszego mostu w Europie, aby parę razy splunąć do wody. Modernizacja mostu w latach 70. była zbrodnią! Dalej kino Słońce, a tam saturatory z wodą sodową i ulicą Wybickiego do domu. Jeżeli plażowanie odbywało się w dni powszednie, w wakacje, to tylko z mamą. Mogę powiedzieć, iż mój drugi rodzic cierpi na uraz słoneczny, więc gdy tylko mógł, od plaży trzymał się z daleka. Mama wracała z plaży przez sklepy, jak to kobieta. Wówczas zaglądaliśmy do Rolnika w starym arsenale. Było tam wszystko, od końskiego strzemienia po agrafki. Sklep był olbrzymi, interesujący, pachnący pastą do podłogi i... myszami. Mnogość gryzoni pod spróchniałą podłogą była jednym z oficjalnych powodów rozbiórki zabytku. Z Witkiem, czyli ojcem, chodziłem na żużel. STAL Gorzów w latach 60. to najlepsi żużlowcy w Polsce: Rogal, Migoś, Pogorzelski, a dopiero później Jancarz i Plech. Zdarzyło się parę razy, że przez rzekę przeprawialiśmy się promem Pana Zacharka. Przeprawa miała jednak pewne niedogodności. Była płatna i zawsze do przeprawy stała kolejka. Była też niebezpieczna, jak utrzymywał mój ojciec, może właśnie dlatego atrakcja była nie lada jaka. To była chyba ostatnia niedziela sierpnia 1969 r. Środkiem Warty płynęły zwłoki świni. Ktoś z dorosłych stwierdził, że to nie pierwsza świnia tego lata i że woda jest tak brudna, iż od następnego roku kąpieliska już nie będzie. Niestety, miał rację. Miasto na ponad 30 lat odwróciło się od rzeki.

Do szkoły poszedłem w 1961 r. To była prawie nowa szkoła, bardzo ładna architektonicznie Szkoła Podstawowa nr 8 przy ul. Dąbrowskiego, obecnie Wojewódzki Sąd Administracyjny. Była niedaleko. Posiadała salę gimnastyczną, wyasfaltowane boisko, bieżnię, skocznię, gabinet lekarski z higienistką i gabinet stomatologiczny z dentystą urzędującym trzy razy w tygodniu, bibliotekę,

świetlicę z projektorem filmowym. Piąte klasy zamiast na lekcję WF-u chodziły na basen miejski i każdy uczeń kończył naukę pływania egzaminem. Trzeba było pokonać długość basenu, 25 m. Każdy, kto zdał do szóstej klasy, musiał umieć pływać, to nie żadne bajki, tak było! Na pewno dzisiaj żadna szkoła podstawowa nie ma takich warunków, a przecież żyjemy w lepszych czasach. W 1964 r. oddano do użytku szkołę tysiąclatkę, tysiąc szkół na tysiąclecie Państwa Polskiego. Była to szkoła nr 15 przy ul. Kotsisa. Spotkał mnie ten zaszczyt, iż musiałem do niej chodzić (rejonizacja), na szczęście tylko przez rok. Była jeszcze nowsza, większa i z wyższym poziomem nauczania, ale była daleko, pod górkę i nie posiadała tego klimatu przytulności, co moja ósemka. Dzisiaj, gdy patrzę na przecież bardzo ładny gmach sądu, to jednak mi żal, że moja szkoła to już tylko wspomnienie moje i innych jej byłych uczniów. Na lekcje religii też było blisko. W kaplicy przy ul. Mieszka I uczono religii do czwartej klasy. Teraz jest tam kościół parafialny. Później, niestety, trzeba było ganiać na ul. Obotrycką przy katedrze. Życie było proste i uporządkowane. Reguły były niezmiennie i wszystkim dobrze znane. Moja parafia należała do katedry i wszelkie nabożeństwa tam się odbywały poza niedzielną mszą świętą. W niedzielę szło się do Białego Kościółka. Starsze dzieci na 9.00, młodsze na 10.00, a rodziców obowiązywał zakaz wstępu poza obręb ławek. Dziewczynki po prawej, chłopcy po lewej stronie, patrząc od wejścia, a siostry zakonne pilnowały porządku i było OK. Mam wrażenie, że wówczas w tym kościele odprawiały się tylko i wyłącznie msze dla dzieci. Sam kościół po wybudowaniu nieopodal klasztoru kapucynów i utworzeniu parafii zmienił swoje przeznaczenie i wyposażenie. W chwili obecnej jest urządzony... w poprzek, krótko mówiąc, i w niczym nie przypomina już tego dziecięcego kościółka.

Pierwszą odczuwalną oznaką zbliżających się nieuchronnie zmian był tak zwany kapitalny remont mojej kamienicy w 1967 r. Remontując pobieżnie to i owo zniszczono wszystko, co stanowiło o niezaprzeczalnej urodzie tego budynku. Rozebrano cudowne piece kaflowe z granitowymi półkami, marmurowymi amorkami i pięknymi fryzami. Na śmietnik poszły pięknie rzeźbione poręcze i balustrady klatki schodowej. Solidne stare odrzwia bramy wejściowej zastąpiło parę desek sklejonych do kupy, itp.

Tak się składa, że moje życie i życie mojego miasta zmieniło się diametralnie po roku 1969. Ja przestałem być dzieckiem, poszedłem do szkoły średniej. A moje miasto? No cóż. Zamknięto plażę, zburzono zabytkowy arsenał, a na jego miejscu zbudowano wieżowiec Przemysłówki, gdzie przepracowałem zresztą 12 lat i jakiś koszmarek zwany Arsenalem. Ul. Chrobrego poprowadzono wprost na most, zmieniając całkowicie wygląd zabytkowego centrum miasta. Tramwaje przestały jeździć na Zawarcie. Moje podwórko przestało istnieć, pozostał tylko jakiś kikut. Z mojej ulicy zrobił się parking, ze szkoły sąd, a kościół opanowali kapucyni, nie mam niczego złego na myśli. Miasto zaczęło się błyskawicznie zmieniać. W 1975 r. zostało miastem wojewódzkim. Urosły nowe dzielnice. Przybyło tysiące mieszkańców. Czar cukiereczków poukładanych w bombonierce dawno przeminął,

nie wspominając o zapachu. Jednak coś pozostało?! Co? Dla każdego coś innego... Wielu wyjechało szukać lepszego życia gdzie indziej. Czasami odwiedzają swoje miasto rodzinne i wtedy... płaczą!

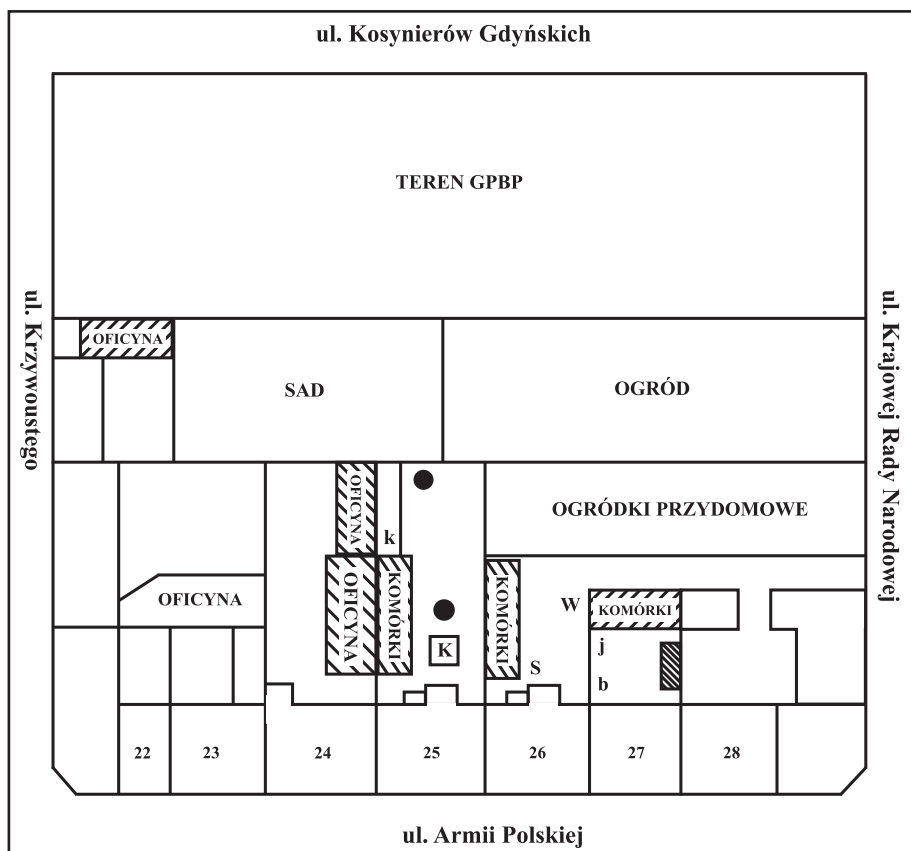
A ja? Ja nie muszę płakać. Ja w tym mieście jestem od zawsze. Nigdzie na dłużej nie wyjeżdżałem. Twardo TU siedzę i nigdzie się nie wybieram.



Widok mojego podwórka tuż przed kopaniem fundamentów pod Hotel Mieszko. Wszystkie drzewa już wycięte! Lada moment wyburzą oficyny, komórki i garaże



Stan obecny, 2007 r.



Legenda:

- K - „Kamień”
- k - kurnik
- - grusze
- s - śliwa
- w - wiśnia
- j - rajskie jabłko
- b - bez
- ▨ - budynki dziś nieistniejące

Hartmut Meyer-Ohrt

Gorzow/Landsberg in meinem Gedächtnis 1926 – August 1945

Die Familienchronik von **Photo-Meyer** schildert die familiären, die soziologischen, ökonomischen und politischen Umstände, mit denen sich die Familienmitglieder im Zeitraum von 1926 – August 1945 arrangieren mussten.

Die Ereignisse und persönlichen Lebensumstände sind absolut **authentisch, keine Fiktion. Die erwähnten Namen, Schauplätze, Zeitabläufe sind nicht verändert.**

Die Familienchronik ist aus der Sicht einer deutschen, protestantischen Mittelsstandsfamilie zu sehen und geschrieben.

In Landsberg war die Familie als **Photo-Meyer** bekannt und wurde auch so bezeichnet. Post wurde nur mit **Photo-Meyer**, Landsberg/Warthe adressiert.



Aufgezeichnet in Zusammenarbeit mit den betroffenen Familienmitgliedern und sachlich abgestimmt mit überlebenden und im Text erwähnten Personen von

Hartmut Meyer-Ohrt, [...]Hamburg

geboren 22. Januar 1935 in Landsberg/W, und dort wohnhaft mit der Familie bis August 1945.

Hauptpersonen im Manuskript

Vater: **Albert** Meyer, geboren 22.03.1902 Oppeln aufgewachsen in Schneidemühl, ab 1926 Landsberg/Warthe

Mutter: **Olla** Meyer, geborene Schindel 27.04.1901 in Wolhynien, ab 1907 Kurland (Lettland) ab 1920 Freudenfier (Deutsch Krone) ab 1927 Landsberg/Warthe, bis August 1945

Sohn: **Ulrich** Meyer, geboren 15.08.1929 in Landsberg/Warthe, bis August 1945

Sohn: **Hartmut** Meyer, geboren 22.01.1935 in Landsberg/Warthe, bis August 1945

Sommer 2007

„Quo vadis Landsberg“

Am 1. April 1930 zogen Albert, Olla und der am 15. August 1929 geborene Sonn Ulrich von der ersten Wohnung bei den Päschkes, von der Soldiner Straße 18, in eine geräumigere, zu den Isensee in die Luisenstraße 7, Ecke Baderstraße 14, in ein Doppelhaus.

Von dieser Wohnung aus, die im 2. Stockwerk lag, mit dem Schlafzimmer und Bad im 3. Stock, konnte man nicht nur die Marienkirche am Markt sehen, sondern deren Turmuhr auch schlagen und die Glocken lauten hören. Die junge Familie bereute anfangs, diese Wohnung gemietet zu haben, denn Glocken und der viertelstündliche Uhrenschlag liefen die Gläser im Schrank vibrieren. Jeden Samstag um 18.00 Uhr, nach dem Einläuten des Sonntags, erschienen aus Attraktion auf dem Turm 4 Blechbläser, die aus dem Fenster über der Uhr einen Choral spielten.

Olla hatte sich zuerst an diese regelmäßige Störung gewohnt. Sie kommentierte Alberts Klagen: du machst Werbung mit deinem Spruch: „Die Bilder werden einwandfreier, fragst du um Auskunft Photo-Meyer“. Der liebe Gott muss auch Werbung für seine Kirche machen. Das täte er eben mit den Kirchenglocken. Das sei ja wohl kein Vergleich, meinte Albert. Von seinem Spruch fiele ja wohl kaum jemand aus dem Bett, er aber am Sonntagmorgen.

Die St. Marienkirche, die ihren Ursprung Ende des 14. Jahrhunderts fand, hatte einen weiteren störenden Nachteil. Das gerade angeschaffte Radio hatte Empfangsschwierigkeiten. Der Turm schirmte die Empfangswellen ab. Der Deutschlandsender von Königswusterhausen und die Schlesische Funkstunde von Breslau, konnten häufig nur überlagert empfangen werden. Durch Veränderung der Anodenspannung und einer am Dach angebrachten Antenne, wurde der Empfang zwar verbessert, war aber trotzdem nicht vergleichbar mit den vorher gemachten Erfahrungen in der Soldiner Straße. Die Außenantenne bedingte auch, dass man bei Gewitter die Zuleitung zum Radio erden musste, damit nicht der Blitz einschläge. Ein Hebel musste umgelegt werden, der die Antenne mit der Wasserleitung verband.

Nun hatte diese Wohnung auch einen Vorteil, sie lag nur 3 Minuten vom Geschäft in der Richtstraße 26 entfernt. Olla konnte schnell einmal zwischendurch nach dem Sohn Ulrich sehen und überprüfen, wie das Hausmädchen Anni Schröder mit ihm zukam. Anni liebte es, ihn in der Kinderkarre auszufahren. Er war ein hübsches Kind, was nicht nur die Eltern meinten, blauäugig, blond gelockt. Anni

wollte gern mit ihm gesehen werden, im Stadtpark, im Rosengarten oder auf der Renne, wie man die Richtstraße auch nannte. Es störte sie ganz und gar nicht, wenn man sie fragte, ob es ihr Kind sei.

Olla war meistens mit im Geschäft tätig, kontaktfreudig wie sie war, machte es ihr Spaß, mit den Kunden zu sprechen. Es gab Abwechslung, Leben, Aktivität. Die Kunden, die sich zu jener Zeit mit der Fotografie beschäftigten, waren aufgeschlossen und an allem Neuen interessiert. Keine Langweiler! Welch ein Wechsel war doch das zum verträumten Dorfleben in Freudenfier.

Landsberg erinnerte sie etwas an Goldingen. Es gab ein Stadttheater. Viele später bekannt gewordene Schauspieler begannen ihre Karriere hier als Eleven, wie Otto Gebühr, Adele Sandrock, später der blutjunge Heinz Reincke, dem rechtens oder unrechtens nachgesagt wurde, er sei weniger durch seine Schauspielkunst auffällig geworden als durch seine Überredungskunst, die Landsberger Kaufmannschaft zum Anschreiben zu bewegen. Die Schauspieler Ludwig Wüllner, Max Devrient, Tilla Durieux, Harry Liedtke, Lil Dagover, auch Henny Porten, Albert Bassermann, Paul Wegener haben hier angefangen oder wenigstens gastiert. Selbst Enrico Caruso soll früher einmal jährlich gekommen sein. Es gab Konzerte im „Weinberg“. Sicherlich nicht die Weltklasse, aber immerhin! Albert und Olla gönnten sich die eine oder andere Eintrittskarte, aber grundsätzlich wurde alles erst einmal in das Geschäft gesteckt. Der Warenbestand musste ständig vergrößert, das Labor, die Dunkelkammern, die Bilder-Trockner und Schneidemaschinen dem letzten Standard angepasst werden.

Die Anzahl der Arbeitslosen wollte und wollte nicht abnehmen. Ein Maler, so er Arbeit hatte, verdiente 18 Reichsmark die Woche. Ein ausgebildetes, erfahrenes Hausmädchen 30 Reichsmark im Monat. Das zwar bei freier Station Selbst langjährig ansässige Geschäftsleute in der Innenstadt kamen in Liquidationsschwierigkeiten, wenn vielleicht auch nur kurzfristig, wie eine Ölfirma in der Wollstraße und eine Chemische Reinigung am Mühlenplatz. Die Banken gaben kein Geld. Albert und Olla konnten ihnen mit eigentlich kleinen Summen wie RM 900.- oder RM 700.- helfen und zeitlich überbrücken. Landsberg hatte zu dieser Zeit im Arbeitsamtbezirk 16.000 Arbeitslose registriert, das bei einer Einwohnerzahl von rund 50.000. Dazu kamen natürlich die Landgemeinden. In der Volksküche wurden täglich etwa 1.100 Personen mit einer warmen Mahlzeit für 8 Pfennig versorgt.

Politisch hatten weder Albert noch Olla Zeit sich zu betätigen. Allenfalls orientierten sie sich, welche politischen Kräfte versprachen, die Arbeitslosigkeit beseitigen zu wollen und nach Verhandlungsmöglichkeiten suchten, um aus den Versailler Knebelungsverträgen herauszukommen, die ein gerüttelt Maß Schuld an der wirtschaftlichen Misere trugen.

Die Franzosen saßen auch 1930 noch immer in einem Teil des von ihnen besetzten Rheinlandes. Sie versuchten nach wie vor durch militärischen Druck und separatistische Bewegungen wenigstens diesen 2. und 3. besetzten Teil für Frankreich zu retten, nachdem sie durch den Widerstand der deutschen Bevölkerung die Zone 1 freigeben mussten.

Albert und Olla wählten 1930 die Deutschnationale Volkspartei. Da war der Freiherr v. Freytag-Loringhoven aus Livland im deutsch-völkischen Flügel. Er trat gegen Gustav Stresemann an, dessen Verständigungspolitik mit den Franzosen und Russen ohne Gegenleistung suspekt erschien. Außerdem, was hatte der Beitritt zum Völkerbund in Genf eingebracht? Gar nichts, rein gar nichts. Seine Deutsche Volkspartei konnte man nicht wählen. Stresemann verwese man, reimte der Volksmund.

Martin Schiele, der Reichsernährungsminister in der Deutschnationalen Volkspartei war mehrversprechend. Er wollte sich um die Entschuldung des deutschen Bauernstandes kümmern, das war für Ollas bäuerliche Familie in Pommern gut.

Dann waren da diese verrückten Nationalsozialisten, mit einem Hitler. Der hatte gerade seinen Adlatus Ernst Röhm nach Landsberg auf Wahltournee geschickt. Im Weinberg gab es eine Wahlveranstaltung, tags darauf ritt Röhm mit seiner SA durch die Richtstraße, so betrunken, dass er fast vom Pferd fiel. Albert und Olla fürchteten um ihre Fensterscheiben am Geschäft. Dann tauchte anschließend Otto Straßer auf, mit der Schwarzen Front, die sich mit den Kommunisten in die Haare kriegte. Albert und Olla mussten wiederum um ihre Schaufensterscheiben fürchten.

Der Stahlhelm stand dem nicht nach. Die alten Kriegsveteranen von 1918. Sie marschierten am Geschäft vorbei zum Schlageterplatz, um hier ihren Appell abzuhalten. Sie wussten noch nicht so recht, zu wem sie gehören sollten. Auf jeden Fall waren sie mit ihrer Harzburger Front gegen die Reichsregierung unter Kanzler Heinrich Brüning, der die Zentrumspartei vertrat. Er wurde Ende März 1930 Reichskanzler. Olla und Albert nahmen es zur Kenntnis, aber auch nicht mehr und arbeiteten an „ihrer“ Zukunft.

Die geschäftlichen Aktivitäten von Photo-Meyer wurden auch in die Landgemeinden getragen. Briefträger bekamen zur Verteilung in ihren dörflichen Zustellbereichen Werbezettel in die Hand gedrückt, die über deren Text der Landbevölkerung das Fotografieren schmackhaft machen sollten. Die ganz fleißigen Postboten erhielten eine Agfa Box geschenkt oder einen Gutschein zur kostenlosen Entwidmung des Films und je einen Abzug von den gelungenen Bildern. Ihn konnten sie allerdings erst einlösen, wenn sie wenigstens einen Fotoapparat besaßen oder ihn vorzugsweise bei Photo-Meyer kauften. Simple Sprüche, dem Zeitgeschmack entsprechend, bildeten den Text zu den Werbezetteln, wie: „Ein Bild gemacht zur rechten Zeit, erhält dich jung in Ewigkeit“. Oder, ein abgebildetes junges, sich küssendes Liebespaar bekam den Text unterlegt: „Sollte die Liebe auch mal erkalten, die Bilder bleiben dir erhalten“.

Der Erfolg war kontrollierbar. Mehr und mehr Landbevölkerung gehörte nun zum Kundenkreis von Photo-Meyer. Dem tat auch die Arbeitslosigkeit keinen Abbruch, die 1932 ihren Höhepunkt im Reich mit 6 Millionen erreichte.

Die Bevölkerung von Landsberg nahm schnell zu. Das war hauptsächlich bedingt durch den Zuzug von Flüchtlingen aus dem Korridorgebiet und Westpreußen, die nicht für Polen optieren wollten. Für Albert gab es neue Kunden. Durch den Verlust der Ostgebiete an Polen nach dem Versailler Vertrag mussten

Behörden und Institute von Bromberg, von Posen eine neue Heimat finden. So auch in Landsberg. Dadurch wurden die Preußischen Landwirtschaftlichen Versuchs- und Forschungsanstalten, das Preußische Hygiene Institut, die Deutsche Saatveredelungs-Gesellschaft, das Grünland Institut, das Bakteriologische und Serums Institut, das Institut für Tierhygiene und weitere staatlich geförderte Institutionen nach Landsberg verlegt.

Albert und Olla nutzten ihre wenige Freizeit für Ausflüge mit den Fahrrädern zur Heideblüte in den Wepritzer Bergen, es ging zum Perückenberg bei Loppow, an den Grävensee, den Metzeltinsee, mit dem Zug nach Buckow in die Märkische Schweiz. Das häufig zusammen mit ihren ersten Jugendfreundschaften, Lieschen Gäbel, ihrem Bruder Hans, Erna Grabi und anderen. Im Winter wurde Ski gelaufen, im Zanziner, einem Park- und Waldgelände in Landsberg. Olla konnte sich höchsten einmal freimachen, um mit ihren Freundinnen einige Tage in den Harz zu fahren, zur Rosstrappe, zum Hexentanzplatz oder in die schlesischen Berge.

Für Albert blieb allenfalls Zeit nach Prag und auf eine Rhein- und Moselreise zu gehen oder sich um die von seinem Großvater geerbte Briefmarken- und Münzsammlung zu kümmern. Der Briefmarkensammler-Verein traf sich einmal im Monat bei Hohensee, einer fürchterlichen Kneipe in der Richtstraße, die Olla verachtete. Albert stank nach diesen Besuchen nach abgestandenem „Kohlstock Bier“ und Tabakqualm. Dass er auch selber rauchte, gab ständigen Anlass zu Vorwürfen. Das prallte aber an ihm ab wie Regen an der Fensterscheibe.

1931 kaufte Albert für seine Frau Olla an ihrem Geburtstag, dem 27. April, das Grundstück Kladowstraße 39. Er hatte die Überschreibung beim Notar Friedrich Goetsch extra auf ihren Geburtstag gelegt. Das war ein Wassergrundstück, das der Berliner Firma Vereinigte Modellfabriken gehörte. Es grenzte an die Kladow, einem Nebenflüsschen der Warthe und rückseitig gegenüberliegend zog sich der Klosepark entlang. Gegenüber der Kladowstraße begann der Schonfliesspark mit seiner beliebten Rodelbahnanlage. Es war eine exklusive Lage, angrenzend an die Villa des Frauenarztes v. Klot, Baltendeutsche, in deren Privatklinik Sohn Ulrich geboren wurde und später auch Hartmut. Auf der rechten Grundstücksseite stand eine weiße Villa, in der die Verwandtschaft von Albert und Ollas Freunden Walter und Irene Ems wohnte. Der Bruder von Irene Emig hatte sich nach dem 1. Weltkrieg eine Spanierin, Angeles, zum Leidwesen der Familie aus Las Palmas mitgebracht, wo er von den Spaniern interniert war. Angeles wurde unterstellt, dass sie die Arbeit nicht erfunden habe. Sie unterlag der landläufigen Meinung, dass alle Südländer faul seien. Nun, Olla und Albert ärgerten sich schon über sie. Ließ es die Witterung zu, lag sie mit einem Kissen unter den Armen im Fenster, und sang von dort aus vergnügt den lieben langen Tag lang. Das wäre ja noch zu ertragen gewesen, wenn sie nicht von dort fast volle Einsicht in das Meyersche Grundstück gehabt hätte. Die Tatsache, dass sie eine gute Stimme hatte und aus einer Komponisten-Familie stammte, machte es nicht „schmackhafter“.

Das einen Morgen große Grundstück wurde für die Familie ein Refugium, das von der Wasserseite her und durch den Klosepark nicht einsichtig und zur Straßenseite und zur v. Klotschen Villa mit einer Schutzmauer umgeben war.

An der Südseite der Mauer wurde Tafelwein gezogen, der zwar große Trauben produzierte, deren Beeren aber scheußlich sauer schmeckten. Viel Zeit wurde hier mit Freunden bei den Krocketspielen oder bei Schießübungen mit dem Luftgewehr oder dem Scheibenschießen mit dem Tesching verbracht.

Das Grundstück verfügte an der Wasserseite über ein zweiräumiges, ziemlich aufwendig gebautes Sommerhaus mit Küche und war rückwärtig mit einer Remise versehen.

Albert filmte schon seit 1926 mit 35mm Normalfilm-Material. Hier konnte er ungestört die Film- und Fotoapparate testen, später kam der 16mm Schmalfilm dazu, der verständlicherweise preiswerter war. Albert filmte die Verwandtschaft in Freudenfiet, Sohn Ulrich noch in der Wohnung bei Päschkes, dann in der Luisenstraße, und die Freunde und Besucher im Gartengrundstück sowieso. Albert war dabei, wenn etwas in Landsberg geschah, was wert war, im Film festgehalten zu werden.

Zwei Jahre später, nachdem Olla und Albert dieses Grundstück gekauft hatten, übernahmen im Januar die Nationalsozialisten in Berlin die Macht. Über den Diodenempfänger verfolgten beide das Spektakel, das sich am Brandenburger Tor abspielte. Quo vadis Deutschland!

In Landsberg spielten die Nationalsozialisten zuvor und bis Ende Januar 1933 kaum eine Rolle. Die Kommunisten, wenn überhaupt, beherrschten die Straßen mit ihren Schallmeien-Kapellen, das noch bis Ende Februar. Dann gab es die ersten ernsthaften Schlägereien. Mitglieder anderer Parteien „konvertierten“ zu den Nazis. Sie sprangen auf den sich in Gang setzenden Zug auf. Die Kommunisten marschierten im März zum letzten Male durch die Straßen zum Moltkeplatz. Hier verbrannten sie ihre Fahnen, Schallmeien und andere Parteiembleme. Sicher wurden aus vielen Kommunisten Nazis und gewiss verhielten sich viele Mitglieder der übrigen Parteien ebenso opportunistisch. Neben den Nazi-Veranstaltungen fiel nur noch der Stahlhelm mit Umzügen auf. Die von Franz Seldte nach dem 1. Weltkrieg zusammen gefassten alten Frontkämpfer wurden dann aber schnell der SA eingegliedert, soweit sie noch wehrfähig waren.

Es wurde für alles gesammelt. Es gab unzähliges Hilfswerk. Das bekannteste gleich nach der Machtübernahme war das Eintopfessen für das Winterhilfswerk. Führende Größen liefen sich gen dabei ablichten. Man aß gemeinschaftlich Eintopf und die Differenz zu den Kosten eines normalen Essens wurde dem Winterhilfswerk gespendet. „Niemand darf hungern“ sagten die überdimensionalen Plakate aus. Der Berliner Volksmund dichtete dazu „ohne zu frieren“.

Der Bürgermeister und Stadtrat, der Landgerichtspräsident wurden in Landsberg ausgewechselt. Die Heinersdorfer Straße in Adolf-Hitler-Straße umbenannt. Die Stadtverordnetenversammlung beschloss, Hindenburg und Hitler die Ehrenbürgerwürde zu verleihen, ein Huldigungstelegramm wurde an beide abgesetzt. Weder der eine noch der andere hat sich je in Landsberg sehen gelassen, dafür aber der Gauleiter Wilhelm Kube um so häufiger, dem die gleichen Ehren zuteil wurden. Kube hatten Albert und Olla völlig betrunken 1928 bei ihrem ersten

Vermieter Päschke kennen gelernt, der wie der Gauleiter ebenso überzeugter Nazi war und nach einer Schlägerei und Sauftour mit den Kommunisten bei Päschke in der Küche die Wunden leckte und seinen Rausch ausschließte.

Die Wahl zum Reichstag in Berlin am 5. März 1933 verlief in Landsberg ruhig, abgesehen von moralischer Erpressung besonders der Beamtenschaft, zur Wahl zu gehen, da sonst mit Endfassung gedroht wurde. Am 21. März 1933 wurde der Reichstag in Berlin eröffnet, mit vorhergehender programmatischer Regierungserklärung Hitlers in Potsdam. Ein symbolisches Datum, denn an diesem Tag war 1871 der erste Reichstag von Bismarck, des zweiten Reiches, eröffnet worden. Das wurde alles im Rundfunk übertragen. Die Rede Hitlers, die des Reichspräsidenten v. Hindenburg in der Garnisonskirche von Potsdam, der Festgottesdienst, die Choräle. Ein prunkvoller Staatsakt.

Das Geschäft profitierte zweifellos auch durch die Gründung im November 1933 der „Kraft durch Freude“ Einrichtung über die Deutsche Arbeitsfront, der Nachfolgeorganisation der von den Nationalsozialisten verbotenen Gewerkschaften. Ziel der KdF war, der Arbeiterschaft zahlreiche Freizeitprogramme anzubieten, für Feierabend, für Konzerte, Vorträge und Theateraufführungen; für Sport, Betriebssport, Gymnastik. Es gab Programme: „Schönheit für Arbeit“, „Verbesserung der Arbeitsbedingungen“, für „Reisen und Wandern“. Das letztere war besonders beliebt. Erhebliche Zuschüsse aus den Mitteln der Arbeitsfront flossen in die Subventionen für die verbilligten Reisen. Ein Urlaub in Oberbayern für 1 Woche einschließlich Unterkunft, Verpflegung, Führung kostete 39 Reichsmark. Eine 14 tägige Italienreise 155 Reichsmark. Nordland Kreuzfahrten und Reisen nach Madeira mit eigenen KdF-Dampfern waren äußerst begehrt. Diese Reisen sollten verständlicherweise für sich selber, für Freunde, für die Familie im Bild festgehalten werden. Photo-Meyer lieferte die Box mit den zwei Einstellungen für die Belichtungszeit, für „Sonne“ und für „bedeckter Himmel“. Der Rest war Glücksache. Besserverdienende leisteten sich eine Retina, vielleicht so gar eine Leica oder Spiegelreflex-Kamera von Francke & Heidecke.

Sonst tat sich erst einmal nicht viel in Landsberg. Albert und Olla waren im Aufbau des Geschäftes viel zu beschäftigt, aus sich mit der politischen Entwicklung zu befassen. Sie waren auch über den Röhm-Putsch nicht sonderlich beunruhigt. Dass man gut 1 Jahr nach Hitlers Machtübernahme nicht schon wieder Unruhe brauchte und deshalb durchgreifen musste, rechtfertigte wohl die Methode. Außerdem war die drastische Liquidierung von der Reichswehr sanktioniert.

Anni, das Hausmädchen musste entlastet werden. Sohn Ulrich wurde deshalb halbtags in den Kindergarten in die Kladowstraße, zu Tantchen geschickt, wie man die langjährige Leiterin nannte. Eines Tages kam er mit Scharlach nach Hause. Das war damals noch häufig tödlich. Hausarzt Dr. Göhler sah den Zustand aus ziemlich bedenklich an. Er behandelt ihn über Wochen. Ulrich überlebte.

1935 wurde Sohn Hartmut geboren. Ulrich sollte schon ein Mädchen werden, nun war das zweite Kind wieder ein Junge. Dr. v. Klot tröstete, das dritte wird gewiss ein Mädchen. Olla fand sich ab. Sie wollte keine größere Familie, auch kein

Mutterkreuz vom Führer erhalten, auch nicht die 400 Reichsmark Zuschuss für kinderreiche Familien. Albert war zufrieden. Er stöhnte ohnehin schon über die Invasion der durchreisenden zahlreichen Verwandtschaft von Olla, die in Landsberg gern eine Nacht Station machte, wenn sie vom Osten kommend nach Berlin reiste. Sie wurden „Bettknüller“ genannt, weil sie in der Regel, Gott sei Dank, nur eine Nacht blieben. Albert ließ sich zu der Aussage hinreißen: „Verwandtschaft? am besten nur in Öl, gerahmt und an der Wand hängend“. Oder: „Verwandtschaft muss man als Schicksalsschläge hinnehmen“. Also, nur zwei Kinder, auch wenn die bäuerliche Verwandtschaft von Olla mit eindeutigen Bemerkungen nicht sparte.

Ulrich kam zur Schule; das war die Volksschule für Knaben in der Schulstraße, Ecke Zechowerstraße.

Die Mietwohnung in der Luisenstraße 7 wurde mit den zwei Kindern, dem Wellensittich Hensi, den häufigen Verwandtenbesuchen und dem großen Freundeskreis, zu klein und unbequem. Zudem sollte die Hilfe Anni aus praktischen Erwägungen nicht weiterhin auswärts wohnen.

Die jüdische Familie Bruno Glaser besaß in der Richtstraße 30, einige Häuser von Alberts Geschäft entfernt, ein Geschäfts- und Wohnhaus. Bruno Glaser betrieb darin ein Lederwarengeschäft en détail, gleichzeit auch einen Großhandel in Form von so genannten Coupons für alle gängigen Lederarten, Chevreau, Boxcalf, Bodenleder, die er en bloc verkaufte an die weiterverarbeitenden Schuhmacher und die Industrie, ebenfalls Schuhmacher-Bedarfsartikel. Wenn auch für die jüdischen Familien 1933 in den kleineren Städten noch keine direkten Schwierigkeiten auftraten, vermehrten sich doch die Belästigungen und Verleumdungen mehr und mehr. Die Glasers dachten an Verkauf und Auswanderung. Olla und Albert ließen sie wissen, dass sie am Kauf ihres Grundstückes interessiert seien, sollte ein Verkauf je ernsthaft erwogen werden. Die Glasers wollten dann Ende 1935 verkaufen, dann wollten sie wiederum nicht, sie konnten sich nicht entschließen. Sie erhofften, wie viele andere, einen grundsätzlichen Wandel in der politischen Ausrichtung der Nationalsozialisten, nachdem eine „Grundreinigung“ vorgenommen war. Hitler hatte doch selber mit jüdischen Mitbürgern im 1. Weltkrieg an der Front gekämpft, es waren doch auch seine Kameraden. Dass man gewisse Schlüsselpositionen in Verwaltung und Wirtschaft von jahrzehntelanger jüdischer Dominanz „freigemacht“ hatte; na ja, das war doch nicht so verkehrt, oder? Man wird sich doch nicht an den – wie du und ich – Juden vergreifen. Es wird niemals zu Pogromen kommen, wie sie die Schindelst aus ihrer Zeit unter dem Zaren kannten. Wo gehobelt wird, da fallen Späne. Es geht doch aufwärts, die Arbeitslosenzahl ist rückläufig. Die Jugendlichen sind von der Straße. Da ist der Arbeitsdienst. Es herrsche Ordnung, so man meinte. Macht nur anderswo im Reich, auch in Landsberg. Die Walter-Flex- und die General v. Strantz-Kasernen waren gebaut, Landsberg war 1935 wieder Garnisonsstadt geworden. Es wird alles nicht so heiß gegessen, wie es gekocht wird. Es wird sich wieder beruhigen!

Plötzlich kam es 1935 zu Lebensmittelverknappungen, besonders für Butter, selbst aber auch für Margarine und Schweinefleisch. Goebbels beschwichtigte.

Lächerlich Kleinmut der wenigen Miesepeter. Walfischtran kostet nur 78 Pfennig das Pfund. Hamsterkaufe setzten ein. Von Psychosehaltung wurde geredet. Es wurde angekündigt, vorübergehend würde das Angebot von Schlag- und Kaffeesahne reduziert, dafür aber mehr Butter produziert. Durch geringere Importe würden wichtige Devisen für Rohstoffimporte gespart. Im Saarland wurden fleisch- und butterlose Tage für Beamte zu Gunsten der Arbeiter eingeführt. Die Werbung für das Eintopfessen wurde wieder neu aufgelegt. In öffentlichen Gebäuden traten die Gulaschkanonen in Aktion. Das Gericht für 50 Reichspfennig. Hier musste die Beamtenschaft antreten. An sie kam man am ehesten heran. Man sang sarkastisch: „Wenn am Sonntagabend die Dorfmusik spielt, Eintopfgicht, Grünkohlgericht usw.“ Über Zeitungen und Rundfunk wurde angeregt: „Fisch statt Fleisch“, „Marmelade statt Butter“ zu essen, was vom Volksmund mit dem Reim umgemünzt wurde: „Nur von Marmelade steht kein Piephahn grade“. Hermann Göring drohte den deutschen Bauern nicht zu wagen, frei zu verkaufen oder gar zu höheren Preisen als den festgelegten. Die Gestapo wurde durchgreifen. In Hamburg hielt er am 6. Dezember 1935 eine Rede zur Aufrüstung und Lebensmittelknappheit. Entweder kaufen wir Butter und verlieren die Freiheit, oder wir erstreben die Freiheit und verzichten auf Butter. Die von Goebbels gleichgeschaltete Presse hatte den gemeinsamen Leitartikel: „Kanonen statt Butter“. Daraufhin wurde der Witz kolportiert: „Frage, wie muss die Weihnachtsgans 1935 sein? Antwort: Fett wie Göring, braun wie die Partei, gerupft wie das deutsche Volk“ oder: „haben sie schon gehört, alle Hitlerbilder sollen entrahmt werden, damit es wieder mehr Butter gibt? Worauf die Gegenfrage kam: und was soll man dann mit dem Hitler machen? Natürlich aufhängen oder an die Wand stellen.“

Im Sommer 1936 fuhren Albert und Olla zur Olympiade nach Berlin. Sie nahmen ihre Hilfe Anni Schröder mit, die dort ihre Verwandtschaft besuchen wollte und hoffte, mit Hilfe der Meyers für die eine oder andere Veranstaltung noch eine Eintrittskarte zu ergattern. Die beiden Söhne, Ulrich und der einjährige Hartmut, wurden bei den Brandts, den neuen Hauseigentümer und Vermietern der Landsberger Wohnung in der Luisenstraße, in Pension zurückgelassen. Zu Oskar und Meta Brandt hatte sich zwischenzeitlich eine enge Freundschaft angebahnt. Anni hatte in Berlin einen Holländer, einen van der Riesen, kennen gelernt. Für sie war die Verwandtschaft und die Olympiade nun nicht mehr so wichtig, dafür Manje van der Riesen umso mehr. Olla und Albert wohnten bei Alberts Bruder Rudi, der in Berlin am Bellealliance Platz Nr. 3, eine Wohnung hatte. Die Eintrittskarten für die verschiedenen Veranstaltungen erhielten sie über ihre Lieferanten, die Filmfirmen, vermittelt. Diese hatten ihre eigenen Fotografen und Aufnahmeleiter eingesetzt, die natürlich mit deren eigenem Filmmaterial arbeiteten. Die Eintrittskarten kamen von Perutz, Voigtländer, Kodak und natürlich von Agfa in Wolfen. Das war ein so genanntes Olympia Pass, der zum Eintritt zu allen Spielen berechtigte. Für Olla und Albert war es das Erlebnis ihres Lebens. Sie waren begeistert von der Organisation, der Sauberkeit, der entspannten Atmosphäre. Die Führerloge gab sich jovial, volksverbunden. Göring, der seine Beine auf der Logenbrüstung placiert

hatte, wurde durch Sprechchöre aufgefordert: „Hermann, nimm deine Potschen runter“. Hitler und Hess machten einen staatsmännischen, souveränen Eindruck. Leni Riefenstahl hielt den eingeladenen größeren Fotohändlern in einem der Veranstaltungsräume auf dem Gelände einen Vortrag, warum sie für welche Szenen mit welchem Filmmaterial arbeitet, und wie stolz sie sei, diese Olympiade für die Völkergemeinschaft filmen und festhalten zu dürfen.

Photo-Meyer bekam später einen nummerierten Bildband über die Olympiade mit den Original Autogrammen aller Medaillenträger versehen. Auf dem aufwendigen Einband befanden sich die olympischen Ringe mit einer Goldenen Glocke, überreicht von Agfa.

Olla und Albert kamen mit Anni begeistert zurück. Ein Ereignis des Jahrhunderts. Das 3. Reich hat sich gemausert, wir sind wieder wer. Sie hatten es miterlebt, wie begeistert das Volk und auch die vielen Ausländer waren. Und das mit den Juden, das hat sich beruhigt. Darüber war in Berlin nichts zu sehen, nichts zu hören. Das waren anfängliche Kinderkrankheiten der Nationalsozialisten. Es kann auch gar nicht anders sein, was würde das Ausland nach diesem Ereignis sagen? Die kritischen Stimmen wurden weniger und auch die jüdische Bevölkerung atmete auf.

Leider war das Wunschdenken. Die Situation verschärfte sich bald wieder. Die Diskriminierung, die Boykottaufrufe für jüdische Geschäfte und Waren verstärkten sich erheblich. Man wollte die deutschen Juden, rund 500.000, zur freiwilligen Auswanderung zwingen, möglichst unter Zurücklassung ihres Vermögens.

Im Herbst 1937 kamen die Glasers erneut zu Albert mit der Frage, ob er das Angebot zum Kauf des Hauses noch aufrechterhält. Die Gestapo in Frankfurt/Oder hatte die Überweisung der Schulgelder für ihre Kinder gesperrt und gleichzeitig an die Landsberger Polizei geschrieben, dass sie auf diese Art und Weise die Auswanderung der Familie Glaser beschleunigen wollten. Man wurde sich einig. Einige Zahlungen gingen wunschgemäß nicht über die Banken. Albert stellte Weichen zu Abnehmern des Warenbestandes, so für die Leder-Fabrik Koberstein, die Lederhandlung Weiser in der Brückenstraße und Oskar Brandt, der in der Luisenstraße eine Schuhbesohlanstalt „Rekord“ betrieb.

Glasers verließen Landsberg am 05. Januar 1938 und zogen zu Verwandtschaft nach Berlin-Charlottenburg. Erst im August 1938 stellten sie bei der amerikanischen Botschaft einen Einwanderungsantrag für sich und den Sohn Horst. Im Oktober 1939 konnten sie endlich mit einem Schiff der Holland-Amerika Linie von Antwerpen aus nach New York ausreisen. Ein Schwager von Bruno Glaser, der in Brüssel lebte, konnte ihnen noch die Schiffskarten für je 600 Dollar kaufen. Das ging nicht mehr für Reichsmark, der Krieg mit Polen hatte schon begonnen, die Devisenbewirtschaftung war verschärft. Von dem Vermögen von rund 160.000 Reichsmarken mussten sie 20 % so genannte Judensteuer zahlen. Die beiden Töchter von Glasers, Ruth und Ursula, waren in Florenz in einem Landschulheim untergebracht. Hier unterrichtete der preußische Ministerialrat Dr. Robert Kempner vom preußischen Innenministerien, den Göring gleich 1933 entlassen hatte und der hierher geflüchtet war. Dieser wurde später als stellvertretender amerikanischer Ankläger in den Nürnberger Prozessen bekannt.

Beide Töchter der Glasers entkamen, 1940 Ruth über England, Ursula 1941 nach vorheriger englischer Internierung auf Isle of Man, nach New York. Die engere Landsberger Familie hatte überlebt, einige andere Mitglieder der Verwandtschaft nicht.

Viele Geschäfte verschwanden in Landsberg oder bekamen plötzlich einen anderen Namen. Man wunderte sich, waren das Juden? Sicherlich, wenn man nachdachte, trugen Papier Cohn und auch Juwelier Cohn bzw. Rosenthal jüdische Namen, wie auch die Gebrüder Landsheim, deren Geschäft nun plötzlich „Textilhaus Wecke“ hieß, und aus Papier Cohn wurde Max Selkes und so wurde auch J. Lewinson Söhne umbenannt. Das war schon schwieriger zu erkennen bei den Namen Nossek oder Zahnarzt Artur Neuweg, Schuhfabrik Lemke, Buchhandlung Leuckart und andere. Es wurde arisiert, wie man es so „schön“ nannte.

Albert und Olla wurden Mitglied der „Bekennenden Kirche“, die von Martin Niemöller Ende 1933 unter dem Motto: *Teneo quia teneor* (ich halte stand, weil ich gehalten werde) gegründet wurde. Die Pastorenschaft und ihre Mitglieder verpflichteten sich, durch gegenseitige Hilfe gegen politische und polizeiliche Aktionen der Nationalsozialisten Stellung zu beziehen, sich zur Heiligen Schrift zu bekennen und sich ihr verpflichtet zu fühlen. Die Pastorenschaft leistete über den „Pfarrernotbund“ Widerstand gegen Willkür, Kriegspolitik, Euthanasie, Konzentrationslager, Judenverfolgung usw. Niemöller saß schon als so genannter persönlicher Gefangener Hitlers seit 1937 im KZ Sachsenhausen. Diese Mitgliedschaft wurde für Albert und Olla ausgelöst über Hans Scharf und Wilhelm Ogoleit, die in Landsberg einen Buch- und Kunsthandel betrieben. Beide waren Mitglieder der Freimaurerloge St. Johannes zum Schwarzen Adler, die sofort 1933 aufgelöst wurde.

Die Brüder von Hans Scharf, Kurt und Fritz, beide Pastoren, hatten die Bekenntnisgemeinde in Landsberg gegründet. Das Mitglied des Kreis-Bruderrates und der Kassierer, Wilhelm Holland, sammelte aus Sicherheitsgründen die Beiträge persönlich ein. Hierfür gab es aus gleicher Vorsichtsmaßnahme auch keine Quittung.

Nach Übernahme des Hauses Richtstraße 30 wurde gleich mit den Umbauten begonnen. Das Haus verfügte neben dem Haupthaus zur Richtstraße über einen Seitenflügel, geräumige Bodenräume und einen zusätzlichen begehbaren Spitzboden. Der Anbau hatte einen Dachgarten, der allerdings wegen des häufigen heftigen Windes wenig benutzt wurde. Zu ihm führte auch nur eine Einzutreppe vom separaten Treppenhaus des Seitenflügels. Offenbar war das Haupthaus Mitte des 19. Jahrhunderts erbaut worden. Es hatte gewaltige Mauern. Das sah man an den Fensternischen und den Türdurchgängen. Abgesehen vom Heizungskeller, Koksraum und Vorkeller, war der Seitenflügel einschließlich des gesamten Innenhofes unterkellert. Die Kellerräume wurden durch zwei Lichtschächte auf dem Hofgelände belichtet. Diese Kellerräume wiesen eine ungewöhnliche Höhe auf und waren rundherum gefliest bzw. in weiß gekachelte, also auch die Decken. Vermutlich war der Seitenflügel für einen Bäckereibetrieb hergerichtet worden.

Hauptsächlich mussten nun die technischen Einrichtungen geschaffen werden, wie die Anlage des Labors, der verschiedenen Dunkelkammern für das Entwickeln, Kopieren und Vergrößern des Bildmaterials mit den notwendigen Beleuchtungsanlagen. Vorrichtungen waren notwendig für das Wässern der Bilder nach dem Entwickeln und Fixieren, für die Bildschneidemaschinen, die Trocknungsgeräte und vieles mehr.

Der Wohntrakt wurde modernisiert, neue Kacheln, ein Balkon in ganzer Breite des Vorderhauses wurde auf dessen Rückseite angebaut, das Bad mit zusätzlichen Waschbecken und Gasboiler versehen, Fußböden mit Parkett ausgelegt, Stuckdecken erneuert oder ausgebessert, Lichtleitungen unter den Putz verlegt; der Eingangsflur im Parterre gekachelt, die Bodenräume, Kinder- und Mädchenzimmer der Zentralheizung angeschlossen und mit Wasserzuleitungen versehen. Heute mag das banal erscheinen, seinerzeit hatten viele Häuser nicht einmal ein Wasserklosett, geschweige denn ein zentrales Heizungssystem oder einen Telefonanschluß.

Das von Glasers gekaufte Haus war in gutem Zustand, wenn auch vielleicht wegen der politischen Unsicherheit für die jüdische Bevölkerung seit 1933 nicht mehr regelmäßig gewartet und modernisiert worden.

Albert und Olla hatten sehr schöne Einbauschränke, einen so genannten Schrankflur, in dem Verbindungsstück zwischen Haupthaus und Seitenflügel übernommen, in dem sich ein doppeltüriger Safe befand. Doppelter Marmorwaschtisch war im Schlafzimmer eingebaut. Das war zusätzlich von den Glasers gekauft.

Die Familie bewohnte den 1. Stock des Haupthauses und den 1. und 2. Stock des Seitenflügels, abgesehen von den Mädchen-Mansardenzimmern im Bodenbereich des Haupthauses. Hier befanden sich auch die Waschküche und der Wäschetrocknungsraum, die Wäschemangel und die Gardinen-Spannrahmen. Alle 14 Tage waren Washtag. Frau Zühlsdorf kam. Der Kupferkessel wurde angeheizt, in der alten Zinkbadewanne wurde mit Henko eingeweicht, die Wäsche gestaut. Viel Dampf und Wäschegegeruch lag in der Luft. Es stank nach Soda und Wäscheblau. Die Wringmaschine wurde nun von Helma oder Erna gekurbelt, nachdem Anni mit ihrem Manje van der Riesen nach Brasilien, nach Blumenau, ausgewandert war.

Hier auf dem Boden musste Albert auch die vom Großvater geerbten Geweihe aufhängen, die Olla nicht ausstehen konnte. Diese Staubfänger kommen mir nicht ins Haus. Die alten Doppel- und Drillingsflinten duldeten sie gerade noch dekorativ in der Diele, so auch die Ahnengalerie, die Albert laufend vervollständigte und bis 1600 zurückging.

Das 1937 bestellte Auto, ein Opel Kadett, der Nachfolger vom Opel P4, wurde im Herbst des gleichen Jahres ausgeliefert. Olla hatte bei den Probefahrten bei Opel Kipke schon gejammert: „was werden die Leute sagen“. Albert musste den mitgebrachten Vorführwagen, den neuen Opel Olympia mit seinem 1.3 l Motor, der bis zu 100 km/h schaffte, wieder zurückbringen. Ein Arbeiter musste dafür

18 Monate arbeiten, der Preis war 2500 Reichsmark. Aus jener Zeit stammt der Ausdruck: „mit 80 Sachen“, eine damals viel bewunderte Geschwindigkeit. Der Kadett musste es tun, um weniger Neid zu erwecken, das könnte nur nachteilige Folgen für das Geschäft haben.

Die erste Nachtfahrt ging zur Hirschbrunft nach Kladower Teerofen, mit Erna Grabi, einer Freundin von Olla. Die Gören waren mit, die keine Ruhe geben wollten. Sie waren übermüdet und in keiner Weise an den Brunftgeräuschen der Hirsche interessiert. Albert war nervös, wegen der geringen Fahrpraxis, Olla wurde nervös wegen der zänkischen Kinder. Albert fuhr sich in den Furchen des Waldweges fest. Die Stimmung war auf dem Nullpunkt. Weil Erna Grabi dabei war, konnte man nicht laut streiten, wer die Schuld hatte, die Kontenance musste gewahrt bleiben. Jedenfalls musste Albert ins Dorf marschieren, einen Bauern mit Pferd auftreiben, um den Kadett wieder herausziehen zu lassen. Es sind keine weiteren Brunftfahrten danach bekannt geworden.

Dafür fuhr man eher zu Alberts Mutter nach Schneidemühle, nach Freudenfrier und zu der dort in der Umgegend angesiedelten Verwandtschaft. Das Seebad Zoppot war beliebt, auch Tante Hedwig in Tempelburg am Dratzigsee, eine Schwester von Alberts Mutter. Hier wäre Ulrich fast in diesem Tempelburger See ertrunken. Beim Rudern auf dem See fiel er einfach kopfüber ins Wasser. Halb bewusstlos, wohl mehr vor Schreck und des kalten Wassers wegen, wurde er wieder herausgezerrt. Er konnte schon schwimmen, vergaß wohl in der Aufregung es auch zu tun.

Tante Hedwig verfügte in ihrem Wohnzimmer über einen Schaukelstuhl, der das Interesse von Hartmut fand. Trotz permanenter Ermahnungen, es mit dem Schaukelstuhl nicht zu wild zu treiben, gab er das Schaukeln nicht auf. Plötzlich löste sich der Stoff vom Peddigrohr-Gestell. Hartmut versuchte den Stoff wenigstens provisorisch wieder zu befestigen, damit es Tante Hedwig nicht bemerken sollte. Er war sehr froh, als man bald darauf abreiste. Allerdings hatte er viele schlaflose Nächte. Er fürchtete, dass sich seine alte Tante Hedwig genüsslich in ihren Schaukelstuhl setzen würde, und mit der Liegestuhl-Bespannung auf die Erde fällt und sich verletzen oder gar sterben könnte. Er hörte nichts von Tante Hedwig. Olla wunderte sich nur, wenn er häufiger fragte, wie es Tante Hedwig ginge und ob sie noch lebe.

Dann sind die Wendlands in Linde, Ollas Schwester und Schwager, zu erwähnen, die auch hier wie in Kurland Bienenzucht betrieben. Um die einzelnen Völker zu unterscheiden, waren alle Bienenkästen in unterschiedlichen Farben angestrichen. Sie standen militärisch aufgereiht unter einem Schuppendach. Hartmut dachte: „das ist eine Puff-Puffbahn“, traute sich zu dicht heran. Er handelte sich 15 Bienenstiche ein. Ein Arzt musste kommen, der sich den verquollenen 3-jährigen Bengel ansah, die Stacheln herauszog und trocken meinte, ein paar Stiche mehr und sie hätten nicht mich sondern den Pastor gebraucht. Aber eines ist suchen „der kriegt kein Rheuma!“ Seitdem versetzte jede herumfliegende Biene oder Wespe Hartmut in Angst und Schrecken, und er verweigerte strikt das Essen von Bienenhonig.

Die Straßen waren zu jener Zeit fast frei von Autos. Hartmut und Ulrich mussten in dem Opel natürlich immer hinten sitzen. Sie kontrollierten den nachfolgenden Verkehr, in dem sie ihren Vater aufmerksam machten, wenn ein anderes Auto zu folgen schien. War das nicht der Fall, zankten sich beide Brüder bis Albert mit „Aussetzen“ drohte und es einmal abends mit „Häschen“ auch machte. Der fing laut zu Brüllen an, aus er die leuchtenden sich entfernenden Rücklichter sah. Häschen war der Kosename von Hartmut, der auch Hase gerufen wurde, wenn es eiliger war. Hardi bei eiliger Eile und Hartmut, nun dann setzte es mit einiger Gewissheit Ohrfeigen, und er brachte sich besser außer Reichweite. Ulrich war „Musch“ und wenn nach Uli schon Ulrich gerufen wurde, war es nicht mehr brenzlich, nein es brannte schon.

Die Verbindungswege, so auch die Reichsstraße 1, die über Schneidemühle weiter zur Verwandtschaft führten, waren Chausseen mit runden Buckeln, weitgehend geteert und in den Ortschaften gepflastert. Es gab die obligatorischen Chausseebäume, die meistens eine weiße Armbinde trugen, damit sie besser im Dunkeln aus Abgrenzung erkennbar waren. Dichter zu den Dörfern gelegen, wurden Obstbäume an den Straßenrändern angepflanzt. Hier erntete man das so genannte Chausseeobst. Es war fleckig und nicht gepflegt, dafür billig zu erstehen.

Eine üble Erfahrung für den Autobesitzer waren die häufigen Reifenpannen. Immer und immer wieder ging die Luft aus dem Schlauchen, weil man einen Hufnagel eingefahren hatte. Manchmal reichte bei einer längeren Fahrt der eine Ersatzreifen nicht aus. Bei dem Versuch, selber einen neuen Schlauch aufzubringen, brachte man sich fast um. Albert hatte mit dem neuen Kadett schon Glück, er brauchte nicht mehr mit der Kurbel gestartet zu werden. Hatte man sich schon nicht beim Reifenwechsel umgebracht, dann wäre es spätestens beim Anwerfen des Motors mit der Kurbel geschehen.

Nach Möglichkeit stand der Opel aber in der Garage um die Ecke in der Gerberstraße, und nicht in der Richtstraße. Olla und Albert waren ohnehin sehr bedacht, nicht aufzufallen. Mitleid bekommt man umsonst, Neid muss man erarbeiten. Sie strebten weder das eine noch das andere an. Wollten sie etwas Besonderes kaufen, fuhren sie nach Berlin in die Passage, Ecke Friedrichsstraße/Linden.

Hier blieb es anonym. Alberts Berliner Bruder Rudi spielte den Bärenführer.

Er wollte sich für die häufigen Besuche in Landsberg revanchieren und lud zu einem Weinschoppen bei Lutter & Wegner ein.

Ulrich tauschte im Sommer 1939 die Volksschule gegen das 1938 eingeweihte neue Hermann-Göring-Gymnasium ein. Ein Musterbau in der Keutelstraße, mit einem Festsaal, Gymnastiksaal, einer 2-stöckigen Turnhalle. Neben dem Schulhof gab es einen Schulgarten, einen Sportplatz und Unterrichtsräume modernster Art. Diese Schule war der Stolz der Landsberger. Schulische Probleme gab es für Ulrich nicht. Er gehörte zu den besten seiner Klasse, ohne ein Streber zu sein oder sich sonderlich anstrengen zu müssen. Sportlich war das nicht so, da behinderte ihn die Kurzsichtigkeit. Er musste vom 8. Lebensjahr an eine Brille tragen. Zeitgleich mit dem Wechsel zum Gymnasium hatte er nach dem

Reichsjugendgesetz in das Deutsche Jungvolk einzutreten. Die Eltern mussten ihn immer erinnern, an den Geländespielen und Appellen teilzunehmen. Er las lieber Karl May im Herrenzimmer, versteckt hinter einem der großen Klubsessel. Wenn er in den Zeugnissen Einsen und Zweien nach Hause brachte, musste er froh sein, wenn er bei „Leibeserziehung“ mit einer drei eher vier davon kam.

Politisch und wirtschaftlich eilten die Nationalsozialisten von einem Erfolg zum anderen. Der Einmarsch der deutschen Truppen in Hitlers Heimat Österreich am 12. März 1938 wurde von seinen Anhängern triumphal gefeiert. Seyß-Inquart wurde aus Nachfolger des österreichischen Bundeskanzler Kurt v. Schuschnigg ernannt, später zum Reichsstatthalter. Österreich wurde zu einem Land des Deutschen Reiches erklärt. Eine Volksabstimmung im April nachvollzogen, bestätigte die Wiedervereinigung Österreichs mit dem Deutschen Reich mit überwältigender Mehrheit. Das musste völkerrechtlich anerkannt werden. Die Österreicher hatten das Auseinanderbrechen der österreichischen-ungarischen Monarchie nicht verwunden. Jetzt konnten sie wieder oben mitschwimmen. Das Ausland, die ehemaligen Siegermächte, kommentierten lauwarm: „es ist legitim, wenn Deutsche zu Deutschen kommen wollen“. Das hatte man damals in Versailles anders gesehen.

Nach dem Anschluss Österreichs an das Reich erhoben die Sudetendeutschen steigernde Forderungen für Autonomie und Selbstbestimmung innerhalb des tschechoslowakischen Staates. Hitler forderte ultimativ die Loslösung der sudetendeutschen Gebiete von der Tschechoslowakei. Ein echter Coup. Der britische Premier-Minister Neville Chamberlain flog dreimal nach Deutschland, um den Frieden zu erhalten. Er kam im September 1938 zum so genannten Münchener Abkommen. Die Tschechoslowakei musste diese Abmachung notgedrungen annehmen, da Italien und Frankreich ihr zustimmten. Goebbels und selbst die Schulkinder machten ihre Witze über Chamberlain, besonders über seine typische englische Kleidung und den obligaten Regenschirm. „Du siehst aus wie Chamberlain mit dem Regenschirm“, wurde eine gängige Redensart, wenn man sich etwas herausgeputzt hatte.

Auch das Sudetenproblem war ein Relikt des Versailler Vertrages. Als in Prag 1918 die Tschechoslowakei proklamiert wurde, ging Böhmen aus das Kernland der Tschechoslowaken, ähnlich wie Mähren und die Slowakei in diesen neuen Staat über. Auch die von den Deutschen dominant besiedelten Sudetenlandes wurden gegen eigenen Willen im Winter 1918/1919 gewaltsam durch tschechisches Militär in den Staatenverband Tschechoslowakei eingefügt. Immerhin lebten in diesen Grenzgebieten gut 3 Millionen Deutsche.

Man ließ Hitler gewähren und meinte auch hier, wenn Deutsche unter Deutsche wollen, muss man es wohl zugestehen. Die deutsche Bevölkerung im Sudetenland und im Reich feierten Hitlers Truppen beim Einmarsch im Oktober 1938 frenetisch.

Da das so gut ging, marschierte die deutsche Armee 5 Monate später auch in den Reststaat ein, nachdem im März 1939 die Slowaken ihre eigene Unabhängigkeit ausgerufen hatten.

Das vielgepriesene friedenserhaltene Münchener Abkommen wurde problemlos gebrochen, der Rest des tschechischen Gebietes aus Protektorat Böhmen und Mähren erklärt und dem Deutschen Reich angegliedert. Polen wollte keineswegs abseits stehen. Es hatte sich im Oktober 1938 schon das Olsagebiet von Tschechisch-Schlesien angeeignet. Die Tschechen hatten zu diesem Zeitpunkt andere Probleme aus wegen dieser lumpigen 900 km² mit den Polen Streit anzufangen. Wenngleich keine der dort lebenden Nationalitäten die Mehrheit hatte, lebten in den Ortschaften Teschen, Oderberg und Freistadt etwa 18.000 Tschechen. Ihnen wurde eine einwöchige Frist gegeben, in der sie das Gebiet zu verlassen hätten, Richtung Tschechoslowakische Republik. Unter Zurücklassung ihres Besitzes. Zu Fuß, mit Fahrrädern, Kinderwagen, Handwagen.

Die Begeisterung der deutschen Bevölkerung war grenzenlos; die Tschechen mussten es mit Schrecken über sich ergehen lassen. Sie waren politisch isoliert. Die Deutschen meinten, dieser Führer ist eine Gottesfügung. Die Schmach, das Unrecht von Versailles wird Stück für Stück abgestreift.

Die Volksabstimmung im Saarland im Januar 1935 hatte ein Ergebnis von 90.8 % für die Rückgliederung von Frankreich an das Deutsche Reich ergeben. Die Saargruben wurden für 900 Millionen französische Franc zurückgekauft. Rund 1 Million Deutsche kamen so zurück ins Reich, dann die 7 Millionen Österreicher, dann 3 Millionen Sudetendeutsche dazu.

Ebenfalls im Januar 1935 hatte sich Hitler über die Vereinbarungen im Versailler Vertrag hinweggesetzt, deutsche Truppen zogen in die entmilitarisierte Rheinlandzone ein. Er erklärte den Siegermächten des 1. Weltkrieges lapidar, es werden keine Reparationen mehr bezahlt. Dawson-, Young- und Hooverplan sind Makulatur. Der Youngplan zum Beispiel sah eine Laufzeit ab 1929 von 59 Jahren vor, das wäre bis 1988! gewesen. Mit einer ins gesamten Schuldenlast von etwa 121 Milliarden Goldmark.

Die Wahlen zum Memellandtag im September 1935 gingen zu 81% zu Gunsten der Deutschen aus. Sie stellten 24 der 30 Abgeordneten. Da gibt es 1.6 Millionen Deutsche. Die deutsche Presse plädierte für eine Wiederangliederung des Memellandes an das Deutsche Reich.

Deutschland zahlt nun 75 Millionen Menschen. Viele meinten, was regen wir uns da wegen der paar Juden auf, sollen sie doch nach Amerika oder Palästina gehen, je schneller je besser. Das hatte man mit der so genannten Kristallnacht am 8. November 1938 erreichen wollen. Jüdische Geschäfte wurden demoliert, die Synagogen fast überall im Reich angezündet. In Landsberg brannte an diesem Tag der Judentempel in der Baderstraße. Es ging wie ein Lauffeuer herum, der Judentempel brennt, der Judentempel brennt. Ulrich rannte wie die anderen mit dem 3-jährigen Hartmut an der Hand auch an diesem Morgen zur Baderstraße. Das war dicht an der alten Wohnung in der Luisenstraße. Schließlich brannte es nicht jeden Tag in Landsberg. Die Feuerwehr löschte lustlos den 1854 im byzantinischen Stil errichteten Tempel; mehr schützte sie allerdings die angrenzenden Häuser.

Die Front des Gebäudes blieb stehen mit der hebräischen und gleichzeitig deutschen Inschrift: „Mein Haus soll ein Bethaus sein für alle Völker“. Es konnte einem wegen des Geschehens schwindelig werden, aber nur wenige litten unter Gleichgewichtsstörungen!

Am 1. September 1939 kamen Albert, Olla und die Kinder abends spät vom Gartengrundstück zu Fuß zurück zur Richtstraße. Im Stadtpark begegneten sie einem Bekannten, der einige Fensterrollos unter dem Arm trug. Er berichtete, dass nun ab sofort verdunkelt werden müsse. Am Vormittag sei Krieg mit Polen ausgebrochen. Die Familie war ahnungslos. Im Gartenhaus hatten sie kein Radio und auch kein Telefon. Sie hatten keinen Kontakt zur Außenwelt gehabt. Über den Rundfunk wurde dann pausenlos berichtet, die Polen haben das Deutsche Reich in Oberschlesien angegriffen. Deutschland müsse und würde sich wehren. Das geschah dann auch mit dem Angriff auf die Westerplatte, vor Danzig gelegen.

Sicher, man wusste von den permanenten Querelen und Auseinandersetzungen mit den Polen. Auch diese Schwierigkeiten ergaben sich in erster Linie aus dem Ergebnis des unglückseligen Versailler Vertrages. Latent war Kriegsgefahr schon seit 1919 vorhanden. Rund 750.000 Deutsche waren seitdem aus den an Polen abgetretenen Gebieten abgewandert. Die verbliebenen Deutschen in Westpreußen, Oberschlesien und Danzig aber auch die im Osten ansässigen Ukrainer, Weißrussen und Litauer, wie auch die jüdische Minderheit befanden sich permanent in Abwehrhaltung gegen die polnischen Behörden. Diese Nationalitäten wurden im schulischen Bereich und in der Verwaltung drangsaliert, sie waren Bürger minderen Rechtes.

Parolen, wie zum Beispiel: „Polen kaufen nur in polnischen Geschäften“ und „polnische Firmen haben polnische Arbeiter einzustellen“, waren an der Tagesordnung. In deutscher Sprache abgefasste Briefe an Behörden wurden nicht beantwortet.

Kurz nach Ausbruch des Krieges, am 3. September 1939, hatten die Polen am so genannten „Blutsonntag von Bromberg“ Tausende Volksdeutsche umgebracht. Was war da geschehen?

Als sich zwei Tage nach Kriegsausbruch die deutschen Truppen Bromberg näherten, zog sich die polnische Armee zurück, gefolgt von der polnischen Verwaltung und vielen Zivilisten. Verbleibende Teile der Armee und eine sich gebildete polnische Bürgerwehr nutzten das Vakuum der nicht mehr vorhandenen Rechtsorgane und rechneten auf eigene Faust mit vermeintlichen Volksdeutschen Diversanten ab. Es erscheint abgesichert, dass etwa 5.500 volksdeutsche Zivilisten bis zum Einmarsch der deutschen Truppen grausam ermordet wurden. Es wurde gebrandschatzt und geplündert. Diese Vorkommnisse waren in ähnlicher Form in anderen Städten mit einer deutschen Minderheit gleichermaßen festzustellen. Der Anteil an volksdeutscher Bevölkerung in Bromberg war von 1920 etwa 71% bis 1939 auf allenfalls noch 15% gesunken. Wenn Bromberg 1939 etwa 100.000 Einwohner hatte, mit rund 15.000 Deutschen, dann sind ein Drittel der Volksdeutschen dem Massaker zum Opfer gefallen.

Hitler hatte am 21.03.1939 den Polen ein Abkommen vorgeschlagen, nachdem Danzig wieder dem Deutschen Reich angegliedert werden sollte und anstelle der bisherigen Korridor-Regelung mit all seinen Kontroll- und Zollfunktionen durch die polnische Verwaltung, Deutschland exterritoriale Verkehrsverbindungen mit Ostpreußen erhalten wollte. Der Zustand war untragbar. Abgesehen davon, dass Ostpreußen vom Reich abgetrennt war, mit all seinen daraus resultierenden wirtschaftlichen Schwierigkeiten, war den Reisenden verboten, im Korridorgebiet Gegenstände in den Zug hineinzunehmen oder hinauszureichen. Man durfte nicht aussteigen und so durften die Fenster während des Haltens im Abteil oder Gang nicht geöffnet werden. Die Züge wurden von polnischer Grenzpolizei oder Militär begleitet. Es galten die Gesetze des Durchganglandes. Personen konnten verhaftet werden, auch auf reinen Verdacht hin.

Deutsches Militär, das nach Ostpreußen durchreiste, musste die Waffen am Packwagen abgeben. Allerdings wurde im April 1932 vereinbart, dass ab dann Fenster auch auf Bahnstationen geöffnet werden durften und Reiseverpflegung in das Abteil hineingereicht werden konnte. Wollte ein Reisender vom Deutschen Reich nach Danzig fahren, wo immerhin 1938 wenigstens 260.000 Deutsche lebten, und wollte er der polnischen Zoll- und Passkontrolle entgehen, musste er über Danzig und Dirschau bis Marienburg fahren. Von hier war er gezwungen, die gleiche Strecke mit dem Postauto oder unter Benutzung von zwei freigegebenen Personenzügen wieder zurückzufahren. Unbehelligt konnte man nur ab 1920 mit den Schiffen des „Seedienst Ostpreußen“ oder im Flugverkehr nach Danzig und Ostpreußen gegangen. Welche unmöglichen Auflagen Versailles auch für den Güterverkehr verhängte, lässt sich leicht ermessen. Diese Widerwärtigkeiten führten zu einem wirtschaftlichen Niedergang in der ganzen Region. Das veranlasste die Berliner zu der abwertenden Bemerkung: „Wo sich anfängt das Masur, da sich aufhört der Kultur“.

Deutschland wollte im Gegenzug die bisherigen deutsch-polnischen Grenzen endgültig anerkennen. Polen erklärte sich lediglich zu Beratungen bereit, über eine Erleichterung des Durchgangverkehrs vom Reich nach Ostpreußen zu verhandeln. Alle weiteren Planungen des Reiches würden Krieg mit Polen bedeuten. Polen hatte kurz zuvor schon eine Teilmobilmachung getroffen. Hitler befahl der Wehrmacht, sich auf eine wahrscheinliche Auseinandersetzung mit Polen zum Herbst vorzubereiten. Am 25.08.1939 schlossen die britische und polnische Regierung einen Beistandspakt und England schlug gleichzeitig vor, gemeinsam nach friedlichen Lösungen zu suchen. Hitler willigte am 29.08.1939 ein. Ein polnischer Unterhändler wollte zu Verhandlungen nach Berlin kommen, der aber nicht erschien, Polen aber anstatt am 30.08.1939 die Mobilmachung anordnete. Daraufhin ließ Hitler seine Truppen am 01.09.1939 einmarschieren. Gustav Stresemann soll einmal vor dem Völkerbund in Genf gesagt haben: „Bei der Darstellung politischer Geschehnisse, ist die Wahrheit immer das Ganze, man kann nicht nur einen speziellen Teil kommentieren“.

Der Vollständigkeit halber muss erwähnt werden, dass Hitler und Stalin im August 1939 in Verhandlungen eintraten, die am 24. August 1939 zu einem Nichtangriffspakt führten und gleichzeitig durch ein Geheimprotokoll die osteuropäischen gemeinsamen Interessensphären absteckten. Danach griffen die Sowjettruppen am 17.09.1939 ihrerseits Ostpolen an, die bis zu der mit Hitler vereinbarten Interessensgrenze vorrückten. Nach dieser Vereinbarung mit den Sowjets fielen wieder die im Versailler Vertrag abgetretenen Gebiete an Deutschland zurück, also Westpreußen, Danzig und zusätzlich das Wartheland. Die Sowjets holten sich ebenfalls die durch Versailles verlorenen Gebiete wieder, wie auch Litauen ihnen zufiel. Estland und Lettland mussten nach der Interessensabsprache zwischen Stalin und Hitler mit der UdSSR Freundschaftspakte abschließen und Stützpunkte für die Sowjets einrichten lassen. Gut 60.000 Deutschbalten wurden nach dieser Absprache 1939 mit einer so genannten „Heim ins Reich“ Aktion umgesiedelt, um die über Jahrhunderte vom Deutschtum geprägten Ostseeprovinzen für die Sowjets weitestgehend von Deutschen zu entblößen. Sie wurden überwiegend im neu eroberten Wartheland angesiedelt und erhielten die von den Polen zu räumenden Höfe und Liegenschaften zugewiesen. Häufig waren die zu übernehmenden Betten noch warm und der Kaffee dampfte noch auf den Tischen.

Die übrigen von der deutschen Wehrmacht eroberten polnischen Gebiete wurden einem Generalgouverneur in Krakau unterstellt.

Albert kaufte 1939 einen großen Musikschrank für die Schellackplatten, der in der Diele aufgestellt wurde. Dazu ein Rundfunkgerät, den „dernier cri“ von Telefunken, ein D860 WK Superhet. Das erste Gerät der Welt mit Drucktasten zur Festeinstellung der Sender. Das war nun ganz etwas anderes aus die alten Dioden-Detektoren Radios oder gar der Volksempfänger für 76 Reichsmark, die fast alle wegen der mangelhaften Trennschärfe nur einen akzeptablen Empfang des Ortssenders zuließen. Dieser Telefunken hatte natürlich ein magisches Auge. Es standen unzählige Sender auf der beleuchteten Skala, wie Preßburg, Hilversum, Kalundborg, Wien, Kopenhagen, Beromünster, Langenberg, Leipzig, Breslau, der Ostmarken-Rundfunk Königsberg und viele andere, von denen man gar nicht wusste, wo sie eigentlich lagen. Viele Sender, die man trotz der auf dem Trockenboden gezogenen Antenne, auch nicht über Kurzwelle mit Richtfunkantenne empfangen konnte. Aber man bekam sehr gut über Mittelwelle den fest eingestellten so genannten Reichssender Königswusterhausen und die Ostmarkensender Königsberg und Breslau. Breslau war bei den Kindern sehr beliebt wegen seiner häufigen kabarettistischen Sendungen vom schlesischen Stimmenimitator Ludwig Manfred Lommel und seiner Frau Pauline aus Runxendorf oder Peter Igelhoff, der sang und pffif: „Dunkel war’s, der Mond schien helle, aus ein Auto blitzschnelle, langsam um die Ecke fuhr“. Die Gören konnten sich fast totlachen.

Diese neue Musikanlage bot mit seinem Spezial-Plattenspieler einen großen Vorteil. Albert konnte über ein Richtmikrofon selber Schallplatten aufnehmen. Das waren Wachsplatten in der Größe der 78er Schellackplatten, in die Rillen über

einen besonders schweren Tonabnehmerarm geritzt wurden. Diese Platten konnten später über den normalen Tonarm mit Nadeln einige Male abgespielt werden, bis der Ton schlechter und schlechter wurde. Diese Wachsplatten oder Matrizen konnte man auch zu Odeon oder Telefunken einschicken, um sie in Schellack umpressen zu lassen. Sie wurden damit fast unbegrenzt haltbar. Es wurden die Stimmen der Familienmitglieder konserviert. Ulrich und Hartmut mussten häufiger, mehr aus ihnen lieb war, zu Plattenaufnahmen zur Verfügung stehen und singen, wie: „Maikäfer flieg, der Vater ist im Krieg, die Mutter ist in Pommerland, Pommerland ist abgeräumt, Maikäfer flieg“, dann: „Lampenputzer ist mein Vater im Berliner Stadttheater, meine Mutter platt Manschetten für Offiziere und Kadetten“, oder: „Mein Vater ist ein Graf, ein Graf ein Fotograf und eine Fotografin die Mama“. Selbst: „Das Deutschlandlied“, musste für so etwas herhalten. Ulrich, der schon lange Akkordeon Unterricht nahm, hatte musikalisch zu untermalen. Das Weihnachtsgedichtaufsagen, natürlich vor der Bescherung, war bei den Eltern außerordentlich beliebt, bei Ulrich und Hartmut gleichermaßen gehasst.

Besonders durch den Musikschrank und den direkten Zugang zum teilweise verglasten großen Balkon, wurde die Diele von der Familie viel benutzt. Hier saß man am Abend zusammen mit den Mädchen, hörte Musik, Handarbeiten wurden gemacht, geflickt, gestopft, Wäsche ausgebessert.

Eines Abends wurde Unterwäsche aussortiert. Am nächsten Tag kam eine Kundin ins Geschäft und fragte eine der Verkäuferinnen, ist das nicht der Sohn von Photo-Meyer, der in der Richtstraße mit einem umgebundenen Büstenhalter herumstolziert? Olla wurde gerufen, das „Häschen“ oder nun Hartmut mit Knuffen ins Haus gestoßen. Prügel setzte es nicht. Olla war sehr ärgerlich, lachte aber bald wieder – wenn es doch bloß nicht so ein alter abgetragener Büstenhalter gewesen wäre – wie peinlich! Bald darauf besuchte Herr Remitz Olla im Geschäft, um ihr mokant grinsend zur Geburt eines Töchterleins zu gratulieren. Remitz war eine Drogerie 3 Geschäfte weiter in der Richtstraße. Olla war etwas irritiert und fragte Herrn Remitz, was er meine. Nun vorhin war doch ihr Sohn in meinem Geschäft, etwas merkwürdig angezogen und wollte einen Schnuller kaufen. Ich fragte ihn, für wen er denn den Schnuller erstehen möchte? Er druckste herum und kam mit der Neuigkeit heraus, dass er über Nacht ein Schwesterchen bekommen hatte. Natürlich hätte Remitz Hartmut durchschaut, dass er den Schnuller für sich selber haben wollte, es aber nicht zugeben mochte. Remitz schenkte ihm den Schnuller für sein Schwesterchen, allerdings mit rosa Schleife. Der ist aber nur für Mädchen, klärte er Hartmut auf. Jungs würden üblen Brechreiz bekommen; denn Schnuller für Jungs haben natürlich eine blaue Schleife. Olla hatte sich geweigert, ihm für den durchgebissenen Schnuller Ersatz zu kaufen, ihrem Sohn vielmehr zu erklären versucht, dass er viel zu alt für einen Nuckel sei. Dem zu erwartenden Brechreiz wollte Hartmut sich nicht aussetzen. Er verzichtete fortan auf einen Schnuller.

Während Olla Porzellan sammelte und Bücher wie „Das Erbe von Björnald“, „Die Barrings“ oder etwas von Knittel, Speckmann aber auch Spengler las, frönte Albert seiner Neigung, alle neuen technischen Dinge auszuprobieren. Fast

gleichzeitig mit der Anschaffung des Musikschrankes und des Telefunken Supers wurde der vorhandene Eisschrank ausgetauscht, der immer zum Wochenende mit Eisbarren neu bestückt werden musste, die der Eiswagen mit Glockengebimmel ankündigte. Die kräftigen Männer, mit Lederschürzen und eben solchen Schulterschonern ausgestattet, brauchten nun nicht mehr die Roheisbarren in die Küche zu schleppen. Da stand nun ein großer Siemens Kühlschranks. Dieser hatte zwar die Unart, sich in Abständen hörbar aufzuziehen, hatte aber einen Vorteil: man konnte mit ihm Eiswürfel produzieren. Diese waren wiederum praktisch, um Speiseeis selber herzustellen. Das geschah mit einer Eismaschine, in welche die Roheismasse, die Sahne, Schokolade, Vanille gegeben und die mit Viehsalz betreuten Eiswürfel separat darum verteilt wurden, um die Kostenentwicklung zu maximieren. Diese Maschine musste zwar manuell mit einer Kurbel bedient werden, was Helma oder Erna wegen der erforderlichen Ausdauer beim Drehen nicht sonderlich liebten, aber schließlich wollten sie selber am Eisgenuss teilhaben.

Anstelle des bisherigen Staubsaugers, der wie ein Eimer auf Rädern aussah, bekamen die Mädchen von Albert, einen Schlittenstaubsauger, länglich, flach, der auf Kufen rutschte, daher der Name. Eine Neuentwicklung von Siemens. Der Elektroherd musste erneuert werden, der hatte im Backofen nun Ober- und Unterhitze anzubieten. Eine doppelte Gasfeuerstelle hatte zu verbleiben, wie auch ein so genannter elektrischer Wasser-Schnellkochtopf. Diese neuen Geräte und die technischen Elektrogeräte im Geschäft, erforderte die Verlegung neuer Stromleitungen.

Um dem Dreck zu entgehen, fuhr Olla nach Hamburg, um ihre Schwester Emma in Rothenburgsort zu besuchen. Hier wurde sie überredet, eine Parteiveranstaltung von Josef Goebbels in der Hanseatenhalle zu besuchen. Es war die erste und die letzte ihres Lebens, sie wurde fast erdrückt. Die Hamburger im roten Rothenburgsort feierten ihn frenetisch. Später, viel später leugneten sie, das waren nicht die Hamburger, es waren die Schleswig-Holsteiner!

Albert ließ in einem des Kellerraums in den Richtstraße Holzbottiche einbauen. Diese dienten dazu, den verbrauchten Entwickler wie auch die Flüssigkeit des Fixierbades aufzunehmen. Das fotografische Material enthielt Silberbestandteile. Wenn diese sich gesetzt hatten, wurde die obere Flüssigkeit abgeschöpft, bis letztlich nur noch eine Art dunkler Schlamm übrig blieb. Dieser wurde in fast trockenem Zustand in Marmeladeneimern an die Silberscheideanstalten in Breslau oder Bremen geschickt. Zurück kam Rohsilber mit einem Reinheitsgrad um 900 herum. Dieses Rohsilber sah aus wie zu Silvester gegossenem Blei, bizarre Stückchen. Olla nahm es in Beschlag und füllte es in Bonbongläser, die sie wiederum im Geldschrank verstaute. Das waren über die Jahre einige Kilo. Der Goldschmiedemeister Ernst Schmelter in der Wollstraße fertigte für Hochzeitsgeschenke und ähnliche besondere Anlässe im Familien- und Freundeskreis daraus Filigranschmuck, Teller und Schalen. Olla liebte Filigran, weniger die Mädchen, die über die ständigen Polierarbeiten stöhnten und Ollas Beschwerden fürchteten, wenn das Putzmittel Sidol nicht sauber aus den Ritzen der Silberornamente entfernt wurde. Für sie waren

Ollas Silberbestände an Ziergerät, Gebrauchs- und Festbestecken, natürlich alles in Reinsilbern, ein wahrer Alptraum. Schmelter wurde eine Art Hoflieferant, nicht nur für Silberzeug.

Albert musste auch schon einmal das eine oder andere Goldstück aus seiner Münzsammlung herausrücken, denn Gold war nicht mehr frei käuflich. Es fiel schon lange unter die Devisenbewirtschaftung der Regierung. Schmelter fertigte daraus Goldschmuck, wie eine Garnitur von Ring, Brosche, Anhänger mit großen Aquamarinen. Über die Familie Vaatz von der Wormsfelder Mühle kamen die Steine wie auch selbst einige Brillanten. Diese hatte der Bruder von Erna Vaatz, der in Kolumbien Silberminen besaß, mitgebracht, aus er dem Ruf des Führer folgte, wegen des drohenden Krieges zurück ins Reich zu kommen, was er und viele andere taten, die im Ausland lebten, und ihre Rückkehr später bitterlich bereuten. Vaatz wohnte aber nicht bei seiner unverheirateten Schwester und der Familie auf der Mühle, wenn er von Berlin zu Besuch kam, auch nicht in den Landsberger Hotels, die ihm von der Klasse nicht zusagten. Er fuhr lieber wieder mit seinem großen Mercedes die 160 km nach Berlin zurück.

Großbritannien und Frankreich hatten dem Deutschen Reich am 3. September 1939 den Krieg erklärt, nachdem Hitler nach Aufforderung von England und Frankreich nicht bereit war, seine Truppen aus Polen zurückzuziehen. Polen war am 30. September 1939 von den russischen und deutschen Truppen eingenommen und wie von Hitler und Stalin vereinbart, aufgeteilt. Am 5. September 1939 war auch die Slowakei in den Krieg gegen Polen eingetreten. Sie hoffte, einen Teil vom polnischen Kuchen in Südpolen abzubekommen. Nach allen Regeln der Logik hätten nun Großbritannien und Frankreich nicht nur Hitler-Deutschland sondern auch den Russen den Krieg erklären müssen, eigentlich auch der Slowakei, wenn ihnen am Erhalt des polnischen Staates nach den Grenzen von Versailles wirklich gelegen gewesen wäre. Nichts dergleichen geschah!

England und Frankreich standen abwartend an der Maginotlinie bzw. am Westwall, an der französischen Grenze. Wie sollten sie Polen auch helfen? Das war geographisch schwer möglich, höchstens über das Wasser, die Ostsee.

Am 06.10.1939 richtete Hitler einen Friedensappell an die Westmächte, sie zeigten keine Reaktion.

Daraufhin entschloss sich Hitler zu einer großen Offensive im Westen durch Holland und Belgien in Richtung Kanalküste. Die Russen witterten Morgenluft, sie fielen am 30. November 1939 über die Finnen her, die sich über 100 Tage erbittert wehrten. Finnland musste Westkarelien mit Wiborg, das Sallagebiet und andere für Russland strategisch wichtige Punkte abtreten. Die Engländer und Franzosen fanden das nicht ehrenrührig.

Die von Hitler und Stalin vereinbarte Übernahme der 3 baltischen Staaten durch die Russen, die erst durch den Kriegsverlauf des 1. Weltkrieges selbständige Staaten geworden waren, wurde 1939 festgeschrieben. Abgesehen von den rund 60.000 Deutschen aus den baltischen Landen, wurden zusätzlich noch etwa 140.000 Deutsche aus den von Russland okkupierten polnischen Ostgebieten,

hauptsächlich Wolhynien, ebenfalls „Heim ins Reich“ gerufen, und überwiegend bis Anfang 1940 im Wartheland und Westpreußen sesshaft gemacht. Stalin war froh und klopfte sich gewiss zufrieden auf die Schulter, dass er die mit Hitlers Einverständnis „übernommenen“ baltischen Länder und die zusammen mit seinem „Freund“ eroberten polnischen Gebiete weitgehend „deutschfrei“ erhielt. Die Schindelst von Wolhynien, die die Deportation von 1914 nach Sibirien überlebt hatten und nach dem 1. Weltkrieg wieder in ihre alte wolhynische Heimat zurückgekehrt waren und völlig von neuem in frei gewordenen Siedlungsplätzen, wie Marianowka und Podhejce aufgebaut hatten, weil ihre alten Wirtschaften entweder zerstört, zwischenzeitlich von Polen übernommen oder die gesamten Siedlungen geschleift waren, mussten wiederum alles zurücklassen. Sie landeten im Warthegau und in Westpreußen. Hier trafen sie auf die Schindels von Lettland, von Planetzen, die Familie von Matthias Schindel und die Schindels von Gaiken und die angeheirateten Oelkes aus Goldringen. Das traf auch auf viele der Schulfreundinnen von Olla aus Goldingen zu. Alma Klatt, die den ehemaligen zaristischen Rittmeister Fedja Kulikowsky geheiratet hatte, übernahmen die Generalvertretung für den Warthegau in Posen für die Kyriazi frère Orient Zigaretten von München. Wolja Brade war mit dem Goldinger Apotheker Max Beritz verheiratet. Sie hatten jetzt die Weichsel Apotheke in Leslau und viele andere lebten nun im Wartheland und Westpreußen; die bauerlichen Freunde und Verwandten in den ländlichen Gebieten, die städtischen in Posen, in Thorn, in Litzmannstadt (Lodz). Die Balten jammerten über den neuerlichen Verlust des schönen Kurlandes, die Wolhyniendeutschen über ihre zurückgelassenen Höfe. Für alle war es die Heimat gewesen, sie hatten sich nach dem 1. Weltkrieg mit den gegebenen Umständen arrangiert. Nun hat der Führer alles an den Spitzbuben Stalin verschachert und sie sitzen nun hier auf polnischen Grundstücken und müssen wieder einmal alles in Ordnung bringen. Da war ein Schuldgefühl den Polen gegenüber, ein schlechtes Gewissen, insbesondere was den Warthegau betraf. Mit Westpreußen nahm man es leichter. Das war ja schließlich unser Land. Das haben wir nun endlich wiederbekommen. Glücklicherweise war niemand.

In der Tat waren die 3 baltischen Länder, wie schon erwähnt, von den Russen im Oktober 1939 zum Abschluss eines Freundschafts- und Beistandspaktes und der Einräumung von Stützpunkten gezwungen worden. 8 Monate später besetzten die Sowjets alle 3 Staaten. Sie wurden im Sommer 1940 in die UdSSR zwangseingegliedert. Ganze 20 Jahre konnten sie ihre Selbständigkeit genießen.

Da nach dem Polenfeldzug der unglückselige polnische Korridor weggefallen war, mit all seinen lästigen Formalitäten und Schikanen, wurde die Reise für Ollas zahlreiche Freundinnen von Goldingen problemlos, abgesehen davon, dass sie nun aus dem Warthegau oder von Westpreußen kamen. Neben der eigenen Verwandtschaft fielen sie bei Reisen nach dem geliebten Berlin in Landsberg wie die Heuschrecken ein. Hier hielt jeder Zug, hier wurde Zwischenstation gemacht. Olla schimpfte auch weiterhin über die „Bettknüller“, liebte aber diese Besuche über alle Maße. Wurde es Albert zu viel, verschwand er zu seinem Briefmarken- oder Numismatikerverein in der Kneipe bei Hohensee, verbunden mit – eine Mollé trinken!

An der Westfront tat sich neben einem Handelskrieg zur See und einer britischen Blockade wenig. Die Deutschen waren außerordentlich erfolgreich im U-Boot Krieg. Viele hofften, dass nach der Kapitulation Frankreichs im Mai 1940 es doch noch zu einem Waffenstillstand und Friedensverhandlungen mit England im Westen kommen würde. Wer würde nach dem schrecklichen 1. Weltkrieg nun 20 Jahre später einen zweiten vom Zaun brechen wollen? Die Ungerechtigkeiten des Versailler Vertrages waren rückgängig gemacht, die ehemaligen Ententemächte hatten das weitgehendst eingesehen und Hitler gewähren lassen, den alten Status wieder herzustellen.

Der Schock kam noch im Mai 1940, aus Hitler die Offensive im Westen befohl, aus England nach der Niederlage Frankreichs nicht verhandlungsbereit war. Deutschland war mit Hitler endgültig in den 2. Weltkrieg „geschlittert“, wie in den 1. durch den Kaiser. Das war die volkstümliche Reaktion der breiten Bevölkerung, ohne historische Entwicklungen zu berücksichtigen. Propagandistisch klang es anders. Der Krieg ist uns auf erzwungen, wir müssen uns ihm stellen. Anspruchsvollere politische Kommentatoren bemühten den römischen Historiker Titus Livius mit: „Si vis pacem, para bellum“ für die Lateiner unter den Zuhörern, für die des Lateins Unkundigen wurde die Übersetzung nachgeschoben: „Wenn du Frieden willst, rüste zum Krieg“. Das war schon richtig zur christlichen Zeitrechnung, und gilt heute umso mehr.

Olla und Albert hatten die Aktionen im Osten hingenommen, nein begrüßt Sie waren selber Betroffene über Generationen, sie wussten um die permanenten Schikanen, schon in Galizien zwischen Polen und Deutschen, sie wussten es von Wolhynien her, wie viele Ungerechtigkeiten, Zurücksetzungen es dort zwischen Russen, Ukrainern, Polen und Deutschen gegeben hatte. Sie kannten die Entwicklung in Kurland aus eigener Anschauung, die Schwierigkeiten zwischen Letten, Russen und Deutschen. Sie konnten Mitreden über die unbegreiflichen „so genannten Friedensregelungen“ im Versailler Vertrag, die Drangsalierungen der nach 1920 übermütig gewordenen Polen. Ihnen konnte man es vielleicht noch nachsehen, sie hatten ihre Unabhängigkeit mit diesem Vertrag nach den 3 polnischen Teilungen erlangt. Mit Versailles entstand ein neuer polnischer Staat, sie entwickelten Selbstbewusstsein, übersteigert leider. Diese politische Überheblichkeit war geschützt gewesen durch die willkürlich gezogenen Grenzen, abgesichert durch Verträge und den Völkerbund.

Man wusste es von Anbeginn, von 1919 schon, ein erneuter Krieg würde unvermeidlich sein, niemand wollte es wahrhaben. Ware er nicht über Hitler aufgelöst worden, wäre er durch eine andere, spätere Reichsregierung gekommen. Die durch Versailles für Deutschland geschaffenen Fakten wären für jede Regierung, für jede Nation untragbar gewesen. Wie recht hatte Schiller, aus er im Piccolomini Octavio sagen lässt: „Das eben ist der Fluch der bösen Tat, dass sie fortzeugend immer Böses muss gebären!“

Als die Schindels 1783 sich in Galizien ansiedelten, stellte der französische Gelehrte Hacquet 1794 fest: „So lange die Welt bestehen wird, werden Deutsche

und Polen nicht Freunde sein". Das können nur Betroffene verstehen. Nun war wegen des gegenseitigen Machtdenkens der Polen und Deutschen der 2. Weltkrieg ausgebrochen.

Es ging los. Die Mobilmachung im Reich hatte einiges zur Folge. Die Reservisten wurden einberufen, die aktiven Verbände auf Kriegsstärke aufgefüllt. Munition, Gerät, Betriebsstoffe hatten bereitgestellt zu werden, und waren abzusichern. Die Zwangsbewirtschaftung von Lebensmitteln und Rohstoffen wurde eingeführt. Die Privatindustrie musste auf Kriegswirtschaft umgestellt werden. Alles war über Nacht reglementiert. Die Verdunkelung wurde jetzt ernsthaft kontrolliert, Luftschutzkeller erstellt, Durchbrüche in den Kellern von Haus zu Haus angeordnet. Albert musste auch von der Richtstraße 30 zum Nebenhaus Rissmann Nr. 31 durchbrechen lassen.

Arbeitskräfte wurden planmäßig ver- und eingeteilt. Musterungen der kriegsfähigen Jahrgänge angeordnet. Jeder fürchtete, wann kommt mein Gestellungsbehl. Bisher war alles nur Geplänkel, jetzt war es ernst.

Die Familie hatte den ersten Verwundeten in der Verwandtschaft noch aus Unfall hingenommenen. Silvio Neugebauer, ein Neffe von Olla, war gleich am 1. Tag des Polenfeldzuges verwundet worden. Hitler kam persönlich ins Lazarett nach Groß Born, schüttelte ihm die Hand, so man ihm später erzählte. Er ließ ihm das Verwundetenabzeichen zurück. Silvio war bewusstlos, er hatte von allem nichts mitbekommen. Er wurde fast von jedem beneidet. Der Führer hat ihm die Hand geschüttelt, hast du schon gehört?

Albert blieb erst noch verschont. Das Geschäft lief prächtig. 1940 baute die I.G. Farben Industrie in Landsberg an der Friedeberger Chaussee. Das bedeutete neue technische Kundschaft, auch wenn sie selber fototechnisch in Produktion gingen.

Die Fotoindustrie riet ihm einzukaufen. Sie musste nun sofort auf Kriegsproduktion umstellen, weitere Lieferungen wurden ungewiss werden. Es sei dem, man einigt sich im Westen oder es kommt zum Blitzsieg. Albert musste im Januar 1941 zur Musterung nach Meseritz und kam mit Feldjacke, Hose, Übermantel, Kragenbinde, Dienstmütze, Koppel, einem Kleiderbügel und Einheitsseife zurück. Er hatte sich für das Ersatzheer zur Verfügung zu halten. Als Dienstgrad wurde Schütze in sein Soldbuch eingetragen. Etwas später wurde er nach Berlin geschickt, hier wurden ihm Cholera und Typhus Schutzimpfungen verpasst, und er hatte sich neben einem Stahlhelm auch einen Wehrmachtsführerschein bei der Wehersatzdienststelle abzuholen, aber erst nachdem man ihn dort für 2 Monate in ein Reservelazarett, das Hindenburglazarett, wegen eines hartnäckigen Magenkatarrhs gesteckt hatte. Für diese Zeit wurden ihm 60 Reichsmarken Wehrosold gezahlt und anschließend durfte er wieder nach Hause für einen Genesungsurlaub bis zum 02.05.1941. Danach musste er sich wieder zur Verfügung halten. Da er Brillenträger war, wurde er für den Ernstfall einer Versorgungstruppe zugeteilt. Es blieb nicht aus, dass Olla sich mehr und mehr turn das Geschäft mit den 7 Laborantinnen kümmern musste. Albert mottete den Plan ein, in der Kladowstraße eine Villa zu bauen. Der Architekt Willy Senckpieh, gleichzeitig langjähriger Stadtarchitekt,

hatte dafür schon die Zeichnungen machen müssen. Die Wohnräume in der Richtstraße sollten zum Geschäft genommen werden. Vorführ- und Ausstellungsräume waren hier vorgesehen. Das war nun erst einmal vorbei.

Am 22. Juni 1941 gab Hitler den Befehl zum Angriff auf Russland. Sie stellten ihm wohl zu viele Forderungen auf dem Balkan. Die Rohstoffe und das Öl brauchte Hitler selber. Er spekulierte wohl auch darauf, wenn er Russland im Blitzkrieg besiegt, England schon einlenken würde. Ingeheim hofften viele auf den Friedenswillen Hitlers, wenigstens was den Krieg mit England anbetraf. Niemand wollte glauben, dass Hitlers Stellvertreter Rudolf Hess im Mai 1941 ohne Hitlers Einwilligung nach Schottland geflogen war. Man wird mit England paktieren und gemeinsam gegen Sowjet-Russland vorgehen, meinte man. Die Kalkulation ging nicht auf. Russland schloss im Juli mit England ein Bündnis.

Nicht nur Olla und Albert waren entsetzt. Ein Krieg gegen Russland? Besonders Olla kannte das Land, die unendliche Weite, die Genügsamkeit des Volkes, egal zu welchem Volksstamm es gehörte, die Duldsamkeit, den Fatalismus und natürlich die klimatischen Verhältnisse. Da helfen auch die Verbündeten, die nun kriegsbeteiligten Länder Italien, Rumänien, Ungarn, die Slowaken und die Finnen nicht. Ein glatter Wahnsinn, dann noch zwei Fronten, wie im 1. Weltkrieg. Napoleon war vor 129 Jahren, auch am 22. Juni 1812, auf den Tag genau, in Russland einmarschiert und elendig gescheitert am russischen Winter, wie auch die Beteiligten der vielen nun schon historischen Regionalkriege in dem Vielvölkerstaat. War dieses Datum bewusst gewählt oder nur „dummer“ Zufall? Auch wenn Russland häufig unterlag, wie gegen die Türken, Japaner, sie haben über Jahrhunderte alle Auseinandersetzungen überstanden, wenn auch häufig unter furchtbaren Umständen und Bedingungen. Sie haben widerstanden! Man machte sich ernsthafte Gedanken über die in Wolhynien zurückgebliebene Schindliche Verwandtschaft. Sie war nicht geschlossen 1939 dem Ruf des Führers „Heim ins Reich“ gefolgt. Man fürchtete mit Recht, dass es ihr ähnlich ergehen würde, wie schon während des 1. Weltkrieges, als sie nach Sibirien deportiert wurde und nur wenige von ihnen überlebten und zurückkehrten. Olla und Albert sahen sich den 1941 von Gustav Ucicky mit Paula Wessely, Attila Horbinger, Peter Petersen und Carl Raddatz gedrehten Film „Heimkehr“ in den Kammerlichtspielen an. Dieser Film behandelte die Rückkehr des Wolhyniendeutschen. Es gab viele, sehr viele Parallelen zu ihren eigenen Erfahrungen und dem Schicksal, das nun die weitläufige Verwandtschaft betreffen konnte.

Die Familie verbrachte mehr und mehr ihre Freizeit in der Kladowstraße. Hier saß man mit dem Juwelier Ehepaar Eduard und Martha Bartsch. Mit Dr. Friedrich Berns und seiner Frau Hertha, Walter und Irene Emig. Mit Prof. Gorsler von der Versuchs- und Forschungsanstalt für Landwirtschaft, Oskar und Meta Brandt, Dr. Munde, dem Direktor der Landwirtschaftsschule, Lieschen Gäbel von Schuh Lemke, dem Stadtkämmerer und Bürgermeister Hans Dowidat und Frau Irmgard, der Verwandtschaft aus Berlin und dem Osten, Alberts Schwester Gertrud und ihr Mann Karl Radestock, Alberts Mutter aus Schneidemühle und die ganzen baltischen Freundinnen. Es wurde heftig diskutiert.

Die bisher indifferente Haltung von Albert und Olla den Nationalsozialisten gegenüber führte nun zu einer absoluten Kehrtwendung. Die vermeintlichen Kinderkrankheiten der Partei nach der Machtübernahme waren nach 8 Jahren nicht geheilt, sie waren nun für unheilbar zu erklären. Die gesamte Verwandtschaft, alle aus dem Osten kommend, sahen das Desaster kommen. Von dem genannten Freundeskreis gab es viele Teilnehmer am 1. Weltkrieg, die am Russlandkrieg teilgenommen hatten, Walter Emig, Eduard Bartsch, einige hatten in Sibirien in Gefangenschaft zugebracht, waren verwundet worden. Sie raufte sich die Haare. Man sparte in der heftigen Kritik noch Hitler weitgehend aus. Man kritisierte die Generalität, seine Vasallen, seine zweifelhaften Berater, die Emporkömmlinge, die Diktion der obersten Berliner Führungsschicht. Man hörte sich noch die Hitlerreden im Radio an, gelegentlich auch die noch von Goebbels. Olla bekam Zustände, wenn der Chefkommentator des deutschen Rundfunks, Hans Fritzsche, im Auftrage von Goebbels wöchentlich über die politische und militärische Lage berichtete.

Im Spätsommer 1941, nach den Sommerferien, die Olla noch mit den Kindern in Heringsdorf verbrachte, kam Hartmut zur Schule. Es war auch die Volksschule in der Zechowerstraße. Sein Bruder Ulrich hatte ihn ziemlich eingeschüchtert. Da wirst du Ordnung lernen. Hoffentlich bekommst du Lehrer Preuß aus Klassenlehrer, der schlägt zu, auf Arsch und Finger. Ich rate dir, die Schiefertafel hat immer sauber zu sein, der Griffel spitz und der Schwamm nass.

Albert war zu einer Luftschutzübung, die war kriegswichtig. So etwas konnte man nicht absagen. Olla konnte auch aus irgendwelchen Gründen nicht bei der Einschulung dabei sein. So brachte Ulrich ihn zur Schule, zu seinem 1. Schultag. Es geschah nicht viel, die Klassen und Plätze wurden in dieser uralten Schule an die Erstklässler eingeteilt. Es wurden ein paar Reden gehalten, die Hartmut vor Aufregung nicht begriff und sein Bruder zu weiteren boshaften Bemerkungen veranlasste. Und er bekam, o' Schreck, Lehrer Preuß, einen alten, kleinen und dicklichen Herrn, als Klassenlehrer. Das hatte Hartmut jedenfalls mitbekommen. Es wurde gefragt, kann schon jemand lesen und schreiben oder eines von beidem? Hartmut meldete sich, was sein Bruder Ulrich nicht mehr vermeiden konnte. Ja, er könne schon alle Zahlen schreiben und einige Worte in Sütterlin, und eine Fibel habe er auch zu Hause, da könne er die Geschichte vom Hasen und dem Igel lesen. Gut, gut mein Sohn, bemerkte Preuß. Ulrich knuffte ihn kräftig. Die Geschichte kannst du doch nicht lesen, die kennst du nur auswendig. Dabei überhörten erst einmal beide, dass Preuß nach Hartmuts Namen fragte, um ihn auf seiner Schulliste abzuhaken. Hartmut durch die Vorwürfe seines Bruders irritiert, sagte nach Anschubsen von Ulrich verwirrt und aufgeregt „Hase“. Preuß konnte den Namen Hase nicht finden, sah über seine Brille zu ihm, und fragte nach dem Vornamen. Hartmut verstand nun gar nichts mehr, das war doch sein Vorname; denn je nach Gemütslage, Stimmung und Wohlverhalten, wurde er Häschen, Hase, allenfalls noch Hardi, aber kaum je Hartmut gerufen. Wenn das so war, dann waren Matthäi am letzten und er hatte sich lieber in Sicherheit zu bringen. Ulrich antwortete

anstelle von Hasen. „Mein Bruder heißt Hartmut Meyer.“ „A' ha“, sagte Preuß, „warum nicht gleich so“ und hakte ab. „Du kommst in die Klasse 1b“. Auf dem Heimweg machte sich Ulrich über seinen Bruder lustig. Hase, was für ein Quatsch. Du hättest besser noch Haschen Grube sagen sollen. Nur gut, das Preuß mich nicht mehr erkannt hat. „Wie hätte ich mich blamiert, solch einen blöden Bruder zu haben, und ich bin damals übrigens in die Klasse 1a gekommen. Nur die Doofen kommen in die B-Klassen. Du kannst froh sein, dass es keine C-Klassen gibt, sonst wärest du natürlich da gelandet“. Den Namen Häschen hatte sich Hartmut vor drei oder 4 Jahren selber zugelegt, und das kam so: bei Schallplattenaufnahmen seines Vaters, hatte er „Haschen in der Grube, saß und schlief“ zu singen. Anschließend meinte er, ich bin das Häschen in der Grube, und damit war „Häschen“ oder meistens „Hase“ besiegelt.

Nun, Hartmut konnte wirklich noch kaum etwas lesen, aber schon einiges schreiben, hatte ihn doch seine Tante Trude, Alberts Schwester, die Lehrerin war, bei einem Besuch in Putzig, wo sie unterrichtete, mit in ihre Klasse genommen. Er durfte dort aus 4-jähriger mit den 6-jährigen mitüben und auf der geborgten Schiefertafel Zahlen in Schönschrift zeichnen. Tante Trude hatte eine Assistentin dabei, die Hartmut über die Schulter sah, wie er sich mit den Einsen abmühte und sie nicht wie üblich mit Auf- und Abstrich, eine nach der anderen über die ganze Zeile der Schiefertafel malte, sondern immer von unten nach oben schrieb. So schreibt man doch keine Einsen, das machen die Juden. Also anders herum, von oben nach unten. Nun ein Jude wollte er nun ganz und gar nicht sein. Diese Geschichte hat er niemals vergessen. Erst später war ihm klar geworden, dass diese Assistentin auch nicht die Klügste war. Denn so wie er geschrieben hatte, schrieben auch die Juden nicht, und die Araber genau so wenig, niemand schrieb so.

Im November 1941 wurde Albert eingezogen, er kam zur kurzen Ausbildung nach Groß Born und landete anschließend in der Ukraine, mitten im Winter, fast dort, wo Olla geboren war. Die Front war schon so weck vorgerückt. Der Nachschub kam nicht mehr so schnell hinterher.

Deutschland und Italien erklärten am 11. Dezember 1941 den Amerikanern den Krieg, nachdem die Japaner ohne Kriegserklärung die amerikanische Pazifik Flotte in Pearl Harbour Anfang Dezember 1941 überfallen, sie fast vernichtet hatte und 3000 Amerikaner umkamen. Hitler und Mussolini waren ihrem japanischen Verbündeten verpflichtet. So wie Österreich im 1. Weltkrieg den Kaiser in den Krieg hinein zog, galt diese Nibelungentreue auch für Hitler. Präsident Roosevelt rieb sich zufrieden die Hände, mit diesem Affront konnte er endgültig sein Volk von der Kriegsnotwendigkeit überzeugen. Er erklärte der Achsenmacht Japan den Krieg. Er war froh, es nicht in Europa tun zu müssen, das hatten nun die europäischen Achsenmächte selber getan. Italien und das Deutsche Reich! Es ist ja schließlich ein moralischer Unterschied, wer wem den Krieg erklärt. Das Verhältnis zu Amerika war schon lange sehr angespannt, angeheizt durch das Leih- und Pachtgesetz der Amerikaner und der Engländer im März 1941. Amerika lieferte England auf dringendes Bitten von Churchill, der jeden Tag die deutsche Invasion

auf der Insel erwartete, Kriegsmaterial. Diese Vereinbarung wurde im August auch auf Russland ausgedehnt. Roosevelt nahm alles unkritisch hin, was Uncle Joe, wie er Stalin nannte, tat. Dass dieser die Polen, die Finnen und die baltischen Länder überfallen hatte, und keinen Deut besser war als Hitler, vergaß Roosevelt in der Eile. Dieser Friedensengel, dieser Menschenfreund, dieser russische Bär wurde nun von Hitler angegriffen. Da musste man doch sofort helfen. Die Duplizität der Ereignisse des 1. und 2. Weltkrieges war verblüffend, gleichzeitig aber auch die Reaktionen weltweit. Man hatte vom Verlauf und Ausgang des 1. Weltkrieges nichts gelernt, aber auch gar nichts.

Albert bekam vom 06.01. bis zum 27.01.1942 Erholungsurlaub. Es konnten so auch geschäftliche Dinge geregelt werden. Er berichtete Olla und den engsten Freunden von unverantwortlichen Behandlungsmethoden gegenüber der russischen, ukrainischen und polnischen Zivilbevölkerung, die von den nachrückenden politischen Truppenteilen erfolgten. Gleichzeitig wusste er zu erzählen, wie erleichtert die Bevölkerung die Besetzung hinnimmt. Sie hoffen, die Deutschen werden ihnen die Befreiung vom Kommunismus bringen und der Ukraine zu ihrer so sehr gewünschten Unabhängigkeit von Russland verhelfen. Man reicht den deutschen Truppen Brot an die Wagen, von dem sie selber nur wenig haben, drückt ihnen überlange und herzlich die Hände wegen der fehlenden sprachlichen Verständigungsmöglichkeiten.

Die Ukraine hatte unter der Zwangskollektivierung seiner Bauern in den Jahren 1930 bis 1933 unsäglich gelitten. Es war gezielter Völkermord. Stalin rächte sich an den widerspenstigen Bauern. Die Hungersnot war nicht Ergebnis von Missernten oder Naturkatastrophen. Es war die Methodik Stalins, die Kulaken in die Kollektive zu zwingen. Die Bauern mussten mehr abliefern als sie produziert hatten. Ganze Dörfer starben aus. Konnten sie nicht liefern, wurde die Dorfgemeinschaft verschleppt und kam ebenfalls um durch Hunger. Man ernährte sich von gemahlene Eicheln, Baumrinden und Getreidespreu, das zu Brot verbacken wurde. Von Kannibalismus war die Rede.

Die Schindelst hatten in Pommern schon Anfang der 30er Jahre über ehemalige Dorfbewohner und die Verwandtschaft von der alten Heimat in Wolhynien gehört, dass in vielen Ortschaften und Bezirken eine unglaubliche Hungersnot durch die Zwangseintreibung der Agrarerzeugnisse herrsche. Man wollte es nicht glauben. Eine Hungersnot in der Kornkammer Russlands? Unmöglich! Die Welt hatte damals von dieser Tragödie kaum Notiz genommen. Internationale Untersuchungen haben 50 Jahre später bis zu 14 Millionen Tote festgestellt, ein Viertel der ukrainischen Bevölkerung.

Albert konnte den Geburtsort von Olla, Adamowka, bei Luzk besuchen, war allerdings nicht sicher, ob es der richtige war. Es gab einige Adamowka. Niemand konnte sich hier noch an deutsche Siedler erinnern. Die Front war im 1. Weltkrieg zweimal über den Ort verlaufen, es gab nichts mehr aus der Zeit von 1907 und davor. Das war alles niedergebrannt und eingeebnet. Das Land zu Kolchosen gemacht.

In den Sommerferien 1942 wurden die Kinder für 3 Wochen mit Erna, der Haushilfe, auf die Insel Wollin, nach Misdroy, geschickt, einem mehr als Kinderbad bekannter Ostseebadeort. Olla konnte Geschäft und Personal nicht alleine lassen. Erna war natürlich glücklich, mit den Kindern diese Zeit in der Villa eines Landsberger Anwalts in der Strandallee zu verbringen. Hotels waren kaum noch zu bekommen, sie waren von Soldaten in Genesungsurlaub belegt. Alle 3 kamen begeistert zurück. Die Luftwaffe hatte Schießübungen parallel zur Küste gemacht, in dem die Jäger Luftbeutel, die von einem vorweg fliegenden Flugzeug gezogen wurden, treffen mussten. Das war etwas für die Kinder. Als Dank für den verursachten Lärm, warfen sie manchmal Bonbons über den Strandkörben ab. Beim Wettbewerb: „Wer hat die schönste Strandburg?“, gewannen die Kinder mit Erna den 2. Preis. Wahrscheinlich, weil sie den Burgrand üppig mit Papier- Hakenkreuzfahnen geschmückt hatten.

Als die Kinder noch die letzten Tage in Misdroy verbrachten, kam Albert plötzlich für 14 Tage auf Urlaub. Die Familie fuhr einige Tage später gemeinsam mit dem Zug nach Schneidemühle und nicht mit dem Auto, Benzin gab es auch nur noch auf Bezugschein. Albert wollte seiner Mutter einen Besuch abstatten und sich verabschieden. Man weiß ja nie. Es war von ihm geplant, dann alleine noch seine Schwester Gertrud in Putzig zu besuchen und von dort direkt zu seiner Einheit an die Ostfront zu fahren. Olla wurde von ihm mit den Kindern in den D-Zug nach Landsberg gesetzt. 1. Klasse! Olla schimpfte. Wir fahren immer 3. Klasse, und wenn schon, dann hätte es auch die 2. Klasse getan. Albert meinte, wer weiß, wer weiß, es mag das letzte Mal sein. Die 1. Klasse war mit resedafarbenem Plüsch gepolstert und die Wandteile mit poliertem Mahagoniholz versehen. Die Kopfpolster verfügten über eine auswechselbare weiße Schutzbespannung. Die Kinder waren tief beeindruckt. Sie reisten in einem Coupé, in dem schon ein Herr saß, der von Königsberg nach Berlin wollte. Nachdem vom Bahnpersonal mit den Vorschlaghämmern gegen die Räder geschlagen, um wohl die Bremsen frei zu haben und abgepiffen wurde, setzte sich der D-Zug schnaufend und qualmend in Bewegung. Olla und Ulrich fingen an, Hartmut, dem Quader, wie die Berliner und Landsberger kleinere Kinder nannten, das kleine 1x1 beizubringen. Also ging es los. 3x8 und 5x7. Nach einiger Zeit machte der mitreisende Herr die Bemerkung: „mein Sohn hat es schneller begriffen“. Olla meinte, er würde wahrscheinlich auch älter sein, nein, nein, sei er nicht. Ulrich war später empört über diese despektierliche Bemerkung, seinen Bruder aus Blöden hinzustellen, was er selbst nicht häufig genug tun konnte. Den 6 Jahre Altersunterschied konnte Hartmut niemals wettmachen, natürlich auch nicht kräftemäßig. Es gab bei Ulrich eine permanente Eifersucht, der Kleine, der Quader, wurde seiner Meinung nach immer bevorzugt.

In der Richtstraße angekommen, lag eine Eilzustellung der Wehrmacht vor, dass Albert sich 4 Tage früher bei seiner Einheit zu melden habe. Sein Besuch in Putzig musste abgesagt werden. Die Abberufung war ein schlechtes Zeichen für die Frontlage. Albert war sehr deprimiert. Er hatte das ukrainische Frühjahr am Mittelabschnitt mitgemacht. Sie blieben buchstäblich im Schlamm

stecken, so wie es ihm sein Schwiegervater Ludwig und sein Schwager Georg immer erzählt hatten. Wir laufen uns in den unendlichen Weiten tot. Die so genannten Rollbahnen, das waren durch Baumstämme, Knüppelholz und Faschinen notdürftig befestigte Fahrbahnen, erwiesen sich aus völlig unzulänglich. Das Land ist riesig auf der Landkarte, aber den eigentlichen Eindruck von der Größe bekommt man nicht über die Militärkarten sondern, wenn man hilflos im Schnee, mit eingefrorenem Kühlwasser, platten Reifen oder fest im Schlamm und absoluter Einöde steht und am Horizont die Erdkrümmung sieht. Albert berichtete bei diesem Urlaub auch vom Umschlagen der ukrainischen Haltung den deutschen Truppen gegenüber. Die Bevölkerung hat längst festgestellt, dass sie mit Hitler vom Regen in die Traufe gekommen sind. Ein sicheres Zeichen seien die zunehmenden Partisanen überfalle.

Im Oktober 1942 bekam Albert nochmals Heimaturlaub, diesmal nur noch 4 Tage. General Paulus hatte sich mit seiner 4. Armee bei Stalingrad festgefahren. Die Lage war kritisch.

Die Sondermeldungen im Radio wurden seltener. Dafür spielte Herms Niel zackige Marschmusik Hierzu war das Kontrastprogramm von Wilhelm Strienz mit „Gute Nacht Mutter“ und „Heimat deine Sterne“ zu hören. Albert musste nach dem Kurzurlaub nach Radebeul zur weiteren Ausbildung. Olla fuhr mit. Albert brachte es fertig, für 3 Tage zusätzlich von seinem Ersatz- und Ausbildungsbataillon freigestellt zu werden. Beide wohnten in einem Hotel in Dresden. Sie sahen sich den Zwinger, die Gemäldegalerie mit der Sixtinischen Madonna und das Grüne Gewölbe an und fuhren hinaus nach Bad Schandau. Es waren unbeschwerte Tage.

Albert hoffte, dass er an die Westfront versetzt würde. Er fürchtete den zweiten russischen Winter. Ende November 1942 saß er wieder östlich von Smolensk. Mit den schönen Accessoires, dem französischen Parfum und den feinen Seidenstoffen war nichts. In Russland gab es nichts, rein gar nichts. Olla musste sich mit 4711 oder Mouson Lavendel zufrieden geben.

Weihnachten 1942 musste wieder ohne Albert gefeiert werden. Ulrich bekam Stabilbaukasten zum vorhandenen Bestand. Diese waren normal schon nicht mehr zu beschaffen. Für Hartmut baute der alte Zühlsdorf, der Vater von Brandts Anni, ein gut 1 Meter hohes Riesenrad, dem im Wiener Prater nachempfunden. Es hatte schön geschnitzte Gondeln, konnte über Treibriemen und Kurbel in Gang gesetzt werden. Das ganze Riesenrad verfügte über eine Niedervolt-Beleuchtungsanlage. Ein Kunstwerk zum Vorführen, nicht zum Spielen. Hartmut hätte auch lieber einen Stabilbaukasten gehabt oder wenigstens Anker Bausteine. Er wurde getröstet. Olla nahm beide Jungens mit in das Stadttheater. Es gab die Operette: „Auf der grünen Wiese“, und die war selbst am Abend jugendfrei. Für Hartmut ein Ereignis. Neben den bisherigen Weihnachtsmärchen sein erster Theaterbesuch, und man konnte gleich die populäre Melodie mitsingen: „Auf der grünen Wiese, hab ich sie gefragt, ob sie mich wohl liebe, ja hat sie gesagt“.

Es gab dann allenfalls noch die 3 Landsberger Kinos, allerdings wurden immer weniger jugendfreie Filme gegeben. Die Plätze sollten in erster Linie den Soldaten reserviert bleiben, und man musste anstehen und Glück haben, Karten zu erwischen.

Hartmut kam nach langem Anstehen am Germania Kino stolz mit einer Karte für die 1. Reihe für Pat und Patercho zurück. Ulrich lachte ihn aus. 1 Reihe? so etwas kann man nur dir verkaufen. Ich habe ja immer gesagt, wenn die Doo-fen tanzen, wirst du nicht zu den Zuschauern gehören. Hartmut sagte nicht viel nach der Vorstellung. War schön, alles ein bisschen hoch, aber es saß niemand vor mir. Das reizte seinen Bruder Ulrich zu der bissigen Bemerkung: „du Dussel, wer kann wohl schon in der 1. Reihe vor dir sitzen?“ Der Germania wurde das Flohkino genannt, obgleich es dort wohl kaum Flöhe gab. Die Kammer- und die Kyffhäuser Lichtspiele waren schon viel größer und moderner. Olla kannte die Inhaber, die Familien Christ bzw. Timm. Sie bekam immer Karten für die Leander-Filme oder Veit Harlans „Die goldene Stadt“ oder „Immense“ auch ohne anzustehen. Da wurde mit einem Rollfilm nachgeholfen. Hartmut machte sich gleich nach Erscheinen des Landsberger General-Anzeigers an das Kinoprogramm, ob etwas für ihn dabei war. Natürlich liebten alle Kinder Hans Moser, Theo Lingen und die Heinz Rühmann Filme.

Den Kindern wurde weniger und weniger geboten. Da öffnete man höchstens gelegentlich für die Kinder die Tore der Kasernen für „Der Tag der Wehrmacht“. Die Soldaten machten Musik, Filme wurden rückwärts vorgeführt, Zaubertricks gemacht. Der Fuhrpark konnte besichtigt werden. Kuchen wurde angeboten. Das war schon eine psychologische Vorbereitung für den „Soldatenberuf“. Das schöne, moderne Volksbad, ein Hallenbad mit einem Becken von 25x12m, konnte von Kindern nur noch zu restriktiven Zeiten benutzt werden. Wie die Kinos war es nun auch in erster Linie für die Wehrmacht reserviert. Das gleiche galt selbst für den Heinersdorfer See. Da blieb für die Kinder nur noch die Warthe und sie war durch die Strömung und die sich bildenden Strudel gefährlich, auch wenn man sich bei niedrigem Wasserstand fast zum anderen Ufer durchkämpfen konnte.

Da war aber zu Hause noch die Badewanne. Und die war auch gefährlich. Ollas Freundin Hilde Knetsch von Waldfrieden, die mit dem Lehrer Bruno Goede verheiratet war, kam mit ihrer Tochter Brigitte zu Besuch nach Landsberg. Alle 3 Kinder, Ulrich, Hartmut und Brigitte wurden gemeinsam in die Badewanne gesteckt. Plötzlich ein großes Geschrei. Brigitte hatte in der Wanne die große Notdurft verrichtet. Es schwamm alles oben. Ulrich schrie wie wild, schnell, schnell, hier ist alles voll Scheiße. Tante Hilde war es schrecklich peinlich, Olla mehr empört über den Ausdruck „Scheiße“ ihres Sprösslings. Das kann er nur von Trude, Alberts Schwester gehört haben, die mit solchen ordinären Ausdrücken großzügig umging. Hatte doch deren Tochter Hiltrud, als sie mit ihrer Mutter in Landsberg zu Besuch war, auf der Toilette sitzend durch das Haus geschrieben: „Habt ihr kein Aschpapier?“ Olla war damals genauso entsetzt. Was für Erziehungsmethoden

für eine Lehrerin. Diese meinte lapidar, ihre Tochter hatte ja immerhin das vornehmere „Aschpapier“ gesagt und nicht das ordinäre Arsch papier. Diese feine Nuancierung mache einen erheblichen Unterschied.

Ulrich und Hartmut freuten sich immer sehr, wenn Tante Trude zu Besuch kam. Sie wurde von ihnen auch die „Ach-Ja-Tante“ genannt. Sie schien leicht zu ermüden. Tief luftholend und mit „ach ja“ sagen, ließ sie sich auffallend häufig stöhnend in einen der Landsberger Clubsessel fallen. Aus dieser Position heraus, konnte sie gut mit den Kindern umgehen und hatte viele lustige Verse parat, wie: „Gips gibt’s in der Gipsfabrik, wenn’s da kein Gips gibt, gibt’s kein Gips“. Oden „Duett für zwei Stimmen“, „schwarzer Rappe“, „weißer Schimmel“. „Harry Piel weiß nicht viel und was er weiß, ist nicht viel“. War Olla nicht in der Nähe, wurde das hinter der hohlen Hand in: „... und was er weiß, ist Scheiß“ umgeändert. Trotz dieses verderblichen Einflusses von Alberts Schwester, wurden die Kinder gern bei ihr und ihrem Mann, Onkel Karlchen abgeladen. Sie schickten einem Bauern mit der Kutsche nach Ascherbude. Hier hielt der Zug fast nur auf Bestellung. Vielleicht kam der Name auch daher, weil der Bahnhof nur aus einer „Bude“ bestand. Es lag bei Schönlanke. Hartmut musste mit dem Bauern oder Knecht immer auf dem Bock sitzen, weil jeder meinte, es sei für ein Kind am Interessantesten. Er wollte es aber nicht zugeben, dass er schreckliche Angst vor dem Gaul hatte, besonders wenn er über Trab in den Galopp fiel. Hartmut sah sich schon im Graben liegen. Und dann ließ das Pferd auch häufig Luft ab. Das war so genierlich. Tante Trude und Onkel Karlchen besaßen ein Auto, das musste im Krieg in der Scheune stehen, weil es kein Benzin gab. Es war ein DKW, mit einer Art Lenkradschaltung, die aussah wie ein Bumerang. Das Auto war schwarz, wohl aus Kunststoff gebaut. Man konnte, wenn es nun auch nicht fahren durfte, darin sitzen und alle möglichen Hebel betätigen und Knöpfe drücken, Fahrgeräusche abgeben und tut tut rufen. Gewiss, die Kinder sollten es nicht kaputt machen, denn irgendwann würde man ja wieder Benzin bekommen und es fahren können. Tante Trude hatte auch ein Klavier, hier klimperte Hartmut endlos den Flohwalzer. Tante Trude war die einzige aus der engeren Familie, die schon einmal mit einem Flugzeug geflogen war, nämlich nach München und zurück. Sie musste dem Umstände immer und immer wieder erzählen. Sonst kannte man ja höchstens die JU 52, von unten gesehen, versteht sich. Eine Unart hatte Tante Trude aber doch. Da sie Lehrerin war, schlief sie gerne und was noch übler war, gern über Mittag. Da sie ihre Ruhe haben wollte, wie alle Lehrer oder wenigstens die meisten, steckte sie ihre beiden Töchter, wie auch Ulrich und Hartmut einfach ins Bett. Das waren die beiden Jungs nun überhaupt nicht gewohnt. Diese Zwangsrufe erschien endlos, weil die beiden einfach nicht einschlafen konnten. Onkel Karlchen, der nun wegen des Krieges kaum in Putzig anzutreffen war, oder auch nur noch selten nach Landsberg kommen konnte, war ebenfalls beliebt. Weniger der flotten Sprüche wegen, dafür war seine Großzügigkeit geschätzt. Na Jungs, wie wäre es mit einem Kellerrad. Dann rollte er für jeden der beiden ein Silber-5-Mark Stück durch die Diele und Zimmer und die Bengels sausten den 5-Mark Stücken hinterher, die meistens unter einem

Schrank oder Sessel verschwunden waren. Ulrich und Hartmut versuchten ihre 5 Mark gleich in Naschbares umzutauschen. Erst einmal ging es zu Lebrecht Hühnchen in die Wollstraße, wohl nach Heinrich Seidels Roman so genannt. Wenn es dort nichts mehr gab oder nur auf Marken, dann versuchten es beide bei Witthuhn, dem Süßwaren-Großhändler in der Luisenstraße. Walter Witthuhn hatte noch immer Lutschkellen aus Friedenszeiten für die beiden. Notfalls stand immer noch Schywinski, der Spielwaren-Händler, zur Auswahl.

Die baltischen Schulfreundinnen von Olla zeigten sich bei ihren Besuchen ebenfalls großzügig. Sie brachten Brummkreisel und anderes Blechspielzeug, Spielsoldaten, von denen besonders die beliebt waren, die über bewegliche Gelenke verfügten, grüßen oder das Gewehr präsentieren konnten. Aller Tinnef, nichts Solides, wie Olla später immer sagte, nichts von bleibendem Wert.

Von all den fast unzähligen Nenntanten war Alma die beliebteste. Sie war sehr lebhaft, erzählte interessant, und das sehr lautstark mit kräftigem rollenden baltischen Akzent. Tante Alma wollte eigentlich Schauspielerin oder Sängerin werden. Sie übte auch noch in Posen fleißig auf ihrem Bechstein Flügel, um sich selber bei ihren Gesangstudien begleiten zu können. Aber in Kurland war ihr schon Fedja, ein zaristischer Rittmeister, über den Weg gelaufen. Fedja sprach gebrochen deutsch, benutzte ungern die Artikel und liebte das Leben und das Kartenspiel, weniger das Arbeiten. Er war der Prototyp eines zaristischen Offiziers. Gern mokierte er sich über die deutsche Lebensweise. „Ist man eingeladenen, fragt Hausfrau, möchten sie ein Gläschen Cognac? Soll nicht fragen, soll Flasche auf Tisch stellen, wird man sich schon nehmen. Besucht man zufällig jemanden über Mittag, wird gesagt, sie müssen leider warten, wir sind gerade beim Essen. Nun, was ist das? Ist das Gastfreundschaft?“ Fedja zog ein Bein nach, eine Granate hatte ihn im 1. Weltkrieg auf dem Pferd erwischt. Die Geschäfte hatte Tante Alma zu machen. Sie liebte den theatralischen Auftritt, reiste immer sehr elegant an, mit Pelz oder Silberfuchs in einer Wolke von Parfum und staubig im Gesicht vom Coty Trockenpuder. Sie trug fast wagenradgroße Hüte, wozu ein Vollschiefer gehörte. Wenn Tante Alma anrauschte, verschwanden die Kinder erst einmal, weil sie bei der Begrüßung fast erdrückt wurden. „Erbarmung, Erbarmung“, „o’ bosche moi, o’ bosche moi“, wie seid ihr groß geworden, rief sie aus und warf, es war immer ein Ritual, eine große Handvoll von den beliebten polnischen Sahnebonbons, mit der braunen Kuh auf dem Einwickelpapier, durch die Diele. Das schlimmste war nur, dass beide Kinder durch den Schleier mit Küssen eingedeckt und abgeschleckert wurden, und was besonders Hartmut hasste und fürchtete, an Tante Almas üppigen Busen erdrückt zu werden. Letztlich waren da aber immer die mitgebrachten Pakete mit den Geschenken. Die Entscheidung war nicht schwer, die Bengels ließen sich lieber abschlecken und fast erdrücken.

Tante Wolja war da viel mehr zurückhaltend, distinguiierter. Sie druckte nicht so kräftig, rief zwar auch häufig „Erbarmung“ und rollte das „R“ so wie Olla. Sie brachte weniger das beliebte Blechspielzeug, den Tinnef, sondern eine Taschenuhr für Hartmut aus ihrem Bestand: „Gold gab ich für Eisen“ aus der nationalen

Umtauschaktion im 1. Weltkrieg oder russische Silberlöffel mit dem Hinweis, die haben 84 Zolotnik. Die Kinder bedankten sich zwar höflich und versprachen es in Ehren zu halten. Olla zog es gleich aus dem Verkehr, um es für später aufzuheben. Wenn Woljas Mann mit zu Besuch kam, grausten sich die Kinder. Onkel Max zog nicht nur ein Bein nach wie Onkel Fedja, nein, es fehlte ihm komplett. Auch er hatte es auf die eine oder andere Weise im 1. Weltkrieg verloren und trug nun ein immer knarrendes Holzbein. Die Kinder stellten sich vor, wie das wohl aussieht, wenn er es vielleicht oben im Gästezimmer nachts abschraubt und an die Wand stellt. Olla legte großen Wert darauf, gut erzogene Söhne zu haben. Waren Besucher zu erwarten, wurde den Sprösslingen noch einmal vorher eingbläut, einen tiefen Diener zu machen, ordentlich die Hand zu geben und den Besucher dabei anzusehen. Es gab kein Pardon. Waren Kopf und Rumpf ihrer Meinung nach nicht tief genug hinunter gebeugt, drückte sie mit der Hand nach und fragte im Beisein der Besucher: „kannst du keinen ordentlichen Diener machen?“ Nach solchen Peinlichkeiten hatten die Kinder ihre Mutter erwürgen können. Sie achtete auch sehr auf saubere und korrekte Sprache. Worte hatten akzentuiert ausgesprochen zu werden. Muschel nicht, wurden die Kinder häufig ermahnt. Sie hasste auch den in Landsberg gesprochenen Berliner Jargon. Ausdrücke wie: „kahle Bonje“ für Glatze; „Plautze“ oder „Wampe“ für dicken Bauch; Kraftausdrücke waren völlig unmöglich, das wagten die Kinder erst gar nicht.

Im Dezember 1942 wurde es an der Ostfront ganz kritisch. Das Desaster Stalingrad deutete sich an. Albert hatte Olla bei seinem letzten Urlaub im Oktober gezeigt, wie sie nachts mit dem Telefunken Super BBC und andere ausländische Sender hereinbekommen könnte, wobei sich die Frequenzen ständig änderten, um den Störversuchen der Deutschen Abwehr mit dem überlagerten hu u hu, hu u hu zu entgehen. BBC kündigte seine Programme vorher mit vier dumpfen Trommelschlägen an: Bum, bum, bum, bum - bum, bum, bum, bum. Diese Schläge sollten an Beethovens 5. Symphonie erinnern oder an den Morsecode für das „V“, für Victory. Das gab Zeit, sich die neue Frequenz zu suchen. Feindsender abzuhören, war streng verboten, es bedeutete Zuchthaus oder unter Umständen auch die Todesstrafe. Es war aber die einzige Möglichkeit, sich ein mehr realistisches Bild der Frontlagen zu machen, in dem man den deutschen Wehrmichtsbericht, mit den ausländischen Nachrichten abglich und davon die Mitte wählte. Die Kinder durften nichts von den nächtlichen Abhöraktionen wissen, so natürlich auch nicht die Hausmädchen. Das völlig geheim zu halten, war fast unmöglich. Die Lautstärke der Sendungen veränderte sich über Kurzwelle häufig, so dass die Kinder nachts schon einmal aufwachten, wenn das Ankündigungs-Bumbum gegen Mitternacht von BBC einsetzte. Letztlich wussten beide Söhne worum es da ging.

Wegen der Gefahr von Luftalarm schliefen die Kinder mit Olla gemeinsam im Schlafzimmer in der 1. Etage. Sie konnte, wenn nötig, beide schneller wecken und mit ihnen in den Keller rennen, den Drahtfunk einstellen und hören, von woher feindliche Bomberverbände im Anflug waren.

Anfang Februar 1943 musste von der Katastrophe Stalingrad über die deutschen Sender berichtet werden. Es war ein Schock für die gesamte Nation, egal, wie der einzelne politisch eingestellt war. Sender Königswusterhausen spielte Trauermusik unterbrochen von markigen Vergeltungsdrohungen irgendwelcher Nazigrößen – nun erst recht! Goebbels hielt am 18. Februar 1943 im Berliner Sportpalast, der Platz für 20.000 Menschen bot, seine Rede mit der Frage: „Wollt ihr den totalen Krieg? Wollt ihr ihn, wenn nötig, totaler und radikaler aus wir ihn uns heute überhaupt noch vorstellen können?“ Sie wollten alle, oder die, die nicht wollten, trauten sich nicht, es zu sagen.

Olla kam an diesem Tage von Müncheberg zurück, sie wollte eigentlich zur Charité nach Berlin. Hartmut musste an einem roten Punkt zwischen den Augen, oberhalb des Nasenflügels operiert werden. Der Landsberger Hals, Nasen, Ohrenarzt Riesenkampf traute sich nicht daran. Er wusste nicht, was es war. Auf der Fahrt nach Berlin machten sie Station bei Ollas Neffen Berthold und seiner Frau Rosa in Müncheberg, die hier am Markt ein Lebensmittelgeschäft hatten. Beide überredeten Olla, diesen Eingriff bei Hartmut bei einer neuen, ganz modernen Klinik in Müncheberg machen zu lassen und nicht nach Berlin zu gehen. Sie konnten höchstens noch in einen Luftangriff geraten und besser ist die Charité auch nicht. Außerdem müssten sie in der leeren Wohnung von Alberts Bruder Rudi schlafen, der an der Front war, Hartmut wie immer auf zwei zusammen geschobenen Clubsesseln. Hartmut war es recht. Er spekulierte auf die gehorteten Vorkriegs-Bonbon- und Schokoladenbestände im Geschäft seines Cousins Berthold. Der rote Punkt wurde in Müncheberg heraus gebrannt. Hartmut erzählte den Schulfreunden gern von seiner Erfahrung: „richtig rausgebrannt“, mit Elektronadeln, sage ich euch. Solch eine Erfahrung auf Leben und Tod hatte bisher keiner seiner Freunde gemacht.

Stalingrad hatte die Verkündung des „Totalen Krieges“ ausgelöst. Es gab eine Flut von neuen Anordnungen. Alle physischen, materiellen, geistigen, militärischen und wirtschaftlichen Mittel wurden nun eingesetzt. Kriegsdienst wurde nicht nur an der Front, nun auch an jedem Ort, in jeder Fabrik, an jedem Arbeitsplatz geleistet. Kriegsrechtliche Grundbegriffe wurden ausgesetzt, völkerrechtliche Schranken abgebaut. Der Gegner war absoluter Feind. Es wurde zwischen Soldat und Zivilperson nicht mehr unterschieden. Auch Frauen und Kinder genossen keinen besonderen Schutz mehr. Die Haager Landkriegskonventionen waren im Grunde schon lange, allein durch die alliierten Bombardements, außer Kraft gesetzt.

In diesem Zusammenhang setzte eine Geschäftsschließungsaktion ein. Theater sperrten ab, wenn nicht gerade zur Truppenbetreuung gedacht, Kurorte standen mit ihren Einrichtungen nicht mehr für Zivilpersonen zur Verfügung. Alles was an kriegsfähigen Männern bisher als uk (unabkömmlich) gestellt war, wurde überprüft und gegebenenfalls an die Front geschickt. Das Landsberger Stadttheater hatte auch den normalen Theaterbetrieb einzustellen. Die Schauspieler wurden eingezogen. Der Landsberger Zirkus Brumbach übernahm das Theater und gab

auf der Bühne Vorstellungen mit den vorhandenen Tieren. Also nichts mehr mit: „Auf der grünen Wiese“ oder Goethes „Clavigo“, jetzt gab es eine Nummer mit dem einzigen Elefanten, umrahmt von Kunststückchen von Hunden und Äffchen und einem kriegsversehrten Clown.

Neben vielen nicht kriegswichtigen Geschäften, Pelzgeschäften, Juwelieren, kleinen Handwerksbetrieben, Restaurants hatten auch so genannte Dubletten, also Geschäfte, die das gleiche Warensortiment in gleicher Gegend führten und sich nur unnötig Konkurrenz machten, zu schließen. Von den letzteren durfte nur eines der Geschäfte offen bleiben.

Photo-Meyer bekam auch die Anordnung von Frankfurt/Oder, das Geschäft innerhalb von 7 Tagen zu schließen, eine Inventur aufzunehmen und eine Schlussbilanz einzureichen. Das Personal war der Deutschen Arbeitsfront zur weiteren Verfügung freizustellen und auch die Haushaltshilfen der kriegswichtigen Industrie anzubieten.

Olla ging auf die Barrikaden. Sie aktivierte alle Beziehungen zur Stadtverwaltung, über diese im Regierungsbezirk, bei Partei, bei den Kasernen. Gewiss war das eigentliche Geschäft zum Erliegen gekommen. Es gab keine Produktion von Kameras, Projektoren und kaum noch Filmmaterial für private Zwecke. Das Geschäft hatte Olla kriegsbedingt auf Dienstleistung gelegt das, was Albert eigentlich niemals wollte. Ihre Argumentation bei der Verwaltung ging dahin, dass gerade Photo-Meyer für die Moral der Truppe, die kaum noch Urlaub bis zum Endsieg bekommt, gestärkt werden muss, durch Bilder, durch den visuellen Kontakt zur Familie, zur Heimat, zu der an der Heimatfront kämpfenden Ehefrau, den ohne Vater heranwachsenden Kinder. Es wäre aus psychologischen Erwägungen absolut unverantwortlich, den kämpfenden Soldaten den letzten optischen Kontakt zu nehmen. Diese Anordnung muss rückgängig gemacht werden! Olla aktivierte die Kasernen, Hans Dowidat half nach, Oberbürgermeister Dr. Jahnke ebenfalls mit schriftlichen Eingaben nach Frankfurt/Oder. Die Kasernen versprachen, ihre Soldaten kompanieweise zu Photo-Meyer in Gang zu setzen, um die Passbilder für die Soldbücher nun dort machen zu lassen, was wiederum eine Entlastung für die Kasernenverwaltung bedeuten würde.

Nach 14 Tagen wurde Photo-Meyer wieder eröffnet. Olla kaufte die Photoabteilung der Drogerie Bittner in der Brückenstraße auf, die schließen musste und noch über erhebliche Bestände an Endlos-Fotopapier verfügte. Für die Laborantinnen war das zwar ein zusätzlicher Zeitaufwand, weil das Papier von den Endlosrollen auf die gewünschte Größe zurechtgeschnitten werden musste. Auch war das nur Normalpapier, nicht die sonst verwendeten Spezialpapiere, um Belichtungsfehler mit dem Papiermaterial, wie hart, extra hart, spezial und die verschiedenen Weichheitsgrade, auszugleichen. Olla hatte es auch durchgesetzt, dass sie alles Personal von den I.G. Farben Werken zurückbekam, die sich für ihre technische Produktion die ausgebildeten Kräfte hatten zuteilen lassen. Für den Haushalt musste sie nun mit einer Kraft auskommen, und selbst diese wurde erst nach Vitamin B (Beziehung) zugestanden. Das war nun Grete, die von einem Dorf

östlich von Landsberg kam, etwas füllig war und ihre: „lassen wir mal langsam angehen“ Grundeinstellung pflegte. Sie stellte sich bei Olla vor mit der Bemerkung: „eigentlich wäre ick lieba aus Blitzmächen jejangen, aba mein Bruda hat jesacht, det sind alles Soldatenmatratzen“. Olla fragte nach: „bitte, was hat ihr Bruder gesagt?“ „Na, ja Soldatenmatratzen. Und die Arbeitsfront hat mich zu ihnen geschickt. Een Haushalt is dat Richtige für mich, und nu bin ick hier“.

Olla hat nicht weiter gefragt, was es mit dieser Bemerkung von Gretes Bruder auf sich hat. Vielleicht hat sie sich über den „Weichheitsgrad“ einer Matratze von der rundlich geratenen Grete Gedanken gemacht, das wäre auch das Äußerste gewesen. Olla ließ sich nur zu der Bemerkung hinreißen: „da hat die Arbeitsfront gewiss Recht gehabt. Als Blitzmädchen müsse man schon flink wie der Blitz sein. Daher käme wohl auch diese Bezeichnung“.

Die Mädchen im Geschäft zeigten ihre unverhohlene Freude, wenn nun die Soldaten kompanieweise anrückten, um im umfunktionierten Büro über die für Reihenaufnahmen geeignete Rolleiflex aufgenommen zu werden. Olla passte wie ein Schießhund auf, dass die Mädchen die Passbilder zügig aufnahmen und nicht mit den Soldaten ihre Späßchen trieben und Verabredungen machten. Schließlich galt nun alles dem Endsieg, wie es ihr geflügeltes Wort wurde.

Diese Passbildaktion hatte einen guten Nebeneffekt, nämlich, dass Photo-Meyer kriegswichtiges Fotomaterial zugeteilt bekam und da für die Passbilder wenigstens der Hintergrund mit Nitraphotlampen ausgeleuchtet werden musste, was viel Strom kostete, wurden neue Stromkontingente zugemessen.

Der eigentliche Verbrauch konnte nicht separat gemessen werden, da im totalen Krieg kein Zwischenzähler aufzutreiben war, um den sich Olla aber auch nur pro forma bemühte. Strom musste nun überall gespart werden. Die wenigen Fahrstühle in Landsberg, die es nur bei Ulrichs Freund Eberhard in deren Haushaltswarengeschäft Henke am Markt, den Kaufhäusern Bahr&Clemens, C. F. Bommann und dem Hotel Vater an der Marienkirche gab, hier schön vergoldet mit schmiedeeisernem Fahrstuhlschacht versehen, mussten stillgelegt werden. Die Volksgenossen hatten jetzt gefälligst zu Fuß Treppen zu steigen. Auch die von Hartmut viel bestaunten Rolltreppen bei Bornmann, deren Holzstufen ratternd wundersam unter dem Parkett verschwanden und dann erstaunlicherweise in der darunter liegenden Etage wieder auftauchten, waren bis zum Endsieg abgestellt. Die Technik wollte ihm sein Bruder Ulrich nicht erklären, der wohl selber nicht wusste, wie eine Rolltreppe arbeitet. Das kapiertst du sowieso nicht, meinte dieser immer unwirsch, wenn Olla mit ihren Gören zu Bornmann hinüberging, um „Reservierungen“ für Bezugsscheine mit der Geschäftsleitung abzusprechen; denn das alte Sprichwort: „Hand wird nur von Hand gewaschen“, galt jetzt mehr denn je!

Durch die Verbindungen zu Mimosa in Posen, ein alter Lieferant für Fotopapiere, bekam Olla ein Angebot, einen größeren Posten Postkarten-Papier aufzukaufen. Auf diesem Papier war auf der unbeschichteten Rückseite schon die Vorgabe für Adressen eingedruckt. Olla kaufte, was sie davon bekommen konnte.

Im totalen Krieg gab es auch keine Ansichtskarten mehr. Olla, die Blumenfreundin, fotografierte nun selber Stillleben mit Blumenarrangements aus dem eigenen Garten, also Gladiolen, Astern, Rosen, Dahlien. Diese Blumen wurden jeweils nach Jahreszeit kunstvoll zusammengestellt. Als Porzellansammlerin verfügte sie über eine ausreichende Vasenkollektion, so konnte sie mit den gleichen Blumen durch andere Vasen ein neues Motiv schaffen. Diese Postkarten wurden für 20 Reichspfennige pro Stück verkauft, nein, eigentlich wurden sie ihr geradezu aus den Händen gerissen. Der Preis konnte leider nicht wegen der Preisbindung und der Spekulations-Gesetzgebung marktregulierend erhöht werden.

Ulrich wurde zu Ostern 1943 eingeseget. Olla gestaltete die Feier fast friedensmäßig aus. Die bäuerlich verwandtschaftlichen Beziehungen im Osten wie auch zu den Freunden und Kunden in der ländlichen Umgegend von Landsberg waren sehr hilfreich. Es gab auch immer noch Kanäle, über die sie Kakao und Rohkaffee beschaffen konnte. Es wurden 13 Torten gebacken, und auch an handfesten Wurst- und Schinkensorten und Braten mangelte es zu diesem besonderen Ereignis nicht. Dass der Vater des Konfirmanden nicht dabei sein konnte, war allerdings beklagenswert. Geldgeschenke gab es viele, für die man allerdings kaum etwas Brauchbares kaufen konnte. Juwelier Bartsch rückte eine Junghans Armbanduhr aus seinen Vorkriegsbeständen heraus. Das für das 4. Kriegsjahr wertvollste Geschenk war ein großer, professioneller Handwerkskasten, den die Brandts noch irgendwo aufgetrieben hatten. Er enthielt alles, was ein gelernter Tischler für seine Werkstatt brauchte. Der große Wunsch von Ulrich war in Erfüllung gegangen. Er richtete sich auf dem Spitzboden eine Tischler-Werkstatt ein. Hier bastelte er mit seinen Freunden Eberhard Stephani und Dieter Schlecht Puppenstuben und alle möglichen Schränkchen, Holzisenbahnen, Schatullen, was sie wiederum gegen andere Dinge eintauschten. Olla musste Holz vom Sägewerk Bendix und Nägel und Schrauben von Eisen-Bergemann, einen Elektromotor, Schleif- und Bohrmaschine besorgen. Die Geschäftsleute unterstützten sich in dieser dunklen Zeit gegenseitig. Jeder hatte noch etwas, was der andere gebrauchen konnte. Hans Naß mit seinem Malereibetrieb und Freund der Familie, beschaffte die notwendige Farbe für den „Schwiegersohn“. Hans Naß hatte 2 Töchter, redete Ulrich immer mit „Schwiegersohn“ und „Herr Baron“ an, was er mit seinen 14 Jahren nicht gerade spaßig fand. Hans Naß setzte Hartmut einen Floh ins Ohr „dich werde ich adoptieren, ein Junge, da ist wenigstens was dran, nicht wie meine Mädchen, diese Brötchen“. Olla hörte sich solche Reden indigniert an. Hartmut verstand das mit den Brötchen nicht, fand aber die Idee adoptiert zu werden, nicht schlecht. In dem Haus ist mit den zwei Mädchen gewiss immer etwas los, da ist Leben, da gibt es den besserwissenden Bruder nicht, und Hans Naß hat sein Haus dicht an der Schule. Hartmut war sehr enttäuscht, dass seine Mutter nicht einmal über diese Idee nachdenken wollte. Sie machte lediglich die Bemerkung und verzog den Mund dabei: „sprich mit deinem Vater darüber, wenn er auf Urlaub ist und erfahren hat, was du zwischenzeitlich alles ausgefressen hast. Er wird dich dann gewiss zur Adoption freigeben“.

Olla, die zu gern nur Geschenke von bleibendem Wert machte, was bei Kindern kaum beliebt war, hatte als Ulrichs Konfirmationsgeschenk über Goldschmied Schmelter Rohsilber in ein Sortiment Bestecke umtauschen können. Für die Aussteuer, wie sie meinte. Ulrich war überhaupt nicht begeistert. Was sollte er mit all diesen Menü- und Fischbestecken. Die Gäste meinten, das ist aber schön, wie wertvoll Deine spätere Frau wird das einmal zu schätzen wissen. Das machte die Sache nicht besser! Die Besteckkästen verschwanden schnell bombensicher im Keller.

Zu Ulrichs Konfirmation waren gerade noch die Ölbilder von ihm und seinem Bruder fertig geworden. Ein Münchener Porträtmaler namens Müller musste als kriegsversehrter Major zweckentfremdet als Ausbilder in der General- v. Strantz-Kasernen Dienst tun. Olla kannte ihn über das Geschäft. Wer wen überredete, die Kinder in Öl zu konterfeien, war nicht ganz klar. Dieser Major Müller malte jedenfalls beide Jungens. Sie mussten abwechselnd Modell sitzen, nachdem er für die Vorbereitung je eine Fotografie und Haarlocke von den Kindern erhielt und die Größe der späteren Ölbilder festgelegt wurde. Ulrich war mit der ganzen Geschichte unzufrieden. Er monierte, dass sein Bild nur etwa 40x60 cm und außerdem nur als Brustbild vorgesehen war, während sein Bruder, natürlich und typisch, in etwa 65x100 cm von Kopf bis Fuß gemalt wurde. Am Tage der Einsegnung wurde Ulrichs Bild feierlich enthüllt und im Wohnzimmer aufgehängt. Direkt darunter fand „politkonform“ die Hitlerbüste ihren Platz! Hartmuts Konterfei konnte im Esszimmer besichtigt werden.

Als Albert noch einmal im Mai 1943 in Urlaub kam, konnte Olla ihm nur berichten, was seit seinem letzten Urlaub alles an Aufregendem in der Familie und im Geschäft geschehen war und was man den Feldpostbriefen nicht anvertrauen konnte. Er war sehr stolz auf seine Frau, was sie alles bewerkstelligt hatte und er gar nichts dazu beitragen konnte. Er war deprimiert über die gesamte politische und militärische Entwicklung und bestand darauf, dass das Testament noch einmal bei Notar Ernst Dannhoff in der Richtstraße durchgesehen wird.

Albert konnte im Freundeskreis nur bestätigen, was BBC berichtete. Die Waffenlieferungen Amerikas an Russland, LKWs, Artillerie-Geschütze, Transportgeräte, Lebensmittel bis zu Corned beef in Dosen, selbst Seife, hatten gigantische Ausmaße angenommen. Die U-Boot Waffe der Deutschen war praktisch außer Gefecht gesetzt. Die Geleitzüge kamen fast unbehelligt von den USA nach Murmansk durch. Auf der Konferenz in Casablanca hatten sich Churchill und Roosevelt nach der Schlacht von Stalingrad auf eine bedingungslose Kapitulation Deutschlands geeinigt. Die einzelnen Bedingungen, so sie festgelegt waren, gab BBC nicht preis. Das sollte in weiteren Konferenzen folgen. Diejenigen, die sich Informationen über die Propaganda im Völkischen Beobachter und des Wehrmachtberichts hinaus beschaffen konnten, wussten, dass der Krieg nicht gewonnen werden konnte.

Während dieses Urlaubs hatten Olla und Albert die Freunde, so sie nicht an der Front waren, zu einem Gartenfest in die Kladowstraße eingeladen. Es war ein

herrlicher, fast sommerlicher, wolkenloser Sonntag. Es gab Fliegeralarm. Hunderte von anglo-amerikanischen Bombern, umgeben von Begleitjägern, zogen in großer Höhe, gleichmäßig brummend, silbern in der Sonne glänzend, über die Stadt. Sie kamen offenbar über Stettin, um über Landsberg Berlin vom Osten her anzugreifen. Kein deutscher Jäger, keine Flak störte sie. Das gleichmäßige Brummen der Motore übertrug sich in die Magengrube. Was würde geschehen, wenn sie jetzt über der Stadt ihre Bombenschächte öffneten? Albert fragte Hans Dowidat, den Bürgermeister und Freund: „wo um Gottes willen sind unsere Jäger, wo ist die Flak?“ Die Stadt ist völlig ungeschützt. Ich komme von der Front, ich kenne unsere Situation aus eigener Anschauung. Ich war bei der Agfa in Stettin, auch diese Stadt ist herunter gebombt. Landsberg ist noch intakt, wie lange noch? Wir reden jetzt von Wunderwaffen, die in der Entwicklung sind. Wir sind in einem weit globaleren Krieg als 1914-1918. Wie soll dieser Krieg gewonnen werden?

Niemand konnte niemandem völlig trauen. Die Gefahr, wegen kriegszersetzender Äußerungen im KZ zu landen, war erheblich. Die Antwort des Bürgermeisters war, bitte, ich darf allein diese Fragen schon nicht hören, ich habe sie auch nicht gehört, so kann ich sie auch nicht beantworten!

Olla ließ im Garten ein großes Stück der Rasenfläche zwischen Schaukel und Steingrotte umgraben. Das machte Joseph, ein polnischer Ostarbeiter, der bei Brandts in der Werkstatt arbeitete und dafür Tabak und Kleidung zugesteckt bekam. Hier wurde nun zusätzlich Gemüse angebaut, um die rationierten Lebensmittel mit frischem Gemüse aufzubessern. Seit Stalingrad wurden die Zuteilungen über die Lebensmittelkarten für die Bevölkerung ständig reduziert. Der Garten erwies sich mit seinen Obstbäumen, der Landsberger Renette, dem Gravensteiner, Clapps Liebling, den Spillingen und eben dem Gemüse als gutes Zubrot.

Ulrich, Hartmut und die inzwischen verheiratete Erna verbrachten die Sommerferien wieder in Misdroy. Olla konnte ungestört arbeiten, wenn das Haus leer war. Sie hatte permanent zu kämpfen, dass ihr nicht Personal abgezogen wurde, das dringend in der Industrie gebraucht wurde. Erna kündigte an, sie wolle von ihren Eltern von Jahnsfelde Ziegenbutter und Käse mitbringen. Ein Aufschrei von beiden Bengels. Nein, nein, bloß nicht. Die Ziegen stinken, die Milch stinkt, die Butter stinkt, alles stinkt nach Ziegen. Und der Stall erst, konnte Hartmut draufsetzen. Alles stinkt nach Ziegenbock. Er kannte den Ziegenstall. Er war von Erna zu ihrer Hochzeit in Jahnsfelde eingeladen gewesen.

Die drei mussten durch das zerbombte Stettin. Hartmut konnte nicht mehr die Zugbrücke über die Oder bestaunen, auch nicht die hier ungleich zu seiner Heimatstadt schneller fahrenden Straßenbahnen, die in Landsberg noch 1943 gegen O-Busse aus Livorno ausgetauscht wurden. Es gab in Stettin nur Schutt. Am Strand von Misdroy wurden auch keine Bonbons mehr abgeworfen, es gab keine Strandfeste und Burgenbau-Wettbewerbe. Ein Teil des Strandes war für Wehrmachtzwecke abgesperrt. Erna musste mit den Kindern mehr Ausflüge auf der Insel machen, zum Jordan- und Hertha-See mit seiner geheimnisvollen Sage über eine versunkene Prinzessin. Es war nicht mehr das, was es einmal war.

Gleich nach den Sommerferien musste Ulrich zur HJ. Das hatte, wie üblich, eigentlich schon zu Hitlers Geburtstag, zum 20. April geschehen müssen. Hier kam er nun nicht mehr so einfach um den Dienst herum, wie es ihm bei den Pimpfen gelang. Er versuchte zu schwänzen, mit den fadenscheinigsten Ausreden. Die Schuhe beim Schuster, Passbilder bearbeiten, weil Termine für plötzlich an die Front abberufene Einheiten eingehalten werden mussten, Magenkrämpfe, zerbrochene Brille und ähnliches. Er tippte die Entschuldigungsschreiben selber. Du brauchst nur zu unterschreiben, sagte er zu seiner Mutter. Diese unterschrieb, allerdings musste er als Gegenleistung im Garten umgraben, aber schön tief, und immer schön mit Furchen. Unkraut jäten, Kaninchenstall sauber halten. Photo-Meyers hatten sich 1943 in der Richtstraße Kaninchen angeschafft, mit der Absicht, sie letztlich auch zu essen. Dazu ist es niemals gekommen. Die Ställe waren im Innenhof von Herrn Zühlendorf gebaut. Die Mädchen machten gern bei gutem Wetter ihre Pausen im Hof. Auch sie fütterten die Kaninchen. Alle trugen einen Namen. Es hätte einen Aufstand gegeben, wären sie abgemurkst worden. Sie wurden verschenkt, gegessen wurden sie gewiss in jedem Fall von irgend jemandem.

Ulrich musste den Kaninchenmist als Gegenleistung für Entschuldigungszettel mit dem Fahrrad zum Garten fahren. Er sollte als Gemüsedünger Verwendung finden. Er genierte sich schrecklich mit dem Dung in einer Kiste auf dem Gepäckträger über die belebte Richtstraße zu fahren oder besser zu schieben, an der Post vorbei, durch den Stadtpark, dann war die Villa seines Freundes Eberhard Stephani zu passieren und die Tennisplätze, die zu der Villa der Kobersteins in der Kladowstraße gehörten ebenfalls, nein und nochmals nein. Das konnte man einem Gymnasiasten nicht antun. Er überredete Hartmut für ihn den Dung zum Garten zu transportieren. Du kannst natürlich nicht fahren, du musst das Rad schieben und vorne immer runterdrücken. Er lud ihm die Kiste mit dem Mist auf sein Kinderrad, das von dem Gewicht auf dem Gepäckträger mit dem Vorderrad gleich nach oben schnellte. Ich habe dir doch gesagt, immer runterdrücken. Kannst du das nicht kapieren? Das Eisgeld willst du aber haben! Hartmut kam nur bis zur Rosengasse, dann lag der Mist mit dem vielen Kodein auf dem Pflaster. Er beging eiligst Fahrerflucht. Sein Eisgeld bekam er trotzdem vom Gymnasiasten, allerdings nach Androhung zu petzen.

Wenn es dem Kameradschaftsführer und Zugführer zu dumm wurde, klingelten sie, um Ulrich zum Dienst abzuholen oder wenigstens zu überprüfen, ob er wirklich Fieber hätte.

Da trat Grete in ihrer behäbigen Art in Aktion. Sie Berlinerte schrecklich, wie alle Landsberger.

„Wenn ihr nich sofort mit eure dreckige Stiebeln waschwindet, kricht ihr wat mit'n Besen. Ick steh vor de Richtigkeit, Uli is krank, vastanden? Raus, aba'n bisschen dalli.“ Drohend schwang sie von oben den Besen oder wenigstens den Handfeger. Diese sich zackig gebenden Bürschchen verschwanden wirklich schleunigst, nach Rufen von: „Heil Hitler“.

Allerdings wurden die Hitlerjungen auch von Olla „missbraucht“. Da war das permanente Flaggen für alle möglichen Anlässe gefordert. Es wurde bewusst erst einmal vergessen. Die Hitlerjungen hatten die „Delinquenten“ auf die Flaggenverpflichtung hinzuweisen. Das geschah in der Regel ziemlich nassforsch. Olla konterte immer genauso barsch mit dem Hinweis, dass sie keinen Mann im Hause habe, alle kämpfen an der Front. Niemand im Haus sei in der Lage, aus der Bodenluke die schwere Fahnenstange zur Richtstraße hin zu montieren. Also, macht das gefälligst selber oder ich beschwere mich bei eurem Zugführer. Maulend taten sie es auch. Olla bestand darauf, dass wenigstens einer von ihnen auf der Straße die Fußgänger aufzuhalten hätte, damit nicht ein Volksgenosse zu schaden kommt, falls einem ihrer Kameraden die Fahnenstange samt Fahne aus der Hand fiele. Denkt an die Kraft des Windes! Natürlich ließ sich niemand bei Beendigung der Beflaggung sehen.

Die beiden Jungs bedrängten Olla, wir wollen einen Hund haben, wir werden uns um ihn kümmern, ganz bestimmt, Ehrenwort, wir werden ihn ausführen, am besten einen Dackel. Auch Grete hat nichts zu befürchten. Olla ließ sich überreden. Wohl mehr vom schlechten Gewissen getrieben, zu wenig Zeit für die Jungs zu haben. Im Landsberger General-Anzeiger gab es eine Annonce. Eine Familie am als „kommunistisch verseucht“ angesehenen Sonnenplatz wollte ihren 2-jährigen Rauhaardackel Pascha, schwarz mit etwas weiß gezeichnet, wegen Ankunft eines Babys in liebevolle Hände geben.

Pascha war ein lieber Hund, der niemandem etwas zu Leide tat, sich über jeden Besuch außerordentlich freute. Ging man mit ihm allerdings Gassi, fiel er alle anderen Hunde an, egal wie groß oder klein sie waren. Das geschah nicht, wenn er ohne Familienbegleitung war, dann zog er große Bogen um seine Artgenossen. Da beide Bengels schnell die Lust verloren hatten, mit ihm durch die Straßen der Umgegend zu ziehen, ließen sie ihn häufig auch einmal alleine auf die Straße. Leider wurde er eines Abends in der Richtstraße vom O-Bus angefahren. Passanten brachten ihn mit gebrochenem Hinterschenkel nach Hause. Die Adresse war am Halsband. Der Tierarzt riet, ihn einzuschläfern, das wird nichts mehr. Ein Aufschrei der Kinder, nein, wir werden ihn schon gesund pflegen, auch wenn er später lahmt. Na ja, meinte der Tierarzt, wenn er wieder bellt, dann ist er über den Berg. Er bellte nicht über Wochen, dann tat er es eines Tages. Hartmut rannte ins überfüllte Geschäft und schrie, Pascha hat gebellt, Pascha hat gebellt. Er war wieder gesund, lahmt nicht einmal.

Olla hatte es fertig gebracht, alle Einweisungsversuche zur Aufnahme von Evakuierten und Ausgebombten aus den Großstädten abzuwehren. Ihre Beziehungen waren auch hier wieder einmal hilfreich.

Ollas Schwester Emma war mit ihrer Familie im Juli 1943 in Hamburg ausgebombt. Emma hatte sich 1939 von ihrem Mann, Gustav Wegert, scheiden lassen. Sie besaßen noch gemeinsam ein Haus in Koschütz bei Schneidemühl. Emma wollte das Haus nicht aufgeben, musste allerdings ihren Mann auszahlen. Albert

sprang mit 7000 Mark ein. Die ausgebombte Familie konnte dorthin nicht ausweichen, das Haus war fest vermietet. Emma kam mit Freundin „Schwester Meta“, der hochschwangeren Tochter Wally, deren Mann Rolf und Tochter Christa nach Landsberg. Sie kollidierten mit Lotte Schindel, Tochter von Daniel, Ollas Bruder aus Bahrenbusch bei Neustettin, die an einem wochenlangen Lehrgang teilnahm. Zu dem hatte Olla noch Helga Strehmel vorübergehend im Haus zu wohnen, eine Angestellte vom Geschäft. Olla erwähnte einmal am Telefon zu jemandem: „Mein Haus ist ein Durchgangslager“, wie „Das Nachtlager von Granada“.

Ihre Schwester Emma hörte es, war empört und vergaß es auch nicht. Es war sicherlich aus der augenblicklichen Situation heraus gesagt, denn die Hamburger Einquartierung war nun wirklich übel dran und hatte einiges hinter sich. Emmas Sohn Edgar bekam Sonderurlaub und brachte später alle von Landsberg nach Linde auf das Land, zu Schwester Karoline. Hier waren sie vor Bomben sicher und vor allen Dingen war die Ernährungssituation besser. Die Kinder hätten gern Christa zurückgehalten, sie war lustig und immer guter Dinge, so wie Lotte aus Bahrenbusch, die jüngste Tochter von Ollas Bruder Daniel. Über den Abzug der anderen Verwandtschaft waren sie nicht böse. Die Hamburger waren Baptisten, beteten immer vor und nach dem Essen und zwischendurch. Die Bengels bekamen häufig Ermahnungen und sollten zur Sonntagsschule, zum Landsberger Zahnarzt Longardt gehen. Dorthin schickte sie Olla ohnehin schon zu gerne, wenn sie am Sonntagvormittag einmal Ruhe haben wollte. Nun fingen Tante Emma und besonders deren Freundin „Schwester Meta“ auch damit an. Und dann sangen sie auch noch: „Wenn wir zieh'n nach Kanaan“. Nun waren sie zwar nicht nach Kanaan gezogen sondern nach Linde. Auch gut!

Die Auswirkungen des totalen Krieges wurden für die Zivilbevölkerung immer spürbarer. Die Lebensmittelzuteilungen noch geringer. Gewiss brauchte niemand zu hungern. Es gab auch ab und wann Sonderzuteilungen von irgendwelchen Lebensmitteln. Ollas Familie war kaum betroffen, jedenfalls nicht für das Herkömmliche. Da war die umfangreiche Verwandtschaft und Bekanntschaft. Es wurde das Besondere vermisst. Schwieriger war es mit den Koks zuteilungen. Es fing 1943 an, dass schon einmal die Heizkörper in einigen Räumen abgestellt werden mussten. Olla passte bei den Kokslieferungen auf wie ein Schießhund, damit die zugeteilten 100 Zentner Koks auch geliefert wurden. Da sie mit den Landsberger Kohlenhändlern keinen Krieg haben wollte, mussten die kohleschleppenden Ostarbeiter einen Sack im hinteren Hof ad random beiseite stellen. Den schwitzenden Ostarbeitern sagte sie, sie würde den Sack später wiegen lassen, um festzustellen, ob 50kg auch 50kg seien. Darüber hinaus musste ein Eimer mit Koks abgefüllt werden. Hier wurde den verdutzten Polen oder Russen bedeutet, diese Probe würde von Prof. Gorsler vom Hygiene Institut auf Wassergehalt geprüft. Sie sollten das nur ihrem Chef erzählen. Das machte Eindruck. Mit einem ostpreußischen Bärenfang wurden die Ostarbeiter verabschiedet. Olla veranlasste selbstverständlich weder das eine noch das andere. Gorsler hatte natürlich mit solchen Prüfungen rein gar nichts

zu tun und vom Hygiene Institut war er auch nicht! Das Heizen gab wirklich Probleme. Man konnte nicht einfach abstellen, das Wasser fro ein. Einen geborstenen Heizkörper zu ersetzen, war schier unmöglich.

Ende 1943 sagte sich das Finanzamt für eine Steuerprüfung an. Olla war empört, jetzt im totalen Krieg. Jeder Mann ist an der Front, um für den Endsieg zu kämpfen. Jede Frau steht ihren Mann an der Drehbank Sie beschwerte sich. Man solle gefälligst den Endsieg abwarten, ihr Mann sei an der Front, der Prüfer solle tunlichst auch dorthin geschickt werden. Es half nichts. Sie schickten einen Schwerkriegsbeschädigten. Olla rächte sich, na warte, komm nur. Er kam. Das Büro war für die Passbilderaufnahmen reserviert, er wurde in der neu eingerichteten Schreibecke, gleich neben der Kasse im Geschäft placiert. Olla rief das Personal zusammen. Erklärte ihm die Situation. Sie sollten sich für die nächsten Tage, vielleicht auch Wochen warm anziehen. Sie würde für heiße Getränke sorgen, es gäbe Friedenstorte, und sie wurden eine Sonderzulage bekommen.

Olla stellte die Heizung auf ganz klein. Der Prüfer klagte: „bei ihnen ist es aber kalt“. Ja, ja, wir sind mitten im totalen Krieg, Kohle ist knapp, wem sage ich das. Die Reichsbahn braucht die Kohle dringender. Das könne man an jedem Kohletender der Lokomotiven sehen und lesen: „Die Räder rollen für den Sieg“. Diese können aber nur mit Kohle rollen. Ja, aber ihre Leute, frieren sie nicht, fragte der Prüfer händereibend vor Kalte? Nein, war die lapidare Antwort, die arbeiten sich warm. Das arme Würstchen, das ein Bein verloren und eine Augenverletzung für Führer und Volk davon getragen hatte, ertrug es einige Tage. Olla musste 6000 Reichsmark nachzahlen. Der Prüfer zog von dannen mit der Bemerkung: „er sei sicher, dass niemand in Landsberg vermute, dass hier soviel Vermögen sei“, worüber sich Olla noch mehr ärgerte.

Kurz darauf arbeitete Olla noch einmal mit der gleichen Masche. Die Gestapo kam. Diese Herren meldeten sich allerdings nicht an. Sie waren einfach da. Sie müssten eine Prüfung der Geschäftsunterlagen vornehmen und den Arbeitsablauf überprüfen. Es waren drei Herren, von denen der eine die Legitimation von Frankfurt/Oder präsentierte, wieder verschwand und die anderen zwei dann zurückließ. Die Laborantinnen mussten ihnen erklären, wie aus belichtetem Filmmaterial Bilder entstehen und welche Kontroll- und Sortierfunktionen eingerichtet seien.

Fragen würden nur sie stellen, es sei alles streng geheim. Man dürfe auch nicht darüber reden, dass sie überhaupt im Haus seien. Na wartet, Olla stellte die Heizung wieder auf ganz klein, damit das Wasser nicht gerade einfrieren konnte. Die Laborantinnen wurden wieder informiert, diesmal auch streng geheim. Zieht euch warm an, später bekommt jeder 1 Pfund Rohkaffee; es sei denn, wir werden alle verhaftet. Die beiden Männer jammerten: „bei ihnen ist es aber kalt“. Olla brachte ihre bewährten „kriegsentscheidenden“ Sprüche. Niemand wusste, was eigentlich gesucht wurde. Auch Bürgermeister und Stadtkämmerer Dowidat konnte nicht helfen. Die Gestapo sei eine völlig unabhängig arbeitende Organisation und nicht von Landsberg eingesetzt sondern von Frankfurt/Oder. Letztlich

mussten sie auf Ollas erneutes Angebot eingehen und sagen, um was es ging. Sie könne ihnen vielleicht helfen, denn letztlich wolle sie, wie auch ihre Leute, Verbrechen aufklären oder Spione ausfindig machen.

Also: auf der Strecke zwischen Stettin und Altdamm war ein Oberst mit seinem Fahrer in seinem Wehrmachtswagen erschossen aufgefunden worden. In der Rocktasche des Obersten habe man ein Bild einer männlichen Zivilperson entdeckt. Die Rückseite des Bildes trüge einen handschriftlichen Hinweis, der auf einen politischen Racheakt hindeute. Außerdem sei der Stempel angebracht: „Photo-Meyer, Landsberg/Warthe“ mit einer Kontroll-Nummer. Man wolle nun herausfinden, wer konnte dieser Mann sein und wer hat die Bilder wann zur Bearbeitung zu Photo-Meyer gebracht. Die Familie des Obersten kenne diesen Mann nicht; er musste aber mit großer Wahrscheinlichkeit der Täter sein. Dass man den Einlieferer nicht mehr an dem Kontrollstempel und der Nummer feststellen konnte, hatten die beiden schon selber herausgefunden. Jeder Film und dann die davon gemachten Bilder erhielten die gleiche Kontrollnummer, um sie nach Bearbeitung wiederum dem Film zuordnen zu können. Der Einlieferer bliebe nach Abholung der Bilder anonym. Letztlich mussten sie dem Personal das Bild zeigen, allerdings ohne Preisgabe der handschriftlichen Notiz auf der Rückseite. Der Mann konnte nicht identifiziert werden, allenfalls, dass dieses Bild etwa vor 10 Wochen kopiert wurde. Aber auch nicht, ob es von einem Original-Rollfilm stammte oder eine Nachbestellung von einem vorhandenen Negativ war.

Man zog wieder ab nach dem Hinweis, dass alle mit sehr ernsten Konsequenzen zu rechnen hätten, wenn die Befragten mehr wüssten als sie gesagt und mit niemandem über diesen Vorfall zu sprechen hätten.

Weitere Folgen des totalen Krieges waren die Verschärfung der Verdunkelungs-Anordnungen.

Photo-Meyer musste eine Lichtschleuse am Geschäftseingang anbringen, die gleichzeitig den Wärmeabgang beim ständigen Öffnen und Schließen der Ladentür eindämmen sollte. Das war ein hässlicher Filzvorhang an einem Rundbogen angebracht. Gewiss war er sehr unästhetisch, weil man mit der Hand und auch manchmal mit dem Kopf versuchen musste, die beiden sich überlappenden Vorhängeile zu durchstoßen, wollte man das Geschäft betreten oder verlassen. Kein Lichtschein durfte auf die Straße fallen.

Ulrich stürzte eines Abends ins Haus mit dem Ruf, es hat gerade jemand etwas großes Schwarzes an die Schaufensterscheiben gemalt. Sieht aus wie Figuren. Es war nach Geschäftsschluss. Olla sah es sich an. Im Dunkeln sah es aus wie eine Art Propaganda Geschichte. Ulrich und Hartmut wurden beauftragt, es sofort zu entfernen. Wenn es getrocknet ist, mag es nicht mehr gehen. Olla wollte es nicht selber tun und auch nicht Grete beauftragen; wenn es etwas Kriegswichtiges ist, konnte es Ärger bringen. So konnte sie es auf die unmündigen Kinder schieben.

Am nächsten Tag, bei Tageslicht, stellte sich heraus, es war ein mit Schablone aufgebracht schwarzer dicker Mann mit einem offenbar Kohlensack auf dem Rücken. Eine so genannte Kohlenklau. Und auf der anderen Schaufensterscheibe

eine ähnliche Darstellung mit dem Text: „Pst – Feind hört mit“. Alle Nachbargeschäfte hatten es an den Scheiben, nur Photo-Meyer nicht. Die Scheiben wurden sicherheitshalber noch einmal geputzt, um den letzten Farbnachweis zu beseitigen. Photo-Meyer war eben vergessen worden!

Eine weitere Maßnahme wegen der zunehmenden Bombenangriffe auch auf Klein- und mittelgroße Städte war, dass die Besitzer von Häusern mit so genannten Berliner Doppelfenstern Anweisung bekamen, die inneren Fensterrahmen herauszunehmen. Das war gedacht, um auf diese Rahmen zurückgreifen zu können, wenn bei einem Bombenangriff, trotz der Anordnung, die Fenster geöffnet zu halten, die Scheiben des äußeren Rahmens zu Bruch gehen sollten.

Das Haus in der Richtstraße hatte solche Fenster. Die Rahmen wurden im Keller aufbewahrt.

Der große Nachteil war, dass die verbliebenen Fensterrahmen nicht hermetisch schlossen. Es zog durch die Ritzen und der Koksverbrauch stieg. Die Koksuteilung war sowieso schon gegen das Vorjahr von 100 auf 80 Zentner gekürzt. Mit Sand gefüllte Eimer mussten im Haus und auf dem Boden verteilt bereitgehalten werden. Dazu wurden so genannte Feuerpatschen geliefert, um die gefürchteten Phosphorbomben schneller löschen zu können. Der zuständige Luftschutzwart Rissmann vom Nachbarhaus hatte in Abständen die Einsatzfähigkeit zu kontrollieren. Olla ärgerte sich über den Nachbarn. Alle Männer waren eingezogen, nur Rissmann nicht, weil er ein doppeltes Bruchband trug, wie er schon immer vorbeugend erzählte. Olla fragte Albert vorwurfsvoll: „warum trägst du kein Bruchband?“

Die beiden Kinder waren immer und immer wieder erkältet, hatten am laufenden Band Mandelentzündung und alle gängigen Kinderkrankheiten zu überstehen. Das hat gewiss nicht an den undichten Fenstern gelegen, als an Ollas Übervorsicht, die keine Abhärtung zuließ. Hatte sich einer der beiden nasse Füße beim Rodeln oder Schlittschuhlaufen geholt, mussten die Mädchen ihm sofort heiße Milch mit Honig einflößen. Natürlich waren gleichzeitig die Strümpfe zu wechseln. Das Ergebnis: die Gören waren immer krank und malträtierten die Mädchen, trieben ihre Späße mit ihnen, verlangten, das Frühstück ans Bett gebracht zu bekommen, schon in „Babyhäppchen“ zurecht geschnitten. Nachdem Grete die Neigung verspürte, sich lieber eine Stellung im städtischen Krankenhaus zu suchen, musste Ausschau nach Ersatz gehalten werden. Es stellte sich heraus, dass diese Neigung daher rührte, dass sie ein Baby erwartete, und es wurde auch klar, warum sie ohne Protest gerne abends Dackel Pascha ausgeführt hatte.

Der Ersatz war nun Gerda (Name geändert). Sie kam vom Schuhhaus Mercedes am Markt, die auch nur noch ein Mädchen beschäftigen dürften. Gerda war 17, nicht mit einem besonders munteren Geist gesegnet, zudem sprach sie ein schreckliches deutsch. Olla wollte sie zu einem Sprachkursus zur Frauenschaft schicken, die Unterricht für die so genannten Volksdeutschen erteilten. Gerda weigerte sich kategorisch: „Das interessiert mich nicht“. Olla hatte nun eigentlich 3 Kinder im Haus. Die beiden Bengels trieben ihre Scherze mit der armen Gerda.

Ulrich machte sich daran, das Mikrofon aus dem Musikschrank zu missbrauchen, in dem er von seinem Zimmer aus, im 2. Stock, Kabel zum Musikschrank in der Diele legte, das große Telefunken Radio vorbereitete, um dessen Lautsprecher für eine vermeintliche Radiodurchsage zu verwenden. Gerda wurde unter einem Vorwand in die Diele gelockt. Ulrich unterbrach den Sender Königswusterhausen für eine wichtige Durchsage: „Fräulein Gerda wird wegen wiederholter unberechtigter Benutzung des Telefonanschlusses Landsberg/Warthe Nr. 2286 dringend wegen Verstoßes gegen das Kriegsrechtgesetz § sowieso, Präambel 13 gesucht. Wer den Aufenthalt dieser Person nachweisen oder zweckdienliche Hinweise geben kann, wird mit einer Summe von 1000 Reichsmark belohnt. Mitteilungen an jede Polizeidienststelle“. Gerda wurde blass, atmete schwer. Die jugendliche Stimme von Ulrich hatte sie in der Aufregung nicht erkannt und auch nicht für möglich gehalten, dass man so etwas über das Radio manipulieren kann. Gerda hatte auch einigen Grund erschrocken zu sein. Sie hatte Hartmut aufgestachelt, ihre alte Herrschaft, die Familie Panknin vom Schuhhaus Mercedes, zu ärgern. Wenn Gerda und Hartmut abends gemeinsam Pascha ausführten, dirigierte Gerda den Dackel wie auch Hartmut zielsicher zu Panknins am Markt. Sie hatte eine fast diabolische Freude, diese Familie zu belästigen, aus welchen Gründen auch immer. Sie ließ Hartmut kräftig die Haustürglocke drücken, um dann schleunigst wegzulaufen. Das wiederholte sich in regelmäßiger Folge. Damit nicht genug. Hartmut musste die Panknins häufig anrufen, um sie mit dümmlichen Fragen oder noch dümmlicheren Bemerkungen zu belästigen. Für ihn war das gewiss ein Kinderspaß. Den permanenten Aufforderungen Gerdas, auf seinem Schulweg zur Volksschule Zechowerstraße, den kleinen Umweg um die Marienkirche zu machen, um auch bei Tageslicht deren Klingel zu missbrauchen, ist er seltener nachgekommen. Hier überwog wohl eher die Faulheit, den Umweg zu machen, als Mangel an Schadenfreude.

Das Telefonieren, im Gegensatz zur Türglocke, mussten beide bald aufgeben, da Olla sich über die erheblich gestiegenen Telefonkosten wunderte und die Post, auf Veranlassung von Panknins nach Überwachung deren Anschlusses, auf das Verbot des Telefonmissbrauches während des totalen Krieges hinwies und mit Bestrafung und Telefonentzug drohte. Nicht nur Panknins wurden mit Telefonaten attackiert, sondern auch eine Fleischerei Storch in der Priesterstraße, wurde häufig um Lieferung eines Schwesterchens ersucht. Auf Gerdas Geheiß wurde die Walter-Flecks-Kaserne unter dem Namen der Polizei angerufen und barsch aufgefordert, gefälligst besser zu verdunkeln.

Albert besaß eine Walter PK Pistole, die ungeladen in der Nachttischschublade bei Olla lag. Hartmut ist mit ihr im Ränzel zur Schule gegangen und hat seine Mitschüler und Lehrer erschreckt. Lehrer Preuß zog Hartmut einige Stockhiebe über, drohte mit dem Kriegsgericht oder der Erziehungsanstalt und rief anschließend Olla an, die es wieder zurecht bog und versprach, dass er nicht auch noch mit den Zwilling- und Drillingsflinten aus der Dielendekoration in seiner Volksschule auftauchen würde, wie von ihm prahlerisch angekündigt.

Hartmut hatte noch andere Einfälle. Albert hatte kistenweise Inflations-Briefmarken in ganzen Bögen gehortet. Sie standen in drei vom Tischler Stimmel gefertigten Holzkisten ganz oben auf einem der Schränke im Schrankflur, dem Verbindungstrakt vom Ess- zum Schlafzimmer. Hartmut hatte seinen Freund Pütz Emig großzügig mit ganzen herausgerissenen Bögen und Blöcken ausgestattet. Walter Emig, Freund des Hauses, der selber Briefmarkensammler war, rief Olla an mit der Frage, dass das doch wohl nicht seine Richtigkeit haben könne, was sein Sohn Pütz an Marken und dann in diesem Zustand angeschleppt habe.

Hartmut war immer großzügig. Seine Freunde hatte er eingeladen zu einem Gartenbesuch in der Kladowstraße. Er wusste, wo der Schlüssel lag. Man wollte dort Räuber und Gendarm spielen, was man auch mit lautem Geschrei tat. Die Nachbarn meinten, es sei Kindergeburtstag. Die Pfirsiche waren gerade reif. Der Baum wurde völlig geplündert. Olla war natürlich nicht begeistert. Es setzte Ohrfeigen und wie immer wurde die Drohung ausgestoßen: „warte Bürschchen, wenn dein Vater kommt!“. Diese Gefahr wurde mit dem weiteren Kriegsverlauf geringer und geringer.

Es hinderte ihn nicht, sich über den Zigarrenbestand seines Vaters herzumachen. Offenbar hatte er es sich auf dem Balkon unter dem überdachten Teil gemütlich gemacht; dies trotz des schon gefallenen Schnees, um die verschiedenen Zigarrensorten und -größen auszuprobieren. Die Zigarren waren Alberts Stolz. Natürlich gab es keinen Nachschub mehr und Olla hütete sie für besondere Gelegenheiten und auch als Dankeschön für geleistete handwerkliche Arbeiten oder Hilfe bei Gartenarbeit. Nun, als der Frühling kam, wunderte sich Olla, was wohl gegenüber auf dem Dach des Fahrradschuppens lag; bräunliche, röhrenartige Gebilde. Nun, es kam heraus, dass es die von Hartmut angerauchten Zigarren waren, die er nach einigen Zügen und aufkommender Übelkeit über die Balkonbrüstung auf das Dach des Schuppens geworfen hatte, ohne zu bedenken, dass sie nach der Schneeschmelze wieder zum Vorschein kommen würden.

Es setzte erneut Ohrfeigen und es kam die obligate Drohung: „Na warte, wenn dein Vater....., ich habe alle Schandtaten aufgeschrieben“.

Es kamen noch zwei weitere Untaten hinzu.

Im Schrankflur, in den obersten Fächern, hortete Olla Damenbinden, auf deren Verpackungen nicht Camelia, wie vielleicht üblich, sondern nur „Hygiene“ stand. Hartmut hatte schon einmal eine Verpackung aufgerissen, um festzustellen, was das mit diesen Verpackungen auf sich haben könnte, den Sinn aber nicht erkannt. Beim obligaten Ärgern von Gerda und ihr auf den Hintern klopfen, hatte er festgestellt, dass man das wohl dort in der Gegend gebraucht, denn man konnte es dort beim Draufhauen wenigstens vermeintlich spüren. Da er das Wort nicht kannte und meinte es würde Hiigiine, also mit nur einem langen „i“ ausgesprochen, machte er sich seinen Spaß mit der armen Gerda, in dem er wiederholt versuchte, ihr einen „Popoklatsch mit Anlauf“ zu verpassen, und dabei laut Hiigiine, Hiigiine zu schreien und sich dabei fast totlachte.

Gerda beschwerte sich bei Olla.

Das zweite Vergehen ergab sich aus der Mitarbeit der Kinder beim Geldzählen, ja, buchstäblich beim Geldzählen. Wenn die Tageskassen im Geschäft abends abgeschlossen wurden, waren die Ergebnisse in das Kassenbuch einzutragen. Die Buchhaltung wurde von Ollas Freundin Lieschen Gäbel gemacht, die ihre Prokuristen-Stellung bei der Schuhfabrik Lemke, einer jüdischen Firma, wegen Schließung verloren hatte und der Dienstverpflichtung in einer Rüstungsfabrik entgehen wollte. Das Bargeld wurde über die Woche in einen Karton geworfen und im Geldschrank eingeschlossen. Sonntags setzte sich Olla mit den beiden Kindern im Herrenzimmer an den Schreibtisch, um die Massen von schmutzigen Geldscheinen zu sortieren. Hunderte von 1-Reichsmarkscheinen waren darunter. Alles musste glattgezupft und nach Werten gebündelt werden, um wenigstens einmal pro Woche zur Stadtparkasse gebracht zu werden.

Trotz der Registrierkasse stimmten die Summen nicht unbedingt, es gab auch Abweichungen, mal nach oben, mal nach unten.

Bei diesen Wochenendarbeiten zweigte Hartmut, vielleicht auch Ulrich, zusätzliches Taschengeld ab, was nicht sonderlich auffiel. Viel konnte man mit dem Geld ohnehin nicht anfangen. Ein geflügeltes Wort war „Geld spielt keine Rolle“. Das war besonders dann der Fall, wenn man etwas bekommen wollte, was es nicht mehr unbedingt gab, oder nur als so genannte Bückware von unter dem Ladentisch. Mit dieser Aussage hoffte man auf bevorzugte Bückbereitschaft einer Verkäuferin.

Erstaunlicherweise gab es noch lange Eiscreme und dieses ohne Marken. Bei Luigi Tragella, der von Groß und Klein geliebten italienischen Eisdieler mit den Marmortischen am Markt oder bei dessen Konkurrenz in der Richtstraße zwischen der Kreissparkasse und dem Kaufhaus Henke, konnte man dieses Geld noch ganz gut umsetzen. Dann gab es noch die Brause, die es in Landsberg in den üblichen Flaschen aber mit eigenwilligem Flaschenverschluss gab. Der bestand nicht aus dem üblichen Bügel mit dem Gummiring, sondern aus einer Glaskugel in der Flasche, die wohl durch den Druck der in der Brause enthaltenen Kohlensäure von innen in den Flaschenhals gedrückt wurde und die Flasche luftdicht verschloss. Wollte man trinken, musste man erst mit einem harten Gegenstand diese Kugel in die Flasche zurück drücken, bis etwas von der Kohlensäure entwichen war und der Druck nachließ. Mit diesem geldlichen Zubrot aus der Zählarbeit kam Hartmut ganz gut über die Runden.

Die Geschichte flog auf, in dem man ihm eine Falle stellte, in die er prompt tappte. Die Entschuldigung, er hatte seiner Mutter ein Führerbild davon in der Buchhandlung Schaeffer & Gomp. von Wilhelm Ogoleit, zu ihrem Geburtstag gekauft, half ihm nicht. Er bezog von Olla eine Abreibung wie nie zuvor, verbunden mit dem erneuten Hinweis: „warte bis dein Vater kommt!“ Nun, an dieser Führerbild Geschichte war etwas Wahres dran. Da es nichts von bleibendem Wert gab, was seine Mutter so liebte, kam er auf die Idee, bei Herrn Ogoleit, der übrigens neben der Buchhandlung Schaeffer die zweitgrößte private Goethe-Sammlung

Deutschlands besaß, ein Hitlerbild für sie zu erstehen. Das konnte von, bleibendem Wert sein, dachte er sich. Wenn es auch sonst nichts gab, bei Führerbildern war noch keine Verknappung eingetreten, zu dem war der Führer im ganzen Haus noch nicht vertreten. Ogoleit sah über seine Brille, er wusste wo Hartmut hingehörte, fragte: „na, mein Sohn, wird sich deine Mutter auch darüber freuen?“ Ja, ja, gewiss. So etwas hat sie noch nicht. Olla hatte bei der Überreichung keine Miene verzogen. Sie hängte es tatsächlich in der Diele über der Zentralheizung auf, das war eigentlich gleichzeitig ein verzierter Wärmeschrank mit zwei von Ornamenten durchbrochenen gusseisernen Türen versehen. Darüber, an dieser exponierten Stelle, hing nun das Führerbild, von dem Hartmut glaubte, da es dort hing, er seiner Mutter damit auch eine Riesenfreude gemacht zu haben. Dass er zur Finanzierung in die Kasse gegriffen und dafür Prügel bezogen hatte und den Ehrverlust hinnehmen musste, konnte er unter diesen Umständen nicht ganz verstehen. Olla stellte dazu auf die Heizung die schon vor Jahren als Auszeichnung von Osram erhaltene Bronzestatue von Adolf Hitler, die bis zum Umbau des Büros dort ihren Platz hatte. Es ist zu vermuten, dass dieser „Hitleraltar“ eine Alibifunktion zur Führertreue einnehmen sollte, denn Olla hatte keine Skrupel, unter der nun doppelten Beobachtung des Führers des Großdeutschen Reiches um Mitternacht weiter BBC abzuhören. Dabei sahen ihr auch die Ahnen der Familie zu. Albert hatte über die Jahre eine Ahnengalerie von den Schindels und den Meyers angelegt. Das waren Fotografien seit Anbeginn, etwa 1860 oder Kopien von Ölbildern oder Zeichnungen der Verwandtschaft, die teilweise bis 1600 zurückgingen. Diese Bilder hingen alle schön gruppiert in der Diele. Der Stolz der Familie, weniger von Hartmut. Er liebte es ganz und gar nicht, wenn seine Spielgefährten ihn fragten, wer um Himmels willen diese finster daherblickenden alten Frauen und Männer seien, die mit Vaternörder und die Frauen allenfalls mit weißen Kragelchen, sonst aber schwarz gekleidet, streng und glatt gescheitelt, Besucher ins Visier nahmen. Alle Bilder waren dazu auch noch einheitlich schwarz gerahmt. Er pflegte gelangweilt zu antworten: „mein Vater sammelt alte Bilder“. Er wollte doch um keinen Preis zugeben, dass diese Gestalten seine Verwandten waren.

Am 22. November 1943 tauchte aus Frankfurt/Oder eine Ankaufskommission der „Wehrersatz-Inspektion“ auf. Der Opel wurde beschlagnahmt. Olla musste ihn herausrücken. Alle Extras wurden sauberlich aufgeschrieben. Die Schonbezüge durfte sie behalten, die abknöpfbaren Seitenteile ebenfalls, wie auch die noch gefüllten Benzinkanister als besondere Geste. Sie holte sich Ollas Neffe Artur Wendland mit dem Motorrad ab. Der Kadett mit der Nr. IE 198918 war genau 8997 km gelaufen. Der Familie wurde angeboten, noch einmal eine Abschiedstour durch die Innenstadt zu machen. Olla und Hartmut nahmen teil und gleichzeitig Abschied, Ulrich war zu einer HJ Übung. Das Auto wurde geschätzt und auch ordnungsmäßig bezahlt.

Gleich darauf musste die Skiausrüstung für den Winterkrieg abgegeben werden. Das hatte eigentlich schon 1941 geschehen müssen. Beim zweiten Aufruf konnte es Olla nicht noch einmal überhören. Allerdings rückte sie die Skistiefel

nicht heraus, die konnte man noch brauchen. Viel zu klein für Soldatenfüße, was wenigstens in ihrem Falle mit Größe 36 stimmte.

Die Frontlage wurde immer prekärer, das nicht nur an der Ostfront. Die deutschen und italienischen Truppen unter Rommel und v. Armin mussten im April 1943 Nordafrika räumen. 250.000 Mann kamen nach Einnahme von Tunis und Biserta durch die Engländer und Amerikaner in Gefangenschaft, sie hatten sich nicht mehr nach Sizilien retten können. Sizilien konnte ebenso wenig gehalten werden. Die Truppen waren gezwungen, sich über die Straße von Messina auf das italienische Festland zurückzuziehen. Unter dem Eindruck der Niederlage wollten die verbündeten Italiener wie die Ratten das sinkende Schiff verlassen.

Im Juli wurde Mussolini gestürzt und gefangen gesetzt. Der neue Ministerpräsident trat sofort in Verhandlungen mit den Alliierten ein. Es kam zum Waffenstillstand, der König floh nach Bari. Am 10. September 1943 ließ Hitler Rom besetzen, die italienische Armee entwaffnen. Mit einer spektakulären Aktion wurde Mussolini, der Duce, von dem deutschen Major Skorzeny aus seiner Haft auf dem Berg Gran Sasso befreit. Eine neue Nord-Italien Republik wurde gegründet, die ganze Aktion als Riesenerfolg gefeiert, um über die Niederlagen an allen Fronten hinweg zu täuschen. Die politischen Witze, die schon lange in der deutschen Bevölkerung kursierten und unter Androhung der Todesstrafe zu verbreiten verboten waren, wurden bereichert durch einige neue: „Welches ist das dünnste Buch der Welt?“ Antwort: „Die italienischen Heldensagen“. Die Landser machten ihre bössartigen Bemerkungen über die Verbündeten: „Die Italiener?“, „sie kämpfen in klassischer Phalanx. Der Fahnenträger vorneweg mit der italienischen Kriegsflagge: weißer Adler auf weißem Grund !“ Oder „Führer und Duce regieren, die Völker krepieren“.

Die in Südfrankreich seit November 1942 gebundenen deutschen Truppen konnten nicht entlastend in Italien eingreifen. Hitler misstraute der nach dem Frankreich-Feldzug für das nicht besetzte Südfrankreich eingesetzten Vichy Regierung unter Marschall Petain. Diese Truppen hätte er dringend gebraucht, als im Oktober 1943 die königliche Regierung Italiens dem Deutschen Reich den Krieg erklärt.

Das war alles nicht über die deutschen Sender zu erfahren. Sicher musste man die Meldungen der ausländischen Sender auch mit einer Prise Salz genießen und den Wahrheitsgehalt abwägen.

Ende 1943 wurden bei Photo-Meyer drei der größten und vollgekachelten Kellerräume beschlagnahmt. Alles musste leer geräumt werden, die Bottiche mit dem Entwickler, die Kisten mit Ollas Porzellan, das Tafelsilber, die Pelzmäntel, die Koffer von Major Westphal aus Berlin, die Koffer und Kisten von Ollas Schwester Emma aus Hamburg. Das war alles wegen zu erwartender Bombenangriffe in den Kellern verstaubt worden, es musste auf die verbliebenen Räume verteilt werden.

Eine Behörde in Berlin nahm Umbaumaßnahmen vor, eine Tür wurde eingebaut, die diese drei Kellerräume von den anderen abtrennte. Die Räume wurden belegt von einer Textilfirma Alexander Berger aus Berlin-Wilmersdorf. Mit

zwei Lastwagen wurden Kleider- und Gardinen-Stoffballen angeliefert. Das war alles Ware, die es nur auf Bezugschein gab, also bewirtschaftet war. Die Bergers lagerten auch große Holzkisten gefüllt mit ihrem privaten Besitz ein. Das war in Landsberg sicherer als in Berlin, meinten sie. Die Kellerräume wurden anschließend versiegelt. Olla musste unterschreiben, dass eine Beschädigung der Siegel mit Zuchthaus oder Konzentrationslager geahndet würde, sie auch für Beschädigung durch andere hafte. Verschiedentlich tauchten Leute von Berlin auf, die Ware abholten oder neue brachten und erneut versiegelten.

Albert kam überraschend am 23. Dezember 1943 von der Ostfront auf Weihnachtsurlaub, für 7 Tage. Hartmut fürchtete Übles wegen all der aufgelaufenen Missetaten.

Es war fast ein Wunder, dass man Albert den Urlaub genehmigt hatte. Die deutsche Wehrmacht mit ihren verbliebenen Verbündeten war an allen Fronten auf dem Rückzug. Viele deutsche Städte lagen bereits in Schutt und Asche.

Hartmut bekam von seinem Vater allerdings erst nach dem Weihnachtsfest für alle begangenen Schandtaten kräftige Prügel, eine moralische Standpauke schloss sich an. Er musste auch für einige Vergehen seines älteren Bruder herhalten, der geschickter argumentieren und viele Dinge seinem doofen Bruder in die Schuhe schieben konnte. Diese Abreibung mit Stock und Hand fiel im wahrsten Sinne des Wortes so handfest aus, weil Hartmut trotz eindeutiger Beweise nach wie vor hartnäckig leugnete, in der rechnerischen Höhe in die Kasse gegriffen zu haben. Das Hauptargument seines Vaters war, dass das Personal verdächtigt wurde und erst mit dessen Hilfe schließlich der Übeltäter überführt werden konnte. Hartmut tat schwer beleidigt, blamiert bei Personal und Familie und außerdem, was brauchte er einem Vater, der, wenn er kommt, ihn nur zu verprügeln weiß. Hätte er sich doch nur von Hans Naß adoptieren lassen. Sein Vater lachte nur abschätzig darüber, wer wird dich schon adoptieren?

Die Strafzumessung hatte zur Folge, dass man auch in Hartmuts Gesicht die Abdrücke der väterlichen Finger über Tage wahrnehmen konnte, die am Hinterteil naturgemäß weniger.

Gott sei Dank waren Ferien, so brauchte er nur seinen Spielkameraden und Besuchern auf die Frage: „mein Gott, was hast du denn gemacht?“ zu antworten. Die Erklärung war ziemlich umständlich. Er sei zur Kreissparkasse geschickt worden und sei auf der Höhe der Marienkirche und gegenüber von Thams & Garffs auf einer im Rinnstein liegenden Bananenschale ausgerutscht und sehr unglücklich gefallen. Die Tatsache, dass es seit Jahren schon keine Bananen mehr gab, mag seinen Spielfreunden nicht aufgefallen sein, den erwachsenen Besuchern wohl schon.

Albert berichtete wieder seinen engsten Freunden von der Frontlage im Osten Kiew und Shitomir waren schon wieder verloren gegangen. Die Russen standen nun im Mittelabschnitt unmittelbar vor den ehemaligen Siedlungsgebieten der Schindels Rowno und Luzk. Rückzug überall. Derartige Berichte konnten und wurden mit Kriegsgericht bestraft. Olla berichtete, was sie über BBC von der Frontlage in Südeuropa wusste. BBC sprach von baldiger Invasion an der Westfront. Die deutsche Bevölkerung wurde laufend zur Kapitulation aufgefordert, man folge einem

verbrecherischen Führer, die Luftangriffe würden noch verstärkt werden. Der Krieg sei verloren, Deutschland solle unnötiges Blutvergießen vermeiden. Man hatte auch Thomas Mann und die Schauspielerin Lucie Manheim zu einem Aufruf veranlasst, die ebenfalls zur Aufgabe rieten. Nichts hörte man über die Konzentrationslager und was dort geschah, nichts, gar nichts. Es war verwunderlich. Natürlich wussten die Alliierten durch ihre Aufklärung, was sich in den KZs abspielte. Dieses Thema schien tabu zu sein.

Dass der Krieg verloren war, das wusste nun jeder halbwegs intelligente Mensch. Dazu brauchte man nicht mehr BBC zu hören. Man wollte es nur nicht wahrhaben. Niemand ist so blind, wie der, der nichts sehen will, meinte Olla häufig. Selbst ihre Freundin Meta Brandt, die schon einen Sohn an der Ostfront verloren hatte, vertrat häufiger die weit verbreitete Meinung: „der Führer wird schon wissen, was er tut“. Und da ist ja noch die Wunderwaffe, oder?

Albert bekam zwischen Weihnachten und Neujahr durch Kurier die Nachricht, sich nicht bei seiner Einheit im Osten zu melden, sondern sich am 31. Dezember 1943 beim Grenadier Ersatz- und Ausbildungsbataillon 468 in Füssen, im Allgäu einzufinden. Also weg von der Ostfront. Es schien im Süden noch heftiger zu brennen. An den BBC Meldungen musste etwas dran sein. Die Achse Rom-Berlin war auseinander gebrochen, Deutschland hatte nun auch noch die Italiener gegen sich.

Es war erstaunlich, wie viele Dinge im Alltag im Reich noch so liefen, wie sie liefen. Im Landsberger Stadtpark wurde in diesem Kriegswinter wie immer die Wildwiese geflutet. Die Eisbahn wurde gepflegt, der Schnee durch Fremdarbeiter geräumt. Die Kinder liefen Schlittschuh, die Aufwärmehalle war geheizt, es gab Heißgetränk. Die Musikanlage lief und dröhnte über die Eisbahn. „Mamatschi, schenk mir ein Pferdchen“, „Das blonde Kätzchen“, „Nachts ging das Telefon“ und natürlich Marschmusik. Ulrich weigerte sich, seinem Bruder das Schlittschuhlaufen beizubringen. Nach Protest von Olla tat er es, aber nur eine Runde. Zu Anfang darf man nicht übertreiben, meinte er! Dann machte er sich mit seinen Freunden von dannen. Da waren Günter Brandt und Karl-Friedrich Emig ganz anders. Sie nahmen mit ihren Freunden Hartmut in die Mitte und in rasendem Tempo zogen sie ihn über das Eis. Häufig erbarmte sich der Familienfreund und Juwelier Eduard Bartsch. Sein Geschäft war geschlossen, nicht kriegswichtig, er hatte Zeit. Er fuhrte Hartmut in die hohe Kunst des Schlittschuhlaufens ein. Schnell laufen kann jeder Idiot. Er hatte holländische Kunstlauf-Schlittschuhe untergeschmalt, vorne mit Rundbogen. Gib mir die Hand, Hartmut. So, jetzt einen Bogen nach links ziehen, jetzt einen Bogen nach rechts. Das nichtbelastete Bein jeweils in die Höhe heben. Da er nicht zu den Idioten gehörte, ging das alles sehr gemächlich vonstatten. Das im Dreivierteltakt zur Melodie: „Wiener Blut“. Hartmut wäre natürlich mit seinen Hackenabreiffier-Schlittschuhen lieber selber über das Eis gepest, wie die Landsberger sagten, als diese Eisballett-Vorstellung mit Eduard Bartsch zu geben; ein wenig zum Gespött der jüngeren Generation. Und hoffentlich sah ihn niemand von seiner Klasse!

Schön waren die Mondschein-Rodelpartien auf der Schönfließpark Rodelbahn, zu der Hartmut manchmal mit durfte. Aber die städtische Anlage, in einem künstlich angelegten Hohlweg mit „Hubbel“, war auch am Tage schon. Am Start hatte es einen Reetdach-Pavillon. Hier achtete tagsüber wie auch abends ein Wachter für Sitte und Ordnung, der „Nante“ genannt wurde und bei den Benutzern der Anlage gefürchtet war. Gehöriger Abstand von Schlitten zu Schlitten hatte eingehalten zu werden, und die Landser durften den Mädchen bei rasender Abfahrt nicht vor Aufregung versehentlich hinfassen, wo es selbst in Notfällen nicht schicklich war. Ein permanentes Juchen ging über die Rodelbahn. War sie gut vereist, erreichte man mit dem Schlitten fast Alberts und Ollas Grundstück in der Kladowstraße 39. Die Laborantinnen liehen sich gerne von Photo-Meyer die 3-Sitzer-Schlitten für eine Abendpartie aus. Olla hob warnend den Finger, lasst euch nicht mit den Soldaten ein und macht kein Kleinholz aus den Schlitten, es gibt keinen Ersatz!

Der Drill der Schulkinder wurde verstärkt. Hartmut hatte nur noch alte und kriegsversehrte Lehrer an der Volksschule. Bei Ferienbeginn und -ende oder Nationalfeiertagen mussten die Kinder, die selbst noch zu jung waren, um dem so genannten Jungvolk ab 10 Jahren eingegliedert zu werden, auf dem Schulhof zum Fahnenappell antreten. Der rechte Arm musste von ihnen während des Absingens der Nationalhymne: „Deutschland, Deutschland über alles“ und anschließend beim Horst-Wessel-Lied: „Die Fahne hoch, die Reihen fest geschlossen“, zum Hitlergruß erhoben bleiben. Langsam aber sicher erlahmte die Kraft, den Arm solange schräg nach oben zu halten. Die Kinder fingen an, den rechten Arm mit dem linken abzustützen.

Das war nun ganz und gar nicht im Sinne eines etwa gut 25-jährigen Herrn Rogge, der die Unterstufen unterrichtete und erstaunlicherweise in diesem Alter nicht eingezogen war, selbst im totalen Krieg noch über ein Motorrad verfügte und was noch verwunderlicher war, auch dafür Benzin hatte, um es zu fahren. Damit imponierte er den mit offenen Müulern dabeistehenden Erstklässlern, wenn er mit aufheulendem rr, rr, Getöse davon donnerte.

Dieser zackige Rogge brüllte die Kinder auf dem Schulhof an. Die Soldaten kämpfen für euch gegen die roten Horden, geben ihr Leben für Führer, Volk und Vaterland, verbluten für euch an der Front und ihr Schlappschwänze könnt noch nicht einmal den Arm erhoben halten. Wartet, wenn ihr ins Jungvolk kommt, dann werden wir Männer aus euch Memmen machen, dass eure Mütter euch nicht wieder erkennen. Bedripts zogen die Bengels nach Hause, vorbei am Karl-Teike-Denkmal, der den Marsch „Alte Kameraden“ komponiert hatte, und dachten, wäre vielleicht doch schön, so eine Art Rogge zu sein und die noch jüngeren ähnlich zusammenschießen zu können. Oder noch besser, als Held gefeiert zu werden, wie der Nachtflieger Helmut Lent aus Pyrehne, dem Nachbardorf, den sein Dienstherr Hermann Göring mit dem Orden: „Brillianten zum Ritterkreuz mit Eichenlaub und Schwertern“ ausgezeichnet hatte, oder so eine Art Werner Mölders, oder der U-Bootfahrer Günter Prien. Deren Bilder trug man im Ränzel, wie die von Hans Moser, Theo Lingen oder Heinz Rühmann.

Hartmut versuchte auf einem der Heimwege von der Schule seine Fäuste für den Kampf gegen die roten Horden zu trainieren. Gelegenheit bot ihm ein neuer Mitschüler in seiner Klasse, Verwandtschaft von den Jaenes, die eine Maschinenfabrik in Landsberg besaßen. Dieser Junge aus Kiel hatte mit seiner Mutter Unterschlupf bei Jaenes gefunden, um die Bombenangriffe zu entgehen. Selbiger hatte sich erdreistet zu behaupten, dass Landsberg gegen Kiel ein elendiges Nest sei. Selbst die anglo-amerikanischen Terrorbomber würden Landsberg verachten, sonst hätten sie ihre Bomberverbände schon längst vorbeigeschickt. Stolz erzählte er von den durchlebten Bombennächten in Kiel, den Bunkererfahrungen, den erdbebengleichen Erschütterungen, wenn die Bomben explodierten, den Feuerbrünsten usw. Wichtiguerisch zeigte er die gesammelten Bombensplitter. Hartmuts Ärger über die Hamburger Verwandtschaft, die ihm nicht die gewünschten Bombensplitter, dafür aber nur ein Paar Rollschuhe geschickt hatten, entlud sich in einer Prügelei zwischen den beiden Jungen, wobei der Jaenische Knabe für die unerhörte Beleidigung Landsbergs eine blutige Nase davontrug und seiner Pudelmütze verlustig ging. Olla musste später aus eigenem Bestand eine neue Mütze stiften, nachdem die Jaenes anriefen und für ihren Neffen die Pudelmütze wiederhaben wollten. Die Prügel seien vielleicht ganz wohltuend für ihn gewesen, wie sie meinten, aber Pudelmützen seien heutzutage kaum noch zu ersetzen.

Zu den Bombensplittern wären die Landsberger Kinder fast gekommen. Eines Nachts ging die Sirene. Fliegeralarm. Olla machte beide Kinder wach, sie blieben aber in den Betten liegen um abzuwarten, was der Drahtfunk sagt und ob sich etwas täte. Auf einmal gab es eine Detonation, eine Erschütterung folgte. Lautes Geschrei draußen von dem Luftschutzwart. Alle drei sausten barfuss in den Luftschutzkeller, der auch gleichzeitig der Kohlenkeller war. Das war alles, es gab bald wieder Entwarnung.

Am nächsten Tag hielt Volksschullehrer Rogge einen Appell auf dem Schulhof ab. Schneidig brüllend unterrichtete er die Kinder und die teilnahmslos dabei stehenden alten Lehrer, anglo-amerikanischen Terrorbomber hätten in der vergangenen Nacht Landsberg angegriffen. Alles, was sie bezeichnenderweise getroffen hätten, wäre das Scheißhaus für die Ostarbeiter auf der Baustelle der I.C. Farben Industrie in der Friedeberger Chaussee gewesen. Alle sollten hingehen, um sich den Krater anzusehen mit den Resten des Scheißhauses darin. Das sei typisch für die feindlichen Bomber. Über das Stadtgebiet hätten sie sich gar nicht getraut, weil sie die Hosen voll haben. Die Flak hätte sie erfolgreich abgedrängt. So kämpfen wir! Ihr Hosenscheißer solltet stolz sein auf unsere Jungs an der Flak. Die Tatsache, dass es in Landsberg gar keine Flak gab, die Stadt völlig ungeschützt war, wagte niemand von den eingeschüchterten Kindern zu sagen, wahrscheinlich kamen sie auch gar nicht auf diese Ungereimtheit. Die Lehrer hatten aber ebenfalls nichts dazu zu sagen oder zu fragen. Der Landsberger General-Anzeiger berichtete dann in ähnlicher, zwar mehr akademischer Form über den wahrscheinlichen Notabwurf eines abgedrängten feindlichen Bombers. Hier

wurde auch der Ausdruck Toilettenhäuschen gewählt. Später wurde hinter vorgehaltener Hand behauptet, die Partei habe das Scheißhaus demoliert und dann wegen der besseren Propagandawirkung in den Krater geworfen. Die Kinder hätten zu gerne den Krater um und dumm gegraben, um einen begehrten Bombensplitter zu finden. Die I.C. Farben sperrten aber das Gelände schnell wieder hermetisch ab. Es war streng geheim, was auf dem Gelände geschah oder was produziert wurde.

Man tuschelte: „die machen da Perlonfaden, eine neue Kunstfaser, vielleicht für Fallschirme!“

Anfang 1944 kam Theodor Kröger nach Landsberg. Er war der Autor des bekannten Weltkriegsroman: „Das vergessene Dorf“ und später „Heimat am Don“. Im Zuge der Wehrmachtsbetreuung las er aus seinen Büchern vor Soldaten in der General-v.Strantz-Kaserne. Kröger stammte aus St. Petersburg, war auf der Flucht nach Deutschland 1914 verhaftet und nach Sibirien verbannt worden. Ollas baltische Freundin Wolja kannte die Familie und stellte die Verbindung zu Theodor Kröger her. Das Herrenzimmer und das Esszimmer wurden aus- und umgeräumt, die ausgelagerten Ölgemälde von der bekannten Landsberger Malerin Käthe Bahr wieder aufgehängt und einiges vom Porzellan vorübergehend aus dem Keller geholt und in die aus poliertem Kirschbaumholz und innen hell mit Ahornholz ausgekleideten Vitrinen und auf die Anrichte gestellt, alle Stühle aus dem Haus zusammengetragen und Kröger las vor einem privaten Kreis. Die baltischen Freundinnen und natürlich die Landsberger Freundschaften wurden eingeladen. Olla stiftete von dem noch vorhandenen Wein, Alberts Hausmarke „Zeller Schwarze Katz“ aus den Vorkriegsbeständen und von den von Hartmut noch übrig gelassenen Zigarren. Herren waren weit in der Minderzahl, sie kämpften an der Front für den Endsieg!

Ähnliches wiederholte sich dann im Frühling des gleichen Jahres. Mia Munier-Wroblewska kam nach Landsberg. Sie las bei der Frauenschaft im Volks-Wohlfahrtshaus und in der Aula des Hermann-Göring-Gymnasium aus ihrem Zyklus „Unter dem wechselnden Mond“. Sie hatte von dem Wroblewski das „ki“ in „ka“ ausgewechselt, wohl um das polnische „ki“ besser in eine russische Endung einzutauschen. Das russische „ka“ muss wohl noch eher zu ertragen gewesen sein, als das polnische „ki“. Olla kannte sie von Kurland her. Das Ehepaar Munier-Wroblewski hatte um 1910 herum ein Nebenhaus von den Schindels in Dexten gekauft. Olla hatte bei ihr Klavierunterricht gehabt. Jener Zeit hatte sie Schwierigkeiten, Verleger für ihre Bücher zu finden. Die Munier war stramme Nationalsozialistin. Jetzt hatte sie keine Probleme mehr, einen Verleger zu finden. Das übernahm nun der Parteiverlag Eher in München. Da einige der Gäste ihr schon bei der Frauenschaft oder in der Aula zugehört hatten, las sie bei Olla aus ihrem neuesten Buch: „Niklas Koppelnig“, einem Kopernikus Roman. Sie wohnte nicht bei Olla, sondern entweder bei den v. Klots oder bei der Familie des Kommandeurs Oberst v. Hase von der General-v.Strantz-Kaserne auf dem Lugeberg. Olla ärgerte sich über die Munier. Einmal, weil sie ihre Gastfreundschaft als

selbstverständlich hinnahm, ohne sich viel zu bedanken, das war ohnehin Art der Baltendeutschen. Sie standen einfach vor der Tür. Zum anderen über die nachhaltigen Vorwürfe und das Unverständnis, dass Olla zu keiner Partei-Formation gehörte. Nicht einmal zur Frauenschaft, das sei in der gegenwärtigen schwierigen Situation der deutschen Nation kaum zu tolerieren. Darüber redete sie Olla, wie damals schon bei den Klavierstunden, immer noch mit Kindchen an, was sie nun gar nicht ausstehen konnte, auch wenn sie fast 20 Jahre jünger war als Mia Murnier. Es wurde in den letzten Kriegsjahren en vogue, Lesungen oder Musikabende zu veranstalten, da außer Kino kaum noch ein kulturelles Angebot zur Verfügung stand. So hatte sich der Stadtkämmerer und Bürgermeister Hans Dowidat für Musikabende in seiner Wohnung in der Kaserne in der Meydamstraße entschieden. Er spielte Klassik auf dem Blüthner Flügel und beherrschte darüber hinaus auch gut das Cello. Diese stimmungsvoll von Irmgard Dowidat, die eine geborene Tessmer vom Gut Drossen war, arrangierten Abende in der so genannten „Landsberger Gesellschaft“, waren von Olla sehr geschätzt. Sie lenkten vom trostlosen Kriegsaltag ab. Im engeren Freundeskreis wurde „Doppelkopf“ gespielt. Kamen 40 Augen auf dem Tisch zusammen, hörte man die Spieler singen: „Ehrsame Bürger der Stadt Doppelkopf“. Die Kinder wachten nicht selten von dem Lärm auf und beschwerten sich.

Die Seiten der Todesanzeigen von den Gefallenen im Landsberger General-Anzeiger wurden immer umfangreicher, die Aushänge über die nicht wiederkehrenden ehemaligen Schüler im Hermann-Göring-Gymnasium ebenso. Die Kunden bei Photo-Meyer trugen immer häufiger schwarz. Von Albert wusste man nur, dass er offenbar in Süditalien stationiert war. Hartmut hatte von seinem Vater ein gepresstes Edelweiß haben wollen, das einer seiner Schulfreunde von seinem Vater bekommen hatte und stolz in der Klasse herumzeigte. Albert schrieb zurück, dass es das allenfalls in den Abruzzen gäbe, die aber passiert seien. Er freue sich, bald die Kunststadt Florenz sehen zu können. Das ging durch die Zensur. Dieser versteckte Hinweis deckte sich mit BBC, so konnte man die gegenwärtige wahre Frontlinie ermitteln.

Ulrich war bei der Reiter HJ gelandet. Dowidats konnten ihn beim Reiten und Pferdestriegeln auf dem alten Kasernenhof von ihrer Wohnung aus beobachten. Er war nun gut 14 Jahre alt. Die Bürschchen wurden schon fast militärisch gedrillt. Das Ausmisten der Ställe, das Füttern und endlose Kardätschen der Pferde war in der Dienstzeit nach der Schule schwere körperliche Arbeit. Er kam abends fluchend, verstaubt und verdreckt nach Hause und überlegte erneut, wie er den Dienst schwänzen und welche Ausrede er tippen und Olla zur Unterschrift vorlegen sollte. Hartmut hatte Ulrich anlässlich eines Kindergeburtstages bei Wölfchen Dowidat von dessen Kinderzimmerfenster aus beim Ausmisten des Stalles beobachten können. Hartmut riss das Fenster auf und brüllte hinunter: „macht Spaß, was?“. Die Kinder lachten lauthals und schrieten: „der muss Pferdescheiße fahren, ha, ha“. Als Hartmut abends nach Hause kam, gab es eine Prügelei. Ulrich rächte sich für die Genugtuung, die sein Bruder genossen hatte, seinen klugen Bruder

Pferdeapfel kamen zu sehen und ihn bloßzustellen vor den anderen Kindern. Ihm wurde angedroht: „das machst du nicht noch einmal mit mir!“

In der verbleibenden Freizeit werkten Ulrich und Eberhard Stephani auf dem Spitzboden. Sie hatten ganze Kunstwerke an Spielzeug aus den leeren Holz und Metallspulen der Rollfilme geschaffen. Otto Tietz, ein langjähriger Freund der Familie und fröhlicher Sänger deutscher Volkslieder, lieferte aus eigenen Holzbeständen das Material. Tietz war Leiter des Landsberger Segelfliegervereins. Da gab es noch wertvolle exotische Holzbestände für die Jungs aus der Vorkriegszeit. Sie konnten sich der vielen Aufträge nicht erwehren. Sie nahmen die Angebote von Klassenkameraden an, bei den Bastelarbeiten mitzuhelfen. Es gab immer weniger zu kaufen und Kinderspielzeug passte schon gar nicht in die Kriegslandschaft. Hartmut hätte sich zu gerne an den Vorgängen da oben auf dem Spitzboden beteiligt. Die großen Jungs wollten ihn verständlicherweise nicht dabei haben.

Auf dem Trockenboden gab es einen bisher niemals benutzten Metall-Räucherschrank, den Olla in Gang setzen ließ. Wenn dieser auch direkt an einen Schornstein angeschlossen war, stank es jetzt nach Inbetriebnahme oben trotzdem erheblich nach Rauch und Fisch. Olla bekam den Fisch über Beziehungen von Fichtwerder und Berneuchen, wo es Fischzuchtanstalten gab. Hier konnten die Behörden die Fänge und Bestände nicht eindeutig prüfen. Selbstverständlich waren Fische auch bewirtschaftet und im Geschäft „Nordsee“ in der Richtstraße gab es schon lange keinen mehr ohne Marken zu kaufen. Die Jungs bauten sich eine zusätzliche Tür zum Spitzboden ein, einmal, um die Wärme dort oben zu stauen, die über einen Petroleum-Ofen geliefert wurde, den Fischgeruch abzuhalten, wie aber auch Hartmut besser aussperren zu können.

Der war arm dran. In unmittelbarer Nähe gab es keine Kinder seines Alters. So schlich er sich gern im Geschäft in die Dunkelkammer zu den Mädchen, um ihnen beim Entwickeln der Filme, Kopieren oder Vergrößern zuzusehen. Außerdem sangen die Laborantinnen die neuesten und gängigen Schlagen „Komm zurück, ich warte auf dich“, „Hein spiek abends so schon auf dem Schifferklavier“, „Fahr mich in die Ferne mein blonder Matrose“. Hartmut kannte sie alle, denn abends gab es die beste Musik über den Soldatensender „Belgrad“, mit dem jeweiligen Tages-Schlusslied „Lili Marleen“ und später, als die nötig singende Lale Andersen in Ungnade gefallen war, das Heidrun Schlaflied, „Bringt dich Mutter zur Ruh““. Die Texte wurden in der „Grüne Post“ abgedruckt, so dass sie den Mädchen geläufig waren.

Im April 1944 handelte sich Hartmut Diphtherie ein, nachdem beide Jungs fast schon alle Kinderkrankheiten hinter sich gebracht hatten. Olla engagierte eine pensionierte Krankenschwester, Juliane Wendt, die nun über Wochen Hartmut die Zeit vertreiben sollte. Tante Julchen wollte sie genannt werden. Noch eine Nenntante dazu, zu den schon vielen anderen. Nachdem sie an Hartmuts Bett gestürzt war und sich als „Dr. Eisenbart, kurier' die Leut' auf meine Art, kann machen, dass die Blinden geh'n und die Lahmen wieder sehe'n“, vorstellte, hatte sie sofort gewonnen. Tante Julchen wurde der Liebling der Kinder. Sie spielte

mit Hartmut endlos Lotterie, brachte ihm das Stricken von Topflappen bei, verstand aus Haferflocken und Ollas Restbeständen an Kakao gutschmeckende Schokoladen-Leckerli in Trüffelform zu produzieren. Und dann konnte sie wunderbar erzählen. Sie war 1938 mit der „Deutschland“ nach Amerika gefahren, ihre dort in einem Krankenhaus in Chicago arbeitende Schwester zu besuchen. Da waren die Geschichten von den vielen Seekranken auf der „Deutschland“, der Landreise mit der Bahn fast über den ganzen Kontinent, um endlich am Michigan-See anzukommen. Die Wolkenkratzer, ja, und einmal gab es ein Erdbeben, die hohen Häuser schwankten, wie Schilf im Wind am Steegsee. Nun, das waren Geschichten, da konnte man immer und immer wieder zuhören, sie wurden mit der Zeit auch immer fantastischer.

Dr. Göhler und Dr. Schreuder, die beiden Hausärzte, wechselten sich bei den vielen Visiten ab. Mal waren die Abstriche negativ, mal wieder positiv, mal wieder negativ. Es dauerte viele Wochen, bis Hartmut endlich wieder zur Schule gehen konnte. Dann passierte das nächste Unglück. Olla war mit den beiden Jungs mit den Rädern zu den Freunden Vaatz, zur Wormfelder Mühle gefahren. Man konnte dort wunderbar in den Stallungen spielen, dann waren da 3 Mädchen mit ihrer Mutter Hedi Bauldoh und Frau Lohrengel als Evakuierte aus Augsburg, die zur Familie gehörten. Das war willkommene Abwechslung. Zwar konnte man mit den Mädchen, Gisi, Mausi und Heidi nicht all zuviel anfangen. Sie saßen immer erst einmal damenhaft herausgeputzt auf den Sesseln herum, Ulrich und Hartmut ebenso in ihren obligaten Bleyle- oder Kübler-Anzügen, die natürlich geschont werden mussten, bis endlich das Eis brach, den Eltern das Herumnörgeln und tief Luftholen der Gören unerträglich wurde, und man unter Ermahnungen, sich ja vorzusehen, an den Mühlenbach oder in die Ställe durfte. Interessant war es trotzdem bei Vaatzens. Sie hatten einen sehr gepflegten, kultivierten Haushalt mit Vitrinen, gefüllt mit kostbar aussehenden Gesteinsproben und Mineralien wie Berylle in vielen Farbnuancen, mit Smaragden, Rubinen, tiefblauen Saphiren, Aquamarinen, Topasen, Zirkonen. Dann Granaten, Amethyste, Turmale; Lapislazuli und anderes exotisch aussehendes Gestein. Die Familie besaß Gruben in Kolumbien, wo das alles herkam, auch hatten sie japanisches hauchdünnes Porzellan von ihren Reisen von dort mitgebracht, das Olla so liebte und völlig anders war, als das schwere, fast klobig aussehende Porzellan aus den Manufakturen wie Meißen, Nymphenburg oder KPM. Die Kinder wurden ständig ermahnt, ja vorsichtig mit den kostbaren Tassen zu hantieren. Besonderes Schaustück in einer der Vitrinen war ein Schrumpfkopf von einem Indianer, den die Kinder mit besonderer Ehrfurcht und mit Schauern betrachteten. Dr. Lohrengel war Diplom-Ingenieur bei den Messerschmitt Flugzeugwerken in Augsburg und musste auch eng mit den Junkers-Werken in Dessau zusammen arbeiten. Er war uk (unabkömmlich) gestellt, also nicht eingezogen. Wenn er seine vor den Bomben in Sicherheit gebrachte Familie auf der Wormfelder Mühle besuchte, wusste er interessant zu erzählen über den Flugzeugbau, die neuen Typen und Entwicklungen. Die Jungs sperrten die Mäuler auf, wurden dann allerdings bald hinausgeschickt, denn Lohrengel wusste für

den engsten Kreis der Familie und Freunde auch von der tatsächlichen Lage im deutschen Flugzeugbau zu berichten, und die war trostlos. Das zu erzählen konnte ihn Kopf und Kragen kosten.

Da half auch die gerade in Peenemünde in Produktion gegangene V 1 nicht, die ab Juni 1944 als Vergeltungswaffe für die Terrorangriffe auf deutsche Städte gegen England eingesetzt wurde. Das waren unbemannte Flugzeuge, viel zu langsam und zu niedrig fliegend. 80% wurden von der gegnerischen Seite abgeschossen. Wenn das die Wunderwaffe war, die den Krieg gewinnen helfen sollte, dann gute Nacht Deutschland.

Nun, Hartmut wollte an diesem Sonntag mit seinem Kinderfahrrad schon voraus nach Landsberg zurückfahren. Olla und Ulrich würden ihn ohnehin mit ihren größeren Rädern wieder einholen. Es war später nicht genau zu rekonstruieren, wie was geschehen war. Jedenfalls nicht weit von der Mühle auf dem ausgefahrenen schmalen Fahrradweg, fast nur eine Rille, musste Hartmut gestürzt sein. Olla und Ulrich fanden ihn auf dem Heimweg bewusstlos am Grabenrand liegend. Zurück zur Mühle, was nun, Ärzte auf dem Lande zu finden, hoffnungslos. Vaatzens spannten die Pferde an und vorsichtig, Erschütterungen vermeidend, wurde Hartmut nach Hause gefahren. Dort kam er wieder zu sich. Die Freunde Friedrich und Hertha Berns standen an seinem Bett. Er war allerdings Nervenarzt, aber die Symptome deuteten eindeutig auf Gehirnerschütterung hin. Hartmut konnte sich nur noch erinnern, dass beim Vorbeifahren an den Insthäusern des Gutes ein Hund an den Drahtzaun sprang, er wohl vor Schreck von der Fahrspur abkam und das war es dann auch. Hartmut lag nun wieder tagelang im Bett. Dr. Schreuder meinte: „wie im Lazarett bei ihnen“. In Friedenszeiten hätte ich mir das gewünscht, Photo-Meyer ist ein guter Kunde, jetzt aber habe ich genug zu tun. Ulrich behauptete seitdem, dass sein Bruder Hartmut durch die Gehirnerschütterung gewonnen habe, er sei intelligenter geworden. Natürlich war Tante Julchen wieder zur Stelle gewesen, um erneut von den erlebten Abenteuern ihrer Chicago-Reise zu erzählen. Sie war unverheiratet und hatte nun vollen Familienanschluss gefunden, denn die dienstverpflichtete Gerda konnte sich nicht auch noch um den Zeitvertreib der Bengels kümmern, sie war ja selber fast noch ein Kind.

Hartmut wollte das geliebte Tante Julchen heiraten. Das wurde als Jux auch eines abends im Garten in der Kladowstraße veranstaltet. Die Freunde Oskar und Meta Brandt kamen dazu. Oskar mit Zylinderhut fungierte als Standesbeamter, Meta Brandt war Trauzeugin. Ulrich hatte sich ebenfalls den Chapeau claque seines Vaters aufgestülpt, streute Blumen, wenn er auch schon ein wenig zu groß für diese wichtige Aufgabe war. Die Positionen wurden verändert. Tante Julchen mimte den Bräutigam und Hartmut, der nun schon lange nicht mehr Häschen oder Hase, allenfalls Hardi gerufen werden wollte, die Braut. Ihm hatte man eine alte Gardine über Kopf und Schulter als Schleier gehängt. Natürlich musste ein Hochzeitsfoto von dieser denkwürdigen Zeremonie gemacht werden.

Der Sommer 1944 kam. Das Traditionsbad Misdroy war praktisch für Zivilisten gesperrt, die Jugendstil-Villa des Landsberger Anwalts für die ersten Flüchtlinge aus Osteuropa beschlagnahmt.

Nachdem Hitler 1938 den Westwall anlegen ließ, sollte nun im Osten der Ostwall gebaut werden. Nur sicherheitshalber, die Russen würden natürlich nicht soweit gelangen, wie Goebbels und sein Chefkommentator Hans Fritzsche wöchentlich im Rundfunk beruhigten.

Ulrich und seine Mitschüler des gleichen Jahrganges hatten keine Sommerferien mehr. Sie mussten über die HJ am Ostwall schippen, eigentlich war es schon der Pommernwall, denn die Ostfront war erschreckend dicht an die ehemalige Reichsgrenze vorgerückt.

Die Hitlerjungen wurden bei Bauern in deren Scheunen und Ställen einquartiert und hatten Panzergräben auszuheben. Olla und Hartmut besuchten Ulrich in dem Dorf, in dem er mit seiner HJ Gruppe untergebracht war. Nach vielem Herumfragen bei den Fähnlein- und Zugführern wurde er gerufen. Er sah verdeckt und mager aus der Dachluke des Stalles, erst einmal die Brille putzend, um festzustellen, was es wohl gäbe und wer da sei. Er war gar nicht glücklich; denn von der Mutter mit dem kleinen Bruder an der Hand besucht zu werden, war gar nicht männlich und gab reichlich Stoff zu Häme und Hänseleien. Nach Abliefern der mitgebrachten Naturalien, wurden beide wieder schnell verabschiedet. Sie fuhren anschließend zu Ollas ältestem Bruder Georg nach Freudenfier, ausgezeichnet als schönstes Dorf im Kreise Deutsch Krone. Olla erzählte gewöhnlich ihren Freundinnen: „ich fahre zu meiner Verwandtschaft; ich muss mich bieder anziehen“. Die gepupften Augenbrauen wurden als „natur“ ausgegeben. Die Fingernägel bekamen allenfalls farblosen Lack Puder, Rouge und Lippenstift wurden spärlich aufgelegt, sehr spärlich. Hartmut sollte auf seines Onkels Bauernhof die Sommerferien verbringen. Hier wurden an die beiden Ostarbeiter, Alexander und Olga, die mitgebrachten ausrangierten Kleidungsstücke, Ollas Kleider, Alberts Anzüge, überreicht. Sie freuten sich jedes Mal riesig, wenn sie wieder etwas „Neues“ aus Landsberger städtischen Kleiderbeständen erhielten. Derartige Zuwendungen wurden nach den Gesetzen gar nicht gerne gesehen, im Grunde waren sie verboten. Georg spannte später die Pferde vor die Kutsche, um die Gräber von Alberts Familie auf dem Privatfriedhof in Sandkrug zu besuchen und sie in Ordnung zu bringen. Am nächsten Tage wurde Olla von einem Direktor Glud der Märkischen Elektrizitätswerke MEW von Landsberg mit dem Auto abgeholt. Er hatte in Deutsch Krone zu tun und verfügte noch über einen Dienstwagen. Das war bequemer als die überfüllten Züge zu benutzen.

Hartmut genoss die nun völlig anderen Ferien auf einem Bauernhof. Sein Onkel Georg und seine Tante Emma kümmerten sich rührend um ihn. Der Umgang mit Tieren war ihm nicht vertraut. Auf einem Ackergaul zu reiten, ohne Sattel versteht sich, die Beine um den dicken Bauch des Pferdes zu pressen, um nicht von dieser ungeahnten Höhe abzurutschen, war eine Erfahrung, aber auch gleichzeitig furchterregend. Dann das reichhaltige Essen, sehr fett und die nachhaltigen Aufforderungen: „du musst mehr essen“, waren ebenfalls ungewohnt.

Georg betete mit der Familie und den beiden russischen Ostarbeitern vor und nach jeder Mahlzeit. Diese Gebete waren fast endlos. Er wusste immer und immer noch etwas zu erwähnen, wofür er dem lieben Gott zu danken hatte; und wenn

Hartmut meinte, jetzt würde das „Amen“ kommen und er konnte den Löffel in die Suppe tauchen, fiel seinem Onkel noch wieder etwas ein. Hartmut machte im stillen ein Gegengebet: „lieber Gott, lass ihn aufhören“. Und wenn es dann endlich soweit war, dann war das Essen kalt. Dass die beiden Ostarbeiter Olga und Alexander meistens mit der Familie am gleichen Tisch aßen, durfte man nicht erzählen. Das war nicht zulässig und als Fraternisation gebrandmarkt.

Die Schindels hatten weiter außerhalb von Freudenfier Wald, zu dem als Überraschung 1940 10 ha hinzu kamen. Als Dränagerohre gelegt wurden, erhielten sie die Rechnung dafür. Es war ein Waldstück 200 m breit und 500 m lang, das teilweise an Schindelschen Acker grenzte. Ähnlich war es mit 2½ ha Bauernland. Beim Bau des Pommernwalles 1944 wurde durch Vermessung festgestellt, dass dieses Land auch den Schindels gehörte und nicht dem Bauern Felix Streich vom Abbau Freudenfier, der es bisher beackerte. Als Langholz gefahren wurde, durfte Hartmut mit auf den langen Fichtenstämmen sitzen. Man kam in ein fürchterliches Gewitter. Alle waren durchnässt, buchstäblich bis auf die Haut. Hartmut bekam zwar die Joppe von seinem Onkel, aber sie konnte diese Sintflut auch nicht abhalten. Georg vergatterte ihn, nur nichts seiner Mutter davon zu erzählen. Sie sei immer so ängstlich, er könnte sich leicht eine Lungenentzündung holen. Nun, die hatte er schon einmal gehabt, sie gehörte zu den überstandenen Kinderkrankheiten.

Was Hartmut nun gar nicht ertragen konnte und geradezu einen Brechreiz auslöste, war das Trinken von warmer Milch, direkt von der Kuh und das Gänse-schmalz-Essen. Das letztere hing damit zusammen, dass die Osthilfe Olga Gänse nudeln musste. Schrot wurde mit Wasser zu einem Brei vermischt, kleine ovale Brötchen daraus geformt, und diese wurden dann an der Luft getrocknet. Olga hatte die armen Gänse am Hals zu packen, ihnen mit einem geschickten Griff den Schnabel zu öffnen, das Brötchen hineinzustopfen und Brötchen nach Brötchen mit der Hand den langen Hals hinunter zu massieren. Die Gans mochte das nun ganz und gar nicht, gab Stöhnlaute von sich, die durch Mark und Bein gingen. Die Gänse konnten nicht schwer und fett genug werden. Des Bauern Stolz.

Die Schindelschen Hühner hatten sich häufig entschlossen, ihre Eier nicht notwendigerweise in die vorbereiteten Nester in ihren Stall zu legen. Sie hatten herausgefunden, dass sie dort beraubt wurden. Viele der Hühner zogen es vor, sich heimliche Nester in den Ställen oder in der Scheune zu suchen. Kam ein gackernes Huhn nicht aus dem Hühnerstall sondern von woanders her, sollte Hartmut die Eier suchen gehen. Es machte Spaß, sich wie ein Kommissar von der Polizei mit der Hühner-Psychologie auseinander zu setzen, um ihnen auf die Schliche zu kommen. Tante Emma gab zusätzlichen Anreiz. Jedes zweite Ei, das du findest, kannst du später mit nach Landsberg nehmen. Hartmut kam auf die Idee, einige der im Hühnerstall in den Nestern liegenden Gipsanreizeier in den Geheimnestern des Federviehs zu deponieren, um es zu veranlassen, gerade in diesen Nestern die Eier abzulegen. Vielleicht war er mit seinen 9 Jahren doch nicht so doof, wie sein Bruder behauptete, obgleich der meinte, dass Intelligenz und Gerissenheit nicht das Gleiche seien. Hartmut war jedenfalls stolz auf seinen Erfolg bei der

Aufbesserung der Lebensmittelrationen, sang man doch zu dem populären Schlager verballhornt: „Es geht alles vorüber, es geht alles vorbei, auf Abschnitt Dezember gibt's wieder ein Ei!“ ...und dann weiter: „...erst geht der Führer und dann die Partei.“

Onkel Georg hatte kurz vor dem Krieg ein ziemlich großes Haus mit Hinterhaus in Freudenfier dazu gekauft. Es lag an der Gabelung der Reichsstraße 1 mit dem Sandkrüger Weg, am Friedhof. Der Besitzer wollte nach Deutsch Krone ziehen. Georgs Schwager Albert hatte ihm zum Kauf geraten. Da wurde auch die Bullenstation untergebracht, die Georg Schindel für das Dorf unterhielt. Georg Schindel hatte 5 Bauplätze hinter seinem Haus mit je einem Morgen Land abgeben müssen. Das war eine staatliche Auflage. Da wurden Siedlungshäuser gebaut, für die „Heim ins Reich“ Umsiedler. Georg behielt sich eines, das er groß und aufwendiger für sich selber baute, um später als Altenteiler einziehen zu können.

Nun, Hartmut kam sehr zufrieden von seinen Sommerferien nach Landsberg zurück, mit Eiern, Speck und fetter Gans im Koffer. Er hatte sich auch keine Lungenentzündung geholt. Olla beanstandete nur die Ausdrucksweise. Hartmut hatte ihrer Meinung nach von den Freudenfierer Bauernkindern ein Vokabular übernommen, das ihr nicht gefiel und sie glauben ließ, er sei offenbar von den Bauernbengels mit den Fakten des Lebens zu früh vertraut gemacht worden.

Hartmut erfuhr zu Hause als erstes, dass sein Onkel Karlchen im Sommer am Bug als vermisst gemeldet war. Da gab es furchtbare Kämpfe um das wichtige Industriegebiet. Hartmut war sehr traurig. Kein Onkel Karlchen, keine 5 Mark Kullerräder mehr! Aber vielleicht würde man Onkel Karlchen lebend wiederfinden, er war ja nur vermisst!

Am Endsieg konnte nun wirklich nur noch für absolute Vollblutnazis und Ignoranten etwas daran sein. Der Spruch kam auf: „Leute genießt den Krieg, der Frieden wird fürchterlich“. Auch wenn Zarah Leander, die Berliner verballhornten ihren Namen in Clara Zylinder, ihren populären Schlager: „Es wird einmal ein Wunder geschehen“ im Sender Königswusterhausen rührte, glaubte niemand mehr an Wunder oder die Wunderwaffen.

Die Ostfront war bei Warschau angelangt, die Polen machten Aufstand in der Stadt und im Ghetto. Die Verbündeten waren am Ende. Die Rumänen hatten im August den Kampf eingestellt, die Ungarn wollten Frieden. Reichsverweser Horthy wurde nach diesem Ansinnen in Bayern interniert, die Bulgaren erklärten dem Deutschen Reich den Krieg. Der Hauptverbündete Mussolini in seinem norditalienischen Gebiet war eine Farce. Norwegen war aufgegeben; die Finnen hatten mit den Russen einen Waffenstillstand abgeschlossen. Deutschland war von allen Rohstoffquellen abgeschnitten. Im Westen war den britisch-amerikanischen und den kanadischen Truppen im Juni 1944 am Kanal und in der Normandie die seit langen erwartete Invasion geglückt. BBC berichtete von den Erfolgen ihrer Armeen und Verbündeten. Die Lage war an allen Fronten hoffnungslos.

Der Schock, aber auch die Hoffnung gleichermaßen, kam mit dem Attentat am 20. Juli 1944 auf Hitler in der Wolfsschanze in Ostpreußen. Die Propagandamaschinerie wurde kräftig verstärkt in Gang gesetzt. Verbrecherische Elemente

hätten in dieser schweren Stunde das Attentat verübt, eine nur kleine Clique von Offizieren. Aber die Vorsehung habe den Führer am Leben gelassen. Einige sprachen von Mut der Beteiligten, viele, sehr viele von Dilettanten und Stümpfern, die nur ihre Haut retten und die von ihnen bereits verteilten Ministerposten in der erst einmal nach Hitlers Tod geplanten Militärdiktatur einnehmen wollten. Die zweiten Stimmen hatten gewiss Recht. Olla gehörte zu ihnen. Sie vergaß fast alle Vorsicht mit ihren Äußerungen. Stauffenberg und die anderen hatten bis zu diesem Zeitpunkt noch freien Zugang zu Hitler, ohne Leibesvisitation. Wenn Stauffenberg mit amputierter rechter Hand und einäugig problemlos zu einer Führerbesprechung in seiner Aktentasche zwei Bomben transportieren, sie unterwegs scharfmachen und sie im Besprechungsraum abstellen konnte, dann hatte er auch seinen Revolver ziehen können. Das wäre viel einfacher gewesen. Vielleicht mit den pathetischen Worten: „das war’s mein Führer, es lebe unser heiliges Deutschland!“ Das war Ollas feste Meinung und sehr viele teilten sie. So brachte er noch andere Kameraden um, flog nach Berlin, wo man nicht einmal an die Besetzung der so wichtigen Rundfunkstationen gedacht hatte, und diese letzte Chance war vertan. Olla hatte über das Landsberger Offizierkorps vertraulich die Informationen über den Ablauf des Attentats erhalten, die in Einzelheiten nicht öffentlich berichtet wurden. Tausende von Soldaten und Zivilisten hatte man vom Tode bewahren können und wie viele Städte und Kulturgüter wären nicht mehr sinnlos zerbombt worden. Gewiss wäre es zu einem Waffenstillstand gekommen und Hunderttausende, wenn nicht gar Millionen von Juden und anderen bei den Nazis missliebigen Menschen, waren nicht mehr in den KZs umgebracht worden. Olla konnte sich nicht beruhigen. Müßig über diese späten Helden und ihre Überlebenshoffnungen und Erwartungen zu spekulieren. BBC kommentierte das Geschehen gelassen und völlig unbeeindruckt. Das Schicksal Deutschlands war auf der Konferenz von Teheran zwischen Roosevelt, Stalin und Churchill vom 28. November bis 1. Dezember 1943 längst besiegelt. Da konnte die so späte Einsicht einiger Generäle und Militärs nichts mehr ändern. Ein Attentat hätte nach der Kriegserklärung an die Vereinigten Staaten im Dezember 1941, spätestens aber nach der Konferenz von Casablanca und der Landung der Amerikaner und Briten auf Sizilien im Mai 1943 geschehen müssen. Den Schneid dazu und die Gefahr in Kauf zu nehmen, dabei vielleicht selber „draufzugehen“, hatte niemand von der Generalität.

Nach den Sommerferien verkündete Lehrer Preuß seinen 9-jährigen Schülern: „Hört zu, wie ihr wisst, dürfen zum Ernteeinsatz auf den Bauernhöfen und Gütern erst die 10-jährigen Pimpfe des Jungvolks. Als besondere Auszeichnung könnt ihr euch aber freiwillig schon mit 9 Jahren melden, um an der ehrenvollen Arbeit teilzunehmen, die Ernährungsgrundlage des deutschen Volkes zu sichern. Die Güter Stolzenberg, Merzdorf, Pyrehne und Gralow kommen in Frage. Ihr würdet in Scheunen untergebracht werden, nach der Arbeit wird Kartoffelfeuer gemacht, Geländespiele abgehalten. Ein Abenteuer, sage ich euch. Ihr müsst die Genehmigung der Eltern schriftlich bringen“. Hartmut wollte auch am Kartoffelfeuer teilnehmen, an Geländespielen, er setzte seiner Mutter zu, die Genehmigung zu erteilen. Dieter Aschmoneit, ein Neffe von Hausarzt Fritz Göhler,

dürfte auch und fast alle aus der Klasse, berichtete er. Von seiner Mutter kam ein striktes -Nein-. Wohl ganz und gar verrückt geworden, nun schon die 9-jährigen zu verpflichten. Sie telefonierte herum, um festzustellen, wer von den Eltern wohl die Genehmigung zu solchem Unfug geben würde. Gott sei Dank fand sie niemanden. Man einigte sich, dem beauftragten Lehrer Preuß mitzuteilen, dass leider niemand wegen Mangel an passender Kleidung und geeignetem Schuhwerk teilnehmen könnte. Das gelte auch für die unsinnigen Heilkräuter- und Buntmetallsammlungen.

Olla fing an, ihr Russisch aufzupolieren. Im Nachttisch waren Lehrbücher und ein Wörterbuch deponiert. Die Kinder lachten sie aus, wenn sie im Bett laut deklinierte und konjugierte und die 6 Fälle mit Vokativ und Instrumental Präpositiv übte. Was soll das, sagten sie, die Russen kommen doch nicht bis nach Landsberg. Ihr hört doch den Wehrmachtsbericht, sie sind doch schon vor der Tür, war die Erwiderung.

Und sie waren es in der Tat, nicht nur die Russen, auch die Alliierten rückten dichter und dichter an die Grenze. Im September 1944 waren an der Westgrenze Trier und Aachen erreicht.

Olla ließ im Kohlenkeller eine Grube ausheben, etwa in Größe eines Kubikmeters, und diese ummauern. Hier sollten die Wertsachen hinein. Eine Eisenplatte sollte als Abdeckung dienen, und der Koks darüber geschaufelt werden. Die Grube wurde zwar fertig. Es konnte nur keine Stahlplatte als Abdeckung aufgetrieben werden. So blieb die Absicht unvollendet wie Schuberts 8. Symphonie. Die Silberbestände wurden dafür aus dem Keller zur Wormsfelder Mühle ausgelagert. Koffer mit Wäsche zur Familie Bengsch auf deren Bauernhof ins Warthebruch, Bauer Juhr in Wepritz erhielt auch einige Kartons, das Risiko sollte verlagert werden.

Am 18. Oktober 1944 wurde der Volkssturm aufgestellt. Männliche Personen zwischen 16 und 60 Jahre alt erhielten eine Schnellausbildung. Das waren versehrte, nicht mehr fronttaugliche alte Männer. Die 16-jährigen waren ohnehin schon über die HJ organisiert und zu Flakhelfern ausgebildet. Diese alten Männer sollten die russischen Panzer mit der Panzerfaust aufhalten. Eingekleidet wurden sie nicht mehr, dafür war nichts mehr vorhanden. Gewehre kamen aus Eigenbesitz oder waren Beutestücke. Eine Tragikomödie, wenn man die alten Männer zur Übung marschieren sah.

Kurz davor wurde noch mit großem Propagandaaufwand die Wende der militärischen Lage eingeläutet. Die langerwartete Wunderwaffe war da, die V 2. Sie sollte die lahme V 1 ersetzen und die Wende herbeiführen. London wurde damit ab September 1944 angegriffen. Diese Wunderwaffe hatte eine Reichweite von gut 250 km. Sie entwickelte eine Geschwindigkeit von bis zu 5000 Stundenkilometer. Es war schon eine Rakete, eine echte Neuentwicklung, mit einem Alkohol-Sauerstoff Antrieb und einer Sprengkraft von 1000 kg. Eine Abwehr war zwar für die Feinde nicht möglich, nur die Front kam immer näher und näher an die Abschussrampen heran und London und andere englische Städte konnten bald nicht mehr erreicht werden. „Das war wieder nichts“, wie BBC höhnisch kommentierte.

Von Albert hörte man wenig. Die paar Postkarten, die Landsberg erreichten und die wegen der Zensur nur lapidare Nachrichten enthielten, waren alles. Danach war er irgendwo in Italien. Es gab keine Hoffnung, dass er Weihnachten 1944, wie noch 1943, mit der Familie verbringen könnte.

Mia Munier kam noch einmal im November 1944 zu einer Lesung nach Landsberg. Sie war von Falkensee in der Mark auf die Mecklenburgische Seenplatte, nach Fürstenberg gezogen. Politisch wurde nichts mehr gesprochen. Olla misstraute ihr ohnehin. Was gab es noch zu besprechen, nur alte Erinnerungen von Kurland auszutauschen? Sie blieb auch nicht über Nacht. Die Familie v. Hase gehörte zum Kreis des 20. Juli und wurde gewiss überwacht. Paul v. Hase, der ehemalige Kommandeur der General-v.Strantz-Kaserne, war Stadtkommandant von Berlin geworden und im August 1944 hingerichtet worden. Sie reiste schnell wieder ab und redete auch nicht mehr von der Frauenschaft. Sie hatte wohl spät eingesehen, dass der Führer nicht mehr das geliebte Kurland erobern würde.

Die Schicksalswende mit der V 2 sollte Rückenstärkung erhalten. Die letzten deutschen Panzer und einige Divisionen wurden im Westen mit General Rundstedt am 16. Dezember 1944 für die so genannte Ardennen-Offensive eingesetzt. Sie hatte über gut 10 Tage Erfolg. Die Alliierten wurden tatsächlich Richtung Antwerpen zurückgeworfen. Auch BBC berichtete von diesem unerwarteten Vorstoß und Erfolg der deutschen Truppen. Also musste etwas Wahres daran sein. Der Wehrmachtsbericht wurde über Radio Königswusterhausen zeitlich auf Sonder-sendungen ausgedehnt und der Erfolg propagandistisch ausgeschlachtet. Der Chefkomentator Hans Fritzsche berichtete von den Greueln der amerikanischen Armee. Tausende belgische Zivilisten seien bei amerikanischen Terrorbombenangriffen umgekommen. Ganze Dörfer und größere Ortschaften seien systematisch bis auf die Grundmauern zerstört worden, insbesondere wurden in den Ardennen die Ortschaften Stavelot und Houffalize an der Ourthe genannt. Der Kriegstreiber Roosevelt wolle seine sich auf der Flucht befindlichen eigenen Truppen schonen. Was zählen da tausende belgische Frauen und Kinder? Die wenigen Überlebenden dieses Massakers hatten Rache geschworen und abgeschossene Bomberpiloten und zurückgebliebene amerikanische Verwundete gelyncht. BBC berichtete darüber nichts. War es wieder nur üble Propaganda?

Immerhin veranlasste es Olla, ernsthaft noch eine Verlagerung des Geschäftes zu untersuchen. Freunde von Brandts hatten Beziehungen zur Reichsbahn. Vielleicht könnte man sich mit einem Waggon absetzen. Das war natürlich nicht mehr so einfach, wie noch etwas früher, als Olla Baumaterial mit Waggon zu ihrer Schwester Emma nach Hamburg schaffen konnte. Was damals schon absoluten militärischen Vorrang hatte, war Ende 1944 über „absolut militärisch vorrangig“ noch zusätzlich „absolut kriegswichtig“ geworden. Da gab es für private Zwecke keine Ausnahme und kein Pardon, wenn man erwischt wurde. Jetzt wusste man schon viel mehr über die Rangfolge der deutschen Strafjustiz und nach dem 20. Juli 1944 erst recht, wie der Volksgerichtshof arbeitete. Es mag vielleicht wirklich ein paar Ignoranten gegeben haben, die nichts wussten oder besser nichts

wissen wollten, aber dass es nach den Gefängnissen Zuchthäuser gab und die Steigerungsrage nach dem Zuchthaus, der Superlativ gewissermaßen, das Konzentrationslager war, wusste spätestens zu diesem Zeitpunkt nun jeder. Bei etwas leichtfertigen kritischen Meinungsäußerungen wurde auch ganz offen gewarnt: „mein Gott, seien sie vorsichtig, das kann KZ bedeuten“. Gewiss wusste außer den direkt Beteiligten kaum jemand genau, was dort geschah. Das wollte auch niemand so genau wissen, wie so vieles andere auch nicht, was im 3. Reich geschah. Man steckte den Kopf in den Sand wie der Vogel Strauß. Es wurde schon bemerkt, dass in den KZs offenbar viele Menschen „verloren gingen“, wieso und wohin wohl? Das berichtete auch BBC immer noch nicht. Das war bei allen ausländischen Sendern ebenso, auch wenn es um die Aburteilung der am 20. Juli Beteiligten ging. Als die Ardennen-Offensive nach 2 Wochen zum Stehen kam, gaben Olla und die Brandts den Plan mit der Reichsbahn wieder auf. Wohin sollte man denn eigentlich noch gehen? BBC jubelte wieder. Verlorenes Terrain wurde von den Alliierten schnell zurückerobert.

Gauleiter von Ostpreußen und Reichskommissar für die Ukraine Erich Koch kam im Dezember 1944 zu einer Krisensitzung nach Landsberg. Das wurde absolut geheim gehalten. Er wohnte im „dezent“ abgeschirmten Hotel Vater. Es ging um Evakuierungsmöglichkeiten, wie Olla durch ihre „Kanäle“ erfahren hatte. Die Ratten verlassen das sinkende Schiff, kommentierte sie.

Olla gab nun auch alle Fluchtpläne auf. Der Krieg ist verloren. Ob uns nun die Russen hier in Landsberg erwischen, wir auf der Straße verrecken oder von den Amerikanern zu Tode gebommt werden – c'est la guerre. Das ist eben der Krieg oder c'est la vie, wie die Franzosen sagen. Sie sah es nun fatalistisch, wie ihre Vorfahren schon vor 200 Jahren, als sie die Pfalz wegen der vielen Kriege verließen.

Weihnachten wurde noch einmal fast friedensmäßig ausgerichtet. Die letzten Delikatessen ausgegraben, bevor sie die Russen kriegen. Die Heizung aufgedreht, bevor die Russen den Koks verbrennen, Alberts Weinbestände großzügig dezimiert. Das Personal sollte auch teilhaben. Dieses Weihnachtsfest war trotzdem anders. Albert konnte nicht dabei sein, man hatte ihn seit einem Jahr nicht mehr gesehen. Die Verwandtschaft reiste schon lange nicht mehr. Sie kam nicht von ihren Höfen weg. Der Ehemann von Alberts Schwester Gertrud galt an der Ostfront immer noch als vermisst und das hieß: „umgekommen“. Insgeheim rüstete sich jeder, um auch auf den Treck zu gehen. Darüber durfte man nicht sprechen. Das war Wehrkraftzersetzung. Gar flüchten, bevor die Genehmigung durch den Gau- bzw. Kreisleiter erteilt wurde, war KZ-würdig. Diese Genehmigung kam meistens zu spät, so saß man doch schon lieber rechtzeitig auf gepackten Koffern. Deshalb waren Ollas Freundinnen auch nicht mehr aus dem Wartheland erschienen. Wer wollte noch in den hoffnungslos überfüllten Zügen reisen. Vieles, was man sagen wollte, konnte auch nicht am Telefon besprochen werden. Die Furcht war berechtigt, dass die Gespräche abgehört würden.

Trotz aller fast friedensmäßigen Äußerlichkeiten war es ein einsames Weihnachten für die Familie. Es wurde nur mit den lokalen Freunden verbracht und das bei einer ganz miesen, ganz bedrückten Stimmung.

Mitte Januar 1945 fuhr Ulrich mit seinem Freund Eberhard Stephanie zum Skilaufen nach Oberschreiberhau, auf die Erlengrundbaude. Es ist nicht mehr nachzuvollziehen, ob die HJ dahinter steckte, wenn ja, dann hätte es aber eine ganze Gruppe sein müssen und nicht nur diese zwei.

Olla musste aber ihre Genehmigung gegeben haben, es sei denn, diese Möglichkeit war ihr durch die HJ entzogen.

Hartmut feierte am 22. Januar 1945 seinen 10. Geburtstag. Die letzten Reserven wurden herangezogen, um es noch etwas feierlich zu gestalten. Die Geschenke waren nur noch Naturalien aus dem bäuerlichen Bekanntenkreis. Eine Speckseite von der Wormsfelder Mühle, Dauerwurst von Bengsch vom Warthebruch und Juhrs von Wepritz. Selbst Olla hatte kein Geschenk von bleibendem Wert mehr gefunden. Seinen Kasten mit den Silberbestecken für die Aussteuer hatte er ja schon zum 9. Geburtstag erhalten. Die Schule hatte nach den Weihnachtsferien nicht mehr begonnen und damit gab es auch keinen Fahnenappell mehr mit dem obligaten Absingen des Deutschland- und Horst-Wessel-Liedes, kein endloses Hochhalten des Armes zum Hitlergruß auf dem Schulhof mit Funktionär und Kinderschreck Rogge. Die Schulen waren mit Flüchtlingen belegt, deren Bauernwagen auf den Schulhöfen standen.

Die Sowjets hatten Mitte Januar wieder ihre Offensive gegen Ostpreußen und etwas später in Polen aufgenommen. Sie bewegten sich über Oberschlesien Richtung Breslau. Das erfuhr man nicht über den deutschen Wehrmachtsbericht, der sprach nur wie schon seit langem; „von leichten Frontbegradigungen“. Litzmannstadt, das polnische Losch (Łódź), war schon eingenommen und am 24. Januar Posen.

Olla wurde nervös, sehr nervös. Sie machte Eberhards Mutter wild: „Frau Stephani, wissen sie, wo die Front steht und wo unsere Jungens sind?“ Frau Stephanie nahm es noch gelassen, sie horte vielleicht nur den deutschen Wehrmachtsbericht. Die Richtstraße war verstopft mit Flüchtlingstrecks aus Ostpreußen und nun auch schon mit den ersten aus Hinterpommern. Fürchterliche Berichte konnte man über den Rundfunk hören, über den Einfall der Russen in Nemmersdorf, in der Rominter Heide, nicht weit von Trakehnen, wo die berühmten Trakehner Pferde gezüchtet wurden. Dieser Ort war kurz wieder von den Deutschen zurückerobert. In der Wochenschau wurde von den schrecklich zugerichteten Frauen und Kindern von Nemmersdorf und später Goldap berichtet. Das waren die ersten von den Russen eroberten deutschen Ortschaften auf Reichsgebiet. Von zu Tode vergewaltigten Frauen hörte man, die Bilder wurden gezeigt. Olla tat vieles ab, wieder die schrecklich von Goebbels übertriebene Propaganda.

Olla jedenfalls versuchte, die Kinder telefonisch auf der Erlengrundbaude zu erreichen. Es gab keine Gespräche mehr, auch nicht als Blitzgespräch zum 10-fachen Preis. Alles war gesperrt und strikt reserviert für die Wehrmacht und deren kriegswichtige Gespräche. Eberhards Mutter hatte nun wohl auch den Ernst der Lage erfasst. Heulte: „helfen sie, unternehmen sie alles, um die Kinder zurückzubekommen“.

Olla setzte letztlich immer alles durch in ihrem Leben. Sie machte eine weitläufige Bekannte beim Fernamt ausfindig, nachdem auch der Bürgermeister nicht mehr helfen konnte. Diese wurde beknet, eine Telefonverbindung nach Oberschreiberhau zu vermitteln und dann natürlich zur Erlengrundbaude, die hoffentlich über ein Telefon verfügen möge. Diese Dame weigerte sich, das würde ihren Kopf kosten, wenigstens Kriegsgericht, sie sei Beamtin. Die Anweisung eindeutig, die Folgen ebenso. Nur noch Wehrmachtsgespräche gen Osten.

Nach vielem Hin und Her und der Frage, ob sie selber Kinder habe, was sie bejahte, vermittelte sie nach Erkundung der Telefonnummer der Erlengrundbaude ein als Wehrmachtsgespräch deklariertes Blitzgespräch dorthin. Der Herbergsvater meldete sich anstatt der Kinder. Diese seien nicht zu erreichen, herrliches sonniges Winterwetter hier, sie liefen Ski. Olla machte ihm klar, egal ob Sonne oder nicht Sonne, die beiden 15-jährigen sofort, seien aber sofort in den nächsten Zug zu setzen und nach Landsberg zurückzuschicken. Er maulte, es könne jeder anrufen und warum, sie seien schließlich erwachsene HJ-ler. Olla verlor die Kontenance, ob er nicht wisse, wo die Front stehe. Die Russen seien durchgebrochen und nicht mehr weit entfernt von seinem Berg der Glückseligen, dem Hohen Rad. Sie drohte, sie würde Himmel und Holle in Bewegung setzen, wenn er nicht sofort die beiden Jungens nach Hause schickte. Da sie ihm natürlich nicht sagen konnte, woher sie wisse, wo die Front wirklich stünde, drohte sie ihm mit Anzeige vor dem Kriegsgericht. HJ hin, HJ her, beide seien minderjährig, und die Eltern seien immer noch die Erziehungsberechtigten und nicht die HJ. Nach zwei ungewissen Tagen kamen Ulrich und Eberhard abgekämpft nach verschiedenem Umsteigen und Transporten auf Flüchtlings-, Wehrmachts- und Lazarettzügen in Landsberg an. Das war am 28. Januar 1945. Erst auf der Fahrt war den beiden wohl klar geworden, wie ernst die Lage war. Auf der Baude hatten sie nicht verstehen können, wieso sie aus dem schönen Urlaub vorzeitig zurückgerufen wurden.

Olla ging an diesem gleichen Tage zur Bank. Sie holte aus dem Safe bei der Stadtparkasse den Lederkoffer mit den dort deponierten wertvollsten Briefmarken ab wie auch die Münzsammlung, die in den vom Tischler Stimmel angefertigten Holzrahmen aufbewahrt war. Diese Rahmen waren von beiden Seiten verglast, die Sperrholzplatten dazwischen mit rotem Samt überzogen und die passenden Rundungen für die Aufnahme der Münzen ausgeschnitten. Man konnte so beide Seiten der Münzen betrachten. Wie die Briefmarken gingen auch die Münzen zu Ausstellungen.

Die Rahmen wurden ausnahmslos von Olla und den Kindern zerschlagen, zum Aufschrauben gab es keine Zeit mehr. Die Marken kamen zurück in den eleganten Auto-Lederkoffer. Die Münzen wurden nach Gold, Silber, Bronze und anderen Metallen sortiert. Alles wurde in unterschiedliche Leinenbeutel verstaute. Die Jungens in Hartmuts Alter trugen noch kurze Hosen, ein Leibchen mit Gummibändern. An diese wurden die langen Wollstrümpfe im Winter mit so genannten Wäscheknöpfen befestigt. In die Saume von Hartmuts Bleyle-Anzug wurde

Goldmünze an Goldmünze eingenäht, so in Ulrichs Kleidung. Anna Domack, die langjährige Flickschneiderin wurde gerufen, die Münzen in Ollas Unterwäsche einzunähen hatte.

Anna Domack aus der Wollstraße, die so hoch wie breit war, konnte gar nicht verstehen, was das alles sollte. Ihr Sohn Kurt war ein hochdekorierter Nachtflieger, mit vielen Einsätzen und eben so vielen Abschüssen. Er hätte ihr nicht gesagt, dass es so ernst sei. Sie musste noch 3 Leinen-Brustbeutel nähen, je ein Zettel mit Namen, Adresse, Geburts- und Impfdaten wurde hineingegeben und Olla steckte sich 6000 Reichmark dazu. Ulrich bekam 4000 und Hartmut 3000 Mark.

Die endgültige Entscheidung war von Olla noch immer nicht getroffen, sollte sie mit den Kindern, wenn es soweit war und die Evakuierung freigegeben würde, auf die Flucht gehen oder nicht. Die Verbindung zur Verwandtschaft im Osten war schon seit Tagen abgebrochen, das Elend der durchziehenden Trecks am Geschäft vorbei, mit den abgekämpften Pferden, den Ackerwagen, abgedeckt mit Teppichen oder Zeltplanen, durch Schnee und Schneematsch, war grenzenlos und abschreckend. Die Bemerkungen der Durchziehenden, wir sind heute dran, morgen ihr, machten Olla die Entscheidung letztlich nicht schwer. Wir bleiben! Viele der Evakuierten hatten ihre Flucht schon illegal als Heimatbesuch deklariert und waren abgereist. Die in der Landsberger Mädchenschule untergebrachten Schüler von dem renommierten Berliner Gymnasium „Das graue Kloster“, zu dem auch der später bekannte Opern- und Liedersänger Hermann Prey gehörte, wurden überstürzt abgerufen und mit ihren mitgebrachten Federbetten nach Berlin zurücktransportiert.

Hartmut begriff die Situation wohl noch nicht so recht, es erschien ihm alles als eine Art Abenteuer. Wenn er allerdings auffing, wenn Olla sich bemühte von den Freunden Dr. Berns und Hertha Morphium, Zyankali oder Blausäure zu bekommen, wenn beide wiederum erzählten: „Olla, wir vergiften uns und unseren Airdale, unseren Kongo nehmen wir mit“, dann wurde ihm doch schon etwas mulmig. Nicht anders war es bei den Freunden Bartsch. Sie hatten Blausäure, wollten aber nichts herausrücken. Sie könnten es Albert nicht antun. So kündigte auch Tante Julchen ihren Selbstmord an, zusammen mit ihrer ebenfalls unverheirateten Schwester.

Die Situation überschlug sich. Die Russen kamen nicht, wie von Olla erwartet, eine Woche nach Ulrichs Rückkehr aus dem Riesengebirge, sondern schon 2 Tage später, vom 30. auf den 31. Januar 1945. Die letzte Ausgabe vom Landsberger General-Anzeiger vom Montag, dem 29. Januar 1945, hatte noch auf der ersten Seite berichtet: „Feindvormarsch spürbar verlangsamt, feindliche Angriffe im Karpatenvorland, an der Oder und der unteren Weichsel gescheitert“. Es wurde weiter über „Bedingungsloser Einsatzwille“ geschrieben.

Die Russen hatten stattdessen die Front durchbrochen, die unsinnigen von der HJ gebuddelten Panzergräben über- oder umfahren und einen Keil über Pommern, den Netzekreis Richtung Landsberg und Küstrin an der Oder in die schwachen deutschen Verteidigungslinien geschlagen. Das war der kürzeste direkte Weg nach Berlin, immer der Reichsstraße 1 folgend. Die Evakuierungsgeheimung wurde am 30. Januar erteilt. Es brach Panik aus.

Man versuchte zum Bahnhof zu kommen. Wer einen Schlitten hatte, verstaute seine Habe darauf und hoffte, noch einen der Züge zu ergattern, die schon überfüllt von Osten kamen, besetzt von Flüchtlingen und Verwundeten. Die Bahnhofstraße war blockiert von zurückgelassenen Schlitten, Kinderwagen, Handwagen. Diese konnte man nun schon gar nicht mehr in die Züge bekommen.

Zu allem Überfluss entgleiste auch noch der letzte Zug bei Wepritz. Die, die sich schon halbwegs sicher fühlten, blieben nun zurück oder versuchten zu Fuß auf den vereisten Wegen zu flüchten.

Man hörte in der Ferne das Grummeln der Artillerie.

Olla hatte mit ihrer Freundin Lieschen Gäbel verabredet und auch gleichlautend die Freunde unterrichtet, wir gehen nicht mehr auf die Flucht, wir ziehen zu Fräulein Gabel, in ihre Zweifamilienvilla in die Adolf-Hitler-Straße. Olla wollte den Einmarsch der Russen nicht in ihrem Haus erleben, wohl mit Recht fürchtend, dass es dort an der Reichsstraße 1 am schlimmsten zugehen würde. Da müsse der gesamte Nachschub durch. Lieber wollte man sein Schicksal in einer mehr abgelegenen Wohnstraße und das in Gemeinschaft mit anderen erwarten.

Alles, was noch halbwegs wertvoll war, wurde in verbleibenden knapp 8 Stunden in den Keller geschleppt, so auch das Telefunken Radio. Wenn die Front zurückkommen sollte, könnte man von dort aus die Lage abhören. Das von Hartmut geschenkte Hitlerbild wurde in der Diele abgehängt, zerbrochen und zusammen mit der Bronzestatuette des Führers in den Blumenkästchen auf dem Balkon eingegraben und mit Schnee bedeckt; die Doppel- und Drillingsflinten aus der Dielendekoration unter den Arm geklemmt und in die von der Stadtreinigung auf getürmten Schneeberge in der Luisenstraße geschoben.

Olla fertigte großformatige Bögen an, in Russisch, die sie an die verschiedenen Türen im Geschäft und in der Wohnung heftete. Sie trugen den Hinweis, dass hier friedliebende und gottesfürchtige Menschen lebten, die um schonende Behandlung des Hauses und der Einrichtung bäten.

Der Schlitten wurde mit dem Briefmarkenkoffer, der Schmuck- und Dokumententasche und drei weiteren Koffern beladen; ein Fahrrad als zusätzliches Transportmittel mitgenommen. Gerda wurde nach Hause, Richtung Wepritz geschickt mit dem Hinweis, sie könne jederzeit wieder zurückkommen in die Adolf-Hitler-Straße, so das überhaupt noch möglich sein würde.

Mit Pascha an der Leine zog Olla mit den beiden Jungs zu Lieschen Gäbel.

Die Freunde und Nachbarn wurden nochmals unterrichtet, wo Olla zu finden sei. Die Bartschens wollten in ihrem Luftschutzbunker ausharren, der mit einer Stahltür gesichert von innen verriegelbar war und hier ihrem Schicksal entgegensehen. Einige Lebensmittelgeschäfte hatten noch geöffnet, sie verkauften die Restbestände ohne Marken oder gaben sie einfach so weg. Unterwegs traf die Familie Tante Julchen mit ihrer Schwester, die ebenfalls in der Adolf-Hitler-Straße, naher zur Innenstadt, in einem Eck-Wohnblock zur Fernemühlen-Strasse, ihre Wohnung hatten. Beide bekräftigten nochmals: „wir wissen, was wir tun!“

Bei Lieschen Gäbel angekommen, konnte Olla mit den Jungs die obere verlassene Wohnung besetzen. Die dort wohnende Familie Preuß war offenbar noch mit dem Zug weggekommen. Die Betten waren noch warm. Verabredungsgemäß stießen Meta und Oskar Brandt hinzu. Sie wollten ebenfalls die Russen nicht in der Innenstadt erwarten. Brandts waren allein, nachdem ihr Sohn Walter gefallen war, und Günter in der letzten Sekunde mit Notabitur noch zur Wehrmacht eingezogen wurde. Wo er steckte, wussten sie nicht.

Am Abend des 30. Januar 1945, einem Dienstag, genau 12 Jahre nach der denkwürdigen Machtübernahme Hitlers 1933 in Berlin, konnte man sich zum Jahrestag im Radio die Rede von ihm bei Lieschen Gäbel anhören. Er sprach von der Vorsehung und schweren Schicksalsstunde des deutschen Volkes, der Verpflichtung für die nachfolgenden Generationen, den roten Horden, der innerasiatischen Sturmflut, in letzter Minute Einhalt zu gebieten.

Das grauenhafte Schicksal, das sich heute im Osten abspielt und das in Dorf und Mark, auf dem Lande und in den Städten die Menschen zu Zehn- und Hunderttausenden ausrottet, wird mit äußersten Anstrengungen von uns am Ende trotz aller Rückschläge und harten Prüfungen abgewendet und gemeistert werden; und so weiter, und so weiter!

Es gab plötzlich eine kräftige Detonation, dann Erschütterungen, die Warthebrücken wurden gesprengt.

Es klingelte noch so spät. Olla öffnete unten die Tür, zwei Männer stürzten mit einem Messer auf sie zu. Pascha fuhr dem einen in die Schuhe. Pascha, der niemals einen Menschen angefallen hatte, musste instinktiv die ungewöhnliche Situation erfasst haben. Hartmut, der hinzu kam, schrie auf. Die anderen standen oben an der Treppe wie gelähmt.

Olla wurde der von Goldschmied Ernst Schmelter angefertigte große Aquamarin Ring und ihr Trauring von den Fingern gerissen. Und die beiden verschwanden, so schnell wie sie gekommen waren. Offenbar waren es freigesetzte Ostarbeiter. Von nun ab gab es keine Polizei, keine Ordnungsmacht mehr. Die zurückgebliebene Bevölkerung, alte Leute, Frauen und Kinder, waren vogelfrei. Meta Brandt verstand den Vorgang am schnellsten. Sie ordnete an, allen Schmuck abzulegen. Die Küche in der fremden Wohnung verfügte noch über einen gemauerten Kochherd mit Kohlefeuerung. Der Schmuck wurde in die Asche des Herdes gestopft.

Man sah vom Fenster den einen oder anderen versprengten deutschen Soldaten vorbeirennen, der seine Einheit suchte. Sonst rührte sich nichts. Eines war spätestens jetzt klar geworden, nichts würde in Zukunft mehr so sein, wie es einmal war. Wenn es überhaupt noch eine Zukunft geben würde.

Bis Mittag des 31. Januar 1945 tat sich gar nichts. Kein Mensch war in der Adolf-Hitler-Straße zu sehen. Die Häuser waren offenbar unbewohnt. Es waren mehr Einwohner geflohen, als man vermutet hatte. Es gab ein Vakuum. Die deutschen Truppen waren gen Westen gezogen, die Russen noch nicht nachgerückt. Man horte in der Ferne Artillerie, jetzt allerdings von der Westseite. Es war zu vermuten, dass die Russen erst einmal Landsberg umgangen hatten, um es einzuschließen.

Ein Mann, schwer bepackt, humpelte auf der anderen Straßenseite vorbei. Er rief Lieschen Gäbel zu: „holen Sie sich Butter von der Molkerei. Es ist alles offen und freigegeben, machen sie aber schnell“. Ulrich und Hartmut rannten zur Kladowstraße. Die Molkerei war diagonal gegenüber von ihrem elterlichen Gartengrundstück. Sie ergatterten noch etwa 40 Stücke Butter. Dann wurden die Fässer mit Butter aus den Kühlkammern gerollt. Es gab ein Gedränge daran, weil jeder versuchte, nun mit irgendeinem Gegenstand schnell noch so viel wie möglich von der steinharten Butter herauszuberechen.

Lieschen Gäbel hatte ein kaltes Mittagessen bereitet. Brandts, Fräulein Gäbel und Olla mit den beiden Jungen saßen am Mittagstisch. Plötzlich ein heftiges Poltern an der Eingangstür, dann an der Wohnungstür. Niemand hatte Hartmut aufgefordert. Er rannte zur Wohnungstür, um sie zu öffnen. Sie wurde gleichzeitig mit der Schulter von den Russen eingerammt. Zwei Russen stürmten an ihm vorbei zur geöffneten Tür des Esszimmers. Ein Russe mit der Pistole in der Hand, der zweite in ein oder zwei Meter Abstand mit dem Karabiner im Anschlag hinterher.

Offenbar beeindruckt von der ruhigen Szene einer zu Mittag essenden Familie, blieben sie in der Mitte des Raumes stehen. Der Russe mit der auf den Tisch gerichteten Pistole radebrechte etwas in deutsch, von dem man verstehen konnte, und er es gewiss auch meinte, ob das hier alles SS sei, nachdem er die Einrichtung gemustert hatte, die einem Rotarmisten aus Ust, Omsk oder Tomsk als kapitalistisch und ausbeuterisch erscheinen musste. Olla suchte wohl noch nach den passenden russischen Worten, um den SS-Verdacht abzuwehren.

Oskar Brandt hatte missverstanden, Gott sei Dank, ja, ja, Esszimmer, essen und forderte die Familie gleichzeitig auf, sich zu Ehren der beiden Russen von den Stühlen zu erheben und sie zum Essen einzuladen. Er rückte schon Stühle zurecht. Die Einladung wurde mit einer unwirschen Handbewegung abgelehnt. Es ging noch immer um das Missverständnis SS und essen. Es wurde gefragt, ob deutsche Soldaten im Haus oder auf dem Grundstück seien. Würden sie versteckt gehalten, er zeigte mit der Pistole auf jeden einzelnen, dann peng, peng, peng. Olla hatte alles verstanden, aber wohl vor Schreck ihr russisch vergessen, um zu antworten.

Beide Russen verschwanden. Es war ruhig über den Rest des Tages und der ganzen folgenden Nacht. Alle lagen angezogen auf den Betten. Dann ging es aber los. Die Adolf-Hitler-Straße, Lieschen Gäbel schlug vor, sie wieder Heinersdorfer Straße, wie vor 1933 zu nennen, belebte sich durch LKW-Verkehr der Russen. Einzelne Wagen hielten abwechselnd und Rotarmisten stürmten in Gruppen von 3 bis 4 Mann in die Häuser. Mit Klingeln oder Klopfen hielt man sich nicht auf. Mit Brachialgewalt wurden die Türen aufgebrochen. Der Ablauf war fast immer identisch. Einer der Russen mit Karabiner in Anschlag hielt die Bewohner in Schach, die anderen rissen alles aus den Schränken, schriegen Uri, Uri. Die Handgelenke wurden eilig kontrolliert, die Finger nach vorhandenen Ringen untersucht. Musüka, Musüka?, dazu machten sie Bewegungen, die auf eine Ziehharmonika hindeuteten, die sie auch zu gerne hätten. Es war schnell festzustellen, es war die kämpfende Truppe. Sie hatte keine Zeit, sie musste sich nach allen Seiten absichern, um nicht in einen Hinterhalt zu geraten.

Es waren asiatisch aussehende Kerle, stämmig, kurzbeinig, mongolischen Einschlags. Fremdartig aussehende Rassen. „Frau, Frau“ hörte man kaum während der ersten 2-3 Tage. Diese Truppen hatten keine Zeit, sie mussten weiter.

Dann aber, dann kam die unmittelbare Nachhut der Infanterie. Wiederum Gestalten aus dem asiatischen Raum der Sowjetunion. Allenfalls konnte man europäisch aussehende Offiziere sichten, die ebenso Uri, Uri wollten, Schubladen auskippten, es aber nicht so aufgeregt taten. Sie gaben sich vornehmer, dafür aber mit arrogantem Nachdruck. Sie forderten soloto, soloto (Gold), drückten die Frauen und die wenigen noch zurückgebliebenen alten Männer an die Wand, um sie zu durchsuchen.

Licht, Gas und Wasser gab es schon einen Tag nach dem Einmarsch nicht mehr. Lieschen Gäbel wusste, dass es in der Steinstraße eine Straßenwasserpumpe gab, die im Winter mit Stroh abgedeckt und mit einer Holzverkleidung versehen wurde, damit sie nicht einfrieren konnte.

Es nutzte alles nichts. Es wurde Wasser gebraucht. Man entschied, Ulrich und Hartmut sollten mit Wassereimern zu dieser Pumpe gehen um festzustellen, ob man von ihr Wasser beschaffen könnte. Eine kleine Schlange von alten Leuten standen an ihr. Es gab Wasser. Die Jungs rannten einige Male hin und her, um Wasser auf Vorrat einzunehmen. Lieschen Gäbel entschied, wir müssen auf das alte am Schuppen noch vorhandene Plumpsklo zurückgreifen, denn soviel Wasser können wir nicht herschleppen, um die Wassertoiletten im Haus zu benutzen.

Es gab die ersten Nachrichten der sowjetischen Militärverwaltung, an Straßenbäumen angebracht. Eine war „Alle Rundfunkgeräte seien auf die Straße zu stellen. Die Nichtbefolgung dieser Anordnung oder die Benutzung von Rundfunkgeräten wurde bei Androhung der Todesstrafe verboten“. Nun war es ohnehin nicht möglich, Radio zu hören, da es keinen Strom gab. Also, das etwas ungewöhnlich aussehende Radio von Lieschen Gäbel, mit den offen sichtbaren Röhren, wurde auf die Vorgartenmauer gestellt, so auch der Volksempfänger der Familie Preuß von der oberen Wohnung. Eine zweite Anordnung war: „Alle Nationalsozialisten und Parteimitglieder hatten sich sofort zwecks Registrierung in der Bahnhofstraße in einem Restaurant zu melden“. Auch hier wurde bei Nichtbeachtung mit Todesstrafe gedroht. Oskar Brandt, einfaches Parteimitglied, wollte diese Anordnung selber sehen. Als es ruhig auf der Straße zu sein schien, lief er zu dem Baum in der Steinstraße, der ihm von den Kindern genannt war. Er sah es bestätigt, nun aber noch mit einer weiteren Anordnung, dass sich alle Mitglieder des Volkssturms ebenfalls zu melden hätten. Darüber hinaus war es allen Bürgern, die nicht zur sowjetischen Besatzung gehörten, untersagt, ihre Häuser und Wohnungen zwischen Sonnenuntergang und Sonnenaufgang zu verlassen. Es wurde sofort geschossen werden.

Oskar Brandt war furchtbar aufgeregt. Ich muss mich sofort in der Bahnhofstraße melden. Olla sagte: „du wirst dich überhaupt nicht melden“. Niemand weiß, dass du in Partei oder Volkssturm warst. In der Partei hast du nur die Beiträge bezahlt, um letztlich nicht von der Belieferung von Ware für das Geschäft

ausgeschlossen zu werden; und im Volkssturm hast du nicht einen Schuss abgegeben. Du hast doch beim Scheibenschießen bei uns im Garten meistens nicht einmal die Scheibe getroffen, geschweige denn das Schwarze.

Es gab keine Zeit weiter darüber nachzudenken, denn die Russen kamen immer häufiger in Gruppen ins Haus gestürzt, um zu plündern. Sie hatten die wenigen bewohnten Häuser schnell daran erkannt, dass die Schornsteine rauchten, die Fensterscheiben nicht gefroren und die Haustüren wegen der Kälte geschlossen waren. Alle Türen der nicht bewohnten Häuser waren aufgebrochen, wie auch häufig die Fenster der Parterrewohnungen. Fast alle Ladenscheiben waren eingeschlagen.

Nach den ersten paar Tagen des Russeneinmarsches staute sich der Nachschub. Es ging an der Oder, bei Küstrin, nicht weiter. Die deutschen Armeen hatten sich dort nach dem Durchbruch wieder formiert. Die eilig an die Häuser gemalten Parolen: „Gitler kaputt“ und „Heute hier, morgen Berlin“, bewahrheiteten sich nicht.

Gerda kam zu Fuß von ihrem Dorf. Sie müsse doch ihrer Arbeit bei Olla nachgehen. Ihr Vater hatte sie zur Arbeit geschickt, sie könne doch nicht bummeln. Das Fahrrad hatten ihr die Russen schon gleich auf dem Wege abgenommen. Sicherlich wurde sie auch vergewaltigt. Die Frauen sprachen nicht darüber. Sie schämten sich entsetzlich. Selbst wenn es einige Male geschehen und offensichtlich wurde, stritten sie es vehement ab.

Am gleichen Tage kam der Juwelier Eduard Bartsch und seine Frau Martha mit einem Rucksack auf dem Rücken in die Heinersdorfer Straße. Olla fragte ahnungsvoll, was ist in dem Rucksack? Da ist mein gesamter Warenbestand des Geschäfts drin, wenigstens der wertvollere Teil. Die Russen hätten beim Einmarsch zwar versucht, in seinen Kellerbunker einzudringen, in dem er sich mit seiner Frau verbarrikadiert hatte, sie hätten aber die Stahltür nicht öffnen können. Nach 3 Tagen versuchten sie verständlicherweise menschlichen Kontakt zu finden und Tageslicht zu sehen. Zudem versprachen sie sich eine gewisse Sicherheit durch Ollas Sprachkenntnisse. Dass es beiden gelungen war, mit dem Rucksack unbehelligt von den Plünderern quer durch den Stadtpark fast bis an den Zanziner Wald zu gelangen, war ein Mirakel. Olla schrie auf, ein Wahnsinn. Das Zeug muss sofort vergraben werden. Aber wo? Im Garten lag Schnee, der Boden war gefroren. Außerdem konnte man beobachtet werden. An Lieschen Gäbels Haus war hinten ein Schuppen angebaut. In ihm wurde der Fußboden, lose verlegte Ziegelsteine, aufgerissen und schnell ein großes Loch gegraben. Der ganze Rucksack kam hinein, der Erdboden wurde darüber wieder mit den Ziegelsteinen versehen. Mit Gerümpel wurde abgedeckt. Das Ehepaar Bartsch berichtete, dass alle Häuser, alle Geschäfte, im Zentrum aufgebrochen, einige Häuser abgebrannt seien und viele, mehr zum Markt hin, brennen. Sein Haus und Ollas stünden aber noch. Ulrich und Hartmut mit Pascha an der Leine, liefen zur Richtstraße, verschiedentlich angehalten von Russen, die Uri, Uri wollten. Einige zeigten stolz ihren Unterarm, an dem sich schon Uhr an Uhr reihte.

Sie kamen durch die Rosengasse. Ein Tor stand offen, das immer verschlossen war. Hartmut konnte jetzt endlich einmal klären, was sich hinter dieser stets behüteten Einfahrt befand. Ein Schrei! Ein Mann, ein Zivilist, lag erschlagen im Hof. Der Schädel senkrecht gespalten, die Gehirnmasse herausgetreten. Der abgebrochene Gewehrkolben auf seiner Brust. Die Taschen seines dunklen Anzuges nach außen gekehrt. Es war der erste Tote, den Hartmut in seinem Leben sah; höchstens Sekunden, um sich die Einzelheiten einzuprägen. Von der Post aus konnten sie schon sehen, ihr Haus stand. Alle Schaufenster waren eingeschlagen, Haus- und Ladentür aufgebrochen. Im Geschäft suchten zwei Zivilisten, offenbar freigelassene Fremdarbeiter, nach Brauchbarem. Im Geschäft wie im gesamten Haus war alles aus den Schränken herausgeworfen. Ulrich suchte nach seinem Hohner Akkordeon, das immer neben dem Sofa im Herrenzimmer stand, es war nicht mehr dort. Es schien, als sei es der einzige Gegenstand, der mitgenommen wurde, soweit man das überhaupt in diesem Durcheinander feststellen konnte. Ollas Hoffnung, ein gutes Tauschobjekt für das hochbegehrte Instrument zu haben, erfüllte sich leider nicht. Im Geräteschuppen waren die Familienfahrräder ebenfalls verschwunden. Es brannten mehr und mehr Häuser. Niemand kümmerte sich um sie. Wer sollte auch?

Zu den Russen gesellte sich das Heer der von der Industrie freigewordenen Fremd- und Ostarbeiter. Es gab Rumänen, Bulgaren, Franzosen, Holländer und Polen natürlich. Echte Polen und solche, die bisher alles darangesetzt hatten, deutsch zu sein und nun plötzlich vorgaben, schon immer die polnische Nationalität besessen zu haben. Es gab einige Überraschungen, wer alles mit einer selbstgenähten weißen Armbinde „Polski“ herumlief. Fremdarbeiter hatten ihre eigenen Schwierigkeiten mit den Russen. Diese konnten nicht erkennen, wer ist deutsch und wer gibt sich als Ausländer aus, um sich eine bevorzugte Behandlung zu versprechen. Das löste sich schließlich zu Gunsten der Fremdarbeiter. Sie waren jung bis allenfalls Mittelalter. Die zurückgebliebenen Deutschen waren Mütter mit Kindern und alte Leute. Geplündert wurde von Russen wie Fremdarbeitern gleichermaßen. Die Fremdarbeiter, ähnlich wie Hyänen oder Aasgeier, ließen nur sicherheitshalber den Russen den Vortritt. Wenn diese sich bedient hatten und sich in sicherem Abstand befanden, dann waren sie dran.

Die Russen kamen und kamen nicht über die nur 40 km von Landsberg entfernte Oder hinweg. In den wenigen noch von Deutschen bewohnten Häusern ging es zu wie in einem Taubenschlag. Die Russen kamen und gingen, Tag und Nacht. Jetzt setzten die Vergewaltigungen noch verstärkt ein. Die Truppen, die nicht direkt am Ostufer der Oder standen, quartierten sich bevorzugt dort ein, wo sich Deutsche gruppiert hatten. Es gab zwei Methoden. Entweder hieß es „raus, raus, dawai, dawai“ (schnell, schnell). Man stand auf der Straße mit dem, was man gerade noch hatte greifen können. Die Russen wussten zu gut, dass die Bewohner versuchen würden, noch schnell das Wertvolle aus den Verstecken zu reißen – und – weg war es! Oder man drängte die Deutschen in ein oder zwei Zimmer, sie mussten für die Russen kochen, die Wäsche machen und die Ofen

heizen. Es gab noch eine dritte leichte Abwandlung von der ersten Methode, nämlich die verschüchterten Deutschen hinaus zu werfen mit *dawai, dawai*, ihnen die aus dem Versteck geholten Wertsachen wegzunehmen, sie dann wieder lachend ins Haus zu treiben mit dem Hinweis: „*du rabotti*“. Olla strebte die zweite Methode an, in dem sie den Russen erklärte, alle von der Familie könnten gut kochen, *otschin karascho* (sehr gut) wie zu Hause und Uniformen flicken und Knöpfe annähen. Hier musste man höllisch aufpassen. Die Uniformen und besonders die verdreckte Unterwäsche saßen voll von Kleiderläusen.

Die Vorteile waren vielfältig. Man konnte das Risiko eingehen, das Versteckte dort zu belassen, wo es war. Dann war die Einquartierung tagsüber entweder zu Übungen oder auf Nahrungsbeschaffung und die Frauen konnten sich psychologisch auf die einzelnen Russen einstellen, um Vergewaltigungen eher aus dem Wege gehen zu können. Meistens wurde auch ein Wachtposten vor dem Haus zurückgelassen, der andere Kameraden, die sich auf Plünderungs- oder Vergewaltigungstour befanden, vom Haus fernzuhalten. Das war dann der Hofhund, wie er schnell genannt wurde. Mittlerweile hausten in Lieschen Gäbels Haus, abgesehen von ihr selber, Olla mit den beiden Jungs, das Ehepaar Bartsch, die Brandts, Gerda und Dackel Pascha. Niemand von ihnen kam je aus den Kleidern. Die einquartierten Russen hatten sehr häufig ihre eigenen Schwierigkeiten miteinander. Das besonders, wenn sie betrunken waren. Sie hatten Hunderte, wenn nicht Tausende Liter von Alkohol aus der Brennerei Gebrüder Groß in der Wollstraße erbeutet, wie auch in den Brennereibetrieben der umliegenden Güter. Sie schleppten das Zeug in Benzinkanistern an und tranken es tassenweise oder aus der Feldflasche. Die Mengen hätten jeden zivilisierten Menschen umgebracht. Die Sowjets nahmen keine Rücksicht auf ethnische Gruppen. Die Mongolen bekamen Ärger mit den Tartaren, diese mit den Kirgisen. Die Kosaken mit den Kalmücken. Es gab furchtbare Prügeleien untereinander. Die Offiziere waren meistens Großrussen, die nicht selten mit der Waffe drohen mussten oder warnend in die Luft schossen. Olla versuchte sich mit den älteren Offizieren zu unterhalten, die meistens schon unter dem Zaren gedient hatten, um an Neuigkeiten heran zu kommen. Sie hatte schnell herausgefunden, dass sie vorsichtig mit ihrem Russisch sein musste. „Du Russisch?, du Spion!“ Die jüngeren waren durch und durch kommunistisch indoktriniert. Die Älteren warnten Olla häufig: „pass auf, das ist ein Jude, der hasst euch, das ein Kommunist“. Die jüngeren Rotarmisten wussten fast alle von umgebrachten Familienangehörigen in ihrer Heimat zu berichten. Die SS-Schergen hatten furchtbare Gräueltaten begangen, Eltern und Geschwister gefoltert, erschossen oder sonst wie zu Tode gebracht. Die Häufigkeit dieser hasserfüllten Aussagen fiel auf. Olla hatte zweimal gewagt zu fragen, wo denn das Schreckliche in ihren Heimatorten geschehen sei? Die Nähe von Swerdlowsk und Perm wurde genannt. Aber das liegt doch im Ural und ihres Wissens seien doch die verbrecherischen Faschisten nur bis zur Wolga und den Don gekommen, oder? Sie wurde als Lügnerin und Hitlerschwein beschimpft. Als einmal auch Gorki, das ehemalige Nischnij-Nowgorod, und selbst die Lena in Ostsibirien von einem Sowjet-Soldaten

mongolischen Einschlages als Ort des SS-Verbrechens genannt wurde mit der Bemerkung, sie wisse sowieso nicht wo das läge, und Olla mit ähnlicher Rückfrage kam, hielt man ihr den Lauf der Maschinenpistole an die Stirn, wesdorr, gitler-li-gatj (Quatsch, Hitlerlügen). Nun fragte sie nicht mehr kritisch nach sondern zog ihre Kenntnisse über die russische Geographie in Zweifel. Das war offenbar stalinistische Indoktrinierung, und dann war da noch der Name Ilja Ehrenburg. Dieser wurde zuvor häufig in der Goebbelschen Propaganda-Maschinerie erwähnt, als sich die russischen Truppen der ostpreußischen Grenze näherten und Goebbels kommentierte, was von Ehrenburg den russischen Truppen mit auf den Weg gegeben wurde: „Wölfe sind die Deutschen, Wölfe bleiben sie. Selbst im Angesicht der Niederlage bleiben sie zu keiner Reue fähig, arrogante und in ihrer Rassenideologie verhaftete Herrenmenschen. Die Abrechnung hat begonnen. Für die Qualen Leningrads hat Berlin noch nicht bezahlt. Deutsche Frauen lösen in uns nur ein einziges Gefühl aus, das des Ekels. Wir verachten sie, weil sie die Mütter, Frauen und Schwestern von Henkern sind. „Merke dir, Soldat, dort in Deutschland versteckt sich der Deutsche, der dein Kind gemordet, deine Frau, Braut und Schwester vergewaltigt, deine Mutter, deinen Vater erschossen und deinen Herd niedergebrannt hat. Das Blut unserer im Kampf gefallenen Kameraden, die Qualen der Gemordeten, das Stöhnen der lebendig begrabenen, die unstillbaren Tränen der Mütter rufen euch zu schonungsloser Rache auf“. Das war im Tagesbefehl vom 16. Oktober 1944 enthalten, als die russische Offensive gegen Ostpreußen begann! Die Russen marschierten in Landsberg ein mit Ilja Ehrenburgs Aufruf im „Tornister“: „Tötet, ihr tapferen Rotarmisten, tötet! Es gibt nichts an den Deutschen was unschuldig ist. Folgt den Anweisungen des Genossen Stalin und zerstampft das faschistische Tier in seiner Höhle. Brecht mit Gewalt den Rassenhochmut der germanischen Frauen, nehmt sie als rechtmäßige Beute. Tötet, ihr tapferen vorwärtssturmenden Rotarmisten, tötet!“

Das Schreien der gejagten und vergewaltigten Frauen konnte man, besonders des Nachts, aus Häusern hören, in denen sich die zurückgebliebenen Deutschen in Gruppen zusammengefunden hatten. Helfen konnte niemand. Ausgangssperre, keine Straßenbeleuchtung. Man sah aus dem Fenster das eine oder andere brennende Haus den Himmel erhellend. Jeder hoffte, hoffentlich geht der Kelch heute Nacht an diesem Haus vorbei.

Olla und die anderen Frauen puderten ihre Haare weiß, es wurde nach schwarzen Umschlagtüchern gesucht, nach alt machenden Brillen. Krückstöcke waren gefragt, um hinkend, hustend und mit tief gebeugtem Rücken herumzulaufen, wenn Rotarmisten ins Haus stürmten. Ulrich malte Schilder mit zwei gekreuzten Knochen und Totenkopf: „Typhus“. Diese wurden an den Türen befestigt. Rotkreuz-Armbinden wurden genäht. Die Russen fielen auf solche Tricks bald nicht mehr herein. Ein Rotarmist fuhr Olla mit beiden Händen durch die Haare, dass der Babypuder in alle Richtungen flog. Auch das schwindsüchtige Husten hielt nicht ab, über sie herzufallen. Diese Kerle schienen Bärenkräfte zu haben im Vergleich zu den Kindern, Frauen und alten Leuten.

Die Einquartierungen gaben für einige Tage relativen Schutz, dann mussten sie weiterziehen. Es wurde nun versucht, die Haustür mit Abstützbalken, unter die Türklinke und gegen die ersten Stufen der Treppe geklemmt, zu „verrammeln“. Das hatte den Vorteil, dass es die Russen erst einmal etwas aufhielt. Hatten sie die Tür offen, stürmten sie zuerst in die untere Etage, in Lieschen Gäbels Wohnung. Nachdem sie sie leer fanden, rannten sie nach oben. Das gab den Frauen Zeit, um aus dem Schlafzimmerfenster der oberen Wohnung auf das Dach des angebauten Schuppens zu flüchten. Ulrich und Hartmut verriegelten das Fenster von innen. Es blieben dann nur Oskar Brandt, Eduard Bartsch, Ollas Kinder und Pascha zurück, der den Russen an die Kehle wollte. Hartmut hatte ihn immer auf dem Schoß, musste ihn mit Gewalt festhalten und ihm die Schnauze zuhalten.

Auf die Frage, wo Frau?, wurde immer stereotyp geantwortet: „rabotti, rabotti“. Nachdem die Russen enttäuscht wiederum alles aus den Schränken gefegt hatten, und verschwunden waren, wartete man auf die nächste Gruppe.

Ulrich und Hartmut trauten sich noch einmal in die Richtstraße, nachdem Eduard Bartsch einen Tag zuvor in seinem Haus war und eine von einem Russen-LKW hinein geworfene brennende Getreidegarbe wieder auf die Richtstraße zurückgeworfen hatte.

Das Vorderhaus des elterlichen Hauses war runtergebrannt, der Seitenflügel noch in Flammen. Die Jungs konnten zusehen, wie das Feuer an den Gardinen ihrer Kinderzimmer fraß. Die Gefühle der beiden lassen sich ermessen.

Die übrigen Häuser der Richtstraße und der Parallelstraßen, Luisen- und Wollstraße, waren entweder schon in Schutt und Asche oder brannten ebenfalls noch lichterloh. Nach dem die Trümmer auf die Richtstraße gefallen waren und mit ihnen die O-Bus-Oberleitungen ihren Halt verloren hatten und in ihrer gesamten Länge auf den Tümmern und der Straße lagen, war auch für die Russen kein Durchkommen mehr. Es war nicht mit anzusehen, wie sie versuchten, mit den Panjewagen über die Trümmer hinwegzufahren und auf die armen Pferde erbarmungslos einschlugen, wenn sich die Räder in dem Leitungsgewirr verfangen und die Panjepferdchen wegen des Feuers und der Hitzeentwicklung scheuten.

Hartmut sah, dass das Haus, in dem der Herrenfriseur Klitzkowski seinen Salon hatte, gleich neben der Post und dem Bandagisten Reisch, ausgebrannt war. Er dachte bei sich: „Recht ist dir geschehen, dass du abgebrannt bist, du alter Esel.“ Der Friseur Klitzkowski hatte ihn einmal tödlich beleidigt. Hartmut trug bis fast zu seinem 5. Lebensjahr einen Bubikopf. Die glatten Haare hingen ihm seitlich bis über die Ohren, über der Stirn zierte ihn ein Pony. Seine Eltern hatten sich endlich durchgerungen, ihm die Haare stutzen zu lassen. Man fragte häufigen „Ist das ein Junge oder ein Mädchen?“ Die Eltern fanden es lustig. Hartmut überhaupt nicht. Albert brachte seinen Sohn hinüber zu Klitzkowski, redete mit ihm, was zu machen sei und verschwand wieder. Hartmut musste warten. Als er an der Reihe war, sagte der Chef laut, dass alle anderen Kunden es hören konnten: „eigentlich bin ich Herrenfriseur, mein Fräulein. Aber ich werde ’mal eine Ausnahme machen“. Hartmut hat ihm das niemals vergeben.

Die Innenstadt von Landsberg wurde angezündet, nachdem die Front ohne ernsthafte Kampfhandlungen über die Stadt hinweggegangen war. Der Beweggrund der Russen mag gewesen sein, einem eventuellen Hinterhalt in den engen Straßen zu entgehen. Der Nachschub musste durch das Zentrum geleitet werden, immer der Reichsstraße 1 folgend. Dazu kam gewiss auch die unbändige Wut, doch nicht so schnell in Berlin zu sein und „Gitler“ immer noch nicht kaputt war. Die Russen haben kein „H“ in ihrem Alphabet, deshalb sagten sie entweder immer „Gitler“ oder „Chitler“.

Ulrich und Hartmut schlugen sich durch die noch brennenden Häuser zur Luisenstraße durch. Sie sollten feststellen, ob das Haus von Brandts noch stand. Oskar Brandt traute sich nicht dorthin. Das Haus war noch intakt. Die Fenster waren zerschlagen, alles durcheinander geworfen, wie überall. Joseph, der polnische Ostarbeiter, saß in der Kälte in der hinteren Werkstatt, hämmerte auf dem Dreifuß und reparierte die in Auftrag gegebenen Schuhe. Er kannte beide Kinder von der Gartenarbeit in der Kladowstraße. Er sagte, er arbeite für das Geschäft. Er wüsste sonst auch nichts anderes zu tun. Und wenn der Krieg vorbei sei, würde er nach Polen in seine Heimat zurückgehen, so er dort noch eine Heimat hätte.

Der Heimweg sollte für beide Jungs noch sehr traurig werden. Sie gingen die Luisenstraße zurück zum Mühlenplatz. Hier brannten die Häuser noch nicht.

Auf der Rückseite ihres Elternhauses wurden sie von den Geschwistern Weiß gesehen, zwei ältere Jungfern. Die beiden Jungs waren bei ihnen nicht beliebt. Sie hatten sich häufig einen Spaß daraus gemacht, mit einem Handspiegel vom Balkon aus in die Fenster der beiden Damen zu spiegeln, die daraufhin ein Fenster aufrissen, und quer über die Höfe riefen, was für ungezogene Bengels sie seien. Nun kamen sie herunter auf die Straße, weinten fürchterlich und freuten sich, zwei deutsche Gesichter zu sehen. Sie erzählten, beobachtet zu haben, wie das Vorderhaus von Photo-Meyer abgebrannt sei, das Feuer dann auf den Seitenflügel übergriff und es da ja nun immer noch brenne. Sie zeigten auf eine Leiche auf der anderen Straßenseite. Es sei der Uniform- und Herrensneider gewesen, der sich betrank und den Russen beim Einmarsch mit einer weißen Fahne in der Hand entgegen gegangen sei. Diese hätten ihn niedergeschossen und seien mit den nachfolgenden Panzern über ihn und dann weiter nach Westen gefahren. Das sei der Rest von ihm, niemand beerdigt das, was von ihm noch übrig geblieben ist. Es war der alte Schneidermeister, ein Witwer, der 1943 Ulrichs Konfirmationsanzug genäht hatte. Sie erzählten weiter, dass die Familie König, ein älteres Ehepaar mit ihren zwei unverheirateten Töchtern, sich vor Einzug der Russen mit Gas umgebracht hatte. Die Königs hatten ein großes Kolonialwarengeschäft an der Ecke Richtstraße – Wollstraße. Diagonal gegenüber von Photo-Meyer. Hartmut hatte von den Königs am Tage, als Olla mit den Jungs in die Adolf-Hitler-Straße zog, zwei Schachteln mit Keksen geschenkt bekommen. Sie gaben alles weg, was sie noch an Lebensmitteln im Bestand hatten. Dieses Haus brannte nun lichterloh und mit ihm die 4 toten Königs. Vergessen war von den Geschwistern Weiß der jahrelange Gram über die ungezogenen Bengels von Photo-Meyer.

In der Heinersdorfer Straße, auf der Höhe der Röstelstraße, gab es eine Bäckerei. Vor dieser Bäckerei lagen noch immer die beiden toten Zivilisten gegen einen Schneehaufen gelehnt, die sie vor einigen Tagen, als sie das erste Mai zur Richtstraße gingen, schon von der anderen Straßenseite gesehen hatten. Beide Jungs waren nun durch die gemachten Erfahrungen mutiger geworden. Sie gingen auf die andere Straßenseite. Es waren ein Mann und eine Frau. Die Taschen nach außen gekehrt, ausgeplündert. Die Gesichter rot-violett. Die Augen weit aufgerissen, große Pupillen. Lass' uns nur schnell weitergehen, sie sehen uns so erschrocken an, meinte Hartmut.

Sie kamen an Tante Julchens Haus vorbei. Alle Haustüren standen offen. Sie überlegten, sollen wir hineingehen, sollen wir nicht. Nein, die beiden Schwestern werden nicht mehr in ihrer Wohnung sein, sonst wäre die Haustür schon der Kälte wegen geschlossen. Von einem unguten Gefühl getrieben beschlossen sie, lieber morgen zu prüfen, ob beide noch in der Wohnung sind oder sich auch mit anderen Deutschen zusammen getan haben. An Schlimmeres wagten sie nicht zu denken.

Unruhe trieb sie zu Lieschen Gäbels Villa. Hoffentlich sind noch alle dort, nicht aus dem Haus getrieben oder gar verschleppt.

Es gab eine neue Hausgenossin. Ollas Freundin, Hertha Berns, war dazu gestoßen. Sie erzählte von ihren schrecklichen Erlebnissen. Mit vier weiteren Hausbewohnern, die ebenfalls nicht geflüchtet waren, hatte sie sich mit ihrem Mann und Kongo, ihrem Airdale, am 30. Januar abends in den Luftschutzkeller begeben, um die Front über sich hinweggehen zu lassen. Nach der Sprengung der Warthebrücken ging sie nach Mitternacht nochmals nach oben in die Wohnung, zu der auch die Arztpraxis gehörte. Sie wollte aus den letzten Kaffeebohnen einen Mokka bereiten. Meinen gehüteten letzten Kaffee sollen die Russen nicht bekommen. Mit der Thermosflasche ging sie wieder zurück in den Keller. Sie trank ihren Mokka. Ihr Mann beteiligte sich nicht daran. Als sie gegen morgen die ersten Panzer vorbeirattern hörten und russisches Geschrei zu vernehmen war, spritzten sie sich ihre gesamten Morphiumbestände aus der Praxis in die Venen. Für Kongo wurde Zyankali in die Wurst gewickelt. Die Mitbewohner ließen sie nichts merken. Hertha Berns wurde nach 2 Tagen wieder wach, sie war wie gelähmt, konnte sich nicht rühren. Neben ihr im Liegestuhl lag ihr toter Mann und Kongo tot auf dem Boden. Nach einem weiteren Tag konnte sie sich so weit bewegen, dass sie durch den von den anderen Hausbewohnern aufgestoßenen Durchbruch zum Nebenhaus kriechen konnte. Diese hatten offenbar den Keller durch diesen Durchbruch verlassen, als das Haus über ihren Köpfen abbrannte und sie annehmen mussten, dass Dr. Berns mit Frau und Hund tot seien. Hertha Berns erzählte das alles teilnahmslos, ohne jeglichen Gefühlsausbruch, apathisch. Sie meinte, der starke Kaffee müsse als Gengift gewirkt haben.

Hertha Berns gehörte nun auch zu den Bewohnern im Haus in der Heinersdorfer Straße.

Ulrich und Hartmut machten sich am nächsten Vormittag mit Pascha auf zur Wohnung von Tante Julchen. Alle Wohnungstüren in dem Mietshaus waren aufgebrochen, so war auch Tante Julchens Tür im zweiten Stock aus dem Rahmen gerissen. Es gab ein Durcheinander in der Wohnung; wie überall war alles aus den Schränken auf dem Fußboden verstreut. Beide Schwestern hatten wahr gemacht, was sie angekündigt hatten. Sie hatten sich am Fensterkreuz im Schlafzimmer erhängt. Ulrich und Hartmut starrten auf die beiden Frauen. Sie hatten jetzt schon anders zugerichteten Leichen gesehen. Das hier aber waren Tante Julchen und ihre Schwester. Sie kannte man, Bezugspersonen, die man liebte. Da hing Hartmuts Tante Julchen, die mit der „MS Deutschland“ in Amerika war, die sich als Dr. Eisenbart ausgab, die er vor ein paar Monaten geheiratet hatte, nein, nein und nochmals nein. Beide Jungs stürzten die Treppe hinunter, um nach Hause zu rennen, um zu berichten. Aus dem Nebenblock kam ein alter Mann heraus. Ihr Lümmel, habt wohl auch geplündert? Nein, nein, wir wollten Tante Julchen besuchen. Beide sind tot. Die beiden Frauen, die Geschwister Wendt, meint ihr? Seid ihr verwandt mit ihnen? Ja, nein, eigentlich nicht, aber wiederum doch.

Ja, ja, ich wollte sie schon abnehmen, es waren zwei so freundliche Damen. Ich kann es aber nicht alleine schaffen. Sie müssen beerdigt werden. Wenn es eure Tanten sind, dann müsst ihr helfen. Wir werden sie auf dem Hof beerdigen. Das ist Christenpflicht. Stellt euch nicht so an, wartet hier. Die beiden Jungs waren wie versteinert. Er kam mit Spaten und einer Spitzhacke aus seinem Keller. Alle drei gingen zurück zum Nebenhaus.

Zuerst müssen wir ein Grab schaufeln, sagte der Alte. Hinter der Teppichklopfstange war kriegsbedingt ein kleines Gemüse Gärtchen angelegt. Hier werden wir schaufeln, hier ist es weicher. Er schob den Schnee an die Seite. Ulrich bekam den Spaten in die Hand gedrückt.

Tante Julchens Nachbar hackte den gefrorenen Boden auf, Ulrich musste die losen Erdbrocken wegschippen. Es dauerte ewig. Hartmut versuchte mit den Händen die größeren Erdklumpen an die Seite zu legen. Es wurde leichter, als man die gefrorene Erdschicht durchstoßen hatte.

Alle drei mussten wieder nach oben in Tante Julchens Wohnung. Der alte Mann suchte ein Messer in der Küche. Wir müssen sie jetzt abschneiden. Haltet sie fest, nicht fallen lassen, wenn ich die Wäscheleine durchschnitten habe. Seht ihnen nicht in das Gesicht, dann ist es einfacher. Wir müssen sie wenigstens einwickeln, er riss die Übergardinen herunter. Zuerst wurde Tante Julchens Schwester hinunter geschleppt, gezogen. Sie wurde in das Loch gelegt. Sie sind schon gut eine Woche tot, die Leichenstarre ist raus. Die Beine müssen wir anwinkeln. Dann kam Tante Julchen dran. Los, los, es gibt Schlimmeres als tote Menschen. Das gegrabene Loch war allenfalls 70 bis 80 cm tief. Beide wurden verscharrt. Hartmut schrie, nein, nein, wir können doch nicht einfach die kalte Erde darüber schaufeln. Ich suche ein Brett. Er konnte kein geeignetes Brett finden. Aus der Parterre-Wohnung kam er mit einer Steppdecke zurück, die als Polster über die beiden zusammen gekrümmt im Grab liegenden Schwestern gelegt wurde. Die Erde kam darüber,

zuletzt die gefrorenen Erdklumpen. Es ergab einen Hügel. Eigentlich mussten wir das Grab festtreten, das bringe ich aber nicht fertig, sagte Tante Julchens Hausnachbar. Er klopfte mit dem Spaten noch ein wenig den Hügel zurecht. Das war es. Ich werde ein Holzkreuz machen, meinte er noch. Die Jungs zeigten keine Regung, keine Tränen, keine Worte, sie waren selber wie tot. Beide hatten bis vor dem Russeneinmarsch keinen toten Menschen gesehen, nun so etwas!

Sie rannten zurück zu Lieschen Gäbels zusammengewürfelten Hausgemeinschaft. Bevor sie überhaupt berichten konnten, gab es eine Standpauke von Olla und den anderen. Wir waren in heller Aufregung, wo seid ihr so lange gewesen, wir sahen euch schon verschleppt. Wir müssen zusammenbleiben. Wenn wir abtransportiert werden, dann zusammen.

Dieses traumatische Erlebnis wurde schnell überschattet durch neue Ereignisse.

Es gab weitere Bekanntmachungen der Militärverwaltung. Letzter Aufruf! Alle Parteigenossen oder Mitglieder des Volkssturmes haben sich zu melden, sonst droht Todesstrafe.

Oskar Brandt war nicht zu halten. Ich muss mich melden. Was kann man mir tun, ich bin 54 Jahre alt. Alle rieten ihm ab. Meta Brandt war in ihrer Meinung indifferent. Man mag es nur noch schlimmer machen, wenn er sich nicht meldet. Die Männer sollen doch nur registriert werden. Vielleicht sollen sie die Toten wegschaffen, was sollen sie denn sonst mit den alten Männern anfangen. Olla konnte ihn auch nicht umstimmen.

Oskar Brandt meldete sich in der Bahnhofstraße. Dort wurde er von der GPU in Empfang genommen. Diese Soldaten trugen flache grüne Schirmmützen und hoben sich darüber hinaus von den anderen Truppenteilen durch ihre Uniformen und Schulterstücke ab. Die GPU war das Pendant zur deutschen Gestapo, wie man schnell herausfand. Oskar Brandt verschwand in der Bahnhofstraße im Keller des Restaurants und Hotels Altmann, zusammen mit anderen Männern seines Jahrgangs.

Als er nach 2 Tagen noch immer nicht zurück in der Heinersdorfer Straße war, trauten sich Meta Brandt und Olla mit selbstgenähten Rotkreuz-Amibinden zur Meldestelle. Die aufgestellten Wachen ließen sie gar nicht dicht an das Gebäude heran. Diese Nazis müssten ihrer gerechten Strafe entgegensehen, wurde ihnen bedeutet. Sie sind für den Arbeitseinsatz vorgesehen. Verschwindet, aber schnell, sonst sperren wir euch dazu.

Nach weiteren zwei Tagen machten sich beide Frauen nochmals in ihrer altmachenden Verkleidung auf zur Bahnhofstraße. Sie nahmen eine Wolldecke und Vesperbrot für Oskar mit. Der Keller war leer. Von einem Deutschen erfuhren sie: „die aus dem Keller, die haben sie doch schrecklich geschlagen. Sie wurden zur Bahnhofsrue getrieben. Von dort sind sie gewiss nach Russland oder Sibirien verladen worden“. Meta Brandt klammerte sich nun ganz an Olla und ihre beiden Jungs. Sie war Hartmuts Patentante. Sie war nun ganz alleine. Der älteste Sohn gefallen, der zweite als 16-jähriger im Oktober 1944 mit Notabitur an die Ostfront, nach Gnesen, eingezogen, und nun ihr Mann in Sibirien, wenn er überhaupt noch lebt.

Die nächtlichen Plünderungen und Überfälle wurden noch häufiger, Meta Brandt hatte nicht mehr daran gedacht, dass Ollas zwei Brilliantringe in dem gemauerten Küchenherd versteckt waren. Es musste ja einmal etwas gekocht werden. So waren sie verbrannt. Die Asche wurde zwar noch einmal durchgesiebt. Man fand nichts. Der andere Schmuck war zwar auch im Herd versteckt, aber an bisher noch nicht benutzten Kochstellen.

Ulrich kam auf die Idee, wir müssen die Tür der Kofferkammer in der oberen Wohnung bei Lieschen Gäbel mit einem Schrank verstellen, um in ihr die besseren Sachen verstecken zu können. Zudem könnten auch die Frauen bei Russenüberfall einfacher in die Kammer verschwinden und brauchten nicht in der winterlichen Kälte durch das Schlafzimmerfenster auf das Schuppendach zu flüchten.

Es wurde nach einem Schrank gesucht, der die Kammertür voll abdecken würde. Zu dem müsste man ein System herausfinden, um den Schrank schnell hin und her schieben zu können. Ein Bücherschrank mit Glasscheiben schien ideal zu sein. Eine Latte wurde vor die Beine der rechten Seite des Schrankes in die Fußbodendielen genagelt, damit sich diese Seite beim Verschieben nicht von der Wand entfernen konnte. Einige Bücher wurden so hineingelegt, dass die Russen durch die Scheiben sehen konnten, dass sich außer Büchern nichts im Schrank befand. Um das An- und Abwinkeln des Schrankes an der linken Seite leicht bewerkstelligen zu können, wurde ein Balken bereit gelegt, mit dem man durch Hebelwirkung den Bücherschrank anheben konnte. Die Frauen konnten bei Russengepölte im Erdgeschoss schnell in die Kammer schlüpfen. Mit Hilfe des Balkens wurde der Schrank dann flink vor die Kammertür gehoben. Es gab einen Schwachpunkt. Diese Kammer hatte ein Lüftungsfenster zur Küche, hoch unter der Decke. Das Problem wurde durch einen gerahmten Druck „Das heilige Abendmahl“ gelöst. Er hing nun ungewöhnlich hoch unter der Decke und bedeckte das Lüftungsfenster. Ulrich meinte: „den Russen fällt das nicht auf. Zu Hause hätten sie sowieso keine Bilder an der Wand“. Niemand kam weder Tag noch Nacht aus den Kleidern. Täglich, abends um etwa 22.00 Uhr, kamen deutsche Flugzeuge, die einige Bomben abwarfen. Wahrscheinlich waren es nicht mehr als 2-3 Maschinen, denn es fielen jeweils kaum mehr als 3-4 Bomben. Sie warfen gleichzeitig auch Flugblätter ab: „Haltet aus, wir befreien euch“. Da die zurückgebliebenen Deutschen nun schon für Wochen völlig abgeschlossen von der Außenwelt dahin vegetierten, nichts vom weiteren Kriegsverlauf erfuhren, auch nicht wussten, wo die Front steht, wurde Hoffnung genährt. Dass noch gekämpft wurde, das konnte man am Artilleriefeuer in der Ferne und den Verwundetentransporten der Russen erkennen. Sollte es doch noch Wunderwaffen geben? Die Russen schienen noch immer nicht in Berlin zu sein und „Gitler“ nicht kaputt. Diese Unsicherheit veranlasste Olla, die besten Sachen zurück in den nicht vollständig ausgebrannten Keller in die Richtstraße zu bringen. Ulrich und Hartmut fuhrten mit dem Schlitten wieder Gepäckstücke zurück, immer mit der Angst im Nacken, ausgeraubt zu werden. Der beschlagnahmte Teil des Kellers mit dem eingelagerten Warenbestand der Textilfirma Berger und deren

Privatkisten, die Koffer des Major Westphal aus Berlin und der Hamburger Verwandtschaft war völlig intakt geblieben. Die Trümmer hatten auch den Eingang zu diesem Kellerteil gut abgedeckt. Ulrich und Hartmut hatten noch weiteren Schutt darüber geworfen, um ihn für Plünderer nicht sichtbar zu machen. Olla hatte den Jungs gestattet, die Plomben einfach abzureißen, um nachzusehen, ob die Stoffe aus Berlin und Ollas Porzellan unter der Hitzeentwicklung durch das Feuer gelitten haben. Sie brachten Stoffproben mit, viele Meter, die sie von den Ballen abgerissen hatten. Vor dem Laden von Goldschmied Schmelter in der Wollstraße gab es eine Straßenpumpe. Wasser wurde in den Keller geschleppt, Lebensmittel ebenfalls, die Speckseite, die Hartmut zu seinem 10. Geburtstag Ende Januar von Erna Vaatz von der Wormsfelder Mühle geschenkt bekommen hatte. Butter aus der Beute von der Molkerei und die Bahlsen-Kekse vom Kolonialwarenhändler König gegenüber.

Sollte wirklich die Front zurückkommen, ziehen wir in den Keller, meinte Olla. Die Deutschen müssen, wie vorher die Russen, durch die Richtstraße, sie freikämpfen für den Nachschub. Und wir sind zuerst befreit. Die Front kam nicht zurück, es gab auch keinen deutschen Nachschub. Es gab nur diese paar Löcher von den abgeworfenen deutschen Bomben, vor der Post, vor der Wohnung von Lehrer Podolski in der Fernemühlen-Straße, in der Küstriner Straße und um die Behelfsbrücke über die Warthe herum. Das war es dann aber auch. Es war später auch schwer zu begreifen, dass diese unsinnigen Flugblätter Hoffnung auf Befreiung nähren konnten.

Mengen von Kriegsmaterial war zu sehen, das die Russen von den USA erhalten hatten. Die LKWs alle „Made in USA“, Gewehre, Corned Beef in Dosen, selbst Seife mit dem Aufdruck in Russisch: „Für unsere russischen Freunde“. Gewiss wäre den „Freunden“ anstelle der Seife, Whisky oder Virginia-Tabak lieber gewesen. Der eigene Machorka in Zeitungspapier zu Papierossi gedreht, stank nicht nur entsetzlich, er muss auch entsprechend geschmeckt haben. Wo sollte die deutsche Wehrmacht die Kraft hernehmen, das Blatt noch einmal zu wenden, bei dieser Übermacht? Es waren die Strohhalme, an die man sich klammerte.

Anstelle der deutschen Soldaten waren drei LKWs bei der Ruine von Photo-Meyer angerückt. Die russischen Hiwis hatten alles aus dem Keller herausgeschleppt, die Stoffballen, die Privatsachen der Bergers, der Westphals, der Wegerts, Ollas Porzellan, ihre Pelze und auch Meta Brandts beste Sachen. Auch die gerade hineingeschleppte Speckseite von Wormsfelde, die Kekse ohne Marken von Königs gegenüber, alles war weg. Hartmut und Ulrich erfuhren das von den Geschwistern Weiß, die diese Russenaktion von den Fenstern ihrer verbarrikadierten Wohnung aus beobachtet hatten.

Nun verblieben in der Ruine nur noch das Safe vom ehemaligen Schrankflur in der 1. Etage. Die Schränke waren weggebrannt. Man sah das freigelegte Safe in der Mauer mit einem Teil der Silbennünzen und des Rohsilbers darin. Wie sollte man dort herankommen? Ohne lange Leiter ging das nicht. Dann war da noch der Geldschrank aus dem Büro. Der stand einmal auf einem massiven

Eichen-Unterschrank. Dieser war verbrannt, der Geldschrank umgefallen, auf die Türen. Er lag nun mit der Front nach unten in dem Schutt. Zu schwer, um ihn umdrehen zu können. Hier war der Hauptteil des Rohsilbers drin und einige nicht mehr bei der Bank eingezahlte Tageskassen vom Geschäft. Die Jungs fanden erstaunlicherweise das eine oder andere Geschirrtel oder Glas in den Trümmern, das das Feuer und das Herunterstürzen überstanden hatte, ohne zu zerbrechen.

Sie fanden auch im Vorkeller, der ausgebrannt war, zwei von den vielen Filmrollen in ihren Agfa Blechdosen, mit Familienaufnahmen von 1929 und 1936. Das, obwohl das Filmmaterial aus Zelluloid war. Fast ein Wunder.

Das Auf-die-Straße-Gehen wurde immer gefährlicher. Die Russen trieben das noch vorhandene Großvieh von den Bauernhöfen der Umgegend zusammen. Kühe und Pferde. Es wurde jeder halbwegs gesund aussehende Mann, aber auch Halbwüchsige, aufgegriffen. Man drückte ihnen die Halfter von 4 Pferden in die Hand, diese mussten sie gen Osten führen. Ähnliches galt für die Rinderherden. Die Jungtiere und Kühe wurden zusammengetrieben und sollten ebenfalls weiter nach Russland gebracht werden. Im Winter, zu Fuß. Das war nur eine gewisse Zeit durchzuhalten, bis der Treiber zusammenbrach. Dann wurden neue Treiber gesucht, bis diese wiederum umfielen. Diese Häscherkampagnen der Russen waren gefürchtet. Nun waren die Straßen nicht nur für die Frauen tabu, sondern auch für die alten Männer und die Jugendlichen. Auch Ulrich ließ sich besser nicht mehr auf der Straße sehen. Stürmten die Russen das Haus, verschwand er mit den Frauen auf dem Schuppendach oder in der Kofferkammer.

Das hieß nun, Hartmut blieb bei den Russenüberfällen allein im Sessel sitzen. Pascha hatte er fest die Schnauze zuzuhalten, damit er nicht die Russen anfiel. Diese hatten das gar nicht gerne. Häufig zielten sie mit ihren Karabinern auf den um seine Freiheit kämpfenden Pascha. Hartmut dachte, nun denn, dann schießt doch schon endlich durch Pascha und durch mich. Meistens blieb mit Hartmut noch das alte Ehepaar Bartsch zusammen. In ihrem Alter waren sie kaum noch für Verschleppung gefährdet.

Aber auch sie verzogen sich häufig schnell auf den Dachboden, um den Durchsuchungen zu entgehen. Alle anderen saßen in ihrem Versteck in der Kofferkammer und hörten mit, was sich in der Wohnung abspielte und warteten darauf, dass es reine Luft geben möge. „Wo Frau, wo Frau?“ Hartmut antwortete lapidar: „Nix Frau, nix Frau“. Wenn Eduard Bartsch, der im 1. Weltkrieg in Sibirien in Gefangenschaft gewesen war, sich nicht gerade auf dem Dachboden versteckt hielt, versuchte er mit seinen wenigen Russischbrocken klar zu machen, dass Hartmut sein Enkel: „Wnuk und Matka kaputt sei“. Die Russen sollten nicht misstrauisch werden. Ein Haus ganz ohne Frauen? Unwahrscheinlich! Die Ernährungssituation wurde immer prekärer. Es gab keinerlei Versorgung, absolut keine.

Vor Einquartierung war man niemals sicher, das konnte zu jeder Tag- und Nachtzeit geschehen. Da gab es auch keine Vorwarnung. Der Quartiermacher stürmte mit 10-12 Mann ins Haus. Einer trug den amerikanischen Benzinkanister gefüllt mit irgendeinem Fusel. Andere schleppten Kartoschka und Chleba

von ihrem LKW herein. Sie nickten auch häufig mit einem Reh oder Hasen an, manchmal einem irgendwo requirierten Schwein. Die Rotarmisten entwickelten eine bemerkenswerte Geschicklichkeit, in kürzester Zeit ein Tier auszuweiden. Die Familie musste kochen und damit waren die Frauen relativ sicher. Nun war das Kochen nicht ganz einfach. Es musste auf offenem Feuer in der Küche geschehen, ohne geeignete Töpfe. Die Russen waren nicht anspruchsvoll. Es war immer „karaschow“ oder so gar „otschen karaschow“. Die Familie zweigte natürlich etwas von den Lebensmitteln für sich ab. Hartmut hatte eimerweise Wasser von der Straßenpumpe heranzuschleppen. Die Einquartierung folgte offenbar einem Naturgesetz, sie raubte und wilderte nicht unbedingt in der unmittelbaren Umgegend. Das, was man auch den Zigeunern nachsagt. Sie gehörte auch nicht zu den Spezialtruppen, die sich mit Verschleppungen von Menschen und Verladungen ganzer Fabrikeinrichtungen und Warenbestände befasste. Das waren die Grünbemützten, die GPU, die diese üblen „Geschäfte“ betrieb. Sie quartierten sich vorzugsweise in den verlassenen deutschen Kasernen ein und unterhielten dort ihre gefürchteten GPU-Keller.

Gegessen wurde grundsätzlich auf dem Fußboden sitzend, mit Händen und Füßen; an die Wand gelehnt. Allenfalls suchte sich ein Offizier einen Stuhl. Wurde abends der Benzinkanister geöffnet und jeder hatte einen Becher in der Hand, dann wurde es für die Frauen höchste Zeit, sich in Sicherheit zu bringen. In diesen Fällen konnte es nur der Dachboden sein. Mit dem Alkohol fielen alle Hemmungen.

Hartmut war der einzige, der weitgehend gefahrlos mit den Russen umgehen konnte. Sie waren generell gesagt, freundlich zu Kindern. Hartmut sah jünger aus mit seinen 10 Jahren, war auch dreister und gewitzter als sein älterer Bruder Ulrich. Bei einem der nächtlichen Russen-Überfälle blieb Ulrich auf der Couch liegen. Da die Russen keine Frauen in der Wohnung gefunden hatten, blieben sie einfach und biwakierten stockbetrunken auf dem Fußboden im Wohnzimmer.

Die Frauen saßen in der Kammer. Sie konnten mithören, wie Hartmut krampfhaft versuchte, die Russen wieder aus dem Haus zu bekommen. Es war ihm klar, dass die Frauen sonst nicht aus dem Versteck kommen konnten. Hartmut riss ein Fenster auf, zeigte auf die gegenüberliegenden leeren Wohnungen und die Gärtnerei, rief: „da Frau, da Frau“. Es gelang ihm nicht. Die Russen bewegten sich nicht. Zu allem Überfluss schob einer der Russen Ulrich auf der Couch gegen die Wand und legte sich dazu. Ulrich versuchte aus dieser Bredouille herauszukommen und wollte über den Russen steigen. Der wurde bei diesen Versuchen halbwach, brummte etwas oder schimpfte auch. Ulrich traute sich nicht. Er lag zwischen Wand und dem Russen. Am nächsten Tag musste seine Wasche verbrannt werden. Er hatte Kleiderläuse. Die Frauen hatte Hartmut später aus dem Versteck lotsen können. Sie verkrochen sich auf dem Trockenboden für den Rest der Nacht.

Im Grunde genommen blieb nur Hartmut für die Beschaffung von Nahrungsmitteln übrig.

Er zog durch die leeren Wohnungen und Keller. Hier und dort fand er Eingewecktes. Eduard Bartsch musste aus seinem Warenbestand ein Silber- oder Goldkettchen herausrücken, was Hartmut gegen Brot bei den Russen eintauschte.

Das war bei den LKW Standorten: am „Platz der SA“, „Schlageterplatz“, „Paradeplatz“. Die Russen hätten Hartmut natürlich diese kleinen Schmuckstücke einfach wegnehmen und ihn zum Teufel jagen können. Das ist ihm nicht widerfahren. Der schnell geprägte Ausdruck „Die Russen sind wilde Tiere mit aufrechtem Gang“ war nicht auf die Behandlung von Kindern zu übertragen. Nicht selten strichen sie Hartmut mit der Hand über seine blonden Haare. In der Steinstraße, gleich um die Ecke von Lieschen Gäbels Haus, hatten sich Ollas Freunde Irene Emig mit Schwiegermutter und Sohn Pütz hin verzogen. Sie saßen dort in einer fremden Wohnung, nachdem sie aus ihrem Haus im Buchwaldweg 4 herausgeworfen wurden und Walter Emig von den Russen als ehemaliger Offizier in die nahe gelegene General v. Strantz-Kaserne abgeführt und dort erschlagen worden war. Leidensgenossen berichteten, man habe ihm vorgeworfen, den deutschen Fliegern Lichtzeichen gegeben zu haben. Er soll mit anderen Umgebrachten im Zanziner Waldgelände „vergraben“ worden sein. Das wusste Irene Emig aber nicht, sie hoffte, dass ihr Mann verschleppt wurde wie Oskar Brandt und die vielen anderen und vielleicht ja eines Tages von Sibirien zurückkehren würde. Olla hatte nicht den Mut, ihr die Wahrheit zu sagen. Emigs wären zu gern auch in der Heinersdorfer Straße untergekröchen. Olla wollte es nicht. Das Problem war Mutter Emig, die durch die Umstände „durchgedreht“ war. Sie konnte nicht begreifen, dass es keine Polizei gab, Menschen erschlagen wurden, Russen Tag und Nacht plündern und vergewaltigen konnten. Sie rief immer nach dem Technischen Hilfswerk. In solch einem Fall muss doch das Technische Hilfswerk eingreifen. Wo ist denn das Technische Hilfswerk? Olla hatte schon das Problem mit Hertha Berns, die nach ihrer Wiederauferstehung von den Toten unzuverlässig reagierte und zu fürchten war, dass sie die ganze Großfamilie in Schwierigkeiten bringen könnte. Emigs Pütz war in Hartmuts Alter. Es ging das Gerücht, dass es in Heinersdorf, etwa 4 km entfernt, noch Bauern geben sollte. Pütz und Hartmut machten sich auf den Weg nach Heinersdorf, immer der Chaussee folgend. Manchmal versuchten sie, einem russischen LKW auszuweichen oder sich auch zu verstecken, wenn es das Gelände zuließ. Das Dorf war wie ausgestorben, einige Gebäude niedergebrannt. Verdächtig waren Häuser, die „verrammelt“ waren, da mussten Menschen wohnen, und wenn gar der Schornstein rauchte, dann war es ganz klar. Sie fanden solch ein Haus. Beide klopfen gegen Tür und geschlossene Fensterläden und riefen die übliche Frage: „Ist da jemand?“. Auf die deutschen Stimmen hin, wurde die Tür einen Spalt geöffnet. „Was ist los, worum geht’s?“ Beide Jungs erzählten ihre Geschichte. Sie kämen aus Landsberg und wollten fragen, ob sie etwas zum Essen und zum Mitnehmen bekommen könnten. Sie hätten auch zwei Milchkannen mitgebracht. Sie wurden als unverdächtig eingelassen und ausgefragt. Wie sieht es in Landsberg aus? Leben dort noch Deutsche? Was wisst ihr Neues? Wo ist die Front? Die beiden Jungs waren für das Bauernehepaar der erste Kontakt seit Einmarsch der Russen und das war jetzt 6 Wochen her. Es waren die einzigen zurückgebliebenen Bauern im Dorf, und das auch nur, weil sie auf der Chaussee nach Küstrin am Bauernwagen einen Radbruch hatten, reparieren mussten und von

den Russen eingeholt wurden. Die anderen Bauern hatten es noch über die Oder geschafft. Sie sind zu Fuß zurück gelaufen. Die Russen hatten ihnen die beiden Pferde weggenommen. Das Vieh wurde sofort weggetrieben zum Nachbardorf. Im Gelände hätten sie dann noch zwei entlaufende Kühe gefunden, die sie jetzt in der Scheune untergebracht hätten. Eine stünde leider trocken. Pütz und Hartmut bekamen ihre Milchkannen gefüllt und Weckgläser mit Leberwurst wurden ihnen mitgegeben. Sie sollten nur wiederkommen und wenn möglich, Kerzen mitbringen, die die Bauernleute dringend brauchten, auch wenn jetzt schon die Tage länger seien.

Olla entschloss sich, mit Hartmut durch die Hardenbergstraße zum nahe gelegenen Grundstück in die Kladowstraße zu gehen um festzustellen, ob das Gartenhaus noch stünde. Die Straße schien frei von Russen zu sein. Sie rannten mehr als sie gingen. Kurz vor der Gartenpforte tauchte ein Russe auf. Nach der Uniform zu urteilen, ein höherer Offizier. Olla riss Hartmut am Arm mit sich, schnell, schnell, wir schaffen es noch vor ihm durch die Pforte auf das Grundstück zu kommen.

Der Russe brüllte: „Stoi“. Olla unentschlossen, sollte sie weiter rennen oder stehen bleiben. Sie blieb mit Hartmut stehen. Der Offizier schrie Olla an, gab ihr links und rechts eine Ohrfeige und machte ihr klar, dass eine deutsche Frau nicht vor einem russischen Offizier dessen Weg zu kreuzen habe. Sie hätte gefälligst zu warten, ihn vorbeizulassen und hinter ihm könne sie ihren Weg fortsetzen.

Die Nachbarvilla vom Gartengrundstück von Dr. v. Klot war ausgebrannt, der Dachstuhl eingestürzt und auf den fast aufgebrannten Flügel im Salon gefallen. Das Haus zur Rechten, in dem die spanische Verwandtschaft der Emigs wohnte, stand offenbar leer.

Olla und Hartmut schlichen sich durch das Grundstück bis zum Gartenhaus an der Kladow. Es war unversehrt und bewohnt. Sie machten sich bemerkbar. Es waren freigesetzte Fremdarbeiter, nämlich ein Holländer, ein Franzose und eine Luxemburgerin. Auf Ollas Frage, warum sie sich gerade hier einquartiert hätten, es sei doch alles frei und außerdem bequemer in einer der Villen zu leben, wollten sie nicht so recht eingehen. Olla vermutete später, dass sie sich nicht getraut haben. Sollten die Deutschen wirklich noch einmal zurückkommen, könnten sie ernsthafte Schwierigkeiten bekommen, herrschaftlichen deutschen Besitz in Anspruch genommen zu haben. Sie wollten ausharren, und nach dem Krieg versuchen, sich nach Hause durchzuschlagen.

Es erforderte eine eiserne Disziplin von den Frauen, den Vergewaltigungen zu entkommen. Die Besetzung dauerte nun schon über 2 Monate. Für die „Familiemitglieder“ um Olla herum hieß das, sie konnten das Haus kaum verlassen. Der Radius für sie war auf die Wasserpumpe und allenfalls auf die 2 bis 3 Straßen in der Umgegend begrenzt, und das war auch nur nach vorheriger Prüfung möglich, ob die Straße von Russen frei zu sein schien.

Nach jedem Verlassen des Hauses musste die Haustür mit den Balken neu verbarrikadiert werden. Die Tür war durch das permanente, gewaltsame Aufbrechen so brüchig, dass immer neue und zusätzliche Balken für die Abstützung gesucht werden mussten. Zudem wurden Blecheimer und Glasgefäße an den

Stützbalken befestigt, um beim Herabfallen zusätzliche Warngeräusche zu produzieren. Hartmut, der eigentlich der einzige war, der das Haus verlassen und auf Nahrungssuche gehen konnte, kletterte vorzugsweise durch das hintere Küchenfenster der unteren Wohnung hinaus und auf besonderen Pfiff wurde es von einem Mitglied der Großfamilie bei seiner Rückkehr wieder geöffnet. Es ersparte das umständliche „Verrammeln“ der Haustür. Trotz der Vorwarnung anrückender Russen durch das Aufbrechen der Tür und das Herunterfallen der kunstvoll aufgebauten Blechdosen und Eimer, war es tagsüber für die Frauen und Ulrich nicht immer zu schaffen, noch rechtzeitig in die Kammer zu verschwinden und für Eduard Bartsch oder Hartmut noch Zeit zu finden, den Bücherschrank mit dem bereitliegenden Balken vor die Kammertür zu hebeln. Das Pudern der Haare war deshalb unumgänglich und die Omatücher und die Krückstöcke mussten sicherheitshalber immer parat liegen. Nachts war das einfacher zu bewerkstelligen, da alle Bewohner wegen des Kerzenlichtes in einem Raum sitzen mussten und zusätzlich neben der Kammer das Schuppendach zu Verfügung stand. Letzteres fiel bei Tageslicht aus nahe liegenden Gründen aus.

Bei aller Vorsicht blieb es nicht aus, dass die Familie überrascht wurde. Eines Spätabends waren plötzlich zwei Russen im Haus, selbst schon in der oberen Küche, wo sich alle wegen der Herdwärme aufhielten. „Frau, Frau“. Es war nicht einmal Zeit für die Frauen geblieben, die Bühnenverkleidung anzulegen. Wie sie hereingekommen waren, es war nicht klar. Sie waren da.

Sie hatten sich Olla, die die jüngste war und Meta Brandt ausgeguckt. Es gab ein Geschrei, es gab ein Handgemenge. Sie drohten mit ihren Karabinern. Es wurde noch mehr geschrien. Diese Naturburschen hatten Kräfte, sie blieben Sieger. Eduard Bartsch versuchte in dem Durcheinander den Russen Uri, Uri anzubieten, um sie von den beiden Opfern abzulenken. Er rief Olla zu, sie solle den beiden sagen, er könne zwei Uhren von einem Freund in der Nachbarschaft besorgen. Sie mussten aber die beiden Frauen zufrieden lassen. Nach einigem hin und her ließen sich die beiden Russen darauf ein. Sie würden aber alle erschießen, sollte Eduard Bartsch nicht wiederkommen. Eduard Bartsch rannte aus dem Haus zum Schuppen und grub den Rucksack mit dem Warenbestand seines Juweliergeschäftes aus. Das nachts im Dunkeln. Es dauerte eine Ewigkeit. Die Russen wurden ungeduldig. Sie fummelten an ihren Karabinern herum, zielten auf den einen, auf den anderen. Martha Bartsch wollte ihren Mann suchen gehen; die Russen ließen es nicht zu. Eduard Bartsch kam zurück mit zwei Taschenuhren in den erdigen Händen. Sie wurden ihm aus den Händen gerissen. Olla und Meta über den oberen Flur in die gegenüberliegende Mädchenkammer gestoßen. Sie entgingen ihrem Schicksal nicht. Eduard Bartsch wurde anschließend von beiden fast totgeprügelt. Er sollte das Versteck preisgeben, aus dem er die beiden Uhren ausgegraben hatte. Frau Bartsch ging dazwischen. Sie wurde ebenso zusammengeschlagen. Sie rief ihrem Mann immer und immer wieder zu: „Edu, Edu gib es ihnen doch. Es ist doch sowieso alles vorbei, es ist doch alles vorbei“.

Er gab das Versteck preis. Die Russen schlepten ihn in den Schuppen. Er

hatte ja nicht einmal mehr Zeit gehabt, den Rucksack wieder zu vergraben. Nach diesem Geschehen wurde Hartmut endgültig klar, dass Vergewaltigung wohl mehr bedeuten müsse als das, was ihm seine Mutter auf Befragung beim Einmarsch der Russen, als dieser Ausdruck alltäglich wurde, erklärt hatte. Misshandeln, schlagen, quälen; wenngleich ihm in diesem Zusammenhang die Notwendigkeit des Gebrauchs der Frauendusche mit ihrem saugenden Geräusch erst viel später klar wurde.

Die Haustür wurde neu präpariert. Man stritt, wer war unachtsam, wie konnte es so leicht geschehen. Eduard und Martha Bartsch waren gebrochene Leute. Sie waren an die 70. Sie wurden von Hertha Berns verbunden, die Wunden gekühlt. Man tröstete sie, alles vergänglich, sie leben, das ist am Wichtigsten. Wozu noch? Das waren seit Wochen die täglichen Gespräche. Nicht genug des Schlimmen. Am nächsten Tage tauchte einer der Russen nochmals auf. Er fiel wieder über Eduard Bartsch her. Er müsse noch mehr versteckt haben. Er wurde erneut zusammengeschnitten. Nur Hartmut und Frau Bartsch waren zugegen. Die anderen saßen in der Kammer. Hartmut drückte dem Pascha wieder die Schnauze zu. Martha Bartsch ging dazwischen. „Edu, gib ihm auch noch den Rest, damit es endlich ein Ende hat“. Edu hatte in seinem Geschäft seinen Tresor zurückgelassen, in dem sich das weniger Wertvolle befand, vornehmlich Silbersachen. Sein Haus war nach letztem Wissensstand nicht abgebrannt. Er hatte damals die hinein geworfenen brennenden Getreidegarben wieder hinauswerfen können. Er machte dem Russen klar, dass sie gemeinsam ins Zentrum gehen müssten. Er würde ihm den Rest auch noch geben. Beide machten sich auf den Weg. Olla schickte Hartmut mit Pascha hinterher. Halte Abstand, beobachte was sich tut.

Der Russe, wohl in Offiziersrang, schubste Eduard Bartsch vor sich her, dawai, dawai. Der Russe bemerkte, dass ihm jemand folgte und erkannte Hartmut und Pascha. Er scheuchte beide immer wieder zurück. Das Bartsch-Haus stand noch. Russe wie Eduard Bartsch verschwanden darin.

Der Russe kam nach einiger Zeit mit einem Bündel über der Schulter wieder aus dem Haus. Eduard Bartsch bedrückt und gebeugt hinterher. Hartmut rannte zu ihm, um ihn zu umarmen, ihn zu trösten. Dabei verlor er die Leine von dem daran zerrenden Pascha. Der sauste mit der Leine dem Russen hinterher, sprang beißend und kläffend an ihm hoch. Der Russe ließ das Bündel fallen, erwischte Paschas Leine, riss ihn mit der linken Hand an der Leine hoch, dass der arme Pascha wie stranguliert in der Luft hing und jaulte - und knallte ihn mit der rechten Hand mit dem Karabiner ab.

Nun tröstete Eduard Bartsch Hartmut mit: „alles vergänglich, alles vergänglich, wir müssen alle sterben, mein Sohn“. Hartmut hatte bei Tante Julchens Verscharren nicht geheult, es wie versteinert ertragen. Jetzt bei Paschas Tod, seinem besten Freund, brach er in haltloses Weinen aus. Er schwor sich, das vergesse ich euch Russen niemals, niemals, dass ihr meinen Pascha abgeknallt habt, so einfach, einfach abgeknallt. Er hob ihn hoch, drückte ihn an sich, alles war blutig. Es war vor der Ruine seines Elternhauses geschehen. Das Geschäfts-

haus von Bartsch war nur zwei Häuser entfernt. Eduard Bartsch schlug von „wir werden ihn in seinem ehemaligen Zuhause begraben. Wir bauen ihm ein Mausoleum aus dem Schutt“. Es wurde eine Vertiefung in den Schuttbergen gesucht, Pascha mit Leine, Halsband und Hundemarke hineingelegt, Mauersteine darum gestapelt und ebenfalls aus Steinen ein Dach gebaut. Olla tröstete ihren Sohn: „Sieh, vielleicht war das das Beste für Pascha und für uns alle. Du musst doch zugeben, dass Pascha eigentlich untragbar für uns geworden war. Er spürte unsere Angst. Er hat uns schützen wollen. Er war allen gegenüber so aggressiv geworden, was Militärstiefel oder Uniformen trug. Er hat dich, er hat uns gefährdet“. Hartmut wiederholte seinen Schwur: „egal, das vergesse und vergebe ich euch Russen niemals“.

Bartschens teilten der Gemeinschaft an diesem Tage mit: „Wir machen ein Ende“. Was haben wir noch zu erwarten. Sie sehen selber, wie wir beide zuge richtet sind. Was wir hatten, haben wir verloren. Kinder haben wir auch nicht; aus, Schluss. Wir haben Blausäure, das wird schnell gehen. Wir möchten das untere unbenutzte Schlafzimmer haben. Es half kein Reden. Sie waren entschlossen. Vielleicht wurden sie auch beneidet, dass sie den Mut hatten und die Blausäure.

Es wurde beschlossen, Bartschens ziehen sich in das untere Schlafzimmer zurück und der Rest der Hausgemeinschaft wird in den Kohlenkeller gehen und den Tod der beiden abwarten. Alle saßen im dunklen Kohlenkeller, niemand sagte etwas. Um die Zeit zu überbrücken, vergruben Olla und die Kinder den Briefmarkenkoffer noch tiefer unter die Eierkohlen. Die Zeit rann unendlich lange dahin. Dann meinte man: „nun müssen die beiden es überstanden haben. Sollen wir schon nach oben gehen, sollen wir nicht?“ Man ging. Eduard Bartsch erbrach sich lautstark in der Toilette. Martha Bartsch kämmte ihre schütterten weißen Haare vor der Frisierkommode im Schlafzimmer. Sie waren nach ihrem vermeintlichen Tod wieder wach geworden. Die Blausäure war keine Blausäure oder so stark verdünnt, dass sie nicht wirkte. Da sich so viele Menschen vor dem Einmarsch der Russen Gift verschaffen wollten, wurde offenbar geschummelt und betrogen. Todsicheres Gift war häufig nicht todsicher. Es wurde auch behauptet, dass Gift überlagert sein konnte und nicht mehr wirkte. Das Ehepaar Bartsch gehörte wieder zur Familie. Es gab keine Gefühlsregungen, man nahm es so hin, man war abgestumpft.

Es waren nun schon 3 Monate ins Land gegangen. Der Krieg war immer noch nicht zu Ende. Deutsche Flugzeuge kamen schon lange nicht mehr. Es gab auch keine neuen Flugblätter mit: „Haltet aus, wir befreien euch“. Radio und Zeitungen sowieso nicht. Noch einmal sah Hartmut ein deutsches Flugzeug am Himmel. Vielleicht ein Aufklärer. Die Russen rannten in die Häuser. Die Flak ballerte. Das Flugzeug wurde getroffen. Zwei Fallschirme schwebten herab, in Richtung Kladow. Es war ein klarer Tag. Die Schirme hoben sich schön vom blauen Himmel ab.

Hartmut hatte mehr und mehr Schwierigkeiten, etwas zum Essen aufzutrei-

ben. Bartsch konnte nun auch nicht mehr mit einem Kettchen oder ähnlichem aus-
helfen. Hartmut dachte so bei sich: „Hättest du bei Zeiten eine Uhr herausgerückt
aus deinem großen Warenbestand, hätten wir etwas in Vorrat nehmen können“.

So blieb es nicht aus, das es schon zum Frühstück Pellkartoffeln geben musste.
Hartmut war gezwungen, den Radius seiner Streifzüge zu vergrößern. Die
Häuser in der näheren Umgegend waren von ihm schon abgegrast. Gewiss wären
in einigen Kellern noch Lebensmittel zu finden gewesen. Da es kein Licht gab
und Taschenlampen nicht zur Verfügung standen, traute er sich nicht in jeden
dunklen Keller. Allein auf sich gestellt, hatte er einfach Angst. Der Kerzenbestand
ging zur Neige. In fast jedem Keller gab es einen permanenten Zug durch of-
fen stehende Fenster und Türen. Die Kerzen verlöschten häufig. Hartmut stand
plötzlich im Finstern.

Er wollte im nahe liegenden Schützenhaus im Zanziner Park nach Essbarem
suchen. Auch hier waren alle Türen aufgebrochen. Er kam in die Küche. Vor dem
großen Herd saß ein Mann auf den Fliesen, der ihn mit weit aufgerissenen, erschrockenen Augen mit großen Pupillen direkt anstarrte. Hartmut war wie hypnotisiert, er konnte keine Bewegung machen. Beide sahen sich unentwegt und bewegungslos an. Hartmuts Puls raste, das Gehirn arbeitete, lebt er? ist er tot? aber diese Augen? Es waren sicherlich nur Sekunden, bis er sich von diesem direkten Anblick lösen konnte, die ihm aber wie eine Ewigkeit vorkamen. Der Mann war tot. Er war bläulich-violett angelaufen, es waren die typischen Leichenflecken. In einem der angrenzenden Gesellschaftsräume entdeckte er noch vier weitere Tote auf der Erde liegend. Diese schreckten ihn nicht mehr, er war nun darauf vorbereitet und Tote waren alltäglich. Er verzichtete darauf, hier weiter nach Lebensmitteln zu suchen.

Nicht weit vom Schützenhaus hatte er eine Ziegelei entdeckt, Richtung Zanzin, ein Rundbau, mit kleinem Bürogebäude und einem großen Fabrikschornstein. Er hätte diese Ziegelei wohl kaum beachtet, wenn sie nicht von Russen bewacht worden wäre. Sie werden doch nicht fürchten, dass jemand Ziegelsteine stiehlt. Es muss einen Grund geben. Hartmut verzog sich ins Gebüsch und beobachtete das Gebäude. Lärm kam aus dem angebauten Büro. Offenbar wurde darin gezecht. Während er das Büro, in dem 3 oder 4 Russen fröhlich waren, aus sicherer Entfernung weiter beobachtete, stellte er fest, dass ein Wachtposten mit aufgepflanztem Gewehr mit Bajonett immer um den Rundbau ging. Da musste also etwas von Wert gelagert sein. Hartmut hatte am Gebäude in einiger Höhe ein kleines offenes rundes Fenster entdeckt, durch das er klettern könnte, wenn ihm jemand Hilfestellung gäbe. Er kannte auch die Zeit, die der Russe für seinen Rundgang um das Gebäude brauchte. Zu Hause überredete er Ulrich mitzukommen. An der Ziegelei hat es zwei Stellen mit Gebüsch und dann steht das Wintergetreide schon relativ hoch. Ulrich könne sich dort verstecken, während Hartmut durch das Fenster klettert, um drinnen das Geheimnis zu lüften. Der Soldat war um die Rundung des Ziegeleigebäudes verschwunden. Hartmut versuchte über Ulrichs Schulter an das Fenster zu kommen. Er sah nur Wehrmachtsschränke, Schreibtische, aufgesta-

pelte Stühle, was er seinem Bruder berichtete. Beide berieten, was zu tun sei. Weiter hinten im Lager könnte besseres sein. Nachdem der Soldat wieder aufgetaucht und dann erneut außer Sichtweite war, hatte Ulrich seinen Bruder oben durch das Fenster geschoben.

Es schien ein Militärlager zu sein, vielleicht auch für den Arbeitsdienst. Abgesehen von Mobiliar, gab es Schubkarren, Liegestühle, Heizöfen, Gummistiefel, Essgeschirre aber leider keine Lebensmittel. Auch auf der oberen Empore im Lager, hatte es nichts zu bieten, was man brauchen oder vor allen Dingen durch das kleine Fenster wieder hinausreichen konnte. Das einzige waren 5 Liter Wasserkannen aus Zink, von denen Hartmut einige mit Schwimmseife und mit Hindenburg-Lichtern füllte. Hartmut sah aus dem Fenster, sein Bruder gab ihm ein Zeichen, der Soldat war auf der anderen Seite des Gebäudes. Die Kannen wurden hinausgereicht. Das Risiko hatte sich nicht gelohnt, allenfalls für die Hindenburg-Kerzen.

Zu Hause gab es einen fürchterlichen Krach. Unvernunft, unverantwortlich. Wenn der Kleine es schon nicht besser weiß, dann doch wenigstens Ulrich mit seinen fast 16 Jahren.

Es gingen Gerüchte um, ganze LKW Ladungen träfen mit gefallenen Russen ein. Man scheint einen Friedhof für sie auf dem Moltkeplatz einzurichten.

Olla war mutig. Sie wollte mit Hartmut noch einmal zum Gartengrundstück. Also auf. Haare neu gepudert, Omatuch, Krückstock, krummer Rücken. Vielleicht wissen die Fremdarbeiter mehr von dem, was in der Welt passiert. Die alten russischen Offiziere, die Olla auszufragen versuchte, berichteten von heftigen Kämpfen vor Berlin. Von heute hier und morgen in Berlin, redeten sie schon lange nicht mehr.

Es war ein früher Morgen. Der kürzeste Weg war wieder die Hardenbergstraße. Olla und Hartmut wurden von einem LKW überholt und barsch aufgefordert, auf die Ladefläche zu steigen. Alles Argumentieren half nichts. Mein Gott, jetzt wird die Familie auseinander gerissen.

Die Russen wollten Hartmut wegschicken. Olla bestand darauf, entweder lasst ihr uns beide gehen, oder wir bleiben auf dem LKW zusammen. Es ging direkt zum Moltkeplatz. Dieser lag mitten zwischen Häusern, im Quadrat, mit Bäumen, Büschen bestanden. Der Platz war mit einem gut 1 Meter hohen durchgehenden Holzzaun versehen worden, der teilweise mit rotem Tuch bespannt war. Es mag Fahnentuch gewesen sein, aber auch Inlett war für die Bespannung benutzt worden. Man konnte hier und dort noch Daunenfederreste feststellen. Dieser Holzzaun hatte ein hölzernes Rundtor an der Hindenburgstraße bekommen, das ebenfalls mit rotem Stoff bespannt war. Über dem Tor war ein Sowjetstern mit Hammer- und-Sichel-Emblem angebracht. Viele alte Männer, einige Frauen, aber offenbar auch Fremdarbeiter hoben hier Gruben aus. Also an der Friedhofsgeschichte war etwas dran. Die russischen Aufseher wollten Hartmut erneut wegschicken. Olla setzte sich durch, entweder sie auch oder niemand. Hartmut blieb. Laufend kamen LKWs mit toten Russen an. Ein russischer Offizier suchte nach Erkennungs-

zeichnen, sein Adjutant machte Notizen in einer Liste. Dann wurden Olla, Hartmut und ein Ausländer beauftragt, den toten Russen die Stiefel auszuziehen. Diese sollten offenbar für weiteren Gebrauch gerettet werden. Eine weitere Gruppe von Männern hatte die stiefellosen Russen in bereitstehende ganz grob aus rohen Brettern zusammen genagelte Särgen zu legen. Eine weitere Gruppe hatte die Holzsärgen in die fertigen Gruben zu reichen. Es waren eigentlich Massengräber. Sarg neben Sarg wurde dort hineingestellt und ein Offizier machte eine Zeichnung über den Standort des einzelnen Sarges. Andere schaufelten dann wieder die Erde, den märkischen Sand, darüber. Es ging fast wie am Fließband. Es war nicht ganz leicht, die Stiefel von den Füßen zu bekommen. Man bekam Handschuhe und ein Messer, um die Schuhbänder aufzuschneiden. Einige trugen so genannte Langschäfte. Diese waren besonders schwer auszuziehen. Waren nicht mehr beide Stiefel an dem Toten, oder waren sie zerfetzt, dann wurde gleich weitergegeben an die Einsargen. Es war erstaunlich, was ein Mensch ertragen konnte. Es waren ja nicht einfach gestorbene Soldaten. Es waren Gefallene, blutverkrustete, verdreckte, zerrissene, nicht ganz zerfetzte, aber immerhin. Der alte Mann, der Tante Julchen beerdigen half, hatte Recht. Man durfte diesen Toten nicht in das Gesicht sehen, so sie noch eines hatten, in die offenen Augen und Münder.

Es gab Wartezeiten, bis erneut ein LKW kam. Olla versuchte herauszubekommen, wo diese LKWs herkamen. Sie kamen von den Seelower Höhen, also jenseits der Oder, vor Berlin.

Es wurde noch immer gekämpft. Und wo stehen die Amerikaner? irgendwo, wo ihr Deutsche die Kohlen herbekommt, genau wusste es niemand. Hartmut nahm das erstaunlich gelassen. Er machte mal hier und dort die Bemerkung. „Sieh mal Mutti, was der für schmutzige Füße hat“. Es gab nur Fußlappen zu sehen, die beim Ausziehen der Marschstiefel und Langschäfte mit abfielen. Am späteren Nachmittag hörten die Anlieferungen auf. Die Frauen und so auch Hartmut wurden entlassen. Die Männer mussten lange Hügelketten über den Grabstellen anlegen. Olla und Hartmut rannten zur Heinersdorfer Straße. Sie konnten nicht mehr sprechen. Nur etwas trinken und waschen, waschen. Baden wäre herrlich gewesen, aber das war wegen des fehlenden Wassers schon seit Monaten nicht mehr möglich. Die Familie war in großer Sorge gewesen. Sie sah Olla und Hartmut verschleppt, Ulrich als Waise.

Sicherlich war es ein Leichtsinn, das Haus zu verlassen. Was gab es schon in der Kladowstraße zu sehen?

Die Tage verliefen mit der permanenten Angst, aus dem Haus geworfen zu werden, in dem sich das Versteckritual eingespielt hatte, die letzten Wertsachen vermeintlich gut versteckt waren. Es war zu vermuten, dass der Russe, der Eduard Bartsch zusammengeschlagen hatte, Leute mit spitzen Eisenstangen durch Lieschen Gabels Garten geschickt hatte. Jedenfalls tauchten drei oder vier Russen auf, die in einigen Abständen in die Erde stachen, um nach weiter vergrabenen Schätzen zu suchen. Sie fanden Gott sei Dank nicht den Beutel mit den Silbermünzen und auch nicht die Metallkiste mit den Fotoapparaten.

Eines Nachts wurde heftig gegen die Haustür geschlagen. Eine Frauenstimme rief: „ein Notfall, ein Notfall, machen sie auf“. Das geschah. Draußen stand eine Frau und berichtete aufgeregt: „einige Häuser weiter, in der Burchardstraße, hätten die Russen durch die Haustür geschossen und ihre Schwester getroffen“.

Sie würde verbluten, sie müsste schnellstens in das Krankenhaus geschafft werden. Hier in diesem Haus soll es jemanden geben, der russisch sprechen kann. Es soll ein Behelfskrankenhaus in der Bismarckstraße existieren, da sollen zwei oder drei deutsche Ärzte sein.

Man könnte ihre Schwester mit einem vorhandenen Handwagen dorthin fahren. Guter Gott, es muss schnell gehen. Sie müssen, sie müssen helfen. Olla versuchte ihr klar zu machen, dass das unmöglich sei. Es ist Ausgangssperre. Es würde sofort geschossen werden, auf jeden, der die Parole nicht wüsste. Ja, aber Olla könnte bei Anruf durch die Russen, wiederum in Russisch antworten, dass es ein Notfall sei.

Die Hausgemeinschaft riet Olla dringend ab, die Kinder redeten auf sie ein: „du kannst nicht gehen, du darfst nicht gehen“.

Olla atmete tief durch. Passt auf meine Kinder auf. Wo ist mein Oma-Tuch, wo der Krückstock und die falsche Brille? Die Haare bekamen einen Schuss Puder. Unter normalen Umständen hätte man über diese Theater-Requisiten lachen können. Olla hatte fast schwarzes langes Haar. Dieser Puder konnte es einfach nicht weiß oder grau färben. Früher war sie auch eitel gewesen. Hartmut wurde häufig gerufen: „du musst mir die grauen Haare auszupfen. Da ist doch noch eins, siehst du es nicht?“ Nun diese lose Puderschicht, diese Maskerade! Olla ging. Wie sie später erzählte, wurde die angeschossene Frau in den Handwagen gesetzt und in sternklarer Nacht zur Bismarckstraße gezogen. In zwei der mehrgeschossigen, großen Gründerzeithäuser gab es eine Art Krankenhaus. Einige der ehemaligen Krankenhaus-Ärzte hatten sich in diesen Häusern zusammengefunden und die von den Russen aus den deutschen Krankenhäusern oder Kliniken herausgeworfenen Patienten, so sie noch laufen konnten, aufgenommen. Die, die das Pech hatten, nicht mehr laufen zu können, waren schlicht „ex“ gegangen, wie man im Krankenhausjargon sagte. Die Russen benutzten die deutschen Einrichtungen, wie das städtische Krankenhaus, die Landesanstalt, Verrücktenanstalt, wie der Volksmund sagte, für ihre eigenen Verwundeten.

Olla kam mit den beiden Frauen unbehelligt in der Bismarckstraße an. Sie erkannte einen der Ärzte. Alles spielte sich dort in Privatwohnungen ab, in Privatbetten, auf Sofas, Chaiselongues und natürlich auf dem Fußboden. Eine der Wohnungen gehörte dem von Hartmut gehassten Klassenlehrer Preuß, vor dem ihn sein Bruder Ulrich gewarnt hatte: „der haut gleich auf Arsch und Hände“. Hartmut kannte diese Wohnung im dritten Stock. Er hatte einmal eine Strafarbeit bei ihm abliefern müssen. Olla erfuhr hier, dass Lehrer Preuß mit seiner Gruppe Volkssturmmänner bei ihrem Einsatz im Goldbeckwäldchen von den Russen überrannt und liquidiert wurde.

Nun, die angeschossene Frau hatte einen klaren Armdurchschuss. Viel Lärm um fast nichts. Beide Schwestern, die angeschossene und die nichtangeschossene, mussten ihre Unterwäsche säubern. Sie hatten die Schlüpfers gestrichen voll. Olla erzählte, dass trotz ihrer Angst, sie beide auf dem Weg zur Bismarckstraße anzichte: „wer von ihnen stinkt hier so entsetzlich?“ Es waren beide. Nach Tagesanbruch und Aufhebung der Sperrstunde kam Olla zurück zur Familie.

Diese ganze Geschichte hatte auch etwas Gutes. Olla wusste nun, dass es dieses Hilfskrankenhaus gab, und dass diagonal von ihm sich in der gleichen Straße eine russische Kommandantur etabliert hatte. Es kam ihr der Gedanke, Hertha Berns zu überreden, ihre Hilfe in diesem Krankenhaus anzubieten. Sie war vor ihrer Ehe mit Dr. Berns Krankenschwester gewesen, hatte später in seiner Praxis mitgearbeitet, um nicht dienstverpflichtet zu werden. Sie würde dort eine Aufgabe haben, von ihren schrecklichen Erlebnissen abgelenkt werden und vor allen Dingen sicherlich mehr Schutz vor Überfällen und Vergewaltigungen haben. Darüber hinaus war Hertha Berns ein gewisses Sicherheitsrisiko. Sie hatte eine Klaustrophobie entwickelt. Die Frauen fürchteten, dass sie unkontrolliert losschreien und sie alle verraten könnte, wenn sie gemeinsam in der Kofferkammer saßen. Dieses Risiko war latent allein schon durch eventuelle Hustenanfälle immer vorhanden.

Olla und Hartmut brachten Hertha Berns zum Krankenhaus, sie wurde dankbar angenommen.

Es blieb bei aller Vorsicht nicht aus, dass man selbst bei kurzen Wegen innerhalb der direkten Nachbarschaft von den Russen erwischt wurde. Meta Brandt, Olla und Hartmut wollten prüfen, leben die Emigs noch in der Wohnung in der Steinstraße, nur einige Häuser von der Heinersdorfer Straße entfernt? Ein LKW brauste um die Ecke Meydamstraße. Stoi! alle drei mussten auf den LKW steigen, angeblich für „raboiti“ (arbeiten). Der LKW fuhr sie an die Warthe, am Bollwerk entlang, wo früher die Warthefischer, die Heringsbändiger, wie man sie nannte, in den Bahnbögen ihre Geschäfte hatten, dann über die Pontonbrücke zur Brückenvorstadt, zur Max-Bahr-Straße. Die Warthe führte Hochwasser. Ein Warthekahn lag weit draußen im Fluss. Einige deutsche Frauen saßen dort am Ufer. Es ging darum, diesen Warthekahn zu entladen. Er war mit Ziegelsteinen beladen und lag tief im Wasser. Es gab einen provisorischen Holzsteg zum Kahn. Die Russen machten den Frauen vor, wie sie ihn entladen sollten; sich immer zwei Steine zusammen zuwerfend.

Es fielen immer wieder Steine ins Wasser. Die Russen fluchten. Dann immer nur ein Stein. Das dauerte den Russen zu lange. Den Frauen bluteten nach einiger Zeit die Hände von den rauen Steinen.

Olla erklärte den Russen, dass es unmöglich ohne Handschuhe ginge, oder sie mussten mehr Leute haben, um sich die Steine zureichen zu können ohne sie werfen zu müssen. Handschuhe konnten die Russen nicht auftreiben, sie wollten aber Leute suchen. Ein Wachtmann blieb zurück. Nach etwa einer Stunde kamen zwei LKWs mit Frauen, ein paar alten Männern und einigen ehemaligen

Fremdarbeitern. Die letzteren meuterten heftig, wiesen auf ihre nichtdeutsche Nationalität hin. Es half ihnen nichts. Olla verhandelte wieder mit den Russen. Selbst Lenin hätte gesagt: „wer arbeitet, der soll auch essen“, und was ist hier? Sie seien alle am frühen Morgen eingefangen worden, hätten noch nichts gegessen – sie sollten sich um Brot kümmern, sonst würden sie alle umfallen und der Kahn würde morgen noch nicht leer sein. Er war bis zum Abend entladen. Jeder bekam ein Kommissbrot und Olla erreichte, dass sie zurück auf die andere Wartheseite gefahren wurden, sonst könnten sie vor Beginn der Sperrstunde nicht zurück in den Wohnungen sein. Die Frauen unterhielten sich natürlich beim Entladen. Viele hatten die Russen vom Warthebruch geholt, von Rosswiese, Kernein, Dechsel. Sie wussten Schreckliches zu berichten. Es ging nur um Vergewaltigungen und wer alles erschlagen oder erschossen wurde. Da war von einem Mann zu berichten, der über Tage tot an der Marienkirche lag, mit einem Schild auf der Brust: „ich habe mein Radio nicht abgeliefert“. Den Industriellen Paul Bahr hätte man in Soldin erschlagen. Pastor Lent in Pyrehne, Vater von Helmut Lent, dem Fliegerhelden, abgeknallt. Er wollte seine Töchter schützen. Es wurde von einem Dorf berichtet, in dem man die Männer in eine Scheune eingesperrt hatte und diese anzündete; und wer sich alles selber umgebracht hatte. Eine Frau Friebe erzählte von den Bemühungen von Pastor Wegner und Kaplan Kamrad, auf dem evangelischen Friedhof die Selbstmörder zu verscharren, so wie sie waren, ohne Särge, oft nicht einmal mit Decke oder Laken und mangelhaft bekleidet; so wurden sie in die Erde gelegt. Man schaufelte die Massengräber nur soweit zu, dass am nächsten Tage dort wieder fortgesetzt werden konnte. Das Behelfslazarett im „Eldorado“, einem Tanzlokal, hatte sich von selber aufgelöst, indem die verwundeten und doppelamputierten Soldaten beim Einmarsch der Russen unversorgt zurückblieben. Jeder Bezirk, jeder Straßenzug hatte seine eigenen Erfahrungen gemacht und jeder meinte, es könnte woanders nicht schlimmer zugegangen sein. Und es ging noch immer schlimm zu, und ein Ende des Schreckens war nicht abzusehen. Es hagelte Vorwürfe in der Heinersdorfer Straße, als Meta, Olla und Hartmut zurückkamen. Man hätte das Haus nicht verlassen dürfen. Unverzeihliche Unvernunft. Gewiss hatten sie Recht. Die Frauen waren nun aber praktisch schon 3 Monate auf das Haus, das Schuppendach und die Kofferkammer angewiesen. Es war nun April, es war Frühling draußen. Welcher Tag war, das wusste man sowieso nicht so genau. Ohne Radio, ohne Zeitungen kam man mit den Tagen durcheinander. Es war ein Vorteil, dass die Tage länger wurden. Das endlose abendliche und nächtliche Zusammensitzen bei einem Hindenburglicht war kaum noch zu ertragen; immer auf den nächsten Überfall wartend.

An solch einem Frühlingstag erwischte es Gerda ganz übel. Gegenüber von Lieschen Gäbels Haus war eine Gärtnerei. Verlassen, wie alles andere auch. Gerda wollte schnell hinüberlaufen, um nach Frühlingsblumen zu sehen. Sie wurde von dem Fahrer eines LKWs gesehen. Er hielt an. Fahrer und Beifahrer sprangen ab. Mit „stoi, stoi Gebrüll“ rannten sie Gerda mit ihren Karabinern hinterher. Ulrich hatte es vom oberen Fenster aus beobachtet. Gerda wurde von den zwei Russen

in das Führerhaus gezerrt und es ging auf und davon. Nach einiger Zeit setzten sie Gerda wieder vor dem Haus ab. Anerkennenswert! Gerda, zerzaust, verdreht erzählte folgende Geschichte: „Die beiden Russen hätten sie Richtung Zanzin zu einer Kiesgrube gefahren. Ganz dicht an den Abhang, immer dichter, dann wieder zurück. Sie machten sich einen Spaß daraus, sie zu erschrecken. Sie hätte natürlich furchtbare Angst gehabt und geschrien. Als die Russen dann schließlich die Lust verloren, hätten beide sie wieder zurückgefahren in die Heinersdorfer Straße“. Außer Hartmut mochte wohl niemand an die Geschichte geglaubt haben. Gerda wurde noch einmal der Gebrauch der Frauendusche erklärt. Auch das ließ Hartmut nicht an der Geschichte zweifeln.

Olla versuchte Gerda zu überzeugen, dass sie doch gewiss besser bei ihrer Familie aufgehoben sei. Sie solle versuchen, sich wieder nach Hause durchzuschlagen. Gerdas Antwort war: „ick bleib’ lieba bei sie“. Gerda blieb. Gerdas Vater und ihr Onkel gehörten ebenfalls zu dem Sibirien-Transport, auf dem sich unter vielen anderen auch Oskar Brandt und Goldschmied Ernst Schmelter befanden.

Eduard Bartsch meinte, es müsse Führers Geburtstag sein. Heute, oder morgen, oder war es schon gestern? Nein, er war sicher, es müsse heute sein. Hartmut meinte, Onkel Edu, wie er ihn nun nennen durfte, wüsste nicht genau, an welchem Tage der Führer geboren sei. Er wollte seinem neuen Nennonkel Aufklärung geben. „Unser Führer Adolf Hitler, ist am 20. April 1889 in Braunau am Inn geboren. Er war Bauarbeiter in München. Die Kommunisten haben ihm auf der Baustelle die Sprossen der Leiter angesägt, auf der er Steine nach oben tragen sollte. Sie wollten ihn umbringen. Er hat überlebt, die Vorsehung ...“. „Hör auf, hör auf“. Niemand wollte Hartmuts einstudierten Lebenslauf des Führers des Großdeutschen Reiches hören.

Ulrich saß meistens im oberen Stockwerk am Fenster zur Straße, um Vorwarnung geben zu können, wenn sich Russen näherten. Zu Fuß kamen sie selten. Fuhren sie in hohem Tempo mit dem LKW, dann war es relativ ungefährlich. Brenzlich wurde es, wenn sie langsam durch die Heinersdorfer Straße rollten und wie etwas suchend die Häuser und Fenster musterten. Dann war Gefahr im Verzuge. Ulrich ließ sein Dr. Oetker Backbuch liegen, in dem er stundenlang blättern und sich die Abbildungen der Buttercreme-Torten ansehen und die Rezepte und deren Zutaten lesen konnte, und brüllte durchs Haus: „Achtung, Achtung!“ Jeder merkte auf. Fielen die ersten Blechdosen von der Haustür Absicherung, dann war Onkel Edu und Hartmut gefragt. Die Frauen und Ulrich verschwanden in der Kammer, der Schrank musste vorgerückt werden. Waren die Frauen leichtsinnig, suchten sie wenigstens nach ihrer Oma-Verkleidung.

Hartmut hatte eine ganze Reihe von russischen Ausdrücken gelernt. Kamen die Russen hereingestürmt, begrüßte er sie mit vorwurfsvollem Blick: „drast-wuitje“, also guten Tag. Die obligaten Fragen nach Uri und Soloto wurden genauso obligat mit „nix Uri, nix Soloto, ushä towaritsch“ (schon Kamerad) beantwortet. Dann ging es an die Schränke und Schubladen, alles wurde herausgeworfen, er

warf es wieder zurück. Es waren alles Sachen, die den eigentlichen Eigentümern der Wohnung gehörten. Allmählich wurde es immer weniger, denn das eine oder andere konnte doch noch von den Russen oder Ostarbeitern gebraucht werden.

Saß Hartmut mit Martha Bartsch im Raum und wurde nach „Frau, Frau“ gefragt, machte er eine wegwerfende Handbewegung zu ihnen, nix Frau, nix Frau, nur Babuschka, nur Babuschka. Zogen die Russen wieder ab, geleitete er sie zur Wohnungstür mit der artigen aber maliziösen Bemerkung: „spazibo“ (danke) und „doswidanja“ (auf Wiedersehen). Er war ja nun, nachdem er Pascha nicht mehr zu bändigen brauchte, beweglicher, konnte den Russen in der Wohnung nachgehen und hatte beide Hände frei, um sie manchmal bettelnd auszustrecken und nach Zachar, Chläba oder Moloko zu fragen (Zucker, Brot, Milch). Natürlich hatte diese Soldateska nichts davon in ihren Taschen. Da musste er schon zu deren LKWs gehen und mit *pojalusta*, also mit Bitten, um Lebensmittel fragen. Es lenkte aber die Plünderer etwas von ihrer eigentlichen Absicht ab.

Hartmut machte das ganz bravourös. Allerdings ging er nicht mehr so dicht an Russen heran, nachdem er eine üble Erfahrung gemacht hatte. Ein mongolisch aussehender Rotarmist, dieser gehörte zu einer der Einquartierungen, hatte ihm sturzbesoffen einen Fußtritt versetzt, ihn praktisch mit der Stiefelspitze voll im Schritt erwischt, mit dem Fuß hochgehoben und fast zwei Meter weit gegen die Wand geschleudert. Das war einer von den Burschen, die artistische Kosakentänze am Boden, eine Hand aufgestützt und sich selber um die eigene Achse drehend, aufführen konnten.

Jetzt im Frühling ließen die spontanen Einquartierungen nach. Die Russen brauchten nicht mehr nach geheizten Wohnungen Ausschau zu halten, um sich wie zu Hause auf dem Ofen zu fühlen.

So übel diese Einquartierungen waren mit den Begleitumständen des: „Indie-Ecke-pinkeln“, auch schon einmal ein Haufen in einem Zimmer abgesetzt wurde, trotz der Erfahrungen, die schon mit Wassertoiletten gemacht wurden, die ja aber nicht funktionsfähig waren, weil es kein Wasser gab, die Russen auf die Deckel stiegen, um neugierig in den Wasserkasten zu sehen, mit der Bemerkung: „Maschina kapuut“, wieder abstiegen und ihren Haufen neben das Toilettenbecken setzten, so hatten diese Einquartierungen doch den großen Vorteil, dass es Nahrung bedeutete. Die Frauen konnten auf dem Dachboden schlafen. Es geschah nicht, dass sich eine zweite Gruppe gleichzeitig einquartierte oder Plünderer ins Haus gelassen wurden. Da passte der Wachtposten auf.

Hartmut war der einzige, der sich Kopfläuse eingefangen hatte. Niemand kam ihm zu nahe. Meta Brandt war die Expertin. Er musste sich an den Esstisch setzen, den Kopf auf ein weißes Tuch legen. Meta kämmte und kämmte, zerknackte die Nissen mit den Fingernägeln, machte ihm Petroleum Packungen. Er wurde und wurde die Läuse nicht los.

Ende April trat ein, was über Monate befürchtet wurde. Zwei Lastwagen fuhren vor. Eine Horde Russen rammte die Haustür ein. Es ging ganz schnell. Die Frauen konnten nicht mehr in der Kammer verschwinden.

Raus, Raus, dawai, dawai. Olla versuchte zu verhandeln, wies auf die von Uli gemalten Warningschilder hin. „Typhus“, mit den gekreuzten Knochen und dem Totenkopf. Es schreckte sie nicht ab. Olla bot die guten russischen Kochkünste an, wie zu Hause. Sie müssten nur die Lebensmittel beschaffen. Die Verhandlungstaktik von Olla hatte nur einen Verzögerungserfolg, die kleinen Verstecke konnten zwischenzeitlich schnell von Meta und den anderen geräumt werden und sie machten sich auf, hinüber zur Gärtnerei. Für derartige Notfälle war die Gärtnerei schon ausgeguckt.

Es gab zwei Probleme. Der Briefmarkenkoffer war im Keller unter den Eierkohlen versteckt und der restliche Schmuck von Olla, Lieschen Gäbel und Meta Brandt in einem Teil des alten Küchenherdes, der nicht benutzt wurde. Bringen die Russen ihren eigenen Koch mit, der alle Brennstellen in Gang setzt, würde er den Schmuck finden oder er würde aufbrennen, wie schon Ollas beide Brilliantringe zuvor.

Olla knüpfte sich bei dieser Gelegenheit noch einmal Gerda vor. Sie machte ihr klar: „sie gehören zu ihrer Familie, sie gehören in ihr Heimatdorf“. Die Russen haben sie schon gemustert. Wir haben hier in der Gärtnerei kein Versteck. Es muss noch eines gefunden werden. Wir werden die Russen von Gegenüber hier nicht wieder los. „Ick arbete doch aba lieba for ihnen“. Nun, von arbeiten konnte keine Rede sein, es ging ums Überleben. Hartmut begleitete die vorgeblich hinkende, mit Stock und schwarzem Kopftuch ausgerüstete Gerda mit ihrem Bündel über der Schulter den halben Weg bis nach Hause, immer die Hauptstraße meidend.

Alle Häuser standen leer. Warum nun die Russen gerade in Lieschen Gäbels Haus wollten, blieb ein Geheimnis.

Die Russen hatten sich einen Wachtposten vor das Haus gestellt. Am nächsten Tag, als die LKWs fortfuhren, fasste sich Olla ein Herz. Sie ging zum Posten. Fragte, wo er her käme, ob er eine Familie habe. Krieg sei eine schlimme Sache. Letztlich hatte sie ihn soweit, dass er ihr gestattete, die Federbetten aus dem Haus holen zu dürfen. Sie schliefen doch gewiss alle auf der Erde und brauchten sie nicht. Ihr kleiner Sohn würde tragen helfen. Hartmut wurde gerufen. Olla raunte ihm zu: „du weißt, wo der Schmuck ist. Ich versuche ihn abzulenken“. Der Russe ließ beide nicht aus den Augen. Tastete misstrauisch die Federbetten ab. Der Plan ging nicht auf.

Der nächste Versuch wurde gestartet. Die Russen kamen mit ihren LKWs zurück. Sie schienen nüchtern zu sein. Olla ging wieder hinüber. Der Posten war ausgewechselt. Jetzt stand ein Kolja vor der Tür. Sie sagte ihm, „geh’ zum Offizier und sage ihm, hier ist jemand, der ihn sprechen muss“. Beeindruckt von dem forschenden Ton, ging er. Der Offizier kam heraus. Olla machte ihm klar, dass seine Leute ordentlich versorgt werden mussten, um gegen die verdammten Faschisten kämpfen zu können und endlich der Krieg zum Ende käme. Er winkte ab, „an Gitler kapuut, an Gitler kapuut“. Nun, Olla meinte, umso besser, dann mussten seine Leute belohnt werden für ihren ehrenvollen Kampf. Nach einigem hin und

her, ging der Offizier auf das Angebot ein. Olla solle ihre Leute vorstellen, die sie versorgen werden, aber schnell. Olla rief Meta Brandt, Lieschen Gäbel. Wir drei machen es, und als Ersatz haben wir noch die alte Martha Bartsch.

Der Offizier rief Kolja und den Wachtposten vom Vormittag, Wassil. Beide wurden instruiert: ab morgen dürfen diese drei Frauen ins Haus, zum Säubern und zum Kochen. Nur diese drei Frauen, seht sie euch genau an. Sie haben abends wieder zu verschwinden.

Es hatte geklappt, der Schmuck konnte gerettet werden. Wie sollte man nun aber den Briefmarkenkoffer an dem Posten vorbei bringen? Die drei Frauen mussten zum Kochen Kohlen haben. Diese lagen im Keller. Unter ihnen der Briefmarkenkoffer. Die Russen waren im Dienst oder zum Beute machen. Wassil saß auf der Vorgartenmauer auf Posten. Es wurde eine Kiepe mit Kohlen gefüllt, diese bis in den Hausflur geschleppt. Hartmut und Ulrich standen in der Gärtnerei gegenüber hinter der Hecke versteckt. Olla ging zu Wassil. Sie wolle ihn nicht stören, aber sie brauchten Kohlen in der Küche. Sie haben einen gefüllten Korb schon bis in den Hausflur geschafft. Aber es sei zu schwer, sie hätten sich zu viel vorgenommen. Ob er mit seiner Bärenstärke nicht helfen könne. Wassil spuckte aus, brubbelte „jubfoimatj“ und setzte sich in Bewegung. Olla gab den Bengels ein Zeichen, sie rannten zum Kellereingang, griffen den dort schon von den Eierkohlen freigemachten Koffer, und während Wassil den Korb mit Kohlen nach oben schleppte, waren die Briefmarken schon in der Gärtnerei.

Es gab wieder Licht.

Vor einiger Zeit waren Bekanntmachungen der Militärverwaltung an die Bäume geheftet worden. Ehemalige Angestellte der Elektrizitäts- und Wasserwerke haben sich sofort zu melden zwecks Ingangsetzung der Strom- und Wasserversorgung. Nichtmelden sei Sabotage; Todesandrohung wie immer.

Es war tatsächlich gelungen, zuerst Strom zu erzeugen und bald darauf lief auch wieder Wasser aus den Leitungen. Beides war zwar häufig unterbrochen. Das Wasser kam wegen des zu geringen Drucks meistens nur bis zur ersten Etage. Es versickerte wohl zu viel Wasser nutzlos in den Ruinen. Es stellte sich heraus, dass die Einquartierung gegenüber in Lieschen Gäbels Haus ein Segen war. Die Mannschaft traute sich nicht an die Frauen heran. Der Offizier hatte sie als Hauspersonal eingestellt und sie standen gewissermaßen unter dem Schutz des Diensthabenden. Die Posten Kolja und Wassil vor dem Haus bedeuteten gleichzeitig Schutz für das gegenüber liegende Gärtnereihaus. Hoffentlich würde diese Einheit dort lange stationiert bleiben. Auch die Versorgung war zufrieden stellend gesichert, es fiel für die Familie das eine oder andere ab. Der Hunger war nicht so groß, dass man sich an Pferdefleisch vergriff. Jedenfalls nicht bewusst. Dann lieber nur Kartoffeln und als Gemüse Löwenzahn, Sauerampfer und später etwas Salat, der sich in den Frühbeeten der Gärtnerei selber ausgesät hatte.

Gut 14 Tage nach dem Zwangsumzug in das Gärtnereihaus wurde die Familie frühmorgens aus dem Schlaf gerissen. Die gewisse Sicherheit durch die Russen von gegenüber nutzten alle, um wenigstens nur noch in Unterwäsche zu

schlafen und nicht mehr wie seit Monaten voll angezogen. Man fuhr erschrocken in die Hosen oder Kleider. Es gab draußen vor dem Haus ein Geballer, ein Gejohle. Die Russen tanzten wie irr, schossen in die Luft, drückten auf die LKW Hupen, warfen ihre Mützen hoch. Andere Autos kamen laut hupend dazu. Ein Freudenfest wurde veranstaltet.

Als die drei Frauen meinten, jetzt müssen wir unseren Dienst antreten, egal was die dort drüben aufführen und Olla fragte, was um Gottes Willen sie so fröhlich mache, konnte sie den anderen übersetzen: „der Krieg ist vorbei. Die Deutschen haben kapituliert“. Die Russen drückten die Frauen an sich, küssten sie ab. Olla bekam einen Handkuss vom Offizier. „Woina kapuut, woina kapuut“.

Die paar Deutschen standen indigniert dabei. Sollten sie sich freuen? Nun gut, wenn es stimmte, dann war der Krieg endlich vorbei. Aber was wird nun mit uns geschehen? Das fragten sie sich. Der Offizier meinte zu Olla, sie solle tanzen und die anderen auch. Wir haben euch befreit, „Gitler kapuut, Woina kapuut“. Niemand von den Deutschen tanzte. Niemand stand mit Blumen an der Straße, begrüßte und bekränzte die Befreier, nicht als sie einmarschierten und auch nicht am 8. Mai 1945.

Die Deutschen waren zwar Hitler los, sie waren auch ihren Besitz los und Tausende junge Frauen und Mädchen ihre Unschuld. Sollte mit einer Befreiung nicht eine Wohltat verbunden sein?

Die Befreiung bestand in Vogelfreiheit, Terror, Vergewaltigung. Nein, das deutsche Volk hat man bei seiner „Befreiung“ nicht geschont, man hat es der Siegerwillkür in jeder nur erdenklichen Form ausgesetzt.

Die Russen waren mittags schon volltrunken. Die drei Frauen kamen vor der Zeit zurück zur Gärtnerei. Wir müssen alles verbarrikadieren. Fensterläden schließen. Es wird eine furchtbare Nacht werden. Sie verzogen sich in einen Anbau der Gärtnerei. Nicht ausziehen, wir müssen auf der Hut sein. Die Russen sind wie die Tiere. Olla erinnerte sich an den häufiger benutzten Ausspruch ihres Vaters in Kurland: „Das einzig Berechenbare an den Russen ist, dass sie unberechenbar sind“.

Die Ostarbeiter und Fremdarbeiter machten nochmals ihre Abschiedstour durch die Häuser. Keine Front hinderte sie mehr zurück nach Polen, Frankreich, Holland, Belgien zu gehen. Sie wollten mitnehmen, was noch mitzunehmen ging. Nachdem der Offizier von gegenüber nach der Siegesfeier ausgenüchert war, hielt er wieder seine schützende Hand über die Gärtnerei. Und das war auch gut so. Die Fremdarbeiter haben sich kaum wie die Sowjettruppen an den viehischen Vergewaltigungen und Misshandlungen bei der Befreiung des deutschen Ostens beteiligt, ohne Kriegsbeute wollten sie allerdings auch nicht heimkehren.

An der Ecke Stein- und Heinersdorfer Straße gab es eine Bäckerei. In diesem Laden und in der Backstube hatten sich vier Franzosen festgesetzt. Hier backten sie für sich und vielleicht auch für andere französische Fremdarbeiter Brot. Es roch bis auf die Straße. Hartmut berichtete Ulrich davon. Komm mit, du hast doch in der Schule französisch gelernt, vielleicht können wir etwas von

dem Brot abbekommen. Ulrich, der für solche Aktionen wenig zu haben war, aber den Geruchssinn für frisches Brot noch nicht ganz verloren hatte, legte sein Dr. Oetker Backbuch und auch das Kochbuch von Frau Davida an die Seite und ging widerwillig mit.

Die Ladentür war nicht verschlossen, die Glocke bimmelte über der Tür und kündigte in der Backstube die Kundschaft an. Einer der Franzosen kam von hinten zum Laden. Hartmut knallte die Hacken zusammen, hob den Arm und sagte „Heil Hitler“. Gibt es hier Brot? Ulrich fand die Fassung zu erst, kniff Hartmut kräftig in den linken Arm. Der verstand, was er Dummes gemacht hatte. Der Franzose, wohl selber verblüfft, vielleicht dachte er, die Deutschen sind wieder einmarschiert, erwiderte: „nix .eil .itler; nix .eil .itler. Nix Brot“. Ein zweiter Franzose kam von der Backstube nach vom. „Wir zurück Frankreich oui, Front weg. Wir haben Schuhe nötig, exactement 43 groß, für marschieren zu Frankreich“. Kurz, sie brauchten Schuhe, wenigstens 2 Paar in der Größe 43. „Aber gute, stabil, dann Brot. Nix Schuh, nix Brot“. Jetzt ging das Suchen in den leerstehenden Häusern los. Wo konnte man nach dem 5. Kriegsjahr gute Schuhe finden? Die hatten die Deutschen mit auf die Flucht genommen, nur alte und schlechte blieben zurück Hartmut fand ein Paar, aber nur ein Paar. Diese wurden gewienert, mit viel Spucke poliert. Die Sohlen wurden mit schwarzem Schuhcreme versehen, damit sie neuer und solider aussahen. Hartmut zog ab mit den Schuhen zu den Franzosen. Die Glocke ging, bim, bim Die Begrüßung war diesmal ohne Heil Hitler. Aber, ein Paar Schuhe, nur ein Brot, sagten die Franzosen. Zwei Paar Schuhe, zwei Brote. Hartmut fing zu feilschen an. Es seien ja auch zwei Schuhe, also zwei Brote. Die Franzosen hatten Mitleid. Hartmut zog mit zwei Broten ab zur Gärtnerei, die Franzosen heim nach Frankreich.

Die Deutschen wussten nicht, was mit ihnen geschehen würde. Die ersten Geflüchteten kamen wieder nach Landsberg zurück. Es waren jene, die es nur bis zur anderen Oderseite geschafft hatten. Sie erzählten von den furchtbaren Kämpfen vor Berlin, den Tausenden von Toten auf den Seelower Höhen, als es die Russen endlich geschafft hatten, bei Küstrin über die Oder zu kommen. Das erklärte den Stau vom russischen Nachschub bis Landsberg. Die Front war über Wochen nur 40 km von der Stadt entfernt gewesen. Es erklärte aber auch die vielen Toten, die Olla und Hartmut beerdigen helfen mussten. Sie berichteten aber auch, dass Hitler nicht gefallen sei sondern sich erschossen hätte, Berlin völlig plattgebombt und der Rest von der Artillerie zerschossen sei. Die Amerikaner wären bis Thüringen gekommen. Es gäbe nichts zu essen, nur über den schwarzen Markt. Die Reichsmark sei wenig wert. Man müsste das 10fache zahlen, wenn man überhaupt etwas für Geld zu kaufen bekäme.

Nach der Kapitulation war es den russischen höheren Offizieren erlaubt, ihre Angehörigen nachkommen zu lassen. Jetzt sah man russische Familien auf Raubzug. Sie zogen durch die Häuser, nahmen Gardinen von den Fenstern, suchten nach geeigneten Teppichen, nach Kleidung. Kleinmöbel wurden verladen. Aber auch Klaviere und große Spiegel waren beliebt. Die letzten noch vorhandenen Welodzippeds (Fahrräder) wurden requiriert, man suchte nach Nähmaschinen, nach

Schmuck sowieso. Es war verblüffend, wie schnell russische Offiziersfrauen gelernt hatten, mit elegantem Schwung dem Auto zu entsteigen, fein gepudert, Lippen rot, Papirossi im Mund; selbstsicher, arrogant. Sie waren fast noch mehr zu fürchten als ihre sie begleitenden Ehemänner. Olla erhielt eine Ladung Spucke ins Gesicht, als sie sich erdreistete, eine Offiziersfrau darauf aufmerksam zu machen, dass es Diebesgut sei, was sie aus einem Haus in der Heinersdorfer Straße verlud.

Hartmut machte mit dieser neuen Variante der Befreier seine eigenen Erfahrungen.

Auf dem Weg zurück zur Gärtnerei, ein Bündel Kartoschka in der Hand, musste er an einem LKW vorbei, zu dem eine russische Familie Mobiliar aus einem Haus schleppte. Der russische Offizier rief seiner Frau etwas zu, beide unterhielten sich, musterten Hartmut, der jetzt unruhig wurde, da es offenbar um ihn ging. „Stoi, idi zuda, dawai“, also komm her, schnell. Hartmut überlegte: rennen oder stehen bleiben. Was kann er mir, sagte er zu sich selber. Ich habe nur die Kartoffeln. Ein Junge und ein Mädchen kamen aus dem Haus. Denen wurde etwas gesagt. Bevor sich Hartmut versah, hatte ihn der Russe hinten am Kragen gepackt, schleppte ihn, wie man einen jungen Hund oder ein Kaninchen am Genick packt, in das Haus, in eine Parterre Wohnung. Hartmut schrie, strampelte, schlug um sich, was die russische Familie zum Lachen reizte. Hartmut dachte, jetzt ist es aus, das ist das Ende. Der Offizier stellte ihn auf einen Küchenstuhl. Er schrie weiter. Die Russen redeten auf ihn ein. Er verstand nicht, was sie von ihm wollten, was er falsch gemacht haben könnte. Er hatte auch nicht den Weg des Offiziers gekreuzt, was seiner Mutter einmal zwei Ohrfeigen eingebracht hatte.

Was geschah nun? Der russische Junge, in Hartmuts Größe und Alter, fing an sich auszuziehen. Hartmut zog man die Kleidung vom Leib, die Unterwäsche, die selbst gestrickten, immer kratzenden Kniestrümpfe. Beide Jungs hatten komplett ihre Kleidung auszutauschen. Das hatte Hartmut nun begriffen. Die russischen Eltern schienen ihrem Sohn Komplimente ob seines schmucken Aussehens zu machen. Hartmut wurde angeboten, das Zeug des russischen Jungen anzuziehen. Der Offizier sah in Hartmuts Brustbeutel, indem sich nur der Zettel mit Namen, Alter, Impfdaten und die Adresse der Gärtnerei befand. Gott sei Dank nicht das Geld. Hartmut war gezwungen, sich die Oberbekleidung von dem russischen Jungen über den nackten Körper zu ziehen, griff die Unterwäsche und die ausgelatschten Schuhe und Fußlappen und rannte, was er rennen konnte barfuß in Richtung Gärtnerei. Der Russe rief ihm etwas nach, er hielt den Beutel mit den zurückgelassenen Kartoffeln hoch. Hartmut meinte schon das Beißen der Kleiderläuse auf der nackten Flaut zu spüren. Seine große Genugtuung war, trotz dieser Demütigung, splitterfasernacht auf dem Stuhl vor der russischen Familie gestanden zu haben, dass er nicht den Bleyleanzug mit den eingenähten Goldstücken getragen hatte und sich nicht die 3000 Reichsmarken im Brustbeutel befunden hatten. Meta Brandt fasste sich zuerst: „sofort alles ausziehen, waschen von oben bis unten“. Olla suchte in den Bündeln nach Ersatzkleidung. Lieschen Gäbel nahm mit zwei Fingern Stück für Stück der Russenkleidung auf, besah sie sich, schüttelte den Kopf und beschied: „dieses Gelump lohnt nicht einmal ausgekocht zu werden“. Sie vergrub es auf dem Gelände der Gärtnerei.

Die Russen zeigten nach der Kapitulation etwas mehr menschliche Züge. Sie hofften auf die Parole: „Zoldatie damoi“, nach Hause gehen zu können. Der Offizier aus dem Kaukasus, aus Grusinen, erzählte Olla, dass man Ilja Ehrenburg kaltgestellt habe. Selbst Stalin seien seine Hetzkampagnen zuviel geworden. Die Flugblätter mit seinem Text dürften nicht mehr an die Truppe gegeben werden. Ehrenburg dürfe auch nicht mehr im sowjetischen Rundfunk über die „Fritzen“, die von ihm geschaffene Bezeichnung für die deutschen Hunnen, sprechen. Jetzt wird es besser für euch, jetzt seid ihr frei, meinte der Offizier. Jetzt wolle man nicht mehr die Rache, jetzt würde man das Gericht bringen! Nachdem es in der deutschen Bevölkerung keine Uris mehr gab, auch kein Soloto, keine Musika, waren die Fahrräder noch mehr gefragt als schon bisher. Vor der Kapitulation war es der Truppe kaum möglich, bei militärischen Einsätzen ein Fahrrad mitzunehmen. Jetzt waren sie länger an einem Ort stationiert, daher die Vorliebe für ein Welodziped. Die Deutschen, so sie noch Fahrradbesitzer waren, hatten schnell gelernt, dass einem das Fahrrad nicht so schnell aus der Hand gerissen wurde, wenn es plattfüßig war, aber besonders dann nicht, wenn es keine Kette mehr hatte. Dann war Maschina kaputt. Der deutsche Besitzer konnte es wenigstens schiebend noch als Transportmittel benutzen. Hatten die Russen aber jemandem ein intaktes Fahrrad entreißen können, dann konnten sie es auf ihm zu artistischen Glanzleistungen bringen. Sie saßen lärmend zu zweit, zu dritt auf den Rädern. Rücklings, den Sattel nach hinten gedreht, und sie brachten es fertig, trotzdem das Fahrrad nach vorne zu treten und zu bewegen. Hartmut konnte sich nicht satt sehen. Wenn sie aus Gleichgewichtsgründen so auf die Fresse fielen, wie Hartmut meinte, dass sie gewiss nicht wieder aufstehen würden, waren sie wider Erwarten doch schnell wieder auf den Füßen. Sie versuchten es immer wieder, immer wieder. Die johlenden Kameraden standen im Kreis darum herum und klatschten im Rhythmus dazu. Waren es nur Naturburschen oder Affen? oder Urwaldmenschen?

Die Hofhunde von gegenüber der Gärtnerei wurden abberufen. Der Offizier, der einige Wochen schützend seine Hände über die Familie gehalten hatte, berichtete Olla, sie müssten nach Berlin. Es gäbe einen Gebietsaustausch zwischen Amerikanern und den Sowjets. Ne snaju, weiß nicht, Genaueres wisse der Teufel. Er strich Olla über die Haare. Der Puder staubte. Wird schon alles gut werden, sagte er tröstend zu seinen drei Kochfrauen. Genießt die Freiheit. Doswidanija.

Unzählige Gerüchte machten die Runde. Auf der einen Seite hatte man geflüchtete Deutsche wieder zu ihren Heimatorten im Osten zurückgeschickt, auf der anderen Seite rückten nun polnische Familien aus dem Osten kommend in die Stadt ein.

Einige Polen tauchten in der Gärtnerei auf. Wir übernehmen alles. Ihr müsst aus dem Haupthaus. Da ist der Seitenflügel, da könnt ihr hinüberziehen. Die Gärtnerei wird in Betrieb gesetzt. Es ist schon Juni, es muss gepflanzt werden. Entweder arbeitet ihr für uns, oder ihr verschwindet gleich ganz, dann aber schnell. Nun konnte man Olla nicht so schnell verblüffen. Moment, Moment, wo ist die Legitimation? Was Legitimation? Das gehört jetzt alles uns, wir brauchen keine

Legitimation. Der polnische Bürgermeister wird dich über deine Pflichten aufklären, meinte der Sprecher der Polen. Niemand wusste von einem polnischen Bürgermeister, eher hätte man an einen russischen geglaubt. Die Hofhunde von gegenüber waren leider schon auf dem Weg nach Berlin, da war keine Hilfe mehr zu erwarten. Olla gab sich als Russin aus und drohte den Polen, sich beim russischen Kommandanten in der Bismarckstraße zu beschweren. Lieschen Gäbel hatte ihr Haus wieder in Besitz nehmen wollen, aber das war von den russischen Okkupanten unbewohnbar zurückgelassen worden. Das wäre sonst erst einmal eine Lösung für die Familie gewesen. Also schleppte man die wenigen Habseligkeiten in das Arbeiterhaus der Gärtnerei. Dabei ging Ollas Prunkstück, der Meissner Jubiläumsteiler zu Bruch. Ulrich und Hartmut hatten ihn unversehrt bei ihrem ersten Besuch nach dem Einmarsch der Russen noch auf der Anrichte im Speisezimmer in der Richtstraße vorgefunden. Dieser Teller war nicht im Keller ausgelagert. Etwas müsse doch zur Zierde in der Wohnung verbleiben, meinte Olla damals. Bomben hin, Bomben her. Nun war er samt dem Bettensack umgefallen. Perdu!

Die Polen zwangen die Familie, in der Gärtnerei zu arbeiten. Sie zogen durch die umliegenden Häuser und suchten nach weiteren Arbeitskräften. Sie fanden auch Emigs in der Steinstraße. Irenes Schwiegermutter verlangte noch immer nach dem „Technischen Hilfswerk“. Der kam aber nicht, auch wenn es Mutter Emig nicht verstand. Die Polen konnten einen ziemlichen Trupp zwangsrekrutieren. Natürlich gab es nichts zu essen. Von Bezahlung konnte keine Rede sein. Was sollte man mit Geld? Und was für Geld? Reichsmark? Zloty? Rubel“.

Die Familie erfuhr jetzt von den anderen deutschen „Zwangsarbeitern“, was sich in den verschiedenen Stadtvierteln oder Straßenzügen nach der Kapitulation abgespielt hatte, nachdem nun die Polen mitreden wollten und ihre Bizeps spielen ließen. Viele hatten im Zentrum Schutt von den Straßen räumen müssen, damit der Verkehr von und nach Berlin wieder in Gang gesetzt werden konnte. Irene Emig hatte am Elektrizitätswerk Kohlen geschaufelt, andere mussten ihre Erfahrungen auf dem Lande machen. Kartoffelmieten waren zu öffnen und die Kartoffeln nach Russland zu verladen, wie auch die über den Winter eingemieteten Rüben.

Die meisten gefürchteten GPU Keller waren offenbar in der Innenstadt angelegt. Man hatte dort die so genannten Kapitalisten aus den ländlichen Gebieten inhaftiert und furchtbar misshandelt. Die Anzeige eines ehemaligen Ostarbeiters reichte aus. Ein Golubski, ehemaliger Dekorateur für Photo-Meyer für Zeiss-Ikon Produkte, seine Frau hatte ein Gemüsegeschäft in der Wollstraße, hatte viele ans Messer geliefert. Kapitalist war nicht nur ein größerer Bauer oder gar Gutsbesitzer, sondern schon jemand, der einen Goldzahn im Mund hatte. Intelligenzler waren ebenso wenig persona grata. Sie hatten meistens nicht nur Gold im Mund, sondern waren eben schulisch geschult oder Akademiker, und das war schon zu viel. Jeder von den nun zusammengetriebenen Gärtnearbeitern konnte seine Geschichte erzählen und die Namensliste der Erschossenen, Erschlagenen, Verschleppten, der sich selbst Erhängten, Vergifteten vervollständigen.

Die Familie konnte in gewisser Weise von Glück sagen, dass sie sich kaum aus der Heinersdorfer Straße bewegt hatte. Vieles war an ihnen vorüber gegangen. In Retrospekt gesehen, war die Kofferkammer in Lieschen Gäbels Haus ein Segen gewesen und ein Glück, dass sie nicht entdeckt wurde.

Was würde der Familie aber noch bevorstehen?

Um den 20. Juni 1945 herum tauchten Polen und Russen auf. Sie erklärten der Bevölkerung, das Gebiet bis zur Oder würde polnisch werden. Niemand konnte es glauben, niemand wollte es glauben. Landsberg polnisch? Urdeutsches Gebiet? Der alte Fritz hat hier das Warthebruch trockenlegen lassen, zusätzliche Kolonisten nach dem 30-jährigen Krieg angesiedelt, Warthebrücken wurden auf seine Veranlassung gebaut. Landsberg war das Hauptquartier von Prinz Heinrich, dem Bruder von Friedrich dem Großen. Das war alles um 1760 herum. Das wurde alles bei der Gärtnereiarbeit diskutiert.

Weit davor, erinnert sich jemand, 1257, wurde Landsberg von Albrecht von Luge gegründet. Die Stadt erhielt Magdeburgisches Recht. Ach was, viel früher, 1124, hat Otto von Bamberg hier alle zum Christentum bekehrt. Hier hat der berühmte Theologe Friedrich Schleiermacher einige Jahre gepredigt. Das war 1794-1796. Die Landsberger haben ihm 1848 ein aufwendiges Denkmal gesetzt, gleich neben der Konkordienkirche. Diese Kirche war von Friedrich I. mitfinanziert und 1696 gebaut worden. Und die Marienkirche, war das nicht Ende 1300, als sie gebaut wurde?

Landsberg liegt in der Mark Brandenburg. Das wusste selbst Hartmut. Er hat in der Schule das Brandenburger Lied lernen und singen müssen. „Märkische Heide, märkischer Sand, sind des Märkers Freude, sind sein Heimatland. Fliege hoch du roter Adler, hoch über Sumpf und Sand und so weiter...“. Er hat es seinem Vater vorsingen müssen. Der hat es auf Schallplatte aufgenommen.

Und das soll polnisch werden, fragte Martha Bartsch beim Arbeiten in der Gärtnerei und beim Pikieren der Salatpflanzen? Eher ist im Himmel Jahrmarkt, fügte Meta Brandt hinzu.

Und im Himmel war Jahrmarkt!

Niemand wusste etwas von der Konferenz in Teheran im November 1943. Hier schon schlug Stalin seinen Freunden Roosevelt und Churchill vor, die Westgrenze Polens an die Oder zu verlegen. Natürlich hatte niemand etwas von der Konferenz der Alliierten in Jalta, Anfang Februar 1945 und der Festlegung der einzelnen Besatzungszonen gehört. Wie sollte man auch. Seit dem 30. Januar 1945 gab es keinen Rundfunkempfang, keine Zeitungen mehr für die Landsberger. Sie wussten auch nichts davon, dass die Sowjetunion von ihrer Besatzungszone den Polen bereits im März und April das eroberte Gebiet bis zur Oder-Neiße Linie überlassen hatte, und dass diese von den Sowjets unterstützt mit der Austreibung der deutschen Bevölkerung am 20. Juni 1945 rigoros begannen. Genauso wenig hatte jemand in der Gärtnerei davon gehört, dass die Sowjets sich Ostpolen einverleibt hatten und Nord-Ostpreußen. Und ganz Schlesien war nun den Polen zugesprochen.

Ein Gebiet, das Friedrich der Große seiner Widersacherin Maria Theresia im 7-jährigen Krieg abgeknöpft hatte, bei großzügiger Beurteilung eher zu Österreich gehörte aber gewiss nicht zu Polen.

Die westlichen Alliierten sahen tatenlos zu, wie die Sowjets in ihrem Siegestaumel Fakten schufen.

Japan musste erst noch niedergedrungen werden. Was kümmerte es die Westalliierten, was die Sowjets in Ostdeutschland, in ihrem Besatzungsgebiet trieben und besonders jenseits der Oder. Stalin behauptete, da seien gar keine Deutschen mehr, sie sind alle geflohen. Es waren aber noch immer wenigstens 5 Millionen zurückgeblieben. Was sind schon 5 Millionen? Die Einmaligkeit einer Vertreibung von insgesamt 10 bis 12 Millionen Menschen aus ihren angestammten Heimatgebieten, das wollte niemand bemerken. Die unmenschlichen Umstände ebenso wenig. Und die dabei Umgekommenen? Sie wollte niemand von den Siegermächten zählen. Da war die Völkerwanderung um 400 n. Chr. ein besserer Schulausflug, von den Kreuzzügen gar nicht zu reden.

Von Roosevelt hatte man in seiner Verblendung und Unkenntnis europäischer geschichtlicher und politischer Zusammenhänge nicht erwarten können, die Pläne seines bewunderten Uncle Joe zu durchschauen. Er unterstützte schon früh die sowjetischen Ziele. Man konnte ihm wohl kaum seine Krankheit zugute halten, sie hatte ihm die Bewegungsfähigkeit eingeschränkt, nicht aber den Verstand geraubt. Aber Roosevelt war seit Mitte April tot und sein Nachfolger Harry S. Truman musste sich erst einarbeiten, und als er es hatte, waren zwar die Bevölkerung von Hiroshima und 3 Tage später, im August 1945, die von Nagasaki mit Atom zu Tode gebombt, aber in Europa hatte Stalin zwischenzeitlich bereits alle Weichen gestellt. Churchill hob hier und dort warnend den Finger und äußerte Bedenken. Das behauptete er allerdings nur selber. Das größere Übel, das gehasste Deutschland mit seinem Massenmörder Hitler war niedergedrungen, die Städte ohne jeglichen militärischen Wert bis zur letzten Sekunde sinnlos zusammen gebombt. Das kleinere Übel war der noch lebende Massenmörder Stalin. Aber wer wollte in Stalin einen Massenmörder sehen? Dass man den Teufel mit dem Beelzebub ausgetrieben hatte, wurde von den Westalliierten nicht bemerkt. Das sollte noch ein bisschen dauern. Es blieben weniger und weniger Deutsche in Landsberg zurück. Dafür tauchten immer mehr Polen aus Südostpolen auf. Sie kamen aus der Lemberger Gegend, sie kamen aus Oberschlesien. Es waren in erster Linie jene Polen, die verächtlich als Wasserpolaken abqualifiziert wurden, also ein Gemisch von deutsch und polnisch sprachen. Nachdem sich die Russen den verbliebenen Deutschen gegenüber etwas zurückhielten und offenbar bemerkt hatten, dass nicht nur im Osten die Deutschen in Massen vor ihnen geflüchtet waren, nun nach der Kapitulation das gleiche auch in der russischen Zone auf der Westseite der Oder geschah, überließen sie gern den Polen die Schmutzarbeit, die restlichen Deutschen zu drangsalieren und sie rücksichtslos zu vertreiben. Sie machten regen Gebrauch davon. Es gab kein einheitliches Reglement. Jede Ortsverwaltung, jeder eingesetzte polnische Bürgermeister, jeder Starost entschied nach eigenem Gusto,

ob die Deutschen innerhalb von Minuten, Stunden oder Tagen hinausgejagt und mit der Peitsche nachgeholfen werden sollte. Jeder versuchte, einen Handwagen, einen Kinderwagen oder ein Fahrrad aufzutreiben. Gerüchte gingen um, es würden Züge zusammengestellt, um die deutsche Bevölkerung mit ihrer Habe über die Oder zu transportieren. Es blieben Gerüchte. Es gab keine Züge, und wenn es Züge gab, waren es russische Militärzüge, die völlig überfüllt durch den Landsberger ausgebrannten Hauptbahnhof rollten, nicht einmal mehr hielten. Es gab natürlich auch keine Trecks mit Pferd und Wagen, wie sie von den Deutschen im Januar 1945 in Ostpreußen zusammengestellt wurden. Wo sollten die Pferde herkommen? Also raus, zu Fuß. Es war ja Sommer. Polen, Russen, Fremdarbeiter wussten nur zu gut, dass die Vertriebenen nun ganz gewiss alles an Wertsachen mitnehmen mussten, was sie vielleicht noch mit Geschick den Plünderern vorenthalten hatten. Es musste sich im Handwagen, im Kinderwagen, am Körper befinden. Es wurden furchtbare Geschichten erzählt. Die Familie konnte miterleben, wie ein Nachbar laut lamentierend zur Gärtnerei mit leerem Handwagen zurückkehrte und den auf dem Gärtnereigelände arbeitenden Frauen und Männern zurief: „Wir sind wieder zurück. Schon zwischen Landsberg-Neustadt und Wepritz sind wir völlig ausgeräubert worden. Selbst die leeren Pappkoffer haben sie uns weggenommen. Wir haben nichts mehr“. Er hatte seine Frau in den nun leeren Handwagen gesetzt, den er hinter sich her zog. Wäre es nicht so tragisch gewesen, hätte man über dieses Bild lachen können. „Vae victis – wehe den Besiegten“.

Die neuen Herren in der Gärtnerei boten an: „ihr könnt ja für Polen optieren. Allerdings müsst ihr arbeitsfähig sein, und wenigstens ein bisschen polnisches Blut in euren Adern nachweisen können“.

Niemand konnte sich an eine polnische Großmutter in der Familie erinnern. Niemand wollte es auch wirklich. Ähnlich erging es den Ostarbeitern, die nicht polnischer Nationalität waren. Die Polen wollten tabula rasa machen, bevor es sich die Siegermächte vielleicht doch noch anders überlegten. Vor allen Dingen wollten sie die Ukrainer loswerden. Sie sollten in die ehemaligen polnischen Ostgebiete gehen, die nun die Russen besetzt hielten oder besser noch weiter, bis Kiew. Die Ukrainer waren den Polen fast ebenso verhasst wie die Deutschen. Da gab es viele historische Probleme von Galizien und der Westukraine her und dann waren sie orthodox. Das passte den römisch-katholischen Polen nun gar nicht. Jetzt war die Gelegenheit günstig, also raus mit den Deutschen nach Westen und den Ukrainern nach Osten.

Die Familie bestand zu diesem Zeitpunkt noch aus Martha und Eduard Bartsch, Lieschen Gäbel, Meta Brandt und Olla mit den beiden Jungs. Alle wurden nervös, hoch nervös. Wir müssen raus. Es sind nur noch Polen um uns herum. Es wurde Familienrat gehalten.

Die Bartschens und Lieschen Gäbel beschlossen, wir drei versuchen irgendwie über die Oder zu kommen. Lieschen Gäbel fand im Schuppen ihres Hauses einen zweirädrigen Fahrradanhänger. Die Bartschens hatten Plünderer nicht mehr zu fürchten. Da war nichts mehr übrig geblieben. Lieschen Gäbel hatte bisher noch einigen Schmuck gerettet.

Meta Brandt schloss sich Olla und den Kindern an, die noch ausharren wollten. Meta meinte, sie könne Landsberg nicht verlassen, wo würde denn ihr Sohn Günter und ihr Mann Oskar sie finden, wenn sie überlebt haben sollten und aus Russland zurückkommen?

Man trennte sich unter Tränen von den „Familienmitgliedern“, zu denen sich auch Irene Emig mit den ihren gesellte. Zu Fuß machten sie sich auf den Weg, immer Richtung Oder, immer westwärts. Es war Ende Juli. Würde man sich jemals noch einmal wiedersehen? Olla hatte andere Pläne gemacht. Es war aus der Gerüchteküche zu hören, dass man wenigstens die Kranken aus dem Behelfskrankenhaus in der Bismarckstraße mit einem Zug über die Oder nach Westen transportieren würde. Darauf spekulierte Olla. Es zu Fuß zu versuchen, an die Oder zu gelangen, war ganz unmöglich. Und wie würde man von dort weiterkommen, und wohin überhaupt? Diese Fragen blieben unbeantwortet. Es war auch völlig klar, dass ihnen auf dem Fußmarsch gen Westen auch noch der traurige Rest an Wertsachen abgenommen würde.

Hertha Berns hatte im Behelfskrankenhaus eine Küche von einer der okkupierten Wohnungen für Olla und ihren Anhang reserviert. Die drei und Meta Brandt zogen in die Bismarckstraße.

Ulrich und Hartmut gingen hinüber in Lieschen Gäbels Garten, um nach der im Januar vergrabenen Blechkiste mit den Fotoapparaten und dem Beutel mit den Silbermünzen zu suchen. Im Januar unter dem Schnee sah alles ganz anders aus als nun im Sommer in dem völlig verwilderten Garten. Wo war die Stelle? Nach vielen vergeblichen Probegrabungen fanden sie schließlich die Blechkiste. Wie viel sie auch suchten, den Leinenbeutel in der Handwerkskiste mit den Silbermünzen aus der väterlichen Sammlung, ihn konnten sie nicht mehr lokalisieren. Das Suchen war notgedrungen auch zeitlich begrenzt. Sie durften von den umliegenden Häusern nicht beobachtet werden. Sie gaben auf. Vielleicht hatten ihn damals die Russen doch gefunden, als sie den Garten mit Eisenstangen nach weiteren vergrabenen Schätzen von Eduard Bartsch durchsuchten?

Die Familie gehörte nun offiziell zur Krankenhausbesatzung. Man war sicherer von Überfällen.

Dafür hatte man sich die große Ansteckungsgefahr eingehandelt. Typhus, Ruhr, Tbc. Die zwei oder drei Ärzte konnten im Grunde nur Sterbehilfe leisten. Es gab keine Medikamente. Sterilität war in den ehemaligen Privatwohnungen nicht gegeben. Man hatte in jeder Etage die Brandmauern zum Nachbarhaus durchbrochen. Da war natürlich nichts verputzt. Es waren nur Löcher zum Durchgehen geschaffen, um Kontakt zu den Kranken und Sterbenden im Nachbarhaus halten zu können.

Die vorhandenen Schwestern wurden zahlenmäßig weniger und weniger. Sie verschwanden über Nacht. Sie wollten nicht allein unter Polen in Landsberg zurückbleiben. Der Arzt Bartoleit hatte Frau, Tochter und sich selber umgebracht. Ein Tierarzt aus dem Landkreis erschoss seine Frau und seine 4 Kinder, dann sich

selber. Es verblieben die Ärzte Friedländer und Deutschländer. Es wurden Notoperationen gewagt, amputierte Gliedmaße der Einfachheit halber aus den Fenstern auf den rückwärtig zur Kladow im Garten angelegten Kompost geworfen. Ein Wägelchen mit einem mageren Pferdchen davor, das aussah, als hätte es sein Zuhause zuvor bei Zirkus Brumbach gehabt, kam immerhin fast regelmäßig vorbei, um die Toten abzuholen. Darum kümmerte sich Pastor Georg Wegner und ein paar Helfer. Sie wurden auf dem evangelischen Friedhof „unter die Erde gebracht“. Olla und Meta Brandt machten sich im Krankenhaus nützlich. Ulrich sorgte für Ordnung am Komposthaufen im Garten.

Olla wurde nun selber nervös. Es gab nicht das leiseste Anzeichen dafür, dass man die Kranken und das Personal mit einem Zug nach Westen abtransportieren würde. Die polnische Miliz ließ das Krankenhaus zufrieden. Offenbar wartete man darauf, dass sich das Problem von selber auf biologische Weise lösen würde.

Es war nicht ungehört geblieben, dass die Russen auf gewissermaßen privater Basis, Deutsche gegen Abgabe von Schmuck, Uhren, Gold schon mal mit einem Lastauto auf die andere Oderseite fahren würden. Man hatte aber auch gehört, dass diese Vereinbarungen leicht tragisch ausgehen konnten. Die Russen ließen ihre „Fahrgäste“ aufsitzen, fuhren sie nicht nach Westen sondern in ein nahe gelegenes Waldstück, wohlwissend, dass das Beste in deren Gepäck verstaubt sein müsse. Hier wurden sie nach Leibesvisitation ausgesetzt und man fuhr mit den auf der Ladefläche verbliebenen Bündeln davon. Es wurde auch berichtet: kam man an die übelste Garnitur von Rotarmisten, oder wollte man ungehörigerweise gegen die Beraubung protestieren, wurde draufgehalten und abgedrückt.

Olla sagte zu Meta Brandt, es muss etwas geschehen, sonst bleiben wir mit den Polaken zurück. Es gibt keinen Eisenbahnzug. Ich werde zu der schräg vom Krankenhaus gegenüberliegenden russischen Kommandantur gehen. Sie müssen uns ein Auto stellen. Wir stehen es physisch nicht durch nach Berlin zu laufen. Das sind gut 160 km, abgesehen davon, dass wir unterwegs x-mal ausgeraubt und vergewaltigt werden. Einige der Krankenschwestern hörten von der Absicht. Man setzte Olla zu. Nehmen sie mich mit, mein Gott nehmen sie mich mit, ich habe noch eine Uhr, eine andere hatte noch einen schweren Siegelring von ihrem Vater, Schwester Friedel noch eine goldene Taschenuhr. Meta Brandt hielt ebenfalls noch eine Uhr versteckt. Olla dachte an die Goldstücke in Hartmuts Bleyleanzug.

Olla machte sich schön. Das Omatuch wurde weggelegt, der Puder aus den Haaren gebürstet, er kam jetzt in das Gesicht. Der Krückstock blieb in der Küche zurück. Meta zupfte ihr die Augenbrauen. Entweder es klappt oder wir können uns umbringen oder werden umgebracht. Sie hatte Carte blanche von allen bekommen, und nicht nur das. Jetzt musste alles auf eine Karte gesetzt werden.

Olla hatte sich den Text etwas zurechtgelegt, sich Gedanken über die Vorgehensweise gemacht. Sie ging hinüber zur Kommandantur. Bevor der Posten „Stoi“ rufen konnte, fuhr sie ihn barsch an: „Hör gut zu, du sprichst mit Olitschka Meyerowa, geh’ zur Ordonanz und melde ihr, Olitschka Meyerowa wünsche den Kommandanten zu sprechen. Beeil dich, ich habe nicht viel Zeit“. Olla erzählte

später. Der Posten hätte den Mund nicht wieder zu bekommen. Er ging ins Haus und kam mit einem Offizier zurück, der wissen wollte, worum es sich handele. Das sei eine persönliche Sache, die nur den Kommandanten angehe und sie. Er solle das dem Kommandanten sagen. Olla wurde zum Kommandanten geführt. Sie forderte, er solle den Burschen hinausschicken. Es ginge nur sie beide an. Er tat es. Olla hätte ihm ein ehrliches Geschäft vorzuschlagen, an dem nicht einer gewinnt und ein anderer verliert. In ihrem Fall würden sie beide gewinnen. Er drei goldene Uhren, einen großen Herren-Goldring, eine schwere Goldkette und auch noch 2 Goldstücke dazu, und sie mit vier Familienangehörigen und vier Krankenschwestern das Leben. Sie brauche einen LKW, der diese acht Personen vom „goßpital pratiwapallo shnuj“, also vom Hospital gegenüber, nach Berlin führe.

Bedingung: er sähe vertrauenswürdig aus, sie würde ihm jetzt als Anzahlung die Goldkette übergeben, wenn die Fahrt innerhalb dieser Woche geschähe. Alle anderen Schmuckstücke würden den Fahrern erst frühestens am anderen Oderufer ausgeliefert werden. Vorkehrungen seien getroffen. Wenn ihnen nichts geschähe und sie sicher in Berlin vom LKW abgeladen werden, dann könne er weitere Geschäfte mit dem Krankenhaus machen und als reicher Mann nach Russland zurückkehren. Der Kommandant hatte Blut geleck, kratzte sich am Kopf. Er brauche eine Order. Der LKW käme ohne sie an der Oder nicht über die Notbrücke. Bist du Kommandant oder bist du nicht Kommandant? Und wenn die Fahrer auf der westlichen Seite der Oder die anderen Goldsachen nicht von ihr erhielten? Bist du unehrlich, können uns die Fahrer alles wegnehmen. Du machst aber dann keine weiteren Geschäfte. Wir sind ehrlich. Sieh' in meine Augen Towarisch Kommandant. Lügen diese Augen? Der Kommandant erhielt die Goldkette.

Er beschied, Olla solle morgen noch einmal herüberkommen. Er müsse einen Plan machen, wie der LKW durch alle Kontrollen nach Berlin kommen könne. Im Krankenhaus setzten sich alle Beteiligten zusammen. Hertha Berns wollte nicht mitgehen. Sie könne die Patienten nicht zurücklassen. Wer wartet noch auf mich? Niemand! Ich werde später noch irgendwie herauskommen. Und wenn nicht, ist es auch egal. Es ist schon schrecklich, wenn mit einem Schlag vier Schwestern für die Versorgung der Kranken fehlen. Es wurde vereinbart, dass von den Plänen nichts erzählt wird. Sollte es klappen und andere wussten davon, würde es einen Ansturm auf den LKW auslösen. Olla und Meta nähten für sich und die Jungs je einen Rucksack aus Kartoffelsäcken, der oben einfach zugebunden werden konnte. Die Träger wurden aus den Gurten von Fensterjalousien gemacht. Die Brustbeutel wurden wie ursprünglich wieder mit Reichsmark gefüllt. Hartmut, als am wenigsten Gefährdeter, hatte noch zusätzlichen Schmuck von Olla zu übernehmen. Meta Brandt entwickelte einen Frottee-Handtuch Tick. Frottee-Handtücher müsst ihr retten, Frotteetücher. Abgesehen von Unterwäsche, Ersatzschuhen, den beiden nicht verbrannten Filmrollen mit den Familienaufnahmen von 1929 und 1936 und einigen Metern Kleiderstoff von den geklauten Stoffballen der Firma Berger aus Berlin, wurde die gestickte Dielen-Übergardine aus der Richtstraße mit

in einen der Rucksäcke gesteckt. In sie war der in der Gärtnerei zu Bruch gegangene Meißener-Prunkteller eingewickelt gewesen, und deshalb nicht mit verbrannt. Es blieb unerfindlich, warum die Gardine mit nach Berlin genommen werden sollte. Zu Hartmuts Ausrüstung gehörte noch ein zusammengerollter Schlafsack und ein weißes Leinenhandtuch. Das Letztere benötigte Meta Brandt als Unterlage, um die ausgekämmten Läuse besser einsammeln zu können. Sie ordnete auch an, jeder muss ein Messer, eine Gabel und einen Esslöffel haben und einen Blechbecher zum Wasserfassen. Hartmut war mit allem einverstanden. Von seinem Patengeschenk hatte er noch immer das Messer, den Eß- und Kaffeelöffel mit reliefartig eingestanzten Märchenbildern in den Silbergriffen. Die Gabel war verloren gegangen. Er hatte beim Plündern als Ersatz eine Gabel mit einem eingravierten „H“ gefunden. Sie gehörte nun zu seiner Ausrüstung. Er weigerte sich mit allem Nachdruck, einen Blechbecher mitzunehmen. Ich nehme die Porzellantasse von Krautheim aus dem Küchengeschirr der Richtstraße. Er hatte sie unversehrt aus den Trümmern gezogen, allerdings ohne eine Untertasse dazu zu finden. Jeder riet ihm dringend ab. Er war nicht von der Zweckmäßigkeit eines Blechbechers zu überzeugen. Ich trinke doch nicht wie ein Ruski aus einem Blechbecher. Es war nichts zu machen.

Nun hatte der Kornmandant nur noch „ja“ zu sagen. Er sagte „ja“, mit einigen Auflagen! Es würde ein LKW mit 2 Fahrern gestellt. Abfahrt in zwei Tagen, 5.00 Uhr morgens, deutscher Zeit. Die Russen hatten sonst ihre Moskauer Zeit beibehalten. Wenig Gepäck. Es müsse alles sehr schnell und geräuschlos verladen werden, ohne Aufsehen zu erregen. Für die Vorbereitung der Papiere hatte Olla die Namen aller Personen anzugeben. Diese dürften nicht ausgewechselt werden. Die Kennkarten nicht vergessen! Acht Personen, keine mehr, keine weniger. Alle, auch ihre Söhne, hätten Armbinden des Roten Kreuzes zu tragen. Sie hätten bei Befragen anzugeben, Mitglieder des Roten Kreuzes zu sein.

Es war nun Anfang August. Meta Brandt und auch Olla hatten ihre heruntergebrannten Häuser in all der Zeit nicht gesehen. Beide meinten, wir sollten Landsberg nicht verlassen, ohne noch einmal in der Luisenstraße und der Richtstraße gewesen zu sein. Hartmut ging mit. Ulrich hatte den Briefmarkenkoffer, die gepackten Rucksäcke und sonstigen Gepäckstücke zu bewachen.

Sie besichtigten zuerst die Luisenstraße. Meta Brandt zeigte keine Regung. Das war es nun, was übrig geblieben war. Sie war verstummt, ausdruckslos. Hartmut konnte sich später nur erinnern, dass sie sagte: „da oben Hartmut, hast Du einmal gelebt. Weißt du das noch?“ Und: „Was werden Oskar und Günter sagen, wenn sie jemals aus Russland zurückkommen?“

In der Richtstraße saßen beide Freundinnen im Innenhof auf Schuttblöcken. Emotionslos, fast apathisch, ungläubig.

Nach einiger Zeit des Schweigens philosophierte Olla, fast tonlos, fast nur für sich selbst „Meta, wenn meine Familie 1907 von Wolhynien nach Amerika gegangen wäre, und meine Mutter saß schon auf den gepackten Kisten, mein Gott, uns allen wäre der schreckliche 1. Weltkrieg in Kurland erspart geblieben. Wären sie selbst erst 1919, wie wir ernsthaft überlegt hatten, in die Vereinigten Staaten

oder Kanada ausgewandert und hätten uns nicht in Hinterpommern angesiedelt, dann hätten wir den 2. Weltkrieg und dieses entsetzliche Geschehen nicht erleben müssen.

Wir haben einen großen Fehler gemacht. Wir hätten im Januar flüchten sollen. Ich bin schuld, dass wir es nicht getan haben. Ihr hättet nicht auf mich hören sollen. Wer konnte im Januar ahnen, dass dieser Krieg noch fast 4 Monate dauern und wir so lange hinter die Front geraten würden? Ich habe der Propaganda von Goebbels keinen Glauben geschenkt; ich meinte die Russen, die Kosaken, die Kalmücken zu kennen. Sicher, diese Naturvölker konnten schon immer grausam sein und sie waren es auch häufig, aber auch genauso herzlich und menschlich mitfühlend; meine Familie hat reiche Erfahrung mit ihnen. Über ihre Mentalität ist wunderbar in der russischen Literatur nachzulesen. Ich habe die Situation völlig verkannt. Goebbels und Fritzsche haben nicht übertrieben, sie haben untertrieben. Was hat Stalin, was haben die Sowjets aus den zum russischen Imperium gehörenden Völkerstämmen gemacht? Tiere! Meta, ich habe häufiger darüber nachgedacht, hätte Hitler das nicht mit den Juden angefangen und damit die „Büchse der Pandora“ geöffnet, säßen heute hier in der Richtstraße 30 nicht wir beide, sondern die Glasers auf den Trümmern des Hauses. Bruno Glaser wäre wahrscheinlich genauso wie ein Stück Vieh zusammen mit deinem Oskar nach Sibirien verladen worden, oder schon vorher in Stalingrad zum Krüppel geschossen, in Gefangenschaft geraten, erfroren oder wenigstens, wie mein Mann in Italien an der Front gelandet. Würden sich die Bilder gleichen, müsste sich Frau Glaser heute und hier auf den Schutthalden Landsbergs bangend fragen: „lebt mein Mann noch?“ Sie hätte ihn wie ich, 1½ Jahre nicht mehr gesehen. Sie und ihre Töchter wären wie wir x-mal vergewaltigt worden. Horst Glaser, so alt wie dein Günter, wäre auch mit Notabitur noch an die Ostfront zum „Verheizen“ geschickt worden. Seine Mutter müsste wie du bangen und sich fragen: „lebt mein Sohn noch, kommt er noch einmal zurück?“ Und wenn, bitte lieber Gott, nicht als Krüppel. Kinder, gerade 17 Jahre alt!

Glasers haben 20% Judensteuer zahlen müssen. Sie scheinen dafür noch aus Deutschland herausgekommen zu sein, ein rettendes Schiff erreicht zu haben. Hoffen wir, dass ihnen von ihrem Vermögen noch etwas geblieben ist. Und die, die es nicht mehr geschafft haben? Meta, sie haben es überstanden. Uns steht es noch bevor. Morgen vielleicht schon. Wer von unserer Verwandtschaft hat dieses Inferno überlebt? Wer von den Männern war nicht eingezogen? Wie viele sind von ihnen schon gefallen? Denke an deinen Walter. Wie viele von unseren Familienmitgliedern sind in den vergangenen 7 Monaten noch zu Tode gekommen, vermisst, erschlagen, wovon wir noch nichts wissen? Gehören unsere Männer auch zu ihnen? Unsere beiden Familien kommen alle aus dem Osten, die unserer Männer ebenfalls. Was ist aus unserer Verwandtschaft geworden? Sind sie mit dem Treck auf die Flucht gegangen, haben sie die Strapazen in der Eiseskälte überlebt? Wurden sie, wie so viele Trecks, von der Roten Armee überrollt? Sie müssen ärmliches in Westpreußen, in Schlesien, in Pommern erlebt haben. Oder sind sie noch im Bombenhagel der Engländer und Amerikaner umgekommen?

Wenn der Kommandant ehrlich ist, und wenn wir morgen lebend nach Berlin kommen sollten, sind wir missachtet, vergewaltigt, wir werden als Deutsche, als Nation angespuckt. Man lässt uns nicht einmal hier bei diesen Ruinen, wir werden hinausgejagt. Das hätte man den Glasers angetan, das tut man uns an. Das nutzlose Zeug in unseren Rucksäcken tragen wir nun in eine ungewisse Zukunft, nach Berlin, in die zerbombten Städte. Wird man dort auf uns warten? Nein, man wird nirgendwo auf uns warten, wer sollte auch? Wir haben monatelang keine Nachrichten gehört, keine Zeitungen gelesen. Wir wissen nichts, rein gar nichts. Hitler ist tot, gibt es noch eine Regierung und welche? Gibt es noch ein Deutsches Reich? Wenn der gesamte Osten aufgegeben werden muß, ist die Grenze im Westen nun der Rhein? Was schon Napoleon immer wollte und die Franzosen nach dem 1. Weltkrieg? Oder soll Deutschland wieder aus einem Flickenteppich bestehen, wie früher Preußen? Meta, ich bin fast froh, dass unsere Häuser mit den blütenreinen Grundbucheintragungen und allem darin abgebrannt sind. So bekommen sie wenigstens nicht die Polen und nichts kann mehr nach Russland transportiert werden. – Es war fast wie eine Genugtuung. Goethe hat irgendwo gesagt: „Es nimmt der Augenblick was Jahre geben!“

Könnten wir doch auch nach Amerika gehen, nach Neuseeland, nach Blumennau. Ich glaube, wir würden rennen, um das nächste Schiff zu erreichen. Meine Familie hat viele Male neu anfangen müssen. Wir hatten mit vielen Sprachen zurechtzukommen. Du bist 50, ich bin 44 Jahre alt. Englisch oder Portugiesisch zu lernen, das sollte nicht die Hürde sein. Für unsere Kinder doch schon gar nicht. Aber wir sind stigmatisiert. Uns nimmt niemand. Wir hätten nicht einmal das Geld für die Fahrt über den Atlantik.

Und eines sage ich dir, Meta, hätten wir nicht diesen Hitler gehabt, wäre ein anderer gekommen. Ein Krieg wäre in jedem Falle unvermeidlich gewesen, allenfalls der mit Russland. Hitler missgönnte Stalin die gemeinsam gemachte Beute Polen und das Baltikum. Beide Verbrecher haben sich in die Haare bekommen. Die Auseinandersetzung aber mit Polen war unvermeidlich. Den Versailler Vertrag konnte das Deutsche Reich nicht auf Dauer hinnehmen, egal welchen Reichskanzler wir bekommen hätten. Er war ein Produkt des blanken Hasses. Die Weimarer Republik, die Systemzeit, wie die Nationalsozialisten sie nennen, ist daran gescheitert. Nur Versailles hat Hitler eine Chance gegeben. Die Engländer und Franzosen haben es selber eingesehen, sonst hätten sie Hitler nicht so lange gewähren lassen. Dann war es aber zu spät. Hätten sie diese Einsicht nur schon 1920 gehabt, was wäre uns, was wäre der Welt erspart geblieben!

Hartmut saß ein wenig abseits von seiner Mutter und seiner Patentante auf den Trümmern. Er hatte die emotionslosen, monoton ausgesprochenen Gedanken seiner Mutter mitgehört. Er konnte nicht viel damit anfangen. Amerika, ja das wäre schon schön. Da gibt es Wolkenkratzer. Und dann mit der „Deutschland“ fahren, wie Tante Julchen. Ach, ja. Das könnte schon schön sein!

Das Grab, das Mausoleum von Pascha, war nicht mehr zu finden. Beim Ausräumen des Kellers waren die Schuttmassen vom Kellereingang weggeräumt worden. Pascha würde jetzt wohl tief unter all den Steinen liegen. Seine Seele ist

gewiss im Hundehimmel. Hartmut blickte durch die leeren Fensterhöhlen. Da war einmal die Diele, da das Schlafzimmer, da haben die Mädchen in der Dunkelkammer gesungen: „Komm zurück“ oder „Es wird einmal ein Wunder geschehen“.

Ihm war bewusst, sehr bewusst, mit dem Untergang seines Elternhauses war seine Kindheit erlebt und vorüber, sie war unter dem Schutt dieser Ruine begraben.

Gefühle würde er nicht zeigen, Tränen nicht vergießen. Er erinnerte sich, was seine Mutter ihm einmal gesagt hatte, als beide spät abends von der Kladowstraße zur Richtstraße zurückgingen und er jammerte: „Mein Hacken tut so weh, ich kann nicht mehr laufen“. Olla war müde, sie wollte nach Hause. Sie fuhr ihn an: „sei keine Memme, du hast Angst vor dem Mond, der letzte Schlitz in der Schlafzimmeregardine muss abgedeckt werden, damit er dich nur nicht ansieht, die Mädchen lachen schon darüber, und jetzt tun dir von dem bisschen Laufen die Füße weh. Reiß dich zusammen. So etwas will ein Mann werden? Der muss hart sein, wie die Soldaten an der Front, die jammern auch nicht herum“. Sie zerrte ihn hinter sich her. Zu Hause angekommen, war die Sohle des einen Kniestrumpfes voller Blut. Er hatte sich einen großen Glasscherben eingetreten. Dr. Schleuder musste ihn herausschneiden. Hartmut verzog keine Miene.

Er schwor sich, der Kinderschinder Rogge und auch deine Mutter sollen nicht Recht haben. Du bist keine Memme, die Mädchen werden auch nicht über dich lachen. Du wirst auch nicht heulen. Ein Mann zeigt keine Gefühle, der muss hart sein!

Beide Frauen standen auf, sahen noch einmal nach oben in die leeren Fensterhöhlen. Meta zuckte zusammen. Was ist das? Olla sah zum Balkon. Da stand in den nicht aufgebrannten Blumenkästen der „Führer“. Die Bronzebüste, das Geschenk von der Firma Osram: „Hell wie der lichte Tag“. Sie war vor dem Einmarsch der Russen von Olla in den Schnee auf den Balkonkästen versenkt worden. Sie hatte das Feuer überstanden. Beide mussten lachen. Auch jetzt noch verfolgt uns der „Führer“, wie lange wohl noch?

Das Russenauto war pünktlich um 5.00 Uhr vor der Tür. Alle saßen schnell auf der offenen Ladefläche, die Rucksäcke zwischen den Beinen. Der elegante Briefmarkenkoffer war in einen Bettbezug gesteckt, damit sein auffallendes glattes Leder nicht zusätzlich Interessenten anlockte.

Die Briefmarken mochten nun der letzte, wenn auch bescheidene Wertgegenstand sein, der der Familie verblieben war. Hartmuts Vater hatte immer gesagt: „Briefmarken zu sammeln sei der Sport des kleinen Mannes“. Würden sie überhaupt noch etwas wert sein? Würden sie nun nicht nur eine Menge nutzloses Papier zu retten versuchen?

Der LKW fuhr durch den zerstörten Schießgraben zum Mühlenplatz, auf die Reichsstraße 1. Die Sonne ging gerade auf. Hartmut konnte durch die Ruine des Eckhauses vom Eisenhändler Richard Bergemann noch einmal die Reste seines Elternhauses im Hintergrund sehen. „Präge es dir gut ein“, dachte er für sich. Du wirst es niemals wieder sehen. „Sand über welke Blätter!“ Niemand sprach ein Wort, jeder hing seinen Gedanken nach. Die Richtung, die der LKW nahm, stimmte noch.

Wie lange noch? Alle duckten sich auf der Plattform, versuchten dem scharfen Fahrtwind zu entgehen. Die Küstriner Straße sah schlimm aus, so die Friedrichstadt. Soweit war selbst Hartmut in seinen Streifzügen nicht gekommen.

Bei jedem Schaltgeräusch des LKWs zuckten alle zusammen. Hoffentlich halten die beiden Russen nicht und werfen uns hinunter.

Die Reichsstraße 1 war gesäumt von liegen gebliebenen Fahrzeugen, Bauernwagen, Autowracks, auch mal einem ausgebrannten Panzer. Da waren auch demolierte Kinderwagen, Handwagen und Schubkarren zu sehen. Jedes Teil verbunden mit einem menschlichen Schicksal.

Der LKW passierte den Ort Tamsel. Hier hatte Friedrich der Große im Schloss eine Liebelei gehabt, als er auf der Festung Küstrin stationiert war. Das war bevor sein Vater Friedrich Wilhelm I, der Soldatenkönig, den Freund seines Sohnes und Thronfolgers Hans v. Katte im Hof der Festung Küstrin enthaupten ließ. Wen interessierte jetzt dieser geschichtsträchtige Ort?

Guter Gott, es war nicht mehr weit bis zur Oder.

Die beiden Russen fuhren den LKW rechts an den Rand der Chaussee. Er hielt. Jeder dachte, jetzt sind wir dran.

Einer der Fahrer sprach mit Olla, sie wollten die Uhren, den Ring, die Goldstücke sehen. Olla machte ihnen klar, nichts ist. Die Vereinbarung ist nach der Oder, nicht davor. Es ging hin und her. Die Russen argumentierten, es wäre sicherer, wenn sie schon alles hätten. Sie würden nicht an der Behelfsbrücke durchsucht; wir vielleicht, und es würde uns abgenommen werden. Olla sprach mit den 4 Krankenschwestern. Sie wogen ab. Man entschied, wir geben es ihnen. Letztlich ist an deren Argument etwas Wahres dran. Wir sind den beiden so und so ausgeliefert. Olla appellierte an deren Gewissen, denkt an eure Mütter, sie würden stolz auf euch sein, wenn ihr ehrlich bleibt. Das würde euch auch der Pope raten. Denkt an die 10 Gebote, besonders an das 5. „Du sollst nicht töten“ und das 7. „Du sollst nicht stehlen“. Die beiden jungen Rotarmisten zeigten keine Regung. Sie waren nach der Revolution aufgewachsen. Ihre Gebote waren die von Lenin und Stalin. Und jetzt galt für sie noch das Kriegsrecht!

Beide gingen in den Wald, setzten sich auf einen umgefallenen Baumstamm und schienen den „Fuhrlohn“ zu prüfen. Das konnte von der Ladefläche gut beobachtet werden. „Sie beraten jetzt über unser Schicksal“ – meinte Meta Brandt.

Nach einer endlos erscheinenden Zeit kamen sie wieder zurück, warfen ein Kommissbrot und ein Stück Speck nach hinten auf den LKW. Sie erinnerten Olla: „tragt alle sichtbar die Rotkreuz-Armbinden“. Olla sollte nicht zu erkennen geben, dass sie Russisch sprechen könne. Sie sollen alle vorgeben, nichts zu verstehen und wenn nötig, nur mit dem Finger auf die Armbinden zeigen. Die Fahrt ging weiter, jeder atmete tief durch. Die Holzbrücke, der Schlagbaum kamen. „Stoi“ einmal; „stoi“ nochmal. Dann die Kontrolle der Papiere. Berlin, „potschemu?“ warum? Es wurde erklärt, Rotkreuz, Kommandantura Karlshorst. Man zählte die Köpfe. Olla, Ulrich und Hartmut saßen auf dem Briefmarkenkoffer, um ihn zu verdecken. Die Rucksäcke offen vor sich, als seien sie gerade schon durchsucht

worden. Der Schlagbaum ging hoch. Von Küstrin war außer Ruinen und Schutt nichts zu sehen. Es sah aus, als hätte man mit der Artillerie auch noch die Trümmer zertrümmert.

Es war nicht zu fassen, man sah an der Strecke Küstrin - Berlin Zivilpersonen, in richtigen Anzügen, mit Krawatten, auch den einen oder anderen Deutschen auf dem Fahrrad fahren, mit Kette versteht sich. Auch Frauen mit Sommerhut und junge Mädchen, einfach so, auf den Bürgersteigen der kleineren Ortschaften. War man in einer anderen Welt? Bei den Seelower Höhen gab es viele zerschossene Autos, Geschütze, Panzer am Straßenrand zu sehen. Der Straßenverkehr wurde geregelt durch russische Soldatinnen. Verkehrsschilder in russischer Sprache waren an den Straßenkreuzungen aufgestellt. Nach Berlin, nach Potsdam, wie Olla übersetzte. Es schien hier eine monatelang nicht mehr erfahrene Ordnung zu herrschen. Die Stimmung auf dem LKW wurde gelöster. Die beiden Russen folgten mit ihrem LKW immer der Reichsstraße 1 bis zum Alexanderplatz.

Sie hielten auf einer ausgebombten Tankstelle. Das Gepäck durfte abgeladen werden. Es war 10.00 Uhr morgens. Alle küssten die beiden Russen. Olla bat sie: „sagt dem Kommandanten, er solle auch noch die letzten Deutschen aus dem Krankenhaus über die Oder bringen. Gott möge es ihnen allen lohnen“. Die Krankenschwestern verabschiedeten sich. Schwester Käte Schmalenberger und Schwester Frieda Retzlaff, sie wollten zum Oberinhaus nach Babelsberg. Die beiden anderen hofften im Diakonie-Mutterhaus oder im Johannesstift in Spandau Unterschlupf zu finden.

Olla setzte sich plötzlich auf den Koffer. Mein Gott, ich glaube, ich kriege die Ruhr, oder ich habe sie schon. Was nun ?



Marien- Kirche
Kościół Mariacki



Am Markt, 1927
Rynek, 1927 r.



Wohnzimmer Luisenstraße 7

*Pokój w mieszkaniu przy Luisenstraße 7
(ul. Łużycka)*

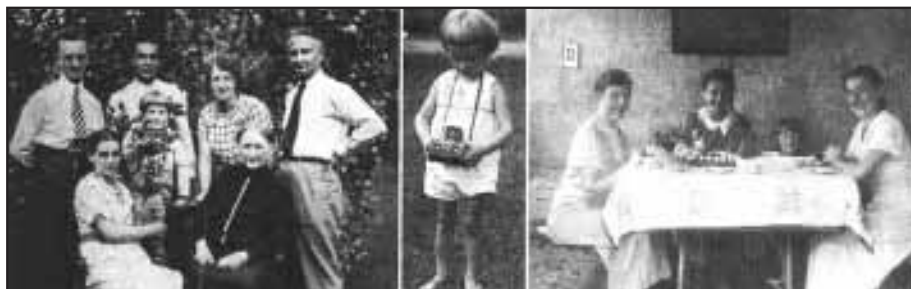


Olla mit ihren Freunden auf der Fahrt in die Märkische Schweiz nach Buckow
Olla z przyjaciółmi podczas wycieczki po Szwajcarii Marchijskiej do Buckow



Links: Lieschen Gäbel und Olla an der Rosstrappe (Harzu) 1930; rechts oben Erna Grabi, Lieschen Gäbel, Olla und Albert in Buckow (Märkische Schweiz); unten rechts: Olla mit ihren Freundinnen Lieschen Gäbel, Erna Grabi und Ulrich

Z lewej: Lieschen Gäbel i Olla na Rosstrappe (Góry Harz); Z prawej u góry: Erna, Grabi, Lieschen Gäbel, Olla i Albert w Buckow (Szwajcaria Marchijska); Z prawej na dole: Olla ze swoimi przyjaciółkami Lieschen Gäbel, Erną Grabi i Ulrich



Links: Obre Reihe: Albert, Karl Radestock mit Alberts Schwester Gertrud und Bruder Rudi Meyer. Darunter Olla, Ulrich und Alberts Mutter Olga Meyer (geb. Timm), 1932; Mitte: Ulrich mit Filmkamera; Rechts: Olla mit ihren Freundinnen und Ulrich im Gartenhaus, Kladowstraße

Z lewej: w górnym rzędzie: Albert, Karl Radestock z siostrą Alberta Gertrudą i bratem Rudi Meyerem; poniżej Olla, Ulrich i matka Alberta Olga Meyer (z domu Timm), 1932 r.; W środku: Ulrich z kamerą; Po prawej: Olla ze swoimi przyjaciółkami i Ulrichem w domku ogrodowym, Kladowstraße (ul. Wyszyńskiego)



Oskar und Meta Brandt, Olla – 1936

Oskar i Meta Brandt, Olla – 1936 r.



Richtstraße 30 Ende 1937

Richtstraße 30, koniec 1937 r.; [nieistniejąca kamienica przy ul. Sikorskiego]



Feiern im Großen Freundesk von Olla und Albert – außer Albert überlebte keiner der abgebildeten Männer die Verschleppung nach Russland im Januar 1945

Świętowanie w dużym gronie przyjaciół Olli i Alberta – poza Albertem żaden z uwiecznionych na zdjęciach mężczyzn nie przeżył wywiezienia do Rosji w styczniu 1945 r.



Links: Olla mit ihren beiden Söhnen, Weihnachten 1937; rechts: Olla, Ulrich, Hartmut und ihr Schwager Rudi Meyer mit dem neuen Opel Kadett

Olla z jej dwoma synami, Boże Narodzenie 1937 r.; Z prawej Olla, Ulrich, Hartmut i jej szwagier Rudi Meyer z nowym oplem kadettem



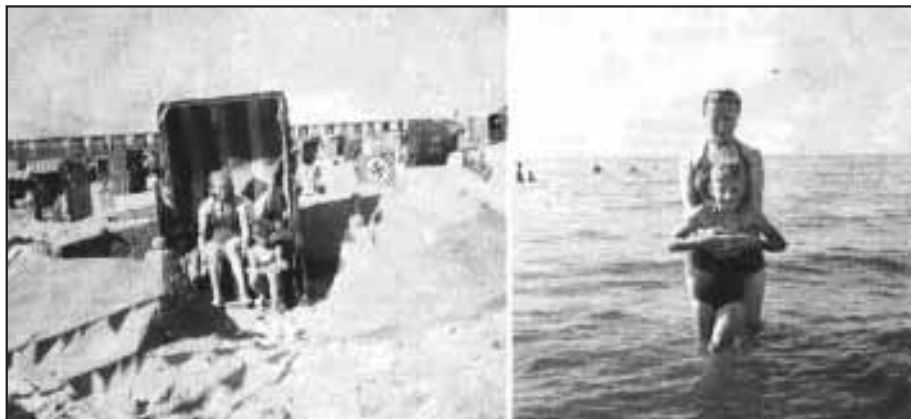
Links: Freundin Erna Grabi und Olla 1938; rechts: Ulrich und Hartmut proben für Schallplatten aufnahmen im Garten des Wassergrundstücks Kladowstraße

Z lewej: Przyjaciółka Erna Grabi i Olla 1938 r.; Z prawej: Ulrich i Hartmut ćwiczą do nagrania płyty w ogrodzie Kladowstraße (ul. Wyszyńskiego)



Links: Olla mit Ihren Söhnen, im Garten – 1935; rechts: Familie Photo Meyer 1938 im Garten

Z lewej: Olla z synami, w ogrodzie – 1935 r.; Z prawej: Rodzina Photo Meyer w 1938 r. w ogrodzie



Haushilfe Erna mit Hartmut in Misdroy (in Wollin) – Sommer 1942

Pomoc domowa Erna z Hartmutem w Międzyzdrojach (Wyspa Wolin) – lato 1942



Olla mit ihren Söhnen – Weihnachten 1942

Olla z synami – Boże Narodzenie 1942 r.



Links: Hartmut und Ulrich (Vorlage für Ölbilder) – 1942; rechts: Konfirmation von Ulrich – Ostern 1943 im Wohnzimmer. Im Hintergrund sein Ölbild

Z lewej: Hartmut i Ulrich (pozowanie do portretu) – 1942 r.; Z prawej: Konfirmacja Urlicha – Wielkanoc 1943 r. w salonie. W tle jego portret olejny



Links: Der Landsberger Bürgermeister und Stadtkämmerer Hans Dowidat mit Familie – 1943; rechts: Hartmut mit Pascha

Z lewej: Burmistrz i skarbnik miasta Landsberg Hans Dowidat z rodziną – 1943 r.; Z prawej: Hartmut z jamnikiem Pascha



Die Wegert – Familie – Oben: Ruth, Wally, Edgar und Erna. Unten: Emma, Christa und Gustav

Rodzina Wegert – u góry: Ruth, Wally, Edgar i Erna; na dole: Emma, Christa i Gustav



Links: Tante Julchen heiratet Hartmut, Oskar Brandt, Ulrich – im Garten Kladowstraße – 1944

Od lewej: Ciocia Julchen poślubia Hartmuta, Oskar Brandt, Ulrich – w ogrodzie przy Kladowstraße (ul. Wyszyńskiego) – 1944 r.



Die drei Baukloh Töchter
Trzy córki Baukloh

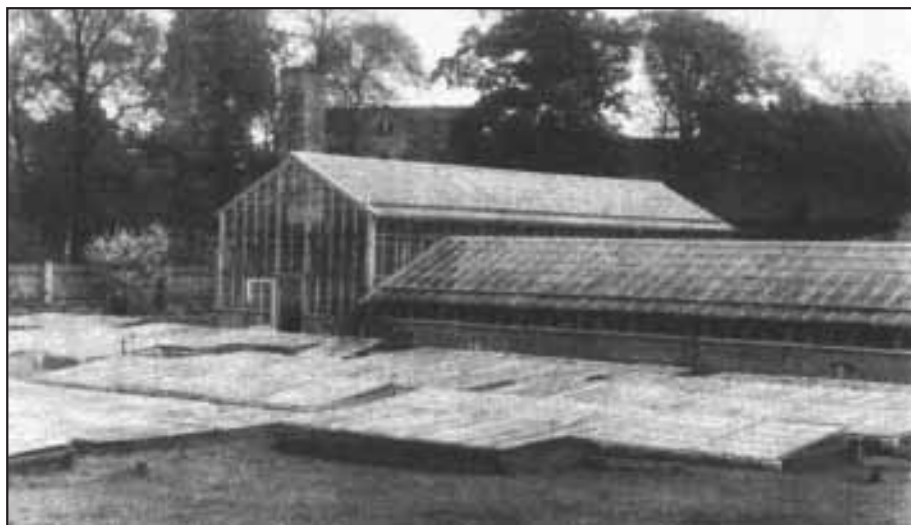


Esszimmer 1944 mit Kriegsdekoration
Jadalnia w 1944 r. z dekoracją wojenną



Die Freunde Walter und Irene Emig mit Sohn Pütz

Przyjaciele Walter i Irene Emig z synem Pütz



Gärtnerei Heinersdorfer Str. – Hier hatten die Familie und andere Deutsche Zwangsarbeit zu leisten

Ogrodnictwo przy Heinersdorfer Str. (ul. Kosynierów Gdyńskich) – Rodzina i inni Niemcy wykonywali tu przymusową pracę

Hartmut Meyer-Ohrt

Gorzów/Landsberg w mojej pamięci 1926 – sierpień 1945 (fragmenty)

Kronika rodzinna Photo-Meyer przedstawia rodzinne, socjologiczne, ekonomiczne i polityczne warunki, z którymi musieli się zmagać członkowie rodziny w okresie od 1926 r. do sierpnia 1945 r.

Wydarzenia i osobiste przeżycia są absolutnie autentyczne, nie są fikcją. Wspomniane nazwiska, miejsca i czas zdarzeń są niezmienione.

Kronika rodzinna została spisana z punktu widzenia protestanckiej, średnio-zamożnej rodziny niemieckiej.

W Landsbergu rodzina znana była jako Photo-Meyer i tak też była nazywana. Poczty adresowano tylko: Photo-Mayer, Landsberg / W.



Spisał – przy współpracy z żyjącymi członkami rodzin oraz osobami wymienianymi we wspomnieniach – Hartmut Meyer [...] Hamburg, urodzony 22 stycznia 1935 r. w Landsbergu/W. i tam zamieszkały z rodziną do sierpnia 1945 r.

Albert Meyer, urodzony 22 marca 1902 r. Oppeln (Opole), wychowany w Schneidemühl (Piła), od 1926 Landsberg / Warthe (Gorzów Wlkp.)

Olla Meyer, z d. Schindel, urodzona 27 kwietnia 1901 r. na Wołyniu, od 1907 r. Kurland (Kurlandia) / Lettland (Łotwa), od 1920 r. Freudenfier (Szwecja) / Deutsch Krone (Wałcz), od 1927 r. Landsberg / Warthe (Gorzów Wlkp.), do sierpnia 1945 r.

Ulrich Meyer, urodzony 15 sierpnia 1929 r. Landsberg / Warthe (Gorzów Wlkp.), do sierpnia 1945 r.

Hartmut Meyer, urodzony 22 stycznia 1935 r. Landsberg / Warthe (Gorzów Wlkp.), do sierpnia 1945 r.

Lato 2007

„Quo vadis Landsberg”

1 kwietnia 1930 r. Albert, Olla i ich urodzony 15 sierpnia 1929 r. syn Ulrich przeprowadzili się z pierwszego mieszkania u rodziny Paschke, na Soldiner Straße 18 (ul. Konstytucji 3 Maja), do większego, dwurodzinnego domu do rodziny Isensee, na Luisenstraße 7 (ul. Łużycka), róg Baderstraße 14 (ul. Łazienki).

Z tego mieszkania, leżącego na drugim piętrze, z sypialnią i łazienką na trzecim, nie tylko było widać kościół Mariacki, ale także słyszeć zegar na wieży i bijące dzwony. Młoda rodzina żałowała początkowo, że wynajęła to mieszkanie, ponieważ dzwony i uderzenie zegara co kwadrans trzęsły szklankami w szafce. W każdą sobotę o 18.00, po takiej dźwiękowej zapowiedzi niedzieli, jako atrakcja pojawiali się na wieży czterej trębacze, którzy z okna nad zegarem grali chorał. Olla jako pierwsza przyzwyczaiła się do tego regularnego hałasu. Tak komentowała skargi Alberta: ty reklamujesz swój sklep hasłem: „Meyer robi lepsze zdjęcia, dla żony, teścia, dziecka i zięcia”. A kochany Pan Bóg też musi robić reklamę swojemu Kościołowi. I robi to przy pomocy kościelnych dzwonów. „Cóż to za porównanie”, odpowiadał Albert. „Moje hasło nikogo nie wyrywa ze snu, a na pewno nie w niedzielę rano”. Kościół Mariacki (...) miał jeszcze jedną wadę: dopiero co kupione radio miało trudności z odbiorem. Wieża przesłaniała fale. (...)

Mieszkanie miało jednak także jedną wielką zaletę – leżało zaledwie 3 minuty od sklepu na ulicy Richtstraße 26 (ul. Sikorskiego). Olla mogła w każdej chwili sprawdzić, co się dzieje u jej syna Ulricha, jak radzi sobie z nim Anni Schröder, nasza pomoc domowa. Anni uwielbiała wozić go wózkiem. Był ślicznym dzieckiem, nie tylko w opinii rodziców, niebieskookim, z blond loczkami. Anni lubiła, żeby ją z nim widziano, w parku miejskim, w Rosengarden (Ogród Różany) czy „na bieźni”, jak nazywano Richtstraße. W ogóle jej nie przeszkadzało, gdy ktoś ją pytał, czy to jej dziecko. Olla najczęściej pracowała w sklepie, lubiła kontakt z ludźmi, a najbardziej rozmowy z klientami. Oznaczało to dla niej urozmaicenie, życie, aktywność. Klienci, którzy w owym czasie zajmowali się fotografią, byli otwarci i zainteresowani nowościami. Żadnych nudziarzy! Jakaż odmiana po sennym wiejskim życiu w Freudenfier koło Deutsch Krone! Landsberg przypominał jej trochę Goldingen. Był tu teatr miejski. Wychowało się tu wielu słynnych później aktorów, tu zaczęli swoje kariery (...). Podobno

nawet Enrico Caruso bywał tu kiedyś co roku. Były koncerty w Weinbergu (Winnica). Na pewno nie światowej klasy, ale jednak! Albert i Olla pozwalali sobie od czasu do czasu na bilety, chociaż zasadniczo wszystko szło najpierw w sklep. Ofertę trzeba było cały czas powiększać, laboratorium, ciemnia, suszarki do zdjęć i krajalnice utrzymywano na najwyższym poziomie.

Liczba bezrobotnych wciąż nie chciała spadać. Malarz, jeśli tylko miał pracę, zarabiał 18 marek tygodniowo. Wykształcona, doświadczona pomoc domowa – 30 marek miesięcznie. Choć oczywiście z utrzymaniem. Nawet od dawna zasiedzieli rzemieślnicy w śródmieściu musieli zamykać warsztaty, choć czasem tylko na krótko. Banki nie dawały kredytów. W Landsbergu było wówczas zarejestrowanych 16.000 bezrobotnych, w mieście, w którym liczba mieszkańców wynosiła 50.000. (...)

Ani Albert, ani Olla nie mieli czasu zajmować się polityką. W każdym razie orientowali się, które partie polityczne obiecywały likwidację bezrobocia i poszukiwały możliwości zrzucenia knebli Układu Wersalskiego, które przyczyniały się do gospodarczej mizerności.

(...)

Albert i Olla w 1930 r. wybierali Deutschnationale Volkspartei. (...)

Poza tym byli jeszcze ci obłąkani narodowi socjaliści, z jakimś Hitlerem. Właśnie przysłał swojego przybocznego Ernsta Röhma do Landsbergu na kampanię wyborczą. W Weinbergu była impreza wyborcza, a w dzień później Röhm przejechał ze swoją SA konno po Richtstraße tak pijany, że omal nie spadł z konia. Albert i Olla bali się o szyby w oknach swego sklepu. Na koniec pojawił się Otto Straßer ze swoim Czarnym Frontem, który brał się za bary z komunistami. Albert i Olla znów musieli się obawiać o swoje okna.

(...)

Photo-Meyer działał także w gminach wokół Landsbergu. Listonosze dostawali ulotki reklamowe, które rozdawali po wsiach, a których treść miała zachęcić tamtejszą ludność do fotografowania. Najpilniejsi listonosze dostawali w prezencie pudełko Agfy albo prawo do bezpłatnego wywołania filmu i po jednej udanej odbitce. Z tej formy promocji mogli skorzystać jednak dopiero wtedy, gdy posiadali przynajmniej jeden aparat fotograficzny, najlepiej oczywiście kupiony u Photo-Meyer. Na ulotkach można było odczytać proste hasła, odpowiadające duchowi czasów, takie jak: „Kto zdjęcie zrobi w dobrej porze, młodość swą piękną uwiecznić może”. Zaś pod zdjęciem młodej, całującej się pary, znalazł się tekst: „Choćby ochłodziła miłość gorąca, zdjęcie przypomni o niej bez końca”. Nawały klientów reklama ta nie powodowała. Jednak coraz więcej mieszkańców wsi stawało się klientami Photo-Meyer. Nie zaszkodziło nawet bezrobocie, które w 1932 r. osiągnęło punkt szczytowy – 6 milionów osób. Mieszkańców Landsbergu szybko przybywało. Było to spowodowane głównie napływem uciekinierów z obszaru polskiego korytarza i z Prus Zachodnich, którzy nie chcieli optować za Polską. (...)

Tę odrobinę wolnego czasu, który mieli Albert i Olla, wykorzystywali na wycieczki rowerowe. (...) Zimą biegano się na nartach w podlandsberskich parkach i lasach. Olli od czasu do czasu udawało się wyrwać z przyjaciółkami na kilka dni do Harzu, do hotelu Rosstrappe, Hexentanzplatz albo w góry śląskie.

Również Albertowi udało się znaleźć czas na podróż do Pragi czy dolinami Renu i Mozeli, a także na to, by dbać o odziedziczoną po ojcu kolekcję znaczków pocztowych i monet. Towarzystwo Filatelistów zbierało się raz w miesiącu w Hohensee, okropnej knajpie przy Richtstraße, której Olla nie cierpiała. Po spotkaniach tych Albert cuchnął zleżałym piwem Kohlstock i dymem papierosowym. To, że sam palił, było powodem ciągłych wyrzutów. Jednak spływały one po nim jak po kaczce.

(...)

W Landsbergu aż do końca stycznia 1933 r. narodowi socjaliści niemal nie odgrywali żadnej roli. Co najwyżej komuniści pojawiali się ze swoimi orkiestrami na ulicach, nawet jeszcze do końca lutego. Potem zaczęły się pierwsze poważne bójki. Członkowie innych partii przechodzili do narodowych socjalistów. Wskakiwali na ruszającą w drogę platformę. Komuniści ostatni marsz odbyli w marcu, przeszli do Moltkeplatz (Plac Nieznanego Żołnierza). Tutaj spalili swoje flagi, fujarki i inne symbole partyjne. Oczywiście wielu komunistów przeszło na narodowy socjalizm, i oczywiście wielu członków innych partii zachowywało się równie oportunistycznie. (...) Zaczęło się zbieranie pieniędzy na wszystko. Niezliczone kwesty. Najstynniejsza była, tuż po przejęciu władzy przez narodowych socjalistów, tzw. grochówka dla Winterhilfswerk. Najważniejsze osoby fotografowały się przy tym. Jedzono wspólnie zupe, a zyski ze zbiórki przeznaczano na Winterhilfswerk. „Nie będzie głodu!”, krzyczały wielkie plakaty. „Bez chłodu”, dodawali berlińczycy.

W Landsbergu wymieniono burmistrza i Radę Miasta, a także Prezesa Sądu Krajowego. Heinersdorfer Straße została przemianowana na Adolf-Hitler-Straße (ul. Kosynierów Gdyńskich). Rada Miasta postanowiła nadać Hindenburgowi i Hitlerowi honorowe obywatelstwo miasta, odpowiednie telegramy zostały wysłane do obu. Ani jeden, ani drugi nigdy nawet nie był w Landsbergu, tym bardziej gauleiter Wilhelm Kube, który również otrzymał to wyróżnienie.

Wybory do berlińskiego Reichstagu, które odbyły się 5 marca 1933 r., w Landsbergu przebiegły spokojnie, jeśli pominąć presję moralną, szczególnie na urzędników, aby poszli do wyborów, ponieważ w przeciwnym razie groziło im zwolnienie. (...)

Interes zyskał niewątpliwie na założeniu w listopadzie 1933 r. organizacji „Kraft durch Freude”, przybudówki Niemieckiego Frontu Pracy, czyli następcy zakazanych przez narodowych socjalistów związków zawodowych. Celem KdF było organizowanie czasu wolnego robotnikom, po pracy, na koncertach, odczytach, wyjściach do teatru, sportu, sportu zakładowego, gimnastyki. (...) Wszystkie te wyprawy oczywiście musiały być uwiecznione – dla siebie, dla rodziny, dla przyjaciół.

(...)

Trzeba było uwolnić od niektórych obowiązków Anni, pomoc domową. Ulrich był więc na pół dnia wysyłany do przedszkola na Kladowstraße (ul. Wyszyńskiego), do Cioteczki, jak nazywano tamtejszą długoletnią nauczycielkę. Któregoś dnia wrócił do domu ze szkarlatyną. Choroba ta często była wówczas śmiertelna. Lekarz domowy, doktor Gohler, leczył go przez kilka tygodni. Ulrich przeżył.

W 1935 r. urodził się drugi syn, Hartmut. Już Ulrich miał być dziewczynką, a teraz było na świecie dwóch chłopców. Dr von Klot pocieszał, że trzecia na pewno będzie dziewczynka. Olla się nie przejmowała. Nie chciała większej rodziny, nie chciała też wcale honorowego krzyża od Führera, ani nawet 400 marek dodatku dla rodzin wielodzietnych. Albert był zadowolony. I tak już wzdychał na samą myśl o inwazjach licznych krewnych Olli, którzy w Landsbergu robili sobie postój przed dalszą podróżą ze wschodu do Berlina. (...) A zatem – tylko dwójka dzieci, i to mimo niedwuznacznych uwag czynionych Olli przez rodzinę ze wsi.

Ulrich poszedł do szkoły; była to szkoła podstawowa dla chłopców przy ulicy Schulstraße (ul. Szkolna), róg Zechowerstraße (ul. Warszawska).

Mieszkanie przy Luisenstraße 7, z dwójką dzieci, (...) częstymi odwiedzinami krewnych i szerokiego grona przyjaciół, stało się zbyt małe i niewygodne. (...)

Żydowska rodzina Bruno Glasera posiadała przy Richtstraße 30, zaledwie kilka kroków od sklepu Alberta, własny sklep i kamienicę. Bruno Glaser był detalicznym sprzedawcą galanterii skórzanej, ale miał też hurtownię. (...) W 1933 r. w mniejszych miastach rodziny żydowskie nie miały jeszcze zbyt wielkich problemów, jednak mnożyły się już zaczepki i oszczerstwa. Glaserowie chcieli sprzedać wszystko i wyjechać. Olla i Albert poinformowali ich, że byliby zainteresowani kupnem ich nieruchomości, jeżeli rzeczywiście mieliby to brać pod uwagę. Glaserowie najpierw chcieli sprzedawać w 1935 r., potem znowu nie, nie mogli się zdecydować. (...)

W 1935 r. nagle pojawiły się problemy z zaopatrzeniem w żywność, szczególnie masło, ale nawet margarynę i wieprzowinę. (...) Ogłoszono, że przejściowo zostanie obniżona oferta śmietany bitej i śmietanki do kawy, a za to wzrośnie produkcja masła. (...) W Saarlandzie wprowadzono dni bezmięsne i bezmasłowe dla urzędników – aby było więcej dla robotników. (...) W gazetach i radiu pojawiały się wezwania, by jeść „ryby zamiast mięsa”, „marmoladę zamiast masła”. (...) Hermann Göring zaczął grozić niemieckim rolnikom, by nie wazyli się sprzedawać żywności na wolnym rynku, ani tym bardziej po cenach wyższych niż urzędowe. Miała to być sprawa dla Gestapo. 6 grudnia 1935 r. wygłosił w Hamburgu mowę o zbrojeniach i trudnościach w zaopatrzeniu. Albo będziemy kupowali masło i stracimy wolność, albo będziemy dążyli do wolności, ale zrezygnujemy z masła. Ujednotwiona przez Goebbelsa prasa wydrukowała wspólny artykuł wstępny: „Armaty zamiast masła”. Skutkiem tego pojawił się dowcip: „Pytanie: jaka musi być bożonarodzeniowa gęś w 1935 r.? Odpowiedź: Tłusta jak Göring, brunatna jak Partia, oskubana jak naród niemiecki”. Albo: „Słyszała pani, że wszystkie portrety Hitlera trzeba wyjąć z ram, żeby można było produkować więcej masła?” „A co trzeba zrobić z Hitlerem?” „Oczywiście postawić pod ścianę albo powiesić”.

(...)

Wkrótce sytuacja jeszcze się pogorszyła. Coraz głośniejsze były wezwania do bojkotu sklepów i towarów żydowskich, coraz silniejsza dyskryminacja. Celem było zmuszenie niemieckich Żydów, których było około 500 tys., do emigracji, najlepiej bez majątku.

Jesienią 1937 r. Glaserowie znów przyszli do Alberta z pytaniem, czy nadal jest zainteresowany kupnem domu. (...) Interes został ubity. Zgodnie z życzeniem sprzedających niektóre płatności ominęły banki. (...)

W Landsbergu wiele sklepów zniknęło albo zyskało inną nazwę. (...)

Albert i Olla przyłączyli się do „Kościoła Wyznającego”, założonego przez Martina Niemöllera pod koniec 1933 r. pod hasłem: „Teneo quia teneor” („Opieram się, ponieważ mam oparcie”). Pastorzy i członkowie ich zborów zobowiązali się do wzajemnej pomocy przy przeciwstawianiu się politycznym i policyjnym akcjom narodowych socjalistów, a także do wierności Pismu Świętemu. W organizacji pod nazwą „Pfarrernotbund” pastory stawiali już opór samowoli, militaryzmowi, eutanazji, karaniu obozami koncentracyjnymi, prześladowaniu Żydów itp. Niemöller już od 1937 r. siedział w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen jako tzw. osobisty więzień Hitlera. Albert i Olla zostali członkami tego Kościoła przez Hansa Scharfa i Wilhelma Ogoleita, którzy w Landsbergu zajmowali się handlem książkami i dziełami sztuki. Obaj byli członkami loży masońskiej St. Johannes zum Schwarzen Adler, która została rozwiązana zaraz w 1933 r.¹

(...)

Dom kupiony od Glaserów był w dobrym stanie, nawet jeśli z powodu politycznej niepewności ludności żydowskiej nie był od 1933 r. tak remontowany i konserwowany, jak zwykle.

(...)

Rodzina mieszkała na pierwszym piętrze głównego domu i na pierwszym i drugim piętrze bocznego skrzydła, nie licząc mansardy głównego budynku. Tutaj znajdowała się też pralnia i suszarnia prania, magiel i ramy do suszenia firanek. Pranie odbywało się co 14 dni. Przychodziła pani Zühlsdorf. Palilo się wtedy pod miedzianym kotłem, w starej cynkowej wannie rozmiękczało pranie proszkiem Henko, utrzasało bieliznę. W powietrzu unosiła się para i zapach prania. Śmierdziało sodą i wybielaczem. Heima i Erna kręciły wyżymaczką, bo wykonująca wcześniej tę pracę Anni i jej Manje van der Riesen wyjechali do Blumenau w Brazylii.

(...)

Zamówiony w 1937 r. samochód, opel kadett, następca opła P4, został przywieziony jesienią tegoż roku.

(...) Pierwsza nocna wyprawa odbyła się na rykowisko do Kladower Teerofen (Smolarki), razem z Erną Grabi, przyjaciółką Olli. Obaj chłopcy też pojechali,

¹ W rzeczywistości członkiem loży masońskiej był Johannes Schäf, przez wiele lat pełniący funkcję sekretarza.

ale nie dawali nikomu spokoju. Byli przemęczeni i w ogóle nie interesowały ich hałasy powodowane przez jelenie. Albert był zdenerwowany z powodu małej praktyki za kierownicą, Olla – z powodu niegrzecznych dzieci. Samochód zakopał się w bruzdy na leśnej drodze. Wszyscy kompletnie potracili humory. Ponieważ była z nimi Erna Grabi, nie chcieli kłócić się głośno, czyja to była wina, trzeba było zachować twarz. W każdym razie Albert musiał iść do wsi, znaleźć chłopca z koniem i z jego pomocą wyciągnąć kadetta. Wyjazdy na rykowisko na tym się zakończyły. (...)

Ciocia Jadwiga miała w swoim pokoju fotel bujany, którym zainteresował się Hartmut. Mimo ciągłego napominania, by nie przesadzał z tym bujaniem się, w ogóle nie chciał przestać. Nagle z podstawy zerwał się materiał. Hartmut próbował przymocować go, choćby prowizorycznie, żeby ciocia Jadwiga nic nie zauważyła. Cieszył się bardzo, że wkrótce od niej wyjechali. Jednak od tego czasu chłopiec miał nieprzespane noce. Bał się, że ciocia Jadwiga usiądzie sobie z radością na swoim bujanym fotelu, a potem upadnie na ziemię wraz z całym obiciem, zrani się, a może nawet zabije. O cioci Jadwidze było jednak cicho. Tylko Olla dziwiła się, kiedy coraz częściej pytał, czy z ciocią wszystko w porządku, i czy jeszcze żyje.

(...)

W owych czasach najmniej przyjemnym doświadczeniem kierowcy były częste gumi. Raz po raz uchodziło z nich powietrze, bo najechało się na gwóźdź wypadły z podkowy. Na dłuższych trasach czasem nie wystarczało jedno koło zapasowe. Zaś próby samodzielnego założenia nowej dętki mogły człowieka zabić. Albert i tak miał szczęście ze swoim nowym kadettem, bo nie trzeba było kręcić korbką, żeby go zapalić. Kiedy bowiem człowiek nie zabił się przy zmianie opon, wciąż jeszcze miał szanse podczas próby zapalenia silnika.

(...)

Latem 1939 r. Ulrich przeszedł ze szkoły podstawowej do oddanego w 1938 r. do użytku Gimnazjum im. Hermanna Göringa. Wzorcowy budynek przy Keutelstraße (ul. Moniuszki), z aulą, salą gimnastyczną i dwupiętrową halą sportową. Obok podwórza był ogród szkolny, boisko sportowe, a klasy były bardzo nowoczesne. Szkoła była prawdziwą dumą mieszkańców Landsbergu. Ulrich nie miał problemów w szkole. Należał do najlepszych uczniów, choć wcale nie był lizusem, ani nawet specjalnie się nie wysiłał. Gorzej szło mu w sporcie, przeszkadzała krótkowzroczność. Od ósmego roku życia musiał nosić okulary. Wraz z przejściem do gimnazjum musiał zgodnie z Ustawą o młodzieży Rzeszy wstąpić do Deutsches Jungvolk. Rodzice wciąż musieli mu przypominać, żeby brał udział w pochodach i apelach. Wołał czytać Karola Maya w pokoju dla mężczyzn, ukryty za wielkim klubowym fotelem. O ile na świadectwie przynosił zawsze szóstkę i piątkę, o tyle mógł się cieszyć, jeżeli przy kulturze fizycznej widniała trójka.

(...)

Po Anslussie Austrii Niemcy sudeccy zaczęli podnosić coraz głośniejsze roszczenia o autonomię i samostanowienie w ramach państwa czechosłowackiego. (...) We wrześniu 1938 r. doszło do tzw. Układu Monachijskiego.

W referendum w Saarlandzie w styczniu 1935 r. 90,8 procent uprawnionych do głosowania opowiedziało się za przyłączeniem do Rzeszy Niemieckiej. (...) W ten sposób powróciło do niej milion Niemców, potem jeszcze 7 milionów Austriaków, wreszcie 3 miliony Niemców sudeckich.

(...)

Niemcy liczyły 75 milionów ludzi. Wielu mówiło sobie: co tam będziemy się przejmować kilkoma Żydami, niech sobie jadą do Palestyny albo do Ameryki, im szybciej, tym lepiej. Właśnie to było celem tak zwanej Nocy Kryształowej 8 listopada 1938 r. Żydowskie sklepy były demolowane, synagogi palone w prawie całej Rzeszy. W Landsbergu spłonęła tego dnia synagoga na Baderstraße. Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy: „synagoga się pali, synagoga się pali”. Również Ulrich pobiegł tego dnia z trzyletnim Hartmutem na rękach na Baderstraße. Było to blisko dawnego mieszkania przy Luisenstraße. W końcu nie co dzień paliło się w Landsbergu. Straż pożarna ospale gasiła wybudowaną w 1854 r. w stylu bizantyńskim świątynię; starała się raczej nie dopuścić do zajęcia sąsiednich domów.

Fasada budynku ostała się, a na niej hebrajski, a jednocześnie niemiecki napis: „Mój Dom niech będzie Domem Modlitwy dla wszystkich narodów”. (...)

1 września 1939 r. Albert, Olla i dzieci powoli wracali późnym wieczorem z ogrodu na Richtstraße. W Stadtpark (Park Miejski) spotkali znajomego, który niósł w ręku kilka rolet. Powiedział im, że od tej chwili istnieje obowiązek zaciemnienia. Przed południem wybuchła ponoć wojna z Polską. Rodzina nic o tym nie wiedziała. W ogrodzie nie mieli radia ani telefonu. Nie mieli kontaktu ze światem. Przez radio wciąż podawano informacje, że Polacy zaatakowali Rzeszę Niemiecką na Górnym Śląsku. Że Niemcy muszą i będą się bronić. I że podjęły taką obronę atakując Westerplatte koło Gdańska.

(...)

W 1939 r. Albert kupił dużą szafę grającą na płyty, którą postawił w przedpokoju.

To nowe urządzenie ze specjalnym odtwarzaczem miało jedną wielką zaletę: Albert mógł sam nagrywać płyty używając mikrofonu kierunkowego. (...) Były to płyty woskowe (...), na których dźwięk zapisywany był w postaci rowków rysowanych przez ciężkie ramię urządzenia odbiorczego. Płyty te można było odgrywać na normalnym odtwarzaczu po kilka razy, przy czym jakość dźwięku pogarszała się za każdym razem. Można je też było wysłać jako matryce do Odeonu albo Telefunkena, gdzie tłoczono je w szelaku. Wtedy można było używać ich niemal bez końca. Uwiecznione zostały głosy wszystkich członków rodziny. Ulrich i Hartmut musieli, o wiele częściej niż mieli na to ochotę, śpiewać do mikrofonu (...). Ulrich, który już od jakiegoś czasu brał lekcje akordeonu, musiał akompaniować. Recytowanie wierszy bożonarodzeniowych, oczywiście tuż przed rozpakowywaniem prezentów, rodzice lubili nadzwyczajnie, dzieci – oczywiście nienawidziły.

Ze względu na ową szafę grającą, a także bezpośredni dostęp do częściowo oszklonego, dużego balkonu, rodzina często przebywała w przedpokoju. Siadywało się tu pod wieczór z dziewczętami, słuchało muzyki, wykonywało robotki

ręczne, cerowało, zszywało, naprawiało bieliznę. Pewnego wieczora sortowano bieliznę osobistą. Następnego dnia klientka sklepu zapytała jedną ze sprzedawczyń, czy to nie syn Meyerów przechadza się dumnie po Richtstraße w staniku? Wezwana Olla fukając na Hartmuta zabrała go do mieszkania. Lania nie było. Olla była bardzo zła, ale zaraz potem roześmiała się: gdybyż to nie był taki stary stanik, co za wstyd!

Wkrótce potem odwiedził Ollę w sklepie pan Remitz i uśmiechając się złośliwie pogratulował jej narodzin córeczki. Remitz miał drogerię trzy sklepy dalej na Richtstraße. Olla nieco się zirytowała i spytała pana Remitza, o co chodzi. No cóż, przed chwilą w moim sklepie był pani syn, ubrany trochę dziwnie, i chciał kupić smoczek. Zapytałem go, po co mu taki smoczek? Zawahał się, a potem przekazał nowinę, że w nocy urodziła mu się siostrzyczka. Oczywiście pan Remitz przejrzał Hartmuta, że chciał on ten smoczek dla siebie, ale nie chce się do tego przyznać. Pan Remitz podarował mu smoczek dla siostrzyczki, ale z różowym uchwytem. I wyjaśnił, że takie smoczki są tylko dla dziewczynek. Chłopcy od takiego smoczka zaraz wymiotują, smoczki dla chłopców oczywiście mają niebieski uchwyt. Olla odmówiła zapłacenia za smoczek, natomiast synowi wyjaśniła, że jest już za duży na takie rzeczy. Hartmut nie chciał, żeby mu się zbierało na wymioty. Więc zrezygnował ze smoczka.

O ile Olla zbierała porcelanę i książki, takie jak „Das Erbe von Björndal”, „Die Barings” lub coś Knittela, Specknanna czy Spenglera, Albert raczej realizował swoją potrzebę wypróbowywania wszelkich nowości technicznych. Niemal jednocześnie z zakupem szafy grającej (...) została wymieniona lodówka, do której co tydzień trzeba było dokupować kloce lodu, zapowiadane na ulicy głośnym dzwonkiem. Od tej pory jednak silni panowie w skórzanych fartuchach i takich ochraniaczach na ramionach nie musieli już wchodzić do kuchni z ciężkimi kawałkami lodu. Stała w niej bowiem wielka lodówka Siemens. Miała ona wprawdzie tę wadę, że raz na jakiś czas było słychać, jak się schładza, ale z drugiej strony można było przy jej pomocy produkować lód w kostkach. A je z kolei można było wykorzystywać do produkcji lodów. Robiło się to przy pomocy maszyny do lodów, do której wrzucano masę lodową, śmietanę i wanilię, a osobno posypane solą kamienną kostki lodu, rozdzielane tak, żeby zwiększyć skuteczność mrożenia. Urządzenie to trzeba było potem wprawdzie obsługiwać ręcznie przy pomocy korby, co ze względu na niezbędny długi czas nie było ulubionym zajęciem ani Heimy, ani Erny, ale z drugiej strony też przecież miały ochotę na lody.

Zamiast dotychczasowego odkurzacza, który wyglądał jak wiadro na kółkach, dziewczęta dostały od Alberta odkurzacz płozowy, długi, płaski, poruszający się na płozach – stąd nazwa. Nowy wynalazek Siemens. Trzeba było wymienić piecyk elektryczny, teraz można było piec przy pomocy górnego i dolnego palnika. Podwójny piecyk gazowy pozostał, podobnie jak czajnik elektryczny. Wszystkie te nowe urządzenia, podobnie jak urządzenia elektryczne w sklepie, wymagały położenia nowych przewodów.

Aby uciec przed remontem Olla pojechała do Hamburga, odwiedzić swoją siostrę Emmę. Tutaj przekonali ją, żeby poszła na zebranie partyjne prowadzone w Hali Hanzeatyckiej przez Josepha Goebbelsa. Było to jej pierwsze i ostatnie spotkanie tego typu, bo omal nie została uduszona. (...)

Albert w jednej z piwnic na Richtstraße kazał zainstalować drewniane kadzie. Zbierał się w nich zużyty wywoływacz i utrwalacze. Materiał fotograficzny zawierał cząsteczki srebra. Opadały one na dno, więc kiedy wylało się płyn z góry, na samym dnie pozostawało coś w rodzaju ciemnego mułu. Po osuszeniu wysyłano go w opakowaniach po marmoladzie do Breslau (Wrocław) lub Bremen (Brema), do zakładów zajmujących się odzyskiwaniem srebra. Wracało stamtąd srebro o próbie 900. Wyglądało jak ołów lany na Sylwestra, dziwne kawałki. Zabierała je Olla i wypełniała nimi słoiki po cukierkach, te zaś wkładała do sejfu. Przez lata zebrano się tego kilka kilogramów. Złotnik Ernst Schmelter z Wollstraße (ul. Pocztowa) produkował z tego prezenty na wesela i inne okazje rodzinne – biżuterię, talerze czy tace. Olla uwielbiała filigrany, dziewczęta oczywiście mniej, narzekały na konieczność ciągłego ich polerowania i bały się niezadowolenia Olli, jeśli zdarzyło się, że niedokładnie usunęły środki czystości spomiędzy srebrnych ornamentów. Dla nich kolekcja srebrnych ozdób Olli, jej codziennych i odświętnych sztućców – oczywiście z czystego srebra – była prawdziwym utrapieniem. Schmelter stał się z kolei kimś w rodzaju dostawcy dworskiego, nie tylko wyrobów ze srebra. Również Albert musiał od czasu do czasu oddać jedną czy dwie złote monety ze swojej kolekcji, ponieważ złota nie było już w wolnej sprzedaży. Od dawna rynek ten był regulowany przez rząd, podobnie jak rynek walut. Schmelter produkował z tego złotą biżuterię, na przykład zestaw pierścionka, broszy i naszyjnika z wielkim akwamarynem. Kamienie te, czasem nawet brylanty, sprowadzane były za pośrednictwem rodziny Vaatz z Wormsfelder Mühle (Kłonia k. Wojcieszyc). Przywoził je brat Erny Vaatz, który był właścicielem kopalni srebra w Kolumbii i na wezwanie Führera, by wracać do Niemiec z powodu zagrożenia wojną, znalazł się w Rzeszy, jak wielu jemu podobnych; i tak jak inni gorzko tego później żałował. Kiedy Vaatz przyjeżdżał do Landsbergu, nie zatrzymywał się jednak u swojej niezamężnej siostry i rodziny w Mühle, ani nawet w żadnym z landsberskich hoteli, które uważał za zbyt mało luksusowe. Wołał wracać swoim wielkim mercedesem całe 160 km z powrotem do Berlina.

Wielka Brytania i Francja 3 września 1939 r. wypowiedziały Niemcom wojnę (...).

Rodzina informację o pierwszym rannym przyjęła jeszcze, jakby była mowa o wypadku. Silvio Neugebauer, kuzyn Olli, został trafiony zaraz pierwszego dnia inwazji na Polskę. Opowiadano później, że Hitler osobiście przybył do niego do lazaretu w Groß Born i uściśnął mu rękę. Zostawił mu też identyfikator dla rannych. Silvio był nieprzytomny, niczego nie zauważył. Prawie wszyscy mu zazdrościli. Słyszałeś, mówiono, Führer uściśnął mu dłoń!

Alberta na razie oszczędzono. Interes szedł doskonale. W 1940 r. IG-Farben zbudowała fabrykę w Landsbergu, na Friedeberger Chaussee (ul. Walczaka). Oznaczało to pojawienie się nowych klientów, nawet jeśli często sami znali się na technice fotograficznej.

Producenci materiału fotograficznego zalecali Albertowi, by zrobił zapasy. Od zaraz mieli się przestawić na produkcję wojenną, dalsze dostawy były niepewne. Chyba że na Zachodzie dojdzie do ugody, albo że dojdzie do błyskawicznego zwycięstwa. W styczniu 1941 r. Albert musiał pojechać na pobór do Meseritz, skąd wrócił ze skórzaną kurtką, spodniami, płaszczem, opaską na szyję, czapką, pasem, wieszakiem na ubrania i standardowym mydłem. Miał być gotowy jako rezerwista. Do książeczki wojskowej wpisano mu stopień strzelca. Jakiś czas później został wysłany do Berlina, żeby przyjąć szczepionki przeciwko cholercie i tyfusowi, a także żeby odebrać stalowy hełm i wojskowe prawo jazdy, jednak najpierw znalazł się na dwa miesiące w lazarecie dla rezerwy im. Hindenburga, w celu wyleczenia chronicznego nieżytu żołądka. Za ten czas wyłacono mu 60 marek żołdu, po czym wrócił do domu na urlop zdrowotny trwający do 2 maja 1941 r. Potem miał być znów gotowy do wyjazdu. Ponieważ nosił okulary, został przydzielony do oddziału zaopatrzeniowego. Nie było wyboru, sklepem z siedmioma laborantkami musiała zająć się Olla. Albert snuł plany budowy willi na Kladowstraße. Architekt Willy Senckpiehl, jednocześnie wieloletni architekt miejski, dostał już zlecenie na pierwsze rysunki. Pomieszczenia mieszkalne na Richtstraße miały zostać włączone do sklepu. Przewidziano w nich pokoje wystawiennicze. Teraz jednak plany trzeba było odłożyć.

22 czerwca 1941 r. Hitler dał rozkaz ataku na Rosję.

Nie tylko Olla i Albert byli przerażeni. Wojna przeciwko Rosji? Szczególnie Olla знаła ten kraj, jego nieskończone przestrzenie, małe wymagania jego ludności, niezależnie od narodowości, gotowość przyjmowania świata takim, jakim jest, wręcz fatalizm, a także warunki naturalne i klimatyczne. Nie pomogą tu nawet sojusznicy, uczestniczący teraz w wojnie Włosi, Rumuni, Węgrzy, Słowacy i Finowie. Oczywiście szaleństwo, walka na dwa fronty, jak w pierwszej wojnie. (...)

Rodzina coraz więcej czasu spędzała na Kladowstraße. (...) Trwały zażarte dyskusje.

Neutralne dotychczas stanowisko Alberta i Olli wobec narodowych socjalistów zamieniło się w całkowity sprzeciw. Domniemane choroby wieku dziecięcego partii, które pojawiły się tuż po przejściu przez nią władzy, można było teraz, po ośmiu latach, uznać za nieuleczalne. Wszyscy krewni ze Wschodu potwierdzali, że spodziewają się najgorszego. Wielu przyjaciół rodziny brało udział w pierwszej wojnie na froncie wschodnim (...). Rwali sobie włosy z głowy. Cała krytyka omijała jednak w dużym stopniu samego Hitlera. Skarżono się na generalicję, jego wasali, jego wątpliwej jakości doradców, karierowiczów, najwyższe warstwy władz w Berlinie. Wciąż jeszcze słuchano przemówień Hitlera w radiu, czasem także tych Goebbelsa. (...)

Późnym latem 1941 r., które Olla spędziła jeszcze z dziećmi w Heringsdorfie, Hartmut poszedł do szkoły. Była to szkoła podstawowa przy Zechowerstraße. Jego brat Ulrich mocno go wystraszył. Nauczysz się porządku. Miejmy nadzieję, że twoim wychowawcą będzie pan Preuß, on bije, po tyłku i rękach. Radzę ci, żebyście zawsze mieli czystą tablicę, ostre ołówki i wilgotną gąbkę.

Albert był na ćwiczeniach wojskowych. Nie można było odmówić. Również Olla z jakichś powodów nie mogła być pierwszego dnia w szkole. Tak więc to właśnie Ulrich poprowadził brata. Niewiele się wydarzyło, pierwszoklasistom przydzielono klasy i miejsca w tym prastarym budynku. Było kilka przemówień, których Hartmut ze zdenerwowania nie zrozumiał, co zachęciło jego brata do kolejnych złośliwości. Jednak prawdziwe przerażenie pojawiło się, gdy stało się jasne, że wychowawcą Hartmuta rzeczywiście będzie pan Preuß, starszy, niski, nieco grubawy. Tyle w każdym razie Hartmut rozumiał. Padło pytanie, czy ktoś już umie czytać i pisać, albo chociaż jedno z dwojga? Hartmut zgłosił się, Ulrich nie był w stanie temu zapobiec. Powiedział, że umie pisać wszystkie cyfry i kilka słów (...) oraz (...) przeczytać całą historię o zającu i jeżu. (...) Ulrich trzepnął go mocno. Wcale nie umiesz jej czytać, tylko znasz ją na pamięć. W tym momencie żaden z nich jednak nie dosłyszał, że Preuß pyta Hartmuta o nazwisko, żeby zaznaczyć go sobie na liście. Hartmut, zirytowany zarzutami brata, i zbity z tropu jego kuksańcami, odpowiedział „Hase”, „Zajac”. Nauczyciel nie znalazł takiego nazwiska, spojrzał więc na Hartmuta znad okularów i zapytał o imię. Hartmut pogubił się zupełnie, bo przecież to było jego imię – w zależności od humoru, atmosfery czy sytuacji nazywany był „Zającem”, „Zajączkiem”, czasem nawet „Hardi”, ale nigdy Hartmutem. (...) Za Zajączka odpowiedział Ulrich. „Mój brat nazywa się Hartmut Meyer”. „Acha”, odpowiedział Preuß, „dlaczego nie od razu tak”, i odhaczył nazwisko. „Pójdiesz do klasy 1b”. Po drodze do domu Ulrich naśmiewał się z młodszego brata. „Zajac”, co za bzdura. Całe szczęście, że Preuß mnie nie poznał. Spaliłbym się ze wstydu, że mam takiego głupiego brata; zresztą ja poszedłem wtedy do 1a. Do „b” chodzą tylko głupi. (...)

No cóż, Hartmut rzeczywiście niezbyt umiał czytać, ale trochę już pisał, bo przecież jego ciocia Trude, siostra Alberta, która była nauczycielką, podczas wizyty w Putzig (Puck) zabrała go ze sobą do klasy. Tam, jako czterolatek, ćwiczył z sześciolatkami i stawiał litery na pożyczonej tabliczce. Ciocia Trude miała asystentkę, która zaglądała Hartmutowi przez ramię, jak trudził się z jedynekami, pisząc je nie, jak było normalnie, w postaci krótkiej kreseczki w górę, a potem długiej w dół, tylko odwrotnie, cały czas z dołu do góry. Tak się przecież nie pisze jedynek, tak piszą tylko Żydzi. Trzeba pisać odwrotnie, z góry do dołu. Hartmut z całą pewnością nie chciał być Żydem. Tej historii nigdy zaś nie zapomniał. Dopiero później zrozumiał, że ta asystentka też wcale nie była najmądrzejsza. Ponieważ tak, jak on pisał, Żydzi wcale nie pisali, nawet Arabowie tak nie pisali, po prostu nikt tak nie pisał.

W listopadzie 1941 r. Albert został wcielony, pojechał na krótkie szkolenie do Groß Born i ostatecznie wylądował na Ukrainie, w samym środku zimy, prawie tam, gdzie urodziła się Olla. Front był już daleko. Zaopatrzenie nie było w stanie za nim nadążyć.

(...)

Od 6 do 27 stycznia 1942 r. Albert przebywał na urlopie wypoczynkowym. Można było załatwić również sprawy związane z firmą. (...)

W kilka dni później cała rodzina pojechała pociągiem do Schneidemühl (Piła), nie samochodem, bo benzyna była już tylko na kartki. Albert chciał odwiedzić swoją matkę, pożegnać się z nią. W końcu nigdy nic nie wiadomo. Potem chciał jeszcze samemu odwiedzić swoją siostrę Gertrudę w Putzig, a stamtąd przyłączyć się bezpośrednio do swojej jednostki w drodze na front wschodni. Ollę wraz z dziećmi umieścił w pociągu pospiesznym do Landsbergu. W pierwszej klasie! Olla pomstowała. Zawsze jeździmy trzecią klasą, a nawet jeśli z wygodami, to wystarczyłaby druga. Albert odparł: „kto wie, kto wie, może to już ostatni raz”. W pierwszej klasie siedzenia wyściełane były pluszem, a ściany wypolerowanym drewnem mahoniovym. Na podgłówkach znajdowały się białe, wymienne obicia. Dzieci były pod wielkim wrażeniem. (...)

Gdy przyjechali na Richtstraße, czekała na nich przesyłka ekspresowa, że Albert ma się zameldować w jednostce o cztery dni wcześniej. Wizytę w Putzig trzeba było odwołać. To wezwanie źle świadczyło o sytuacji na froncie. Albert był bardzo zdeprimowany. (...)

W październiku 1942 r. Albert dostał jeszcze jeden urlop, tym razem tylko na cztery dni. Generał Paulus utknął ze swoją 4. Armią pod Stalingradem. Sytuacja była krytyczna.

(...)

Boże Narodzenie 1942 r. rodzina znów świętowała bez Alberta. Ulrich dostał w prezencie klocki, dodatek do już posiadanych. Nie można było już ich nigdzie dostać. Dla Hartmuta stary pan Zuhlsdorf, ojciec Anni, zbudował wielki na metr diabelski młyn, wzorowany na tym z Wiener Prater. Miał pięknie wycięte gondole i można go było uruchamiać przy pomocy korbki i pasa napędowego. Całe to urządzenie posiadało niskonapięciowe oświetlenie. Prawdziwe dzieło sztuki, ale do pokazywania, nie do zabawy. (...)

W Landsbergu były jeszcze trzy kina, ale grano coraz mniej filmów dla dzieci. Miejsca były zarezerwowane przede wszystkim dla żołnierzy, trzeba było stać w kolejce i dostawało się bilet tylko, jak się miało szczęście.

Po długim staniu Hartmut wrócił dumny z biletem na miejsce w pierwszym rzędzie na film „Pat und Paterchon”, a Ulrich go wyśmiał. Pierwszy rząd? Tylko tobie można coś takiego sprzedać. Zawsze mówiłem, że pierwszy będziesz tańczył na głupich weselu. Hartmut po filmie nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Było fajnie, wszystko może trochę za wysoko, ale nikt przed nim nie siedział. (...)

Oferta dla dzieci była coraz mniejsza. Co najwyżej otwierano dla nich bramy koszar z okazji „Dnia Wehrmachtu”. Żołnierze grali na instrumentach, pokazywano filmy do tyłu, czarodziejskie sztuczki. Można było obejrzeć pojazdy bojowe. Częstoowano ciastem. Było to psychologiczne przygotowanie do „żołnierki”. Z pięknej, nowoczesnej pływalni krytej, 25 na 12 m, dzieci mogły korzystać tylko o określonych godzinach. Podobnie jak kina, była zarezerwowana przede wszystkim dla żołnierzy. To samo dotyczyło nawet kąpieliska na Heinersdorfer See (Jeziorek Błotny). Dzieciom pozostawała więc tylko Warta, niebezpieczna z powodu tworzących się tu prądów i wirów, nawet jeśli przy niskim stanie wód dawało się przepłynąć na drugi brzeg.

(...)

Ulrich i Hartmut cieszyli się zawsze, kiedy przyjeżdżała ciocia Trude. Nazywali ją „Ciocia-Ojej”. Zdawało się, że łatwo się męczy. Bardzo często wciągała głęboko powietrze i mówiąc „ojej” opadała z jękiem na jeden z foteli. Z tej pozycji dobrze radziła sobie z dziećmi. (...) Poza tym była jedyną osobą z bliższej rodziny, która leciała już kiedyś samolotem, mianowicie do Monachium i z powrotem. Historię tę musiała opowiadać wciąż od nowa. Zwykle znano przecież tylko JU 52, a i te jedynie od spodu, ma się rozumieć. Jednak ciocia Trude miała też jedną wadę. Po pierwsze była nauczycielką, a po drugie, co gorsza, lubiła ucinąć sobie popołudniową drzemkę. Ponieważ chciała mieć przy tym spokój, jak wszyscy nauczyciele, albo przynajmniej większość, obie swoje córki, a przy okazji także Ulricha i Hartmuta, wsadzała po prostu do łóżka. Chłopcy zupełnie nie byli do tego przyzwyczajeni. Ta wymuszona przerwa zdawała się trwać wiecznie, bo żaden nie był w stanie zasnąć.

Lubiany był także wujek Karol, którego z powodu wojny niemal nie można było spotkać w Putzig, ani tym bardziej powitać w Landsbergu. Był lubiany nie tak bardzo za swoje powiedzonka, jak za swoją hojność. No, chłopaki, co powiecie na mały wyścig? A potem rzucał srebrną pięciomarkówkę przez przedpokój do pokojów, a chłopaki pędzili za nią na złamanie karku, znajdując ją najczęściej pod jakąś szafą albo fotelem. Potem próbowali od razu zamienić swoje pięciomarkówki na jakieś smakołyki. A więc przede wszystkim szli na kurczaki na Wollstraße (...). Jeśli nic już tam nie było, albo tylko na kartki, próbowali szczęścia u Witthuhna, czyli hurtownika słodczy na Luisenstraße. Walter Witthuhn miał dla obu lizaki jeszcze z czasów pokoju. W najgorszym razie można było iść jeszcze do Schywinskiego, handlarza zabawek.

Również szkolne przyjaciółki Olli znad Bałtyku okazywały się bardzo hojne podczas wizyt. Przywoziły baki i inne blaszane zabawki, żołnierzyki, w tym ulubione, te z ruchomymi stawami, które potrafiły pozdrawiać lub prezentować broń. (...)

Spośród wszystkich tych niemal niezliczonych przyszywanych cioc najukochańszą była Alma. Była bardzo ruchliwa, opowiadała żywo i głośno, z okrągłym bałtyckim akcentem. (...)

W grudniu 1942 r. sytuacja na froncie wschodnim zaczęła być krytyczna. Zarysowywała się klęska stalingradzka. Albert podczas poprzedniego urlopu, w październiku, pokazał Olli, jak złapać nocą BBC i inne zagraniczne rozgłośnie, które zresztą wciąż zmieniały częstotliwość nadawania, żeby zmylić niemieckie zagłuszacze. (...) Słuchanie radiostacji wroga było ciężkim przestępstwem, karany więzieniem, a niekiedy nawet śmiercią. Był to jednak także jedyny sposób uzyskania jakiegoś bardziej realistycznego obrazu sytuacji na froncie: trzeba było porównywać zasłyszane tam informacje z raportami Wehrmachtu i za prawdę przyjmować to, co było nią w połowie. Dzieciom nie wolno było wiedzieć o nocnym odsłuchiwaniu radia, oczywiście także służącym. Jednak nie było niemal szans, by sprawę zachować przed nimi w tajemnicy. Głośność nadawania zmieniała się

niemal ciągle, tak że dzieci często budziły się słysząc około północy powitalne „bum-bum” BBC. W końcu obaj zrozumieli, o co chodzi.

Ze względu na zagrożenie alarmem lotniczym obaj chłopcy spali razem z Ollą w sypialni na pierwszym piętrze. Kiedy była potrzeba, mogła szybciej obudzić obydwu, pobiec z nimi do piwnicy, tam nastawić radiostację i słuchać, skąd nadlatują wrogie jednostki.

Na początku lutego 1943 r. niemieckie radio poinformowało chyba o katastrofie stalingradzkiej. Był to szok dla wszystkich, bez względu na ich polityczne nastawienie. Z nadajnika w Königswusterhausen płynęła muzyka żałobna, przerywana groźbami zemsty jakichś ważnych narodowych socjalistów – teraz dopiero wam pokażemy! 18 lutego 1943 r. Goebbels wygłosił mowę w berlińskim Pałacu Sportu, który mógł pomieścić 20 tys. ludzi, a zakończył ją pytaniem: „Chcecie wojny totalnej? Chcecie jej, jeśli potrzeba, jeszcze bardziej totalnej i radykalnej, niż potrafimy ją sobie w ogóle wyobrazić?” Wszyscy chcieli, a przynajmniej ci, którzy nie chcieli, nie śmieli też przyznać się do tego.

Olla przyjechała tego dnia z Münchebergu, właściwie chciała jechać do szpitala do Berlina. Hartmut musiał być operowany, trzeba było usunąć mu czerwoną narośl pomiędzy oczu, tuż nad nosem. Landsberski laryngolog nie odważył się na zabieg. Nie wiedział, co to jest. Podczas podróży do Berlina zatrzymali się na chwilę u kuzyna Olli, Bertholda i jego żony Rosy w Münchebergu, którzy mieli tu na rynku sklep spożywczy. Oboje przekonali Ollę, żeby zamiast jechać do Berlina zleciła operację w nowej, bardzo nowoczesnej klinice w Münchebergu. W Berlinie mogła trafić co najwyżej na atak bombowy, a tamtejszy szpital i tak nie był lepszy. Poza tym spali w pustym mieszkaniu Rudiego, brata Alberta, który był na froncie, Hartmut jak zwykle na zestawionych fotelach. Bardzo mu się to podobało. Liczył na zachowane sprzed wojny cukierki i czekoladę w sklepie kuzyna Bertholda. Czerwona plama została wypalona w Münchebergu. Hartmut chętnie opowiadał o tym przeżyciu kolegom z klasy: „naprawdę, wypalona, elektrodami, mówię wam”. Takich doświadczeń na śmierć i życie nie miał jeszcze żaden z jego przyjaciół.

Po Stalingradzie została proklamowana „wojna totalna”. Potoczyły się nowe groźby. Zaangażowano wszystkie siły materialne, duchowe, wojskowe i gospodarcze. Służbę wojskową odbywało się odtąd nie tylko na froncie, ale wszędzie, w każdej fabryce, w każdym miejscu pracy. Podstawowe zasady prawa wojennego zostały zawieszane, ograniczenia prawa międzynarodowego odrzucone. Przeciwnik stał się wrogiem absolutnym. Zatarło różnice między żołnierzami a cywilami. Również kobiety i dzieci przestały korzystać ze szczególnej ochrony. Konwencje haskie od dawna były już tylko świstkiem papieru, choćby ze względu na alianckie bombardowania.

W tej sytuacji zaczęła się akcja zamykania sklepów. Rozwiązywano teatry, o ile akurat nie miały służyć żołnierzom, kurorty zamknięto dla cywilów. Wszyscy mężczyźni, uznawani dotychczas za niezdolnych do noszenia broni, zostali jeszcze raz przebadani i część z nich skierowano na front. Również landsberski Teatr Miejski miał zawiesić normalne funkcjonowanie. Aktorzy zostali zaciągnięci.

Landsberski cyrk Brumbach przejął salę teatralną i dawał na scenie przedstawienia ze zwierzętami. (...) W przypadku sklepów niemających znaczenia wojennego, takich jak futrzarskie, jubilerskie, małe zakłady rzemieślnicze, restauracje, zostały pozamykane tzw. dublety, oferujące ten sam towar w tej samej okolicy, a zatem niepotrzebnie ze sobą konkurujące. Pozostać otwarte miały tylko pojedyncze.

Również Photo-Meyer otrzymał zarządzenie z Frankfurtu nad Odrą, że ma zamknąć podwoje w ciągu siedmiu dni, przeprowadzić inwentaryzację i bilans końcowy. Personel miał zostać oddany do dyspozycji Niemieckiego Frontu Pracy, a nawet pomoc domowa ma być gotowa do pracy w przemyśle zbrojeniowym.

Olla poszła na barykady. Uruchomiła wszystkie znajomości, w urzędzie miasta, w okręgu, w partii, w koszarach. Oczywiście, że interes praktycznie już zamarł. Nie produkowano aparatów, projektorów, nie było już niemal filmów na cele prywatne. Olla musiała przestawić sklep na cele usługowe, czego Albert właściwie nigdy nie chciał. W administracji argumentowała, że właśnie Photo-Meyer ma ogromne znaczenie dla moralności żołnierzy, którzy do ostatecznego zwycięstwa z rzadka już tylko będą dostawać urlopy, a zatem trzeba ich wzmocnić poprzez wizualny kontakt z rodziną, z ziemią rodzinną, z żoną walczącą na zapleczu, z dziećmi wychowującymi się bez ojca. Z psychologicznego punktu widzenia byłoby całkowicie nieodpowiedzialne odbierać walczącym ostatni kontakt wzrokowy. Zarządzenie musi zostać cofnięte! Olla uruchomiła koszary, pomógł Hans Dowidat, także nadburmistrz, dr Jahnke pisał do Frankfurtu. Koszary obiecały, że będą całymi kompaniami wysyłać żołnierzy do Photo-Meyer, żeby robili sobie tutaj zdjęcia do książeczek wojskowych, co z kolei miało odciążyć administrację koszarową.

Po 14 dniach Photo-Meyer znów został otwarty. (...) Olli udało się doprowadzić nawet do tego, że cały personel wrócił z IG-Farben, gdzie jako wysoko wykwalifikowany został przydzielony do prac technicznych. W domu Olla musiała jednak od tej pory radzić sobie z tylko jedną służącą, a nawet i ona została przyznana tylko dzięki witaminie Z (znajomościom). Była to Greta pochodząca z jednej z podlandsberskich wiosek. (...)

Dziewczęta w sklepie nie ukrywały radości, kiedy całymi kompaniami zaczęli pojawiać się żołnierze, którym w przemeblowanym biurze wykonywano odpowiednie zdjęcia. Olla uważała jak cerber, żeby dziewczęta czyniły to bez zwłoki i nie żartowały sobie z żołnierzami, czy wręcz się z nimi umawiały. Jak mawiano wtedy: „dla ostatecznego zwycięstwa – wszystko”. (...)

Wszędzie trzeba było oszczędzać prąd. (...)

Dzięki dobrym kontaktom z firmą Mimosa w Posen (Poznań), starym dostawcą papieru fotograficznego, Olla otrzymała ofertę zakupu większej liczby papieru pod widokówki. Na papierze tym, na rewersie, były już wydrukowane miejsca na wpisanie adresu. Olla kupiła, ile mogła. W wojnie totalnej nie było już kartek pocztowych. Olla, miłośniczka kwiatów, zaczęła sama fotografować martwe natury z kwiatami z własnego ogrodu. (...) Kartki te sprzedawała po 20 fenigów za

sztukę, nie, właściwie były jej wyrwane z rąk. Niestety, ze względu na regulacje i ustawę o walce ze spekulacją, nie można było podnieść ceny.

Na Wielkanoc 1943 r. odbyła się konfirmacja Ulricha. Olla przygotowała uroczystość prawie jak za czasów pokoju. Bardzo pomocne okazały się tu kontakty na Wschodzie, a także przyjaciele i klienci z podlądskimi wiosek. Wciąż jeszcze znajdowały się kanały, przez które można było sprowadzić kakao i niepaloną kawę. W tym uroczystym dniu upieczono 13 tortów, a nie brakowało także i porządnej kielbasy, szynki i pieczeni. Smutne było jedynie to, że u boku konfirmanta nie mógł stać jego ojciec. Ulrich otrzymał wiele prezentów finansowych, jednak niewiele mógł za nie kupić. Jubiler Bartsch podarował mu zegarek na rękę Junghans, jeszcze z przedwojennych zapasów. Jednak prezentem o największej wartości, jak na czwarty rok wojny, była wielka, profesjonalna skrzynka z narzędziami, które gdzieś udało się znaleźć Brandtom. Było tam wszystko, czego mógł potrzebować wykształcony stolarz. Spełniło się wielkie marzenie Ulricha. W części poddasza urządził sobie warsztat stolarski. Majsterkował tu ze swoimi przyjaciółmi Eberhardem Stephanim i Dieterem Schlechtem, budował domki dla lalek i wszelkie możliwe szafki, drewniane kolejki, szkatułki – wszystko to wymieniał na inne rzeczy. Olla musiała zacząć sprowadzać drewno z tartaku Bendix i gwoździe i śrubki ze sklepu żelaznego Bergemann, a także silnik elektryczny, szlifarkę i wiertarkę. Właściciele firm pomagali sobie wzajemnie w tych mrocznych czasach. Każdy miał coś, co mogło przydać się komuś innemu. (...)

Olla, która uwielbiała robić prezenty o trwałej wartości, nie ciesząc się zresztą zrozumieniem u dzieci, korzystając z pośrednictwa złotnika Schmeltera zamieniła surowe srebro na zestaw sztuców – i dała je Ulrichowi w prezencie konfirmacyjnym. Jako wyprawkę, jak się wyraziła. Ulrich w ogóle nie był zachwycony. Co niby miałyby zrobić z tymi widelcami do ryb i nożami do serów. Goście jednak bardzo mu zazdrościli, takie piękne, mówili, twoja przyszła żona z pewnością będzie umiała to docenić. Ale takie słowa bynajmniej nie pocieszały Ulricha! Skrzynka ze sztucami szybko zniknęła w piwnicy.

Na konfirmację Ulricha akurat były gotowe olejne portrety jego i jego brata. Monachijski portrecista nazwiskiem Müller, inwalida wojenny w stopniu majora, odbywał służbę jako wychowawca w koszarach im. generała Strantza. Olla знаła go ze sklepu. Nie jest całkiem jasne, kto kogo namówił na wykonanie olejnych portretów. W każdym razie ów major Müller namalował obu chłopców. Kiedy już skończył przygotowania na podstawie fotografii, otrzymał pęk włosów swoich modeli oraz ustalił wielkość przyszłych obrazów, obaj chłopcy musieli mu pozować. Ulrich był bardzo niezadowolony. Zwracał uwagę, że jego portret ma tylko 40 na 60 cm i przedstawia wyłącznie popiersie, podczas gdy jego brat, oczywiście i jak zwykle, ma dostać portret całej postaci, i to 65 na 100 cm! W dniu konfirmacji portret Ulricha został uroczysto odsłonięty i powieszony w dużym pokoju. Zgodnie z ówczesnymi zasadami politycznej poprawności tuż pod nim znalazło się popiersie Hitlera! Wizerunek Hartmuta można było podziwiać w jadalni.

Kiedy Albert w maju 1943 r. przyjechał na urlop, Olla opowiedziała mu, co ciekawego działo się w rodzinie i interesie od czasu jego ostatniego pobytu, a czego nie można było powierzyć poczcie polowej. Był bardzo dumny ze swojej żony, że potrafiła wszystko zorganizować w czasie, kiedy nie mógł jej wspierać. Był przygnębiony ogólną sytuacją polityczną i rozwojem sytuacji wojennej i upierał się, żeby jeszcze raz przejrzeć testament pozostawiony u notariusza Ernsta Dannhoffa na Richtstraße.

(...)

Na zlecenie Olli w ogrodzie przekopany został spory fragment trawnika między huśtawką a kamienną grotą. Zrobił to Józef, polski robotnik, który pracował w warsztacie u Brandtów, i dostał za to tytoń i trochę ubrań. Tutaj zaczęliśmy uprawiać warzywa, żeby uzupełnić racjonowaną żywność. Od czasu Stalingradu racje żywnościowe dla ludności były coraz mniejsze. Ogród, w którym rosły teraz owoce i warzywa, (...) okazał się świetnym dostarczycielem żywności.

Ulrich, Hartmut i Erna, która zdążyła już wyjść za mąż, znów spędzili wakacje w Misdroy (Międzyzdroje). Olla mogła spokojnie pracować, dom stał pusty. Musiała cały czas walczyć o to, by nie odebrano jej pracowników, pilnie potrzebnych w przemyśle. Erna zapowiedziała, że przywiezie od rodziców z Jahnsfelde (Janczewo) kozie masło i ser. Obaj chłopcy zareagowali krzykiem. Nie, tylko nie kozie! Kozy śmierdzą, ich mleko śmierdzi, masło śmierdzi, wszystko śmierdzi kozami. A przede wszystkim sama obora, dodał Hartmut. Wszystko śmierdzi kozłami. Hartmut dobrze znał kozie obory. Na zaproszenie Erny był na jej weselu w Jahnsfelde.

(...)

Zaraz po wakacjach Ulrich musiał iść do Hitlerjugend. Właściwie powinien był już wcześniej, na urodziny Hitlera, 20 kwietnia. Tutaj nie był już w stanie tak się migać od służby, jak to robił w zuchach. Próbował jednak wagarować, korzystał ze wszelkich możliwych usprawiedliwień. A to musiał zanieść buty do szewca, a to robić zdjęcia żołnierzom z jednostek wezwanych nagle na front, innym razem miał bóle brzucha, złamały mu się okulary itp. Sam pisał usprawiedliwienia. Musisz tylko tu podpisać, mówił do matki. Ta zaś podpisywała, ale w zamian kazała mu zagrabić ogród, ale porządnie, tak żeby powstały bruzdy. (...)

Kiedy zastępowi albo drużynowi stwierdzali, że coś tu nie gra, przychodzili do domu, żeby zabrać Ulricha na służbę, albo przynajmniej sprawdzić, czy naprawdę ma gorączkę.

Wtedy do akcji wkraczała zażywna Greta. (...) Zaczynała im grozić szczotką albo przynajmniej wałkiem. Chłopcy, którzy odgrywali odważnych, szybko znikali ze słowami: „Heil Hitler”.

Tym niemniej Olla także „wykorzystywała” chłopców z HJ. Wciąż, z każdej możliwej okazji, wymagano wywieszania flag. U nas „specjalnie” o tym zapominaliśmy. Chłopcy z Hitlerjugend mieli obowiązek przypominać „delikwentom” o tej konieczności. Robili to w zasadzie dość bezczelnie. Olla odpowiadała

z taką samą bezczelnością mówiąc, że w domu nie ma mężczyzn, którzy mogliby to zrobić, bo wszyscy są na froncie. Nikt z obecnych nie ma dość sił, żeby przynieść ciężką flagę i wywiesić ją na fasadzie od strony Richtstraße. Więc już, chłopcy, do roboty, bo poskarżę się waszemu drużynowemu. Oczywiście okazywali wielkie niezadowolenie, ale robili to. Olla nalegała, żeby przynajmniej jeden z nich stał na ulicy i ostrzegał przechodniów, aby żaden „rodak” nie stracił zdrowia, jeśli któremuś z towarzyszy flaga wypadłaby z rąk. Przecież jest silny wiatr! Oczywiście po zakończeniu uroczystości nikt nie pojawił się, by zdjąć flagę.

Obaj chłopcy napastowali Ollę, że chcą mieć psa, że będą o niego dbać, z całą pewnością, słowo honoru, że będą go wyprowadzać, najlepiej żeby to był jamnik. Greta też nie musi się o nic obawiać. Olla dała się namówić. Pewnie z powodu wyrzutów sumienia, że nie ma czasu się nimi zajmować. W landsberskiej gazecie codziennej znalazło się ogłoszenie. Pewna rodzina z uznawanego za „zarażony komunizmem” Sonnenplatz (Plac Słoneczny) chciała oddać swego dwuletniego krótkowłosego jamnika Paszę, czarnego z białymi plamami, z powodu przyjęcia na świat dziecka. Pasza był kochanym psem, który nikomu nie robił krzywdy i cieszył się niezmiernie z każdej wizyty. Kiedy jednak szło się z nim na spacer, atakował wszystkie inne psy, nieważne, wielkie czy małe. Jednak tylko wtedy, gdy siedł z nim ktoś z rodziny, w przeciwnym razie obchodził innych przedstawicieli swego gatunku wielkim łukiem. Ponieważ chłopcy szybko stracili chęć wychodzenia z nim na spacer, zaczęli od czasu do czasu wypuszczać go samopas. Jednak któregoś wieczoru na Richtstraße przejechał go autobus. Przechodnie przynieśli psa ze złamaną tylną nogą. Adres znaleźli na obroży. Weterynarz radził, żeby go uspić, bo nie da się go już uratować. Krzyk dzieci: nie, będziemy o niego dbać, nawet jeśli miałby potem kuleć. No dobrze, odpowiedział weterynarz, jeśli zaczniesz znowu szczeekać, to znaczy, że dalej będzie z górki. Pies nie szczeekał całymi tygodniami, aż wreszcie któregoś dnia zaszczekał. Hartmut pobiegł przez przepelniony sklep krzycząc: „Pasza zaszczekał, Pasza zaszczekał!”. Pies wyzdrowiał, nawet nie kulał.

Olli udawało się odrzucać wszystkie nakazy przyjęcia ewakuowanych i zagrożonych bombardowaniami mieszkańców większych miast. Również i tu pomocne okazały się jej znajomości.

(...)

Skutki wojny totalnej coraz bardziej dawały się we znaki ludności cywilnej. Racje żywnościowe malały. Oczywiście, nikt nie głodował. Od czasu do czasu były też specjalne racje z jakichś zapasów. Rodzina Olli nie miała trudności tego rodzaju, w każdym razie ze zdobyciem podstawowych produktów. Mieli przecież dużo znajomych i krewnych. Brakowało rzeczy nadzwyczajnych. Natomiast coraz gorzej było z przydziałami koksu. Problemy zaczęły się w 1943 r., tak że niekiedy trzeba było wręcz wyłączać ogrzewanie w niektórych pokojach. (...)

Pod koniec 1943 r. urząd skarbowy zapowiedział się na kontrolę. Olla była oburzona, teraz w czasie wojny totalnej! Wszyscy mężczyźni są na froncie,

walczą o ostateczne zwycięstwo. Każda kobieta wspomaga ich na swoim froncie pracy! Może doczekamy najpierw ostatecznego zwycięstwa, mąż jest na froncie, kontroler też powinien tam się udać. Nic nie pomogło. Przysłali inwalidę wojennego. Olla postanowiła się zemścić, niech no tylko się pojawi. Pojawił się. Biuro było wykorzystywane na studio fotograficzne, więc umieściła go w specjalnie przygotowanym kącie, zaraz koło kasy. Wezwała cały personel. Wyjaśniła sytuację. W ciągu najbliższych dni, może nawet tygodni, mieli ubierać się ciepło. Ona zadba o ciepłe napoje, jest tort jak sprzed wojny, i dostaną specjalne dodatki.

Następnie Olla niemal całkiem wyłączyła ogrzewanie. Kontroler skarżył się: Ależ tu u pani zimno. Tak, tak, mamy wojnę totalną, wie pan, brakuje węgla, zresztą komu ja to mówię. Kolej potrzebuje węgla o wiele bardziej niż my. Przecież na każdej lokomotywie stoi wielkimi literami: „Te koła kręcą się dla zwycięstwa”. A wiadomo, że mogą się kręcić tylko od węgla. No tak, dopytywał się kontroler zacierając z zimna ręce, ale pani ludzie, czy oni nie marzną? Nie, brzmiała krótka odpowiedź, praca ich rozgrzewa. Biedny człowieczek, który dla Führera i narodu stracił nogę i został ranny w oko, wytrzymał tylko kilka dni. Olla musiała zapłacić 6 tys. marek domiaru. Kontroler odszedł ze słowami, że „jest pewien, iż nikt w Landsbergu nie domyśla się, jakie tu jest bogactwo”, co bardzo zdenerwowało Ollę. Krótco potem wszystko się powtórzyło. Tym razem przyszło Gestapo. Ci panowie jednak bynajmniej się nie zapowiedzieli. Po prostu się pojawili. Mieli skontrolować dokumentację firmy i przebieg pracy. Było to trzech panów, z których jeden pokazał legitymację z Frankfurtu nad Odrą, ale zaraz potem zniknął pozostawiając dwóch pozostałych. Laborantki musiały im pokazywać, jak z naświetlonego filmu powstają zdjęcia i w jaki sposób pracuje system kontroli i sortowania. Tylko oni mogli zadawać pytania, wszystko miało być ściśle tajne. Nie wolno było nawet mówić o tym, że w ogóle tu są. No, zaczekajcie, powiedziała Olla, i ustawiła ogrzewanie tak, żeby tylko nie zamarznąć. Laborantki znów zostały o wszystkim poinformowane, tym razem w ścisłej tajemnicy. Ubierzcie się ciepło, potem każda dostanie po pół kilo kawy; no, chyba że wszyscy zostaniemy aresztowani. Obaj mężczyźni narzekali: ależ tu u pani zimno! Olla odparła jak przedtem, wojna totalna. Nikt nie wiedział, czego właściwie szukają. Tym razem nie mógł pomóc nawet burmistrz, ani podskarbi Dowidat. Gestapo jest całkowicie niezależne, działa nie z Landsbergu, tylko Frankfurtu. W końcu musieli przystać na propozycję Olli i opowiedzieli, o co chodzi. Może mogę pomóc, mówiła, w końcu tak jak panom, zależy mi na tym, żeby wykrywać przestępców i szpiegów.

A zatem: na trasie ze Stettin (Szczecina) do Altdamm (Dąbie) znaleziono zastrzelonego pułkownika i jego kierowcę w samochodzie Wehrmachtu. W kieszeni pułkownika odkryto zdjęcie mężczyzny w cywilu. Na rewersie znajdowała się zapisana ręcznie informacja, że jest to akt zemsty politycznej. Poza tym była tam pieczętka: „Photo-Meyer, Landsberg/Warthe”, a także numer kontrolny. Gestapo chciało się dowiedzieć, kim mógł być ten mężczyzna i kto oraz kiedy przyniósł

to zdjęcie do wywołania w Photo-Meyer. Rodzina pułkownika nie znała mężczyzny na fotografii, a tymczasem istniało duże prawdopodobieństwo, że to on był sprawcą. Sami już dowiedzieli się, że nie można zidentyfikować klienta tylko na podstawie pieczęci kontrolnej i numeru. Każdy film i wykonane z niego zdjęcia nosiły ten sam numer, aby po wywołaniu można było łatwo przypisać negatyw odbitkom. Po odebraniu zdjęć klient pozostawał anonimowy. W końcu gestapowcy pokazali pracownikom zdjęcie, nie zdradzili jednak, jaki napis znajdował się z tyłu. Mężczyzny nie udało się zidentyfikować, wiadomo było jedynie, że zdjęcie zostało wywołane przed około 10 tygodniami. Nie było jednak wiadomo, czy trzeba było wywoływać film, czy było to zamówienie z istniejącego już negatywu.

Gestapowcy zniknęli wreszcie ostrzegając uprzednio, że wszyscy, którzy wiedzą więcej, niż tu powiedzieli, muszą liczyć się z poważnymi konsekwencjami, a także że nikomu nie wolno mówić o tym, co się tu wydarzyło.

(...)

W pewnym momencie Greta stwierdziła, że woli pracować w szpitalu miejskim, więc trzeba było znaleźć dla niej jakieś zastępstwo. Wkrótce okazało się, że wola ta wynika z faktu, iż Greta spodziewa się dziecka; wyjaśniło się także, dlaczego tak chętnie wyprowadzała wieczorami Paszę.

Zamiast niej zatrudniona została Gerda (...). Poprzednio pracowała w sklepie obuwniczym Mercedes na rynku, w którym wolno było zatrudniać tylko kobiety. Gerda miała 17 lat i nie była obdarzona zbyt wielką odwagą, a poza tym mówiła fatalnie po niemiecku. (...)

Albert był w posiadaniu pistoletu typu walter, który nienabity leżał w szufladzie stolika nocnego Olli. Hartmut poszedł z nim do szkoły, gdzie wystraszył kolegów i nauczyciela. Pan Preuß spuścił mu łanie, zagroził sądem wojennym albo domem poprawczym, i na koniec zadzwonił do Olli, która za wszystko przeprosiła i obiecała, że Hartmut nie pojawi się bynajmniej w szkole z dwu- ani trzyrurką, jak dumnie zapowiadał. Hartmut miewał i inne pomysły. Albert trzymał w skrzynkach całe arkusze inflacyjnych znaczków pocztowych. Stały w drewnianych skrzyniach skonstruowanych przez pana Stimmela, stolarza, na samej górze, na jednej z szaf w korytarzu prowadzącym z jadalni do sypialni. Hartmut wspaniałomyślnie dał swojemu koledze kilka wyrwanych arkuszy. Walter Emig, przyjaciel domu, sam filatelista, zadzwonił do Olli ze stwierdzeniem, że chyba coś jest nie tak, że jego syn Pütz przynosi do domu takie ilości znaczków, i to w takim stanie.

Hartmut zawsze był wspaniałomyślny. Kiedyś zaprosił przyjaciół do ogrodu przy Kladowstraße. Wiedział, gdzie jest klucz. Dzieci zaczęły bawić się w policjantów i złodziei, czyniąc wielki hałas. Sąsiedzi myśleli, że to przyjęcie urodzinowe. Właśnie dojrzewały śliwki. Na drzewie nie została ani jedna. Olla oczywiście nie była zbyt szczęśliwa. Rozdała wszystkim po kuksańcu i powtórzyła stałą już groźbę: „Zaczekaj, chłopcze, niech no tylko ojciec wróci!” Im dłużej jednak trwała wojna, tym mniejszy odnosiło to skutek.

Nie przeszkodziło mu na przykład w dokonaniu zamachu na zbiór cygar ojca. Najwyraźniej znalazł sobie wygodne miejsce na balkonie, w zadaszanej części i mimo śniegu zaczął wypróbować najróżniejsze rodzaje i wielkości cygar. Stanowiły one dumę Alberta. Oczywiście nigdzie nie można było ich już kupić i Olla trzymała je na specjalne okazje, także na prezenty dla rzemieślników czy pomocników w ogrodzie. Kiedy przyszła wiosna, Olla zdziwiła się, cóż to leży na dachu szopy na rowery – coś brązowego, jakby surowego. Zaraz okazało się, że były to cygara nadpalone przez Hartmuta, które wyrzucił z balkonu na dach szopy ogarnięty mdłościami po kilku zaciągnięciach się, nie myśląc o tym, że kiedy śnieg stopnieje, pokażą się w całej okazałości.

(...)

22 listopada 1943 r. z Frankfurtu nad Odrą przyjechała komisja „Inspekcji Rezerwy”. Opel został zarekwirowany. (...) Rodzinie zaproponowano ostatnią przejażdżkę po centrum. Urządzili ją sobie, i przy okazji pożegnali się z autem, Olla i Hartmut, Ulrich był na ćwiczeniach HJ. Wartość samochodu została oszacowana, odpowiednia kwota wypłacona.

Zaraz potem przyszedł nakaz oddania sprzętu narciarskiego na Winterhilfswerk. Właściwie Olla powinna była zrobić to już w 1941 r. Za drugim wezwaniem nie mogła już udawać, że nie rozumie. Ale nie oddała butów narciarskich, sądziła, że mogą się jeszcze przydać. Nie bez racji argumentowała, że jej numer 36 nie na wiele zda się żołnierzom.

Sytuacja na froncie była coraz trudniejsza (...).

Pod koniec 1943 r. w zakładzie Photo-Meyer zostały zarekwirowane trzy największe, całkowicie wyłożone kafelkami pomieszczenia piwniczne. Wszystko trzeba było stamtąd zabrać, kadzie z wywoływaczem, skrzynie z porcelaną Olli, srebro stołowe, futro, walizkę majora Westphala z Berlina, walizy i skrzynie Emmy, siostry Olli z Hamburga. Wszystko to znalazło się w piwnicy z powodu ryzyka ataków bombowych, teraz trzeba było to rozdzielić na pozostałe pomieszczenia.

Jakiś urząd z Berlina przebudował wszystko, zostały założone dodatkowe drzwi, które oddzielały wszystkie te pomieszczenia od innych. Zostały one zajęte przez firmę tekstylną Alexander Berger z Berlina-Wilmersdorfu. Dwie ciężarówki przywiozły ubrania i bele z materiałem na firanki. Wszystko to były towary sprzedawane wyłącznie na kartki, a więc objęte reglamentacją. Bergerowie schowali tu też wielkie drewniane skrzynie wypełnione prywatnym majątkiem. Uważali, że w Landsbergu będzie bezpieczniejszy niż w Berlinie. Na koniec piwnica została opieczętowana. Olla musiała podpisać oświadczenie, że zdaje sobie sprawę, iż uszkodzenie pieczęci będzie oznaczać więzienie lub obóz koncentracyjny, i że odpowiada także za uszkodzenia powstałe w skutek działania osób trzecich. Od czasu do czasu pojawiali się jacyś ludzie z Berlina, brali rzeczy z piwnicy albo przywozili nowe, a potem na nowo zakładali pieczęć.

23 grudnia 1943 r. Albert przyjechał niespodziewanie na urlop świąteczny z frontu wschodniego. Hartmut obawiał się najgorszego z powodu wszystkich wybryków.

To, że Albert dostał urlop, graniczyło z cudem. Wehrmacht i wierni mu sojusznicy cofali się na wszystkich frontach. Wiele niemieckich miast leżało już w gruzach.

Hartmut jednak dopiero po świętach dostał porządne lanie za wszystkie czasy, nie obyło się też bez umoralniającego kazania. Musiał też odpowiadać za niektóre występki swojego starszego brata, który był sprytniejszy w argumentacji i wiele spraw potrafił zrzucić na swego głupiego brata. (...)

Skutkiem kary było to, że na twarzy Hartmuta jeszcze przez kilka dni widać było odciski ojcowych rąk, te w miejscu, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę, oczywiście mniej.

Na szczęście trwały ferie, więc tylko kolegom i gościom musiał się tłumaczyć odpowiadając na pytanie: „O Boże, a cóż ci się stało w twarz?”. Wyjaśnienie było dość skomplikowane. Mówił, że wysłano go do banku i na wysokości kościoła Mariackiego, naprzeciwko Thams & Garffs poślizgnął się na skórce od banana leżącej w rynsztoku i upadł bardzo nieszczęśliwie. Kolegom pewnie nie wydało się to dziwne nawet w sytuacji, gdy od lat nie było już można kupić bananów, dorośli pewnie coś podejrzewali.

Albert zdał sprawę (...) najbliższym przyjaciołom z sytuacji na froncie wschodnim. Niemcy stracili już Kijów i Żytomierz. Rosjanie stali na środkowym odcinku, tuż przed dawnym miejscem zamieszkania Schindelów, Równem i Łuckiem. Odwrót na całej linii. Tego typu relacje mogły skończyć się sądem wojennym i często się kończyły. (...) To, że wojna była przegrana, było oczywiste dla każdego, kto miał choć trochę oleju w głowie. (...)

Było zadziwiające, jak wiele spraw codziennych w Rzeszy toczyło się zwykłym trybem. W Stadtpark w Landsbergu jak zwykle zalano zimą łączkę pod lodowisko. Dbano o nie normalnie, przymusowi robotnicy zamiatali z niego śnieg. Dzieci jeździły na łyżwach, przebiegalnia była ogrzewana, były ciepłe napoje, grała muzyka. (...)

Cudowne były nocne sanny w parku Schönfließ (Zacisze), na które Hartmut czasem też mógł iść. Ale tor saneczkowy ze sztucznym wężem i niewielką skocznią był piękny także w dzień. U szczytu znajdował się zadaszony pawilon. Tutaj, tak w dzień, jak i wieczorami, o dobre obyczaje i porządek dbał strażnik, nazywany „Nante”, budzący postrach wśród użytkowników. Pod jego okiem należało utrzymywać odpowiedni odstęp od poprzedzających sań, żołnierzom nie wolno było w ekscytacji prędkością niechcący łąpać dziewcząt tam, gdzie zwykle nie wolno było ich łąpać. Nad torem wciąż unosiły się radosne okrzyki. Jeśli był dobrze oblodzony, można było dojechać nim aż do działki Olli i Alberta na Kladowstraße 39. Laborantki chętnie pożyczaly sobie sanki od Photo-Meyer na wieczorną sannę. Olla groziła palcem: uważajcie na żołnierzy i nie połamcie sań, nie mam drugich!

Dyscyplina w szkole została podniesiona. Nauczycielami Hartmuta byli już tylko starszuskowie i inwalidzi wojenni. Na początku i na końcu ferii oraz podczas świąt narodowych dzieci, które były jeszcze zbyt małe, aby należeć do tzw.

Jungvolku, przyjmującego dziesięciolatków, musiały brać udział w apelu na szkolnym podwórku. Przez cały czas, gdy śpiewano hymn narodowy: „Deutschland, Deutschland über alles”, a potem Horst-Wessel-Lied „Die Fahne hoch, die Reihen fest geschlossen”, musiały trzymać ręce w geście hitlerowskiego pozdrowienia. Powoli traciły siły, nie były w stanie tak długo trzymać wyciągniętej ręki. Jedno po drugim zaczynały podpierać prawą rękę lewą.

Nie podobało się to zupełnie panu Rogge, mniej więcej dwudziestopięcioletniemu, który uczył w niższych klasach i, rzecz zadziwiająca, mimo swego wieku nie został wcielony do wojska, nawet w czasie wojny totalnej, a na dodatek był właścicielem motocykla oraz, co dziwiło jeszcze bardziej, miał benzynę, aby na nim jeździć. (...) I ten właśnie złośliwy Rogge krzyczał na dzieci na szkolnym podwórzu. Żołnierze walczą za was z czerwonymi hordami, oddają życie za Führera, naród i ojczyznę, wykrwawiają się dla was na frontach, a wy, mięczaki, nie potraficie nawet utrzymać w górze rąk? Poczekajcie tylko, przyjdźcie do Jungvolku, my z was zrobimy mężczyzn, że was wasze matki nie poznają. (...)

Hartmut w drodze do domu ćwiczył pięści do walki z czerwonymi hordami. Okazję ku temu dał mu jeden z kolegów z klasy, krewny rodziny Jaenes, która miała w Landsbergu fabrykę maszyn. Pochodził z Kilonii i wraz z matką schronił się u Jaenesów przed atakami bombowymi. Któregoś razu miał czelność powiedzieć, że Landsberg w stosunku do Kilonii to nędzna dziura. Nawet angloamerykańscy terroryści w swoich samolotach nim pogardzali, bo przecież dawno wysłaliby tu już swoje samoloty. Z dumą opowiadał o nocnych bombardowaniach w Kilonii, o doświadczeniach ze schronów, o wstrząsach przypominających trzęsienia ziemi, a wywołanych eksplozjami, o falach ognia itd. Przechwalał się zebranymi odłamkami bomb. Złość Hartmuta, któremu rodzina z Hamburga zamiast oczekiwanych odłamków przysłała parę wrotek, wyładowała się w bijatyce z tym chłopcem, przy czym przeciwnik, za niewiarygodną obrazę Landsbergu, został ukarany krwawiącym nosem, a dodatkowo zgubił swoją dzianą czapkę. Olla musiała potem oddać jedną ze swoich, ponieważ Jaenesowie zadzwonili z żądaniem, by oddać czapkę ich siostrzeńcowi. Jak się wyrazili, bijatyka zapewne mu nie zaszkodziła, ale o czapkę z dzianiny dzisiaj trudno.

Mało brakowało, a landsberskie dzieci dostałyby swoją porcję odłamków. Którejś nocy rozbrzmiały syreny. Alarm bombowy. Olla obudziła dzieci, ale wszyscy zostali w łóżkach i czekali, co powiedzą w radiu, albo co się będzie działo. Nagle dało się słyszeć wybuch, po którym nastąpił wstrząs. Głośny krzyk na dworze, przed strażnicą przeciwlotniczą. Całą trójką pobiegli bez kapci do schronu, który był przy okazji piwnicą na węgiel. To było wszystko, zaraz potem alarm został odwołany.

Następnego dnia pan Rogge zwołał apel na szkolnym podwórku. Wrzeszcząc poinformował dzieci i stojących obok, nieobecnych duchem starych nauczycieli, że angloamerykańscy terroryści zaatakowali minionej nocy Landsberg. Ale trafili tylko w jedno miejsce, mianowicie w kibel wschodnich robotników na budowie

w IG-Farben przy Friedeberger Chaussee. Wszyscy mają tam pójść i obejrzyć dziurę po wybuchu, wraz z resztkami kibla. To właśnie jest typowe dla bombowców wroga. Nad miasto w ogóle nie poważali się polecieć, bo mieli portki pełne ze strachu. Skutecznie zadziałała obrona przeciwlotnicza. Tak wygląda nasza walka! Wy, gówniarze, powinniście być dumni z naszych chłopców przy działach przeciwlotniczych. Żadne z zastraszonych dzieci nie ważyło się zwrócić mu uwagi, że w Landsbergu w ogóle nie było obrony przeciwlotniczej, być może zresztą nie zdawały sobie z tego sprawy. (...)

Na początku 1944 r. przyjechał do Landsbergu Theodor Kröger. Był autorem słynnej książki z czasów I wojny światowej pt. „Das vergessene Dorf”, a potem „Heimat am Don”. W ramach imprez kulturalnych dla żołnierzy czytał im fragmenty swoich książek w koszarach im. gen. Strantza. Kröger pochodził z Petersburga, w 1914 r. został aresztowany w czasie ucieczki do Niemiec i zesłany na Syberię. Przyjaciółka Olli z Prus Wschodnich, Wolja, знаła rodzinę Krögerów i skontaktowała go z nami. Pokój mężczyzn i jadalnia zostały przemeblowane od góry do dołu, ponownie powieszono schowane już obrazy znanej landsberskiej malarki Käthe Bahr, przyniesiono część porcelany z piwnicy, które powkładano do witryn z drewna czereśniowego wykładanego klonem, przyniesiono wszystkie krzesła, jakie były jeszcze w domu, i Theodor Kröger czytał w prywatnym gronie. Z zaproszenia skorzystały oczywiście nadbałtyckie przyjaciółki oraz znajomi z Landsbergu. Olla częstowała wszystkim pozostałym jeszcze winem. (...)

Strony z nazwiskami poległych w „Landsberger General-Anzeiger” były coraz obszerniejsze, podobnie jak tablica w gimnazjum im. Hermanna Göringa prezentująca byłych uczniów, którzy nigdy już nie wrócą. Klienci Photo-Meyera coraz częściej nosili się na czarno. O Albercie wiadomo było jedynie tyle, że prawdopodobnie stacjonował w południowych Włoszech. Hartmut chciał dostać od ojca sprasowaną szarotkę, taką, jaką od swojego ojca dostał jeden z jego kolegów, który obnosił się z nią potem dumnie. Albert odpisał, że takie szarotki można znaleźć co najwyżej w Abrucji, ale że już stamtąd wyjechał. I że cieszy się, iż wkrótce będzie mógł zobaczyć piękną Florencję. Przeszło to przez cenzurę. Ta ukryta wskazówka pokrywała się z wiadomościami z BBC, w ten sposób można było domyślić się, jak przebiega prawdziwa linia frontu.

(...)

W wolnym czasie Ulrich i jego przyjaciel Eberhard Stephani majsterkowali na strychu. Ich zabawki z pustych drewnianych i metalowych szpul po filmach były prawdziwymi dziełami sztuki. Materiał dostarczał ze swojego magazynu Otto Tietz, długoletni przyjaciel domu i miłośnik wesołych ludowych piosenek. Tietz był przewodniczącym landsberskiego Związku Szybowników. Miał jeszcze zasoby egzotycznego drewna sprzed wojny. Chłopcy zaś nie mogli opędzić się od zleceń. Przyjmowali oferty od kolegów ze szkoły, pomagali im na zajęciach z majsterkowania. W sklepach było coraz mniej towarów, a zabawek dla

dzieci już zupełnie. Hartmut bardzo chciał brać udział w tym, co działo się tam na górze. Oczywiście starsi chłopcy absolutnie nie chcieli go do siebie dopuścić.

W suszarni stała nieużywana dotąd zupełnie przez Ollę metalowa wędzarnia, którą teraz kazała uruchomić. Nawet jeśli przyłączyło się ją bezpośrednio do komina, śmierzdział straszliwie dymem i rybą. Rybę Olla dostała dzięki znajomościom z Fichtwerder (Świerkocin) i Berneuchen (Barnówko), gdzie znajdowały się hodowle. Urzędnicy nie byli w stanie skontrolować zasobów i odłowów. Oczywiście ryby też były reglamentowane i w sklepie „Nordsee” na Richtstraße od dawna już nie można było ich kupić bez kartek. (...)

Hartmut był biedny. W bezpośrednim sąsiedztwie nie było dzieci w jego wieku. Wkradał się więc do sklepowej ciemni, do dziewcząt, żeby przyglądać się im przy wywoływaniu filmów, kopiowaniu i powiększaniu zdjęć. (...)

W kwietniu 1944 r. Hartmut zachorował na dyfteryt, chociaż chłopcy mieli już za sobą niemal wszystkie choroby wieku dziecięcego. Olla zaangażowała emerytowaną pielęgniarkę, Juliane Wendt, która miała zajmować się nim w ciągu tygodnia. (...) Ciocia Julchen wkrótce stała się ulubienicą dzieciaków. Bez końca grała z Hartmutem w loterię, uczyła go, jak robić na drutach ściereczki do garnków, umiała zrobić pyszne cukierki czekoladowe z płatków owsianych i resztek kakao z zasobów Olli. A poza tym umiała pięknie opowiadać. W 1938 r. popłynęła promem „Deutschland” do Ameryki, gdzie odwiedziła siostrę pracującą w szpitalu w Chicago. Opowiadała więc o chorych na chorobę morską na statku, o podróży pociągiem przez niemal cały kontynent, i o przybyciu nad jezioro Michigan. Drapacze chmur, oczywiście, a raz nawet było trzęsienie ziemi, wszystkie wieżowce trzęsły się jak trzcina nad jeziorem. Ach, co to były za historie, można było słuchać ich i słuchać, a z czasem były coraz bardziej fantastyczne.

Dr Göhler i dr Schreuder, dwaj lekarze domowi, przychodzili na wizyty na zmianę. Wymazy raz dawały wynik negatywny, innym razem pozytywny, potem znów negatywny. Hartmut wrócił do szkoły dopiero po wielu tygodniach. I wtedy zdarzyło się kolejne nieszczęście. Olla pojechała z chłopcami na wycieczkę rowerową do przyjaciół, rodziny Vaatz. Można tam było wspaniale bawić się w stodołach, a poza tym były tam trzy dziewczyny ze swoją mamą Hedi Bauldoh oraz panią Lohrengel, ewakuowane z Augsburga. Była to przyjemna odmiana. (...)

Kiedy wracali, Hartmut ruszył swoim dziecięcym rowerkiem z wyprzedzeniem, chcąc jako pierwszy dojechać do Landsbergu. Wiadomo było, że Olla i Ulrich i tak go dogonią. Nie udało się do końca zrekonstruować tego, co się wydarzyło. W każdym razie Hartmut przewrócił się gdzieś na wąskiej drodze rowerowej, prawie rynnie. Olla i Ulrich znaleźli go jadąc do domu, jak leżał nieprzytomny w przydrożnym rowie. Z powrotem do młyna, ale co dalej, trudno o lekarza na wsi. Vaatzenowie zaprzęgli konie i ostrożnie, starając się nie dopuszczać do wstrząsów, zawieźli Hartmuta do domu. Tam chłopak doszedł do siebie. (...) Symptomy wskazywały na wstrząśnienie mózgu. (...)

Hartmut pragnął ożenić się z ukochaną ciocią Julchen. W ramach zabawy zorganizowali odpowiednią uroczystość w ogrodzie na Kladowstraße. Przyszli przyjaciele Oskar i Meta Brandt. Oskar w cylindrze udawał urzędnika stanu cywilnego, Meta Brandt była świadkiem. Nawet Ulrich wyciągnął skądś chapeau claque ojca i rozrzucił kwiaty, chociaż był już trochę za duży do tego ważnego zadania. Zamienili się rolami. Ciocia Julchen udawała pana młodego, a Hartmut, już od dawna nie nazywany Zajączkiem, co najwyżej Hardim, został panną młodą. Przewieszono mu przez głowę starą firankę w charakterze welonu. Oczywiście koniecznie trzeba było zrobić zdjęcie ślubne.

Przyszło lato 1944 r. (...)

Ulrich i jego rówieśnicy nie mieli już wakacji. Musieli kopać umocnienia na Wale Pomorskim jako HJ, front był już przerażająco blisko dawnej granicy Rzeszy.

Chłopcy z Hitlerjugend zostali zakwaterowani u chłopów w stajniach i stodołach, mieli kopać rowy przeciwczołgowe. Olla i Hartmut odwiedzili Ulricha w wiosce, do której został przydzielony razem ze swoją grupą. Po długim wypytywaniu u drużynowych i zastępowych został wreszcie zawołany. Wyszedł z poddasza jednej ze stodoł, brudny i wychudzony, czyszcząc sobie okulary, żeby zobaczyć, o co chodzi, i kto go woła. Bynajmniej nie był uszczęśliwiony, że odwiedza go mama z młodszym bratem, to nie było męskie i stanowiło powód do dokuczań. Przyjął przywiezione jedzenie, a potem szybko się pożegnał. (...)

Oni zaś pojechali do najstarszego brata Olli, Georga, do Freudenßer, wyróżnionego jako najpiękniejsza wioska w powiecie Deutsch Krone.

(...)

Hartmutowi podobały się te inne niż zwykle wakacje na wsi. Wujek Georg i ciocia Emma bardzo się o niego troszczyli. Nie umiał obchodzić się ze zwierzętami. Trochę się cieszył, a trochę bał, kiedy pozwolili mu przejechać się na koniu używanym do orki. Musiał rozszerzyć nogi, przylgnąć do grubego końskiego grzbietu i pilnować się, żeby nie spaść z tej wielkiej wysokości. Nie był też przyzwyczajony do takiej obfitości jedzenia, i to tak tłustego, ani tym bardziej do ciągłych uwag: „Musisz więcej jeść”.

Georg przed i po jedzeniu modlił się zawsze wspólnie z rodziną i obydwooma rosyjskimi robotnikami. Modlitwy te ciągnęły się bez końca. Wciąż przypominały mu się rzeczy, za które chciał podziękować Bogu, a kiedy Hartmut sądził już, że nadszedł koniec, że zaraz padnie słowo „amen” i będzie można zanurzyć łyżkę w zupie, wujkowi wpadało do głowy kolejne dziękczynienie. Hartmut w duchu mówił własną modlitwę: Dobry Boże, niech on już skończy. A kiedy rzeczywiście kończył, jedzenie było już zimne. Nie wolno było nikomu mówić, że rosyjscy pracownicy – Olga i Aleksander – jadaliby przy jednym stole z rodziną. Było to niedopuszczalne i piętnowane jako fraternizacja.

(...)

Tutejsze kury często uważały, że nie muszą składać jajek w przygotowanych do tego gniazdach w kurniku. Chyba zorientowały się, że się je tam okrada. Wiele z nich wolało tworzyć potajemne gniazda, czy to w stajniach, czy w stodole.

Jeśli jakaś charakterystycznie gdcząca kura wracała nie z kurnika, lecz z innego miejsca, Hartmut otrzymywał zadanie poszukiwania jaj. Sprawiało mu frajdę odgrywanie komisarza policji próbującego wczuć się w psychologię kury, aby trafić na ślad jajek. Ciocia Emma dała mu dodatkową motywację. Co drugie jajko, które znalazł, mógł zabrać potem do Landsbergu. Hartmut wpadł na pomysł, żeby zabrać kilka z gipsowych jaj leżących w kurniku, a mających zachęcić kury do znoszenia prawdziwych, i poukładać je w tych „dzikich” gniazdach. (...)

Hartmut wrócił wielce zadowolony z wakacji do Landsbergu, z jajkami, słoniną i tłustą gąską w walizce. Nie zachorował też bynajmniej na zapalenie płuc. Olla miała tylko wątpliwości co do sposobu wyrażania się Hartmuta. Jej zdaniem chłopak przejął od wiejskich dzieci słownictwo, które wcale jej się nie podobało, i które kazało jej podejrzewać, że zbyt wcześnie został przez nie zapoznany z pewnymi faktami życia.

Pierwsza wiadomość, jaką otrzymał Hartmut po powrocie do domu była taka, że jego wujek Karl zaginął latem nad Bugiem. Miały tam miejsce zacięte walki o ważne centrum przemysłowe. Hartmutowi zrobiło się bardzo smutno. Nie ma wujka Karla, nie będzie już toczących się pięciomarkówek! Ale może znajdują go jeszcze, wiadomo przecież, że na razie jest tylko zaginiony!

(...)

Po letnich wakacjach pan Preuß zakomunikował swoim dziewięcioletnim uczniom: „Jak wiecie, trzeba mieć co najmniej dziesięć lat i być zuchem w Jungvolku, żeby móc jechać na wieś na jesienne wykopki. Ale oto spotyka was wielkie wyróżnienie, możecie już w waszym wieku zgłosić się na ochotnika, aby brać udział w tej zaszczytnej pracy, która stanowi podstawę wyżywienia narodu niemieckiego. Można jechać do Stolzenberg (Różanki), Merzdorfu (Małyszyn), Pyritz (Pyrzyc) i Gralow (Gralewo). Będziecie mieszkać w stodołach, a po pracy będziecie piekli ziemniaki w ogniskach i urządzić podchody. Czeka was prawdziwa przygoda. Musicie tylko przynieść pozwolenie rodziców na piśmie”. Hartmut rzecz jasna chciał uczestniczyć w ogniskach i podchodach, więc naciskał na mamę, żeby udzieliła pozwolenia. Dieter Aschmoneit, siostrzeniec doktora Fritza Göhlera, dostał już pozwolenie, a poza tym prawie wszyscy z klasy, powiedziano. Od mamy usłyszał twarde „nie”. Chyba już całkiem zwariowali, żeby zaciągać jeszcze dziewięciolatków. Zaczęła telefonować, żeby się dowiedzieć, kto z pozostałych rodziców zgodził się na podobny nonsens. Bogu dzięki nie znalazła nikogo. Wszyscy zgodzili się poinformować wspólnie pana Preußa, że z powodu braku odpowiednich ubrań i porządnych butów nikt nie będzie mógł uczestniczyć w wyprawie. I że to samo dotyczy bezsensownego zbierania ziół leczniczych i metali kolorowych.

Olla zaczęła pracować nad swoim zapomnianym rosyjskim. W stoliku nocnym schowała podręczniki i słownik. Dzieci śmiały się z niej, kiedy wieczorami słyhać było jej deklinacje i koniugacje. (...) Po co to, pytały, Rosjanie nie dotrą przecież do Landsbergu. Słyszeliście przecież raport Wehrmachtu, już tu prawie są – odpowiedziała.

I rzeczywiście byli coraz bliżej, i to nie tylko Rosjanie, również zachodni alianci coraz bardziej zbliżali się do granicy. We wrześniu 1944 r. dotarli do Trewiru i Akwizgranu.

Olla kazała wykopać w piwnicy dół, mniej więcej na metr sześcienny, i go obmurować. Tutaj mieliśmy schować nasze wartościowe przedmioty. Przykryciem miała być żelazna płyta, a na niej koks. Dół był wprawdzie gotowy, jednak nie udało się znaleźć takiej płyty. Zamiar więc pozostał niedokończony, jak 8 symfonia Schuberta. Całe srebro zostało natomiast przewiezione z piwnicy do Wormsfelder Mühle. Walizka z bielizną do rodziny Bengsch, do ich zagrody w dolinie Warty, także pan Juhr, rolnik z Wieprzyc, dostał kilka kartonów – wszystko, by rozproszyć ryzyko.

18 października 1944 r. przyszedł rozkaz wystawienia Volkssturmu. (...)

Krótko przedtem z wielkim propagandowym zacięciem zapowiedziano odwrócenie sytuacji militarnej. Jest już gotowa Wunderwaffe, V2. Miała zastąpić nieudaną V1 i doprowadzić do odwrócenia sytuacji. (...)

Od Alberta nie było zbyt wiele wiadomości. Kilka kartek pocztowych, które dotarły do Landsbergu pocięte przez cenzurę i przez to zawierające jedynie lapidarne informacje, to było wszystko. Zgodnie z nimi był gdzieś we Włoszech. Nie było nadziei, że Boże Narodzenie 1944r. spędzi z rodziną, tak jak jeszcze udało mu się w 1943 r.

(...)

Gauleiter Prus Wschodnich i Komisarz Rzeszy na Ukrainę, Erich Koch, przyjechał w grudniu 1944 r. na posiedzenie sztabu kryzysowego do Landsbergu. Odbywało się to w absolutnej tajemnicy. Mieszkał w „dyskretnie” odizolowanym hotelu Vater. Jak dowiedziała się Olla przez swoje „kanały”, chodziło o możliwość ewakuacji. Szczury uciekają z tonącego okrętu, skomentowała.

Olla zrezygnowała już z wszelkich planów ucieczki. Wojna była przegrana. Czy dopadną nas Rosjanie w Landsbergu, czy zginieemy gdzieś po drodze, czy też Amerykanie zbombardują nas na śmierć – c'est la guerre. To jest wojna, albo raczej – c'est la vie, jak mawiają Francuzi. Patrzyła na to, jak na los, który musi przyjść, tak jak jej przodkowie, którzy przed 200 laty uciekli z Palatynatu przed ciągłymi wojnami.

Boże Narodzenie jeszcze raz świętowali prawie po pokojowemu. Wyciągnęli ostatnie delikatesy, zanim wpadną w ręce Rosjan. I przy zwiększonym ogrzewaniu, zanim Rosjanie spalą cały koks. Również albertowe zapasy wina zostały ostatecznie wypite. Pracownikom też coś się dostało. A jednak te święta były inne niż zwykle. Alberta nie było, nie widzieli go od roku. Krewni już od dawna się nie pojawiali. Nie chcieli zostawiać swoich gospodarstw. Mąż Gertrudy, siostry Alberta, wciąż uważany był za „zaginionego”, a to znaczyło jedno: nie żyje. W tajemnicy wszyscy szykowali się do drogi. Nie wolno było o tym mówić. Byłoby to uznane za defetyzm. Próba ucieczki przed wydaniem zezwolenia gauleitera lub urzędu powiatowego była wręcz karana obozem koncentracyjnym. Zezwolenia te przychodziły jednak najczęściej zbyt późno, więc ludzie woleli siedzieć

na spakowanych walizkach. Dlatego też przyjaciółki Olli z Kraju Warty już się nie pojawiały. Któż chciałby jeździć tak beznadziejnie przepelnionymi pociągami. Większości tego, co ludzie chcieli powiedzieć, nie mogli omawiać przez telefon. Istniało uzasadnione podejrzenie, że rozmowy są podsłuchiwane.

Mimo pozorów spokoju rodzina odczuwała wielką samotność podczas Bożego Narodzenia. Spędziła je w towarzystwie przyjaciół mieszkających na miejscu, w smutnej, przygnębiającej atmosferze.

(...)

22 stycznia 1945 r. Hartmut świętował 10. urodziny. Wykorzystano ostatnie zapasy, żeby przygotować jeszcze jakąś uroczystość. Na prezenty złożyły się wyłącznie naturalia od znajomych ze wsi. (...) Nawet Olla nie znalazła już prezentu o trwałej wartości. Swoją skrzynkę ze srebrnymi sztuczkami dostał już przecież na dziewiąte urodziny. Po Bożym Narodzeniu nie otwarto już szkoły, więc nie było apelu z wciąganiem flagi i obowiązkowym odśpiewywaniem „Deutschlandlied” i „Horst-Wessell-Lied”, ciągnącym się w nieskończoność trzymaniem ramion w hitlerowskim pozdrowieniu, ani funkcjonariuszem partyjnym i postrachem dzieci, panem Rogge. W szkołach roilo się od uciekinierów, na podwórzach szkolnych stały ich wozy.

Sowieci w połowie stycznia podjęli ofensywę w Prusach Wschodnich, a niedługo potem także w Polsce. Kierowali się przez Górny Śląsk na Wrocław. Z relacji Wehrmachtu nie można się było tego dowiedzieć, tam od dawna mówiono już tylko o „niewielkich korektach linii frontu”. Tymczasem w rękach Rosjan było już Litzmannstadt, czyli polska Łódź, a od 24 stycznia – Poznań.

Olla zaczęła się denerwować, i to bardzo. Straszyla też matkę Eberharda: „Pani Stephani, czy wie pani, gdzie jest front i nasi chłopcy?” Pani Stephani jeszcze się nie przejmowała, może słuchała tylko relacji Wehrmachtu. Richtstraße była zapchana uciekinierami z Prus Wschodnich, a potem także pierwszymi z Pomorza. Radio informowało o wielkich okrucieństwach, o napaści Rosjan na Nemmersdorf (Majakowskoje) niedaleko Trakehnen, gdzie hodowano słynne konie. Miejsco-wość ta została wkrótce potem odbita przez Niemców. W kronice filmowej pokazano straszliwie zamęczone kobiety i dzieci z Nemmersdorfu, a później Gołdapi. Były to pierwsze miejscowości na terenie Rzeszy zdobyte przez Rosjan. Mówiło się o kobietach zgwałconych na śmierć, pokazano zdjęcia. Olla w prawie nic nie wierzyła, uważała, że to goebbelsowska propaganda.

(...)

Tego dnia (28 stycznia 1945 r.) Olla poszła do banku. Z sejfu wyjęła skórzaną walizkę, w której zdeponowała najbardziej wartościowe znaczki pocztowe i kolekcję monet przechowywanych w ramach wykonanych przez stolarza Stimmela. Ramki te były oszlone z obu stron, drewniane płyty w wyciętymi otworami na monety powleczone czerwonym aksamitem. W ten sposób można było oglądać monety z obu stron. Zarówno znaczki, jak i monety były pokazywane na wystawach.

Olla i dzieci połamały wszystkie te ramki, nie było już czasu na ich rozkręcanie. Znaczki wróciły do eleganckiej walizki. Monety zostały podzielone: osobno złote, srebrne, brązowe i inne. A potem wrzucone do różnych lnianych worków. Chłopcy w wieku Hartmuta nosili jeszcze krótkie spodnie na gumowych szelkach. Do tych spodni zimą przyczepiało się na guziki wełniane podkolanówki. Do szwów garnituru Hartmuta schowano złote monety, jedna po drugiej, podobnie było z ubraniami Ulricha. Wezwano Annę Domack, długoletnią krawcową, która miała wszyć dalsze monety w ubranie Olli. Anna Domack z Wollstraße, która była równie wysoka, jak szeroka, zupełnie nie rozumiała, po co to wszystko. Jej syn Kurt był wielokrotnie dekorowanym nocnym pilotem myśliwca, znanym z wielu akcji i równie wielu zestrzeleń. Nie powiedział jej, że sytuacja ma się aż tak źle. Musiała uszyć jeszcze trzy lniane woreczki na szyję, po jednym z nazwiskiem, adresem, danymi urodzenia i szczepień; do swojego Olla włożyła jeszcze 6 tys. marek. Ulrich dostał 4 tys., a Hartmut 3 tys. marek.

Olla nie podjęła jeszcze ostatecznej decyzji, czy uciekać z dziećmi, czy nie, kiedy ewakuacja zostanie zatwierdzona. Kontakt z rodziną na Wschodzie dawno już nie było, natomiast nędza uciekinierów ciągnących przez śnieg i błoto koło sklepu, z wychudzonymi końmi, wozami przykrytymi dywanami lub płachtami namiotów, była bezgraniczna i odstraszała. Wreszcie powtarzane ciągle przez przechodzących słowa: dzisiaj my, jutro wasza kolej, ułatwiły Olli decyzję. Zostajemy! Wielu ewakuowanych już dawno wyjechało pod pozorem odwiedzin w domu. (...) Hartmut chyba nie rozumiał do końca całej tej sytuacji, widział w niej raczej coś w rodzaju przygody. Jednak kiedy okazało się, że Olla u swoich przyjaciół, dra Bernsa i Herthy starała się o morfinę, cyjanek lub kwas pruski, i kiedy tamci odpowiedzieli: „Olla, chcemy się otruć, i naszego teriera, zabierzemy go ze sobą”, to już poczuł się trochę dziwnie. Nie inaczej było z rodziną Bartschów. Mieli kwas pruski, ale nie chcieli się podzielić. Nie chcieli zrobić tego Albertowi. Także ciocia Julchen zapowiedziała samobójstwo, razem ze swoją niezamężną siostrą.

Wydarzenia nabrały rozpędu. Rosjanie przyszli (...) w nocy z 30 na 31 stycznia 1945 r. Na pierwszej stronie ostatniego wydania landsberskiego dziennika „General-Anzeiger” z 29 stycznia 1945 r. można było jeszcze przeczytać: „Ofensywa wroga wyraźnie wolniejsza, natarcie wroga na Podkarpaciu, nad Odrą i dolną Wisłą zatrzymane”. Dalej pisano o „bezwarunkowej woli obrony”. Rosjanie przełamali front, ominęli lub przejechali wykopywane bez sensu przez Hitlerjugend doły przeciwczołgowe i wbili się klinem w słabą linię niemieckiej obrony nad Notecią w kierunku Landsbergu i Kostrzyna nad Odrą. Była to najkrótsza bezpośrednia droga do Berlina, cały czas szosą Reichstraße 1. Zezwolenie na ewakuację zostało wydane 30 stycznia. Wybuchła panika.

Ludzie próbowali dostać się na dworzec. Kto miał sanki, pakował na nie swój dobytek i liczył na to, że zdoła jeszcze złapać jeden z pociągów, które już i tak jechały ze wschodu przepelnione, z uciekinierami i rannymi. Bahnhofstraße zablokowały pozostawione sanie, wózki dziecięce, ręczne. Tych zupełnie już nie wolno było zabierać do pociągu.

Jakby tego było mało, jeden z pociągów wykoleił się koło Wieprzyc. Ludzie, którzy czuli się już prawie bezpieczni, musieli wysiadać i próbowali uciekać po oblodzonych drogach piechotą.

W oddali słychać było huk artylerii. Olla umówiła się ze swoją przyjaciółką Lieschen Gäbel, i opowiadała to wszystkim znajomym, że nie będziemy uciekać, tylko przenosimy się do panny Gäbel, do jej dwurodzinnej willi na Adolf-Hitler-Straße. Olla nie chciała czekać na wejście Rosjan w domu, obawiała się, zapewne słusznie, że tam, na Reichsstraße 1, będzie najgorzej.

Tamędy musiało przecież przejść całe zaopatrzenie. Lepiej było oczekiwać swego losu w oddalonej od centrum ulicy mieszkalnej, i wspólnie z innymi.

Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zostało w ciągu ostatnich ośmiu godzin przeniesione do piwnicy, w tym także radio telefunden. Gdyby front zaczął się cofać, można było stamtąd słuchać wiadomości. Portret Hitlera, prezent od Hartmuta, został zabrany z przedpokoju, połamany i razem z popiersiem Führera zakopany w skrzynce na kwiaty na balkonie, a potem przykryty śniegiem; dwu- i trzyrurka zabrane z dekoracji w przedpokoju i schowane pod zwałami śniegu na Luisenstraße.

Olla przygotowała wielkie napisy po rosyjsku, które poprzyczepiała na drzwiach sklepu i mieszkania. Było tam napisane, że mieszkają tu spokojni i bogobojni ludzie, którzy proszą, by nie niszczyć domu i jego urządzeń.

Walizka ze znaczkami pocztowymi, biżuterią i dokumentami oraz trzy kolejne walizki znalazły się na sankach, dodatkowym środkiem transportu był rower. Gerda została wysłana do domu, w kierunku na Wepritz (Wieprzyce), ze wskazówką, że w każdej chwili może wrócić na Adolf-Hitler-Straße, jeśli będzie to w ogóle możliwe. Olla z Paszą na smyczy i obydwoma chłopakami przeniosła się do Lieschen Gäbel. Jeszcze raz poinformowała przyjaciół i sąsiadów, gdzie można ją znaleźć. Rodzina Bartschenów chciała przetrzymać najgorsze w swoim bunkrze przeciwlotniczym, za stalowymi, ryglowanymi drzwiami. Niektóre sklepy spożywcze były jeszcze otwarte, sprzedawały resztki zapasów bez kartek, albo wręcz wydawały za darmo. Po drodze rodzina spotkała ciocię Julchen i jej siostrę, które także mieszkały na Adolf-Hitler-Straße, ale bliżej centrum, w domu na rogu Fernemühlen-Straße (ul. Borowskiego). Obie powiedziały jeszcze raz z mocą: „wiemy, co robimy!”.

Kiedy przyszli do Lieschen Gäbel, zajęli opuszczone górne mieszkanie. Mieszkająca tam rodzina Preuß najwyraźniej uciekła pociągiem. Łóżka były jeszcze ciepłe. Zgodnie z umową pojawili się jeszcze Meta i Oskar Brandt. Oni też woleli nie czekać na Rosjan w centrum. Brandtowie zostali sami, bo ich starszy syn Walter poległ, a młodszy, Günter, został w ostatniej chwili wcielony po tym, jak zdał przyspieszoną maturę. Nie wiedzieli, gdzie jest.

Wieczorem 30 stycznia 1945 r., we wtorek, dokładnie 12 lat po pamiętnym przejęciu władzy przez Hitlera w 1933 r. w Berlinie wszyscy zgromadzeni w mieszkaniu Lieschen Gäbel słuchali jego przemówienia jubileuszowego.

Mówił o Opatrzności i o trudnych godzinach próby dla narodu niemieckiego, o zobowiązaniu wobec przyszłych pokoleń, o czerwonych hordach i azjatyckim potopie, któremu trzeba się przeciwstawić w ostatniej chwili. Okrutny los, który spotyka dziś ludzi na Wschodzie, we wsiach i miastach, gdzie ludzie mordowani są w liczbie dziesiątek i setek tysięcy, zostanie odwrócony ostatecznym wysiłkiem mimo wszelkich niepowodzeń i trudnych prób, i tak dalej, i tak dalej!

Nagle dało się słyszeć potężną detonację, potem wstrząsy, to wysadzono mosty na Warcie.

Mimo późnej pory ktoś zadzwonił do drzwi. Olla otworzyła i wpadli na nią dwaj mężczyźni z nożem. Pasza złapał jednego za nogi. Pasza, który nigdy w życiu nie zaatakował człowieka, chyba instynktownie wyczuł grozę sytuacji. Hartmut zaczął krzyczeć. Inni stali jak skamieniały na schodach.

Mężczyźni zerwali Olli z rąk wykonany przez Ernsta Schmeltera pierścionek z akwamaryną oraz obrączkę ślubną. I zniknęli tak szybko, jak się pojawili. Pewnie byli to uwolnieni robotnicy ze Wschodu. Nie było już ani policji, ani żadnej siły porządkowej. Pozostała ludność, starszankowie, kobiety i dzieci, byli wydani na pastwę losu. Meta Brandt najszybciej zrozumiała, co się stało. Nakazała wszystkim, by zdjęli wszelką biżuterię. W kuchni tego obcego mieszkania była jeszcze murowana kuchenka na węgiel. Całą biżuterię ukryli wśród popiołów.

Z okna widać było jeszcze przebiegających raz po raz niemieckich żołnierzy szukających swoich jednostek. Poza tym nie było nikogo. Co najmniej w tym momencie dla wszystkich stało się jasne, że nigdy nie będzie już tak, jak było. Jeśli w ogóle będzie jakaś przyszłość.

Do południa 31 stycznia nic się nie wydarzyło. Na Adolf-Hitler-Straße nie pojawił się ani jeden człowiek. Domy były puste. Uciekło więcej ludzi, niż można się było spodziewać. Wokół była ziemia niczyja. Oddziały niemieckie zdążyły już wycofać się na zachód, Rosjanie jeszcze nie weszli. Z oddali słychać było artylerię, choć tym razem już z zachodu. Można było przypuszczać, że Rosjanie najpierw otoczyli Landsberg, chcąc go zdobyć.

Jakiś mężczyzna z ogromnym bagażem przebiegł z jednej strony ulicy na drugą. Krzyknął do Lieschen Gäbel: „Niech pani idzie do mleczarni po masło. Wszystko jest otwarte i można zabierać, tylko trzeba się pospieszyć”. Ulrich i Harmut pobiegli na Kladowstraße. Mleczarnia znajdowała się na skos od ogrodu ich rodziców. Zdobyli jeszcze 40 kostek masła. (...) Było tam bardzo tłoczno, bo wszyscy, różnymi narzędziami, próbowali odciąć sobie jeszcze jak najwięcej twardego jak kamień masła.

Lieschen Gäbel przygotowała obiad na zimno. Brandtowie, panna Gäbel i Olla z obydwojma chłopcami siedzieli przy stole. Nagle dało się słyszeć silne uderzenia w drzwi wejściowe, potem w drzwi od mieszkania. Nikt nie prosił o to Hartmuta. Sam pobiegł i je otworzył. Rosjanie jednocześnie wyważyli je ramionami. Dwaj z nich mijając Hartmuta wpadli przez otwarte drzwi do jadalni. Jeden miał w ręku pistolet, drugi, dwa metry za nim, karabin gotowy do strzału.

Najwyraźniej zaskoczeni widokiem rodziny spokojnie jedzącej obiad zatrzymali się na środku pokoju. Pierwszy przyjrzał się wyposażeniu mieszkania, które jemu, czerwonoarmiście z Ustu, Omska albo Tomska, musiało wydawać się własnością kapitalistów i wyzyskiwaczy, a potem, kierując pistolet w stronę stołu, zapytał łamaną niemieczyzną, a przynajmniej można było domyślić się, że pyta o to, czy wszyscy tutaj są z SS. Olla najwyraźniej zaczęła szukać rosyjskich słów, które najlepiej odwróciłyby to podejrzenie.

Oskar Brandt nie zrozumiał jednak pytania, i odrzekł: „tak, dzięki Bogu, właśnie jemy”, i poprosił rodzinę, żeby na cześć Rosjan podniosła się z krzeseł i zaprosiła ich do stołu. Już ustawiał dla nich krzesła. Zaproszenie zostało odrzucone niecierpliwym gestem. (...) Padło pytanie, czy w domu lub na nieruchomości znajdują się niemieccy żołnierze. Jeśli gdzieś się tu ukrywają, to peng, peng, peng – Rosjanin kierował pistolet na każdego po kolei. Olla wszystko rozumiała, ale ze strachu chyba zapomniała rosyjskiego.

Obaj Rosjanie zniknęli. Przez resztę dnia i całą następną noc panował spokój. Wszyscy leżeli w ubraniach na swoich łóżkach. Ale potem się zaczęło. Adolf-Hitler-Straße – Lieschen Gäbel zaproponowała, żeby znowu nazywać ją Heinersdorfer Straße, jak przed 1933 r., ożywiła się ruchem rosyjskich ciężarówek. Raz po raz zatrzymywały się pojedyncze samochody i czerwonoarmiści wpadali w grupach po 3, 4 ludzi. Nie zatrzymywali się, żeby zadzwonić do drzwi albo zapukać. Przemocą wyważali drzwi. Wszyscy działali niemal identycznie. Jeden z Rosjan trzymał mieszkańców w szachu karabinem gotowym do strzału, a pozostali wyrwali wszystko z szaf krzycząc: „uri, uri”. W pośpiechu sprawdzali nadgarstki, na palcach szukali pierścionków. „Musika, musika?” pytali pokazując, jakby grali na harmonijce ustnej, którą też by chętnie wzięli. Szybko można było się zorientować, że były to wojska frontowe. Nie mieli czasu, musieli zabezpieczać się ze wszystkich stron, żeby nie wpaść w pułapkę.

Byli to ludzie o azjatyckich rysach twarzy, krępi, krótkonodzy, mongoloidalni. Dziwnie wyglądające rasy. Przez te pierwsze dni niemal nie było słycać wołania „Frau, Frau”. Ci żołnierze nie mieli czasu, musieli pędzić dalej.

Zaraz potem pojawiła się jednak tylna straż piechoty. Znowu postacie z azjatyckiej części Związku Sowieckiego. Europejskie twarze mieli co najwyżej oficerowie, którzy jednak tak samo wołali „uri, uri” i wywracali szuflady, nie robili tego jednak w takim pośpiechu. Starali się zachowywać bardziej dystyngowanie, ale za to z arogancją. Żądali złota, kobiety i pozostałych jeszcze starszych mężczyzn przypierali do ściany, żeby ich przeszukać. Już w dzień po wejściu Rosjan nie było ani światła, ani gazu, ani wody. Lieschen Gäbel wiedziała, że na Steinstraße (ul. Mickiewicza) była uliczna pompa wodna, przykrywana na zimę słomą i drewnianą okładziną, żeby nie zamarzła. Nie było rady. Woda była potrzebna. Zapadła decyzja, że Ulrich i Hartmut pójdą z wiadrami do tej pompy, żeby zobaczyć, czy można z niej czerpać wodę. Stali w kolejce za grupą starszych ludzi. Woda była. Chłopcy biegali kilka razy w tę i z powrotem, żeby przynieść

jej na zapas. Lieschen Gäbel zdecydowała, że będą korzystać z wychodka przy starej stodole, bo nie da się przynieść tyle wody, żeby można było nią splukiwać klozety w domu.

Na drzewach pojawiły się pierwsze obwieszczenia sowieckiej administracji wojskowej. Jedno z nich brzmiało: „Wszystkie odbiorniki radiowe należy wystawić na ulicę. Niespełnienie tego zarządzenia lub korzystanie z odbiorników radiowych jest zabronione pod groźbą kary śmierci”. Tymczasem i tak nie można było słuchać radia, ponieważ brakowało prądu. Niecodziennie wyglądające radio Lieschen Gäbel z widocznymi na zewnątrz rurami zostało wystawione na mur oddzielający ogród od ulicy, podobnie z „ludowym odbiornikiem” rodziny Preuß. Drugie zarządzenie brzmiało: „Wszyscy narodowi socjaliści i członkowie partii mają natychmiast udać się do jednej z restauracji przy Bahnhofstraße w celu zarejestrowania się”. Również tu za nieposłuszeństwo groziła kara śmierci. Oskar Brandt, szeregowy członek partii, sam chciał zobaczyć to zarządzenie. Kiedy na ulicy zrobiło się spokojnie, pobiegł do jednego z drzew przy Steinstraße, które wskazały mu dzieci. Przekonał się, że była to prawda, a przy okazji zobaczył jeszcze jedno zarządzenie, że zgłosić mają się także wszyscy członkowie Volkssturmu. Ponadto wszystkim mieszkańcom, którzy nie byli członkami sowieckich władz okupacyjnych, zabroniono wychodzenia z domów i mieszkań między zachodem i wschodem słońca. Zapowiadano strzelanie bez ostrzeżenia. Oskar Brandt bardzo się zdenerwował. „Muszę natychmiast iść na Bahnhofstraße”. Olla odrzekła: „Nigdzie nie będziesz się meldował. Nikt nie wie, że byłeś w partii i w Volkssturmie. W partii płaciłeś tylko składki, żeby nie przestali ci przysyłać towaru do sklepu; w Volkssturmie nie oddałeś nawet strzału. Kiedy strzelaliśmy do tarczy u nas w ogrodzie, nie potrafiłeś nawet trafić do tarczy, nie mówiąc już o dziesiątce”. Nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo coraz częściej do domu wpadały plądrujące grupy Rosjan. Nieliczne zamieszkałe jeszcze domy rozpoznawali szybko po dymiących kominach, niezamarzniętych oknach i drzwiach zamkniętych w obawie przed chłodem. Wszystkie drzwi opuszczonych domów były wyważone, okna w parterowych mieszkaniach najczęściej wybite. Podobnie niemal wszystkie okna wystaw sklepowych.

Po kilku dniach zaczęli gromadzić się żołnierze zaplecza. Rosjanie docierali najwyżej do Odry, do Kostrzyna, nie dalej. Po przełamaniu linii niemieckiej obrony wojska niemieckie znów się sformowały. Nie sprawdzały się namalowane na domach hasła: „Gitler kaputt” i „Dzisiaj tu, jutro w Berlinie”.

Gerda przyszła piechotą ze swojej wioski. Przecież Olla potrzebuje jej pomocy. Ojciec wysłał ją do pracy, żeby się nie leniła. Rower Rosjanie zabrali jej od razu. Z pewnością została także zgwałcona. Kobiety nie rozmawiały o tym. Bardzo się tego wstydziły. Nawet jeśli zdarzyło się to kilka razy i było widoczne gołym okiem, zaprzeczały kategorycznie.

Tego samego dnia na Heinersdorfer Straße pojawił się jubiler Eduard Bartsch ze swoją żoną Martha i plecakiem na plecach. Olla domyślając się odpowiedzi, zapytała co jest w środku. Wszystkie towary z mojego sklepu, przynajmniej to,

co najcenniejsze. Rosjanie próbowali wprawdzie po wkroczeniu do miasta dostać się do bunkra w piwnicy, w którym zabarykadował się z żoną, ale nie byli w stanie otworzyć stalowych drzwi. Po trzech dniach postanowili oczywiście nawiązać kontakt z ludźmi i zobaczyć światło dnia. Poza tym obiecywali sobie pewien zakres bezpieczeństwa dzięki Olli znajomości rosyjskiego. Zakrawało na cud, że obojgu udało się bezpiecznie przejść przez opanowane przez szabrowników miasto i park miejski aż pod Zanziner Wald. Olla aż krzyknęła, to jest szaleństwo. Trzeba natychmiast wszystko zakopać. Ale gdzie? W ogrodzie leżał śnieg, ziemia była zamrożona. Poza tym był widoczny jak na dłoni. Do domu Lieschen Gäbel dobudowana była stodoła. Tam wyrwano z podłogi leżące luźno cegły i szybko wykopano dół. Trafił do niego cały plecak, ziemię ponownie obłożono cegłami. Wszystko to przykryto jakimś gratami. Bartschowie opowiadali, że wszystkie domy i sklepy w centrum zostały splądrowane, niektóre domy spalone, a wiele, aż do rynku, cały czas płonie. Ale zarówno ich dom, jak i Olli, jeszcze stały. Z Paszą na smyczy Ulrich i Hartmut pobiegli na Richtstraße, wciąż zatrzymywani przez Rosjan wołających „uri, uri”. Niektórzy z dumą pokazywali przedramiona, na których jeden pod drugim założone były zegarki.

Przeszli przez Rosenstraße (ul. Stara). Brama, która zawsze była zamknięta, teraz stała otworem. Hartmut mógł wreszcie zobaczyć, co znajduje się za tym tak strzeżonym wjazdem. Krzyk! Na podwórzu leżał zabity mężczyzna w cywilu. Czaszka rozbita na dwoje, masa mózgowa na zewnątrz. Odłamana kolba karabinu na piersi. Źrenice ciemnych oczu skierowane na zewnątrz. Był to pierwszy martwy człowiek, którego Hartmut zobaczył w życiu; najwyżej kilka sekund wystarczyło, żeby zapamiętać szczegóły. Już od poczty widzieli, że ich dom jeszcze stoi. Wszystkie wystawy były rozbite, drzwi do domu i do sklepu wyłamane. W sklepie dwóch cywilów, najwyraźniej zwolnionych robotników przymusowych, poszukiwało jakichś przydatnych rzeczy. W sklepie, tak jak w całym domu, wszystko było powyrzucane z szaf. Ulrich szukał swojego akordeonu, który zwykle stał koło sofy w pokoju mężczyzn, ale tym razem już go tam nie było. O ile można było to ocenić w tym bałaganie, był to jedyny przedmiot, który zniknął. Nie spełniła się nadzieja Olli, że ten wysoce pożądanym instrumentem stanie się dobrym obiektem na wymianę. Z szopy w ogrodzie zginęły także rowery. Płonęło coraz więcej domów. Nikt o nie nie dbał. Któż miałby to robić?

Do Rosjan przyłączyła się jeszcze armia uwolnionych robotników przymusowych. Byli to Rumuni, Bułgarzy, Francuzi, Holendrzy i oczywiście Polacy. Prawdziwi Polacy, i tacy, którzy dotychczas robili wszystko, żeby uznano ich za Niemców, a teraz nagle twierdzili, że zawsze byli narodowości polskiej. Kilka osób biegających z białymi opaskami i napisem „Polska” mogło naprawdę budzić zdumienie. Robotnicy mieli z Rosjanami własne problemy. Ci ostatni nie byli bowiem w stanie stwierdzić, kto jest Niemcem i tylko udaje obcokrajowca, żeby zapewnić sobie lepsze traktowanie. W końcu problem został rozwiązany korzystnie dla robotników. Wszyscy byli młodzi, co najwyżej w średnim wieku. Niemcy, którzy nie uciekli, to byli najczęściej starcy, kobiety i dzieci. Rosjanie

i robotnicy przymusowi plądrowali ręką w rękę. Robotnicy, podobni do hien lub padlinożerców, tylko z ostrożności dawali Rosjanom pierwszeństwo. Ich kolej przychodziła, kiedy tamci się już obsłużyli i byli w bezpiecznej odległości.

Rosjanie nie mogli przedostać się przez odległą o jedynie 40 km od Landsbergu Odry. W nielicznych zamieszkałych przez Niemców domach wyglądało jak w gołębnikach. Rosjanie wpadali i wypadali, dzień i noc. Było coraz więcej zgwałceń. Oddziały, które nie stacjonowały bezpośrednio na wschodnim brzegu Odry, znajdowały sobie najchętniej kwatery tam, gdzie było dużo Niemców. Były dwie metody. Albo zaczynało się od krzyku: „Raus, raus, dawaj, dawaj”. Człowiek znajdował się wtedy na ulicy z tą częścią dobytku, którą jeszcze udało mu się chwycić. Rosjanie doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że ludzie będą próbowali szybko wyjść z ukrycia to, co najcenniejsze – i już można było im to zabrać! Albo upychało się Niemców w jednym czy dwóch pokojach, musieli gotować dla Rosjan, robić im pranie i palić w piecach. Był jeszcze jeden wariant metody pierwszej, który polegał na tym, że wypędzało się przerażonych Niemców z domu krzykami „dawaj, dawaj”, zabierało im powyciągane z ukrycia najcenniejsze przedmioty, a potem ze śmiechem i słowami: „du raboti!” kierowało z powrotem do domu. Olla wołała drugą metodę, więc przekonywała Rosjan, że wszyscy w rodzinie potrafią świetnie gotować, „oczen charaszo”, jak u mamy, cerować mundury i przyszywać guziki. Tutaj trzeba było bardzo uważać. Mundury, a szczególnie brudna bielizna, pełne były wszy.

Natomiast zalet było wiele. Po pierwsze można było zaryzykować i wszystkie wartościowe rzeczy pozostawić w ukryciu. Poza tym kwatera w dzień wykorzystywana była albo na ćwiczenia, albo do zdobywania żywności, a kobiety mogły nastawić się psychicznie na konkretnego Rosjanina, dzięki czemu łatwiej było uniknąć zgwałceń. Najczęściej przed domem Rosjanie zostawiali strażnika, który powstrzymywał swoich kolegów będących akurat w wyprawie szabrowniczej lub poszukujących kobiet. Był to tak zwany pies podwórzowy. Tymczasem w domu Lieschen Gäbel mieszkała ona sama, Olla z oboma chłopcami, rodzina Bartschów, Brandtowie, Gerda i jamnik Pasza. Nigdy się nie rozbierali. Zakwaterowani Rosjanie bardzo często mieli zatargi między sobą. Szczególnie wtedy, gdy byli pijani. W gorzelni braci Groß na Wollstraße zdobyli setki, jeśli nie tysiące litrów alkoholu, podobnie jak w lokalnych gorzelniach przy okolicznych majątkach. Przynosili wszystko w kanistrach po benzynie i pili z filiżanek albo piersiówek. Ilości, jakie spożywali, zabiłyby każdego cywilizowanego człowieka. Sowietci nie zwracali uwagi na grupy etniczne. Mongołowie kłócili się z Tatarami, a tamci z kolei z Kirgizami. Kozacy z Kałmukami. Bili się między sobą straszliwie. Oficerami byli najczęściej Rosjanie, którzy nierzadko musieli własnym żołnierzom grozić pistoletami, albo wręcz strzelać w powietrze. Olla próbowała rozmawiać ze starszymi oficerami, którzy w większości służyli jeszcze pod carem, żeby dowiedzieć się, co nowego. Szybko przekonała się, że musi być bardzo ostrożna ze swoim rosyjskim. „Ty ruski? Ty szpion!” Młodszy

oficerowie byli całkowicie zindoktrynowani. Starsi często ostrzegali Ollę: „Uważaj, to jest Żyd, on was nienawidzi, to jest komunista”. Niemal wszyscy młodszy czerwonoarmiści opowiadali o zabitych członkach swojej rodziny. Siepacze z SS popełniali najgorsze zbrodnie, zamęczali im rodziców i rodzeństwo, zabijali kulami lub w inny sposób. Zwracała uwagę częstość tych pełnych nienawiści wypowiedzi. Olla dwa razy poważyla się spytać, gdzie dokładnie miały miejsce wszystkie te zbrodnie? Najczęściej wymieniano okolice Swierdłowska i Permu. Ależ to jest przecież pod Uralem, a o ile ona wie, zbrodniczy faszysta dotarł tylko do Wołgi i Donu, czyż nie? Wymyślali jej od kłamców i hitlerowskich świni. Kiedy któregoś razu w takich opowieściach z ust sowieckiego żołnierza o mongolskich rysach padła nazwa Gorki, czyli dawniejszego Niżnego Nowogrodu, a nawet Leny we wschodniej Syberii, a zaraz potem uwaga, że Olla i tak nie będzie wiedziała, gdzie to jest, Olla zaś powtórzyła swoje pytanie, żołnierz przyłożył jej do czoła lufę karabinu maszynowego mówiąc: „Wesdor, gitlertaj” („Bzdura, hitlerowskie kłamstwa”). Od tego momentu przestała zadawać takie pełne krytyki pytania, a zamiast tego powątpiewała w swoją znajomość rosyjskiej geografii. Była to najwyraźniej stalinowska indoktrynacja, a potem jeszcze pojawiło się nazwisko Ilji Ehrenburga. Padało ono często w goebbelsowskiej maszynie propagandowej, kiedy oddziały rosyjskie zbliżały się do granicy Prus Wschodnich, a Goebbel informował, jakie słowa Ehrenburg przekazał na drogę sowieckim żołnierzom: „Niemcy zawsze byli wilkami i nimi pozostaną. Nawet w obliczu klęski nie są zdolni do skruchy, to arogancy, zaślepieni w swej rasistowskiej ideologii rasy panów. Przyszedł czas rozliczenia. Berlin nie zapłacił jeszcze za cierpienia Leningradu. Niemieckie kobiety wywołują w nas tylko jedno uczucie, uczucie obrzydzenia. Pogardzamy nimi, ponieważ są matkami, żonami i siostrami katów. Zapamiętaj, żołnierzu, tam, w Niemczech, kryje się Niemiec, który zamordował twoje dziecko, zgwałcił twoją żonę, narzeczoną i siostrę, zastrzelił twoją matkę i twojego ojca i spalił twój dom. Krew naszych poległych w walce towarzyszy, cierpienia pomordowanych, krzyki pochowanych żywcem, nieukożone łzy matek wzywają was do bezlitosnej zemsty”. Były to słowa zawarte w rozkazie dziennym z 16 października 1944 r., kiedy zaczęła się rosyjska ofensywa w Prusach Wschodnich! Rosjanie maszerowali po Landsbergu z odezwą Ilji Ehrenburga w tornistrze: „Zabijajcie, mężczyźni czerwonoarmiści, zabijajcie! Nie ma niewinnych Niemców. Słuchaj rozkazów towarzysza Stalina i zgnieć faszystowską bestię w jej jaskini. Przemocą złam rasową pychę germańskich kobiet, bierz je jako swoją zasłużoną zdobycz. Zabijajcie, mężczyźni czerwonoarmiści w swym marszu do przodu, zabijajcie!” Szczególnie nocą słychać było krzyki ściganych i gwałconych kobiet, z domów, w których zbierali się Niemcy. Nikt nie mógł im pomóc. Godzina policyjna, ciemność na ulicach. Z okien było widać płomienie strzelające z domów ku niebu. Każdy miał nadzieję, że dziś ten gorzki kielich ominie jego dom.

Olla i inne kobiety pudrowały sobie włosy na białą, w cenie były czarne chusty na głowę i postarzające okulary. Poszukiwane były też laski i kule, aby można

było chodzić o nich kulejąc, kaszląc, z głęboko pochylonymi plecami, gdy tylko do domu wchodziłi czerwonoarmiści. Ulrich namalował tablice z dwoma piszczałkami i trupią czaszką: „Tyfus”. Przymocowano je do drzwi. Kobiety uszyły opaski z czerwonym krzyżem. Jednak wkrótce Rosjanie przestawali się nabierać na takie sztuczki. Jeden z nich przejechał obiema dłońmi po głowie Olli, tak że puder posypał się na wszystkie strony. Nawet suchotniczy kaszel go nie powstrzymał. W porównaniu z kobietami, dziećmi i starszymi ludźmi mężczyźni ci wydawali się mieć wręcz niedźwiedzią siłę.

Zakwaterowania dawały relatywne bezpieczeństwo na kilka dni, potem żołnierze musieli jechać dalej. Próbowano zaryglować drzwi belkami wspornikowymi, podkładać je między kłankę a pierwsze stopnie schodów. Rzeczywiście na początku powstrzymało to Rosjan. Kiedy jednak sforsowali drzwi, biegli najpierw na dół, do mieszkania Lieschen Gäbel. Kiedy przekonywali się, że jest puste, biegli na górę. Dzięki temu kobiety miały czas, żeby uciec przez okno sypialni górnego mieszkania na dach dobudówki. Ulrich i Hartmut zamykali okna od środka. Pozostawiali więc tylko Oskar Brandt, Eduard Bartsch i dzieci Olli, oraz Pasza, który chciał rzucić się Rosjanom do szyi. Hartmut musiał cały czas trzymać go siłą na kolanach i przytrzymywać pysk.

Na pytanie: „Gdzie kobiety?”, odpowiadali zawsze: „rabota, rabota”. Kiedy rozczarowani Rosjanie znów wymiatali wszystko z szaf i znikali, przychodził czas czekania na następnych.

Ulrich i Hartmut odważyli się na jeszcze jedną wyprawę na Richtstraße, po tym, jak Eduard Bartsch poszedł do swojego domu i wyrzucił na ulicę wrzucaną z rosyjskiej ciężarówki płonąca wiązkę siana.

Przednia część ich rodzinnego domu była spalona, boczne skrzydła jeszcze płonęły. Chłopcy widzieli jeszcze, jak ogień polyka firanki w ich pokoju. Można sobie wyobrazić, co czuli.

Pozostałe budynki na Richtstraße, ale także na ulicach równoległych, Luisen- i Wollstraße, albo zamieniły się już w popioły, albo także płonęły jak świece. Kiedy ruiny wszystkich domów na Richtstraße znalazły się na ulicy, a wraz z nimi na całej długości leżały przewody trolejbusów, nawet Rosjanie nie mogli już przejść. Nie można było patrzeć, jak próbowali przejechać wozami przez ruiny, jak bezlitośnie bili biedne konie, kiedy koła zaplątały się gdzieś między przewodami albo zwierzęta bały się przejść z powodu gorąca i ognia.

Hartmut zobaczył wypalony budynek tuż obok poczty, w którym swoje zakłady mieli fryzjer Klitzkowski i producent opasek Reisch. Myślał sobie przy tym: „Dobrze ci tak, ty stary osłe”. Klitzkowski obraził go kiedyś śmiertelnie. Hartmut do prawie piątego roku życia nosił fryzurę „na pazia”. Proste włosy spadały mu po bokach na uszy, czoło zdobiła długa grzywka. Rodzice wreszcie zdecydowali się obciąć mu te włosy. Często było słyhać pytanie: „Czy to chłopiec, czy dziewczynka?” Rodzice uważali, że to zabawne. Hartmut wręcz przeciwnie. Albert zaprowadził syna do Klitzkowskiego, wyjaśnił, o co chodzi, i zniknął. Hartmut musiał czekać. Kiedy przyszła jego kolej, golarz powiedział głośno, tak, aby słyszeli

wszyscy klienci: „Właściwie jestem fryzjerem męskim, panienko. Ale dla ciebie zrobię wyjątek”. Hartmut nigdy mu tego nie wybaczył.

Centrum Landsbergu zostało podpalone, pomimo że Rosjanie weszli do niego praktycznie bez walki. Przyczyną mogła być obawa Rosjan przed pułapkami w wąskich uliczkach. Przez centrum przechodziło zaopatrzenie, cały czas prosto, szosą Reichsstraße 1. Do tego dochodziła z pewnością nieokiełznana wściekłość, że nie dotarli jednak tak szybko do Berlina, i że „Gitler” ciągle jeszcze nie był „kaputt”.

Ulrich i Hartmut przebili się przez płonące domy do Luisenstraße. Mieli zobaczyć, czy dom Brandtów jeszcze stoi. Oskar Brandt obawiał się iść sam. Dom był nietknięty. Okna były pobite, wszystko splądrowane, jak wszędzie. Józef, polski robotnik przymusowy, siedział w zimnie w tylnym warsztacie i walił młotkiem po trójnogu naprawiając buty. Znał obu chłopców z pracy w ogrodzie na Kladowstraße. Powiedział, że pracuje dla sklepu. I że nie wie, co innego ma robić. I że kiedy wojna się skończy, wróci do Polski, do swojej ziemi rodzinnej, o ile jeszcze coś tam jest.

Powrót do domu miał się okazać bardzo smutny dla chłopców. Poszli Luisenstraße w kierunku Mühlenplatz (plac Młyński). Tutaj domy jeszcze nie płonęły.

Z drugiej strony rodzinnego domu zobaczyły ich siostry Weiss, dwie stare panny. Chłopcy nie byli ich ulubieńcami. Często żartowali sobie w ten sposób, że małymi lusterkami odbijali światło słoneczne prosto w okna obu pań, na co one szeroko je otwierały krzycząc: „Cóż to za niewychowane bachory!”. Teraz zeszyły na ulicę i płacząc przeraźliwie cieszyły się, że widzą jakieś niemieckie twarze. Opowiadały, że widziały, jak płonęła przednia część budynku z zakładem Photo-Meyer, jak ogień przedostał się na boczne skrzydła, gdzie płonie do tej pory. Pokazały im trupa po drugiej stronie ulicy. Był to krawiec męski, który upił się i wyszedł na spotkanie wkraczającym Rosjanom z białą flagą w rękę. Ci zaś zastrzelili go, a potem przejechali czołgami jadącymi dalej na zachód. To są pozostałości po nim, nikt nie jest gotów pochować tego, co po nim zostało. Był to stary mistrz krawiecki, wdowiec, który w 1943 r. uszył Ulrichowi garnitur do konfirmacji. Opowiadały dalej, że rodzina König, starsze małżeństwo, i ich dwie niezamężne córki, otruli się gazem przed wkroczeniem Rosjan. Königowie mieli duży sklep kolonialny na rogu Richtstraße i Wollstraße. Na skos od Photo-Meyer. W dniu, w którym Olla przeprowadziła się z chłopcami na Adolf-Hitler-Straße, Hartmut dostał od nich dwa pudełka z ciastkami. Rozdawali wszystko, co mieli jeszcze do jedzenia. Ich dom płonął teraz jak świeca, chowając ciała całej rodziny. Siostry Weiss całkiem zapomniały o wielu latach kłopotów z dwoma urwisami z Photo-Meyer.

Na Heinersdorfer Straße, na wysokości Röstelstraße (ul. Krzywoustego), była piekarnia. Przed nią wciąż jeszcze leżeli obaj martwi cywile oparci o zaspe śnieżną, których obaj chłopcy widzieli z drugiej strony ulicy przed kilku dniami, gdy pierwszy raz szli ku Richtstraße. Doświadczenia tych dni dodały chłopcom

odwagi. Przeszli na drugą stronę. Byli to mężczyzna i kobieta. Ich kieszenie były wyciągnięte na zewnątrz, okradzione. Twarze czerwono-fioletowe. Oczy szeroko rozwarłe, wielkie źrenice. Chodźmy dalej, powiedział Hartmut, patrząc na nas z takim przerażeniem.

Przeszli obok domu cioci Julki. Wszystkie drzwi były otwarte. Zastanawiali się – wejść, czy nie? Nie, sióstr na pewno nie ma już w domu, przecież nie trzymałyby otwartych drzwi w taki ziąb. Pod wpływem złych przeczuć postanowili sprawdzić wszystko jutro. (...)

Ulrich i Hartmut wyruszyli następnego przedpołudnia razem z Paszą do mieszkania cioci Julki. Wszystkie drzwi wewnątrz kamienicy były wylamane, także drzwi cioci Julki na drugim piętrze. W mieszkaniu panował bałagan; tak jak wszędzie indziej na ziemi leżała porozrzucana cała zawartość szaf. Obie siostry spełniły to, co zapowiedziały. Powiesiły się na oknie w sypialni. Ulrich i Hartmut nie mogli oderwać od nich wzroku. Widzieli już zwłoki w znacznie gorszym stanie. Ale to była ciocia Julka i jej siostra. Znali je, kochali. Tutaj wisiała ciocia Julka (...), którą przecież przed kilkoma miesiącami „poślubił”, nie, nie, to niemożliwe. Chłopcy zbiegli ze schodów, do domu, przekazać złe wieści. Z sąsiedniego budynku wyszedł starszy mężczyzna. Gówniarze, pewnie szabrowaliście! Nie, chcieliśmy tylko odwiedzić ciocię Julkę. Obie nie żyją. Macie na myśli siostry Wendt? Jesteście ich krewnymi? No, właściwie to nie, ale z drugiej strony przecież tak. Tak, tak, właśnie chciałem je zdjąć, to były takie miłe panie. Ale nie dam rady sam. Trzeba je pochować. Jeśli to wasze ciotki, to musicie mi pomóc. Pochowamy je na podwórku. To chrześcijański obowiązek. (...) Najpierw musimy wykopać grób, powiedział starzec. Za trzepakiem jest ogródek warzywny, tymczasowy, na czas wojny. Tu będziemy kopać, bo ziemia jest bardziej miękka. Przesunął śnieg na bok. Ulrich dostał do ręki łopatę. Sąsiad ciotki Julki spulchniał zamarznąłą ziemię, Ulrich musiał wynosić luźne kawałki ziemi. (...) Hartmut próbował przetrzucać na bok większe grudki. (...) Cała trójka musiała pójść potem do mieszkania cioci Julki. (...) Najpierw znieśli, ściągnęli, siostrę cioci. Ułożyli w grobie. Były już martwe co najmniej od tygodnia, stężenie pośmiertne już minęło. (...) Potem przyszła kolej na ciocię Julkę. No już, już, są gorsze rzeczy niż martwi ludzie. Grób miał nie więcej niż 70-80 cm głębokości. Zakopali je. Hartmut krzychał: nie, nie, nie możemy przecież po prostu rzucać tej zimnej ziemi prosto na nie. Poszukam jakiejś deski. (...) Z mieszkania na parterze zabrał pikowaną kołdrę, którą położyli niczym poduszki na skręcone ciała leżących w grobie sióstr. Na to ziemia, na koniec zamarznęte bryłki. Powstało małe wyniesienie. Powinniśmy właściwie udeptać grób, ale nie potrafię tego zrobić, powiedział sąsiad cioci Julki. Wyrównał go jeszcze tylko powierzchnią łopaty. I to wszystko. Zrobię krzyż z drewna, dodał jeszcze. Chłopcy nie poruszali się, nie płakali, milczeli, sami byli niczym martwi. Aż do chwili wejścia Rosjan żaden z nich nie widział martwego człowieka, a teraz coś takiego! (...) Jednak to traumatyczne doświadczenie szybko znalazło się w cieniu kolejnych wydarzeń.

Ulrich wpadł na pomysł, żeby zastawić szafą drzwi składziku w górnym mieszkaniu Lieschen Gäbel, tak żeby łatwiej było schować tam rzeczy. Do tego w razie napadu Rosjan kobiety mogłyby łatwiej się schować w tym małym pomieszczeniu i nie musiałyby uciekać w mróz przez okno sypialni na dach. (...)

Wychodzenie na ulicę było coraz bardziej niebezpieczne. (...) Ulice stały się zakazane nie tylko dla kobiet, ale także dla starszych mężczyzn i dla młodzieży. Ulrich też nie powinien się już być pokazywać na ulicy. Kiedy do domu wpadali Rosjanie, znikał razem z kobietami na dachu albo w kanciapie.

Oznaczało to, że w takim przypadkach w mieszkaniu pozostawał tylko Hartmut, na swoim miejscu w fotelu. Musiał trzymać Paszę mocno za pysk, żeby pies nie rzucił się na Rosjan. (...) Wszyscy inni siedzieli w ukryciu w kanciapie i słuchali, co działo się w mieszkaniu, czekali, aż sytuacja się oczyści. „Gdzie kobiety, gdzie kobiety?” Hartmut odpowiadał lapidarnie: „Nic kobiet, nic kobiet”. (...)

Jeśli chodzi o dokwaterowania, to nie można było być pewnym dnia ani godziny. Nie było żadnych ostrzeżeń. Żołnierze wpadali wtedy w grupie 10-12 osób do domu. Jeden przyciągał amerykański kanister na benzynę wypełniony jakimś bimbrem. Inni wnosili z samochodu ziemniaki i chleb. Często pojawiali się z jakąś sarną czy zającem, czasem z zarekwirowaną gdzieś świnią. (...) Kobiety musiały gotować, ale dzięki temu były stosunkowo bezpieczne. (...)

Hartmut był jedynym, który mógł bez większego ryzyka kontaktować się z Rosjanami. Ogólnie rzecz biorąc, byli bardzo mili dla dzieci. Hartmut wyglądał na mniej niż swoje 10 lat, był też bardziej zuchwały i sprytny niż jego starszy brat. (...) W zasadzie tylko Hartmut był w stanie zdobyć jakieś jedzenie.

Wędrował przez puste mieszkania i piwnice. Czasem znalazł gdzieś jakieś weki. (...)

Kobiety mogły uniknąć zgwałceń tylko dzięki żelaznej dyscyplinie. (...) Za każdym razem po otwarciu drzwi trzeba je było barykadować na nowo. (...) Tymczasem minęły już trzy miesiące. Wojna wciąż jeszcze nie dobiegła końca. (...) Hartmutowi coraz trudniej było znaleźć coś do jedzenia. (...) W ogóle opuszczanie domu było już lekkomyślnością. (...)

Ulrich siedział najczęściej przy oknie na górnym piętrze, tak żeby móc ostrzegać, kiedy zbliżali się Rosjanie. (...) Pod koniec kwietnia stało się to, czego wszyscy tak się obawiali. Podjechały dwie ciężarówki. Wypadła z nich horda Rosjan. Poszło to szybko. Kobiety nie miały czasu się ukryć. Raus, raus, dawaj, dawaj. Olla próbowała podjąć jakieś negocjacje (...), wszyscy przeszli do ogrodu. Ogród od dawna był już wybrany na takie sytuacje. (...) Wszystkie domy stały puste. Dlaczego Rosjanie chcieli wejść właśnie do domu Lieschen Gäbel, nie wiadomo do dziś. (...) Olla przeszła z powrotem do domu. (...) Wyszedł oficer. Olla wyjaśniła mu, że jego ludzi trzeba porządnie zaopatrzyć, żeby mogli walczyć z tymi przeklętymi faszystami i żeby wojna wreszcie się skończyła. Machnęła ręką „Gitler kaput, Gitler kaput”. Ach, powiedziała Olla, to przecież tym lepiej, to w takim razie jego ludzie muszą zostać nagrodzeni za honorową walkę. (...) Oficer wezwał Kolię i (...) Wasylę. Dostali instrukcje: od jutra te

trzy kobiety mają wstęp do domu, żeby sprzątać i gotować. (...) Udało się, kobiety uratowały nawet biżuterię. (...) Do gotowania kobiety potrzebowały węgla. (...) Ale w węglu schowana była walizka ze znaczkami pocztowymi. (...) Wasyl siedział na straży na murku w ogrodzie. Kobiety wypełniły kosz węglem, wniosły aż do korytarza. Hartmut i Ulrich stali w ogrodzie, schowani za żywopłotem. Olga podeszła do Wasyla. (...) Dała radę donieść pełny kosz aż na korytarz. Ale jednak jest za ciężki, za dużo wzięła. Czy nie mógłby pomóc, jest przecież silny jak niedźwiedź. (...) Olla dała znak chłopakom, pobiegli do piwnicy, wyrwali wyjęty już z węgla kuferek i w czasie, gdy Wasyl niósł na piętro kosz z węglem, znaczki pocztowe były już w ogrodzie. (...) Dobrze 14 dni po przeprowadzce do budynków ogrodowych rodzina została obudzona wczesnym rankiem. (...) Na dworze słychać było huki wystrzałów i wycie. Rosjanie tańczyli jak szaleni, strzelali w powietrze, trąbili klaksonami ciężarówek, rzucaли w górę czapki. Przyjechały następne samochody, trąbiąc głośno. Prawdziwe święto radości. (...) Olla zapytała, coż to się na Boga stało, a potem przetłumaczyła pozostałym: „wojna się skończyła. Niemcy podpisały kapitulację”. (...) Obecni Niemcy stanęli bez ruchu. Czy mają się cieszyć? No dobrze, jeśli to prawda, to znaczy, że wojna wreszcie się skończyła. Ale co się stanie z nami? Zadawali sobie to pytanie. Oficer powiedział Olli, że powinna tańczyć, i pozostali też. Wyzwoliliśmy was, „Gitler kaput, wojna kaput”. Nikt z Niemców nie zaczął tańczyć. Nikt nie stał z kwiatami na ulicy, żeby witać wyzwolicieli, nikt ich nimi nie obrzucał, ani kiedy wchodzili, ani wtedy, 8 maja 1945 r. Niemcy pozbyli się wprawdzie Hitlera, ale stracili także swój dobytek, a tysiące młodych kobiet i dziewcząt także swą niewinność. Czy wyzwolenie nie powinno być raczej dobrym uczynkiem?

Wyzwolenie polegało na tym, że człowiek stawał się zwierzyną łowną, że panował terror, gwałt. O nie, nikt nie oszczędzał narodu niemieckiego podczas tego „wyzwalania”, był on zdany na samowolę zwycięzców w każdej, choćby najbardziej wyrafinowanej formie. (...)

Niemcy nie wiedzieli, co się z nimi będzie działo. Pierwsi uciekinierzy wracali tymczasem do Landsbergu. (...)

Psy obronne z naprzeciwka zostały odwołane. Oficer, który przez kilka tygodni miał baczenie na rodzinę, powiedział Olli, że musi ruszać do Berlina. Sowietci i Amerykanie mieli wymienić się jakimiś obszarami. Nie znaju, nie wiem, diabeł wie, o co chodzi. Poglądził Ollę po włosach. Puder wzbił się w powietrze. Wszystko będzie dobrze, powiedział pocieszająco do swoich trzech kucharek. Ciescie się wolnością. Doswidanija. (...)

W ogrodzie pojawiło się kilku Polaków. Przejmujemy wszystko. Macie się przeprowadzić z powrotem do głównego domu. Jest tam boczne skrzydło, możecie tam zamieszkać. Zakład ogrodniczy będzie ponownie uruchomiony. Już czerwiec, trzeba sadzić rośliny. Albo będziecie u nas pracować, albo znikajcie, ale szybko. (...) To wszystko jest teraz nasze, nie potrzebujemy żadnej legitymacji. Polski burmistrz już wam objaśni wasze obowiązki, mówił jeden z tych

Polaków. Nikt nie słyszał o żadnym polskim burmistrzu, spodziewano by się raczej rosyjskiego. Psy obronne z naprzeciwka niestety wyjechały już do Berlina, nie można było oczekiwać od nich pomocy. (...) Lieschen Gäbel chciała ponownie przejąć swój dom w posiadanie, jednak rosyjski okupant pozostawił go w stanie nienadającym się do zamieszkania. (...) Przenieśli więc pozostałości dobytku do domu robotników przy ogrodzie. (...) Polacy zmusili rodzinę do pracy w ogrodzie. Chodzili po sąsiednich domach i szukali kolejnych pracowników. (...) Rodzina dowiedziała się więc od innych niemieckich „robotników przymusowych”, co działo się w pozostałych dzielnicach miasta po kapitulacji Niemiec, kiedy Polacy zaczęli się rządzić. (...) Około 20 czerwca 1945 r. pojawili się Polacy w towarzystwie Rosjan. Oświadczyli, że tereny aż po Odrę przejdą w posiadanie Polski. Nikt nie chciał w to wierzyć. (...) Landsberg polski? Te rdzennie niemieckie ziemie? Przecież to stary Fryc kazał osuszyć nadwarciańskie bagna, sprowadzał dodatkowych kolonistów po wojnie trzydziestoletniej, mosty na Warcie zbudowano na jego rozkaz. Landsberg był przecież kwaterą główną księcia Henryka, brata Fryderyka Wielkiego. (...) O tym wszystkim dyskutowano w czasie pracy w ogrodzie. (...) Landsberg został założony przez Albrechta von Luge w 1257 r. Miastu nadano prawo magdeburskie. (...) W 1124 r. Otton z Bambergu nawrócił tu wszystkich na chrześcijaństwo. Słynny teolog Fryderyk Schleiermacher wygłaszał tu przez kilka lat kazania. (...) Landsberczycy postawili mu spory pomnik, zaraz koło kościoła Zgody. Ten kościół był współfinansowany przez Fryderyka I, zbudowany w 1696 r. A kościół Mariacki, czy nie pochodził z końca XIV wieku (...)? Landsberg leży w Brandenburgii. (...) I ma teraz być polski? – pytała Martha Bartsch w czasie pielienia sałaty. Prędeż mi tu kaktus wyrośnie, dodawała Meta Brandt. I chyba zaczynał rosnąć! Nikt nie słyszał o konferencji w Teheranie w listopadzie 1943 r. (...) Od 30 stycznia 1945 r. landsberczycy nie mieli radia ani gazet. (...)

Nowi panowie ogrodnictwa mówili, żeby „optować za Polską”. „Ale musicie być zdolni do pracy i udowodnić chociaż kroplę polskiej krwi w żyłach”. Nikt nie potrafił sobie przypomnieć jakiejś polskiej babci. I tak naprawdę nikt nie chciał. (...)

Rodzina składała się wówczas już tylko z Marty i Eduarda Bartschów, Lieschen Gäbel, Mety Brandt i Olli oraz obu chłopców. (...) Trzeba wyjechać. Wokół już sami Polacy. Odbyła się narada rodzinna. Bartschowie i Lieschen Gäbel postanowili, że jadą za Odrę. (...) Meta Brandt przyłączyła się do Olli i chłopców, którzy chcieli jeszcze jakiś czas wytrzymać. (...) „Rodzina” rozdzielała się we łzach. (...) Czy jeszcze kiedyś się zobaczymy? (...) Hertha Berns zarezerwowała dla Olli i jej najbliższych kuchnię w jednym z okupowanych mieszkań zamienionych w prowizoryczny szpital. Cała trójka i Meta Brandt przeniosły się na Bismarckstraße (ul. Łokietka). (...) Rodzina uzyskała oficjalny status pracowników szpitala. Było bezpieczniej. (...) Olla powiedziała do Mety Brandt, że coś musi się wydarzyć, bo inaczej zostaniemy z tymi Polaczkami. (...) Pójdę do rosyjskiego komendanta, ma siedzibę tu, naprzeciwko szpitala. Muszą nam udostępnić

samochód. Nie jesteśmy fizycznie w stanie przejść do Berlina piechotą. (...) Nie mówiąc już o tym, że po drodze zostaniemy tysiąc razy obrabowane i zgwałcone. Olla pamiętała o złotych monetach schowanych w ubraniu Hartmuta. (...) Pomyślała, jak porozmawiać, jak wszystko załatwić. Poszła do komendanta. (...) Wpuścili ją do niego. (...) Proponuję panu uczciwy interes, (...) oboje na nim zyskamy. Pan dostanie trzy złote zegarki, jeden złoty męski sygnet, ciężki złoty łańcuch i jeszcze dwie sztuki złota, a my całą rodziną, a wraz z nami jeszcze cztery pielęgniarki, uratujemy życie. Potrzebuję tylko ciężarówka, która przewiezie tych osiem osób ze szpitala (...) naprzeciwko do Berlina.

Jeden warunek: wygląda na uczciwego człowieka, więc przekaże mu teraz łańcuch jako zaliczkę, a jeśli podróż odbędzie się w ciągu tygodnia, dostanie resztę. Wszystkie pozostałe rzeczy dostaną kierowcy dopiero po drugiej stronie Odry. Przygotowania już podjęto. Jeśli nic złego się nie wydarzy, a my dotrzemy bezpiecznie do Berlina, to będzie mógł robić dalsze interesy ze szpitalem. (...) Komendant dostał złoty łańcuch. (...) Olla i Meta uszyły chłopcom plecaki z worków na ziemniaki. (...) Sakiewki znów wypełniono reichsmarkami. Hartmut, jako ten najmniej zagrożony, wziął jeszcze od Olli trochę biżuterii. (...) W plecakach znalazła się bielizna, dodatkowe buty, jedyne dwie niespalone rolki filmów ze zdjęciami rodzinnymi z 1929 i 1930 r., kilka metrów materiału z beli skradzionych firmie Berger z Berlina, a także haftowana zasłona jeszcze z ulicy Richtstraße. (...) Nie wiadomo, dlaczego zasłonę trzeba było zabrać do Berlina. (...) Każdy musiał mieć nóż, widelec i łyżkę oraz blaszany kubek na wodę. Hartmut (...) za nic nie chciał wziąć blaszanego kubka. Wezmę lepiej porcelanową filiżankę z zestawu z Richtstraße. Znalazł ją nieuszkodzoną w ruinach domu. (...) Nie będę pił jak jakiś ruski z blaszanego kubka. (...)

Teraz już tylko pozostało czekać na zgodę komendanta. I zgodził się, ale pod kilkoma warunkami! Zostanie podstawiona ciężarówka z dwoma kierowcami. Wyjazd za dwa dni, o 5.00 rano czasu niemieckiego. (...) Olla musiała podać nazwiska wszystkich, żeby można było przygotować dokumenty. Nie wolno ich wymieniać. Nie wolno zapomnieć kenkart! (...) Wszyscy, także dzieci, mają nosić opaski Czerwonego Krzyża. Na pytania mają odpowiadać, że są członkami Czerwonego Krzyża.

Był początek sierpnia. Ani Meta Brandt, ani Olla nie widziały przez cały ten czas swoich spalonych domów. Obie sądziły, że nie mogą wyjechać z Landsbergu nie odwiedzwszy raz jeszcze Richtstraße i Luisenstraße. Hartmut poszedł z nimi. (...) Najpierw odwiedzili Luisenstraße. Meta Brandt stała jak wryta. (...) Była ogłuszona, brakowało jej słów. Wreszcie powiedziała: „Tam, na górze, kiedyś mieszkałeś. Pamiętasz?” (...) Na Richtstraße przyjaciółki usiadły na ruinach w podwórzu. Bez emocji, prawie apatycznie, z niedowierzaniem. Po jakimś czasie Olla zaczęła snuć rozważania, niemal bez intonacji, jakby do samej siebie: „Meta, gdyby moja rodzina wywędrowała w 1907 r. z Wołynia do Ameryki, a moja mama siedziała już na spakowanych walizkach, to mój Boże, ominęłaby nas ta straszna pierwsza wojna w Kurlandii. Gdybyśmy my sami w 1919 r.,

co przecież poważnie rozważaliśmy, wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych albo Kanady, i gdybyśmy nie osiedlili się na Pomorzu, to nie musielibyśmy przeżywać okropieństw tej drugiej wojny. Zrobiliśmy wielki błąd. Powinniśmy byli uciekać w styczniu. (...) Kto mógł wtedy przypuszczać, że wojna potrwa jeszcze cztery miesiące i że na tak długo znajdziemy się za linią frontu? Nie wierzyłam ani przez chwilę goebbelsowskiej propagandzie; sądziłam, że znam Rosjan, Kozaków, Kałmuków. Oczywiście, że te pierwotne narody potrafią być okrutne (...), ale tak samo serdeczne i pełne współczucia, moja rodzina miała z nimi bogate doświadczenia. (...) Całkowicie pomyliłam się w ocenie sytuacji. Goebbels i Fritsche nie przesadzali, powiedzieli raczej zbyt mało. Co Stalin, co sowieci zrobili z tych narodów rosyjskiego imperium? Zwierzęta! (...) Gdyby Hitler nie zaczął całej tej historii z Żydami i nie otworzył w ten sposób „puszki Pandory”, to nie my siedzielibyśmy dziś na ruinach domu przy Richtstraße 30, tylko Glaserowie. (...) Jeśli dojedziemy jutro żywe do Berlina, to będziemy traktowane z pogardą, gwałcone, opluwane jako Niemki, jako naród. Nie możemy nawet zostać na tych naszych ruinach, wypędza się nas. (...) Niesiemy te wszystkie niepotrzebne rzeczy w naszych plecakach ku nieznannej przyszłości, do Berlina, do zbombardowanych miast. Czy ktoś tam na nas czeka? Nie, nikt nie czeka, dlaczego miałby ktoś czekać? Od miesiący nie słyszałyśmy żadnych wiadomości, nie czytałyśmy gazet. Nie wiemy nic, kompletnie nic. Hitler nie żyje, czy jest jakiś rząd, i jaki? Czy jest jeszcze Rzesza? (...) Czy też Niemcy znów będą podzielone niczym połatany dywan, jak kiedyś Prusy? Meta, prawie się cieszę, że nasze domy, z tymi czystymi rasowo wpisami do ksiąg wieczystych, spłonęły ze wszystkim. Przynajmniej nie dostaną ich Polacy i nikt nie zawiezie nic stąd do Rosji. To prawie jak zadośćuczynienie. Goethe powiedział kiedyś: „Chwila odbiera, co lata dały!” Powinniśmy byli jednak jechać do Ameryki. (...) Myślę, że moglibyśmy biec, żeby zdążyć na następny statek. Moja rodzina często musiała zaczynać wszystko do nowa. Musieliśmy uczyć się wielu języków. Ty masz 50 lat, ja 44. (...) Dla naszych dzieci to nie problem. Ale my jesteśmy naznaczeni. Nas nikt nie weźmie. Nie miałybyśmy nawet pieniędzy na bilet przez Atlantyk. I powiem ci, Meto, gdybyśmy nie mieli tego Hitlera, to przyszedłby jakiś inny. Wojna była nieunikniona, na pewno wojna z Rosją. Hitler nie chciał się dzielić z Rosją wspólnym łupem, Polską, zazdrościł jej też państw bałtyckich. Obaj zbrodniarze złapali się za włosy. Konflikt z Polską był nieunikniony. (...)

Hartmut siedział nieco oddalony od matki i ciotki na gruzach. Słyszał słowa matki, wypowiedane bez emocji, monotonnym głosem. Nie wiedział, o co w nich chodzi. Ameryka, o tak, to byłoby piękne. (...) Hartmut spoglądał przez puste okiennice. Tu kiedyś był przedpokój, tam sypialnia, (...) wraz z upadkiem domu rodzinnego skończyło się jego dzieciństwo, zasypane pod tymi gruzami. (...) Kobiety wstały, jeszcze raz spojrzwały w górę, w puste okna. (...) A to co? Olla spojrzała na balkon. Między niespalonymi skrzynkami na kwiaty stał „Führer”. Brązowe popiersie, prezent od firmy Osram: „Jasny jak najjaśniejszy dzień”. Olla wstawiła je w głęboki śnieg na balkonie przed wejściem

Rosjan. Przetrwowało pożar. Obie roześmiały się. Jeszcze teraz prześladowuje nas ten nasz „Führer”, jak długo jeszcze?

Samochód przyjechał punktualnie o 5.00 rano. Po chwili wszyscy siedzieli na otwartej skrzyni, plecaki między nogami. (...) Ciężarówka przejechała zniszczonym Schießgraben (ul. Strzelecka) do Mühlenplatz i na szosę nr 1. Słońce akurat wschodziło. Przez ruiny domu handlarza żelazem Richarda Bergmanna Hartmut jeszcze raz spojrzął na gruzowisko, które kiedyś było jego domem rodzinnym. „Dobrze to zapamiętaj”, pomyślał. „Nigdy więcej tego nie zobaczysz”. (...) Küstriner Straße wyglądała okropnie, podobnie Friedrichstadt (Frydrychowo). (...) Miejmy nadzieję, że Rosjanie nie zatrzymają się nagle i nie wyrzucą nas z samochodu. Przy szosie nr 1 pełno było zepsutych pojazdów, wozów chłopskich, wraków samochodów. (...) Ciężarówka minęła Tamsel (Dąbroszyn). W tutejszym pałacu Fryderyk Wielki miał romans, kiedy przebywał w twierdzy kostrzyńskiej. Było to po tym jak jego ojciec, Fryderyk Wilhelm I, król żołnierzy, kazał ściąć na dziedzińcu twierdzy przyjaciela swego syna i następcy tronu, Hansa von Katte. Kogo teraz interesowało to miejsce, w którym pisała się historia? Dobry Boże, do Odry było już niedaleko. Rosjanie zjechali na pobocze. Samochód zatrzymał się. To teraz, myślał każdy, teraz nasza kolej.

(...) chcieli zobaczyć zegarki, pierścień. (...) Olla była nieugięta. (...) Uzgadnialiśmy, że dopiero za Odrą, nie przed. Trochę to trwało. Rosjanie argumentowali, że byłoby bezpieczniej, gdyby już wszystko mieli. Ich nikt nie przeszuka na moście, nas być może, mogą nam wszystko zabrać. Olla rozmówiła się z pielęgniarkami. Rozwazały sytuację. Zdecydowały się oddać skarby. Argument był przecież trudny do odparcia. I tak mogą z nami zrobić, co chcą. Olla zaapelowała do ich sumień, przypomnijcie sobie wasze matki. (...) Rosjanie nic po sobie nie okazali. (...) Przypomnieli tylko Olli: „Opaski Czerwonego Krzyża mają być dobrze widoczne”. (...) Ruszyli, każdy odetchnął z ulgą. Drewniany most, szlaban. „Stój”, potem jeszcze raz: „stój!”. Potem kontrola dokumentów. (...) Wyjaśnienia, Czerwony Krzyż, komendantura Karlshorst. Policzyli osoby. (...) Szlaban w górę. W Kostrzynie tylko ruiny i gruz. (...) To było nie do wiary, na trasie Kostrzyn-Berlin widać było cywilów, w prawdziwych garniturach, z krawatami, czasem nawet jakiś Niemiec jechał rowerem, oczywiście z łańcuchem. I kobiety w letnich kapeluszach, młode dziewczęta, po prostu tak, na chodnikach mniejszych miejscowości. Czy to jakiś inny świat? (...) Rosjanie jechali dalej szosą nr 1, aż do Alexanderplatz.

Zatrzymali się. (...) Pozwolili wypakować bagaż. Była 10.00 rano. Wszyscy pożegnali się z Rosjanami pocałunkami. Olla poprosiła: „Powiedzcie komendantowi, żeby przewiózł przez Odrę także resztę Niemców ze szpitala. Może mu się to opłacić”. (...) Nagle Olla usiadła na walizce. O Boże, pomyślała, chyba dostanę różyczkę, a może już ją mam. Co teraz?

Barbara Latoszek

Gorzów w mojej pamięci

Gorzów – Landsberg, Landsberg – Gorzów, dwie nazwy najpiękniejszego miasta na świecie. Miasta tak bardzo drogiego i bliskiego mojemu sercu. Bogu dziękuję, że pozwolił mi urodzić się w tym mieście, w polskim Gorzowie Wlkp. Jest to tak bardzo istotne, ponieważ po dziś dzień mogę tu być, tu żyć, tu wspominać moje dzieciństwo. Poprzedni mieszkańcy mojego miasta, landsberczycy, zapewne bardzo je również kochają. Pozostawili tu swoje domy, gospodarstwa i to, co najważniejsze, swoją młodość. Mój tato Kaziuk swój dom pozostawił w Baranowiczach, dzisiejsza Białoruś. Wcielony do Armii Radzieckiej poszedł na wojnę. Młody człowiek walcząc z okupantem przemierzył szlak od Lenino do Berlina. Ważne, że wojnę zakończył szczęśliwie w polskim wojsku, za co otrzymał dyplom. Wracając z Berlina w 1945 r., w Gorzowie spotkał swojego brata Stefana. Pozostało podjąć decyzję, co dalej. Ich Polska, ich Baranowicze, to już nie ich, to Związek Radziecki. Ironia losu. Postanowili pozostać na Ziemiach Odzyskanych, w mieście, które ktoś kochał, w mieście, które musieli opuścić jego mieszkańcy, landsberczycy. Tu poznał moją mamę i z ich związku w 1952 r. urodziłam się ja. Jestem tym powojennym pokoleniem, które pamięta ruiny i domy, ulice miasta, które na nowo musiało powracać do życia. Moje miejsce urodzenia Gorzów Wlkp., Polska. Mój rodzinny dom mieści się przy ul. Spichrzowej 5, ulicy wzdłuż wiaduktu kolejowego. Centrum miasta. Dom, jak wiele innych jemu podobnych, wybudowany z dobrej cegły, istnieje w dalszym ciągu, choć nieco zmieniony, zlikwidowano moje mieszkanie, zamieniając je na sklep. Moje dzieciństwo to skrawek ziemi pomiędzy ul. Spichrzową, Lutycką, Obotrycką i Pionierów. Z roku na rok zmieniałam się ja, zmieniało się również moje miasto. W przybudówce pomiędzy Spichrzową 5 a Spichrzową 4 istniała mała baza jakiegoś rybaka, a nad nią magiel pozostawiony przez wcześniejszych lokatorów. Magiel, potężna drewniana skrzynia wypełniona kamieniami, przesuwająca się po drewnianych wałkach, na które wcześniej nawijało się bieliznę. Lata 50. i 60. XX w. to wyburzanie częściowo lub całkowicie zniszczonych budynków oraz budowa nowych. Na ul. Lutyckiej były dwa budynki, po prawej stronie patrząc w kierunku katedry od ulicy Spichrzowej. W jednej zamieszkały był tylko parter, ponieważ pierwsze i drugie piętro zniszczyła bomba. W domu tym mieszkał kuśnierz, obok, w drugiej klatce między innymi sklepikarz.

Stojąc na narożniku ul. Lutyckiej i Spichrzowej, odczytywaliśmy godzinę na katedralnym zegarze. Do tego celu również służył nam przejeżdżający wiaduktem kolejowym pociąg. O dziwo, jeździły dokładnie, według nich można było ustawiać zegary. Tamte czasy, jakże ubogie w sprawy materialne, bogate były w serdeczność, gościnność. Być może czas zataił sprawy smutne, tragiczne, a być może celowo staram się je wymazać z pamięci. Z sentymentem wspominam tę moją ulicę, po której stukot końskich podkówek układał rytm dnia. Wozacy ze składu węglowego z ul. Nadbrzeżnej moją ulicą jeździli załadowanymi ciężkimi wozami. Wozili węgiel, opał dla mieszkańców mojego miasta. Gospodarze na wozach wozili towary na rynek przy dzisiejszej Łużyckiej. Lokalizacja rynku również ulegała zmianie. Z Łużyckiej przeniesiony był na brzeg Warty. W niszach były stoiska z mięsem, skład sklepu meblowego. Wzdłuż Warty i wiaduktu stały stragany i budki ówczesnych kupców. Bazar ten był potem zlikwidowany, by po latach wrócić już w innej formie. Prosperował przez kolejne lata, by teraz znowu zmienić lokalizację. Myślę, że to uwolnienie tej części miasta od bazarowych budek, to ostateczność. Wracam ponownie do mojego dzieciństwa, do mojego domu. Myślę, że podobnie jak to było w moim, tak też było w innych. Cywilizacja i modernizacja następowały powoli, etapami. W moim domu, w latach 1956-58, w kuchni na środku stał trociniak, który odpowiednio wypełniony ubitymi trocinami dawał nam ciepło. Butelka z ciepłą wodą, włożona pod pierzynę, była wspaniałym ogrzewaczem.

Moją ulicą jeździły również tabory cygańskie. W latach mojego dzieciństwa nie było zabawek, więc możliwość wykorzystania odpowiednio sytuacji, było wielką frajdą. Należałam do tych nielicznych, których Cyganie nie przeganiali z długiego dyszla. Często wisiały na nim jakieś garnki, wiadra, a pomiędzy nimi przewieszona w pół, z podwiniętymi nogami jechałam na gapę. I tak przy odrobinie szczęścia, w ciągu jednego dnia mogłam taką jazdę powtarzać wielokrotnie. To było coś, jazda po całej ul. Spichrzowej, aż do Cegielnickiej. Ul. Obotrycka, na niej był tylko budynek księży, oraz budynek narożny Obotrycka i Pionierów. Tak dla mnie bardzo istotny i wspominany z wdzięcznością, ponieważ mieściła się w nim piekarnia. W niej to każdego dnia zapach świeżego chleba nas, dzieciaki, ściągał pod okno z prośbą: da nam pan kawałek chleba. Dobrzy ludzie tam pracowali, nie było takiego momentu, żeby któreś z nas odeszło bez tego chrupiącego rarytasu. W tej mojej pisaninie powstaje mały galimatias, ale gdy tylko jestem na danym odcinku mojego zaczarowanego kwadratu ulic, dana myśl o jakiejś sytuacji wydaje się być bardzo ważna. Dla mnie ważna, dla czytającego być może nie, lecz proszę o cierpliwość w czytaniu. Tak bardzo chcę pokazać, że potrafiliśmy cieszyć się z małych, teraz bardzo wielkich rzeczy. Kawałek chrupiącego chleba, rozłamany sprawiedliwie przez pana piekarza, to najwspanialszy zapach. Chleb to świętość, więc szacunek dla niego pozostanie na wieki. Na ul. Pionierów, na placyku, gdzie teraz jest spółka dentystyczna, było tzw. Podwórko Wacka. Na tym podwórku była stajnia z końmi. Za specjalnym zezwoleniem Wacka można było zostać bohaterem, ponieważ

pozwolił wejść do tych koni, popatrzeć z bliska, dać siana do pyska. Z tej stajni w okresie przed Bożym Narodzeniem braliśmy słomę, z której to robiliśmy dekorację na choinkę. A jak trzeba było, to owa słoma była wypełnieniem sienników do łóżka. Trzymając się prawej ręki idąc ul. Pionierów, następnie Spichrzową wracamy w mój zaczarowany kwadrat.

Na ul. Spichrzowej, bliżej ul. Wodnej, był maleńki spożywczy sklepik, do którego tatko wysyłał po piwko. Obowiązkowo do pana Majora, no i oczywiście z kaneczką w garści. Pan Major dla nas dzieciaków był bardzo serdeczny i często dostawaliśmy od niego cukierki. Tak się zastanawiam, cóż takiego się ciekawego działo w moim dzieciństwie, że nigdy nie mogłam powiedzieć, że się nudzę. W przeciwieństwie do mojego syna, który w zasięgu ręki ma wszystko, telewizję, Internet, itd. My zabawki robiliśmy sami. Pudełko i sznurek był wózkiem dla lalki. Koło, fajeczka i odpowiednio wygięty drut to urządzenie wyścigowe. Praca, piłka szmacianka, wystrugana kiczka, palant to dla moich równołatków oczywiste nazwy naszych zabawek. Nikt się nie nudził. Pomysły rodziły się same, a ich realizacja to kwestia polotu kolegów, możliwości było wiele. Moje dzieciństwo to nie tylko zabawa, to nauka, to walka o zdobycie tylko moich pieniędzy. Zbieraliśmy złom, który woziliśmy do skupu na ul. Dworcowej i Wawrzyniaka. Makulaturę do skupu na ul. Młyńskiej, butelki do skupu w dzisiejszym Spichlerzu na drugim brzegu Warty. Centrum mojego miasta z roku na rok zmieniało swoje oblicze. Na placu przy fontannie wybudowano całą ul. Obotrycką, Sikorskiego, Pionierów, Mostową. Dzisiaj tylko widokówki, zdjęcia z tamtych lat pozwoliły mi choć na chwilę znowu być dziewczyną w patentowych pończochach podtrzymywanych na gumkach od weków. Dziewczyną z warkoczami, kochającą każdy zaułek centrum mojego miasta. Ul. Pionierów, zegarmistrz. Na wystawie precudownej urody zegar z płynącą wodą. Dzisiaj nie ma tego domu, lecz pozostała kserokopia zdjęcia tego budynku. Teraz domyślam się, że ta płynąca woda, to jakaś plecionka. Wolę jednak w pamięci pozostawić szum tamtej wody. Godzinami mogłam wystawać przed tym zegarmistrzem z nosem przyklejonym do szyby. Cudo. I cud, ponieważ przed miesiącem udało mi się zdobyć tę kserokopię, więc na poparcie moich opowieści mam właśnie ją. Kocham moje miasto, miłością tą zaraziłam moje dzieci, zbieramy wszystko to, co może przybliżyć następnym pokoleniom obraz ówczesnego Landsbergu, a dzisiejszego Gorzowa Wlkp. Kolekcja zdjęć, widokówek, wycinków z gazet, wieszaków to na dzień dzisiejszy pokaźny zbiór. Miasto mojego dzieciństwa było piękne, lecz czas nie oszczędził nie tylko jego. Zmieniłam się również ja. Jedno jest wciąż takie samo, mój lokalny patriotyzm. Zmieniane, remontowane są ulice, budynki. Ładne są inaczej. Wolę jednak zatrzymać w pamięci tamten, z tym, co czas przykrył płaszczem kurzu, Gorzów. Pamięć jest ulotna, dlatego teraz wędrując ulicami mojego miasta podziwiam i utrwalam na kartce papieru przepiękne zwieńczenia dachów secesyjnych budynków na ul. Łokietka, 30 Stycznia, itd. W ten sposób powstaje cykl „Dachy Gorzowa”. Cykl jest w trakcie tworzenia, spieszę się, by zdążyć przed ich odnową. Wczoraj i dziś mojego miasta wciąż się przeplata. Ważna

w moim życiu, myślę, że nie tylko moim, jest lub była rzeka Warta. Wychowana na jej brzegu, zaprzyjaźniłam się z nią. W jej wodach było kiedyś dużo ryb, więc już od najmłodszych lat z leszczynką w garści, żyłką, szaławkami z korka i szpilczką krawiecką wygiętą w haczyk, byłam wędkarką. Łowiłam rybki, które z przyjemnością jedliśmy. W jej wodach było dużo ryb, różnego gatunku. Rybostan to: ukleja, płoć, karp, leszcz, sum, szczupak, sandacz, kiełbik i węgorz. To te, które udało mi się złowić w dzieciństwie, a również już w dorosłym wędkarskim życiu. To, co było niejako potrzebą sytuacji. Łowienie ryb do jedzenia zmieniło się w sport, czyli wędkarstwo wyczynowe. Gorzowski Okręg Wędkarski odnosił sukcesy, należeliśmy do czołówki krajowej. Organizowaliśmy międzyokręgowe zawody szaławkowe, spinningowe. Z dumą reprezentowałam moje miasto w kraju i za granicą, będąc reprezentantką kadry narodowej. Rzeka Warta nie tylko nas żywiła, również przyczyniła się do tragedii rodzinnych. W mułach jej wody zginął Marek, kuzyn, oraz ciocia Danusia. Warta dawała nam życie, jak również je zabierała. Podobnie jak moje miasto, tak brzeg Warty ulegał zmianie. Lata 50., początek 60. XX w. jej brzeg był wysoki murowany. Żeby dotrzeć do tafli wody schodziło się po schodach, takie były przy ul. Lutyckiej, patrząc przez wiadukt kolejowy, drugie w okolicy LOK-u. Brzeg kamienisto – piaszczysty został uregulowany, murek zlikwidowany. Z roku na rok rybostan ubożał ze względu na zanieczyszczenia ściekami zakładów pracy i miejskimi. Wcześniej nie było problemów ze złowieniem ryby czy raka, nawet laik dał sobie radę. Cywilizacja niosła ze sobą również swoje zniszczenia. Na dzień dzisiejszy sytuacja na tyle się poprawiła, ponieważ powróciły do Warty ślimaki, raki, czyli rzeka żyje.

Moje miasto leży na dwóch brzegach rzeki, w związku z tym potrzebny jest most, mosty. Pierwsze i jedyne zdjęcie mojego taty, zrobione w pierwszych dniach 1945 r. po powrocie z wojny, zrobione było na drewnianym moście. Po tym drewnianym wybudowano następnie betonowy z precyzyjnymi balkonikami. Po tym moście od 1958 r., a może wcześniej, każdego dnia wędrowałam do przedszkola. Wędrówka ul. Spichrzową, mostem, następnie ul. św. Jerzego to codzienny rytuał mojego przedszkolnego żywota. Ja rosłam, a odległość pomiędzy mną a betonową balustradą malała. Gdy kończyłam przedszkole, nie musiałam wspinać się na palcach, by popatrzeć na Wartę. Ten następny, taki prosty, normalny, nijaki istniał przez wiele lat, by teraz udostępnić miejsce nowemu. Podobno ma być taki jak ten zachowany w pamięci. Gdyby tak nie było, zawsze możemy popatrzeć na stare zdjęcia. Mam oryginalny kalendarz z 1946 r., znaleziony pod tablicą w mojej Szkole Podstawowej nr 3 przy ul. Warszawskiej. Obecnie mieści się tam Zespół Szkół Ogólnokształcących.

Werner Gabloffsky

Gorzow in meiner Erinnerung

Viele Jugendjahre meines Lebens waren eng mit dem historisch außergewöhnlichen Geschehen in meiner Heimatstadt verknüpft. Ein Grund, mich mit meinem Beitrag am Wettbewerb zu beteiligen.

Jugendjahre in Landsberg und Gorzow

Im Dezember 1934 wurde ich in der Frauenklinik Bethesda an der Friedeberger Straße in Landsberg an der Warthe geboren. Meine Eltern, Ottilie und Walter, hatten eine Gärtnerei in der Roßwieser Straße, Nr. 48, heute ul. Koniawska. Getauft wurde ich in der Lutherkirche in der Dammstraße. Im Elternhaus hatte ich eine wohl behütete, gute und unbeschwerte Kindheit.

Mein Großvater Carl hatte als Gärtner 1890, mit seiner Ehefrau Louise aus Roßwiese, heute Zieleniec, kommend, das Grundstück gekauft um Haus und Gärtnerei aufzubauen. Im Sommer durfte ich ihm helfen Frühbeetfenster unter dem alten Fliederbusch mitten in der Gärtnerei zu reparieren. Mein Opa bewohnte die Wohnung von der vorderen Haustür rechts als Altenteil, mit einer großen Stube und einer Küche nach hinten. Oben auf dem Stubenschrank stand eine bunte Blechbüchse mit Keksen. Manchmal bekam ich einen davon. Seine Küche wurde nie in benutzt. Er aß immer mit uns gemeinsam und wurde auch sonst von uns versorgt. Jedes Jahr im Spätsommer wurden Briketts in seine Küche gebracht und an der Wand hoch aufgestapelt. Er brauchte eigentlich keine, da er immer bei uns war, aber der Übergabevertrag sah es so vor. Mein Vater ärgerte sich, aber Opa bestand darauf.

Mein Opa wohnte jetzt 50 Jahre hier, er kannte alle Anwohner der Straße und konnte sie mir alle aufzählen. Von der Straßenbahn-Endstation über den Kuhburger Graben bis zum Ende der Straße vor Roßwiese und auf der anderen Seite wieder zurück. Gegenüber von uns war das Mehrfamilienhaus Nr. 15 mit der Bäckerei Feyer. Unten links war der Bäckerladen, dahinter die Bäckerei. Rechts unten wohnte Familie Feyers mit ihrem Sohn Kurt, der einige Jahre älter war als ich. Oben rechts war eine Familie Wolhiniendeutscher (Heim ins Reich!) zugezogen. Zur Bäckerei ging man um das Haus herum. Zu den großen Feiertagen wie Ostern, Pfingsten und Weihnachten, brachten wir und viele andere, große

Kuchenbleche mit zu Hause zubereitetem Kuchen zum Backen in die Bäckerei. Jedes Blech wurde mit einem kleinen Stückchen Papier, welches vom Rand des „Generalanzeiger“ abgerissen war und auf dem unserer Name geschrieben wurde, versehen. Gegen Mittag standen die gebackenen Kuchen, zu zehnt übereinander auf einer Etagenkarre und dufteten ganz herrlich. Man suchte sich seinen Kuchen heraus, zahlte pro Blech 15 Pfennige und ging nach Hause. Die Erwachsenen je ein Blech rechts und links unter dem Arm, die Kinder nur ein Blech. Das war auch besser, da man dann eine Hand frei hatte, um ein oder zwei Streusel zu naschen.

Hinter der Straße Kurzer Weg und einem kleinen Bauernhof mit Garten kamen zwei dreigeschossige 6-Familienhäuser. Im ersten war im Hochpaterre ein kleiner Lebensmittelladen, in dem es Salzgurken und Sauerkraut aus dem großen Holzfass gab. Dahinter, gegenüber der Gärtnerei Strohbusch (noch ein anderer Strohbusch) kam die kleine Landwirtschaft Forch. Über den Kuhburger Graben bis Roßwiese, soweit ging die Roßwieser Straße, standen die Wohnhäuser nur vereinzelt zwischen mehr oder weniger großen Feldern. Kurz vor Roßwiese gab es noch einen kleinen Weg nach links. Dort stand nur ein Haus weit hinten im Feld. Dahinter hatte mein Vater etwa 1937 (!!) von einem Juden aus der Stadt, rechts und links des Weges, zwei Äcker, 2 und 5 Morgen groß, gekauft. Erst viel später erklärte mir mein Vater die Zusammenhänge. Und dann, auch noch vor Roßwiese, wohnte ein Schulfreund, dessen Vater ein Böttcher war. Von Roßwiese zählten die Hausnummern auf der westlichen Straßenseite zurück. Zwischen Roßwiese und dem Kuhburger Graben ging der Hauptangerweg ab, an dem es nur 4 große Bauerngehöfte gab. Vorne rechts wohnte eine befreundete Landwirtschaftsfamilie und hinten links der Ortsbauernführer (Hahne??). An der Abzweigung des Hauptangerwegs von der Roßwieser Straße stand das einzige Haus, mit einer ehemaligen (teils abgebrannten) Mühle. Hier, hinter hohem Stacheldraht, war das Gefangenenlager der französischen Kriegsgefangenen, zu denen auch unser Franzose Philipp gehörte. Diesseits des Kuhburger Grabens hatten wir auch noch einen Morgen (2.500 m²) Ackerland, auf dem ein großer Hochspannungsmast stand. Die Nr. 43+44 war die Gärtnerei Strohbusch, die Nr. 45 Kaschube, die Nr. 46 Familie Scheffler, die Nr. 47+48 wir mit der Gärtnerei, die Nr. 49 die Gaststätte Isensee, dann Henschke, Porath, Pfarrer von Werder, Gohlke, Deh, Melchert und viele andere.

Der Gärtnereihaushalt meiner Mutter war groß, immer zwischen 10 und 12 Personen. Neben Mutter, Vater, Großvater und mich, lebten und wohnten bei uns im Haus drei Gärtnerlehrlinge, zuletzt Karl Wegener aus Berlinchen, Horst Krüger aus Stolzenberg, ein Anlernling aus Dühringshof und dazu unsere Hausmädchen Ursel und Natascha. Natalja Rjejabko, 20 Jahre alt, war unsere Ukrainerin aus Poltawa. Sie lebte in unserer Familie, arbeitete im Haushalt und in der Gärtnerei und hatte eine kleine, schräge Dachkammer in Haus. Unser Franzose Philipp aus Reims war Corporal, ein großer, kräftiger Mann und kam 1940/41 zu uns. Mein Vater hatte ihn ausgesucht, weil er Gärtner war und ich erinnere mich noch gut,

wie mein Vater mit ihm den ersten Betriebsrundgang machte und sich mit ihm über die botanischen Pflanzennamen verständigte. Langsam lernte er deutsch und es war lustig, seinen deutsch/französischen Erzählungen von „Fronkreisch“ zuzuhören. In den Mittagspausen lehrte er mich Schach spielen; das bei uns niemand spielte. Er aß bei uns, durfte aber nicht bei uns am Tisch sitzen, so war die Vorschrift. Morgens kamen die Franzosen, abends gingen sie ins Lager. Der Wachmann musste jeweils eine Woche verköstigt werden. Außerdem arbeiteten einige Frauen, je nach Bedarf, zur Aushilfe in der Gärtnerei.

Vater hatte die Gärtnerei vom Großvater Carl 1931 mit seiner Verheiratung übernommen. Unsere Gärtnerei bestand aus 7 Gewächshäusern, die zentral von einer koksbeheizten Warmwasserheizung beheizt wurden. Hinzu kamen viele Frühbeetkästen, teils auch beheizt, und viel Freiland bis durch zur Reimannstraße. Wir hatten ein Pferd und einen gummibereiftem Wagen. Es wurden Blumen, Frühgemüse und Feldgemüse angebaut. Die gärtnerischen Erzeugnisse wurden auf dem Marktplatz, dem heutigen Stary Rynek, verkauft. Wir hatten einen Wochenmarktstand unter den alten Bäumen neben dem Pauksch-Brunnen zur Schlossstraße hin. Im Sommer, wenn ich mit auf dem Markt war, durfte ich mir aus der gegenüber liegenden Italienischen Eisdiele ein leckeres Eis holen. Unser Pferd, ein etwas nervöser Fuchs, der die beladenen Wagen zum Markt zog, lief nicht gern über die Gerloff-Brücke. Wenn aber auf der Ostbahn ein Zug donnerte, scheute er, war nur mit Mühe zu halten und galoppierte die Brückenstraße zum Markt hoch.

Auch an Blumengeschäfte wurde geliefert und zu Hause verkauft. Im Spätherbst wurde im Quilitzpark, an Rodelbahn und Schanze, Laub geharkt. Das Laub diente im Winter als Frostschutz und später verrottete es zu Lauberde. Das Serum-Institut in der Heinersdorfer Straße hatte für seine Arbeit viele Pferde aufgestellt. Der dort anfallende Pferdemit wurde in der Gärtnerei zum Düngen und zum Packen der Frühbeetkästen genutzt. Einmal fuhr ich mit Vater, Pferd und Wagen zum Hauptbahnhof, um eine Pflanzensendung abzuholen. Wir fuhren die Brauerstraße entlang und Vater zeigte nach rechts auf einen großen Trümmerhaufen. „Da stand die jüdische Synagoge“ sagte er, ohne jeden weiteren Kommentar, trotz meiner Fragen.

Meine Schulzeit 1941 – Mitte 44

Im Herbst 1941 kam ich in die Knabenvolksschule II in der Angerstraße. Mein Schulweg führte die Roßwieser Straße entlang, über die Kanalbrücke, in die Dammstraße und dann durch den Park in die Schule. Meine Klassenlehrer/innen waren in der 1. Klasse Frau Niether, in der 2. Klasse Frl. Sauer und in der 3. Klasse Herr Wiczorek. Herr Wiczorek unterrichtete auch Musik und begleitete unseren Gesang mit der Geige. Wer nicht oder falsch sang, bekam die Spitze des Geigenstocks auf dem Kopf zu spüren. Einmal hatte er bei meinem Vater eine Hortensie bestellt. Ich musste den Topf mit der 3-stieligen Hortensie eingewickelt in die Schule tragen. Unterwegs brach natürlich ein Stiel ab. Wir haben versucht, das Malheur mit Heftpflaster zu vertuschen, aber der Lehrer hat

es natürlich sofort gemerkt und gab mir die Blume zurück. Zum Geburtstag des Führers am 20. April mussten wir auf dem Schulhof unter der Fahne antreten. Der Rektor schwang eine Rede und dann mussten wir, den Führer mit der rechten Hand grüßend, das Deutschlandlied und anschließend das Horst-Wessel-Lied singen. Manchmal, wenn keiner guckte, haben wir die Hand auf dem Kopf des rechten Vordermanns abgestützt. Danach war schulfrei. Meine Schulfreunde waren Horst Kitzmann, Klaus Seehaver, Heissig (Heissig heiß ich, sagte der Lehrer) aus der Probstei (Böttcherei) und Siegfried Sawatzki, aus dem Gohlke-Haus im Kurzen Weg.

Im Sommer, wenn es sehr warm war, gingen wir zum Baden an den Brenkenhoff-Kanal. Östlich der Kanalbrücke waren einige sandige, gut besuchte Badestellen. Als ich 8 Jahre alt war, beschlossen meine Eltern, dass ich schwimmen lernen sollte. Ich wurde also im Volksbad zum Schwimmkurs angemeldet und fuhr nach der Schule mit der Straßenbahn dorthin. Rechts und links des hochgelegenen Beckens lagen die Umkleidekabinen. Der Schwimmlehrer stand am Beckenrand und verpasste mir einen Korkgürtel. Nach einigen Trockenübungen sollte ich an der Angel von oben ins Becken springen. Ich hatte Angst und weigerte mich. Schließlich stieß er mich hinein, ließ mich Wasser schlucken und holte mich erst dann mit der Leine an den Rand. Ich wurde nie ein guter Schwimmer, schaffte nicht mal nach Schluss den Freischwimmer. Anschließend habe ich allerdings im Kanal weiter geübt und nach einiger Zeit den Freischwimmer nachgeholt.

Eines Mittags fuhr ich nach der Schule und dem Schwimmen mit der Straßenbahn nach Hause. Es war heiß und ich war müde. Die Straßenbahn zuckelte durch die lange Dammstraße. Ich stand auf dem hinteren Perron. Kurz vor der Kanalbrücke kam der Schaffner und verlangte den Fahrschein, den ich bei der Abfahrt am Markt bei ihm gekauft hatte. Ich suchte den Fahrschein und fand ihn nicht. Ich beteuerte, den Fahrschein bei ihm gekauft zu haben, dass müsste er doch eigentlich wissen. Wir waren längst an der Endstation „Kanalbrücke“ angekommen, er aber blieb hart und so musste ich die Fahrt noch einmal bezahlen. Ich wusste genau, dass ich schon einmal bezahlt hatte und heulte, weil er mir nicht glaubte.

Mitte Dezember 1943 war ich mit meiner Mutter, wie immer in den letzten Jahren, im Stadttheater zum Weihnachtsmärchen. Ich fühlte mich nicht gut und auch „Peterchens Mondfahrt“ konnte mich nicht aufmuntern. Endlich zu Hause, legte ich mich ins Bett und fühlte mich krank. Der alte Sanitätsrat, unser Hausarzt Dr. Kran aus der Dammstraße wurde gerufen. Er stellte Scharlach fest, eine damals sehr ernst zu nehmende, ansteckende Krankheit. Ich musste, kurz vor Weihnachten, ins Städtische Krankenhaus an der Zechower Straße, und dort auf die Isolierstation (ehemalige katholische Schule) neben der katholischen Kirche. Mein Gesundheitszustand hatte sich schnell verschlechtert; doppelseitige Mittelohrentzündung und Entzündungen der Nase und einem Auge kamen hinzu. Drei Monate war ich nicht zur Schule.

Im Frühjahr oder Sommer wurde auf den Wiesen am Kanal, hinter der Eisenbahnbrücke, eine Phosphorbombe vor vielen Zuschauern zur Explosion gebracht.

Es wurde demonstriert, wie solche Brände zu löschen sind, da aus den großen bombardierten Städten das Gerücht aufgekommen war, dass solche Brände nicht löschar sind. An einen Luftalarm in Landsberg kann ich mich nicht erinnern. Einmal aber war ich bei Verwandten in Küstrin zu Besuch, da heulten nachts die Sirenen und wir mussten in den Keller.

Der Anfang vom Ende, 1944/45

Im Sommer, es war ein sehr klarer, sonniger Tag in Landsberg, zogen sehr hoch über uns Schwärme von großen Flugzeugen von West nach Ost. Mein Onkel Otto aus Berlin, Soldat in Italien, war in seinem Urlaub zu Besuch bei uns. Wir standen alle in der Gärtnerei und sahen nach oben. Mein Onkel klärte uns auf: Das sind Amerikaner. Die haben in Berlin ihre Fracht abgeladen; jetzt fliegen sie nach Osten, weil es inzwischen zu Russen näher ist.

Im August 1944 starb mein Großvater Carl. Ich hatte Großvater öfter zum Grab der Großmutter, begleitet. Opa sprach dann mit Oma. Ob sie ihn wohl hören konnte? Jetzt wurde Opa auf dem Erbbegräbnis neben Oma begraben, unweit von der alten Friedhofskapelle. Tante Frieda, Opas Schwiegertochter, war in Berlin-Wilmersdorf ausgebombt und zog mit ihrem Hab und Gut zusammen mit ihrem Sohn Horst, meinem Cousin, in Opas Wohnung ein. Horst war ein fescher Fähnrich. Er spielte auf der Geige, erzählte vom Krieg am Ilmensee und scherzte mit unserem Hausmädchen Ursel.

Im Spätsommer/Herbst 1944 kam ich in die 4. Klasse. Der neue Klassenlehrer hieß Herr Niether. Er erschien öfter in SA-Uniform. Viel haben wir Herrn Niether nicht gesehen, da der Unterricht mehr und mehr ausfiel. Die Lehrer wurden zur Wehrmacht und zum Volkssturm einberufen und die Schule wurde erst mit Verwundeten und dann mehr und mehr mit Flüchtlingen aus dem Osten belegt. Was die Erwachsenen dachten und sprachen, erfuhr ich nicht. Lange vor Weihnachten schon hörten wir Meldungen des Deutschland-Senders über den Einbruch der Russen in Ostpreußen und ihren Gräueltaten an der Zivilbevölkerung. Ich hatte Angst und weinte im Bett.

Über Weihnachten und Sylvester waren Ferien gewesen aber auch im Januar begann der Unterricht nicht wieder. Der Russe kam näher. Wir hörten es in den Nachrichten. Die Sondermeldungen mit den ankündigenden Fanfarenklängen waren längs verklungen. Am 25. Januar etwa bekam der Wachmann der französischen Kriegsgefangenen den Befehl, mit seinen Franzosen in Richtung Westen abzumarschieren. Später erfuhren wir von Philipp, der uns noch einmal im März '45 besucht hatte, dass sie schon in Neudamm von den Russen überrollt und nach Landsberg zurück gebracht worden waren.

Mitte Januar war die Straße voll von Menschen und Fahrzeugen aller Art. Flüchtlinge, Verwundete, deutsche Soldaten und Verbündete. Ein großer Militär-LKW fuhr auf unsere Einfahrt und hielt dort. Hinten auf der offenen Ladefläche saßen etwa 10 bis 12 ausgemergelte Gestalten in Lumpen. Russen? Ich weiß es nicht. Sie hatten aus Holz Spielzeug gebastelt und bettelten um Brot. Jemand

sagte zu den Soldaten: „Lasst sie doch frei, die tun Euch doch nichts mehr“! Ein Soldat lachte: „Die sind unsere beste Lebensversicherung, so lange die bei uns sind, kann uns nichts passieren!“

Schon wurde offen diskutiert: Gehen oder Bleiben? Die offizielle Propaganda verbot die Flucht und noch Ende Januar sprach der NS-Leiter Handtke über Drahtfunk zu den Landsbergern, dass keine Gefahr bestünde. Die Front würde gehalten und der Feind mit neuen Armeen und Waffen weit zurück geworfen. Ob der wirklich noch in Landsberg ist, wurde schon laut gefragt.

Am Morgen und Vormittag des 29. Januar sahen wir im Nordosten einen feuerroten Horizont. Stolzenberg brennt, sagten die, die es wissen mussten. Vater war mit seinen Feuerwehrkameraden frühmorgens zum Volkssturmeinsatz in das Feuerwehr-Depot in die Moltke-Straße, gegenüber dem Volkswohlfahrtshaus gerufen worden. Zwei Stunden später war er wieder zu Hause. Der Feuerwehr-Hauptmann, Erich Messer, der die Männer dem Volkssturm zuführen sollte, hatte gesagt: „Wir hauen ab!“ Er ordnete an, alle Feuerschutzgeräte, Leitern, Pumpen und anderes aus den Feuerwehrautos zu entfernen. „Wer mit will, kann mit seiner Familie und je einem Stück Gepäck mitfahren, in 3 Stunden fahren wir los.“

Vater beriet mit meiner Mutter und die Entscheidung war schnell gefällt: „Wir haben keinem etwas zu Leide getan und sind dann die Ersten wieder zu Hause. Wir bleiben“! Etwa gegen 11 Uhr vormittags kam die Kolonne der Feuerwehrautos die Roßwieser Straße entlang und hielt bei uns kurz an. Die Wagen waren voller Koffer und Menschen, auch Wiedemanns waren dabei. Man hatte sich entschlossen, nicht die verstopfte Reichsstraße 1 nach Küstrin zu nehmen, sondern über Roßwiese und Zielenzig zu fahren.

Gegen Mittag öffnete der Pole (oder Belgier) die Ladentür der Fleischerei Melchert in der Roßwieser Straße 56 (?) und verteilte alle Fleisch- und Wurstwaren aus dem Laden und den Vorratsräumen; ohne Geld und ohne Marken. Danach, nachmittags, war die Roßwieser Straße wie leer gefegt, keiner traute sich heraus, niemand wusste, was kommen würde. Mein Vater hatte den Lehrlingen frei gestellt, zu bleiben oder nach Hause zu gehen. Alle blieben.

Am Abend, es war dunkel, verlöschte plötzlich das elektrische Licht und Sekunden später gab es eine gewaltige Explosion. Die Gerloff-Brücke war in die Luft geflogen. Mit ihr die Versorgungsleitungen für Strom und Wasser. Für uns war dieser Umstand nicht so gravierend wie für viele andere Menschen. Wir hatten Petroleum- und Karbidlampen für die Gärtnerei und den Stall. Zudem stand auf dem Hof eine große, wegen des Frostes im Januar mit Stroh eingepackte Schwengelpumpe, außerdem gab es noch eine weitere in der Gärtnerei.

In dieser Nacht harrten wohl alle in angespannter Erwartung und angstvoll auf das unbekanntes, kommende Schicksal. Gegen Mitternacht wurden wir durch fernes Maschinengewehrfeuer geweckt. Das Elternschlafzimmer, in dem auch ich schlief, hatte die 2 Fenster zur Straße. Auf der Straße sahen wir Leuchtspurnmunition nach Süden jagen. Sonst war es still. Später hörten wir, dass aus Meseritz nach Landsberg zurückkehrende Volkssturmlaute auf der Kanalbrücke von den Russen abgefangen und beschossen worden waren.

Gegen 5 Uhr morgens vernahmen wir Geräusche auf der Straße. Wir konnten nur etwas hören, aber nichts sehen, da die inneren Holzladen vor den Fenstern geschlossen waren. Mein Vater öffnete den Holzladen etwas, um auf die Straße sehen zu können. „Pferdefuhrwerke und Soldaten in fremden Uniformen, wahrscheinlich Ungarn!“ Die waren die letzten unserer Verbündeten und auch in den vergangenen Tagen durchgezogen.

Und dann war der Russe da.

Einer der Soldaten hatte die Bewegung des Ladens bemerkt, zwei kamen an das Haus und klopfen mit dem Pistolenknopf ans Fenster: „Auf, dawei, dawei!“ Vater lief auf den Treppenflur und rief nach oben „Natascha, komm schnell!“ Unsere Ukrainerin hatte sicher nicht geschlafen denn sie kam sehr schnell die Treppe herunter, öffnete mit zitternden Händen die Haustür und ließ die russischen Soldaten eintreten. Sie wechselten mit der Ukrainerin einige russische Worte, die Russen fragten „Soldat, Soldat?“ und sahen sich in einigen Stuben um. Danach blieben sie mit Natascha an der Haustür stehen, sprachen sicher 15-20 Minuten miteinander und gingen danach wieder.

War das alles? Leider nein! Mit der Einnahme von Stadt und Land durch die Rote Armee begann für die verbliebenen deutschen Einwohner für Tage, Wochen und Monate eine sehr schwere, schreckliche Zeit. Die Tage, vor allem aber die Nächte waren unbeschreiblich grauenvoll. Die Front war über zweieinhalb Monate bis Mitte April an der Oder zum Stehen gekommen. Der Rückstau von der Oderfront und der Sitz des Oberkommandos in Landsberg (General Tschuikow) hatten zur Folge, dass Stadt und Land östlich der Oder Aufmarschgebiet zum Sturm auf Berlin wurde. Soldaten und Kriegsmaterial überschwemmten alle Straßen und Häuser. Dazu kamen die befreiten Kriegs- und Zivilgefangenen. Ich war gerade 10 Jahre. Alt und wach genug, um alles bewusst zu erleben, um es nie wieder zu vergessen. Oft ist darüber berichtet worden, aber es war wirklich unbeschreiblich. Alle Häuser die an der Straße lagen, später auch die weiter entfernter liegenden, wurden Tag und Nacht von den mehr oder weniger betrunkenen, marodierenden und plündernden russischen Soldaten nach Uhren, Schnaps, Wertgegenständen und Frauen durchsucht. Alle Ecken und Winkel, vom Keller bis zum Boden, Schränke, Kommoden, Kisten und Kasten wurden ausgekramt, alles auf dem Fußboden geworfen, weggeschmissen oder mitgenommen. Türen, die nicht offen waren, wurden eingetreten. Die Häuser und Wohnungen die von den Bewohnern verlassen worden waren, wurden auf den Kopf gestellt. Alles lag durcheinander auf dem Boden; oft wurde alles angesteckt. Die Stadt brannte wochenlang, überall sah man Feuerschein.

Am ersten Sonntag war es am schlimmsten. Ständig waren 5 bis 10 Russen im Haus. An diesem Tag wurde ich als zehnjähriger Zeuge, wie unsere Ukrainerin Natascha vergewaltigt wurde. Mein Vater war im 1. Weltkrieg Soldat gewesen. Seine rote Husarenuniform mit einem langen Schleppsäbel hing im Kleiderschrank. In seinem Nachtschrank lag eine Pistole. Diese Dinge, wie auch das Führerbild im Wohnzimmer hatten die Eltern vorsorglich vorher entsorgt. An diesem Sonntag aber fand ein russischer Soldat in der Wäschtruhe ein kleines,

in Papier eingewickeltes Päckchen mit Orden und Ehrenzeichen meines Vaters. Er packte es aus, sah das Eiserne Kreuz, warf alles meinem Vater vor die Füße und trat dann darauf herum. Ohweh! Das hätte schlimmer ausgehen können.

Natascha versuchte abzuwenden, was sie konnte, aber oft war auch sie machtlos. Nach einigen Wochen kamen zwei junge Frauen, die wie Natascha, als „Ostarbeiterinnen“ in Deutschland gewesen waren. Sie überredeten sie, mit ihnen nach Hause zu gehen. Nach einigen Tagen und Nächten fast ohne Schlaf waren meine Eltern so zermürbt, dass sie beschlossen, auszuweichen. Mit allen anderen wurden einige Sachen gepackt und wir gingen zu der hinter uns direkt angrenzenden Gärtnerei Granzow in der Reimann-Straße. Am nächsten Morgen war nichts passiert und wir kehrten zurück.

Viele Menschen wurden in den ersten Wochen und Monaten auf den Straßen zusammengetrieben und verschleppt. Frauen, Männer und Kinder. Die Angehörigen erfuhren nichts, wer, wann, wohin oder gar warum „geschnappt“ worden war. Viele sind nach Pollychen „Zum Schippen“ verschleppt worden. Nur wenige kamen zurück. Dann kam die GPU, die geheime, politische Polizei. Auch sie griffen wahllos zu. Auch mein Vater ist dreimal verhaftet worden. Er saß in verschiedenen Kellern in der Kuhburger Straße und in der Brückenvorstadt. Jeder Deutsche war als Faschist, PG (Parteigenosse) oder Nazi verdächtig. Vater erzählte von langen Verhören. Der vorher Verhörte und der folgende wurden nach dem befragt, der jetzt dran war. Mein Vater kam frei, da Otto Deh, Schlossermeister aus der Roßwieser Straße, erklärte: „Ich war Blockwart, ich weiß, wer in der Partei war und wer nicht“. Ein Weiteres war sicher mitentscheidend dafür, dass er freikam: Mein Vater hatte einen Leistenbruch, der unnatürlich weit vorstand. Die meisten Leute hingegen sind auf Nimmerwiedersehen nach Sibirien verschwunden.

Eines Abends, die Straße war wieder voller Soldaten, brannte das übernächste Nachbarhaus Kaschube, ein Wohnhaus mit kleiner Tabakwarenhandlung. Kaschubes waren geflüchtet aber weitere Bewohner und die Eigentümer des zwischen uns liegenden Hauses, Familie Scheffler, wollten löschen. Sie kamen zu uns, weil wir zwei große Wasserpumpen hatten. Schnell waren 10 bis 15 Leute zu einer Eimerkette zusammen und fingen an zu löschen. Plötzlich kamen zwei russische Soldaten auf Pferden mit dem Gewehr in Anschlag durchs Feuer geritten. Sie bedeuteten, dass nicht gelöscht werden sollte und bedrohten die Löschenden mit Waffengewalt. In Angst und Panik ließen die Leute ab und flüchteten zu uns auf den Hof. Die Berittenen hinterher. Die Frauen wurden ins Haus getrieben und die Männer mussten sich auf dem Hof an der Stallwand aufstellen; ich stand als letzter in der Reihe. Natürlich war das nicht ohne viel Geschrei und Lärm abgelaufen. Gerade als der berittene Soldat durchlud und zu Schießen beginnen wollte, kam ein Offizier ums Haus, zog seine Pistole und führte die beiden Russen ab.

Wenige Abende später brannte es in der Roßwieser Straße 49 in der leeren Gastwirtschaft Isensee. Das Grundstück mit dem Saal der Gastwirtschaft und nach hinten angebauter Kegelbahn grenzte an unser Grundstück. Auf diesem standen ein Materialschuppen mit Kokslager für die Gewächshausheizung, ein Arbeitsraum

mit Dachpappe und anschließende Gewächshäuser. Die Grenze selbst war eine die Gebäude überragende Brandwand. Aus leidvoller Erfahrung rührte sich in der Nachbarschaft keine Hand zum Löschen. Plötzlich stand ein russischer Offizier, ein Major, mit einigen Soldaten, bei uns in der Tür. Unmissverständlich machte er klar, dass alle löschen sollten. Er selbst war antreibend und organisierend ständig dabei. Eimer, Wasser und Leute, Deutsche und Russen halfen mit. Die Löscharbeiten konzentrierten sich auf unseren Materialschuppen und den Arbeitsraum diesseits der Brandwand. Die Gastwirtschaft war ohnehin nicht zu retten. Am frühen Morgen war klar: der Arbeitsraum war erhalten geblieben, der Materialschuppen jedoch nicht. Der Koks-vorrat brannte noch viele Tage danach.

Eine russische Kommandantur war kurz nach dem Einmarsch der Russen auf dem Holzhof Gohlke, Roßwieser Straße 53? eingerichtet worden. Gohlkes hatten vor kurzem auf dem Hof einige große Hallen aufgebaut, in denen, damals sehr neu, Spanplatten hergestellt wurden. In den ausgeräumten Hallen wurde das Nutzvieh aus der Umgebung, vorwiegend Kühe, zusammengetrieben. Die Kommandantur war im Haus selbst.

Am nächsten Tag stand der Major, wie sich herausstellte, der Kommandant, mit der Dolmetscherin Sophie, wieder in der Tür. Die Dolmetscherin Sophie und Lilly, zwei Schwestern, wohnten mit ihren Familien Hämmerling und Kurth, seit kurzem gegenüber von uns, über der Bäckerei Feyer, Roßwieser Straße 15. Der Major ließ sich den Brandschaden zeigen und wollte die Gärtnerei sehen. Nachdem er die Gewächshäuser inspiziert hatte, die jetzt Ende Winter/Anfang Frühjahr voller Pflanzen und Wachstum waren, erklärte er die Gärtnerei für beschlagnahmt und meinem Vater als den (in der eigenen Gärtnerei) verantwortlichen Leiter.

Die Russen organisierten schnell und alles das, was für die zügige Weiterführung der Gärtnerei notwendig war: Bewohner der umliegenden Häuser wurden zur Arbeit in der Gärtnerei verpflichtet, wie vorher schon in der Umgebung der Kommandantur. Die Arbeitskräfte bekamen Lebensmittel und wir an unserem Wohnhaus, am Eingang zur Gärtnerei, unter dem Emailschild der Brandenburgischen Feuerversicherung ein Holzschild mit großen, roten kyrillischen Buchstaben: „Kommandantur, Betreten verboten“, oder so ähnlich. Dieses Schild war enorm wichtig, es brachte ein Stückchen Sicherheit gegen plündernde Soldaten und später verwehrte es Polen den Zutritt. Hatte sich trotzdem mal ein Soldat verirrt oder das Schild im Dunkeln übersehen oder ignoriert und polterte gegen die Tür, wurde ich schnell zur Kommandantur geschickt: „Unas zon Russkis“ oder „Bei uns sind Russen“ und dann, mehr oder weniger schnell, kam ein Posten und schaffte wieder Ordnung.

Vater bekam nun eine eigene Dolmetscherin für die täglichen Besuche der Russen. Lilly, die Schwester von Sophie, eine junge, nette Polin, war Lehrerin. Sie musste nicht arbeiten und da ihre Schwägerin(?), Frau Kurth auch bei uns in der Gärtnerei arbeitete ergab es sich, dass Lilly sich mit uns Kindern, mit Inge, der etwa gleichaltrigen Tochter von Frau Kurth und mich beschäftigte. Wenig

später saßen wir neben meiner Mutter, die Sämlinge pikierte, im warmen Gewächshaus beim Unterricht. Schule gab es ja seit Monaten nicht mehr. Deutsch, Mathematik und – Polnisch standen auf dem Unterrichtsplan. Polnisch! – Etwas ganz Neues für mich, für uns. Aber nicht nur so zum Sprechen, nein, richtig von Anfang an, schriftlich und mit Grammatik. Das war der Anfang meiner Polnisch-Kenntnisse.

Mein Vater hatte richtig viel zu tun mit seiner Gärtnerei. Wir hatten Gurken, Tomaten, Salat, Radieschen, Möhren in den Gewächshäusern und Frühbeetkästen. Die Offiziere kamen, kontrollierten und staunten, dass alles so gut wuchs. Natürlich ging alles an die Kommandantur und in die Hohenzollern-Straße, die gänzlich für den Armeestab beschlagnahmt worden war. Er musste große Mengen Tomaten-, Kohl- und Tabakpflanzen anziehen. Zur Pflanzzeit dann, mittlerweile war der Krieg beendet, wurde alles mitsamt meinen Vater auf große Lastwagen verladen. In Bärwalde und Neudamm wurde dann die ganze Ladung unter seiner Anweisung auf Feldern einer dortigen Kommandantur eingepflanzt.

Für die Versorgung der Soldaten (und der Deutschen) wurden auf den Dörfern Kommandanturen mit großen landwirtschaftlichen Betrieben eingerichtet. So auch in Lorendorf, mit enger Verbindung zu den Kommandanturen in der Stadt. In Lorendorf, wahrscheinlich auf dem dortigen Gut, waren viele deutsche Frauen und Männer mit Ackerbau und Viehzucht beschäftigt. Im Herbst mussten auch die Arbeiter aus der Gärtnerei nach Lorendorf zum Kartoffel-Lesen.

So vergingen Woche um Woche, Monat um Monat und dann Jahr um Jahr. Um uns herum wurden immer mehr Deutsche „rausgeschmissen“ oder sie gingen freiwillig, immer mehr Polen kamen. Mal war dieser plötzlich weg, mal jene Familie. Hier war ein Pole eingezogen und dort eine polnische Familie. Von dem, was in der Stadt passierte oder gar draußen in der Welt, wussten wir wenig; erwachsene Deutsche gingen möglichst nicht auf die Straße. Dadurch lebten wir aber bald wie auf einer Insel.

Ein Brief aus jener Zeit (*veröffentlicht in: 5. Monatsbericht Mai 1948, der ehemaligen Kirchengemeinden Landsberg Warthe, Stadt und Land, übermittelt von Harry Rusch, Bremen*) beschreibt die Lage der Deutschen sehr gut und authentisch:

*Landsberg/Warthe, d.9.2.1948
Roßwieserstr. 49b*

Hier in Landsberg ist noch alles beim Alten. Heute ist Sonntag, da brauchen wir nicht zu arbeiten. Nur das Vieh muß versorgt werden. Mit der Bewegungsfreiheit nach der Du fragst, ist es nicht weit her. Wir besorgen nur unsere wichtigsten Gänge: Zur Arbeit, zum Kaufmann und zum Bäcker. Manche Deutsche gehen ja auch noch weiter bis zur Stadt; aber wenn man dort nichts zu tun hat, bleibt man am besten zu Hause. Es sind ja auch nur noch ganz wenig Deutsche hier und überall hört man nur polnisch sprechen. Zum Friedhof war ich noch nicht. Andere, die oben waren, sagen, dass dort alles verwildert

ist. Es ist sehr unheimlich dort. – Von der Warthebrücke steht nur noch die eine Hälfte an der Wallseite. Das Stück an der Stadtseite ist abgerissen. Die Holzbrücke daneben, die von den Russen gebaut worden ist, haben die Polen etwas breiter gemacht. Die Trümmer der Stadt liegen noch wie bisher. Aufräumungsarbeiten sind von Deutschen gemacht worden, die noch im Lager sind; Steine karren, aufstapeln, usw. – Euer Haus ist von Polen bewohnt und es ist noch alles in Ordnung. Auch auf der Wirtschaft von Frau Grünberg sind Polen. Bestelle doch an Frau Grünberg recht schöne Grüße von Familie Gablowsky - in unserem Haus wohnen von den früheren Bewohnern noch eine Familie Herfurth, und wir. Die anderen Deutschen sind erst in der Russenzeit hier eingezogen: Frau Ziemanski (Anmerk.: Handelt es sich um Frau Frieda Ziemanski? Von deren Ehemann Paul Ziemanski liegt Nachricht vor aus Russland, er befand sich zuletzt, Sommer 1947, im Lager Budenowka) Frau Freimark, Familie Schwandke und Irmgard Grupa. Aus Lorendorf sind hierher gekommen: Frau Schmidt, Familie Balfanz, Frau Bohn und Irene Drägestein. Dann sind noch ein paar Leute hier aus Bernstein und zwei Familien von weiter her. Ein Herr Brauer aus Landsberg ist noch hier (bei den Bienen). Unser Haus ist nur mit Deutschen bewohnt, auch die Villa, in der Pfarrer von Werder gewohnt hat (Roßwieserstr. 51). – Laufen drüben keine Transporte von hier ein? Wir möchten auch lieber am Tag einmal weniger essen als hier ewig zu sitzen. Du kannst wirklich glücklich sein, dass Du mit Deinem Mann drüben bist.

Recht herzliche Grüße von uns und auch von Familie Gablowsky. Grüße auch bitte alle anderen Bekannten.

*Deine Hedwig Gehrke nebst Tochter Erika
Gorzow n/Warta, Koniawska 49 b*

Private Kontakte mit Polen gab es nicht. Wir konnten ja nicht polnisch sprechen. Doch hatten wir zu einigen Familien, ehemals Deutsche, private Beziehungen. Die Familien hatten für Polen optiert, weil jeweils ein Ehepartner polnischer Abstammung war. Da war die Familie Paech mit ihrer Tochter aus dem Buttersteig. Frau Paech war Hebamme gewesen. Dann die Familie Hamerski aus der Friedberger Straße. Herr Hamerski hatte früher ein Taxen- oder Mietwagen-Unternehmen und imponierte mir mit einer tollen Briefmarkensammlung. In der Mitte vom Dorf Seidlitz eine Familie mit zwei Töchtern. Die Namen habe ich leider vergessen. Sie hatten eine Landwirtschaft und das war in der schlechten Zeit sehr gut für uns. Und schließlich Erika Rottke, die mit einem Polen auf dem Hof ihrer Eltern in Kernein wohnte. Viele Jahre nach uns sind auch die beiden erst genannten Familien in die Bundesrepublik ausgereist. Und, was ein Wunder, die Familie Hamerski brachte für uns ein großes gerahmtes Bild mit einer Herbstlandschaft, welches mein Vater meiner Mutter zur Hochzeit geschenkt hatte und unsere Wanduhr, aus Landsberg mit nach Westdeutschland. Das Bild und die Wanduhr

hingen zu Hause im Wohnzimmer. Wir konnten sie nicht mitnehmen und hatten sie Hamerski's zu treuen Händen vor unserer Ausreise übergeben. Beide Erinnerungen an zu Hause hängen heute in unserer Diele.

Meist übernahm ich die Kurierdienste in die Stadt oder über die Kuhburg-Insel nach Seidlitz. Meine Eltern mussten ja arbeiten und für Kinder waren die Wege am wenigsten gefährlich. Wir bekamen zwar die wichtigsten Nahrungsmittel aber meine Eltern hatten keine eigenen Zlotys, um etwas darüber hinaus Notwendiges in den polnischen Läden kaufen zu können. Mein Vater hatte zu einem Weihnachten einen elektrischen Rasierapparat geschenkt bekommen, damals etwas sehr Besonderes. Trotzdem zog mein Vater aber die Nassrasur vor und so blieb das Gerät unbenutzt. Daher drückte es mir meine Mutter zum Verkauf in die Hand. In der Hindenburgstraße, ul Chrobrego, gab es einige An- und Verkaufsläden im Souterrain. Nach einigem Handeln habe ich eine Hand voll Zlotys bekommen. Auf dem Nach-Hause-Weg kam ich an eine Schlachtereierlei mit leckeren Wiener Würstchen vorbei. Ich dachte, es sei eine gute Idee, jetzt Würstchen mit zu bringen, da wir schon lange keine mehr hatten. Leider kam die Idee bei meinen Eltern nicht so gut an.

Eines Sonntags bin ich mit meiner Mutter sogar mit der Bahn nach Stolberg jetzt Kamień Mały gefahren. Stolberg-Ost, besser Ludwigsgrund, war Mutters Geburtsort und sie wollte wissen, wie es dort jetzt aussieht. Zu den Kurierdiensten oder Gängen gehörte es auch, für die Eltern herauszufinden, ob eine uns bekannte Familie noch da war. Manchmal in Begleitung der Mutter oder allein. So habe ich Landsberg durchstreift und kennen gelernt. Über und in Trümmern und in unbewohnten, verwüsteten Häusern bin ich herum gestromert. Im Winterhafen lag ein Schiff, das war voll beladen mit neuen, broschierten Büchern aus der Druckerei. Ein Buch hatte es mir angetan: „Die Sklavenkaravane“ von Karl Mai. Mein erstes Karl-Mai-Buch. In jener Zeit habe ich viel gelesen.

Ich hatte Schlittschuhe und im späten Winter, wenn Warthe und Kanal über die Ufer getreten und wieder gefroren waren, konnte man kilometerweit in Richtung Zechow über das manchmal gewölbte Eis laufen, wenn der Wasserspiegel wieder etwas gefallen war. Da es zu meiner Freude keine Schule gab, hatte ich viel Freizeit. Mein Vater hat zwar immer mal wieder versucht, mir in Deutsch und Mathematik „auf die Sprünge zu helfen“. Neben seiner Arbeit und meinem passiven Widerstand kam aber nicht viel dabei heraus. Auch meine alten Schulfreunde waren weg. Auf der Straße spielten jetzt polnische Kinder. Ein etwas älterer Junge rief: „chocz, grammy pilka“, „Komm, spielen wir Ball“. Und ich durfte mitspielen. So kamen die ersten Kontakte zu Polen zustande.

Wir wohnten immer noch in unserem Haus. Im Laufe der Zeit aber hatten uns unsere Hausmädchen und Lehrlinge verlassen. So wurden die Zimmer mit Leuten belegt, die in der Gärtnerei, in der Kommandantur oder sonst bei den Russen arbeiteten. Inzwischen war die Landwirtschaft in Lorenzdorf von den Russen aufgegeben worden und einige deutsche Familien waren zusätzlich in die Roßwieser

Straße nach Landsberg gekommen. So wie unser Haus, war auch die „Weiße Villa“, das ehemalige Wohnhaus des Pfarrers von Werder neben Gohlkes für Kommandantur-Arbeiter beschlagnahmt und belegt. Gleiches galt für das 6-Familienhaus Roßwieser Straße 49 b, in dem Frau Gehrke und Tochter Erika sowie Herr Grigoleit aus Lorensdorf, der Treckerfahrer (der anstatt einer Hand einen Haken hatte), mit seiner Familie wohnte. Ganz oben im Haus wohnten Frau Herfurth mit Tochter Frau Hummel und Enkeltochter Christiane. Bei uns zog die Familie Sitzlach aus der Dammstraße ein. Hans Sitzlach war Elektriker bei den Elektrizitätswerken in Landsberg und für die Russen unentbehrlich. Seine Frau arbeitete in der Gärtnerei. Der Vater von Frau Sitzlach, Herr Fanselow war da und Hans-Joachim, der Sohn, 2 Jahre älter als ich und Oberschüler. Natürlich freundeten wir uns bald an und unternahmen einiges gemeinsam.

Im Laufe der Jahre erreichten uns auch etwas mehr Informationen über die Situation in Deutschland. Jemand hatte ein Radio und wir hörten den Radiosender RIAS aus Berlin. Die Oder-Neiße-Linie war die Grenze geworden, im Westen aus der Bi-Zone Trizonesien. Im Osten hatten die Russen die DDR etabliert. Der kalte Krieg hatte gerade begonnen.

In der Gärtnerei des Vaters hatten sich die Wünsche der Russen im Laufe der Jahre verändert. Sollten anfangs überwiegend Grob- und Feingemüse erzeugt werden, so wurden jetzt mehr Topfpflanzen und Schnittblumen neben Feingemüse verlangt. Die Blumen gingen ausschließlich in die Hohenzollernstraße; auch Dekorationen wurden zu Festlichkeiten arrangiert. Um alles wunschgerecht organisieren und vorbereiten zu können, wurde Vater mit einem Offizier nach Poznan geschickt, um dort spezielle Sämereien und sonstige gärtnerische Bedarfsartikel kaufen zu können.

Tadeusz Wachowicz, ein polnische Gärtner, hatte die Gärtnerei von Strohbusch, Roßwieser Straße 43, übernommen. Beide Gärtnereien gingen in der Tiefe von der Rosswieser Straße bis zur Reimanstraße und da jenes Grundstück hinten breiter war als unseres, gab es hinten einen gemeinsamen Zaun. An diesem Zaun trafen sich Ende März 1949, ich war 14 Jahre alt, der polnische Gärtner, mein Vater und ich. Jeder auf seiner Seite, um Wichtiges zu besprechen. Ich hatte keine Ahnung, worum es ging, wusste auch nicht dass sie sich kannten. Pan Wachowicz konnte ein wenig Deutsch und beide verabredeten, dass ich ab April in seiner Gärtnerei arbeiten und so etwas wie eine Lehre absolvieren sollte.

Dann war es soweit. Am 1. April 1949 ging ich 100 m weiter in eine andere, neue Welt. Tadeusz Wachowicz hatte die Gärtnerei zu neuer Kraft und Blüte geführt und war wohl als privater Gärtner führend in Gorzow geworden. Er hatte 10 bis 12 Mitarbeiter, Männer und Frauen, jung und alt. Alles waren aber Polen. Er stellte mich kurz vor und die Arbeit begann. Fast alle waren freundlich zu mir, es gab keine Probleme. Eine ältere Frau sprach nie mit mir, das war auffällig und auch die anderen merkten es. Jemand nahm mich auf die Seite und sagte mir „Sie kann es nicht, ihre ganze Familie ist im KZ umgekommen“.

Als Gärtnersohn brachte ich eine Grundlage für die gärtnerische Arbeit mit. Hierauf aufbauend lehrte mich der Gärtnergehilfe und Stellvertreter des Chefs, Pan Chichowicz, das Gärtnerische. Durch das tägliche Zusammensein nur mit Polen verbesserte sich mein bis dahin doch sehr „stokelige“ Polnisch schnell. Ich konnte schließlich bald mühelos polnisch verstehen und sprechen. Ich fügte mich schnell ein und so verging dann schnell ein Jahr.

Die letzten Monate in der Heimat

Ende März 1950 erschienen in der Gärtnerei meines Vaters ein sowjetischer Offizier und einige Polen in Zivil. Es stellte sich heraus, dass dieses Angehörige des *Zajzad Miejski w Gorzowie*, also der Stadtverwaltung waren. Nach einem Betriebsrundgang mit meinem Vater wurden die anwesenden deutschen Arbeiterinnen und Arbeiter in der Gärtnerei zusammen geholt. Ihnen wurde mitgeteilt, dass sich die sowjetische Armee zum 01. April 1950 aus den noch bewirtschafteten Betrieben zurückziehen werde und alles, die Betriebe und das deutsche Personal, der polnischen Stadtverwaltung übergeben werde. Vorgestellt und zuständig für die Gärtnerei wurde der Leiter der Stadtgärtnerei, *Kierownik Miejskiego Zakładu Ogrodniczego w Gorzowie Wlkp*, Pan Franciszek Prominski. Nun war also amtlich, was bisher nur gerüchteweise durchgesickert war. Die Russen, unsere „Beschützer“ gingen und überließen alles den Polen. Mein Vater war von heute auf morgen mit seinen deutschen Mitarbeitern polnischer Stadtgärtner in der eigenen Gärtnerei geworden.

Die Produktionspalette änderte sich nicht wesentlich: Marktpflanzen, Topf- und Schnittblumen, sowie Feingemüse. Nun musste Deutsch-Polnisch gedolmetscht werden und immer öfter wurde ich dazu geholt. Ich arbeitete zwar noch immer bei Pan Wachowicz, aber bald bahnte sich eine Änderung an. Das Wirtschaftssystem generell wurde mehr und mehr nach sowjetischem Muster umgekrempelt. Privat wirtschaftende Kapitalisten waren nicht mehr erwünscht. Der Gärtnerei-Nutzungsvertrag des Pan Wachowicz wurde gekündigt oder nicht mehr erneuert und der erfolgreiche Gärtner musste gehen. Er ging nach Roßwiese und übernahm die Gutsgärtnerei, von woher einst mein Großvater gekommen war. Seine Gärtnerei wurde nun ebenfalls Stadtgärtnerei und Pan Chechowicz wurde mit der Leitung beauftragt. Die Gärtnereien waren nun gleichgeschaltet, ich war (nicht offiziell, aber de facto) Dolmetscher, in beiden Gärtnereien tätig und bald fiel auch der bisher trennende Zaun zwischen den beiden Gärtnereien.

Die Ausreise

Anfang September kam von der Stadtverwaltung die offizielle Order, dass alle Deutschen ausreisen müssen, es sei denn, sie optieren, nehmen also die polnische Staatangehörigkeit an. Meinen Eltern wurde gesagt, dass sie ihr Eigentum, Haus und Gärtnerei behalten und weiter bewirtschaften können. Dennoch kam für meine Eltern, sie waren 58 und 47 Jahre alt und hatten in den Jahren kaum ein

Wort polnisch gelernt, diese Möglichkeit nicht in Betracht. So musste gepackt werden. Wir konnten alles mitnehmen, was transport- und tragfähig war. Wir hatten insgesamt 16 Gepäckstücke, Säcke, Kisten und Wannen, alle mit Namen und laufender Nummer versehen, dazu unser Handgepäck. Das Gepäck aller wurde tags vorher in Güterwagen verladen. Im Morgengrauen des 10. September 1950 nahmen wir Abschied von der Heimat. Einige waren gekommen um uns zu verabschieden. Pan Prominski sagte zu mir: „Pamientaj o ojca!“ Dann fuhr der Personenzug vom Bahnhof Brückenvorstadt ab, über Posen und Breslau nach Deutschland, in eine unbekannte Zukunft.

Im September 1950 sind die letzten 52 deutschen Landsberger aus Gorzow ausgewiesen worden. Es waren u. A. die Familien:

Frau Herfurht mit Tochter Frau Hummel und Enkeltochter	3 Personen
Balfanz, früher aus Lorendorf	3 Personen
Walter mit Frau Ottilie und Sohn Werner	3 Personen
Frau Gehrke und Tochter Erika	2 Personen
Grigoleit, Schwerbeschädigter und Treckerfahrer mit Anhang	5 Personen
Sitzlach, Hans und Frau und Sohn Hans-Joachim	3 Personen
Frau Bohn	3 Personen
Herr Heimann und Frau	2 Personen

Nachtrag:

Inzwischen sind rd. 60 Jahre seit jenen Jahren vergangen. Nicht alle Namen, Örtlichkeiten, Zeiten und Begebenheiten dürften trotz aller Bemühungen korrekt sein. Ich bitte um Nachsicht. Die Erinnerung verblasst, aber beim Erinnern an Einzelheiten kommen Begebenheiten wieder zutage, die längs vergessen schienen.

Alles in Allem: Wir haben in den Wirren dieser Jahre viel Glück gehabt; wir sind gesund und in der Familie zusammen geblieben, wir haben, wie kaum andere, bis zuletzt in unserem Haus leben dürfen und nicht hungern müssen. Wir haben einigermaßen menschlich ausreisen dürfen und wir sind im Westen gelandet. Zufall? Gott sei Dank!

Diese Erinnerungen sind gewidmet

- meinen Eltern, die mir immer, auch in schwerer Zeit, Vorbild waren,
- meiner Frau, die es verstanden hat, ihre humanistisch-soziale Weltanschauung in der Familie zu leben und weiter zu geben,
- unseren Kindern, die Verantwortung für ihre Kinder und dafür tragen, dass die Verirrungen von Menschen und ganzen Völkern keine Zukunft haben darf, und
- schließlich Allen, die für Versöhnung und Frieden eintreten, jeder an seinem Platz.

Anhang: Fotos aus den Jahren 1930 bis 1950.

Załącznik: Fotografie z lat 1930-1950



Großmutter, Großvater und Mitarbeiter in der Gärtnerei an der Roßwieser Straße, um 1930
*Babcia, dziadek i pracownicy w ogrodnictwie przy Roßwieser Straße (ul. Koniawska),
około 1930 r.*



Gewächshäuser, Teilansicht aus dem Wohnhaus
Szklarnie, widok z domu



Teilansicht der Frühbeetkästen in Richtung Roßwieser Straße
Widok inspektów w kierunku Roßwieser StraÙe (ul. Koniawska)



Schulanfang für den Autor, Herbst
1941

*Pierwszy dzień szkoły autora, jesień
1941 r.*



Philipp, unser Franzose
Philipp, nasz Francuz



Stand auf dem Wochenmarkt neben dem Paucksch-Brunnen
Stragan na targu obok Fontanny Pauckscha



Gärtnerei Wachowicz, früher Strohbusch, ul. Koniawska 43
Ogrodnictwo Wachowicza, wcześniej Strohbusch, ul. Koniawska 43



Gärtnerei Wachowicz, Mitarbeiter 1949
Ogrodnictwo Wachowicza, pracownicy – 1949 r.

Werner Gabloffsky

Gorzów w moich wspomnieniach

Wiele młodzięcych lat mojego życia było ściśle związanych z wyjątkowymi wydarzeniami historycznymi w moim rodzinnym mieście. Jest to dla mnie powód, by wziąć udział w konkursie na relację.

Lata młodzięcze w Landsbergu i Gorzowie

Urodziłem się w grudniu 1934 r. w klinice dla kobiet „Bethesda” przy Friedbergerstraße w Landsbergu nad Wartą. Moi rodzice, Ottilie i Walter, mieli zakład ogrodniczy przy ul. Rosswieserstraße 48, dzisiaj Koniawskiej. Ochrzczony zostałem w kościele luterzańskim przy Dammstraße (ul. Grobla). W domu rodziców miałem bezpieczne, dobre i bez troskie dzieciństwo.

Mój dziadek ze swoją żoną Louise przybył w 1890 r. z Rosswiese, dzisiejszego Zieleńca, by kupić kawałek ziemi i zbudować dom i zakład ogrodniczy. Latem pomagałem mu naprawiać inspekt pod starym krzakiem bzu w środku ogrodu. Mój dziadek zajmował mieszkanie w starszej części domu, z przodu po prawej, z wielką izbą i kuchnią z tyłu. Na szafie w izbie stała kolorowa blaszana puszka z ciastkami. Czasem dostawałem jedno takie ciastko. Kuchnia nie była nigdy używana. Dziadek zawsze jadał razem z nami, był na naszym utrzymaniu. Co roku późnym latem przynosiliśmy do jego kuchni brykiety, które ustawialiśmy przy ścianie. Właściwie nie ich potrzebował, bo i tak siedział zawsze u nas, ale tak przewidywała umowa. Mój ojciec się denerwował, ale dziadek nalegał.

Dziadek mieszkał tu już od 50 lat, znał wszystkich mieszkańców ulicy i o wszystkich mi opowiadał, począwszy od końcowego przystanku tramwajowego, przez Kuhburger Graben (Siedlicki Rów) aż do końca drogi przed Rosswiese, a potem z powrotem, po drugiej stronie. Naprzeciwko nas znajdował się wielorodzinny dom nr 15, a w nim piekarnia Feyer. Na dole był sklep, a za nim piekarnia. Na dole po prawej mieszkała rodzina Feyers wraz z synem Kurtem, który był kilka lat starszy ode mnie. Po prawej u góry mieszkała rodzina Niemców z Wołynia (Heim ins Reich!). Do piekarni trzeba było przejść dookoła. Z okazji wielkich świąt, takich jak Wielkanoc, Zielone Świątki czy Boże Narodzenie, przynosiliśmy tu, my i wielu innych, wielkie blachy z ciastem przygotowanym do pieczenia. Każda blacha zaopatrzona była w kawałek papieru oderwanego z marginesu „Generalanzeigera” z zapisanym naszym nazwiskiem. Około południa

ciasta stały już gotowe na wózku w rzędach po dziesięć i pachniały pięknie. Trzeba było wyszukać swoje ciasto, zapłacić po 15 fenigów za blachę i zanieść ją do domu. Dorośli po jednej w każdym ręku, dzieci tylko po jednej. Cieszyliśmy się z tego, bo dzięki temu mieliśmy jedną rękę wolną, żeby szybko chapsnąć jedną albo dwie strucle.

Za ulicą Kurzerweg (ul. Krótka) i małym gospodarstwem rolnym z ogrodem stały dwa trzypiętrowe domy sześciopokojowe. W pierwszym z nich, na wysokim parterze znajdował się niewielki sklep spożywczy, w którym można było kupić solone ogórki i kiszoną kapustę z wielkich beczek. Dalej, naprzeciwko zakładu ogrodniczego Strohbuscha (jeszcze innego Strohbuscha) było niewielkie gospodarstwo rodziny Forch. Przez Kuhburger Graben do Rosswiese, jak daleko prowadziła Rosswieserstraße, domy stały pojedynczo porozielniane mniejszymi i większymi polami. Tuż przed Rosswiese była jeszcze boczna droga w lewo. Daleko w polu stał samotny dom. Tam mój ojciec około roku 1937 (!) kupił od jakiegoś Żyda z miasta dwa pola po obu stronach drogi, 2- i 5-morgowe. Dopiero wiele lat później ojciec opowiedział mi, jak to wszystko było. A dalej, też jeszcze przed Rosswiese, mieszkał szkolny kolega, którego ojciec był bednarzem. Od Rosswiese numery domów malały po zachodniej stronie ulicy. Między Rosswiese i Kuhburger Graben odbijała główna droga na pastwiska, przy której były już tylko cztery duże gospodarstwa. Z prawej z przodu mieszkała zaprzyjaźniona rodzina chłopów, dalej z lewej wójt (Hahne?). Na skrzyżowaniu stał samotny dom z dawnym (częściowo spalonym) młynem. Tu, za wysokim płotem z drutów kolczastych, znajdował się obóz jeniecki dla Francuzów, do których należał także nasz Francuz Philipp. Po tej stronie Kuhburger Graben mieliśmy jeszcze kilka mórg (2,5 tys. m kw.) ziemi, na której stał wysoki maszt wysokiego napięcia. Pod numerami 43 i 44 leżał ogród Strohbuschów, pod nr 45 dom rodziny Kaschube, pod 46 rodziny Scheffler, pod 47 i 48 my z naszym ogrodem, pod 49 gospoda Isensee, potem rodziny Henschke, Porath, pastor von Werder, rodzina Gohle, Deh, Melchert i wiele innych.

W naszym ogrodzie pracowało zawsze sporo ludzi, licząc z nami było to między 10 a 12 osób. Byli to mama, ojciec, dziadek i ja, a oprócz nas w domu mieszkało trzech czeladników, w ostatnim okresie Karl Wegener z Berlinchen (Barlinek), Horst Krüger z Stolzenberg (Różanki), jakiś uczeń z Dühringshof, (Bogdaniec) oraz nasze służące Ursel i Natasza. Dwudziestoletnia Natalia Riejabko była naszą Ukrainką z Połtawy. Mieszkała z naszą rodziną, pracowała w domu i ogrodzie. Miała niewielki pokój na poddaszu z krzywym dachem. Nasz Francuz Philipp z Reims był kapralem, wysokim, silnym mężczyzną i przyjechał do nas na przełomie 1940 i 1941 r. Ojciec go wybrał, bo Philipp był ogrodnikiem, i pamiętam dobrze, że ojciec podczas pierwszego obchodu porozumiewał się z nim, używając łacińskich nazw roślin. Philipp powoli uczył się niemieckiego i śmiesznie było słuchać jego niemiecko-francuskich opowiadań o Francji. W czasie przerw obiadowych uczył mnie grać w szachy. Nikt z nas nie umiał w nie grać. Jadł u nas, ale nie wolno mu było siedzieć z nami

przy stole, taki był przepis. Rano Francuzi przychodzili, wieczorem wracali do obozu. Przez cały tydzień trzeba było żywić także strażnika. Poza tym w razie potrzeby pomagało nam w ogrodzie kilka kobiet.

Ojciec przejął ogrodnictwo od dziadka Carla w 1931 r., w chwili swojego ślubu. Zakład składał się z siedmiu ciepłarni ogrzewanych centralnie z kotła na koks. Do tego dochodziły liczne grządki częściowo także ogrzewane oraz sporo ziemi aż do Reymanstraße (ul. Małorolnych). Mieliśmy jednego konia i wóz na ogumionych kołach. Uprawialiśmy kwiaty, nowalijki i warzywa. Produkty sprzedawaliśmy na Marktplatz (Starym Rynku). Mieliśmy stałe cotygodniowe stoisko między starymi drzewami obok fontanny Pauckscha i ulicą Schlosstraße (ul. Obotrycka). Latem, kiedy rodzice zabierali mnie na rynek, pozwalali mi też kupować lody we włoskiej cukierni leżącej naprzeciwko. Nasz koń, nieco nerwowy kasztan, który ciągnął wypełniony wóz na rynek, nie lubił przechodzić przez most Gerloffa. Jeśli jeszcze górą przejeżdżał pociąg Kolei Wschodniej, płoszył się tak, że tylko z trudem można go było zatrzymać i galopował ulicą Brückenstraße (ul. Mostowa) do samego rynku.

Sprzedawaliśmy także kwiaty z dostawą do domu i na miejscu. Późną jesienią w parku Quilitza (park Siemiradzkiego) grabiliśmy liście na torze saneczkowym i skoczni. Liście służyły zimą jako ochrona przed mrozem, a później gniły. Instytut Serologiczny na Heinersdorfer Straße (ul. Kosynierów Gdyńskich) hodował dla swoich celów wiele koni. Powstały tam nawóz wykorzystywaliśmy w ogrodzie. Któregoś razu ojciec zabrał mnie wozem na dworzec, żeby odebrać przesyłkę z roślinami. Przejeżdżaliśmy ulicą Brauerstraße (ul. Spichrzowa) i ojciec wskazał w prawo na wielkie rumowisko. – Tam stała żydowska synagoga – powiedział i, mimo moich pytań, to był cały jego komentarz.

Moje lata szkolne 1941 – połowa 1944

Jesienią 1941 r. poszedłem do szkoły podstawowej dla chłopców nr 2 przy ulicy Angerstraße (ul. Przemysłowa). Moja droga do szkoły prowadziła wzdłuż Rosswieserstraße, przez most na kanale, ulicę Dammstraße, a potem park. Moimi nauczycielami byli w I klasie pani Niether, w II – pani Sauer, a w III – pan Wieczorek. Pan Wieczorek uczył też muzyki i akompaniował nam na skrzypcach. Kto nie chciał śpiewać albo fałszował, dostawał w głowę smyczkiem. Kiedyś zamówił u mojego ojca hortensje. Musiałem zanieść do szkoły donicę z trzyłodygową hortensją. Jedna z łodyg złamała się po drodze. Próbowaliśmy ją zakleić plastrem, ale nauczyciel oczywiście od razu się zorientował i oddał mi ten kwiat. Z okazji urodzin Hitlera, 20 kwietnia, musieliśmy wszyscy zejść na apel na szkolne podwórze. Dyrektor wygłaszał mowę, a my musieliśmy śpiewać hymn Niemiec i Horst-Wessel-Lied z ręką podniesioną w geście hitlerowskiego pozdrowienia. Czasami, kiedy nikt nie patrzył, opieraliśmy ręce na głowie kolegi stojącego z przodu. Potem mieliśmy wolne. Moimi szkolnymi kolegami byli Horst Kitzmann, Klaus Seehaver, Heissig i Siegfried Sawatzki.

Latem, kiedy było bardzo ciepło, szliśmy się kąpać na Kanał Brenkenhoffa. Po wschodniej stronie mostu było kilka popularnych piaskowych plaż. Kiedy miałem osiem lat, moi rodzice postanowili, że będę się uczył pływać. Zgłosili mnie więc w Łażni na kurs pływania i jeździłem tam po szkole tramwajem. Po prawej i po lewej stronie usytuowanego na pierwszym piętrze basenu znajdowały się przebieralnie. Nauczyciel pływania stanął na brzegu i dał mi korkowy pasek. Po kilku ćwiczeniach na sucho miałem wskoczyć do wody przyczepiony do wędki. Bałem się i nie chciałem tego zrobić. W końcu wepchnął mnie, pozwolił napić się trochę wody i wyciągnął na brzeg dopiero po chwili. Nigdy nie nauczyłem się dobrze pływać, po zakończeniu kursu nie zrobiłem nawet karty pływackiej. Potem jednak ćwiczyłem dalej na kanale i w końcu udało mi się ta sztuka.

Któregoś południa jechałem po szkole i pływaniu tramwajem do domu. Było gorąco, a ja byłem zmęczony. Tramwaj włókł się przez długą Dammstraße. Stałem na tylnej platformie. Tuż przed mostem na kanale podszedł do mnie konduktor i zażądał biletu, który kupiłem od niego w chwili wyjazdu. Szukałem biletu, ale go nie znalazłem. Zapewniałem, że przecież kupiłem bilet, że powinien to właściwie pamiętać. Dawno już przyjechaliśmy na końcowy przystanek, ale on pozostał twardy i musiałem zapłacić jeszcze raz. A przecież pamiętałem dokładnie, że już zapłaciłem, więc bardzo się rozplakałem.

W połowie grudnia 1943 r. byłem razem z mamą, podobnie jak zawsze w minionych latach, w teatrze na świątecznej bajce. Nie czułem się zbyt dobrze i nawet sztuka dla dzieci nie poprawiła mi humoru. Po powrocie do domu położyłem się chory do łóżka. Zawołano naszego starego lekarza domowego, doktora Krana z ulicy Dammstraße. Stwierdził szkarlatynę, wówczas bardzo poważną chorobę zakaźną. Tuż przez Bożym Narodzeniem musiałem iść do szpitala miejskiego przy Zechower Straße (ul. Warszawska), a tam do izolatki (w dawnej szkole katolickiej) obok kościoła. Mój stan zdrowia szybko się pogarszał. Dodatkowo przyplątało się obustronne zapalenie ucha środkowego oraz zapalenia nosa i oka. Przez trzy miesiące nie chodziłem do szkoły.

Wiosną lub latem na łąkach koło kanału za mostem kolejowym doprowadzono do eksplozji bomby fosforowej. Miała miejsce demonstracja, jak gasić takie pożary, bo z bombardowanych miast docierały do nas plotki, że jest to niemożliwe. Jednak w ogóle nie potrafię sobie przypomnieć jakiegokolwiek alarmu bombowego w Landsbergu. Raz, kiedy byłem z wizytą u krewnych w Küstrin (Kostrzynie), nocą rozległo się wycie syren i musieliśmy uciekać do piwnicy.

Początek końca, 1944-45

Latem, a było to lato bardzo jasne i słoneczne, płynęły nad nami całe stada wielkich samolotów z zachodu na wschód. Mój wuj Otto z Berlina, żołnierz walczący we Włoszech, był u nas z wizytą w czasie urlopu. Staliśmy wszyscy w ogrodzie, patrzyliśmy w górę. Wujek nas oświecił: to Amerykanie. Zrzucili swój ładunek nad Berlinem, teraz lecą na wschód, bo tymczasem bliżej jest do Rosjan.

W sierpniu 1944 r. zmarł mój dziadek Carl. Wcześniej często chodziłem z dziadkiem odwiedzać grób babci. Dziadek rozmawiał wtedy z babcią. Czy go wtedy słyszała? Teraz dziadek został pochowany w rodzinnym grobie obok babci, niedaleko starej cmentarnej kaplicy. Synowa dziadka, ciocia Frieda, uciekła z Berlina-Wilmersdorfu przed bombardowaniami i z całym dobytkiem oraz moim kuzynem Horstem przeprowadziła się do mieszkania dziadka. Horst był przystojnym podchorążym. Grał na skrzypcach, opowiadał o wojnie nad Ilmensee i flirtował z naszą służącą Ursel.

Późnym latem 1944 r. poszedłem do czwartej klasy. Nasz nowy wychowawca nazywał się Niether. Często przychodził w mundurze SA. Nie mieliśmy jednak okazji zbyt często go widywać, bo lekcji było coraz mniej. Nauczyciele byli powoływani do Wehrmachtu i Volkssturmu, a szkoła coraz bardziej była zajmowana przez rannych, a potem uciekinierów ze Wschodu. Nigdy nie dowiedziałem się, co sądzili o tym i mówili dorośli. Już na długo przed Bożym Narodzeniem słyszeliśmy meldunki radia Deutschland o wkroczeniu Rosjan do Prus Wschodnich i ich okrucieństwach popełnianych na ludności cywilnej. Bałem się i w łóżku płakałem.

Między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem były ferie, ale w styczniu lekcje już się nie zaczęły. Rosjanie byli coraz bliżej. Słyszeliśmy o tym w wiadomościach. Dawno już skończyły się meldunki specjalne rozpoczynane dźwiękiem fanfar. Około 25 stycznia 1945 r. strażnik francuskich jeńców wojennych otrzymał rozkaz, żeby odmaszerować z nimi w kierunku zachodnim. Później dowiedziałem się od Philippa, który odwiedził nas jeszcze w marcu 1945 r., że Rosjanie dogonili ich już w Dębnie i przyprowadzili z powrotem do Landsbergu.

W połowie stycznia droga zapełniła się ludźmi i pojazdami wszelkiego rodzaju. Uciekinierzy, ranni, żołnierze niemieccy i sojusznicy. Wjazd na nasze podwórze zatarasował wielki wojskowy samochód ciężarowy i tam się zatrzymał. Z tyłu, na otwartej skrzyni, siedziało 10 lub 12 wychudzonych postaci w łachmanach. Rosjanie? Nie wiem. Zrobili zabawki z drewna i błagali o chleb. Ktoś powiedział do żołnierzy – Wypuście ich, przecież nic już wam nie zrobią! Jeden z żołnierzy zaśmiał się – Oni są naszą polisą na życie, póki ich mamy, nic nam się nie stanie!

Zaczęły się otwarte dyskusje: Jedziemy czy zostajemy? Oficjalna propaganda zabraniała ucieczki i jeszcze pod koniec stycznia szef nazistów Handtke mówił przez radio do landsberczyków, że nie ma żadnego zagrożenia. Front miał zostać powstrzymany, a wróg odepchnięty dzięki nowym armiom i broni. Tymczasem głośno zadawano sobie pytanie, czy on sam w ogóle jeszcze jest w Landsbergu.

Rankiem i przed południem 29 stycznia horyzont na północnym wschodzie się zaczerwiecił. Stolzenberg płonie – mówili ci, co znali się na rzeczy. Mój ojciec wraz z kolegami ze straży pożarnej zostali wcześniej rano powołani do Volkssturmu w komendzie straży przy ul. Moltkego (ul. Dąbrowskiego), naprzeciwko domu pomocy społecznej. W dwie godziny później był już w domu. Kapitan straży Erich Messer, który miał dowodzić tym oddziałem Volkssturmu, powiedział po prostu – Uciekamy! Zarządził usunięcie całego sprzętu z samochodów, drabin, pomp itp. – Kto chce, może zabrać po jednej sztuce bagażu na osobę i rodziny, za trzy godziny ruszamy – mówił.

Mój ojciec odbył naradę z mamą i zapadła decyzja: Nigdy nikomu nie zrobiliśmy krzywdy, więc i tak pierwsi tu wrócimy. Zostajemy! Około 11.00 ulicą Roswieser Straße nadjechała kolumna samochodów straży pożarnej i zatrzymała się u nas na chwilę. Samochody były pełne ludzi i bagażu, również Wiedemannowie wsiedli. Podjęto decyzję, by nie jechać zapchaną szosą nr 1 do Kostrzyna, tylko przez Zieleniec i Sulęcín.

Około południa Polak (lub Belg) otworzył drzwi sklepu rzeźniczego Melchert na Roswieserstraße 56 (?) i wydał wszystkie mięsa i wędliny ze sklepu i magazynów. Nie pobierał pieniędzy ani kartek. Potem, po południu, ulica była jak wymieciona, wszyscy bali się wyjść, nikt nie wiedział, co się wydarzy. Mój ojciec powiedział czeladnikom, że mają sami zdecydować, czy chcą zostać, czy iść do domu. Wszyscy zostali.

Wieczorem, było już ciemno, nagle zgasło światło, a w kilka sekund później dała się słyszeć wielka eksplozja. Most Gerloffa wyleciał w powietrze. A wraz z nim przyłącza wody i prądu. Dla nas nie było to aż takim problemem jak dla wielu innych. Mieliliśmy lampy naftowe i karbidowe używane w ogrodzie i stajni. Poza tym w podwórzu stała wielka, dla ochrony przed stycznymi mrozami owinięta sianem pompa, a w ogrodzie druga, taka sama.

Tej nocy chyba wszyscy wyczekiwali w napięciu i obawie, co przyniesie nieznaną los. Około północy obudziły nas odległe strzały z karabinu maszynowego. Okna sypialni moich rodziców, w której też spałem, wychodziły na ulicę. Tam zobaczyliśmy pociski smugowe lecące w kierunku południowym. Poza tym było cicho. Potem dowiedzieliśmy się, że wracający z Międzyrzecza do Gorzowa członkowie Volkssturmu zostali zatrzymani i ostrzelani przez Rosjan na moście nad kanałem.

Około 5.00 usłyszeliśmy jakieś odgłosy na ulicy. Dochodziły nas tylko odgłosy, nic nie widzieliśmy, ponieważ zamknęliśmy wewnętrzne rolety na oknach. Ojciec je uchylił, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wozy z końmi i żołnierze w obcych mundurach, prawdopodobnie Węgrzy! Byli to ostatni sojusznicy, którzy przeszli tędy w owe dni.

A potem przybyli Rosjanie

Jeden z żołnierzy zauważył ruch za oknem i dwaj pojawili się pod domem, zaczęli stukać kolbami pistoletów w okna: „Auf, dawaj, dawaj!” Ojciec pobiegł na schody i zawołał do góry: Natasza, chodź, szybko! Nasza Ukrainka z pewnością nie spała, bo bardzo szybko pojawiła się na dole, trzęsącymi się dłońmi otworzyła drzwi i wpuściła rosyjskich żołnierzy. Zamienili z nią kilka słów po rosyjsku, zapytali: „Żołnierz, żołnierz?” i zaczęli się rozglądać po izbie. Potem zatrzymali się przy drzwiach wejściowych, porozmawiali z Nataszą 15-20 minut i poszli sobie.

I to wszystko? Niestety nie! Wraz z wzięciem miasta i powiatu przez Armię Czerwoną dla ludności, która nie zdecydowała się na ucieczkę, rozpoczęły się trudne, straszliwe wręcz czasy. Dni, ale przede wszystkim noce, pełne były

okrucieństwa. Front na dwa i pół miesiąca, do połowy kwietnia zatrzymał się na Odrze. To oczekiwanie na Odrze i zakwaterowanie głównego dowództwa w Landsbergu (generał Wasilij Iwanowicz Czujkow) spowodowało, że miasto i powiat stały się miejscem koncentracji wojsk przed szturmem na Berlin. Wszystkie ulice i domy zostały po prostu zalane żołnierzami i materiałem wojennym. Pojawili się także uwolnieni jeńcy wojenni i cywilni. Ja miałem akurat dziesięć lat. Byłem więc wystarczająco duży, by przeżyć to wszystko świadomie i niczego nie zapomnieć. Często relacjonowano te wydarzenia, ale są one jednak nie do opisanie. Wszystkie domy leżące przy ulicy, później także te nieco odleglejsze, były dzień i noc płańdrowane przez mniej lub bardziej pijanych i puszczonej samopas rosyjskich żołnierzy szukających zegarków, alkoholu, wartościowych przedmiotów i kobiet. Przeczesywano wszystkie kąty i kryjówki od piwnicy po strychy, szafy, komody, skrzynie i pudła, wszystko wyrzucano na podłogę, poza dom albo zabierano. Zamknięte drzwi wyważano. Domy i mieszkania opuszczone przez mieszkańców przewracano do góry nogami. Wszystko leżało w chaosie na ziemi, często podpalane przez Rosjan. Miasto płonęło całymi tygodniami, wszędzie było widać łunę.

Najgorsza była pierwsza niedziela. W domu bez przerwy było od pięciu do dziesięciu Rosjan. Tego dnia byłem jako dziesięcioletek świadkiem, jak nasza Ukrainka Natasza została zgwałcona. Mój ojciec był żołnierzem w czasie I wojny. Jego czerwony mundur huzarów z długą szablą wisiał w szafie. W szafce nocnej leżał pistolet. Przedmioty te, podobnie jak portret Führera z dużego pokoju, rodzice usunęli odpowiednio wcześniej. Tej niedzieli jednak jeden z rosyjskich żołnierzy znalazł w koszu na brudną bieliznę niewielką, owiniętą papierem paczkę z orderami i odznaczeniami mojego ojca. Rozpakował je, zobaczył Krzyż Żelazny, rzucił wszystko mojemu ojcu pod nogi, a potem podeptał. Ojej! Mogło się to skończyć gorzej!

Natasza próbowała pomóc nam, na ile mogła, ale często i ona była bezradna. Po kilku tygodniach pojawiły się dwie młode kobiety, które, podobnie jak Natasza, były w Niemczech pracownicami przymusowymi ze Wschodu. Przekonały Nataszę, by wróciła z nimi do domu. Po kilku dniach i nocach bez snu moi rodzice byli tak udręczeni, że zdecydowali się uciec. Wszyscy się spakowali i poszliśmy do sąsiadującego z nami bezpośrednio ogrodnictwa przy Reymanstraße. Następnego ranka nic się nie wydarzyło i wróciliśmy.

W tych pierwszych tygodniach i miesiącach wielu ludzi było wyłapywanych na ulicy i wywożonych. Kobiety, mężczyźni i dzieci. Ich rodziny nie dowiadywały się o niczym, kto, kiedy, dokąd albo dlaczego został wywieziony. Wielu wywieziono do Pollychen (Polichno), do „kopania”. Wróciła tylko mała ich część. Potem pojawiło się GPU, policja polityczna. Również oni brali, kogo popadło. Trzykrotnie aresztowano mojego ojca. Siedział w różnych piwnicach na Kuhburgerstraße (ul. Kobylógórska) i na Brückenvorstadt (Zawarcie). Każdego Niemca podejrzewano o bycie faszystą, członkiem partii albo narodowym socjalistą. Ojciec opowiadał o długich przesłuchaniach. Każdego przesłuchiwanego pytano o towarzyszy niedoli. Ojca wypuścili, bo Otto Deh, ślusarz z Rosswieserstraße, oświadczył

– Byłem blokowym, wiem, kto był, a kto nie był w partii. Inny fakt także z pewnością zadecydował o jego zwolnieniu. Ojciec miał wyjątkowo wyraźną przepuklinę. Większość ludzi zniknęła jednak na zawsze na Syberii.

Któregoś wieczora ulice znów były pełne żołnierzy, spłonął niewielki sklep tytoniowy rodziny Kaschube. Oni sami uciekli, ale inni mieszkańcy budynku, a także właściciele sąsiedniego domu, państwo Scheffler, chcieli gasić sklep. Przyszli do nas, bo mieliśmy dwie duże pompy. Zaraz 10 czy 15 ludzi stanęło w szeregu i podając sobie wiadra zaczęło akcję gaszenia. Nagle spomiędzy płomieni wyjechało konno dwóch rosyjskich żołnierzy z bronią gotową do strzału. Pokazali, że nie wolno niczego gasić, zagrozili wszystkim użyciem broni. Przestraszeni i spanikowani ludzie zaprzestali gaszenia i uciekli na nasze podwórze. Jeźdźcy podążyli za nimi. Kobiety zostały zapędzone do domu, a mężczyźni ustawieni na podwórzu pod ścianą stajni. Ja byłem ostatni w szeregu. Wszystko to odbyło się oczywiście wśród krzyków i hałasów. W momencie kiedy jeden z jeźdźców przeładował broń i zabierał się do strzelania, zza domu pojawił się oficer, który wyciągnął swój pistolet i odprowadził obu Rosjan. W kilka wieczorów później spłonęła opustoszała gospoda Inensee przy Rosswieserstraße 49. Posesja ta wraz z salą restauracyjną i dobudowanym z tyłu torem kręglarskim graniczyła z naszą ziemią. Tu zaś znajdowały się szopy z koksem do ogrzewania cieplarni, pokój roboczy kryty papą i myjnię. Granicę stanowiła w tym momencie potężna ściana ognia. Mając za sobą bolesne doświadczenia, sąsiedzi nie przyłożyli ręki do gaszenia. Nagle pojawił się u nas rosyjski oficer, major z kilkoma żołnierzami. Niedwuznacznie dał nam do zrozumienia, że wszyscy mają się zabrać za gaszenie. Sam dowodził i organizował pracę. Wiadra, woda, ludzie, Niemcy i Rosjanie we wspólnym wysiłku. Gaszenie koncentrowało się na naszych szopach i pokoju roboczym po tej stronie ściany ognia. Restauracji i tak nie dałoby się już uratować. Wczesnym rankiem stało się jasne. Pokój udało się uratować, szopy nie. Koks tlił się jeszcze wiele dni później.

Krótko po wkroczeniu Rosjan utworzono komendanturę w tartaku Gohlke na Rosswieserstraße 53. Rodzina Gohlke tuż przedtem postawiła kilka wielkich hal, w których produkowała płyty piłśniowe, nowość jak na owe czasy. Do hal tych po ich opróżnieniu spędzono z całej okolicy bydło, głównie krowy. Komendantura znajdowała się natomiast w domu.

Następnego dnia major, jak się okazało sam komendant, stał znów przed drzwiami z tłumaczką Sophie. Tłumaczki, siostry Sophie i Lilly, od niedawna mieszkały ze swoimi rodzinami Hämmering i Kurth naprzeciwko nas, nad piekarnią Feyerów, Rosswieserstraße 15. Major kazał pokazać sobie szkody spowodowane ogniem i chciał zobaczyć ogród. Po obejrzeniu cieplarni, które teraz, na przełomie zimy i wiosny były pełne roślin, stwierdził, że ogród zostaje zajęty, a mojego ojca mianował odpowiedzialnym kierownikiem (w jego własnym ogrodzie).

Rosjanie szybko zorganizowali wszystko, co było niezbędne do dalszego prowadzenia ogrodu. Mieszkańcy pobliskich domów zostali zmuszeni do pracy w ogrodzie, podobnie jak wcześniej już w obejściu komendantury. Pracownicy dostali prowiant, a przy naszym domu koło wejścia do ogrodu pod emaliowaną

tablicą Brandenburskiej Straży Pożarnej powieszona została drewniana tablica z wielkimi czerwonymi, rosyjskimi literami: „Komendantura, wstęp wzbroniony”, czy jakoś tak. Tablica ta była bardzo ważna, zabezpieczała nas trochę przed płądrującymi żołnierzami, a potem uniemożliwiała wejście Polakom. Jeśli mimo to zabląkał się do nas jakiś żołnierz, który nie zauważył w ciemności tablicy albo ją zignorował i walił do drzwi, szybko wysyłano mnie do komendatury, gdzie obwieszczałem: „U nas są ruscy” albo „bei uns sind die Russen”, a potem w mniejszym lub większym pośpiechu pojawiał się strażnik i przywracał porządek.

Z powodu codziennych wizyt Rosjan ojciec dostał do swojej dyspozycji tłumaczkę. Lilly, siostra Sophie, młoda, sympatyczna Polka, była nauczycielką. Nie musiała pracować, a ponieważ jej szwagierka (?), pani Kurth, również pracowała u nas w ogrodzie, Lilly zaczęła zajmować się nami, dziećmi, to jest mną i Inge, córką pani Kurth, moją rówieśnicą. Niedługo potem siedzieliśmy na lekcji obok mojej mamy, która przesadzała siewki w cieplej szklarni. Szkoły nie było już od miesięcy. Mieliśmy więc tu lekcje niemieckiego, matematyki i – polskiego. Polskiego! – coś zupełnie dla mnie, dla nas – nowego. Ale nie były to lekcje porozumiewania. Nie, zaczęliśmy porządnie, od pisemnej nauki i gramatyki. Był to początek mojej znajomości polskiego.

Ojciec miał wiele pracy w ogrodzie. W szklarniach i na grządkach mieliśmy ogórki, pomidory, sałatę, rzodkiewki i marchewkę. Oficerowie przychodzili, kontrolowali i dziwili się, że wszystko tak dobrze rośnie. Oczywiście wszystko trzeba było wysłać do komendatury przy Hohenzollernstraße (ul. Kazimierza Wielkiego), która została w całości zajęta przez sztab armii. Potrzebowała dużych ilości pomidorów, kapusty i tytoniu. W czas zbiorów już po zakończeniu wojny wszystko zostało załadowane na wielkie ciężarówki. Mój ojciec też. W Bärwalde (Mieszkowice) i Neudamm (Dębno) cały ten ładunek został pod jego kierownictwem rozładowany na polach tamtejszej komendatury i tam zasadzony.

Dla zaopatrzenia żołnierzy (i Niemców) utworzono na wsiach komendatury z dużymi zakładami rolnymi. Tak było także w Lorendorf (Wawrów), przy czym silne były związki z komendaturą w mieście. W Wawrowie, prawdopodobnie na tamtejszym majątku, zatrudniono wiele niemieckich kobiet i mężczyzn do pracy w polu i przy hodowli zwierząt. Jesienią kazano również pracownikom ogrodu pojechać do Wawrowa na wykopki.

Tak mijaly tygodnie, miesiące, lata. Wokół nas coraz więcej Niemców było wyrzucanych albo sami wyjeżdżali dobrowolnie. Pojawiało się coraz więcej Polaków. Nagle dowiadaliśmy się, że nie ma już tej, innym razem, że tamtej rodziny. Tu wprowadził się jakiś Polak, tam cała rodzina. Niewiele wiedzieliśmy o tym, co działo się w mieście czy wręcz na świecie. Dorośli Niemcy starali się nie wychodzić na ulicę. W ten sposób po krótkim czasie żyliśmy jak na wyspie.

List z tamtych czasów (opublikowany w: 5. Monatsbericht Mai 1948, der ehemaligen Kirchengemeinden Landsberg Warthe, Stadt und Land, przekazany przez Harry’ego Ruscha, Brema) bardzo dobrze i prawdziwie opisuje ówczesną sytuację Niemców:

Landsberg/Warthe, dn. 9 lutego 1948 r. Rosswieserstr. 49b

Tu w Landsbergu wszystko jeszcze po staremu. Dziś niedziela, nie musimy pracować. Trzeba tylko zająć się zwierzętami. Jeśli chodzi o wolność poruszania, o którą pytasz, to nie mamy jej zbyt wiele. Idziemy tylko tam, gdzie trzeba: do pracy, do sklepu, do piekarza. Niektórzy Niemcy idą nawet aż do miasta, ale kto nie ma tam nic do roboty, najlepiej robi pozostając w domu. Niemców jest zresztą już bardzo niewiele i wszędzie słychać język polski. Na cmentarzu jeszcze nie byłam. Inni, którzy byli, mówią, że wszystko tam zarosło. I że jest tam nieprzyjemnie. Z mostu nad Wartą stoi jeszcze tylko jedna połowa, od strony wału. Część od strony miasta jest zerwana. Zbudowany przez Rosjan i stojący obok most drewniany Polacy teraz trochę poszerzyli. Gruzy w mieście leżą, jak leżały. Porządkowali je Niemcy, którzy jeszcze są w obozie. Musieli wozić kamienie taczkami, rzucać je na hałdy, itp. W waszym domu mieszkają Polacy i jest jeszcze w porządku. Na gospodarstwie pani Grünberg są Polacy. Pozdrów ją proszę serdecznie od rodziny Gablowsky. W naszym domu z dawnych czasów mieszka jeszcze tylko rodzina Herfurth i my. Pozostali Niemcy sprowadzili się tu już za Ruska: pani Golly, pani Ziemianski (uwaga: czyżby chodziło o Friedę Ziemianski? O jej mężu, Paulu Ziemianski, istnieje wiadomość z Rosji, że ostatnim miejscem jego pobytu latem 1947 r. był obóz Budenowka), pani Freimark, rodzina Schwandke i Irmgard Grupa. Z Wawrowa sprowadzili się: pani Schmidt, rodzina Balfanz, pani Bohn i Irene Drägestein. Poza tym jest jeszcze kilku ludzi z Pelczyc i dwie rodziny z dalszych okolic. Jest też jeszcze pan Brauer z Landsbergu (przy pszczołach). W naszym domu mieszkają tylko Niemcy, także w willi, w której mieszkał pastor von Werder (Rosswieser Str. 51). Czy nie dojeżdżają do Was żadne nasze transporty? My też wolimy już gorzej się żywić, niż cały czas tu siedzieć. Możesz czuć się naprawdę szczęśliwa, że Ty i Twój mąż już wyjechaliście.

Serdeczne pozdrowienia od nas i od rodziny Gablowsky. Pozdrów także proszę wszystkich znajomych.

Twoja Hedwig Gerke wraz z córką Eriką, Gorzów n/Wartą, Koniawska 49 b.

Prywatnych kontaktów z Polakami nie było. Nie znaleźliśmy przecież polskiego. Znaleźliśmy się jednak z kilkoma rodzinami, które kiedyś były niemieckie. Opowiedziały się za Polską, ponieważ któreś z małżonków było Polakiem. Była to na przykład rodzina Paech z córką z Buttersteig (ul. Towarowa). Pani Paech była akuszerką. Potem rodzina Hamerski z Friedebergerstraße. Pan Hamerski miał przedtem przedsiębiorstwo taksówkowe i wynajmu samochodów i imponował mi wspaniałą kolekcją znaczków pocztowych. W samym środku wsi Siedlice rodzina z dwiema córkami. Nazwiska niestety nie pamiętam. Mieli gospodarstwo rolne i w ciężkich czasach bardzo nam pomagali. I wreszcie Erika Rottke, która mieszkała w gospodarstwie swoich rodziców z pewnym Polakiem. Wiele lat po nas dwie pierwsze wymienione rodziny wyemigrowały do zachodnich Niemiec. I prawdziwy cud: rodzina Hamerski przywiozła z Landsbergu do Niemiec

Zachodnich wielki, przedstawiający jesienny widok obraz w ramie, który mój ojciec dał na urodziny mojej mamie, a także zegar ścienny. Obraz i zegar wisiały w naszym domu w dużym pokoju. Nie mogliśmy ich zabrać, więc przekazaliśmy Hamerskim w depozyt tuż przed wyjazdem. Obydwie pamiątki wiszą teraz w naszym przedpokoju.

Najczęściej służyłem jako kurier z wiadomościami do miasta lub Siedlic. Moi rodzice musieli przecież pracować, a dzieci były stosunkowo bezpieczne na drogach. Mieliśmy wprawdzie co jeść, ale moi rodzice nie mieli złotych, za które mogliby kupić niezbędne artykuły w polskich sklepach. Mój ojciec otrzymał na któreś Boże Narodzenie elektryczną maszynkę do golenia, wtedy było to coś zupełnie niezwykłego. Ojciec wołał jednak golić się tradycyjnie, więc maszynka leżała nieużywana. Dlatego mama dała mi ją na sprzedaż. Na Hindenburgstraße, wówczas już Chrobrego, było w suterenie kilka sklepów, które skupowały różne przedmioty. Po krótkich targach dostałem za maszynkę garść złotych. Po drodze do domu przechodziłem obok rzeźnika, który sprzedawał pyszne wiedeńskie parówki. Pomyślałem sobie, że dobrym pomysłem będzie trochę ich kupić, bo przecież już dawno takich nie jedliśmy. Moim rodzicom pomysł jednak niezbyt się spodobał.

Pewnej niedzieli pojechałem z mamą pociągiem do Stolbergu, teraz Kamienia Małego. Stolberg-Ost, a konkretnie Ludwigsgrund, był miejscem urodzenia mamy, więc chciała się dowiedzieć, jak tam teraz wygląda. Do moich obowiązków jako kuriera należało także dowiadywać się dla rodziców, która ze znanych nam rodzin jest jeszcze na miejscu. Czasem robiłem to w towarzystwie mamy, czasem sam. W ten sposób przemierzyłem i poznałem cały Landsberg. Wałęsałem się między gruzami i spustoszonymi domami. W zimowym porcie stał statek, cały wypełniony nowymi książkami prosto z drukarni. Jedna książka spodobała mi się szczególnie: „Karawana niewolników” Karola Maya. Moja pierwsza książka Maya. W tamtych czasach wiele czytałem.

Miałem łyżwy i późną zimą, kiedy Warta i woda w Kanale występowały z brzegów, a potem znowu zamarały, można było całymi kilometrami jeździć po lodzie, niekiedy wybrzuszonym, gdy poziom wody znów opadał. Ponieważ ku mej radości nie było szkoły, miałem mnóstwo wolnego czasu. Co prawda ojciec próbował „podończyć” mnie niemieckiego i matematyki, ale miał dużo pracy, a ja stawiałem pasywny opór, więc nic z tego nie wychodziło. Jednak wyjechali także już wszyscy moi szkolni koledzy. Na ulicach bawiły się teraz polskie dzieci. Jakiś starszy chłopak zawołał do mnie: Chodź, zagramy w piłkę! I pozwolili mi grać. W ten sposób nawiązałem pierwsze kontakty z Polakami.

Cały czas mieszkaliśmy jeszcze w naszym domu. Jednak z czasem wyjechały nasze służące i czeladnicy. Ich pokoje zajęli ludzie pracujący w ogrodzie, w komendanturze albo gdzieś u Rosjan. W tym czasie zrezygnowali z gospodarstwa w Wawrowie i kilka niemieckich rodzin przeprowadziło się na Rosswieserstraße do Landsbergu. Podobnie jak nasz dom również „Biała Willa”, dawny dom pastora von Werder, został zajęty na potrzeby pracowników komendantury.

Ten sam los spotkał sześciorodzinny dom przy Rosswieserstraße 49b, w którym mieszkała pani Gehrke z córką Eriką oraz pan Grigolet z Wawrowa, kierowca traktora (który zamiast jednej ręki miał hak). Na samej górze mieszkała pani Herfurth z córką, panią Hummel i wnuczką Christiane. Do nas wprowadziła się rodzina Sitzlach z Dammstraße. Hans Sitzlach był elektrykiem w zakładach elektrycznych w Landsbergu i Rosjanie go potrzebowali. Jego żona pracowała w naszym ogrodzie. Mieszkał z nimi także ojciec pani Sitzlach, pan Fanselow, a także jej syn Hans-Joachim, starszy ode mnie o dwa lata i uczeń gimnazjum. Oczywiście zaraz się zaprzyjaźniliśmy i robiliśmy razem różne rzeczy.

W ciągu tych lat zaczęły do nas docierać coraz liczniejsze informacje o sytuacji w Niemczech. Ktoś miał radio i słuchaliśmy radia RIAS z Berlina. Linia Odry i Nysy stała się granicą, na zachodzie z „Bizonii” powstała „Trizonia”. Na wschodzie Rosjanie utworzyli NRD. Zaczęła się zimna wojna.

W ogrodzie ojca życzenia Rosjan zmieniły się w ciągu tych lat. O ile na początku wymagano od nas produkcji warzyw, o tyle później miały to już być rośliny doniczkowe i kwiaty cięte, a także delikatne warzywa. Kwiaty wysyłano wyłącznie na Hohenzollernstraße. Tworzyliśmy też dekoracje na różne uroczystości. Aby ojciec mógł zorganizować wszystko zgodnie z życzeniami, został wysłany z pewnym oficerem do Poznania, gdzie mógł kupić specjalne sadzonki i materiały ogrodnicze.

Polski ogrodnik Tadeusz Wachowicz przejął zakład po rodzinie Strobusch, przy Rosswieserstraße 43. Obydwa ogrodnictwa przechodziły w głąb Rosswieserstraße aż do Reymanstraße, a ponieważ tamta ziemia była szersza niż nasza, z tyłu był wspólny płot. Przy tym płocie spotkaliśmy się pod koniec marca 1949 r., polski ogrodnik, mój ojciec i ja, wówczas 14-latek. Każdy po swojej stronie, a trzeba było omówić ważne sprawy. Nie miałem pojęcia, o co chodzi, nie wiedziałem nawet, że tamci dwaj się znają. Pan Wachowicz mówił trochę po niemiecku i dogadali się, że od kwietnia będę pracował w jego ogrodzie w charakterze kogoś w rodzaju ucznia.

Wkrótce chwila ta nadeszła. 1 kwietnia 1949 r. przeszedłem 100 metrów dzielące mnie od innego, nowego świata. Tadeusz Wachowicz doprowadził zakład do nowego rozkwitu. Jako prywatny ogrodnik był chyba potentatem w Gorzowie. Miał od 10 do 12 pracowników, zarówno kobiet, jak i mężczyzn w różnym wieku. Ale byli to sami Polacy. Krótko mnie przedstawił i zaczęła się praca. Prawie wszyscy byli dla mnie mili, nie było problemów. Pewna starsza kobieta nie zamieniła ze mną ani słowa, rzuciło się to w oczy, więc wszyscy to zauważyli. Ktoś wziął mnie na stronę i powiedział: Nie może się przemóc, cała jej rodzina zginęła w obozach.

Jako syn ogrodnika miałem podstawową wiedzę na temat tej pracy. Bazując na tej wiedzy, fachu nauczył mnie pomocnik ogrodnika i zastępca szefa, pan Chichowicz. Dzięki codziennej pracy z Polakami szybko poprawiłem swoją, dotąd raczej mocno kulejącą, polszczyznę. Po niedługim czasie mogłem bez trudu rozmawiać w tym języku. Szybko się przystosowałem do nowej sytuacji i tak minął rok. Pod koniec naszego pobytu na ziemi rodzinnej, na koniec marca

1950 r., pojawili się w ogrodzie ojca jeden sowiecki oficer i kilku Polaków w cywilu. Okazało się, że byli to przedstawiciele Zarządu Miejskiego w Gorzowie. Po inspekcji ogrodu w towarzystwie ojca zebrali wszystkich obecnych niemieckich pracowników. Poinformowali ich, że 1 kwietnia 1950 r. armia sowiecka wycofa się z zagospodarowywanych przez nią jeszcze terenów i przekaże wszystko, to jest zakłady wraz z niemieckim personelem, polskiej administracji. Przedstawiono nam odpowiedzialnego od tej chwili za gospodarstwo kierownika Miejskiego Zakładu Ogrodniczego w Gorzowie, pana Franciszka Promińskiego. Od tej chwili nabrały więc mocy urzędowej krążące już od jakiegoś czasu pogłoski. Rosjanie, nasi „obrońcy”, opuszczali nas i przekazywali wszystko Polakom. Ojciec z dnia na dzień stał się niemieckim pracownikiem polskiego Miejskiego Zakładu Ogrodniczego zatrudnionym we własnym ogrodzie.

Zakres produkcji zbytnio się nie zmienił. Warzywa na rynek, rośliny doniczkowe, kwiaty cięte. Coraz częściej potrzebny był tłumacz polsko-niemiecki i coraz częściej rola ta przypadała mnie. Pracowałem wprawdzie wciąż jeszcze u pana Wachowicza, ale wkrótce nadeszły zmiany. System gospodarczy był zasadniczo coraz bardziej przestawiany na wzorce sowieckie. Nie było już miejsca dla prywatnych kapitalistów. Umowa dzierżawy pana Wachowicza została wypowiedziana lub też nie została przedłużona i dobry ogrodnik musiał odejść. Przeprowadził się do Rosswiese, gdzie przejął ogród przy majątku, z którego pochodził mój dziadek. Ogród pana Wachowicza został przekształcony w ogrodnictwo miejskie z panem Chichowiczem jako kierownikiem. Ogrody zostały „zgląszaltowane”, a ja (nieoficjalnie, lecz de facto) zostałem tłumaczem zatrudnionym w obydwu. Niedługo potem płot dzielący zakłady został zlikwidowany.

Wyjazd

Na początku września z administracji miasta dostaliśmy oficjalny rozkaz, że wszyscy Niemcy muszą wyjechać, chyba że będą optować, tj. przyjmą polskie obywatelstwo. Moim rodzicom powiedziano, że zachowają swoją własność, dom i ogród, i że będą mogli dalej gospodarować. Jednak moi rodzice, już w wieku 58 i 47 lat, przez cały ten czas nie nauczyli się prawie w ogóle polskiego i zupełnie nie brali takiej możliwości pod uwagę. Trzeba więc było się spakować. Wolno było nam zabrać wszystko, co dało się przetransportować. Mieliśmy więc razem 16 sztuk bagaży, worki, poduszki i wanny, wszystkie opatrzone nazwiskiem i numerem, a do tego nasz bagaż podręczny. Wszystko zostało na kilka dni wcześniej wysłane pociągiem towarowym. O świcie 10 września 1950 r. pożegnaliśmy się z naszą ziemią rodzinną. Przyszło kilka osób, aby powiedzieć nam do widzenia. Pan Promiński powiedział do mnie: Dbaj o ojca! Potem z dworca na Zawarcu odjechał pociąg i przez Poznań i Wrocław zawiózł nas do Niemiec, ku nieznannej przyszłości.

We wrześniu 1950 r. z Gorzowa zostało wydalonych 52 niemieckich mieszkańców. Były to m.in. następujące rodziny:

- pani Herfurht z córką panią Hummel i wnuczką – 3 osoby
- Balfanz, wcześniej z Wawrowa – 3 osoby
- pan Walter z żoną Ottilie i synem Wernerem – 3 osoby

- pani Gehrke z córką Eriką – 2 osoby
- Grigoleit, inwalida i kierowca traktora z rodziną – 5 osób
- Hans Sitzlach z żoną i synem Hansem-Joachimem – 3 osoby
- pani Bohn – 3 osoby
- pan Heimann z żoną – 2 osoby

Posłowie:

Od tamtych czasów minęło już niemal 60 lat. Mimo moich wysiłków mogą zdarzyć się błędy w nazwach miejsc, przy określeniu czasu lub opisywaniu okoliczności. Proszę o wyrozumiałość. Wspomnienia błędne, ale kiedy przypominamy sobie szczegóły, wracają okoliczności, które zdawały się dawno zapomniane.

W ostatecznym rozrachunku w zawierusze tamtych lat mieliśmy wiele szczęścia. Pozostaliśmy zdrowi, a nasza rodzina nie została rozdzielona do samego końca, byliśmy pod tym względem wyjątkiem, mieszkaliśmy w naszym własnym domu i nie głodowaliśmy. Wyjechaliśmy w dość ludzkich warunkach i wylądowaliśmy na Zachodzie. Przypadek? Dzięki Bogu!

Niniejsze wspomnienie dedykuję:

Moim rodzicom, którzy zawsze, nawet w najcięższych czasach, byli dla mnie wzorem.

Mojej żonie, która potrafiła żyć według swoich humanistycznych i społecznych ideałów i przekazać je rodzinie.

Naszym dzieciom, które odpowiadają za swoje dzieci i za to, żeby błędy ludzi i całych narodów nie miały już przyszłości.

Wszystkim, którzy opowiadają się za pojednaniem i pokojem, każdy we własnym zakresie.

Maria Karbowska

Gorzów w mojej pamięci

Ostatni dzień sierpnia rzucił mnie w nurt miasta. Pamiętam to spotkanie dokładnie, mimo że minęło 50 lat od tamtego upalnego dnia.

Wyjście z sapiącego pociągu na peron dworca, przejście przez wypalony budynek do przystanku tramwajowego były początkiem mojego nowego życia. Tramwaj ruszył. Konduktorka wyjęła bloczek biletów z torby przewieszanej przez szyję, oderwała jeden, przecięła dziurkaczem i podała mi tę papierową kruchość. Miałam przepustkę na bratanie się z tym miastem. Stałam na otwartym pomoście wagonu, poddając się muśnięciom dojrzałego, letniego wiatru z zapachem jesieni.

Patrzyłam na mijane domy, nie widząc placów ledwo zabliznionych po odgruzowaniu. Takie wybiórcze widzenie było normalne dla dziewczyny z prowincji. Widziałam duże miasto, tętniące życiem, poprzecinane rowami ulic z zielonymi kleksami drzew. Na przystankach ludzie przesuwali z hałasem drzwi wagonu i znikali w tłumie przechodniów. Zakłócali mi pierwsze chwile zaprzyjaźniania się z miastem, zapamiętywania ulic, placów i charakterystycznych budynków. Minęłam już pomnik po lewej, park i pusty plac. Znalazłam się koło dużego kościoła, który zesłał cień na moje rozpalone odczucia.

Motorniczy wysiadł z tramwaju i metalowym prętem przesunął zwrotnicę, nadając szynom właściwy kierunek. Minęliśmy duży, jasny budynek po prawej, po lewej biały kościół, potem czerwony. Po prawej szpital. Tramwaj skręcił, dojechał do przystanku, na którym wysiadło bardzo dużo ludzi spieszących do pracy. Jeszcze raz skręcił koło dużego kamienia i się zatrzymał.

Wysiadłam z wielką brązową walizką i poszłam do internatu, mojego pierwszego domu w tym mieście.

Przez następne lata te zapamiętane miejsca i budynki rozróżniałam pod ich właściwymi nazwami, bo mijałam je codziennie w drodze do szkoły. Oglądałam je też zimą przez małe prześwitane wychuchane w zamarzniętych oknach tramwaju. W tramwajach zaszły zmiany. Bilety kupowałam w kiosku i kasowałam w tramwajowym kasowniku. Kasownik wycinał w bilecie otwór w kształcie rombu, kwadratu, gwiazdki, trójkąta lub koła. Nie było już konduktorki z torbą przewieszoną przez szyję, z bloczkiem biletów w ręce. Pamiętam jej zimowe rękawiczki bez palców, z których wystawały zziębnięte palce, odrywające bilety lub przeliczające pieniądze. W internacie też zaszły zmiany. Internat był w innym

miejscu. Teraz jechałam do szkoły ulicą pełną pięknych domów z balkonami, gzymsami i sklepów z olbrzymimi wystawami. Wsiadałam koło dużego czerwonego budynku sądu, potem był plac z platanami, następny plac i kino. Tramwaj skręcał koło Arsenалу w wąską uliczkę, potem w drugą i dojeżdżał do fontanny koło katedry. Tam była mijanka tramwajowa. Przesiadałam się w inny tramwaj lub szłam w kierunku teatru, gdzie była moja szkoła. Po drugiej stronie rzeki było kino. Tramwaj przejeżdżał przez most. Most był kamienny, z wysuniętymi po obu stronach balkonikami, zawieszonymi nad wodą jak gniazda remizów. W balkonikach były kamienne ławki. To były moje małe miejsca azylu w drodze powrotnej z kina lub stadionu żużlowego. Do kina za gazownią jechałam inaczej. Tramwaj jechał w kierunku dworca, ale nie skręcał, jechał prosto koło gazowni po lewej, po prawej było kino. Wszystkie te linie tramwajowe przemykają w mojej pamięci jak srebrne nitki, jak szlaki po wygasłych gwiazdach. Niektórych już nie ma, nie ma kamiennego mostu, mijanki koło katedry, wąskich uliczek koło Arsenалу, nie ma też Arsenалу, kina za rzeką, kina za gazownią i gazowni nie ma. Są inne trasy i inne miejsca. One są ze mną, zmieniają się. Na szczęście mam takie miejsce wygasłej gwiazdy w moim mieście. W samym sercu miasta stoi tramwaj z moich wspomnień. Takim jeździłam w zranionym i spalonym mieście mojej młodości. Z takiego wysiadałam w wąskiej uliczce koło Arsenалу, żeby wcisnąć się w rzędy furmanek wyściełanych słomą, pyszniących się górami pachnących śliwek, osnutych lekką mgłą.

Takim wjechałam do miasta w mojej pamięci z tamten sierpniowy dzień. Pozostałam do dzisiaj.

Janina Marciniak (z d. Majewska)

Gorzów w mojej pamięci

Po przeczytaniu książki „Trudne gorzowskie początki” Dariusza A. Rymara na stronie 76 znalazłam zapis o uruchomieniu 25 lipca 1945 r. Ubezpieczalni Społecznej Oddział w Gorzowie ulokowanej przy ul. Walczaka 16, gdzie obecnie mieści się Klub Nurkowania.

Tak się złożyło, że już od dnia 9 stycznia 1946 r. zaczęłam pracować w ubezpieczalni. Wszystkie osoby wówczas zatrudnione były mi dobrze znane. Była nas wówczas garstka. Pracowałam w komórce „Rejestracja ubezpieczonych”. Szefową moją była B. Gajtkowska, a kierownikiem działu Marian Stećków.

Ubezpieczalnia rozrastała się i po uzyskaniu lokalu przy ul. Łokietka 22 zatrudnianych było coraz więcej pracowników biurowych i lekarzy. Lekarze przyjmowali chorych w swoich domach.

Skierowania chorych do lekarzy odbywały się na zasadzie zgłoszenia się chorego do rejestracji w ubezpieczalni. Była już wówczas rejonizacja miasta. Jeśli pacjent był ubezpieczony, to kierowano go do lekarza domowego.

Dyrektorem Ubezpieczalni Społecznej był mgr Stanisław Wojciechowski, jego zastępcą Gwidon Snitko, lekarzem naczelnym Włodzimierz Gnarowski, głównym księgowym Aleksy Poleszczuk.

Dokumentacja ubezpieczalni prowadzona była wówczas ręcznie, liczone przy użyciu liczydeł. Były dwie zdobyczne maszyny do pisania.

Ubezpieczalnia wystawiała również tzw. legitymacje tymczasowe dla ubezpieczonych.

Na potrzeby ubezpieczalni został następnie oddany budynek przy ulicy Drzymały nr 44/45. W części budynku pod nr 44 zorganizowano i urządzono aptekę, a kierownikiem była mgr Lamprecht. Pracowali tu również mgr Kirkor i mgr Szmytkiewicz. Nad apteką urządzono świetlicę. Została ona poświęcona podczas pierwszej wspólnej dla wszystkich pracowników wigilii w 1947 r. Natomiast w budynku pod nr 45 działała poradnia dentystryczna i protezownia oraz laboratorium.

To były trudne czasy, nie zawsze na czas otrzymywaliśmy wynagrodzenie. Często było rozłożone na raty. Wsparciem były dary z UNRRA.

Następnie ubezpieczalnia podjęła budowę przychodni lekarskiej ogólnej przy ul. Drzymały. Powstały tu gabinety lekarskie, przeniesiono laboratorium, urządzono gabinet chirurgiczny, ginekologiczny, zakupiono i zainstalowano rentgen.

Pamiętam doskonale uruchomienie basenu kąpielowego w Łażni. Było to wówczas wydarzenie, a basen cudowny, kąpało się w nim wspaniale (mieliśmy darmowe bilety).

Ponieważ pracowałam w ubezpieczalni pięć lat, znałam wielu ludzi Gorzowa. Byli to ludzie z charakterami, odważni, zaradni, zorganizowani, przedsiębiorczy i mimo przeżyć wojennych, utraty niekiedy całych rodzin (w moim przypadku z wojny 1939 r. z rodziny zostałam ja i mama) wszyscy cieszyli się życiem, byli życzliwi jedni dla drugich i pomocni.

Szkoda, że niektórzy już odeszli, ale twarze ich pamiętam. Niektórzy byli piękni i w swoim rodzaju indywidualistami. Sama jestem już wiekowa, ale w pamięci mam mapę starego Gorzowa od 1945 r. z jego zabudowaniami, pałacami, parkami, zabytkami, mostami, kościołami, starą linią tramwajową z pętlą na ul. Kobylgórskiej. W Parku Róż była zwierzyna, ptactwo, a w stawku takie szczupaki i ryby. Osobny temat to Warta, jej nadbrzeża z dużym dźwigiem przy moście, główki betonowe, które znikły, pełno barek i ruch żeglugowy. W Warcie też łowiło się ryby, raki. Stare koryto Warty miało tor kajakowy z ławkami do siedzenia.

Korzystało się również z usług słynnego przewoźnika przez Wartę, Pawła Zacharka. Była też plaża po obu stronach Warty, tuż przy moście kolejowym.

Ubezpieczalnia miała przystań wodną z hangarem i sprzętem pływającym przy ul. Fabrycznej, obecnie własność Zamiejscowego Wydziału Kultury Fizycznej. Dzięki temu pracownicy korzystali ze sprzętu wodnego, urządzano rodzinne mini spływy kajakowe, np. do Santoka i dalej, albo w dół Warty. Nie było wówczas żadnych przewodników turystycznych, sami odkrywaliśmy cuda natury na wodzie i na lądzie oraz poznawaliśmy okolice Gorzowa. Mnie interesowały od dzieciństwa zioła. Odkryłam, że w okolicach Wieprzyc rosła prawie cała „apteka natury”.

Ponieważ początkowo na Zawarcu nie było wody pitnej, po wodę do toalety chodziłam do Warty. Również pranie i płukanie było w Warcie.

Woda pitna wówczas była w jednym gospodarstwie przy ulicy Towarowej, gdzie dziś stoi przychodnia. Było co nosić w dwa wiadra na ul. Śląską 78. W Kłodawce, w okolicy osiedla Piaski koło mostu łowiło się pstrągi. Wszędzie chodziło się pieszo z bagażem bez przewodnika, trzeba było samemu zdobywać wiedzę, gdzie i co jest.

Chcę również wspomnieć, że była mała biblioteka przy ul. Chrobrego, dziś mieści się tu księgarnia „Daniel”. Czytało się wówczas namiętnie wszystko, co było i jakie były tylko książki.

Chodziło się wówczas na wszystkie imprezy, jakie pojawiały się w Gorzowie, do teatru, na zawody sportowe. Człowiek po wojnie łaknął wszystkiego i chciał nadrobić stracony przez wojnę i poniewierki wojenne czas.

Przeglądając książkę „Gorzów Wlkp. w latach 1943-1998. Przemiany społeczno – polityczne” Dariusza A. Rymara znalazłam na str. 255 tabelę z wyliczeniem różnych ważnych jednostek gospodarczych. Jest tu Spółdzielnia Inwalidów „Ziemia Lubuska” w Gorzowie Wlkp. przy Wale Okrężnym 14. Tak się znów złożyło, że pracę w spółdzielni podjęłam w roku 1953 i pracowałam do 1981 r., kiedy to przeszłam na emeryturę.

Warunki pracy, jakie wówczas istniały, były faktycznie tuż powojenne. Nie było nawet toalet, tylko wspólna latryna.

W spółdzielni było zatrudnionych kilku inwalidów – założycieli tej instytucji. Stopniowo zatrudniano inwalidów wojennych, wdowy po inwalidach wojennych i sieroty z wojny.

W roku 1981 zakończyłam pracę zawodową. Co jakiś czas opuszczałam Gorzów na dłużej i krócej, podróżując po świecie. Ale zawsze byłam i jestem pilnym obserwatorem, co nowego w Gorzowie.



Rok 1950 – W tle budowa Przychodni Lekarskiej dla m. Gorzowa przy ul. Drzymały. Pracownicy działu adm.-gosp. Siedzą od lewej: portier, A. Ratajczak, Jabłoński. Stoją od lewej: I rząd: H. Lewańska (sekretarka), T. Suszko, M. Szczepańska, M. Isański (kier. dz. adm.-gosp.), Janina Majewska, Urszula (telefonistka), M. Lipiński, M. Gotówka; II rząd: pracownica działu, Rożek, T. Wierzbicki (kier. transp.), pracownik działu



Rok 1947 – w Gorzowie – poświęcenie (wyremontowanego) lokalu przy ul. Drzymały – z przeznaczeniem na świetlicę Ubezpieczalni Społ. – na zdjęciu stoją: w środku dyr. U. S. mgr St. Wojciechowski, z lewej przedstawiciel Zw. Zaw. Prac. Społ. – p. Chełminiak, z prawej przedstawiciel Wydz. Kult. i Sztuki w Gorzowie – Marian Kurnatowski (muzyk)



Rok 1947 – w Gorzowie – świetlica U. S. w Gorzowie, ul. Drzymały. Wspólny opłatek dla załogi i poświęcenie. Na zdjęciu: stoją od lewej: kier. uruchomionej poradni dentystycznej pani Firlej, naczelny lekarz U. S. dr Włodzimierz Gnarowski, pani Snitko, pani Gnarowska, kier. apteki przy ul. Drzymały pani mgr Lamprecht, z-ca dyr. naczelnego Gwidon Snitko; wszyscy siedzący to zatrudnieni w Ubezpieczalni Społecznej (z żonami)



B.II.1/2.

Gornów, dnia 9. I. 1946 r.

Obywatelka

Majewska Janina

w Gornowie n/W.

Przedmiot: Umowa o pracę.

Ubezpieczalnia Społeczna w Poznaniu Oddział w Gornowie przyjmując niniejszym Obywatelkę do pracy w charakterze pracownika umysłowego na czas od dnia 9. I. do 29. II. 1946 r.

Prawa i obowiązki Obywatelki jako pracownika umysłowego regulują przepisy Dekretu Prezydenta R.P. z dnia 16 marca 1936 r. o umowie o pracę pracowników umysłowych (Dz.U.R.P. Nr. 35 poz. 321

Do Obywatelki jako pracownika przyjętego na podstawie niniejszej umowy, nie mają zastosowania postanowienia przepisów służbowych dla pracowników Ubezpieczalni, ani też nie będące przez Obywatelkę korzystane z uposażeniowej przywilejów dla pracowników objętych tymi przepisami.

czynności i obowiązki służbowe pełnić będzie Obywatelka na podstawie obowiązków w Ubezpieczalni przepięce, ustawy i rozporządzeń o ubezpieczeniu społecznym oraz zarządzeń wewnętrznych. Zakres tych czynności i obowiązków ustala Nieruchnik Oddziału.

Za należyte wykonywanie powierzonych obowiązków pobiera Obywatelka będzie wynagrodzenie ryczałtowe w wysokości 650.— zł. (szóścina szóstactipięćdziesiąt złotych) brutto miesięcznie, płatne z dołu w dniu ostatniego każdego miesiąca kalendarzowego.

Kierownik Organizacyjny
Ubezpieczalni Społecznych
na terenie ziem odziedziczo-
nych do Województwa Po-
znanckiego w Poznaniu.



DYREKTOR
[Signature]
D. D. D.

Kierownik Oddziału
[Signature]
D. D. D.

Hans-Jürgen Sindemann

Gorzow/Landsberg in meiner Erinnerung

Dies ist eine kleine Chronik der Familie Sindemann über die Jahre 1940-1945. Während dieser Zeit wohnten wir in der Böhmsstraße zwischen Lyzeum und Qui-litzpark. Mein Bruder war bei der Vertreibung drei, ich viereinhalb Jahre alt. An manches erinnere ich mich selber, das meiste weiß ich jedoch nur aus den Erzählungen meiner Mutter. Obgleich ich hier private Erlebnisse berichte, sind sie vielleicht dennoch wegen ihrer Verknüpfung mit der Zeitgeschichte auch von allgemeinem Interesse.

Mein Vater Gerhard Sindemann verließ 1931 mit siebzehn Jahren das Gymnasium auf Grund des Todes seines Vaters. Er schlug die mittlere Beamtenlaufbahn ein und war schließlich Stadtinspektor. Er wurde erst gegen Ende des Krieges eingezogen. Als Schüler gehörte er der Freischar junger Nation – Gr. Landsberg (W.) an, las begeistert „Der Wanderer zwischen beiden Welten“ von Walter Flex und als die anfängliche NS-Politik Ziele verwirklichte, die seinen idealistisch-nationalen Vorstellungen entsprachen, trat er der Partei bei. Einerseits war er hilfsbereit zu jedermann, war stets auf Versöhnung bedacht und verabscheute persönliche Gewalt. Andererseits trat er für ein Regime ein, dessen Handlungsgrundlage das Recht des Stärkeren war. Seinen Ursprung hatte diese Unterstützung in der von ihm schmerzlich empfundenen Demütigung Deutschlands nach dem 1. Weltkrieg. Diese wollte man ja allgemein nicht länger hinnehmen und ersehnte einen Aufstieg zu Glanz und Glorie – auch wenn dieser Aufstieg nur mittels jener zweifelhaften Methoden möglich sei, die auch die Sieger angewandt hatten. Die weitere Entwicklung zur Hybris war damals von vielen noch nicht vorhersehbar, und später wurden die Verbrechen von der Propaganda kaschiert oder deren Veröffentlichung von der Zensur verhindert oder sich regender Widerstand durch Terror gebrochen.

Meine Mutter Gertrud, geborene Gums, war eine prima Schülerin, konnte jedoch nur die Volksschule besuchen. Danach musste sie sich sogleich ohne eine Berufsausbildung ihren Lebensunterhalt selbst verdienen. Weil die ersten Arbeitsverhältnisse unbefriedigend vorliefen, verließ sie Landsberg. Es folgten Wander- und Arbeitsjahre in verschiedenen Städten des mittleren Deutschland und in Berlin. In Kursen der Abendschule perfektionierte sie sich nebenbei in Stenographie und Maschineschreiben. Nach Landsberg zurückgekehrt, war sie in der

Organisation des VWA (Verband weiblicher Handels- und Büroangestellten) tätig und arbeitete als Sekretärin am Gericht und in der Stadtverwaltung. Dort wurde ihre Vorgesetzter auch ihr Ehemann. Begonnen hatte die Liebesgeschichte freilich mit einer kleinen Auseinandersetzung. Weil sie die Frühstückspause zu überziehen pflegte, meinte ihr Gegenüber schließlich: „Frl. Gums, meine innere Überzeugung sagt mir, dass Sie auf ihrem Arbeitsplatz nicht ausgelastet sind“. Worauf sie erwiderte: „Herr Sindemann, Sie können mir ruhig noch mehr Arbeit geben, meine Zeitung lese ich trotzdem“. Diese selbstbewußte Widerspenstigkeit muss ihm wohl imponiert haben.

Zur NSDAP befand sich meine Mutter von Anfang an auf Distanz. Schon von ihrem Vater Gottlieb Gums, Arbeiter in der Jutefabrik, hatte sie die Frage gehört, wo in dieser Partei eigentlich die Arbeiter seien. Auch ihre eigenen Interessen widersprachen den Bestrebungen, die Frauen zurück an den häuslichen Herd zu schicken, um deren Arbeitsplätze für Männer freizubekommen. Vor allem aber spürte sie mit ihrer Weltkenntnis und ihrem durch berufliche, sportliche und gesellige Kontakte geschulten common sense die immer offenkundigeren Ungerechtigkeiten des Systems. Doch es wurde auf Mitgliedschaft gedrängt, und im Frühjahr 1940 kursierte wieder eine offene Liste durch die Büros, aus welchen Gründen man kein Parteigenosse sei. Sie notierte: „Ich beabsichtige, mich zu verhelichen“. Das ganze Amt konnte das nun lesen, schmunzelte und sie hatte den Feind mit seinen eigenen Waffen geschlagen. Eines Tages begegnete sie auf der Warthebrücke einem Mann. Sie ging vorüber, kehrte dann aber um und sprach ihn an, obwohl er so verstört und schlecht aussah, dass er sich selbst unähnlich war: „Sind Sie es wirklich? Was ist bloß mit Ihnen passiert?“. Darauf bat der jüdische Freund von früher sie flehendlich: „Bitte, gehen Sie weiter, Frl. Gums! Sprechen Sie nicht mit mir!“. Von dieser Begegnung erzählte sie ihrem Vorgesetzten, Herrn Amtsgerichtsrat Schwinne, und sprach ihn auf das Schicksal der Juden an, die nach dem Osten transportiert wurden. Er aber riet eindringlich, nicht weiter nachzufragen. Ähnlich warnte sie ihr Mann oft bei den politischen Diskussionen daheim: „Sei vorsichtig, sonst holt die eines Tages die Gestapo“.

In Landsberg verlief unser Leben trotz des Krieges lange in ruhigen Bahnen – einmal abgesehen von Todesanzeigen aus dem Felde. So ist einer der beiden Brüder meiner Mutter am zweiten Tag des Russlandfeldzuges gefallen. Die Ehejahre waren für unsere Familie eine schöne Zeit, weil mein Vater trotz wiederholter Meldung vorerst nicht eingezogen wurde. Die Familie wuchs, und einmal überfiel mich ein ganzer Scharm von Krankheiten. Ich kam ins Bethesda und wurde von deren ärztlicher Kunst gerettet. Das im Augenblick wieder aktuelle Problem gab es damals auch schon: Wie läßt sich Familie und Beruf vereinbaren? Denn der Mutter wurden Küche und Kinder bald zu langweilig, und sie wollte wieder berufstätig werden. Die Verwaltung wartete auch schon mit offenen Armen, weil der Krieg die Männer aus den zivilen Bereichen herausgezogen hatte. Krippenplätze gab es noch nicht, und so mussten uns die Großeltern, eine liebe

Cousine, eine junge Ukrainerin verwahren. Genau erinnere ich mich daran, wie ich einmal aus Langeweile von Oma Gums weggelaufen bin. Das Schwierigste war, unbemerkt aus der Wohnung zu entkommen. Der Weg zum Ziel war leicht zu finden: die Max-Bahr-Straße entlang, über die Gerloffbrücke, rechts in die Schloßstraße und schon saß ich im Stadthaus stolz auf Vati's Schoß am Schreibtisch und durfte ein großes Blatt Büropapier bemalen. Zeugnis von unbeschwerter Ferien legen Fotos aus den Jahren bis ins 1943 ab. In den Sommerurlaube sind wir abwechselnd ins Riesengebirge oder an die Ostsee gefahren.

Zum Militäreinsatz nach Holland erhielt mein Vater 1944 den Gestellungsbefehl. Er war in Zutphen an der IJssel stationiert: dort sollten Befestigungen gebaut werden. Als die Holländer sich weigerten, hätten Kameraden mit der Pistole rumgefuchelt. Mein Vater entschärfte die Konfrontation durch ein vermittelndes Gespräch, und die Holländer dankten es ihm mit der Einladung: „*Sie können nach dem Krieg jederzeit wiederkommen*“. Er hätte über Weihnachten zu Frau und den zwei Kindern fahren können. Doch als ein Kamerad mit *drei* Kindern ihn darum bat, den Urlaub zu tauschen gab er dieser Bitte nach. Jener geriet später bei den Westalliierten in Gefangenschaft und kehrte glücklich aus ihr heim. Mein Vater kam nun also erst am 27. Januar nach Landsberg. Die rechtzeitige Flucht gelang nicht mehr, und nun nahm das Schicksal für ihn seinen unseligen Verlauf. Drei Tage später war die Rote Armee in der Stadt. Angesichts von Gewalt und Mord kam es bei ihm zur Kurzschlussreaktion. Er schlug meiner Mutter vor: „Gib deine Einwilligung, dass ich uns alle erschieße!“. Sie jedoch nahm ihm seine Mutlosigkeit und gab ihm die nötige Kraft zum Durchhaltenwollen. Er wurde mit vielen anderen im Landsberger Hof eingesperrt. Beim Essenhinbringen sah ich ihn noch ein paar Mal. Lkws transportierten die Männer dann Anfang Februar nach Wreschen. Dort wurden sie in Güterwagen verfrachtet und waren 15 Tage bis ins Auffanglager unterwegs. Für ihn war die Endstation ein Zwangsarbeitslager im Moskauer Gebiet. Kälte, Hunger und Schmutz hielt sein Körper nicht stand. Er starb Mitte Juni in Stalinogorsk. Seine Abschiedsworte hat er mit Bleistift auf die Rückseite zweier Fotos geschrieben. Ein Freund hat sie gerettet. Inhalt und Form dieser Zeilen sind schön und vortrefflich und gehen mir immer zu Herzen.

Von den Russen wurde eine deutsche Verwaltung für die nichtgeflüchteten Einwohner Landsbergs eingerichtet. An ihrer Spitze stand der Bürgermeister Paul Schultz. Man holte meine Mutter als Sekretärin ins Rathaus. Eines Tages forderte ein Verbindungsoffizier der Kommandantur sie auf, ihm von jedem Schreiben des Bürgermeisters eine Kopie anzufertigen. Das sei kein Problem, erwiderte sie, Herr Schultz werde nichts gegen eine zweite Durchschrift einzuwenden haben. Darauf gab jener die Anweisung: „Die Durchschrift bekomme ich, *ohne* dass Herr Schultz davon erfährt!“. Unter unsern ehemaligen Landsbergern war er als Kommunistenschultz bekannt. Ich habe meine Mutter über ihn und seine damalige Tätigkeit nie Schlechtes reden hören. Sicherlich hat er

seinen Handlungsspielraum, den er als Deutscher unter den neuen Herrn hatte, überschätzt. Jedenfalls bald erschien jener Verbindungsmann wieder, diesmal mit Begleitung, um Herrn Schultz zu einer Besprechung zu holen. Er stand schon unter der Tür, als meine Mutter ihm riet, sich doch seinen Mantel überzuziehen. Er meinte: „Nicht nötig; bin gleich wieder da“. Worauf der Offizier sagte: „Tun Sie, was Frau Sindemann Ihnen gesagt hat!“. Paul Schultz ist nicht mehr in sein Büro zurückgekommen.

Nachts bekamen wir oft Russenbesuch von nebenan, z.T. in abenteuerlicher Aufmachung: Sie trugen Lazarettkleidung, hielten ihr Gewehr vor sich und vorne auf dem Bajonett war eine brennende Kerze aufgespießt. Noch gemeinsam hatten meine Eltern folgendes ausgemacht: Vor den Russen nie die Tür verschließen, sie vielmehr höflich ins Zimmer bitten! Meine Mutter öffnete ihnen also die Tür, bot ihnen Salz und Brot an und die Verständigung... war wohl ziemlich schwierig. Aber wie wär's mit Schachspielen? Einmal geriet ihr Gegner völlig außer Fassung, weil er alle Partien verlor – von einem Deutschen besiegt! Noch dazu von einer Frau! Den anderen war das Zuschauen inzwischen langweilig und sie untersuchten Schapp und Schubladen. Als einer ins Schlafzimmer wollte, wo wir Kinder schliefen, verwehrte sie ihm energisch den Zutritt: „Hier nicht rein! Hier schlafen die Kinder!“ Als er sie wegdrängte, drohte sie: „Wenn du nicht hörst, melde ich es dem Kommandanten.“ Er: „Da drin Kommandant?“. Sie: „Ja, ja, da drin ist der Kommandant!“ Und alle traten still und leise den Rückzug an. – Ein andermal erschien ein höheres Tier mit dicken Epauletten auf den Schultern. Höfliche Begrüßung hin, höfliche Begrüßung her – er packte die Frau und warf sie auf die Chaiselongue, und als sie den eisernen Griff um den Arm spürte, wusste sie, was die Stunde geschlagen hatte. Es gelang ihr, sich loszuwinden, dem Verfolger Stühle in den Weg zu ziehen und im Dunkeln treppab zu entkommen. Sie schickte aber wegen uns Kindern die Schwiegermutter nach oben, wo inzwischen ein lautes Fluchen und Toben losgebrochen war. Oh weh! Der Wüstling bekam jetzt meine gute Oma Sindemann zu packen. Die schrie laut, und er erkannte, dass er die Falsche erwischt hatte, und alles ging noch einmal gut. So ernst der Vorfall auch war, erinnert er mich doch an die Szene mit Dulcitius aus der gleichnamigen Burleske der Roswitha v. Gandersheim. – Vom 8. bis zum 11. Juni befand sich meine Mutter im Gewahrsam der GPU in der Fernemühlenstraße. Wahrscheinlich hatte sie zu unüberlegt Zivilcourage gezeigt oder Kritik geäußert. Drei Nächte schlief sie auf Zeitungspapier in einen Kohlenkeller; dann gelang es Oma Gums, aus der Brückenvorstadt herbeigeieilt, sie freizubekommen.

Am Dienstag, den 26. Juni gelang den polnischen Behörden der größte Überraschungscoup: Ohne dass wir etwas geahnt hätten, erschien um 7.00 Uhr früh die Miliz und bereitete uns ein böses Erwachen: „Innerhalb einer halben Stunde ist die Wohnung zu verlassen!“ Zu den wichtig erscheinenden Sachen packte meine Mutter übrigens auch des Mannes Rasierzeug mit ein – in der sehnlichen

Hoffnung auf seine Rückkehr. Ich schaute mich inzwischen noch mal in unserem schönen Wohnzimmer um und dachte natürlich nur sinngemäß: Sic transit gloria mundi. – Die nächsten Tage sahen uns in einer leerstehenden Wohnung der Friedrichstadt. Mein Bruder war inzwischen an einer Fleischvergiftung auf den Tod erkrankt. Eine Krankenschwester riet, das Kind dazulassen; es sterbe doch unterwegs; in Landsberg werde es wenigstens ordentlich bestattet. Doch die alarmierte Oma Gums konnte auch diesmal helfen, indem sie ihn warme Ziegenmilch einflößte. Mein Bruder war später Arzt, Schulmediziner; aber auf die Wunderkraft von Ziegenmilch schwor er. Allein hätte Mutter mit uns zwei Kleinen die Flucht kaum überstanden. Aber im Verein mit Oma und Opa Gums und meinem Cousin Karl-Heinz Matthes bildeten wir eine überlebensfähige Kleingruppe. Gottlieb Gums, 59 Jahre alt noch sehr rüstig, Karl-Heinz 13 Jahre alt ließ schon erahnen, dass er einmal Bundessieger im Gewichtheben sein könnte, und Oma Gums wird noch einmal den rettenden Engel spielen. Außerdem konnten wir die Säcke mit den geretteten Sachen auf einem großen und stabilen Wagen laden. Er wurde von unsern beiden Männern an Gurten gezogen. Obendrauf saßen wir Kinder. – Da dem Treck bei Küstrin der Übergang über die Oder verwehrt wurde, musste ein weiter Unweg nach Süden eingeschlagen werden. Vor einer starken Steigung blieben viele Karren und Wagen liegen. Mutter ging zurück und half anderen ziehen und schieben. Mit einem Mal war da ein Pole mit einem Pferd zur Stelle, beförderte die Liegendebliebenen durch Regen und Schlamm die Anhöhe hinauf und rettete mit seiner Hilfsbereitschaft die Ehre seiner Nation. – Zuletzt war noch eine Brücke zu passieren. Miliz hatte sich auf ihr postiert, und einer der Männer verlangte vom Opa die neuen Schaftstiefel, welche er trug. Karl-Heinz protestierte dagegen: „Opa, deine Stiefel ziehst du nicht aus! Darauf befahl der Milizionär einem seiner Leute, mit den Aufmüpfigen in einen nahen Wäldchen kurzen Prozess zu machen. Mit flehendlichen Bitten gelangt es Oma jedoch, ihren Enkel freizubekommen. Wir hatten ein gutes Geschäft gemacht: Ein Paar Stiefel gegen ein Menschleben. Bloß was wäre geschehen, wenn sie keine Polnischkenntnisse aus ihrer Jugend gehabt und sie den Befehl nicht verstanden hätte?

Mit dem Überqueren der Oderbrücke und dem Verlassen der Heimat bin ich fast am Ende meines Beitrages angelangt. Der entscheidende Einschnitt ist der 30. Januar, von dem die Böhmsstraße ihren heutigen Namen hat; ulica trzydziestego stycznia. Für die Stadt Landsberg und ihre Bewohner ist das der schwärzeste Tag ihrer Geschichte. Wir erinnern uns daran, dass er vielen den Tod und allen die Vertreibung brachte. Unsere Erinnerung muss aber weiter reichen und auch der vorangehenden brutalen deutschen Verbrechen gedenken. Für die Polen ist dies eher ein stolzes Datum. In jenen Tagen nämlich konnten sie ihrem wiedererstandenen Staat viele schöne Städte und Landschaften bis hin zum Meer einverleiben. Eine jahrhundert lange Ostkolonisation wurde in kürzester Zeit abrupt und in oft ruppiger und gehässiger Art und Weise beendet.

Nach historischen Maßstäben ist es verständlich, dass nach der totalen Niederlage seiner Hybris hauptsächlich Deutschland dem oft aufgelösten Polen das nötige Territorium abtreten musste. Diese historischen Gesetzmäßigkeiten in Demut anzuerkennen, dazu bedarf es der versöhnenden Kraft christlicher Gesinnung.

Hans-Jürgen Sindemann

Gorzów/Landsberg w mojej pamięci

Jest to kronika rodziny Sindemann z lat 1940-1945. W tym czasie mieszkaliśmy na ulicy Böhmstraße (ul. 30 Stycznia), między liceum i Quilitzpark (park Siemiradzkiego), w chwili wypędzenia mój brat miał trzy, ja cztery i pół roku. Niektóre rzeczy pamiętam sam, większość wiem z opowiadań mojej mamy. Pomimo że prezentuję tu prywatne wspomnienia, być może zainteresują one ogół ze względu na ich związek z najnowszą historią.

Mój ojciec, Gerhard Sindemann, z powodu śmierci swego ojca opuścił gimnazjum w 1931 r. w wieku 17 lat. Zdecydował się na karierę urzędnika średniego szczebla i został ostatecznie inspektorem miejskim. Pod koniec wojny został powołany do wojska. Jako uczeń należał do „Freischar Junger Nation” w Gorzowie, czytał „Der Wanderer zwischen beiden Welten” Waltera Flexa, i kiedy na początku polityka narodowych socjalistów zaczęła realizować cele, które odpowiadały jego idealistyczno-narodowym wyobrażeniom, wstąpił do Partii. Z jednej strony był zawsze skory do pomocy, zawsze pragnął pojednania i nienawidził przemocy. Z drugiej strony popierał reżim, którego podstawą działania było prawo silniejszego. Źródłem tego poparcia było odczuwane przez niego boleśnie poniżenie Niemiec po I wojnie światowej. Z poniżeniem tym nikt nie chciał się dłużej godzić i panowało ogólne oczekiwanie podniesienia się do blasku i glorii – nawet jeśli podniesienie to miałoby być możliwe tylko przy użyciu owych wątpliwych metod, którymi posłużyli się zwycięzcy. Dalszy rozwój w kierunku hybris był wówczas dla wielu nie do przewidzenia, a potem zbrodnie systemu były wybielane przez propagandę albo cenzura w ogóle uniemożliwiała ich opublikowanie, podnoszący się sprzeciw łamano terrorem.

Moja matka Gertruda, z domu Gums, była bardzo dobrą uczennicą, ale chodziła tylko do podstawówki. Potem musiała od razu, bez jakiegokolwiek wykształcenia zawodowego, sama zacząć zarabiać na życie. Ponieważ kilka zajęć, które podjęła, okazało się niezadawalających, opuściła Landsberg. Przez kilka lat wędrowała i pracowała w różnych miastach środkowych Niemiec i w Berlinie. Na kursach w szkole wieczorowej udoskonalała swoje umiejętności stenograficzne i pisanie na maszynie. Po powrocie do Landsbergu znalazła zatrudnienie w VWA (Verband weiblicher Handels- und Büroangestellten – Związek Kobiet-Pracowników Handlu i Biurowych) i pracowała jako sekretarka w sądzie i w Urzędzie Miasta. Tam jej przełożonym był późniejszy mąż, jednak historia

miłosna zaczęła się od niewielkiej kłótni. Ponieważ miała zwyczaj przedłużania przerwy śniadaniowej, siedzący naprzeciwko niej przełożony powiedział wreszcie: „Panno Gums, moje wewnętrzne przekonanie mówi mi, że ma pani za mało do roboty”. Na co ona odparła: „Panie Sindemann, może mi pan spokojnie dać więcej pracy, a ja i tak przeczytam moją gazetę”. Ta pełna pewności siebie przekora chyba mu zaimponowała.

W stosunku do NSDAP mama zawsze była zdystansowana. Już od swojego ojca, Gottlieba Gumsa, robotnika z fabryki juty, słyszała pytanie, gdzie w tej partii właściwie są robotnicy. Również jej osobiste zainteresowania były niezgodne z tendencją, żeby kobiety wracały do kuchni i zwalniały miejsca pracy dla mężczyzn. Przede wszystkim jednak odczuwała dzięki swojej znajomości świata oraz dzięki wykształconemu przez kontakty zawodowe, sportowe i towarzyskie zdrowemu rozsądkowi, że system w coraz bardziej oczywisty sposób jest niesprawiedliwy. Jednak były naciski, żeby zostać członkiem partii i wiosną 1940 r. znów kursowała po biurach otwarta lista z pytaniem, kto i dlaczego jeszcze nim nie jest. Napisała: „Zamierzam wyjść za mąż”. Mógł to przeczytać cały urząd, wszyscy uśmiechali się tylko, a ona pokonała wroga jego własną bronią. Pewnego dnia spotkała na moście na Warcie znajomego Żyda. Przeszła obok, ale potem zawróciła i zagadała go, choć miał wygląd tak zagubiony i zaniedbany, że z trudem go rozpoznała: „Czy to pan? Co się z panem stało?”. Na to on zaczął ją błagać: „Proszę, niech się pani nie zatrzymuje, panno Gums! Proszę ze mną nie rozmawiać!”. Opowiedziała o tym spotkaniu swojemu przełożonemu, radcy sądu rejonowego Schwinne, i zapytała go o los Żydów transportowanych na wschód. On jednak doradził jej dobitnie, żeby więcej nie zadawała takich pytań. W podobny sposób delikatnie ostrzegał ją mąż podczas domowych dyskusji politycznych: „Uważaj, bo któregoś dnia przyjdzie po ciebie Gestapo”.

W Landsbergu nasze życie mimo wojny długo przebiegało w spokoju – może z wyjątkiem wieści o poległych. I tak na przykład jeden z dwóch braci mojej matki zginął w drugim dniu kampanii rosyjskiej. Małżeństwo moich rodziców było szczęśliwe, ponieważ mój ojciec mimo ciągłych meldunków nie został początkowo wcielony. Rodzina rosła, aż nagle dopadła mnie cała chmara chorób. Poszedłem do szpitala i zostałem uratowany. W owych czasach aktualny był znany nam i dziś problem: jak połączyć życie rodzinne i karierę zawodową? Bo mojej mamie kuchnia i dzieci wkrótce się znudziły i chciała wrócić do pracy zawodowej. Urząd czekał już z otwartymi ramionami, gdyż wojna odciągnęła mężczyzn od cywilnych zajęć. Nie było wówczas jeszcze żłobków, więc zajmowali się nami dziadkowie, ukochana kuzynka i młoda Ukrainka. Pamiętam dokładnie, jak kiedyś, z nudów, uciekłem babci Gums. Najtrudniej było niezauważenie wyjść z domu. Sama droga była prosta: wzdłuż Max-Bahr-Straße, przez most Gerloffa, w prawo do Schlossstraße i już siedziałem w magistracie na kolanach ojca przy biurku i rysowałem na wielkiej płachcie papieru biurowego. Świadectwem bez-troskich wakacji są zdjęcia z kolejnych lat do 1943 r. Latem jeździliśmy na

zmianę w Karkonosze i nad Bałtyk. W 1944 r. ojciec otrzymał rozkaz stawienia się do walki w Holandii. Stacjonował w Zutphen nad Ijssel, tam miały być budowane umocnienia. Kiedy Holendrzy odmówili, towarzysze broni mojego ojca zaczęli wymachiwać przed nimi pistoletami. Mój ojciec załagodził sytuację spokojną rozmową i Holendrzy podziękowali mu zaproszeniem: „Po wojnie może pan w każdej chwili tu przyjechać”. Miał udać się na urlop do żony i dzieci na święta Bożego Narodzenia. Jednak kiedy kolega, ojciec trójki dzieci, poprosił go o zmianę terminów, ojciec zgodził się. Tamten dostał się później do niewoli u zachodnich aliantów, a potem szczęśliwie wrócił do swoich. Mój ojciec przybył do Landsbergu dopiero 27 stycznia. Nie było już czasu na ucieczkę i tak oto los mojego ojca przybrał nieszczęśliwy kierunek. Trzy dni później do miasta weszła Armia Czerwona. W obliczu gwałtów i morderstw ojciec się załamał. Zaproponował matce: „Pozwól, to zastrzelę nas wszystkich!”. Ona jednak zmieniła jego rozpaczą w siłę i wolę przetrwania. Z wieloma innymi został zamknięty w hotelu Landsberger Hof. Widziałem go jeszcze parę razy, kiedy nosiłem mu jedzenie. Na początku lutego ciężarówkami przewiozły więźniów do Wrześni. Tam zostali załadowani do wagonów towarowych i przez 15 dni jechali do obozu przejściowego. Stacją końcową był dla niego obóz pracy przymusowej w okolicach Moskwy. Nie wytrzymał zimna, głodu i brudu. Zmarł w połowie czerwca w Stalinogorsku. Swoje pożegnanie zapisał ołówkiem na tylnych stronach dwóch zdjęć. Uratował je jego przyjaciel. Treść i forma tych słów są piękne i trafiają mi zawsze prosto do serca.

Rosjanie utworzyli niemiecką administrację dla mieszkańców Gorzowa, którzy nie uciekli. Na jej czele stanął burmistrz Paul Schultz. Ściągnięto moją matkę do ratusza jako sekretarkę. Pewnego dnia oficer łącznikowy komendatury zażądał, żeby z każdego pisma burmistrza robiła kopię. „Oczywiście, nie ma problemu”, odpowiedziała, „pan Schultz nie będzie miał nic przeciwko drugiej kopii”. Tamten jednak odparł: „Kopie idą do mnie, a pan Schultz nic o tym nie wie!”. Wśród nas, dawnych mieszkańców Gorzowa, nazywano go Schulz-Komuszek. Moja mama nigdy nie powiedziała złego słowa ani o nim, ani o jego ówczesnej pracy. Z całą pewnością przeliczył się co do swoich możliwości jako Niemca pod nowymi władzami. W każdym razie ów oficer łącznikowy pojawił się jeszcze raz, tym razem żeby zaprosić pana Schultza na rozmowę. Ten stał już przed drzwiami, gdy moja mama poradziła mu, żeby założył płaszcz. On na to: „Nie ma potrzeby, zaraz wracam”. Na to ów oficer: „Niech pan robi, co panu mówi pani Sindemann!”. Paul Schultz nie przyszedł nigdy więcej do biura.

Nocami często odwiedzali nas Rosjanie z sąsiedztwa. Czasami wyglądali wręcz awanturczo: mieli na sobie piżamy z lazaretu, w rękach karabiny, a z przodu, na bagnetach palące się świece. Jeszcze wspólnie moi rodzice umówili się następująco: nigdy nie zamykać drzwi przed Rosjanami, wręcz przeciwnie, zapraszać ich serdecznie na pokoje! Moja mama otwierała im więc drzwi, częstowała chlebem i solą, a porozumienie... było raczej trudne. Ale może by tak zagrać w szachy? Któregoś razu jeden z jej przeciwników zupełnie się załamał, bo przegrał wszystkie partie – pokonany przez Niemca! I to na dodatek przez kobietę!

Drugiemu znudziło się patrzeć i zaczął przeglądać półki i szuflady. Kiedy chciał wejść do sypialni, gdzie spały dzieci, energicznie zabroniła mu wejścia. „Tu nie wchodzi! Tu śpią dzieci!” Kiedy ją odsunął, zagroziła: „Jeśli nie posłuchasz, zamelduję komendantowi!”. On na to: „Tam jest komendant?”. Ona: „Tak, tak, tam jest komendant!”. I wszyscy spokojnie się wycofali. Innym razem pojawiła się jakaś grubsza ryba z wielkimi epoletami na ramionach. Przywitała go grzecznie, on przywitał ją, a potem złapał ją i rzucił na szezlong, i kiedy poczuła wokół ramion jego żelazny uchwyt, wiedziała, że wybiła jej godzina. Udało jej się wyrwać, rzucić prześladowcy kilka krzeseł pod nogi i zniknąć w ciemności schodów. Jednak ze względu na dzieci wysłała na górę teściową, gdzie tymczasem rozbrzmiały głośne przekleństwa i hałasy. O nie! Dzikus zaczął się teraz dobierać do mojej kochanej babci. Krzyknęła głośno, przez co zorientował się, że to nie ta, i wszystko skończyło się dobrze. Mimo całej powagi sytuacji przypomina mi ona scenę z *Dulcitius*em z burleski pod tym samym tytułem autorstwa Roswithy von Gandersheim. Od 9 do 11 czerwca moja mama znajdowała się w areszcie GPU na Borowskiego. Prawdopodobnie jakoś nierozważnie wykazała się odwagą cywilną lub coś skrytykowała. Przez trzy noce spała na papierze gazetowym w piwnicy na węgiel; potem babci Gums, która specjalnie przybiegła z Zawarcia, udało się ją wydostać.

We wtorek, 26 czerwca, polskim władzom udał się niespodziewany skok: ku naszemu całkowitemu zaskoczeniu o 7 rano pojawiła się milicja i zgotowała nam nieprzyjemną pobudkę. „Macie opuścić mieszkanie w ciągu godziny!” Pośród rzeczy, które wydawały się mojej mamie najważniejsze, był także zestaw do golenia dla ojca – wciąż miała nadzieję na jego powrót. Ja tymczasem rozejrzałem się ostatni raz po naszym pięknym pokoju i pomyślałem, oczywiście nie całkiem tymi słowami: *Sic transit gloria mundi*. Następnego dnia znaleźliśmy się w pustym mieszkaniu na Frydrychowie. Mój brat zatrul się tymczasem śmiertelnie mięsem. Pielęgniarka radziła, żeby zostawić go w Gorzowie, bo i tak umrze po drodze, a tu przynajmniej będzie miał porządny pogrzeb. Zaalarmowana babcia Gums i tym razem pomogła, dając mu do picia ciepłe kozie mleko. Mój brat został później lekarzem, wykładowcą, ale nigdy nie zapomniał o cudownych właściwościach koziego mleka. Moja mama pewnie nie dałaby rady przetrwać ucieczki sama z dwójką dzieci. Ale wspólnie z babcią i dziadkiem Gums oraz moim kuzynem Karlem-Heinzem Matthesem stworzyliśmy niewielką grupę zdolną do przetrwania. Gottlieb Gums miał 59 lat i był w sile wieku, Karl-Heinz miał lat 13 i już wtedy wszystko wskazywało na to, że zostanie mistrzem Niemiec w podnoszeniu ciężarów, a i babcia ponownie odegrała rolę anioła-stróża. Poza tym udało nam się zapakować wszystkie worki z uratowanymi rzeczami na duży, stabilny wóz. Ciągnęli go obaj mężczyźni za paski. Na górze siedziały dzieci. Ponieważ nie dostaliśmy zgody na przeprawę przez Odrę w Kostrzynie, musieliśmy nadładować jeszcze drogi na południe. Wiele wozów i taczek zatrzymało się przed stromym wzniesieniem. Moja mama cofnęła się i zaczęła pomagać innym pchać i ciągnąć. W pewnej chwili pojawił się jakiś Polak z koniem, pociągnął

maruderów przez deszcz i błoto na wzgórze i tą gotowością niesienia pomocy uratował honor swojego narodu. Został nam ostatni most. Stali na nim milicjanci i jeden z nich zażądał, by dziadek dał mu swoje nowe buty. Karl-Heinz zaczął protestować: „Dziadku, nie zdejmiesz butów!”. Milicjant rozkazał więc swoim ludziom, żeby szybko załatwili się z buntownikiem w pobliskim lesie. Babci udało się jednak wybłagać uwolnienie wnuka. Zrobiliśmy dobry interes: para butów za ludzkie życie. Tylko co by się wydarzyło, gdyby babcia nie znała polskiego ze swoich młodych lat i nie zrozumiała rozkazu?

Przeprawa przez Odrę i opuszczenie ziemi rodzinnej prowadzi mnie ku końcowi mojej relacji. Cezurą był 30 stycznia, którą to nazwę nosi dziś ulica, na której mieszkałem. Dla miasta Landsberg i jego mieszkańców był to najczarniejszy dzień w historii. Pamiętamy o tym, że dla wielu oznaczał śmierć, a inni na zawsze będą go wspominać, wiemy jednak także, że musimy pamiętać o niemieckich zbrodniach. Dla Polaków data ta jest raczej powodem do dumy. W tamtych dniach udało im się wcielić do swojego odbudowanego państwa wiele pięknych miast i ziem aż po morze. Trwająca przez stulecia kolonizacja Wschodu została nagle przerwana i zakończona często w sposób brutalny i pełen nienawiści. Według miary historii jest zrozumiałe, że po totalnej klęsce swojej hybris Niemcy musiały przekazać tak często likwidowanej Polsce niezbędne terytorium. Aby przyjąć w pokorze wyroki historii, potrzebna jest pojednawcza siła chrześcijaństwa.

Paweł Staszak

Gorzów w mojej pamięci

„Pamiętaj Paweł, że tożsamość człowieka nie ogranicza się tylko do imienia i nazwiska, ale także do miejsca skąd pochodzi”..

Wypowiedział te słowa kilka lat temu mój dziadek, zawsze miałem z nim dobry kontakt. Od małego. Nie dlatego, że byłem Jego oczkiem w głowie. Ale dlatego, że potrafiłem godzinami wysłuchiwać opowieści i wspomnień, które płynęły z Jego ust. Co często moich rodziców bardzo denerwowało, gdy dzwoniłem mówiąc, że zostaję na kolejną noc u dziadków... To właśnie dzięki niemu już w pierwszych klasach szkoły podstawowej zacząłem interesować się regionem, a dokładniej rzecz ujmując jego historią. „Sucha” książkowa wiedza była dla mnie niewystarczająca. Nurtowały mnie pytania, które dla bezpośrednich świadków przeszłych wydarzeń były oczywiste, a na większość z nich nie potrafiłbym znaleźć odpowiedzi w żadnej książce czy artykule. Taki przykład: jadąc z dziadkiem tramwajem pytałem: „gdzie wysiadamy?” – „koło Kamienia” – odpowiadał. Koło jakiego Kamienia? Moje oczy błądziły po oknach tramwaju i niczego takiego nie mogły dojrzeć. Ale do tego jeszcze powrócę. Zadawałem dziadkowi mnóstwo nurtujących mnie pytań. Odpowiedzi według mnie najciekawsze postaram się przedstawić poniżej.

Dziadek jako 17-latek przyjechał do Gorzowa w czerwcu 1945 r. Odpowiedź na pytanie, dlaczego właśnie do Gorzowa, bardzo mnie zdziwiła. W drodze na Zachód spotkał pradziadek kompana z wojska (z tego co się orientuję był na robotach przymusowych). Ten zasugerował, aby jechać do Gorzowa nad Wartą. Powiedział, że miasto (rzekomo) nie ucierpiało w wyniku działań wojennych i jeżdżą w nim tramwaje z trolejbusami, co rodzina zapewne skojarzyła z czynnikiem wielkomiejskim. Zarazem na pewno z pewną egzotyką. Dziadek przyznał się, że nigdy wcześniej (a tym bardziej pradziadkowie) nie widział na własne oczy tramwaju, a co dopiero mówić o trolejbusie, który współcześnie w Polsce też jest rzadkością...

Początkowo rodzina zamieszkała na obecnym osiedlu Poznańskim (niem. Bürgerwiesen), lecz w obawie przed grasującymi w tym okresie szabrownikami i kryminalistami przenieśli się na ul. Żukowa, zamieszkując nieopodal późniejszego seminarium duchownego. Jedną z sytuacji, którą dziadek zapamiętał,

było swoiste „znęcanie się” sąsiada nad tabliczką informacyjną „Adolf Hitler StraÙe”, którą rzekomo znalazł w piwnicy. Być może podobny los nie spotkałby tabliczki informującej o poprzednio obowiązującej nazwie – ulicy Chwałęcickiej... Chociaż niszczone wszelkie ślady wielowiekowej obecności niemieckiej na tych ziemiach. Zamalowywano szyldy, a co najgorsze, niszczone cmentarze. Przykładowo bezpowrotnej dewastacji uległ wiejski cmentarz w Czechowie. Na jego miejscu stoją dziś domki jednorodzinne, a ocalałe elementy nagrobków wsparły przykościelną skarpe. Dziadek sam przyznał, że w okresie budowy osiedla Słonecznego nagrobki z niedużej nekropolii (nieopodal przedszkola przy ulicy Słonecznej) wywożono na Zakanale, gdzie miały służyć za wzmocnienie podłoża przy poszerzaniu drogi. Jakiej drogi? To pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Jeżeli już mowa o cmentarzach i nagrobkach... Spacerując z rodziną po Parku Czechówek, natrafiliśmy na ogrodzony metalowym płotkiem metalowy krzyż. Rodzice nie byli mi w stanie odpowiedzieć, do kogo należy. Dziadek bez wahania stwierdził, że to zapewne kolega Walczaka i Cichońskiego i innych milicjantów, którzy często w tajemniczych okolicznościach tracili życie na służbie w „trudnych początkach” kształtowania się polskości na tych ziemiach.

Często kupowałem gazetę w kiosku. Gdzie? Koło Kamienia. Korzystałem z przystanku tramwajowego. Gdzie? Koło Kamienia. Dziś doskonale wiem, skąd to utarte w umysłach określenie. Nurtowała mnie po pierwsze kwestia: Co się z nim stało? Kamień stał dosłownie na środku dzisiejszej ul. Pomorskiej, przy skrzyżowaniu z ul. F. Walczaka. Z ust dziadka usłyszałem, że na motocyklu rozbił się na nim nietrzeźwy rosyjski żołnierz. Głaz zniknął w dość tajemniczych okolicznościach. Dziadek wspominał coś o Baczynie (niem. Beyerdorf), a na odpowiedź, co się stało z kamiennym obeliskiem poświęconemu G. Kirchnerowi, który stał na terenie dzisiejszego sądu przy ul. Mieszka I (dawniej koszar), nie potrafił odpowiedzieć. Być może stał się fundamentem dla powstających w tym czasie masowo obelisków poświęconych „wyzwoliciełom”. Nikt też nie potrafił odpowiedzieć, w jaki sposób i dlaczego głaz ku czci poległych na frontach I wojny światowej mieszkańców Czechowa (niem. Zechow), stojący jeszcze w latach 50. XX wieku pod miejscowym kościołem, znalazł się nagle w sąsiedztwie nagrobka K. Alkiewicza na Cmentarzu Świętokrzyskim? Kolega pradziadka z wojska nie kłamał. Tramwaje, które głoÙno „dudnią” po nierównych szynach, są i na pewno będą. Mimo masowej likwidacji tramwajów w miastach średniej wielkości gorzowskie bimby przetrwały. Z pewnymi kompromisami, ale jednak. Z relacji dziadka słyÙszalem o nich: wiele o urodziwych konduktorkach, zapchanych do granic możliwości wagonach wiozących ludzi do pracy, długotrwałym wyczekiwaniu na mijankach... Ale jedna historia warta jest przedstawienia.

Tramwaj, którego pasażerami byli moi dziadkowie, na ul. Sikorskiego uderzył z całym impetem w transporter z wódką. Ze zbitych szklanych butelek wódka ponoć popłynęła strumieniem po ulicy. W jednej chwili zbiegli się okoliczni pijaczkowie i bez pardonowo zaczęli zlizywać alkohol z asfaltu. Ku radości zgromadzonych milicja za pomocą pałek musiała usunąć natrętwów z ulicy.

Z alkoholem sprzedawanym w tym okresie od godz. 13:00 kojarzą się ówczesne gorzowskie „knajpy”. Dziadek wspominając w wolnym czasie zaglądał do Popularnej. Kilka razy mówił o mężczyźnie, który przez pół miasta szedł, trzymając oburącz sztucce. Dlaczego? Ponieważ miał zakorzenione w myślach, że obsługa niedokładnie myje naczynia. Z tego powodu już pod wpływem alkoholu urządzał awanturę. Tylko dlaczego nie przynosił talerza? Jest jeszcze jedna sytuacja, którą pragnę się podzielić. W nocy (1961 r.) ktoś zapukał do drzwi. Dziadek (ku memu zdziwieniu) bez wahania otworzył i zobaczył mężczyznę... w szpitalnej pidżamie. Niezwykły gość przedstawił się i został zaproszony do środka. Mężczyzna wyjaśnił, że jest księdzem. Uznany przez władzę za niewygodnego (urzędowo niepoczytalnego) został umieszczony w zakładzie psychiatrycznym w Gorzowie. Udało się mu uciec. Poprosił o pieniądze i ubranie. Wrócił do rodzinnych stron w okolicy Lubska. Po miesiącu odesłał wszystko, łącznie z pieniędzmi. Dołączył również list z wyrazami podziękowania, jak i modlitewnik z obrazkiem (dołączam go do pracy, list się nie zachował).

Wiele podobnych, może mniej ciekawych historii (pozostawiając tę z życia rodziny) zakorzeniło się na zawsze w mojej pamięci...

Dziadek odszedł w lutym po długotrwałej chorobie. Mimo że mam dopiero 21 lat, jestem studentem nie historii – lecz turystyki, to czuję się zobowiązany „zaszczepić” w przyszłości w dzieciach to, co on zaszczerpił we mnie... podwójną tożsamość.

Polsko – niemiecki słownik toponomastyczny Gorzowa

- ul. Borowskiego – Fernemühlenstraße
- ul. Chrobrego – Hindenburgstraße
- ul. Dąbrowskiego – Moltkestraße
- ul. Dworcowa – Bahnhofstraße
- ul. Fabryczna – Max-Bahr-Straße
- ul. Grobla – Dammstraße
- ul. Kazimierza Wielkiego – Hohenzollernstraße
- ul. Kobylogórska – Kuhburgerstraße
- ul. Koniawska – Rosswieserstraße
- ul. Kosynierów Gdyńskich – Adolf-Hitler-Straße
- ul. Kosynierów Gdyńskich – Heinersdorfer Straße
- ul. Kosynierów Gdyńskich – Heinersdorferstraße
- ul. Konstytucji 3 Maja – Soldinerstraße
- ul. Krótka – Kurzerweg
- ul. Krzywoustego – Röstelstraße
- ul. Łazienki – Baderstraße
- ul. Łokietka – Bismarckstraße
- ul. Łużycka – Luisenstraße
- ul. Małorolnych – Reymanstraße
- ul. Mickiewicza – Steinstraße
- ul. Moniuszki – Keutelstraße
- ul. Mostowa – Brückenstraße
- ul. Obotrycka – Schlosstraße
- Park Róż – Rosengarten
- Park Siemiradzkiego – Quilitzpark
- Park Słowiański – Zanziner Waldchen
- Park Wiosny Ludów – Stadtpark
- Plac Nieznanego Żołnierza – Moltkeplatz
- Plac Młyński – Mühlenplatz
- Plac Słoneczny – Sonnenplatz
- ul. Pocztowa – Wollstraße
- ul. Przemysłowa – Angerstraße
- Siedlicki Rów – Kuhburger Graben
- ul. Sikorskiego – Küstrinerstraße
- ul. Sikorskiego – Richtstraße
- ul. Spichrzowa – Brauerstraße
- ul. Stara – Rosenstraße
- Stary Rynek – Marktplatz
- ul. Strzelecka – Schiessgraben
- ul. Szkolna – Schulstraße
- ul. Towarowa – Buttersteig
- ul. 30 Stycznia – Böhmstraße
- ul. Walczaka – Friedeberger Chaussee
- ul. Walczaka – Friedebergerstraße
- ul. Warszawska – Zechowerstraße
- ul. Wemniany Rynek – Wollstraße
- ul. Wyszyńskiego – Kladowstraße
- ul. Zacisze – Schönfließ

Polsko – niemiecki słownik nazw miejscowości

Baczyna – Beyersdorf
Barlinek – Berlinchen
Barnówko – Berneuchen
Bogdaniec – Dühringshof
Borne Sulinowo – Groß Born
Brema – Bremen
Bystrzyca Kłodzka – Habelschwerdt
Czechów – Zechow
Dąbie – Damm
Dąbroszyn – Tamsel
Dębno – Neudamm
Frydrychowo – Friedrichstadt
Gorzów Wlkp. – Landsberg Warthe
Gralewo – Gralow
Janczewo – Jahnsfelde
Jenin – Gennin
Jezioro Błotne – Heinersdorfer See
Kamień Mały – Stolberg
Kłonia k. Wojcieszyc – Wormsfelder Mühle
Kostrzyn nad Odrą – Küstrin
Ludziśław – Ludwigsgrund
Majakowskoje – Nemmensdorf
Małyszyn – Merzdorf
Mieszkowice – Bärwalde
Międzyrzecz – Meseritz
Międzyzdroje – Misdroy
Opole – Oppeln
Puck – Putzig
Piła – Schneidemühl
Polichno – Pollychen
Poznań – Posen
Pyrzyce – Pyritz
Różanki – Stolzenberg
Siedlice – Siedlitz
Smolarki – Kladower Teerofen
Szczecin – Sttetin
Szwecja k. Wałcza – Freudenfier
Świerkocin – Fichtwerder
Wałcz – Deutsch Krone
Wawrów – Lorenzdorf
Wieprzyce – Wepritz
Wrocław – Breslau
Zieleniec – Rosswiese

Niemiecko – polski słownik toponomastyczny Gorzowa

- Adolf-Hitler-Straße – ul. Kosynierów Gdyńskich
Angerstraße – ul. Przemysłowa
Baderstraße – ul. Łazienki
Bahnhofstraße – ul. Dworcowa
Bismarckstraße – ul. Łokietka
Böhmstraße – ul. 30 Stycznia
Braucherstraße ul. – Spichrzowa
Brückenstraße – ul. Mostowa
Buttersteig – ul. Towarowa
Dammstraße – ul. Grobla
Fernemühlenstraße – ul. Borowskiego
Friedeberger Chaussee – ul. Walczaka
Friedebergerstraße – ul. Walczaka
Heinersdorfer Straße – ul. Kosynierów Gdyńskich
Heinersdorferstraße – ul. Kosynierów Gdyńskich
Hindenburgstraße – ul. Chrobrego
Hohenzollernstraße – ul. Kazimierza Wielkiego
Keutelstraße – ul. Moniuszki
Kladowstraße – ul. Wyszyńskiego
Kuhburger Graben – Siedlicki Rów
Kuhburgerstraße – ul. Kobylogórska
Kurzerweg – ul. Krótka
Küstrinerstraße – ul. Sikorskiego
Luisenstraße – ul. Łużycka
Marktplatz – Stary Rynek
Max-Bahr-Straße – ul. Fabryczna
Moltkeplatz – Plac Nieznanego Żołnierza
Moltkestraße – ul. Dąbrowskiego
Mühlenplatz – Plac Młyński
Quilitzpark – Park Siemiradzkiego
Reymanstraße – ul. Małorolnych
Richtstraße – ul. Sikorskiego
Rosengarten – Park Róż
Rosenstraße – ul. Stara
Rosswieserstraße – ul. Koniawska
Röstelstraße – ul. Krzywoustego
Schiessgraben – ul. Strzelecka
Schlosstraße – ul. Obotrycka
Schönfließ – ul. Park Zacisze
Schulstraße – ul. Szkolna
Soldinerstraße – ul. Konstytucji 3 Maja
Sonnenplatz – Plac Słoneczny
Stadtspark – Park Wiosny Ludów
Steinstraße – ul. Mickiewicza
Wollstraße – ul. Pocztowa
Wollstraße – Wełniany Rynek
Zechowerstraße – ul. Warszawska
Zanziner Waldchen – Park Słowiański

Niemiecko – polski słownik nazw miejscowości

Bärwalde – Mieszkowice
Berlinchen – Barlinek
Berneuchen – Barnówko
Beyersdorf – Baczyna
Bremen – Brema
Breslau – Wrocław
Damm – Dąbie
Deutsch Krone – Wałcz
Dühringshof – Bogdaniec
Fichtwerder – Świerkocin
Freudenfier – Szwecja k. Wałcza
Friedrichstadt – Frydrychowo
Gennin – Jenin
Gralow – Gralewo
Gross Born – Borne Sulinowo
Habelschwerdt – Bystrzyca Kłodzka
Heinersdorfer See – Jezioro Błotne
Jahnsfelde – Janczewo
Kladower Teerofen – Smolarki
Küstrin – Kostrzyn nad Odrą
Landsberg Warthe – Gorzów Wlkp.
Lorenzdorf – Wawrów
Ludwigsgrund – Ludziszaw
Merzdorf – Małyszyn
Meseritz – Międzyrzecz
Misdroy – Międzyzdroje
Nemmensdorf – Majakowskoje
Neudamm – Dębno
Oppeln – Opole
Putzig – Puck
Pollychen – Polichno
Posen – Poznań
Pyritz – Pyrzyce
Rosswiese – Zieleniec
Schneidemühl – Piła
Stolzenberg – Różanki
Stolberg – Kamień Mały
Sttetin – Szczecin
Siedlitz – Siedlice
Tamsel – Dąbroszyn
Wepritz – Wieprzyce
Wormsfelder Mühle – Kłonia k. Wojcieszyce
Zechow – Czechów

